



„NESBØ
STRĄCIŁ Z TRONU
LARSSONA”

gazeta.pl

JO NESBØ



Arcydzieło
powieści kryminalnej
„Dagbladet”

U P I O R Y

Śledztwo w narkotykowym półświatku

Wydawnictwo Dolnośląskie

JO NESBØ U P I O R Y

Przełożyła z norweskiego
Iwona Zimnicka



Wydawnictwo Dolnośląskie

CZĘŚĆ I

Krzyki ją wzywały. Niczym włócznie dźwięku przedzierały się przez wszystkie wieczorne odgłosy centrum Oslo, przez równy szum samochodów za oknem, odległą syrenę, której dźwięk wznosił się i opadał, przez bicie kościelnych dzwonów gdzieś niedaleko. To o tej porze, wieczorem, ewentualnie tuż przed wschodem słońca, polowała na jedzenie. Powiodła nosem po brudnym linoleum na podłodze kuchni. Rejestrowała i błyskawicznie sortowała zapachy na trzy kategorie: jadalne, groźne i nieistotne dla przeżycia. Kwaśny zapach szarego popiołu z tytoniu. Słodki jak cukier smak krwi na kłębkę waty. Gorzki aromat piwa marki Ringnes we wnętrzu kapsla. Cząsteczki gazu zawierające siarkę, saletrę i dwutlenek węgla unosiły się z pustej metalowej łuski z miejscem na ołowiany nabój 9x18 mm, nazywany również po prostu małakowem – od pistoletu, do którego pierwotnie dostosowano kaliber. Dym z wciąż tłącego się niedopałka z zabarwionym na żółto filtrem i czarną bibułą z nadrukowanym rosyjskim dwugłowym orłem. Tytoń jest jadalny. A tam dalej zapach alkoholu, skóry, tłuszczu i asfaltu. But. Powąchała go. Stwierdziła jednak, że nie nadaje się on do tak łatwego spożycia jak kurtka wisząca w szafie – ta, która pachniała benzyną i gnijącym zwierzęciem, z którego została zrobiona. Jej mózg gryzonia skoncentrował się więc na sposobie sforsowania tego, co przed nią leżało. Próbowała już z obu stron, usiłując precyzyjnie swoje dwudziestopięciocentymetrowe, ważące niemal pół kilograma ciało, ale bez powodzenia. Przeszkoda leżała na boku, obrócona plecami do ściany, i zasłaniała dziurę prowadzącą do gniazda, w którym jej ośmioro nowo narodzonych, jeszcze ślepych i bezwłosych dzieci coraz głośniejsze piskowało za jej sutkami. Góra mięsa pachniała solą, potem i krwią. To był człowiek. Człowiek, który jeszcze żył. Jej wrażliwe uszy wciąż wychwytywały słabe uderzenia serca, mimo pisku głodnych dzieci.

Bała się, ale nie miała wyboru. Konieczność nakarmienia potomstwa była nadrzędna, ważniejsza niż wszystkie zagrożenia, wszystkie wysiłki, wszystkie inne instynkty. Stała więc, wężąc w powietrzu i czekając, aż pojawi się jakieś rozwiązanie.

Kościelne dzwony biły teraz w rytm ludzkiego serca. Jedno uderzenie, drugie. Trzecie, czwarte...

Odłoniła długie zęby.

Lipiec. Niech to cholera! Po prostu nie umiera się w lipcu. Czy naprawdę słyszę kościelne dzwony, czy może raczej w tych nabojach był halucynogen? Okej, a więc w tym miejscu się to kończy. Ale jakie to, do diabła, ma znaczenie? Tu czy tam? Teraz czy później? Tylko czy naprawdę zasłużyłem na to, żeby umrzeć w lipcu? Przy wtórze śpiewu ptaków, brzęku butelek, śmiechu dobiegającego od strony rzeki Aker, wśród jakiegoś pieprzonego letniego szczęścia tuż za oknem? Zasłużyłem na to, żeby leżeć na podłodze w zainfekowanej norze ćpunów, z jedną nadprogramową dziurą w ciele, przez którą wszystko teraz wycieka? Życie, sekundy i obrazy tych sytuacji, które mnie tutaj doprowadziły? Wszystkie te małe i wielkie sprawy, całe mnóstwo zbiegów okoliczności i niezbyt świadomych wyborów. Czy to ja, czy to już wszystko, czy to jest właśnie moje życie? Miałem plany, prawda? A teraz został worek kurzu, dowcip bez puenty, tak krótki, że zdołałbym go opowiedzieć, zanim ten cholerny zegar skończy bić. Przeklęte miotacze ognia! Nikt mi nie powiedział, że śmierć jest taka bolesna. Jesteś tam, tato? Nie uciekaj, nie teraz. Posłuchaj, ten dowcip idzie tak: mam na imię Gusto. Skończyłem dziewiętnaście lat. Ty byłeś złym facetem, który zerznął złą kobietę, a dziewięć miesięcy później pojawiłem się na świecie i oddano mnie do rodziny zastępczej, zanim byłem w stanie powiedzieć „tata”. Robiłem tam tyle złego, ile tylko mogłem, a oni jeszcze mocniej otulali mnie tą dławiaczą kołdrą troski i pytali, czego bym chciał, żebym się uspokoił. Fuckings loda z automatu? Cholera, nie rozumieli, że takich jak ty i ja powinno się zastrzelić od razu, wyplenić jak szkodniki, przecież roznosimy zarazą i rozkład, a mnożymy się jak szczury, gdy tylko nadarzy się okazja. Sami są sobie winni. Ale oni też czegoś chcą. Wszyscy czegoś chcą. Miałem trzynaście lat, kiedy pierwszy raz w spojrzeniu mojej przybranej matki zobaczyłem, czego ona chce.

„Jesteś taki piękny, Gusto”, powiedziała. Weszła do łazienki – zostawiłem otwarte drzwi i nie odkręciłem prysznicą, żeby dźwięk jej nie ostrzegł. Stała dokładnie o sekundę za długo, zanim wyszła. Roześmiałem się, bo teraz już wiedziałem. Właśnie na tym polega mój talent, tato. Widzę, czego ludzie pragną. Odziedziczyłem go po tobie. Ty też taki byłeś? Po jej wyjściu przejrzałem się w dużym lustrze. Nie była pierwszą osobą, która powiedziała, że jestem piękny. Rozwinąłem się wcześniej niż inni chłopcy. Byłem wysoki, szczupły, szeroki w barach i umięśniony. Włosy miałem tak czarne, że aż lśniły, jakby światło tylko się od nich odbijało. Mocno zaznaczone kości policzkowe. Szeroki prosty podbródek. Duże chciwe usta z wargami pełnymi jak u dziewczyny. Śniada gładka skóra. Piwne, prawie czarne oczy. Jeden z chłopaków w klasie nazwał mnie „szczurem śniadym”. Didrik, chyba tak mu było na imię. W każdym razie zamierzał zostać pianistą. Miałem już piętnaście lat, a on powiedział to w klasie na głos: „Szczur śniady nie umie nawet porządnie czytać”.

Śmiałem się z tego, bo oczywiście wiedziałem, dlaczego tak powiedział. Czego pragnął. Kamilla, w której się potajemnie kochał, otwarcie kochała się we mnie. Na imprezie klasowej sprawdzałem trochę, co ma pod swetrem. Miała niewiele. Wspomniałem o tym dwóm chłopakom i pewnie do Didrika też to dotarło. Postanowił, że doprowadzi do odizolowania mnie od klasy. Nie zależało mi tak bardzo na ich akceptacji, ale mobbing to mobbing. Poszedłem więc do Tutu z klubu motocyklowego. Już wcześniej sprzedawałem dla nich w szkole trochę haszyszu. Powiedziałem, że jeśli mam działać na poważnie, muszę zyskać respekt. Tutu obiecał, że zajmie się Didrikiem. Później Didrik w żaden sposób nie chciał wyjaśnić, jak udało mu się włożyć dwa palce tuż pod górny zawias drzwi do męskiego kibla, ale już nigdy nie nazywał mnie szczurem śniadym. No i nigdy nie został pianistą. Cholera, ależ to boli! Nie, nie potrzebuję pociechy, tato. Potrzebują kopa. Ten jeden ostatni strzał, a opuszczą ten świat cicho i spokojnie. Obiecują. Znów ten dzwon. Tato?

2

Na Gardermoen, w Porcie Lotniczym Oslo, dochodziła już prawie północ, kiedy SK-459 z Bangkoku do Oslo skręcił na wskazane miejsce przy stanowisku 46. Pierwszy pilot Tord Schultz hamował, dopóki airbus 340 całkiem się nie zatrzymał, potem szybko zamknął dopływ paliwa. Silniki odrzutowe z częstotliwością przejawiającej się metalicznym jękiem przeszły na dobrodusze burczenie. W końcu zgasły. Tord Schultz odruchowo zanotował w myślach czas: trzy minuty i czterdzieści sekund od wylądowania. Dwanaście minut przed planowanym przylotem. Wraz z drugim pilotem przerobili *shutdown checklist* i *parking checklist*, ponieważ samolot miał stać tutaj przez noc. Z tymi rzeczami w środku. Schultz zajrzał do teczki z dziennikiem pokładowym. Wrzesień 2011 roku. W Bangkoku wciąż trwała pora deszczowa i było jak zwykle duszno i gorąco. Tęsknił stamtąd za domem, za pierwszymi chłodnymi jesiennymi wieczorami. Oslo we wrześniu. Nie ma lepszego miejsca na ziemi. Wypełnił rubrykę „pozostałe paliwo”. Rachunek za paliwo. Zdarzało się, że musiał się z tego tłumaczyć. Na przykład po lotach z Amsterdamu albo Madrytu, kiedy leciał szybciej, niż nakazywała ekonomiczna racjonalność, kiedy spalał tysiące koron, żeby zdążyć. W końcu szef wezwał go na dywanik.

– Na co zdążyć? – wrzasnął. – Przecież nie miałeś żadnych pasażerów, którzy musieli zdążyć na *connecting flights*!

– Najpункtualniejsze linie lotnicze na świecie – wymamrotał w odpowiedzi Tord Schultz, cytując reklamę.

– Najoszczędniejsze, do cholery, linie lotnicze na świecie! Tylko tyle masz do powiedzenia?

Tord Schultz wzruszył ramionami. Przecież nie mógł się przyznać, że spalił tyle paliwa, ponieważ to on musiał na coś zdążyć. Na lot, który mu wyznaczono. Ten do Bergen, Trondheim albo Stavanger. Że najwyższą koniecznością było, aby to on, a nie żaden inny pilot poprowadził ten samolot.

Był już za stary, żeby mogli mu coś zrobić – mogli najwyżej pokrzyknąć i udzielić mu nagany. Unikał poważnych błędów, opiekował się nim związek zawodowy i tylko kilka lat pozostawało mu do osiągnięcia *the two fives*, pięćdziesiątki piątki, i przejścia na emeryturę. Tord Schultz westchnął. Tylko kilka lat na wyprostowanie tyłu rzeczy, żeby nie skończyć

jako najbiedniejszy pilot na świecie.

Podpisał dziennik, wstał i wyszedł z kokpitu, żeby pokazać pasażerom rząd perłowobiałych kapitańskich zębów, odcinających się od opalonej po kapitańsku twarzy. Uśmiech, który miał im powiedzieć, że mają do czynienia z Misterem Bezpieczeństwa. Pilot. Tytuł zawodowy, dzięki któremu dawniej stawał się w oczach innych ludzi kimś. Widział, jak kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy, słysząc wypowiedane magiczne słowo „pilot”, natychmiast patrzyli na niego inaczej. Odkrywali charyzmę, nonszalancki chłopięcy wdzięk, a zarazem zimną precyzję i zdolność do działania, wyjątkowy intelekt i odwagę człowieka, który sprzeciwiał się prawom fizyki i wrodzonym lękom zwykłych ludzi. Ale to zamierzchna przeszłość. Teraz traktowano go jak szofera autobusu, którym tak naprawdę był, i pytali o cenę najtańszych biletów do Las Palmas albo dlaczego w Lufthansie jest więcej miejsca na nogi.

Niech ich cholera! Niech ich wszystkich weźmie cholera!

Tord Schultz stanął przy wyjściu obok stewardes. Wyprostował się i uśmiechnął, powiedział swoje „*Welcome back, Miss*” z amerykańskim akcentem z Teksasu, jakiego nauczyli się podczas szkolenia w bazie Sheppard. W odpowiedzi otrzymał pełen uznania uśmiech. Swego czasu potrafił takim uśmiechem umówić się na spotkanie w hali przylotów. I umawiał się. Od Kapsztadu po Alta. Kobiety. Właśnie to był problem. I rozwiązanie. Kobiety. Jeszcze więcej kobiet. Nowe kobiety. A teraz? Linia włosów cofnęła się pod czapkę, ale szyty na miarę mundur podkreślał walory wysokiego ciała o szerokich barach. To właśnie ciało obwiniał, kiedy w szkole lotniczej nie dostał się na myśliwce, tylko skończył jako pilot ciężarowych herculesów – podniebnych zimnokrwistych perszeronów. W domu powiedział, że jest o dwa centymetry za wysoki, że kokpity starfighterów F5 i F16 dyskwalifikowały każdego, kto nie był karłem. W rzeczywistości przegrał w konkursie. Ciało się nadawało, zawsze się nadawało. Ciało to jedyne, co zdołał utrzymać w odpowiednim stanie. Jedyne, co się nie rozpadło, nie uległo zniszczeniu. W przeciwieństwie do małżeństwa. Rodziny. Przyjaciół. Jak to się stało? Gdzie był, kiedy do tego doszło? Prawdopodobnie w jakimś pokoju hotelowym w Kapsztadzie albo Alta, z kokainą w nosie, żeby zrekompensować zabójcze dla potencji drinki w barze, z fiutem w jakiejś *not-welcome-back-Miss*, żeby zrekompensować wszystko, czym nie był i miał się nigdy nie stać.

Spojrzenie Torda Schultza padło na mężczyznę idącego w jego stronę przejściem między rzędami foteli. Szedł ze spuszczoną głową, a mimo to górował nad pozostałymi pasażerami. Szczupły i szeroki w barach, tak jak on. Krótko ostrzyżone jasne włosy sterczały mu na głowie jak szczotka. Pewnie trochę młodszy od Schultza, wyglądał na Norwega, ale

raczej nie był turystą powracającym do domu. Już bardziej ekspatem z tą przytłumioną, niemal szarą opalenizną, typową dla białych długo przebywających w południowo-wschodniej Azji. Brązowy lniany garnitur, bez wątpienia szyty na miarę, kojarzył się z jakością i powagą. Może biznesmen. Ale interes idzie chyba nie za dobrze, skoro facet podróżuje klasą ekonomiczną. Jednak tak naprawdę to nie garnitur ani wzrost przykuły spojrzenie Torda Schultza. Zrobiła to blizna. Biegła od lewego kącika ust prawie do samego ucha, niczym uśmiechnięty sierp. Groteskowa i niebywale dramatyczna.

– *See you.*

Tord Schultz drgnął, ale nie zdążył odpowiedzieć na pożegnanie, mężczyzna już go minął i opuścił samolot. Głos miał szorstki i ochryply, przekrwione oczy również świadczyły o tym, że dopiero się obudził.

Samolot był pusty. Cała załoga wysiadła, a na pasie już stał minivan z personelem sprząającym. Tord Schultz zauważył, że mały krępy Rosjanin wyskoczył z samochodu pierwszy. Wbiegł na górę po schodach w żółtej odblaskowej kamizelce z widocznym logo firmy Solox.

See you.

Mózg Torda Schultza powtórzył te słowa na korytarzu prowadzącym do biura odpraw załogi.

– Nie miałeś jeszcze torby kabinowej na górze? – spytała jedna ze stewardes, wskazując na należącą do Torda walizkę na kółkach marki Samsonite. Nie pamiętał, jak tej dziewczynie na imię. Mia? Maja? W każdym razie przeleciał ją kiedyś w ubiegłym stuleciu na *stop over*. A może wcale nie?

– Nie – odparł Tord Schultz.

See you. „Do zobaczenia”. Czy raczej: „Widzę, że na mnie patrzysz”?

Minęli lekką ściankę przed wejściem do biura odpraw, zza której teoretycznie mógł jak diabeł z pudełka wyskoczyć celnik. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach krzesło za przepierzeniem było puste, a Tord Schultza nigdy – ani razu w ciągu trzydziestu lat, które przepracował w tych liniach lotniczych – nie zatrzymano i nie przeszukano.

See you.

Raczej: „Widzę cię”. „Widzę, kim jesteś”.

Tord Schultz czym prędzej otworzył drzwi do biura odpraw.

Siergiej Iwanow jak zwykle zadbał o to, by jako pierwszy wysiąść z minivanu, gdy ten zatrzymał się na polu startowym obok airbusa, i wbiegł po schodach do pustego samolotu. Zaniósł do kokpitu odkurzacza i zamknął za sobą drzwi na klucz. Włożył lateksowe rękawiczki, podciągnął je aż do miejsca, w którym zaczynały się tatuaże, uniósł pokrywę odkurzacza i otworzył drzwiczki szafki kapitana. Wyjął z niej niedużą torbę kabinową marki Samsonite, rozpiął zamek błyskawiczny, odchylił metalową pokrywę na dnie i sprawdził, czy cztery przypominające cegły kilogramowe bloki są w środku. Potem schował torbę do odkurzacza, wciskając ją między wąż a wielki worek na kurz, który przed chwilą opróżnił. Zatrzasnął pokrywę, otworzył zamek w drzwiach kokpitu i włączył urządzenie. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund.

Po sprząnięciu kabiny wyszli z samolotu. Załadowali niebieskie worki na śmieci na tył daihatsu i pojechali z powrotem do swoich pomieszczeń w terminalu. Przed zamknięciem lotniska na noc miała wylądować jeszcze tylko garstka samolotów. Iwanow spojrzął przez ramię na Jenny, szefową zmiany. Powiódł wzrokiem po ekranie komputera, na którym wyświetlały się godziny przylotów i wylotów. Żadnych opóźnień.

– Wezmę Bergen na dwadzieścia osiem – oświadczył Siergiej z twardym rosyjskim akcentem. Ale przynajmniej mówił po norwesku. Wielu jego rodaków mieszkało w Norwegii już od dziesięciu lat i wciąż musieli posługiwać się angielskim. Jednak wuj Siergieja, sprowadzając go tu przed blisko dwoma laty, jasno dał mu do zrozumienia, że będzie musiał nauczyć się norweskiego, pocieszając jednocześnie, że może siostrzeniec ma choć trochę jego talentu do języków.

– Mam ludzi na dwadzieścia osiem – stwierdziła Jenny. – Możesz zaczekać na Trondheim na dwadzieścia dwa.

– Wezmę Bergen – upierał się Siergiej. – Niech Nick weźmie Trondheim.

– Jak sobie chcesz. – Jenny popatrzyła na niego. – Nie zapracuj się na śmierć, Siergiej.

Usiadł na jednym z krzeseł stojących pod ścianą. Oparł się ostrożnie. Wciąż czuł ból skóry między łopatkami, w miejscu, którym zajmował się norweski tatuażysta. Korzystał z rysunków przysłanych Siergiejowi przez Imrego, tatuażystę z więzienia w Tagile, lecz ciągle pozostawało jeszcze sporo do zrobienia, zanim tatuaż będzie kompletny. Siergiej pomyślał o tatuażach adiutantów wuja, Andrieja i Piotra. Wyblakłe niebieskie kreski na skórze tych dwóch kozaków z Ałtaju opowiadały o dramatycznym życiu, pełnym bohaterskich czynów. Ale i Siergiej miał na swoim koncie jeden wyczyn. Zabójstwo. Było to drobne zabójstwo, ale już zostało wyryte na skórze igłą i tuszem pod postacią anioła. Może będzie kolejne. Tym razem duże. Jeśli to, co konieczne, okaże się koniecznością – tak powiedział wuj i kazał mu

się szykować, przygotowywać psychicznie, ćwiczyć z nożem. Mówił, że przyjedzie mężczyzna. Nie było to pewne, ale prawdopodobne.

Prawdopodobne.

Siergiej Iwanow popatrzył na swoje ręce. Nie zdjął lateksowych rękawiczek. Oczywiście szczęśliwie się składało, że zwykły strój roboczy nie pozwalał na pozostawienie odcisków palców na paczkach, gdyby któregoś dnia coś poszło nie tak. Dłonie ani trochę nie drżały. Wykonywały tę czynność już od tak dawna, że od czasu do czasu musiał sam sobie przypominać o ryzyku. Miał nadzieję, że będą równie spokojne, gdy trzeba będzie wykonać to, co konieczne – *eto szto nužno*. Kiedy będzie mógł zasłużyć na tatuaż, do którego już zamówił rysunki. Znów wyobraził sobie, jak w domu w Tagile rozepnie koszulę przy wszystkich braciach urkach i pokaże im nowe tatuaże. Nie będą wymagały żadnych komentarzy, żadnych słów, więc będzie milczał. W spojrzeniach braci zobaczy, że nie jest już małym Siergiejem. Od tygodni modlił się wieczorem o to, by ten człowiek wkrótce się zjawił. By to, co konieczne, stało się koniecznością.

W krótkofalówce zatrzęszczało polecenie sprzątnięcia samolotu do Bergen.

Siergiej wstał. Ziewnął.

Procedura w kokpicie była jeszcze prostsza.

Otworzyć odkurzacz, przełożyć torbę kabinową do szafki nawigatora.

Przy wyjściu z samolotu spotkali nadchodzącą załogę. Siergiej Iwanow unikał spojrzeń pilotów. Spuścił wzrok i zauważył, że nawigator ma walizkę na kółkach tego samego rodzaju co Schultz. Samsonite Aspire GRT. Ten sam czerwony kolor. Bez niedużej czerwonej torby kabinowej, którą można umocować na walizce. Nic o sobie nie wiedzieli. Nie znali przyczyn, dla których się w to zaangażowali, nie wiedzieli nic o swoim pochodzeniu ani rodzinie. Siergieja, Schultza i młodego nawigatora wiązały ze sobą jedynie numery telefonów w kupionych w Tajlandii i nigdzie niezarejestrowanych komórkach do wysłania SMS-a na wypadek zmian w rozkładzie lotów. Siergiej wątpił w to, by Schultz i nawigator wiedzieli o sobie nawzajem. Andriej pilnował zminimalizowania informacji i poprzestawał wyłącznie na *need-to-know*, dlatego Siergiej nie miał pojęcia, co się dalej dzieje z paczkami. Ale mógł się domyślać. Bo kiedy nawigator lotu krajowego z Oslo do Bergen przemieszczał się na lotnisku z *airside* na *landside*, nie było celników ani kontroli bezpieczeństwa. Nawigator zabierał torbę kabinową do hotelu w Bergen, gdzie nocowała załoga. Dyskretne pukanie do drzwi hotelowych w środku nocy i cztery kilogramy heroiny przechodziły z rąk do rąk. Wprawdzie po pojawieniu się nowego narkotyku, violiny, ceny heroiny nieco spadły, ale i tak na ulicy za działkę 0,2 dostawało się co najmniej dwieście pięćdziesiąt koron. Tysiąc za gram. Przy

założeniu, że już rozcieńczony narkotyk zostanie rozcieńczony jeszcze raz, paczki były warte osiem milionów koron. Umiął liczyć. Przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że jest słabo opłacany. Ale wiedział też, że zasłużyłby na więcej, gdyby zrobił „to, co konieczne”. A za te pieniądze mógłby za parę lat kupić sobie dom w Tagile, znaleźć jakąś ładną dziewczynę z Syberii, może nawet zabrać do siebie rodziców, kiedy się zestarzeją.

Siergiej Iwanow poczuł swędzenie między łopatkami.

Jakby nawet skóra cieszyła się na to, co się stanie.

3

Mężczyzna w lnianym garniturze wysiadł z przyjeżdżającego z lotniska pociągu na Dworcu Centralnym w Oslo. Stwierdził, że dzień w jego dawnym rodzinnym mieście musiał być ciepły i słoneczny, bo powietrze wciąż było łagodne, czule pieściło skórę. Z komicznie wręcz małą płócienną walizką w ręku wyszedł szybkim sprężystym krokiem na południową stronę dworca. Na zewnątrz serce Oslo – choć niektórzy twierdzili, że miasto go nie ma – było w rytmie spoczynkowym. Nocnym. Nieliczne samochody krążące po rondzie węzła drogowego trafiały to na wschód w stronę Sztokholmu i Trondheim, to na północ ku innym dzielnicom stolicy, to na zachód w kierunku Drammen i Kristiansand. Wielkie skrzyżowanie i rozmiarami, i kształtem przypominało brontozaura, umierającego giganta, który wkrótce miał zniknąć zastąpiony domami mieszkalnymi i biurowcami w nowej wspaniałej dzielnicy Oslo z jej nowym wspaniałym budynkiem – Operą. Mężczyzna zatrzymał się i popatrzył na białą górę lodową, wznoszącą się między estakadami skrzyżowania a fiordem. Budowla już zdobyła nagrody architektoniczne na całym świecie, ludzie przybywali z daleka, żeby przejść się po skośnie opadającym w morze dachu z włoskiego marmuru. Z wielkich okien było światło równie ostre, jak blask księżyca oświetlający budynek.

Cholera, rzeczywiście upiększenie stolicy, pomyślał mężczyzna.

On nie widział tu obietnic stworzenia w przyszłości nowej dzielnicy, tylko przeszłość. Tu bowiem mieściła się kiedyś główna *shooting gallery* w Oslo, terytorium narkomanów, gdzie robili sobie zastrzyki i odurzali się za przepierzeniem w postaci baraków, ledwie osłaniających skazane na zatracenie dzieci tego miasta. Lekka ścianka oddzielała ich od niczego nieświadomych, obdarzonych dobrą wolą rodziców socjaldemokratów. Upiększenie, powtórzył w myślach. Idą do piekła w piękniejszym otoczeniu.

Minęły trzy lata, odkąd stał tu ostatnio. Wszystko było nowe. Nic się nie zmieniło.

Rozsiedli się na pasie zieleni między dworcem a autostradą. Tak samo nieprzytomni jak wtedy. Rozciągnięci na plecach, z zamkniętymi oczami, jakby słońce świeciło za mocno, przykucnięci w poszukiwaniu żyły, która jeszcze żyła, albo złożeni wpół z ćpuńskim ugięciem kolan i plecakiem, niepewni, czy idą dokądś, czy skądś wracają. Te same twarze. Oczywiście nie te same żywe trupy co wtedy, kiedy tu był, bo tamci już dawno umarli naprawdę. Ale twarze te same.

Po drodze w stronę Tollbugata było ich więcej. Ponieważ mieli związek z powodem, dla którego wrócił, próbował stworzyć sobie jakiś obraz. Rozstrzygnąć, czy jest ich więcej, czy mniej. Zauważył, że na Plata, niegdyś głównym bajzlu stolicy, znów kwitnie handel. Mały wyasfaltowany prostokąt po zachodniej stronie Jernbanetorget był Tajwanem Oslo, strefą wolnego handlu narkotykami stworzoną po to, by władze mogły do pewnego stopnia kontrolować, co się dzieje, i ewentualnie wyłapywać młodych kupujących pierwszy raz. Jednak w miarę jak interes się rozkręcał i Plata pokazała prawdziwą twarz Oslo jako jednego z najbardziej zagrożonych heroiną miast w Europie, miejsce to stało się wręcz atrakcją turystyczną. Sprzedaż heroiny i statystyki przedawkowań od dawna były plamą na honorze stolicy, ale mimo wszystko nie tak widoczną jak sama Plata. Gazety i telewizja karmiły resztę kraju obrazami odurzonej młodzieży. Zombi w centrum w biały dzień. Obwiniano polityków. Kiedy rządziła prawica, lewica grmiała: „Za mało programów terapii”. „Kary więzienia to nowi narkomani”. „Nowe społeczeństwo klasowe prowadzi do powstawania gangów i handlu narkotykami w środowiskach imigrantów”. Kiedy rządziła lewica, prawica grmiała: „Za mało policji”. „Zbyt łatwy dostęp do uzyskania azylu”. „Siedmiu na dziesięciu więźniów to cudzoziemcy”.

Poddana nieustającym atakom Rada Miasta Oslo podjęła nieuniknioną decyzję: musi bronić siebie. Nakryć bagno dywanem. Zamknąć Plata.

Mężczyzna w lnianym garniturze zauważył stojącego na schodkach chłopaka w czerwono-białej koszulce Arsenalu. Przed nim cztery osoby przestępowały z nogi na nogę. Głowa zawodnika Arsenalu obracała się w lewo i w prawo nerwowymi szarpnięciami jak łepiek kury. Cztery pozostałe głowy były nieruchome, wpatrzone w chłopaka w piłkarskiej koszulce. Ekipa. Diler na schodach czekał, aż będzie dostatecznie duża na jeden pełny ruch. Może potrzebował pięciu, może sześciu. Kiedy zbierze się komplet, zainkasuje pieniądze za zamówienia i zaprowadzi ich tam, gdzie są narkotyki. Za róg albo na jakieś podwórze, do czekającego partnera. Prosta zasada. Ten, który trzyma narkotyki, nigdy nie ma kontaktu z pieniędzmi, a ten, który zbiera pieniądze, nigdy nie ma kontaktu z narkotykami. Utrudniało to policji zdobycie twardych dowodów na handel narkotykami. Mimo to mężczyzna w lnianym garniturze aż się wzdrygnął, bo rozpoznał w tym dawną metodę jeszcze z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Później, kiedy policja zrezygnowała z łapania ulicznych handlarzy, dilerzy porzucili starannie przestrzegane procedury zbierania ekipy i zaczęli handlować bezpośrednio z klientami. Pieniądze w jednej ręce, narkotyki w drugiej. Czyżby policja znów zaczęła się zasadzać na dilerów na ulicy?

Nadjechał mężczyzna w uniformie rowerzysty. Kask, pomarańczowe gogle i koszulka

z oddychającej tkaniny w neonowym kolorze. Mięśnie ud nabrzmiewały pod obcisłymi spodenkami, rower wyglądał na drogi. Pewnie dlatego mężczyzna ciągnął go ze sobą, gdy wraz z resztą ekipy poszedł za chłopakiem w stroju Arsenalu za róg na drugą stronę budynku. Wszystko było nowe. Nic się nie zmieniło. Ale czy nie było ich jakby mniej?

Dziwki na rogu Skippergata zaczęły go po angielsku z marnym akcentem – „*Hey, baby!*” „*Wait a minute, handsome!*”, w odpowiedzi tylko pokręcił głową. Plotka o jego cnotliwości, ewentualnie braku pieniędzy, najwyraźniej rozniosła się szybciej, niż szedł, bo dziewczyny stojące dalej na ulicy nie okazały mu już żadnego zainteresowania. Za jego czasów prostytutki w Oslo ubierały się praktycznie, w dżinsy i kurtki nieprzepuszczające wiatru. Było ich niewiele, o rynku decydował sprzedawca. Teraz jednak konkurencja się zaostrzyła – krótkie spódniczki, wysokie obcasy i pończochy kabaretki. Afrykanki już wyglądały na zmarznięte. Zaczekajcie do grudnia, pomyślał.

Zapusczył się dalej w głąb Kvadraturen, dzielnicy będącej niegdyś pierwszym centrum Oslo, teraz zmienionej w asfaltowo-ceglaną pustynię mieszczącą rozmaite instytucje publiczne i biura, w których rano pojawia się dwadzieścia pięć tysięcy pracowitych mrówek pędzących do domu o czwartej czy piątej i oddających dzielnicę we władanie prowadzącym nocny tryb życia gryzoniom. W czasie, gdy król Christian IV zakładał tę dzielnicę równych kwartałów – zgodnie z renesansowymi ideami geometrycznego porządku – liczbę mieszkańców Kvadraturen utrzymywały w równowadze pożary. Mówiono, że w każdą noc przestępną widać tu biegających wśród płomieni między domami ludzi, słysząc ich krzyki, kiedy płoną i znikają, zmieniając się w parę. Podobno na asfalcie zostawała warstewka popiołu i jeśli ktoś zdążył ją zebrać i zjeść, zanim rozdmuchał ją wiatr, jego dom nigdy nie stanął w ogniu. Z powodu zagrożenia pożarowego Christian IV zbudował ulice szerokie jak na standardy ubogiego Oslo. Ponadto budynki wzniesiono z nienorweskiego materiału budowlanego – murowane. Idąc wzdłuż jednej z murowanych ścian, mężczyzna w lnianym garniturze minął otwarte drzwi do baru. Nowo zgwałcona wersja *Welcome to the Jungle* Guns N'Roses przerobiona na taneczne reggae, olewające zarówno Marleya, jak i Rose'a, Slasha i Stradlina, dochodziła do dziewczyn, które stały i paliły przed wejściem. Mężczyzna zatrzymał się przed wyciągniętą ręką.

– Masz ogień?

Patrzyła na niego dobiegająca czterdziestki pulchna dama z ciężkim bufetem. Papieros kołysał się wyzywająco w umalowanych na czerwono ustach.

Uniósł brew i spojrzał na roześmianą przyjaciółkę tej pierwszej, która stała za nią z zapalonym już papierosem. Ta z ciężkim przodem też to zauważyła, roześmiała się i szerzej

rozstawiła nogi.

– Nie bądź głupi – powiedziała takim samym dialektem z południa Norwegii, jakim mówiła żona następcy tronu. Słyszał, że podobno na rynku wewnętrznym działa kurwa, która nieźle się dorobiła na tym, że wygląda jak księżna, mówi jak ona i tak samo się ubiera. A w ramach pięciu tysięcy koron za godzinę mieści się też plastikowe berło wypożyczane klientowi do względnie swobodnego użytku.

Chciał iść dalej, ale poczuł czyjaś rękę na ramieniu. Kobieta nachyliła się do niego i dmuchnęła mu w twarz oddechem pachnącym czerwonym winem.

– Wyglądasz na eleganckiego gościa. Nie dasz mi... ognia?

Odwrócił się do niej drugą stroną twarzy. Tą złą. Tą niezbyt elegancką. Poczul, że kobieta drgnęła i puściła go na widok pamiątki po gwoździu z Konga, pęknięcia sięgającego od ust do ucha, zszyciego jakby na okrętkę.

Ruszył dalej, kiedy muzyka zmieniła się na Nirvanę. *Come as You Are*. Wersja oryginalna.

– Hasz?

Głos dobiegł z bramy, ale on się nie zatrzymał ani nie odwrócił.

– Speed?

Był trzeźwy od trzech lat i nie miał zamiaru zaczynać od nowa.

– Violina?

Na pewno nie teraz.

Przed nim na chodniku młody chłopak zatrzymał się przy dwóch handlarzach narkotyków, mówił do nich i coś pokazywał. Podniósł głowę, kiedy mężczyzna w lnianym garniturze się zbliżył. Wbił w niego szare, badawczo patrzące oczy. Policyjne spojrzenie, pomyślał ten w garniturze, spuścił wzrok i przeszedł na drugą stronę ulicy. Paranoja, przecież mało prawdopodobne, by tak młody policjant go rozpoznał.

Jest hotel. Pensjonat. Leon.

Ta część ulicy była niemal wyludniona. Po przeciwnej stronie pod latarnią zobaczył klienta, który właśnie kupił narkotyki. Między nogami przytrzymał rower. Drugi rowerzysta, również w profesjonalnym stroju, pomagał mu zrobić zastrzyk w szyję.

Mężczyzna w lnianym garniturze pokręcił głową i spojrzał na fasadę budynku, przed którym stał.

Ten sam poszarzały z brudu baner wisiał pod oknami czwartego, ostatniego piętra. „400 koron za noc!” Wszystko było nowe. Nic się nie zmieniło.

Recepcjonista w hotelu Leon był nowy. Młody chłopak przywitał mężczyznę w lnianym garniturze z zaskakująco uprzejmym uśmiechem i – jak na hotel Leon – zdumiewającym brakiem niedowierzania. Powiedział „Welcome” bez cienia ironii w głosie i poprosił o paszport. Mężczyzna doszedł do wniosku, że wzięto go za cudzoziemca z powodu opalonej skóry i garnitur z lnu. Podał chłopakowi czerwony norweski paszport, zniszczony, z wieloma stemplami. Zbyt wieloma, by jego życie dało się nazwać spokojnym.

– Aha – powiedział recepcjonista, oddając mu paszport. Położył na kontuarze formularz i podał gościowi długopis. – Zaznaczone rubryki wystarczą.

Mężczyzna się zdziwił. Formularz meldunkowy w Leonie? Może jednak coś się zmieniło. Wziął długopis i zorientował się, że chłopak wpatruje się w jego dłoń. W środkowy palec. W to, co było środkowym palcem, dopóki nie zostało odcięte w pewnym domu na wzgórzu Holmenkollen. Teraz pierwszy staw zastąpiła niebieskoszara matowa proteza z tytanu. Nie dawało się jej wykorzystać do wielu rzeczy, ale zapewniała wsparcie palcom wskazującemu i serdecznemu, kiedy chciał coś chwycić, i nie przeszkadzała, ponieważ była taka krótka. Jedyne jej wadę stanowiły rundy wyjaśnień, kiedy przechodził przez kontrolę bezpieczeństwa na lotniskach.

Wypełnił rubryki *First Name* i *Last Name*.

Date of Birth.

Wpisał. Wiedział, że teraz bardziej wygląda na czterdziestokilkuletniego mężczyznę niż tamten zraniony starzec, który wyjeżdżał stąd trzy lata temu. Poddał się surowemu reżimowi ćwiczeń fizycznych, zdrowego jedzenia, odpowiedniej ilości snu i oczywiście stuprocentowej abstynencji. Nie chodziło mu o to, żeby wyglądać młodziej, tylko żeby nie umrzeć. Poza tym to lubił. Właściwie zawsze lubił rutynę, dyscyplinę, porządek. Dlaczego więc w jego życiu mimo wszystko panował chaos, autodestrukcja i zerwane relacje, przeżywane etapami między zaczernionymi okresami odurzenia? Puste rubryki patrzyły na niego pytająco. Były jednak za wąskie, by pomieścić odpowiedzi, których się domagały.

Permanent Address.

No cóż. Mieszkanie przy Sofies gate zostało sprzedane zaraz po jego wyjeździe trzy lata temu, tak samo dom rodziców na Oppsal. Przy jego obecnym zajęciu stały oficjalny adres łączyły się z pewnym ryzykiem. Wpisał więc to, co zwykle, kiedy meldował się w hotelach: Chung King Mansion, Hongkong. Nie było to dalsze od prawdy niż jakikolwiek inny adres.

Profession.

Zabójstwa. Nie wpisał tego. Rubryka nie była zaznaczona.

Phone Number.

Wpisał zmyślony. Komórkę można wytropić. Podśluchiwać rozmowy i określić, gdzie ktoś się znajduje.

Phone Number Next of Kin.

Najbliższa osoba? Jaki mąż dobrowolnie podałby numer żony, meldując się w Leonie? Przecież ten przybytek najbardziej ze wszystkich w Oslo odpowiadał temu, co określa się jako oficjalny burdel.

Recepcjonista najwyraźniej czytał mu w myślach.

– To tylko na wypadek, gdyby pan się źle poczuł i trzeba by było kogoś wezwać.

Kiwnął głową. Na wypadek zatrzymania akcji serca w trakcie stosunku.

– Nie musi pan nic wpisywać, jeśli pan nie ma...

– Nie mam – odpowiedział, dalej wpatrując się w te słowa. Osoba najbliższa. Miał Sio. Siostrę z tym, co sama określała jako „malutki Down”, która jednak zawsze radziła sobie z życiem o wiele lepiej niż jej starszy brat. Oprócz Sio nie miał nikogo innego. Naprawdę nikogo. A mimo to sam był najbliższą osobą.

Zakreślił *Cash* przy sposobie płatności, podpisał się i podał formularz recepcjoniście, który szybko przejrzał rubryki. I wtedy wreszcie zobaczył, jak to się pojawia. Nieufność.

– Pan... pan jest Harry Hole?

Harry Hole przytaknął.

– To jakiś problem?

Chłopak pokręcił głową. Przelknął ślinę.

– No to świetnie – powiedział Harry. – Dasz mi klucz?

– O, przepraszam. Proszę. Trzysta jeden.

Harry wziął klucz i zauważył, że chłopakowi rozszerzyły się źrenice, a głos wydobywał się z większym trudem.

– To... to przez mojego wuja – wyjaśnił chłopak. – To on prowadzi hotel. Dawniej sam siedział w recepcji. Opowiadał o panu.

– Myślę, że same miłe rzeczy – uśmiechnął się Harry, wziął swoją płócienną walizeczkę i ruszył w stronę schodów.

– Winda...

– Nie lubię wind. – Harry nawet się nie odwrócił.

Pokój był taki jak przedtem. Zniszczony, mały i w miarę czysty. A zresztą nie, zasłony były nowe. Zielone. Sztywne. Na pewno nie wymagały prasowania. *À propos.* Powiesił garnitur w łazience i odkręcił prysznic, żeby para wyprostowała zagniecenia. Garnitur kosztował go osiemset dolarów hongkońskich w Punjab House przy Nathan Road, ale w jego

pracy był niezbędną inwestycją. Przecież nikt nie szanuje człowieka w łachmanach. Wszedł pod prysznic. Gorąca woda wywołała mrowienie pod skórą. Potem nagi przeszedł przez pokój do okna i je otworzył. Trzecie piętro. Tylne podwórze. Z otwartego okna dobiegały udawane entuzjastyczne jęki. Uchwycił się dłońmi karnisza i wychylił. Spojrzał wprost w otwarty kontener na śmieci i poczuł bijący z niego słodkawy odór. Splunął i usłyszał, jak ślina spada na papier w kontenerze. Ale szelest, który temu towarzyszył, nie był szelestem papieru. W tej samej chwili rozległ się trzask i sztywne zielone zasłony spadły na podłogę. Cholera! Wyciągnął z materiału cienki karnisz. Starego typu, drewniany, z zakończeniami w kształcie cebuli z obu stron. Już kiedyś się złamał i ktoś próbował go skleić taśmą. Harry usiadł na łóżku, otworzył szufladkę nocnej szafki. Biblia w jasnoniebieskiej skajowej oprawie i zestaw do szycia – czarna nitka nawinięta na tekturkę z wklutą igłą. Po głębszym przemyśleniu Harry doszedł do wniosku, że to jak najbardziej na miejscu. Gość mógł sobie przyszyć oderwane guziki od rozporoka, a później poczytać o odpuszczeniu grzechów. Położył się, spojrzął w sufit. Wszystko było nowe, nic... Zamknął oczy. Nie spał w samolocie i bez względu na to, czy miał *jet lag*, czy nie, z zasłonami czy bez, wiedział, że zaśnie. I że przyśni mu się ten sam sen, który przychodził co noc przez ostatnie trzy lata. Będzie biegł korytarzem, uciekając przed huczącą lawiną, pochłaniającą całe powietrze i niepozwalającą oddychać.

Chodziło tylko o to, żeby biec dalej i jeszcze przez chwilę mieć oczy zamknięte.

Myśli uleciały. Przestał nad nimi panować.

Numer do najbliższej osoby.

Najbliższa osoba.

Właśnie tym był. Dlatego wrócił.

Siergiej skręcił na E6 w stronę Oslo. Tęsknił za łóżkiem w mieszkaniu na Furuset. Jechał poniżej stu dwudziestu na godzinę, chociaż o tak późnej porze miał na autostradzie dużo miejsca. Zadzwoniła komórka. Ta komórka. Rozmowa z Andriejem była krótka. Kontaktował się z nim wuj, a raczej ataman, jak Andriej nazywał wuja. Po zakończeniu rozmowy Siergiej nie mógł już dłużej się powstrzymać. Wcisnął gaz. Krzyknął z radości. Mężczyzna przyjechał. Dzisiaj wieczorem. Był tutaj. Na razie Siergiej ma nic nie robić. Andriej powiedział, że może sytuacja sama się rozwiąże. Ale musiał być teraz jeszcze lepiej przygotowany. I psychicznie, i fizycznie. Ćwiczyć z nożem, spać, mieć wyostrzone zmysły. Bo to, co konieczne, mogło się okazać koniecznością.

4

Tord Schultz siedział na kanapie i ciężko oddychał. Ledwie słyszał samolot z hukiem przelatujący nad domem. Pot cienką warstewką pokrywał nagi tors, a echo metalu uderzającego o metal wciąż wisiało między gołymi ścianami pokoju. Za nim znajdował się statyw ze sztangą zawieszoną nad ławką obciągniętą skajem lśniącym od jego potu. Z ekranu telewizora patrzył na niego Donald Draper, mrużąc oczy od dymu z własnego papierosa i popijając whisky. Kolejny samolot przeleciał nad nimi z rykiem. *Mad Men*. Lata sześćdziesiąte. USA. Kobiety w porządnym ubraniu. Porządne drinki w porządnym szklankach. Porządne papierosy bez smaku mentolu i filtra. Wtedy to, co cię nie zabijało, wzmacniało cię. Kupił tylko pierwszy sezon. Oglądał go stale od nowa. Nie był pewien, czy spodobałby mu się dalszy ciąg.

Popatrzył na białą kreskę na szklanym blacie stolika i wytarł brzeg identyfikatora. Jak zwykle użył karty do posiekania proszku. Karty, którą przypinał do piersi kapitańskiego munduru. Karty, która zapewniała mu dostęp do *airside*, do kokpitu, do nieba, do wynagrodzenia. Karta, która czyniła z niego tego, kim był. Odebrano by mu ją wraz ze wszystkim, gdyby ktoś się dowiedział. Dlatego uważał, że słusznie robi, używając właśnie jej. Wobec całej nieuczciwości była w tym pewna uczciwość.

Jutro rano wracają do Bangkoku. Dwa dni odpoczynku w Sukhumvit Residence. Dobrze. Teraz już będzie dobrze. Lepiej niż do tej pory. Nie lubił lotów z Amsterdamu. Za duże ryzyko. Od czasu, gdy odkryto głębokie zaangażowanie południowoamerykańskich załóg w przemyt kokainy, na Schiphol cały personel, bez względu na linie lotnicze, ryzykował kontrolę bagażu podręcznego i rewizję osobistą. W dodatku w tamtym systemie musiał sam zabierać paczki na ląd i trzymać je w torbie przez kilka godzin, aż do kolejnego rejsu krajowego do Bergen, Trondheim albo Stavanger. Na te krajowe loty musiał zdążyć, chociaż czasami oznaczało to konieczność nadrobienia opóźnienia z Amsterdamu i spalanie dodatkowego paliwa. Na Gardermoen oczywiście przez cały czas pozostawał na *airside*, nie przechodził więc przez żadną kontrolę celną, lecz niekiedy musiał przechowywać narkotyki we własnym bagażu aż szesnaście godzin przed ich dostarczeniem. Dostawy zresztą też nie zawsze były pozbawione ryzyka. Samochody na parkingach. Restauracje, w których było trochę za mało gości. Hotele z obdarzonymi wyjątkowym zmysłem obserwacji

recepjonistkami.

Zrolował tysiąckoronowy banknot wyjęty z koperty, którą dostał od nich ostatnim razem. Istniały plastikowe rurki przeznaczone specjalnie do tego celu, ale on ich nie potrzebował. Nie był tak ciężko uzależniony, jak ona opowiadała swojej adwokatce podczas sprawy rozwodowej. Obślizgła suka – twierdziła, że musi się rozwieść, bo nie chce, żeby dzieci wychowywał ojciec narkoman. Że nie chce siedzieć i patrzeć, jak on wciąga do nosa dom i całą resztę. I że to w ogóle nie ma nic wspólnego ze stewardesami, że to ją ani trochę nie obchodzi, że akurat z tego już dawno zrezygnowała, zresztą z tym i tak rozprawi się jego wiek. Razem z adwokatką postawiła mu ultimatum. Zabierze dom, dzieci i resztki spadku po ojcu, których jeszcze nie zdążył przepuścić. Albo oskarżą go o posiadanie i zażywanie kokainy. Zgromadziła dość dowodów, by nawet jego adwokat stwierdził, że z pewnością zostanie skazany i wyrzucony przez linie lotnicze na bruk.

Wybór był prosty. Jedyne, co pozwoliła mu zachować, to długi.

Wstał i wyrzwał przez okno. Chyba już wkrótce powinni się zjawić?

System był zupełnie nowy. Miał zabrać paczkę stąd do Bangkoku. Bóg jeden wie dlaczego. Noszenie drew do lasu i tak dalej. Wszystko jedno, robił to już po raz szósty i do tej pory wszystko szło jak po maśle.

W sąsiednich domach się świeciło, ale stały daleko od siebie. Samotne domy, pomyślał. Kiedyś, gdy Gardermoen było jeszcze lotniskiem wojskowym, mieszkali w nich oficerowie. Identyczne parterowe pudełka rozdzielone dużymi gołymi trawnikami. Jak najmniejsza wysokość, tak aby zbyt nisko lecąca maszyna o nic nie zawadziła. Możliwie duża odległość między budynkami, żeby ogień z rozbitego samolotu się nie rozprzestrzenił.

Mieszkali tu podczas obowiązkowej służby, kiedy latał na herculesach. Dzieciaki biegały między domami do dzieci jego kolegów pilotów. Sobota, lato. Mężczyźni w fartuchach przy grillach, z aperitifami. Paplanina dochodząca z otwartych okien kuchni, gdzie żony przygotowywały sałatki i popijały campari. Jak scena z *Pierwszego kroku w kosmos*, jego ulubionego filmu. Tego o pierwszych astronautach i pilocie doświadczalnym Chucku Yeagerze. Cholernie ładne te żony pilotów. Mimo że to były tylko herculesy. Czuli się wtedy szczęśliwi, prawda? Czy dlatego tutaj wrócił? Czyżby podświadomie pragnął coś odnaleźć? A może chciał stwierdzić, w którym miejscu wszystko się popsło, i to naprawić?

Kiedy zobaczył nadjeżdżający samochód, odruchowo spojrzął na zegarek. Zarejestrował, że ma osiemnaście minut spóźnienia.

Podszedł do stolika. Dwa razy głęboko odetchnął. Potem przyłożył zwinięty banknot do dolnego końca kreski, nachylił się i wciągnął proszek do nosa. Błona śluzowa zapiekła.

Zwilżył śliną czubek palca, zebrał nim resztki proszku i wtarł w dziąsła. Poczłł gorki smak. Zadzwoił dzwonek do drzwi.

Przysził ci sami dwaj mormoni co zawsze. Jeden niski, drugi wysoki. Obaj w garniturach jak ze szkółki niedzielnej. Ale u obydwu na grzbiety dłoni wypelzały tatuaże. Wygladało to wręcz komicznie.

Dali mu paczkę. Pół kilograma, podłużny kształt przypominający kiełbasę, idealnie mieszczący się w metalowym uchwycie walizki na kółkach. Musiał tylko wyjąć paczkę po wylądowaniu na Suvarnabhumi i zostawić ją pod wyściółką w głębi szafki pilotów w kokpicie. Więcej już jej nie oglądał. Dalszym ciągiem zajmował się najwyraźniej personel naziemny.

Kiedy Mister Small i Mister Big pojawili się z propozycją przewożenia paczek do Bangkoku, zabrzmiało to jak absurd. Nie było przecież na świecie miejsca, w którym detaliczna cena narkotyków byłaby wyższa niż w Oslo, więc po co eksport? Nie pytał, wiedział, że i tak nie uzyska odpowiedzi, więc trudno. Powiedział jednak, że za przemyt heroiny do Tajlandii grozi kara śmierci, i zażądał więcej pieniędzy.

Zaczęli się śmiać. Najpierw ten mały. Potem wysoki. Tord pomyślał sobie wtedy, że być może krótsze nerwy powodują szybszą reakcję. Może właśnie dlatego kokpity w myśliwcach są tak niskie, żeby wykluczyć długoplecych i wolno myślących pilotów.

Mały wyjaśnił Tordowi swoim twardym, brzmiącym z rosyjska angielskim, że to wcale nie heroina, tylko coś zupełnie nowego. Tak nowego, że nie ma jeszcze przepisu prawa, który by tego zakazywał. Ale kiedy Tord Schultz spytał, dlaczego zatem dozwoloną substancję trzeba przemycać, zaśmiali się jeszcze głośniej. Kazali mu się zamknąć i tylko odpowiedzieć: „tak” czy „nie”.

Tord Schultz odpowiedział „tak”. Jednocześnie przyszła mu do głowy inna myśl. Jakie konsekwencje miałyby „nie”?

Było to sześć takich lotów temu.

Popatrzył na paczkę. Kilka razy miał ochotę nasmarować płynem do mycia naczyń prezerwatywy i torebki na mrożonki, których tamci używali jako opakowań, ale ktoś mu powiedział, że psy wyszkolone do wykrywania narkotyków potrafią rozdzielać zapachy i nie namąci im się we łbie taką prostą sztuczką. Najważniejsza jest szczelność plastiku.

Czekał. Nic się nie działo. Chrząknął.

– *Oh, I almost forgot* – powiedział Mister Small. – *Yesterday's delivery...*

Sięgnął pod marynarkę i wyszczerzył się złośliwie. Może to wcale nie była złośliwość, tylko takie poczucie humoru z bloku wschodniego. Tord miał ochotę uderzyć, dmuchnąć mu

w twarz dymem papierosa bez filtra, splunąć w oko dwunastoletnią whisky. Humor z bloku wschodniego. Mruknął jednak tylko „Thank you”, przyjmując kopertę. W palcach wydawała się cienka. To muszą być banknoty o dużych nominałach.

Później znów stanął przy oknie i patrzył, jak samochód znika w ciemności, a jego warkot zagłusza boeing 737. A może 600. W każdym razie NG. Bardziej ochrypły na wyższej skali niż stare klasyki. Spojrzał na własne odbicie w szybie.

Tak, przyjął kopertę i miał zamiar dalej je przyjmować. Przyjmować wszystko, co życie rzucało mu w twarz. Nie był bowiem Donaldem Draperem. Nie był Chuckiem Yeagerem ani Neilem Armstrongiem. Był Tordem Schultzem. Długopłecym szoferem z długami. I problemem kokainowym. Powinien...

Myśli zagłuszył kolejny samolot.

Przekłete dzwony! Widzisz tych ludzi, tato? Wszystkich tych tak zwanych najbliższych, którzy już stoją nad moją trumną i wylewają nade mną krokodyle łzy. Zasmucone gęby, które mówią: „Ależ Gusto, nie mogłeś się po prostu nauczyć być taki jak my?”. Nie, cholerni samolubni hipokryci! Nie mogłem! Nie mogłem być taki jak moja przybrana matka, głupia do potęgi, rozpieszczona, z pustą głową, wśród kwiatów, gdzie wszystko jest śliczne, jeśli tylko czyta się właściwą książkę, słucha właściwego guru, je fuckings zdrowe zioła. A jeśli ktoś robił dziurę w tej niby-mądrości, którą sobie kupiła, zawsze grała tą samą kartą: „Zobacz, jak urządziliśmy ten świat, wojny, niesprawiedliwość, ludzie już nieumiejący żyć w harmonii ze sobą”. Trzy rzeczy, bejbi. Po pierwsze: wojna, niesprawiedliwość i dysharmonia to stan naturalny. Po drugie: to właśnie ty jesteś najmniej harmonijną osobą ze wszystkich w naszej małej paskudnej rodzinie. Pragnęłaś jedynie tej miłości, której ci odmówiono, a olewałaś tę, którą dostałaś. Sorry, Rolf, Stein i Irene, ale ona miała w sercu miejsce tylko dla mnie. Przez co punkt trzeci jest jeszcze zabawniejszy: nigdy cię nie kochałem, bejbi, bez względu na to, jak bardzo według ciebie na to zasługiwałaś. Nazywałem cię mamą, bo tobie sprawiało to przyjemność, a mnie upraszczało życie. Zrobiłem to, co zrobiłem, dlatego że mi na to pozwoliłaś, bo nie mogłem się powstrzymać. Bo właśnie taki jestem.

Rolf. Ty w każdym razie nie prosieś, żebym nazywał cię tatą. Naprawdę próbowałeś mnie kochać. Nie zdołałeś jednak oszukać natury, zrozumiałaś, że również ty mocniej kochasz krew z twojej krwi i kość z twojej kości, Steina i Irene. Kiedy mówiłem innym, że jesteście „moimi przybranymi rodzicami”, widziałem zraniony wyraz twarzy mamy. I twoją nienawiść. Nie dlatego, że „przybrani rodzice” umniejszali was do jedynej funkcji, jaką spełnialiście w

moim życiu. Po prostu ranilem kobietę, którą ty z niepojętego powodu kochałeś. Sądzę bowiem, że byłeś dostatecznie uczciwy, by zobaczyć siebie takim, jakim ja cię widziałem. Kogoś, kto w jakimś momencie życia, odurzony własnym idealizmem, podjął się wykarmienia podrzutka, ale prędko się przekonał, że rachunek wychodzi na minus. Że miesięczne sumy, jakie ci płacili za opiekę, nie wystarczają na pokrycie faktycznych wydatków. Kiedy odkryłeś, że jestem kukulczym jajem. Że pożeram wszystko. Wszystko, co kochasz. Wszystkich, których kochasz. Powinieneś zrozumieć to wcześniej i wyrzucić mnie z gniazda, Rolf. Ty pierwszy zorientowałeś się, że kradnę. Na początku był tylko stukoronowy banknot. Nie przyznałem się. Powiedziałem, że dostałem od mamy. „Prawda, mamó? Dałaś mi”, a „mama” z wahaniem skinęła głową, ze łzami w oczach przyznała, że całkiem o tym zapomniała. Następnym razem było to już tysiąc koron. Z szuflady twojego biurka. Z pieniędzy przeznaczonych na nasze wakacje, tak mówiłeś. Powiedziałem: „Ja chcę mieć wakacje od was”. Wtedy pierwszy raz mnie uderzyłeś. Coś jakby w tobie pękło, bo dalej biłeś. Już wówczas byłem od ciebie wyższy i mocniej zbudowany, ale nigdy nie umiałem się bić. A przynajmniej nie w taki sposób. Pięściami, używając mięśni. Biłem się w inny sposób, w ten, który się wygrywa. Ale ty dalej biłeś, już zaciśniętą pięścią. Zrozumiałem dlaczego. Chciałeś mi zniszczyć twarz. Odebrać mi władzę. Ale kobieta, którą nazywałem mamą, stanęła między nami. Wtedy to powiedziałaś. To słowo. Złodziej. Miałaś rację. Ale to oznaczało również, że będę musiał cię zniszczyć, mały człowieczku.

Stein. Milczący starszy brat. Pierwszy, który rozpoznał kukułkę po piórkach, ale był na tyle bystry, że umiał zachować dystans. Mądry, pracowity, inteligentny odludek, który, gdy tylko mógł, uciekał do miasteczka studenckiego najdalej, jak się dało. Próbował namówić Irene, ukochaną młodszą siostrę, żeby z nim pojechała. Uważał, że mogłaby dokończyć liceum tam, w fuckings Trondheim, że dobrze by jej zrobiło wyrwanie się z Oslo. Ale mama sprzeciwiła się ewakuacji Irene. Przecież o niczym nie wiedziała, nie chciała wiedzieć.

Irene. Śliczna, cudowna, piegowata, delikatna Irene. Byłaś za dobra dla tego świata. Byłaś wszystkim, czym nie byłem ja. A mimo to mnie kochałaś. Kochałabyś mnie, gdybyś wiedziała? Kochałabyś mnie, gdybyś wiedziała, że zacząłem się pieprzyć z twoją matką, już kiedy miałem piętnaście lat? Że rznąłem twoją pijaną czerwonym winem, popłakującą matkę, że brałem ją od tyłu pod drzwiami toalety, piwnicy albo kuchni, szepcząc jej do ucha „mamo”, ponieważ oboje nas to podniecało? Że dawała mi pieniądze, że kryła mnie, kiedy coś się działo, powtarzała, że tylko mnie wypożycza, dopóki sama nie zrobi się stara i brzydka, a ja nie poznam jakiejś miłej dziewczyny. A kiedy mówiłem: „Ale mamó, przecież ty jesteś stara i brzydka”, obracała moje słowa w żart i błagała o jeszcze.

Tego dnia, gdy zadzwoniłem do mojego przybranego ojca do pracy i poprosiłem, żeby przyszedł do domu o trzeciej, bo muszę mu powiedzieć coś ważnego, wciąż miałem siniaki od jego pięści i kopniaków. Drzwi wejściowe zostawiłem uchylone, żeby nie usłyszała jego przyjścia. Szeptalem jej do ucha to, co lubiła słyszeć, żeby zagłuszyć jego kroki.

Zobaczyłem jego odbicie w kuchennym oknie, kiedy stanął w drzwiach.

Wyprowadził się dzień później. Irene i Stein dowiedzieli się tylko, że rodzicom ostatnio nie najlepiej się układa, więc postanowili na jakiś czas się rozstać. Irene była zdruzgotana. Steina w jego miasteczku studenckim nie udało się złapać przez telefon, ale odpowiedział SMS-em. „Przykra sprawa. Gdzie mam być w święta?”

Irene nie przestawała płakać. Kochała mnie. Oczywiście zamierzała mnie szukać. Szukać Złodzieja.

Kościelny dzwon wybija piąte uderzenie. W ławkach płacz i pociąganie nosami. Kokaina. Awans aż do nieba. Wynajmij sobie mieszkanie w centrum, w zachodniej dzielnicy, zarejestruj je na jakiegoś ćpuna za działką w zamian za wykorzystanie jego nazwiska i sprzedawaj w niewielkich ilościach na schodach, na klatce albo w bramie. Podkręcaj ceny w miarę, jak będą się czuć bezpieczniej. Ci od koki zapłacą każdą cenę za bezpieczeństwo. Wspinaj się do góry, wysuwaj naprzód, rzuć narkotyki, stań się kimś. Nie umieraj w jakiejś norze, jak jakiś przeklęty przegrany. Pastor chrząka. „Jesteśmy tu, aby wspominać Gusta Hanssena”.

Czyjś głos z tyłu: „Zło-zło-złodzieja”.

Jąkanie Tutu, który tam siedzi w kurtce motocyklowej i w chustce na głowie. A jeszcze dalej popiskiwanie psa. Rufus. Kochany wierny Rufus. Wróciliście tutaj? A może to ja już tam przyszedłem?

Tord Schultz położył walizkę Samsonite na taśmie biegnącej do maszyny prześwietlającej, przy której stał uśmiechnięty strażnik ochrony.

– Nie rozumiem, dlaczego pozwalasz wcisnąć sobie taki rozkład – powiedziała stewardesa. – Bangkok dwa razy w tygodniu?

– Sam o to prosiłem. – Tord przeszedł przez bramkę. Ktoś ze związków zawodowych powiedział, że załogi powinny strajkować przeciwko kilkukrotnej w ciągu dnia ekspozycji na promieniowanie. Ponoć jakieś badania w Stanach Zjednoczonych wykazały, że wśród pilotów i personelu pokładowego jest procentowo więcej zgonów na raka niż wśród reszty społeczeństwa. Ale zagrzewający do strajku nie wspomnieli przy tej okazji, że również

średnia życia w tej grupie jest wyższa. Ludzie lotnictwa umierali na raka, bo nie bardzo mieli na co umrzeć. Wiedli najbezpieczniejsze życie na świecie. Najnudniejsze.

– Chcesz tyle latać?

– Jestem pilotem i lubię latać – skłamał Tord, zdjął walizkę, wysunął rączkę i ruszył.

Stewardesa szybko go dogoniła. Stukot jej obcasów po posadzce z szarego marmuru Antique Foncé, jakim wyłożono Port Lotniczy Oslo, niemal zagłuszył szum głosów unoszących się pod sklepienie z drewnianych belek i stali. Nie zdołał jednak, niestety, zagłuszyć zadanego szeptem pytania:

– To dlatego, że ona odeszła, Tord? Masz za dużo czasu i nie umiesz inaczej go wypełnić? Nie chce ci się siedzieć w domu i...

– Po prostu potrzebuję pieniędzy za nadgodziny – przerwał jej. Przynajmniej to nie było jednoznacznym kłamstwem.

– Bo ja rozumiem, jak się czujesz. Chyba wiesz, że zimą się rozwiodłam.

– Oczywiście – odparł Tord, który nie miał nawet pojęcia, że w ogóle była mężatką. Zerknął na nią przelotnie. Pięćdziesiątka? Ciekawe, jak wygląda rano bez makijażu i fluidu. Wyblakła stewardesa z wyblakłym marzeniem stewardesy. Był pewien, że nigdy z nią nie spał, a już na pewno nie od przodu. Czyj to był stały żart? Któregoś ze starych pilotów. Któregoś z pilotów myśliwców o spojrzeniu „*whisky on the rocks*, a w oczach błękit nieba”. Jeden z tych, którzy zdążyli przejść na emeryturę, zanim ich status roztrzaskał się o ziemię. Tord przyspieszył, kiedy weszli w korytarz prowadzący do biura odpraw załóg. Stewardesa się zadyszała, wciąż jednak dotrzymywała mu kroku. Ale jeśli uda mu się utrzymać to tempo, może zabraknie jej tchu na dalszą konwersację.

– Posłuchaj, Tord. Skoro mamy *stay over* w Bangkoku, może moglibyśmy...

Ziewnął głośno. I bardziej wyczuł, niż zobaczył, że ją uraził. Wciąż czuł się trochę wstawiony po wczorajszym wieczorze, bo po wyjściu mormonów wciągnął kreskę i wypił jeszcze trochę wódki. Oczywiście nie tyle, że nie przeszedłby badań na zawartość promili, ale wystarczająco, by już się przejmował walką ze snem podczas jedenastu godzin w powietrzu.

– Spójrz! – zawołała tym idiotycznym tonem glissando, jakiego używają kobiety, gdy uważają, że coś jest wyjątkowo, niewiarygodnie, wzruszająco słodkie.

Spojrzał.

I zobaczył, jak idzie w ich stronę. Nieduży, beżowo-brązowy długouchy pies o smutnych oczach, z zapalem merdający ogonem. Springer spaniel. Prowadziła go kobieta o kolorze włosów podobnym do jego sierści, z dużymi kolczykami, przepraszającym półuśmiechem i łagodnymi piwnymi oczami.

– Prawda, że śliczny? – rozległ się szczebiot.

– Owszem – odparł Tord z gruzem w głosie.

Pies w przelocie wetknął nos w krocze idącego przed nim pilota. Mężczyzna odwrócił się do nich z lekko uniesioną brwią i krzywym uśmiechem, który pewnie miał być trochę chłopięcy, frywolny. Tord nie był jednak w stanie prześledzić jego toku myślenia. Nie potrafił skupić się na cudzych myślach. Trzymał się swoich.

Pieskowi uszyto malutką żółtą kamizelkę, taką samą jaką miała na sobie kobieta z kolczykami. Na obu widniał napis „CŁO. CUSTOMS”.

Zbliżali się, dzieliło ich już zaledwie pięć metrów.

To nie będzie problem. Nie może być żadnego problemu. Narkotyki są zapakowane w prezerwatywy i podwójne torebki na mrożonki. Nie przedrze się ani jedna cząsteczka zapachu. Po prostu się uśmiechaj. Rozluźnij się i uśmiechaj. Nie za dużo i nie za mało.

Tord odwrócił się do ćwierkającego głosu, który mu towarzyszył, jak gdyby słowa, które do niego dochodziły, wymagały ogromnego skupienia.

– Przepraszam.

Wyminęli już psa, więc Tord dalej szedł przed siebie.

– Przepraszam! – Głos zabrzmiał teraz ostrzej.

Tord patrzył przed siebie. Do drzwi biura odpraw załóg pozostało nie więcej niż dziesięć metrów. Bezpieczeństwo. Dziesięć kroków. *Home free.*

– *Excuse me, sir!*

Siedem kroków.

– Jej chyba chodzi o ciebie, Tord?

– Słucham? – Tord się zatrzymał. Musiał się zatrzymać. Spojrzał do tyłu ze zdziwieniem, które – miał nadzieję – nie wyglądało na udawane. Kobieta w żółtej kamizelce szła w jego stronę.

– Pies pana wskazał.

– Doprawdy? – Tord spojrział na psiaka. W jaki sposób, zadał sobie pytanie w myślach. Pies jak szalony merdał ogonem, jak gdyby Tord był jego nowym towarzyszem zabaw. Jak? Dwie torebki na mrożonki i prezerwatywa. Jak?

– To oznacza, że musimy pana sprawdzić. Proszę ze mną.

Oczy kobiety wciąż patrzyły łagodnie, ale w jej słowach nie było żadnego znaku zapytania. W tej samej chwili zorientował się jak. Już miał sięgnąć do identyfikatora na piersi. Kokaina.

Zapomniał wytrzeć kartę po posiekaniu ostatniej kreski. Na pewno chodzi właśnie o

to.

Ale to przecież tylko kilka ziarenek. Będzie mógł się wytłumaczyć, że pożyczył komuś identyfikator na jakiejś imprezie. Nie to było teraz jego największym problemem. Walizka. Zostanie przeszukana. Jako pilot ćwiczył i powtarzał procedury awaryjne tak często, że działał wręcz automatycznie. Właśnie o to chodziło, żeby nawet gdy ogarnie cię panika, postąpić właśnie tak. Kiedy mózg w braku innych rozkazów uciekał się do tego, do procedury awaryjnej. Tyle razy wyobrażał sobie podobną sytuację: celnika, który każe mu iść za sobą. Myślał o tym, co powinien zrobić. Ćwiczył to w duchu.

Odwrócił się do stewardesy ze zrezygnowanym uśmiechem i zdążył jeszcze rzucić okiem na jej identyfikator z nazwiskiem.

– No widzisz, Kristin, wskazał mnie. Zajmiesz się moim bagażem?

– Walizka pójdzie z nami – oświadczyła celniczka.

Tord Schultz się odwrócił.

– Powiedziała pani, zdaje się, że pies wskazał mnie, a nie walizkę.

– Owszem, ale...

– W tej walizce są dokumenty samolotu, które pozostała załoga musi przejrzeć. Chyba że chce pani wziąć na siebie odpowiedzialność za opóźnienie pełnego airbusa trzysta czterdzieści do Bangkoku. – Poczul, że dosłownie się nadał. Wypełnił płuca powietrzem i wypiął pierś obciążoną mundurem. – Jeśli stracimy okienko czasowe startu, może to oznaczać wielogodzinne opóźnienie i straty dla linii lotniczych liczone w setkach tysięcy koron.

– Obawiam się, że przepisy...

– Trzystu czterdziestu dwóch pasażerów – przerwał jej Schultz. – Wśród nich wiele dzieci. – Miał nadzieję, że celniczka słyszy poważną troskę kapitana samolotu, a nie narastającą panikę przemytnika narkotyków.

Celniczka pogłaskała psa po łebku i popatrzyła na Torda.

Wygląda jak gospodyni domowa, pomyślał. Kobieta z dzieckiem dźwigająca odpowiedzialność. Kobieta, która powinna zrozumieć jego sytuację.

– Walizka idzie z nami – powtórzyła celniczka.

Gdzieś z tyłu pojawił się jeszcze jeden celnik. Stanął na szeroko rozstawionych nogach z rękami założonymi na piersi.

– No to miejmy to już za sobą – westchnął Tord.

Szef Wydziału Zabójstw w Komendzie Okręgowej Policji w Oslo Gunnar Hagen odchylił się na krzesło, uważnie obserwując mężczyznę w lnianym garniturze. Minęły trzy lata. Zszyte rozdarcie na twarzy było wtedy ogniste czerwone, a ten człowiek wydawał się skończony. Teraz jednak jego były podwładny wyglądał całkiem świeżo. Przybyło mu kilka bardzo potrzebnych kilogramów, a ramiona wypełniały garnitur. Garnitur. Hagen zapamiętał śledczego w dzinsach i ciężkich butach, nigdy inaczej. Drugim niezwykłym elementem była naklejka na klapie marynarki świadcząca o tym, że mężczyzna nie jest pracownikiem, tylko gościem: HARRY HOLE. Ale pozycja na krzesło pozostała taka sama. Bardziej leżąca niż siedząca.

– Lepiej wyglądasz – stwierdził Hagen.

– Twoje miasto też – odparł Harry z niezapalonym papierosem w ustach.

– Tak uważasz?

– Ładna Opera. Trochę mniej ćpunów na ulicach.

Hagen wstał i podszedł do okna. Z szóstego piętra Budynku Policji widział nową dzielnicę Oslo, Bjørvika, skąpaną w blasku słońca. Odnawianie szło pełną parą. Burzenie zakończono.

– W ostatnim roku nastąpił wyraźny spadek liczby zgonów z przedawkowania. Ceny poszły w górę, konsumpcja w dół. A Rada Miasta dostała to, o co błagała. Oslo nie jest już na szczycie liczby przedawkowań w Europie.

– *Happy days are here again.* – Harry założył ręce za głowę. Wyglądał tak, jakby zaraz miał się zsunąć z krzesła.

Hagen westchnął.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, co cię sprowadza do Oslo, Harry.

– Nie?

– Nie. A konkretnie tu, do Wydziału Zabójstw.

– To takie niezwykle odwiedzać dawnych kolegów?

– Dla innych, bardziej towarzyskich ludzi – nie.

– No cóż. – Harry przygryzł filtr camela. – Moje zajęcie to zabójstwa.

– Byłe zajęcie, to chyba masz na myśli?

– Pozwól, że powiem to inaczej. Mój zawód, moja specjalizacja to zabójstwa. Wciąż jedyna rzecz, na której się znam.

– No i czego chcesz?

– Wykonywać swój zawód. Badać zabójstwa.

Hagen uniósł brew.

– Chcesz znów dla mnie pracować?

– Czemu nie? Jeśli dobrze pamiętam, byłem jednym z najlepszych.

– Pomyłka. – Hagen znów odwrócił się do okna. – Byłeś najlepszy. – Ciszej dodał: – Najgorszy i najlepszy.

– Chętnie zajmę się jednym z zabójstw narkomanów.

Hagen zaśmiał się cierpko.

– Którym? Mamy cztery na przestrzeni zaledwie półrocza. W żadnym nie posunęliśmy się zbyt daleko.

– Gusto Hanssen.

Hagen nie odpowiedział. Wciąż przyglądał się ludziom opalającym się na trawniku. Skojarzenia nasunęły mu się automatycznie. Oszuści wyłudzający ubezpieczenia. Złodzieje. Terrorysty. Dlaczego widział w nich właśnie to, zamiast ciężko pracujących ludzi, którzy mieli kilka zasłużonych godzin wolnego na odpoczynek we wrześniowym słońcu? Policyjne spojrzenie. Policyjna ślepotą. Słuchał Harry'ego jednym uchem.

– Gusto Hanssen, dziewiętnaście lat. Znany policji. Diler i narkoman. Znalezione martwy w mieszkaniu przy Hausmanns gate dwunastego lipca. Wykrwawił się po strzale w pierś.

Hagen roześmiał się twardo.

– Dlaczego chcesz się zająć jedynym zabójstwem, które zostało wyjaśnione?

– Mam wrażenie, że wiesz.

– Owszem – westchnął Hagen. – Ale gdybym cię znów zatrudnił, zleciłbym ci coś innego. Sprawę wywiadowcy.

– Ja chcę to.

– Jest około stu powodów, dla których ta sprawa nigdy nie zostanie przydzielona tobie, Harry.

– Mianowicie?

Hagen odwrócił się do niego.

– Wystarczy wymienić pierwszy. Sprawa już jest wyjaśniona.

– A poza tym?

– Nie my ją prowadzimy, tylko KRIPOS. Nie mam wolnych etatów, przeciwnie, próbuję je zredukować. Nie jesteś bezstronny. Mam mówić dalej?

– Mhm. Gdzie on jest?

Hagen wskazał na okno. Na trawnik i dalej. Na budynek z szarego kamienia widoczny za pożółkłymi liśćmi lip.

– Czyli w Botsen – powiedział Harry. – W areszcie.

– Na razie.

– Zakaz widzeń?

– Kto cię wytropił w Hongkongu i opowiedział ci o tej sprawie? Czy to...

– Nie – przerwał Harry.

– Więc?

– Więc.

– Kto?

– Może przeczytałem o tym w Internecie.

– Raczej nie – odparł Hagen ze sztucznym uśmiechem i martwymi oczami. – Sprawa była w gazetach jeden dzień i natychmiast poszła w zapomnienie. Nie padło żadne nazwisko. Zaledwie krótka notka o tym, że odurzony ćpun zastrzelił innego ćpuna z powodu narkotyków. Nic ciekawego dla nikogo. Nic, co by wyróżniło tę sprawę.

– Oprócz tego, że to byli dwaj nastoletni chłopcy – zauważył Harry. – Dziewiętnaście lat. I osiemnaście. – Głos mu się zmienił.

Hagen wzruszył ramionami.

– Dostatecznie dorośli, żeby zabić. Dostatecznie dorośli, żeby umrzeć. Po Nowym Roku dostaliby powołanie do wojska.

– Możesz mi załatwić rozmowę z nim?

– Kto cię powiadomił, Harry?

Harry potarł kark.

– Przyjaciel z Wydziału Techniki Kryminalistycznej.

Hagen się uśmiechnął i tym razem uśmiech dotarł do oczu.

– Kochany jesteś, Harry. Z tego, co wiem, masz zaledwie troje przyjaciół w policji. Bjørna Holma z techniki. I Beate Lønn, też z techniki. Więc które z nich?

– Beate. Załatwisz mi widzenie?

Hagen przysiadł na brzegu biurka i przyglądał się Harry'emu. Spojrzał na telefon.

– Pod jednym warunkiem, Harry. Obiecasz, że będziesz się trzymał na kilometry od tej sprawy. Między nami a KRIPOS panuje teraz pokój i przyjaźń. Nie potrzeba mi kolejnych awantur.

Harry uśmiechnął się kwaśno. Zsunął się z krzesła na tyle, że mógł studiować sprzączkę paska.

– To znaczy, że ty i król KRIPOS jesteście wzorowymi przyjaciółmi?

– Mikael Bellman już nie pracuje w KRIPOS – odparł Hagen. – Stąd ten pokój i

przyjaźń.

– Pozbyli się tego psychopaty? *Happy days...*

– Przeciwnie. – Hagen zaśmiał się głucho. – Bellman jest bardziej obecny niż kiedykolwiek. Jest tutaj. U nas.

– O cholera! Tu, w Wydziale Zabójstw?

– Niech Bóg broni! Ale już od ponad roku kieruje Pezetem.

– Widzę, że pojawiły się jakieś nowe skrótory.

– Przystępczość Zorganizowana. Połączono kilka dawnych wydziałów. Napady, przemyt i handel ludźmi, narkotyki. Wszystkim tym zajmuje się teraz Pezet. Największy wydział kryminalny. Ponad dwustu pracowników.

– Mhm. Więcej niż miał w KRIPOS.

– Mimo to pensję to pensję ma mniejszą. A wiesz, co to oznacza, kiedy ludzie tacy jak on przyjmują gorzej płatną posadę?

– Że chodzi im o władzę – powiedział Harry.

– To on zaprowadził porządek na rynku narkotyków. Dobra praca wywiadowcza. Aresztowania i naloty. Jest mniej gangów i nie ma żadnej wewnętrznej wojny. Liczba zgonów z przedawkowania, jak już mówiłem, spada. A Bellman idzie w górę. – Hagen wskazał palcem na sufit. – Chłopak ma ambitne plany.

– Ja też – odparł Harry, wstając. – Chcę iść do więzienia. Liczę, że kiedy tam dotrę, w recepcji będzie na mnie czekało zezwolenie na widzenie.

– Pod warunkiem że zawarliśmy umowę.

– Jasne. – Harry złapał wyciągniętą rękę byłego szefa, potrząsnął nią dwa razy i ruszył w stronę drzwi. Hongkong okazał się świetną szkołą łgania. Słyszał, że Hagen już podnosi słuchawkę telefonu, ale zanim przekroczył próg, jeszcze się odwrócił.

– Kim jest albo był ten trzeci?

– Słucham? – Hagen patrzył na aparat telefoniczny, wstukując numer ciężkim palcem.

– Trzeci przyjaciel, którego miałem w policji.

Naczelnik wydziału Gunnar Hagen przyłożył słuchawkę do ucha, ze znużeniem popatrzył na Harry'ego i westchnął:

– A jak myślisz? – I zaraz: – Halo? Mówi Hagen. Chciałem prosić o zezwolenie na widzenie. Tak? – Nakrył słuchawkę dłonią. – To się załatwi. Teraz jest lunch, ale możesz się stawić o dwunastej.

Harry uśmiechnął się, samymi ustami powiedział „dziękuję” i cicho zamknął za sobą drzwi.

Tord Schultz stanął w kabinie, zapiał spodnie i włożył kurtkę. Zrezygnowali ze sprawdzania otworów ciała. Celniczka – ta sama, która go zatrzymała – czekała pod drzwiami. Stała tam jak członek komisji przy składaniu ustnego egzaminu.

– Dziękuję za współpracę – powiedziała i ręką wskazała wyjście.

Tord przypuszczał, że odbyły się długie dyskusje na temat mówienia „przepraszam” za każdym razem, gdy pies wskaże obecność narkotyków, których się jednak nie znajduje. Osoba zatrzymana, spóźniona, podejrzewana i upokorzona z pewnością uważałaby, że przeprosiny są jak najbardziej na miejscu. Ale czy należy przeproszać za to, że się wykonuje swoją pracę? To, że pies wskazuje ludzi, którzy nie mieli przy sobie narkotyków, zdarzało się nieustannie, więc przeprosiny byłyby chyba połowicznie przyznaniem się do błędów w procedurze, do zawodnego systemu. Z drugiej jednak strony po dystynkcjach powinni się zorientować, że jest kapitanem. Nie ma trzech pasków, nie jest jednym z pięćdziesięcioletnich nieudaczników tkwiących na prawych fotelach jako nawigatorzy, ponieważ narobili sobie w życiu bałaganu. On – przeciwnie, miał cztery paski, świadczące, że utrzymuje porządek, kontrolę, że panuje nad sytuacją i nad życiem. Że należy do lotniskowej kasty braminów. Kapitan lotnictwa to osoba, która powinna usłyszeć przeprosiny od celniczki z dwiema belkami. Wszystko jedno, czy to jest na miejscu, czy nie.

– Oczywiście, dobrze wiedzieć, że ktoś czuwa – powiedział Tord, rozglądając się za walizką na kółkach. W najgorszym razie ją sprawdzili, ale pies przecież nie zareagował na bagaż, a metalowe dekle otaczające paczkę i tak nie przepuszczały żadnego prześwietlenia.

– Walizka zaraz będzie – poinformowała celniczka.

Na parę sekund zapadła cisza, podczas której tylko na siebie patrzyli.

Rozwódka, pomyślał Tord.

W tej samej chwili pojawił się inny celnik.

– Ta pańska walizka... – zaczął.

Tord to po nim widział. Poznał po oczach. Poczuł grudę rosnącą w żołądku, powiększającą się i naciskającą na przetyk. Jak to możliwe? Jak?

– Wyjęliśmy wszystko, co pan w niej miał, i zważyliśmy ją – wyjaśnił celnik. – Pusta walizka Samsonite Aspire GRT dwadzieścia sześć cali waży pięć przecinek osiem kilograma. Pańska waży sześć i trzy. Wy tłumaczy nam pan dlaczego?

Celnik był profesjonalistą i nie uśmiechał się otwarcie, ale mimo wszystko Tord Schultz dostrzegł w jego oczach błysk triumfu. Celnik nachylił się odrobinę i ściszone głosem dokończył:

– Czy my to mamy zrobić?

Harry wyszedł na ulicę po lunchu zjedzonym w Olympen. Starą, lekko zapyziałą restaurację, którą pamiętał, odnowiono, robiąc z niej zachodnią wersję knajpy ze wschodniej dzielnicy i ozdabiając wielkimi malowidłami przedstawiającymi dawne dzielnice robotnicze Oslo. Owszem, było pięknie. Żyrandole i w ogóle. Nawet makreli nie dało się nic zarzucić, tylko że to nie było... Olympen.

Zapalił papierosa, przeszedł przez park rozciągający się między Budynkiem Policji a starymi szarymi murami Więzienia Oslo. Minał mężczyznę, który wieszał na drzewie postrzępiony czerwony plakat, wbijając zszywki w korę stuletniej, będącej pod ochroną lipy. Nie zwracał uwagi na fakt, że popełnia poważne wykroczenie, w dodatku jest w pełni widoczny ze wszystkich frontowych okien budynku, w którym mieściło się największe zgromadzenie policjantów w Norwegii. Harry zatrzymał się na chwilę. Nie po to, by zapobiec łamaniu prawa, tylko żeby przyjrzeć się plakatowi. Anonsował koncert Russian Amcar Club w Sardines. Harry przypomniał sobie dawno rozwiązany zespół i zamknięty bar. Olympen. Harry Hole. To najwyraźniej rok zmartwychwstań. Już miał iść dalej, gdy za plecami usłyszał drżący głos.

– Masz violinę?

Odwrócił się. Facet stojący za nim był ubrany w nową czystą kurtkę marki G-Star. Garbił się, jak gdyby w plecy wiał mu ostry wiatr, i miał nieomylnie przygięte przez heroinę kolana. Harry już miał odpowiedzieć, gdy nagle zrozumiał, że tamten zwracał się do mężczyzny wieszającego plakat, który jednak odszedł bez słowa. Nowe skróty nazw wydziałów, nowa terminologia narkotyków. Stare zespoły, stare kluby.

Zbudowaną w połowie dziewiętnastego wieku fasadę Więzienia Oslo, nazywanego powszechnie Botsen, tworzyło wciśnięte między dwa większe skrzydła wejście, które Harry'emu zawsze kojarzyło się z aresztantem między dwoma policjantami. Wcisnął dzwonek przy drzwiach, spojrzął w obiektyw kamery, usłyszał cichy brzęczyk i pchnął drzwi. W środku czekał już umundurowany strażnik. Poprowadził go na górę po schodach przez drzwi, za którymi siedzieli jeszcze dwaj inni strażnicy, i wpuścił do podłużnego, pozbawionego okien pokoju widzeń. Harry bywał tu już wcześniej. To właśnie tutaj osadzeni spotykali się z najbliższymi. Podjęto na wpuść serdeczną próbę wprowadzenia tu czegoś na kształt domowej przytulności. Harry usiadł na krześle, unikając kanapy, w pełni świadom, co się tu działo w ciągu tych kilku minut, jakie pozwalano więźniom spędzać z żoną czy dziewczyną.

Czekał. Zorientował się, że wciąż ma przyklejoną do kłapy marynarki nalepkę umożliwiającą wstęp do Budynku Policji, zerwał ją więc i schował do kieszeni. Sen o wąskim

korytarzu i lawinie był gorszy niż zazwyczaj. Śnieg go przysypał, wdzierając się do ust. Ale nie dlatego serce mu teraz waliło. Czyżby z nadziei? A może ze strachu?

Nie zdążył tego rozstrzygnąć, bo drzwi się otworzyły.

– Dwadzieścia minut – oświadczył strażnik i zatrzasnął drzwi, wychodząc.

Chłopiec, który został w środku, był tak zmieniony, że mało brakowało, a Harry krzyknąłby, że to pomyłka, że wcale nie o niego chodzi. Był ubrany w dżinsy marki Diesel i czarną bluzę z kapturem reklamującą Machine Head, jednak Harry prędko zrozumiał, że nie chodzi o starą płytę Deep Purple, tylko o jakąś nową – według jego rachuby czasu – grupę heavymetalową. Heavy metal był, rzecz jasna, poszlaką, ale dowód stanowiły oczy i kości policzkowe, a konkretniej – piwne oczy i mocno zarysowane kości policzkowe, jak u Rakel. Wprost szokowało, jak bardzo stali się do siebie podobni. Co prawda, chłopak nie odziedziczył po matce urody, na to miał zbyt wypukłe czoło, co przydawało mu ponurego, niemal agresywnego wyglądu. Podkreślała to jeszcze gładka grzywka, zapewne spadek po ojcu z Moskwy, alkoholiku, którego chłopiec nigdy dobrze nie poznał, bo miał zaledwie kilka lat, kiedy Rakel zabrała go z Rosji do Oslo. Gdzie później poznała Harry'ego.

Rakel.

Wielka miłość jego życia. Tak zwyczajnie. I tak trudno.

Oleg. Bystry, poważny Oleg. Na tyle zamknięty w sobie, że nie otwierał się przed nikim innym oprócz Harry'ego. Harry nigdy nie mówił o tym Rakel, ale wiedział lepiej niż ona, co Oleg myśli, czuje i czego pragnie. Oleg i on grający w Tetris na jego gameboyu. Obaj równie przejęci, by pokonać tego drugiego na punkty. Oleg i on na lodowisku Valle Hovin w czasach, kiedy chłopiec zamierzał zostać długodystansowym panczenistą i rzeczywiście miał do tego talent. Oleg, który uśmiechał się cierpliwie i wyrozumiale za każdym razem, gdy Harry obiecywał, że jesienią pojedą do Londynu zobaczyć, jak Tottenham gra na White Hart Lane. Oleg, któremu czasami, kiedy robiło się już późno, był senny i tracił koncentrację, wrywało się skierowane do Harry'ego „tato”. Minęło prawie pięć lat, odkąd Harry widział go ostatnio. Pięć lat, odkąd Rakel zabrała go z Oslo jak najdalej od strasznych wspomnień o Bałwanie – od świata przemocy i zabójstw, który był światem Harry'ego.

Stał teraz przy drzwiach, miał osiemnaście lat, był prawie dorosły i patrzył na niego z obojętną miną. A w każdym razie z miną, której Harry nie był w stanie odczytać.

– Cześć – powiedział Harry.

Cholera, nie skontrolował wcześniej głosu i z gardła wydobył mu się jedynie ochrypły szept. Chłopiec pomyśli sobie jeszcze, że jest bliski płaczu albo co. Żeby rozkojarzyć jego albo siebie, Harry wyciągnął paczkę cameli i włożył do ust papierosa.

Podniósł głowę i zobaczył, że Oleg się zaczerwienił. Widać też było jego gniew. Wybuchowy gniew, który po prostu się pojawiał. Sprawiał, że oczy ciemniały, a żyły na szyi i czole nabrzmiwały, napięte i drżące jak struny gitary.

– Spokojnie, nie zapalę go. – Harry ruchem głowy wskazał tabliczkę na ścianie z napisem „Palenie wzbronione”.

– To mama, tak? – Głos też był starszy. I niewyraźny z wściekłości.

– Co?

– To ona po ciebie posłała.

– Nie, wcale nie.

– Oczywiście, że tak.

– Nie, Oleg. Ona nawet nie wie, że jestem w kraju.

– Kłamiesz. Kłamiesz jak zwykle.

Harry spojrzał na niego zdziwiony.

– Jak zwykle?

– Tak jak kłamałeś, że zawsze będziesz przy nas i tak dalej. Ale teraz jest już za późno, więc możesz sobie wracać do... do żółtków.

– Oleg! Posłuchaj mnie!

– Nie! Nie będę cię słuchał. Nie masz po co tu przychodzić. Nie możesz się teraz bawić w ojca, rozumiesz?

Harry zobaczył, że chłopiec ciężko przełyka ślinę. Złość w oczach na chwilę się cofnęła, ale zaraz napłynęła kolejną falą.

– Jesteś już dla nas nikim. Po prostu się pojawiłeś, byłeś z nami przez kilka lat i... – Oleg spróbował pstryknąć, ale palce mu się ześlizgnęły, nie wydając żadnego odgłosu. – Zniknąłeś.

– To nieprawda, Oleg, i dobrze o tym wiesz. – Harry słyszał, że jego głos brzmi teraz spokojnie i pewnie, okazując, że jest bezpieczny jak lotniskowiec, ale supeł w żołądku mówił mu, że jest zupełnie inaczej. Przywykł do wyzwisk podczas przesłuchań – ani trochę go nie denerwowały, a czasami wręcz uspokajały, pozwalając myśleć bardziej analitycznie. Ale z tym chłopcem, z Olegiem... W tej sytuacji nie potrafił się bronić.

Oleg zaśmiał się gorzko.

– Zobaczymy, czy to ciągle działa? – Przycisnął środkowy palec do kciuka. – Znikaj... Już!

Harry podniósł ręce do góry.

– Oleg...

Chłopak pokręcił głową, jednocześnie waląc ręką w drzwi za plecami. Nie odrywał przy tym od Harry'ego mrocznego spojrzenia.

– Wyprowadźcie mnie stąd! Koniec wizyty. Zabierzcie mnie stąd!

Harry siedział na krześle jeszcze przez kilka sekund po jego wyjściu.

Wreszcie podniósł się z wysiłkiem i wyszedł na słońce zalewające park wokół Botsen.

Stanął i popatrzył na Budynek Policji. Zastanowił się. W końcu ruszył w stronę budynku aresztu. Ale w połowie drogi się zatrzymał, oparł plecami o pień drzewa i zacisnął powieki tak mocno, że poczuł, jak wyciska z nich wodę. Cholerne światło. Cholerny *jet lag*.

5

– Chcę je tylko zobaczyć, niczego nie zabiorę – powiedział Harry.

Dyżurny za kontuarem w izbie przyjęć aresztu spojrzął na niego z wahaniem.

– Daj spokój, przecież mnie znasz, Tore!

Nilsen chrząknął.

– Pewnie. Ale czy ty znów tu pracujesz, Hole?

Harry wzruszył ramionami.

Nilsen przekrzywił głowę i przymknął powieki, widoczne pozostały jedynie połówki źrenic, jakby próbował precedzić wrażenia, odseparować to, co nieważne. A to, co zostało, wypadło najwyraźniej na korzyść Harry'ego.

Dyżurny ciężko westchnął, wyszedł na chwilę i wrócił z szufladą. Tak jak Harry przypuszczał, przedmioty znalezione w chwili zatrzymania przy Olegu pozostały tu, gdzie go przyprowadzono. Zazwyczaj dopiero gdy jasne się stawało, że zatrzymany posiedzi w areszcie dłużej niż kilka dni, przenoszono go do Botsen, ale rzeczy nie zawsze przekazywano do bloku D.

Harry zajrzał do szuflady. Drobne monety. Breloczek z dwoma kluczami, trupią czaszką i znaczkiem zespołu Slayer. Scyzoryk armii szwajcarskiej z jednym ostrzem, kilkoma śrubokrętami i kluczami imbusowymi. Jednorazowa zapalniczka. I jeszcze jedna rzecz. Harry'emu zadrżało serce, chociaż już o tym wiedział. Gazety nazwały to przecież „porachunkami w środowisku narkomanów”.

Jednorazowa strzykawka, wciąż w plastikowym opakowaniu.

– To już wszystko? – spytał Harry, sięgając po klucze. Przyglądał się im, trzymając nisko pod kontuarem. Nilsenowi najwyraźniej nie spodobało się, że znalazły się poza zasięgiem jego wzroku, więc wychylił się do przodu.

– Nie było portfela? – spytał Harry. – Żadnej karty do bankomatu? Ani legitymacji?

– Wygląda na to, że nie.

– Mógłbyś sprawdzić spis?

Nilsen sięgnął po formularz, który leżał złożony na dnie szuflady. Starannie włożył okulary i popatrzył na kartkę.

– Była jeszcze komórka, ale ją zabrali. Pewnie chcieli sprawdzić, czy nie dzwonił do

ofiary.

– Mhm – mruknął Harry. – Coś jeszcze?

– A co by to miało być? – Nilsen powiódł wzrokiem po formularzu i stwierdził, że wszystko się zgadza. – Nie, nic więcej nie było.

– Dzięki, to tyle. Dziękuję za pomoc, Nilsen.

Strażnik wolno kiwnął głową. Nie zdjął okularów.

– Klucze.

– A tak, oczywiście. – Harry odłożył je do szuflady. Zobaczył, że Nilsen sprawdza, czy wciąż są dwa.

Harry opuścił areszt, przeszedł przez parking na Åkebergveien i ruszył dalej w stronę Tøyen i Urtegata. Małe Karaczi. Nieduże sklepy kolonialne, hidżaby i starzy mężczyźni na plastikowych krzesłach pod swoimi kafejkami. I Latarnia Morska. Prowadzony przez Armię Zbawienia lokal dla miejskich wyrzutków. Harry wiedział, że w dni takie jak ten panuje tu spokój, ale wraz z nadejściem zimowych chłódów przy stolikach wewnątrz robi się tłoczno. Kawa i świeże kanapki. Zestaw czystych ubrań, modnych w zeszłym roku. Niebieskie adidasy z magazynów wojska. W ambulatorium na piętrze opatrzenie najświeższych ran z narkotykowych pól bitewnych. Albo w sytuacji naprawdę złej zastrzyk z witaminy B. Harry przez chwilę się zastanawiał, czy nie zajrzeć do Martine. Może wciąż tu pracowała. Poeta napisał, że po wielkiej miłości przychodzą małe. Ona była jedną z małych. Ale nie dlatego chciał się z nią zobaczyć. Oslo to nieduże miasto i ciężko uzależnieni zbierali się albo tutaj, albo w kawiarni kościelnej Misji Miejskiej przy Skippergata. Niewykluczone, że Martine znała Gusta Hanssena. I Olega.

Harry postanowił jednak działać w odpowiedniej kolejności, więc znów ruszył przed siebie. Przeszedł na drugi brzeg rzeki Aker. Z mostu popatrzył w dół. Brunatny ściek, który zapamiętał z dzieciństwa, był czysty jak górski strumień. Podobno pływały w nim pstrągi. Wzdłuż ścieżek po obu stronach rzeki stali handlarze narkotyków. Wszystko było nowe, nic się nie zmieniło.

Ruszył w górę Hausmanns gate. Minął kościół Świętego Jakuba. Szukał numerów domów. Tabliczka z nazwą Teatru Okrucieństwa. Pomazane sprejem drzwi z nasmarowaną buźką. Parcela z uprzątniętymi zgliszczami. W końcu doszedł. Typowa dla Oslo kamienica zbudowana w dziewiętnastym wieku. Błada, zwyczajna, trzypiętrowa. Harry pchnął bramę. Otwarta. Prowadziła bezpośrednio na klatkę schodową. Cuchnęło szczynami i śmieciami.

Idąc na górę, patrzył na zaszyfrowane wiadomości zostawione przez grafficiarzy na ścianach. Rozchwiana poręcz. Drzwi ze śladami po wyłamanych zamkach i z nowymi,

mocniejszymi zamkami. Na drugim piętrze się zatrzymał. Wiedział, że odnalazł miejsce zdarzenia. Na drzwiach rozciągnięto na krzyż biało-pomarańczową taśmę.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął dwa klucze, które zdjął z breloczka Olega, kiedy Nilsen studiował formularz. Nie był pewien, którymi ze swoich dwóch kluczy zastąpił tamte, ale Hongkong nie należał do miejsc, w których trudno dorobić nowe.

Jeden klucz był marki Abus. Harry wiedział, że pasuje do kłódki, ponieważ kiedyś sam taką kupił. Ale drugi klucz to Ving. Harry wsunął go w zamek, klucz wszedł jednak tylko do połowy. Spróbował go wepchnąć i obrócić.

Niech to szlag!

Wyjął z kieszeni komórkę. Numer był wpisany w kontaktach jako B. Ponieważ na liście miał zaledwie osiem numerów, jedna litera wystarczyła.

– Lønn.

W Beate Lønn, oprócz tego, że była jednym z dwóch najlepszych techników kryminalistycznych, z jakimi pracował, Harry najbardziej lubił to, że zawsze ograniczała informacje do rzeczy najistotniejszych i tak jak on sam nigdy nie opóźniała sprawy zbędnymi słowami.

– Cześć, Beate. Stoję na Hausmanns gate.

– Na miejscu zdarzenia? Czego tam...

– Nie mogę wejść. Masz klucz?

– Czy ja mam klucz?

– Jesteś szefem tej wytwórni szczotek, prawda?

– Oczywiście, że mam klucz. I nie zamierzam ci go dawać.

– Jasne, że nie. Ale musisz drugi raz sprawdzić parę rzeczy na miejscu. Pamiętam, pewien guru mawiał, że w sprawach zabójstw technik kryminalistyczny nigdy nie będzie za dokładny.

– Zapamiętałeś?

Była to pierwsza rzecz, którą Beate powtarzała wszystkim podwładnym.

– Mógłbym chyba wejść i zobaczyć, jak pracujesz.

– Harry...

– Niczego nie będę dotykał.

Milczenie. Harry wiedział, że ją wykorzystuje. Była kimś więcej niż koleżanką z pracy. Była przyjaciółką. Ale co najważniejsze, sama była matką.

Beate westchnęła.

– Za dwadzieścia.

Dodawanie „minut” uznała za zbędne.

Dla niego zbędne było „dziękuję”, więc po prostu się rozłączył.

Sierżant Truls Berntsen szedł korytarzem Wydziału Zwalczenia Przeszłości Zorganizowanej wolnym krokiem. Doświadczenie mówiło mu, że im wolniej idzie, tym szybciej mija czas. A jeśli czegoś miał w nadmiarze, to właśnie czasu. W pokoju czekało na niego wysiedziane krzesło i nieduże biurko z plikiem raportów ułożonych głównie dla pozorów. Komputera używał przede wszystkim do surfowania w sieci, ale nawet to stało się nudne po zastrzeniu zakazu dostępu do niektórych stron. A ponieważ pracował z narkotykami, a nie w obyczajówce, mógł mieć problemy z wytłumaczeniem się z wyboru. Sierżant Berntsen uważnie przeniósł pełną po brzegi filiżankę z kawą przez próg i postawił ją na biurku. Uważał, żeby nie zalać ulotki reklamującej nowe Audi Q5. Dwieście jedenaście koni. SUV, a jednak auto pakistańców. Bandyckie. W każdym razie łatwo ucieka policyjnym starym Volvo V70. Samochód, który pokazuje, że jesteś kimś. Pokaże jej, tej w nowym domu na Høyenhall, że jest kimś. A nie nikim.

Utrzymać status quo, na tym trzeba się teraz skupić. Zabezpieczyć osiągnięte zyski. Tak określił to Mikael na ogólnym zebraniu w poniedziałek, co oznaczało: zadbać, żeby nie pojawili się nowi aktorzy. „Zawsze możemy sobie życzyć, żeby na ulicach było jeszcze mniej narkotyków, ale skoro udało nam się osiągnąć tak wiele w ciągu tak krótkiego czasu, istnieje groźba fali wstecznej. Pamiętajcie o Hitlerze i Moskwie. Nie należy gryźć więcej, niż można przełknąć”.

Sierżant Berntsen wiedział mniej więcej, co to oznacza. Długie dni z nogami na stole.

Niekiedy tęsknił za pracą w KRIPOS. Zabójstwa różniły się od narkotyków. Tam nie było polityki. Chodziło o wyjaśnienie sprawy i kropka. Ale to sam Mikael Bellman nalegał, żeby Truls przeniósł się razem z nim z Bryn do Budynku Policji. Powiedział, że potrzebuje sprzymierzeńca we wrogim kraju. Kogoś, komu może zaufać. Kto ubezpieczy flankę, gdyby został zaatakowany. Nie dodał: tak jak Mikael krył flankę Trulsa. Ostatnio w tej sprawie aresztowanego chłopaka, którego Truls potraktował trochę zbyt ostro i bardzo nieszczęśliwie się złożyło, że uszkodził mu wzrok. Mikael, rzecz jasna, nawrzeszczał na starego kumpla, stwierdził, że nienawidzi przemocy w policji, że takie rzeczy w jego wydziale są wykluczone i że niestety jego obowiązkiem jako szefa jest powiadomienie o zajściu prawniczki ze Sztabu Strategicznego, żeby oceniła, czy sprawę należy przekazać dalej jednostce specjalnej. Ale chłopak prawie w pełni odzyskał wzrok, Mikael zawarł ugodę z jego adwokatem, akt

oskarżenia o posiadanie narkotyków wycofano i później nic już się nie działo.

Tak samo jak nic nie działo się tutaj.

Długie dni i nogi na stole.

Truls Berntsen właśnie je tam kładł, ale najpierw, tak jak co najmniej dziesięć razy w ciągu dnia, wyrztał przez okno na park wokół Botsen i na starą lipę rosnącą pośrodku alei prowadzącej do więzienia.

Wreszcie się pojawił.

Czerwony plakat.

Poczuł mrowienie na skórze i przyspieszający puls. Humor mu się poprawił.

Szybko wstał, włożył kurtkę. Kawy nie wypił.

Kościół Staromiejski dzieliło od Budynku Policji osiem minut szybkiego marszu. Truls Berntsen poszedł w dół Oslo gate do Minneparken, skręcił w lewo przez most Dyvekesbro i znalazł się w sercu Oslo, tam gdzie zaczęła się historia miasta. Sam kościół był skromny, wręcz ubogi, bez wymyślnych zdobień jak w tej neoromantycznej świątyni w pobliżu Budynku Policji. Ale z Kościołem Staromiejskim wiązały się ciekawsze historie, w każdym razie jeśli prawdą była choćby połowa z tego, co w dzieciństwie na Manglerud Trulsowi opowiadała babcia. Rodzina Berntsenów przeprowadziła się ze zrujnowanej kamienicy w centrum na podmiejskie osiedle Manglerud, kiedy zbudowano je pod koniec lat pięćdziesiątych. Ale, o dziwo, to oni – prawdziwa rodzina z Oslo, z trzema pokoleniami robotników – czuli się tu obco, mimo że w blokach zbudowanych pod miastem w tym czasie mieszkali głównie chłopi, którzy wyrwali się ze wsi, i przybysze z daleka, którzy przyjechali do stolicy rozpocząć tu nowe życie. A kiedy ojciec Trulsa w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych po pijaku wyklinał wszystko i wszystkich, Truls uciekał albo do swojego najlepszego – i jedyne go – kolegi Mikaela, albo do babci na Stare Miasto. To ona opowiedziała mu, że Kościół Staromiejski zbudowano na pozostałościach klasztoru z trzynastego wieku, w którym zamknęli się mnisi podczas epidemii czarnej śmierci, żeby się modlić. Ludzie zarzucali im, że chcieli w ten sposób uniknąć chrześcijańskiego obowiązku niesienia pomocy dotkniętym zarazą bliźnim. Mnisi przez kilka miesięcy nie dawali znaków życia, a kiedy w końcu kanclerz zdecydował, że drzwi do klasztoru należy wyważyć, zastano tam szczury na uczcie, jaką sobie urządziły na gnijących trupach mnichów. Ulubioną historią babci na dobranoc była ta o zbudowanym na tej samej parceli domu wariatów, którego mieszkańcy uskarżali się na krążące nocą po korytarzach postacie w opończach. A kiedy jakiś

szalenciec zerwał jednej z postaci kaptur z głowy, ukazała się nadgryziona przez szczury blada twarz z pustymi oczodołami. Truls jednak najbardziej lubił opowieść o Askildzie Dobrouchem, który żył i umarł ponad sto lat temu, w czasach, gdy Kristiania była prawdziwym miastem, a na parceli stał już dawno wybudowany kościół. Powiadano, że duch Askilda krążył po cmentarzu i przyległych ulicach, po porcie i po Kvadraturen. Nigdy jednak nie zapuszczał się dalej, bo miał tylko jedną nogę i musiał zdążyć na powrót do swojego grobu przed świtem. Tak mówiła babcia. Askild Dobrouchy stracił nogę pod kołem wozu strażackiego, kiedy miał trzy lata. Ale babcia twierdziła, że nadano mu przezwisko od wielkich uszu, co można pewnie przypisać humorowi ze wschodnich rejonów miasta. Czasy były ciężkie i dla dziecka z jedną nogą wybór przyszłego zawodu był dość oczywisty. Askild Dobrouchy zebrał i stał się znaną postacią w rozwijającej się stolicy, kiedy kulejąc, wędrował po ulicach, zawsze uśmiechnięty i skory do pogawędki. Zwłaszcza z tymi, którzy przesiadywali w knajpach w ciągu dnia i nie mieli pracy, lecz nagle nie wiadomo skąd trafiały się im pieniądze. Trochę skapywało również Askildowi. Czasami jednak potrzebował ich więcej, a wtedy zdarzało się, że mówił policji, kto ostatnio tak szczerze go obdarował. I kto, pijąc już czwarty kieliszek i nie zwracając uwagi na bezbronno zebraka kulącego się nieopodal, opowiadał, jak to został zaproszony do współudziału we włamaniu do jubilera przy Karl Johans gate albo napaści na handlarza drewnem w Drammen. Rozniosło się, że uszy Askilda Dobrouchego rzeczywiście dobrze słyszą, a po rozbiciu gangu z Kampen żebrak gdzieś przepadł. Nigdy nie odnaleziono go żywego, lecz w pewien zimowy ranek na schodach Kościoła Staromiejskiego leżała inwalidzka kula i para obciętych uszu. Askilda pogrzebano gdzieś na cmentarzu, ale ponieważ pastor nie odmówił nad nim błogosławieństw, nieszczęsny kaleka nie mógł zaznać spokoju. Po zapadnięciu ciemności na uliczkach Kvadraturen lub w pobliżu kościoła można było natknąć się na kuternogę, który z czapką mocno naciągniętą na uszy zebrał o dwa øre¹. Tego, kto nie dał mu jałmużny, mogło spotkać nieszczęście.

O tym opowiadała babcia. A mimo to Truls Berntsen zignorował chudego smągłego zebraka w cudzoziemskim stroju, siedzącego w bramie cmentarza. Poszedł prosto żwirową alejką między grobami, licząc w myślach – przy siódmym skręcił w lewo, potem przy trzecim w prawo i zatrzymał się przy czwartym nagrobku.

Nazwisko wyryte w kamieniu nic mu nie powiedziało. A.C. Rud. Zmarł, kiedy Norwegia odzyskała niepodległość, w 1905 roku, w wieku zaledwie dwudziestu dziewięciu lat. Ale oprócz daty urodzin i śmierci na nagrobku nie było żadnego tekstu. Brakowało tak

¹ Øre – norweski grosz, 1/100 korony, również ucho (przyp. tłum.).

powszechnej komendy „Spoczywaj w pokoju” czy innych skrzydlatych słów. Może dlatego, że kamień był tak mały, iż żaden dłuższy tekst by się na nim nie zmieścił. Ale pusta szorstka powierzchnia nagrobka sprawiała, że idealnie się nadawał do wypisywania na nim wiadomości kredą. Pewnie dlatego został wybrany.

ZLTHUSCRD TO RNBU.

Truls odszyfrował tekst według prostego kodu, którym się posługiwali, żeby jakiś przypadkowy przechodzień nie zdołał od razu odczytać napisu. Zaczął od tyłu. Przeczytał dwie ostatnie litery, przeskoczył o trzy w lewo, przeczytał dwie, o trzy w lewo.

BURN TORD SCHULTZ.

Truls Berntsen nie zapisał tego. Nie musiał. Miał dobrą pamięć do nazwisk, które przybliżały go do skórzanych siedzeń audi Q5 2.0 z sześciostopniową ręczną skrzynią biegów. Rękawem kurtki starł litery.

Żebrak podniósł głowę, kiedy Truls mijał go przy wyjściu. Przeklęte psie oczy. Na pewno ma pod sobą całą armię zebraków i wypasione auto. Mercedesa, oni chyba tę markę lubią? Rozdzwoniły się kościelne dzwony. W cenniku było napisane, że Q5 kosztuje 666 tysięcy. Czy tkwiło w tym jakieś ukryte przesłanie, Trulsa Berntsen nie obchodziło nic a nic.

– Dobrze wyglądasz – stwierdziła Beate, wsuwając klucz w zamek. – I masz palec.

– *Made in Hong Kong.* – Harry potarł tytanowy kikut.

Przyglądał się drobnej bladej kobiecie. Krótkie jasne włosy związała gumką. Skórę miała tak cienką i przezroczystą, że na skroni przeświecała siateczka naczyń krwionośnych. Przypominała mu bezwłose laboratoryjne myszy, na których prowadzono badania nad rakiem.

– Pisałaś, że Oleg przebywał pod tym adresem, więc myślałem, że wejdę z jego kluczami.

– Zamek, który zastaliśmy w tych drzwiach, pewnie od dawna był zepsuty. – Beate pchnęła drzwi. – Można było po prostu wejść. Założyliśmy nowy, żeby żaden ćpun nie mógł tu wrócić i zanieczyścić miejsca zdarzenia.

Harry pokiwał głową. Historia typowa dla narkomańskich nor, w których ćpuny mieszkały na kupie. Żaden zamek nie miał sensu, niszczone je od razu. Po pierwsze, inne ćpuny włamywały się do lokali, których mieszkańcy mogli przechowywać narkotyki. Po drugie, nawet ci, którzy mieszkali razem, okradali się wzajemnie.

Beate rozchyliła taśmy policyjne i Harry weisnął się do środka. Na wieszakach w przedpokoju wisały ubrania i plastikowe torby. Zajrzał do jednej. Tekturki od papierowych

ręczników, puste puszki po piwie, mokry T-shirt z plamami krwi, kawałki metalowej folii, zgniecione opakowanie po papierosach. Pod jedną ścianą ułożono w stos puste pudełka po pizzy Grandiosie, krzywą wieżę sięgającą niemal pod sufit. Stały tam również cztery identyczne białe wieszaki na ubrania. Harry wzdrygnął się, kiedy uświadomił sobie, że to oczywiście kradziony towar, którego nie dało się sprzedać. Pamiętał, że w mieszkaniach ćpunów stale natykali się na dziwaczne rzeczy, które ktoś w jakimś momencie miał nadzieję zamienić na pieniądze. W jednym miejscu znaleźli w torbie sześćdziesiąt beznadziejnie niemodnych telefonów komórkowych, gdzie indziej w kuchni parkował częściowo zdemontowany motorower.

Harry przeszedł do pokoju. Czuć tu było zapach potu, zalanego piwem drewna, mokrego popiołu i czegoś słodkiego, czego Harry nie potrafił zidentyfikować. W pokoju nie było żadnych mebli w konwencjonalnym rozumieniu. Na podłodze leżały cztery materace ułożone jakby wokół ogniska. Z jednego sterczał wygięty pod kątem dziewięćdziesięciu stopni stalowy drut rozgałęziający się w kształt litery Y. Prostokąt drewnianej podłogi między materacami poczerniał od śladów przypalania wokół pustej popielniczki. Harry przypuszczał, że opróżnili ją technicy.

– Ofiara leżała tu, przy ścianie – wyjaśniła Beate. Stała w drzwiach między pokojem a kuchnią, wskazując miejsce.

Harry, zamiast wejść do kuchni, zatrzymał się w progu i zaczął się rozglądać. Taki miał zwyczaj. Działał inaczej niż technicy kryminalistyczni, którzy przeszukiwali miejsce zdarzenia, zaczynając od zewnątrz, od przeczesywania peryferii, i stopniowo, kawałek po kawałeczku zbliżając się do ciała. Nie był to również zwyczaj policjanta z dyżuru kryminalnego czy z radiowozu patrolowego, pierwszego na miejscu zdarzenia, świadomego, że może zanieczyścić je własnymi śladami, a w najgorszym razie zniszczyć to, co dało się tu znaleźć. Tutaj ludzie Beate już dawno wykonali swoją robotę. To był zwyczaj śledczego. Kogoś, kto wie, że będzie miał tylko jedną taką szansę, by odebrane przez zmysły pierwsze wrażenia, wręcz niezauważalne szczegóły, ułożyły własną opowieść, pozostawiły swoje odciski, zanim cement całkiem zakrzepnie. Musiało to nastąpić teraz, dopóki władzy nie przejęła analityczna część mózgu, ta domagająca się gotowych, sformułowanych faktów. Harry zwykle definiował intuicję jako proste logiczne konkluzje oparte na dostarczanych przez zmysły informacjach, których mózg nie był w stanie albo nie zdążył przetłumaczyć na zwykły język.

Ale to miejsce zdarzenia nie powiedziało mu zbyt wiele o zabójstwie, do którego tu doszło.

Wszystko, co widział, słyszał i czuł, mówiło o miejscu, w którym zbierali się mniej lub bardziej przypadkowi mieszkańcy – szprycowali się tu, spali, z rzadka jedli, a po jakimś czasie znikali. Przenosili się do innej nory, do pokoju w pensjonacie, do parku, do kontenera, do śpiwora z taniego puchu, pod most albo pod pomalowane na biało drewno pod nagrobkiem.

– Oczywiście musieliśmy tu sporo uprzątnąć – odezwała się Beate, jakby w odpowiedzi na pytanie, którego nie musiał zadawać. – Wszędzie były śmieci.

– A dragi? – spytał Harry.

– Plastikowa torebka z niewygotowanymi kłębkami waty – odparła Beate.

Harry pokiwał głową. Najbardziej udręczone i splukane ćpuny zwykle zbierały kłębki waty używane do oczyszczania narkotyków przy wciąganiu ich do strzykawki. W deszczowy dzień watki można było wygotować, a wywar wstrzyknąć w żyłę.

– Plus kondom ze spermą i heroiną.

– Tak? – Harry uniósł brew. – Coś godnego polecenia?

Dostrzegł rumieniec, będący jakby echem tamtej nieśmiałej świeżo wykształconej policjantki, którą wciąż pamiętał.

– Resztki heroiny, dokładnie mówiąc. Przypuszczamy, że prezerwatywy używano do przechowywania, a dopiero po zużyciu narkotyku kondom wykorzystano do tego, do czego został przeznaczony.

– Mhm – mruknął Harry. – Ćpuny, które używają środków antykoncepcyjnych. Nieźle. Wiecie już, kto...

– DNA pobrane z zewnątrz i ze środka prezerwatywy pasowało do dwójki znajomych. Do pewnej Szwedki i niejakiego Ivara Torsteinsena, nazywanego przez wywiadowców Hivarem.

– Hivar?

– Groził policjantom brudnymi strzykawkami, twierdząc, że jest nosicielem.

– Mhm. To tłumaczy kondom. Jakaś przemoc w kartotece?

– Nie. Za to setki włamań i przypadków posiadania i sprzedaży narkotyków. I jeszcze raz czy dwa przemyt do kraju.

– Ale groził zabójstwem za pomocą igły?

Beate westchnęła i zrobiła krok do środka pokoju, stając plecami do Harry'ego.

– Przykro mi, ale w tej sprawie nie ma żadnych luźnych wątków, Harry.

– Oleg nigdy nie skrzywdził nawet muchy, Beate. On po prostu nie ma tego w sobie.

Natomiast ten Hivar...

– Hivar i ta dziewczyna ze Szwecji... można powiedzieć, że zostali wyłączeni ze sprawy.

Harry patrzył na jej plecy.

– Nie żyją?

– Przedawkowanie. Tydzień przed zabójstwem. Marna heroina zmieszana z fentanylem. Pewnie nie było ich stać na violinę.

Harry powiódł wzrokiem po ścianach. Większość ciężko uzależnionych narkomanów bez stałego miejsca zamieszkania miała jedno czy dwa miejsca, w których ukrywała narkotyki. Skrytki, gdzie mogli przechować coś na zapas. Czasami pieniądze. Ewentualnie inne rzeczy, których nie chcieli stracić. Noszenie tego przy sobie nie wchodziło w grę. Bezdomny ćpun musi dawać sobie w żyłę w miejscach publicznych i w momencie, gdy narkotyk zaczyna działać, staje się bezradną ofiarą sępów. Dlatego takie skrytki były święte. Przymulony zazwyczaj ćpun potrafił wykazać się taką energią i fantazją w umiejscowieniu skrytki, że nawet doświadczeni w przeszukaniach policjanci z psami nie dawali rady jej odnaleźć. Takiego schowka narkoman nigdy nikomu nie zdradzał, nawet najbliższemu przyjacielowi, ponieważ wiedział z własnego doświadczenia, że żaden żywy przyjaciel nigdy nie będzie mu bliższy niż kodeina, morfina czy heroina.

– Szukaliście skrytki?

Beate pokręciła głową.

– Dlaczego? – Harry już wiedział, że to głupie pytanie.

– Ponieważ prawdopodobnie musielibyśmy zrujnować całe mieszkanie, żeby znaleźć coś, co i tak nie miałooby znaczenia dla śledztwa – odpowiedziała cierpliwie Beate. – Ponieważ mamy ograniczone środki i musimy ustalać priorytety. I ponieważ mieliśmy niezbędne dowody.

Harry pokiwał głową. Zasłużył na taką odpowiedź.

– Jakie dowody? – spytał cicho.

– Przypuszczamy, że zabójca strzelał z tego miejsca, w którym teraz stoję. – Wśród techników zwyczajem było nieużywanie imion ani nazwisk. Beate wyciągnęła rękę przed siebie. – Z bliska. Mniej niż metr. Ślady prochu w ranach i wokół nich.

– Liczba mnoga?

– Dwa strzały.

Popatrzyła na niego przepaszającym spojrzeniem, które mówiło, że wie, co on myśli: oto znika możliwość przyjęcia linii obrony na podstawie twierdzenia, że strzał padł przez przypadek.

– Oba strzały w pierś. – Beate rozsunęła palec wskazujący i środkowy, przyłożyła je do bluzki z lewej strony, jakby w geście języka migowego. – Jeśli założymy, że i ofiara, i sprawca stali wyprostowani, a zabójca strzelał w naturalny sposób, rana wylotowa pierwszego strzału świadczy o tym, że sprawca miał od metra osiemdziesięciu do metra osiemdziesięciu pięciu wzrostu. Podejrzany ma metr osiemdziesiąt trzy.

Boże! Harry miał w oczach chłopca, który stał przy drzwiach w pokoju widzeń, a wydawało się, że ledwie wczoraj Oleg sięgał mu do piersi, kiedy bili się na niby.

Beate weszła do kuchni. Wskazała ścianę przy zapuszczonej kuchence.

– Kule wbiły się tu i tu, jak widzisz, co jest jednoznaczne z tym, że drugi strzał padł stosunkowo szybko po pierwszym, kiedy ofiara zaczęła się osuwać na ziemię. Pierwsza kula przebiła płuco, druga przeszła przez górną część klatki piersiowej i zahaczyła o łopatkę. Ofiara...

– Gusto Hanssen – powiedział Harry. Beate urwała, popatrzyła na niego, w końcu kiwnęła głową.

– Gusto Hanssen nie umarł natychmiast. Były ślady w kałuży krwi i krew na ubraniu świadczące, że poruszał się po tym, jak upadł. Ale nie mogło minąć dużo czasu.

– Rozumiem. A co... – Harry potarł ręką twarz. Czuł, że musi spróbować złapać kilka godzin snu. – ...co wiąże Olega z tym zabójstwem?

– Dwie osoby zadzwoniły do Centrali Operacyjnej trzy minuty przed dziewiątą wieczorem i powiedziały, że w kamienicy słychać było coś, co przypominało strzał. Jedna osoba dzwoniła z Møllergata po drugiej stronie skrzyżowania, druga z tej ulicy, z naprzeciwka.

Harry zmrużył oczy, patrząc na szare od brudu szyby wychodzące na Hausmanns gate.

– Nieźle się niesie jak na środek miasta.

– Pamiętaj, że to był lipiec, ciepły wieczór. Wszystkie okna otwarte, wakacje, prawie nic nie jeździ. Sąsiedzi zresztą już wcześniej próbowali nakłonić policję do zamknięcia tej nory, więc można powiedzieć, że próg zgłaszanego hałasu był niski. Funkcjonariusz z Centrali Operacyjnej kazał zachować spokój i obserwować kamienicę do przyjazdu patrolu. Od razu przekazano wiadomość dyżurowi kryminalnemu. Dwa radiowozy zjawiły się dwadzieścia po dziewiątej i ustawiły na zewnątrz w oczekiwaniu na kawalerię.

– Na Deltę?

– Włożenie hełmów i zbroi zawsze zabiera tym chłopakom trochę czasu. Później centrala przekazała patrolom, że sąsiedzi widzieli, jak jakiś chłopak wychodzi z bramy, okrąża budynek i kieruje się w stronę rzeki. Dwaj policjanci poszli więc nad rzekę i tam

znaleźli... – zawahała się, ale Harry ledwie dostrzegalnie skinął jej głową – ...Olega. Nie stawiał oporu. Był odurzony do tego stopnia, że nie wiedział, co się dzieje. Znaleźliśmy ślady prochu na jego prawej dłoni i przedramieniu.

– A broń?

– Ponieważ to niepopularny kaliber – Małakow dziewięć na osiemnaście milimetrów – nie ma zbyt wielu możliwości.

– No tak. Małakow, czyli ulubiony pistolet grup przestępczych w krajach postsowieckich. I FORT 12 używany przez policję na Ukrainie. Plus jeszcze kilka innych.

– Zgadza się. Na podłodze znaleźliśmy puste łuski z resztkami prochu. Proch do małakowa zawiera inną mieszankę saletry i siarki, używają też trochę spirytusu jak w prochu beziarkowym. Skład chemiczny prochu na łuskach i wokół rany wlotowej zgadzał się ze składem prochu na dłoni Olega.

– Mhm. A sama broń?

– Nieodnaleziona. Mieliśmy ludzi i nurków, którzy przeszukali teren wokół rzeki i samą rzekę – bez rezultatu. Ale to nie znaczy, że pistolet tam nie leży. Błoto i szlam... Sam wiesz.

– Wiem.

– Dwaj, którzy tu mieszkali, zeznali, że Oleg pokazywał pistolet i przechwalał się, że broń takiego typu ma rosyjska mafia. Żaden z nich nie zna się na broni, ale po pokazaniu im zdjęć około setki pistoletów obaj wskazali odesę. A do tego, jak na pewno wiesz, używa się...

Harry kiwnął głową. Naboje dziewięć na osiemnaście milimetrów Małakowa. A w dodatku nie można się pomylić. Kiedy pierwszy raz widział odesę, skojarzyła mu się z retrofuturystycznym pistoletem na okładce płyty Foo Fighters, jednego z wielu jego CD, które skończyły u Rakel i Olega.

– Zakładam, że to na wskroś solidni świadkowie, którzy mają jedynie niewielki problem z narkotykami.

Beate nie odpowiedziała. Nie musiała. Harry i tak wiedział, że ona wie, iż on po omacku szuka żdźbła trawy, którego dałoby się uchwycić.

– A badania krwi i moczu Olega? – spytał, obciągając rękawy marynarki, jakby akurat w tej chwili tak ważne było, żeby się nie podsuwały. – Co wykazały?

– Substancje czynne obecne w violinie. Oczywiście odurzenie może zostać potraktowane jako okoliczność łagodząca.

– Mhm. Zakładasz więc, że Oleg był pod wpływem narkotyków, zanim zastrzelił

Gusta. A co w takim razie z motywem?

Beate popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Z motywem? – powtórzyła.

Wiedział, co pomyślała. Czy można sobie wyobrazić, żeby narkoman zabił drugiego narkomana z innego powodu niż narkotyki?

– Skoro Oleg już był na haju, dlaczego miał kogoś zabijać? – spytał. – Zabójstwa narkotykowe są z reguły spontanicznym rozpaczliwym działaniem motywowanym potrzebą zażycia narkotyku albo początkiem odstawienia.

– Motyw to twoja działka – stwierdziła Beate. – Ja jestem technikiem.

Harry głęboko odetchnął.

– Okej. Coś jeszcze?

– Doszłam do wniosku, że będziesz chciał zobaczyć zdjęcia – powiedziała Beate i otworzyła cienką skórzaną teczkę.

Harry wziął od niej plik fotografii. Natychmiast rzuciło mu się w oczy niezwykle piękno Gusta. Nie umiał znaleźć na to innego słowa. Określenia „ładny” czy „przystojny” nie oddawały jego urody w dostatecznym stopniu. Nawet po śmierci, z zamkniętymi oczami, w koszuli przesiąkniętej krwią, Gusto Hanssen zachował trudną do zdefiniowania, ale bezdyskusyjną urodę młodego Elvisa Presleya. Ten typ, który przemawia zarówno do kobiet, jak i do mężczyzn, jak androgyniczne upiększenie wizerunków bóstw istniejące we wszystkich religiach. Przerzucił zdjęcia. Po pierwszych ujęciach całej postaci fotograf zrobił zbliżenia twarzy i ran.

– A co to jest? – spytał, wskazując zdjęcie prawej dłoni Gusta.

– Miał krew pod paznokciami. Pobraliśmy próbki, ale niestety się zniszczyły.

– Zniszczyły?

– Takie rzeczy się zdarzają, Harry.

– Nie w twoim wydziale.

– Krew uległa zniszczeniu w drodze na badania DNA w Instytucie Medycyny Sądowej. Właściwie aż tak bardzo to nas nie zestresowało. Krew była stosunkowo świeża, ale zakrzepła na tyle, by nie mieć żadnego związku z czasem zgonu. A ponieważ ofiara była narkomanem, to najprawdopodobniej jej własna krew. Ale...

– ...ale jeśli nie, to ciekawe byłoby się dowiedzieć, z kim się bił w dniu śmierci. Spójrz na te buty... – Harry pokazał Beate zdjęcie pełnej postaci. – Czy to nie Alberto Fasciani?

– Nie miałam pojęcia, że tak się znasz na butach, Harry.

– Produkuje je jeden z moich klientów w Hongkongu.

– Klientów? Co ty powiesz? A poza tym z tego, co wiem, oryginalne buty Fasciani produkowane są wyłącznie we Włoszech.

Harry wzruszył ramionami.

– Różnica jest niedostrzegalna. Ale jeśli to naprawdę Alberto Fasciani, to raczej nie pasują do reszty stylu. Wygląda na to, że dali mu je w Latarni Morskiej.

– Mogły zostać skradzione – stwierdziła Beate. – Gusto Hanssen miał ksywkę Złodziej. Słynął z tego, że kradł wszystko, co mu się nawinęło pod rękę. Przede wszystkim narkotyki. Krąży historia o tym, że ukradł w Szwecji emerytowanego psa do wykrywania narkotyków i używał go do wywąchiwania skrytek.

– Może znalazł skrytkę Olega – podsunął Harry. – Oleg mówił coś na przesłuchaniach?

– Milczy jak grób. Powiedział jedynie, że w głowie ma czarną dziurę. Nie pamięta nawet, żeby wtedy był w tym mieszkaniu.

– Może nie był.

– Znaleźliśmy jego DNA, Harry. Włosy, pot.

– Przecież on tu nocował i mieszkał.

– Na zwłokach, Harry.

Harry przez chwilę stał w milczeniu zapatrzony przed siebie.

Beate uniosła rękę, może po to, by położyć mu ją na ramieniu, ale zmieniła zdanie i ją opuściła.

– Rozmawiałeś z nim?

Harry pokręcił głową.

– Wyrzucił mnie.

– Bo się wstydzi.

– Na pewno.

– Ja naprawdę tak uważam. Jesteś jego wzorem. Upokarza go, że widzisz go w takiej sytuacji.

– Upokarza? Ja temu chłopczykowi wycierałem łzy i dmuchałem na podrapane kolana. Odpędzałem trolle i zostawiałem zapalone światło przy łóżku.

– Tego chłopczyka już nie ma, Harry. Dzisiejszy Oleg nie chce, żebyś mu pomagał. Ale chciałby być taki jak ty.

Harry tupnął nogą w deskę na podłodze, nie odrywając oczu od ściany.

– Ja nie jestem żadnym wzorem, Beate. To akurat zrozumiał.

– Harry...

– Idziemy nad rzekę?

Siergiej stał ze zwieszonymi rękami przed lustrem w mieszkaniu. Odsunął zabezpieczenie na bok i wcisnął przycisk zwalniający ostrze. Wskoczyło natychmiast i błysnęło w świetle. To był piękny nóż. Syberyjski nóż sprężynowy, „żelazo”, jak nazywali go urkowie, kasta kryminalistów na Syberii. Najlepsza kłująca broń na świecie. Smukła rękojeść z długim cienkim ostrzem. Zgodnie z tradycją młody otrzymywał taki nóż od starszego kryminalisty z rodziny, kiedy na to zasłużył. Lecz tradycje powoli zamierały. W dzisiejszych czasach noże się kupowało, kradło albo podrabiało. Ale akurat tę broń dostał od wuja. Według Andrieja ataman, zanim dał nóż Siergiejowi, trzymał go pod materacem. Na Syberii wierzono, że jeśli żelazo włoży się pod materac chorej osoby, wchłonie ono jej ból i cierpienie, a później przekaze temu, w czyje ciało się zagłębi. Inny spośród mitów, które urkowie tak lubili, mówił, że jeśli ktoś przywłaszczy sobie twoje żelazo, wkrótce dotknie go nieszczęście i śmierć. Ale dawne romantyczne tradycje i przesady powoli zanikały. Mimo to Siergiej przyjął podarunek z wielkim, może nawet przesadnym nabożeństwem. Dlaczego zresztą miałyby być inaczej? Wujowi zawdzięczał wszystko. To on wyciągnął go z tarapatów. Zdobył papiery umożliwiające Siergiejowi przyjazd do Norwegii, nawet załatwił mu robotę przy sprzątaniu samolotów w Porcie Lotniczym Oslo. Praca była nieźle płatna, może nawet prosta do załatwienia, z rodzaju tych, do jakich nie da się namówić Norwegów, bo wolą żyć z zasiłku. A mniejsze wyroki, jakie Siergiej dostał w Rosji, nie stanowiły problemu. Wuj z góry wyczyścił mu kartotekę. Siergiej ucałował więc niebieski pierścień swego dobroczyńcy, kiedy otrzymał podarunek. Musiał też przyznać, że nóż, który trzymał w ręku, był bardzo piękny. Ciemnobrązowa rękojeść z rogu jelenia szlachetnego z intarsją w kształcie prawosławnego krzyża w kolorze kości słoniowej.

Siergiej pchnął biodrem, tak jak się tego uczył. Czuł, że stoi pewnie, i zadał cios, prowadząc nóż do przodu i w górę. Wbił i wyciągnął. Wbił i wyciągnął. Szybko, ale nie na tyle szybko, by długie ostrze za każdym razem nie wchodziło głęboko, do samego końca.

Nóż musiał zostać użyty, ponieważ człowiek, którego miał zabić, był policjantem. A przy zabójstwie policjanta pościg zawsze jest bardziej intensywny, chodziło więc o to, by pozostawić jak najmniej śladów. Kule z pistoletu można powiązać z miejscami, bronią, osobami. Cięcie pozostawione przez gładkie czyste ostrze jest anonimowe. Rana kłuta nie jest również anonimowa, bo potrafi zdradzić długość i kształt ostrza, dlatego Andriej zalecał, by nie wbijać noża w serce, tylko przeciąć policjantowi tętnicę szyjną. Siergiej nigdy jeszcze nie

poderżnął nikomu gardła ani nie wbił noża w serce, a jedynie w udo – pewnemu Gruzinowi, który nie zrobił nic poza tym, że był Gruzinem. Dlatego przyszło mu do głowy, że powinien mieć coś, na czym mógłby trenować, coś żywego. Sąsiad Pakistańczyk miał trzy koty i codziennie rano, kiedy wychodził na klatkę, smród kocich szczyn świdrował w nosie.

Siergiej opuścił nóż. Stał ze zwieszoną głową, podnosząc oczy do góry, żeby móc zobaczyć swoje odbicie w lustrze. Wyglądał dobrze. Wytrenowany, groźny, niebezpieczny, gotowy. Jak z plakatu filmowego. Z tatuażu jasno będzie wynikać, że zabił policjanta.

Wyobraził sobie, że staje za policjantem. Postąpił krok do przodu, lewą ręką złapał go za włosy, odchylił mu głowę do tyłu. Przyłożył czubek noża do szyi z lewej strony, przebił skórę i przeciągnął ostrzem przez gardło, lekkim łukiem w kształcie półksiężyca. I już.

Serce pośle kaskadę krwi, ale po trzech uderzeniach krew przestanie tryskać. Mózg policjanta już nie będzie żył.

Potem trzeba złożyć nóż, wsunąć go do kieszeni i odejść. Szybko, ale nie za szybko. Nikomu nie patrzeć w oczy, gdyby byli tam inni ludzie. Wyjść i być wolnym.

Cofnął się o krok. Znów się wyprostował, wziął oddech. Wizualizował. Wypuścił powietrze. Krok do przodu. Dostrzegł błysk ostrza niczym w kosztownym klejnocie.

6

Beate i Harry wyszli na Hausmanns gate, skręcili w lewo, okrążyli róg kamienicy i minęli pogorzelnisko, na którym wśród ruin wciąż leżały pokryte sadzą kawałki szkła i spalone cegły. Za parcelą zarosniętą zbcze prowadziło w dół do rzeki. Harry zauważył, że na tyłach kamienicy nie było żadnych drzwi, więc z braku innej drogi ewakuacji z ostatniego piętra prowadziły na dół wąskie schodki przeciwpożarowe.

– Kto mieszka w sąsiednim mieszkaniu na tym samym piętrze? – spytał.

– Nikt – odparła Beate. – Puste biura. Lokale „Anarchisty”, niedużego magazynu, który...

– Wiem. To był nawet niezły fanzin. Ci ludzie siedzą teraz w redakcjach kulturalnych wielkich gazet. Te lokale były zamknięte?

– Drzwi wyłamano. Prawdopodobnie już od dawna stały otworem.

Harry spojrzął na Beate, która z pewną rezygnacją skinieniem głowy potwierdziła to, czego Harry nie musiał mówić: ktoś mógł być w mieszkaniu Olega i przez nikogo niezauważony wydostać się tą drogą. Źdźbło trawy.

Zeszli na ścieżkę biegnącą wzdłuż rzeki Aker. Harry stwierdził, że rzeka jest na tyle wąska, by chłopak mający niezłą siłę w rękach mógł przerzucić pistolet na drugi brzeg.

– Dopóki nie znaleźliście broni, z której... – zaczął.

– Oskarżyciel nie potrzebuje pistoletu, Harry.

Kiwnął głową. Proch na dłoni. Świadcowie, którzy widzieli, jak pokazywał pistolet. DNA na zwłokach.

Przed nimi oparci o zieloną metalową ławkę dwaj biali chłopcy w szarych rozpinanych bluzach z kapturami nachylili się do siebie i powłócząc nogami, ruszyli w dół ścieżką.

– Zdaje się, że dilerzy wciąż wyczuwają od ciebie zapach policjanta, Harry.

– Mhm. Myślałem, że tutaj tylko Marokańczycy sprzedają haszysz.

– Mają konkurencję. Kosowskich Albańczyków, Somalijszczyków, ludzi z Europy Wschodniej. Azylanci oferują cały wachlarz narkotyków. Speed, metamfetaminę, ecstasy, morfinę.

– I heroinę.

– W to akurat wątpię. W Oslo heroina jest prawie nie do zdobycia. Teraz liczy się

violina. A ją znajdziesz jedynie w okolicach Plata, chyba że masz ochotę wybrać się do Göteborga albo Kopenhagi, bo podobno ostatnio tam też się pojawiła.

– Ciągłe słyszę o tej violinie. Co to jest?

– Nowy syntetyczny narkotyk. Nie paraliżuje oddechu jak zwykła heroina, więc chociaż niszczy życie, przedawkowań jest mniej. Ekstremalnie uzależniająca. Wszyscy, którzy jej spróbowali, chcą jeszcze. Ale taka droga, że najbiedniejszych na nią nie stać.

– Więc kupują inne dragi?

– Jest boom na morfinę.

– Ciągłe to samo.

Beate pokręciła głową.

– Teraz liczy się wojna z heroiną. A on tę wojnę wygrał.

– Bellman?

– A więc już słyszałeś.

– Hagen wspomniał, że rozwalił większość gangów heroinowych.

– Pakistańskich. I wietnamskich. A kiedy rozbił dużą północnoafrykańską siatkę, „Dagbladet” okrzyknęła go feldmarszałkiem Rommlem. I jeszcze rozprawił się z gangiem motocyklowym z Alnabru. Wszyscy siedzą za kratkami.

– Z gangiem motocyklowym? Za moich czasów motocykliści handlowali speedem, a heroiny unikali jak zarazy.

– Los Lobos. Naśladowcy Hells Angels. Przypuszczamy, że byli jedną z zaledwie dwóch siatek wprowadzających violinę do obrotu. Ale wyłapano ich podczas akcji zmasowanych aresztowań i bezpośrednio po nalocie na Alnabru. Szkoda, że nie widziałeś uśmiechu Bellmana w gazecie. Osobiście uczestniczył w tej akcji.

– *Let's do some good?*

Beate się roześmiała. To była kolejna rzecz, którą w niej lubił. Miała fioła na punkcie filmów do tego stopnia, że była w stanie dotrzymać mu kroku, kiedy cytował średnio dobre kwestie ze średnio dobrych filmów. Zaproponował jej papierosa, odmówiła. Sam zapalił.

– Mhm. Ale jak, u diabła, Bellmanowi udało się to, do czego wydział narkotykowy nawet się nie zbliżył przez wszystkie te lata, kiedy ja byłem w komendzie?

– Wiem, że go nie lubisz. Ale on naprawdę dobrze zna się na zarządzaniu. W KRIPOS go uwielbiali. Wściekają się na komendanta, który go ściągnął do nas.

– Mhm. – Harry się zaciągnął. Poczul, że zabija głód we krwi. Nikotyna. Czterosylabowe słowo kończące się na „-yna”.

– No to kto został?

– Na tym polega zła strona niszczenia szkodników. Zakłócasz łańcuch pokarmowy i nie wiesz, czy po prostu nie uprzętnałeś miejsca dla czegoś innego. Dla czegoś, co jest jeszcze gorsze niż to, co usunąłeś...

– A coś na to wskazuje?

Beate wzruszyła ramionami.

– Nagle przestajemy dostawać informacje z ulicy. Donosiciele nic nie wiedzą. Albo trzymają gęby na kłódkę. Pogaduje się tylko o jakimś człowieku z Dubaju, którego nikt nie widział i nikt nie wie, jak się nazywa. Taki niewidzialny mistrz marionetek. Widzimy, że handluje się violina, ale nie jesteśmy w stanie wytropić, kto tym rządzi. Dilerzy, których łapiemy, twierdzą, że kupili od sprzedawców na tym samym szczeblu. Nie jest rzeczą zwyczajną, żeby ktoś tak starannie zacierał ślady. A to nam mówi, że istnieje jedna prosta, bardzo profesjonalna siatka, która trzyma rękę na przemyśle i dystrybucji.

– Człowiek z Dubaju. Tajemniczy geniusz. Czy my już tego kiedyś nie słyszeliśmy? W końcu okazuje się zwykłym bandytą.

– Teraz jest inaczej, Harry. Około Nowego Roku było kilka zabójstw związanych z narkotykami. Brutalność, z jaką do tej pory nie mieliśmy do czynienia. I wszyscy milczą jak zakłeci. Dwóch wietnamskich dilerów znaleziono powieszonych za nogi na belce w mieszkaniu, w którym handlowali. Utonęli. Na głowach zawiązano im plastikowe torby napelnione wodą.

– To nie jest arabska metoda, tylko rosyjska.

– Słucham?

– Wieszają człowieka głową w dół, obwiązują mu głowę torbą, robią w niej dziurę na wysokości szyi, żeby miał powietrze, a potem zaczynają mu polewać wodą stopy. Woda spływa po ciele do torby, która powoli się wypełnia. Ta metoda nazywa się *Man on the Moon*.

– Skąd to wiesz, Harry?

Wzruszył ramionami.

– Był kiedyś bogaty jak krezus kirgiski boss, który się nazywał Birajew. W latach osiemdziesiątych zdobył jeden z oryginalnych skafandrów astronautów z Apolla jedenaście. Dwa miliony dolarów na czarnym rynku. Tych, którzy próbowali oszukać Birajewa albo nie spłacali długów, ubierano w ten skafander. Filmowano ich twarze zalewane wodą. Później film wysyłano innym, którym zbliżał się termin spłaty.

Harry wydmuchał dym do nieba.

Beate popatrzyła na niego, wolno kręcąc głową.

– Czym ty się właściwie zajmujesz w tym Hongkongu, Harry?

– Pytałaś mnie już o to przez telefon.

– A ty nie odpowiedziałeś.

– No właśnie. Hagen powiedział, że mógłby mi przydzielić inną sprawę zamiast tej.

Wspomniał coś o jakimś zabitym wywiadowcy.

– No tak. – W głosie Beate zabrzmiała ulga, że nie muszą już rozmawiać o sprawie Gusta i Olega.

– O co chodzi?

– Młody chłopak, z wydziału narkotykowego. Morze wyrzuciło go na ląd, tam gdzie dach Opery schodzi do wody. Turysty, dzieci, głośna historia.

– Zastrzelony?

– Utonął.

– To skąd wiecie, że to zabójstwo?

– Brak obrażeń zewnętrznych. Faktycznie wyglądało to tak, że mógł wpaść do wody przez przypadek. Kręcił się wokół Opery. Ale Bjørn Holm sprawdził wodę w płucach. Słodka. A jak wiadomo, woda w fiordzie Oslo jest słona. Wygląda więc na to, że ktoś go wrzucił do morza, żeby wszystko wskazywało na zwykłe utonięcie.

– No cóż – powiedział Harry. – Skoro był wywiadowcą, to musiał krażyć też i nad rzeką. Która w dodatku wpływa do morza przy Operze.

Beate się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że wróciłeś, Harry. Ale Bjørnowi też przyszło to do głowy. Porównał florę bakteryjną. Zawartość mikroorganizmów i tak dalej. Woda w płucach tego chłopaka była za czysta, żeby mogła pochodzić z rzeki. Została przefiltrowana. Jak woda pitna. Obstawiam, że utonął w wannie. Albo w jakimś basenie w oczyszczalni. Albo...

Harry rzucił niedopałek na ścieżkę.

– Albo w torbie plastikowej.

– Tak.

– Człowiek z Dubaju. Co o nim wiecie?

– Już ci mówiłam, Harry.

– Nic mi nie powiedziałaś.

– No właśnie.

Zatrzymali się przy moście Ankerbrua. Harry spojrzął na zegarek.

– Spieszysz się gdzieś?

– Nie. Zrobiłem to, żebyś mogła powiedzieć, że ty się gdzieś spieszysz, bez poczucia, że mnie opuszczasz.

Beate się uśmiechnęła.

Właściwie jest naprawdę ładna, kiedy się uśmiecha, pomyślał Harry. Dziwne, że z nikim się nie związała. A może właśnie tak? Była jednym z ośmiu kontaktów w spisie telefonów w jego komórce, a nawet tego nie wiedział.

B jak Beate.

H jak Halvorsen. Dawny kolega Harry'ego, ojciec dziecka Beate. Zginął na służbie, ale Harry jeszcze go nie usunął z listy w telefonie.

– Kontaktowałeś się z Rakel? – spytała Beate.

R. Harry zastanawiał się, czy jej imię pojawiło się jako skojarzenie ze słowem „opuszczasz”.

Pokręcił głową. Beate czekała. Ale on nie miał nic do dodania.

Zaczęli mówić jednocześnie:

– Pewnie musisz...

– Chyba faktycznie muszę...

Uśmiechnęła się.

– ...się spieszyć.

– Jasne.

Obserwował, jak Beate idzie w stronę ulicy.

Przysiadł na jednej z ławek i zapatrzył się na rzekę. Na kaczki wiosłujące nogami w spokojnym zakolu.

Dwaj w bluzach z kapturami wrócili. Podeszli do niego.

– Jesteś *five-o*?

Amerykańska slangowa nazwa policjanta. Zerznięta z niby to autentycznych seriali telewizyjnych. To Beate zwąchali, nie jego.

Harry pokręcił głową.

– Szukasz...

– Spokoju – odparł Harry. – Ciszy i spokoju.

Z wewnętrznej kieszonki wyciągnął ciemne okulary Prady. Dostał je od właściciela sklepu przy Canton Road, który trochę się spóźniał ze spłacaniem rat, lecz uważał, że jest sprawiedliwie traktowany. Okulary były damskie, ale Harry to olewał. Podobały mu się.

– A zresztą – zawołał za chłopakami. – Macie violinę?

Jeden tylko prychnął w odpowiedzi.

– W centrum – odparł drugi, wskazując przez ramię.

– Gdzie?

– Rozejrzyj się za van Persiem albo Fàbregasem. – Ze śmiechem oddalili się w kierunku klubu jazzowego Blå.

Harry się odchylił i zapatrzył w zadziwiająco skuteczne odbijanie się kaczek, które sprawiało, że ptaki sunęły po powierzchni wody jak łyżwiarze po czarnym lodzie.

Oleg milczał. Tak jak milczą winni. Milczenie to przywilej winnego i jedyna rozsądna strategia. Więc co dalej? Jak wyjaśniać to, co już zostało wyjaśnione? Jak odpowiadać na pytania, na które już znaleziono właściwe odpowiedzi? Co mu się wydawało, że osiągnie? Wymusi prawdę, zaprzeczając jej? Tak samo jak będąc śledczym, słuchał żałobnego refrenu najbliższych. „Mój syn? Nigdy w życiu”. Wiedział, dlaczego chce prowadzić to śledztwo. Ponieważ była to jedyna rzecz, jaką umiał. Jedyny sposób, w jaki potrafił pomóc. Był jak gospodyni domowa, która upiera się przy przygotowaniu i smażeniu potraw na stypę po pogrzebie syna, jak muzyk, który taszczy instrument na pogrzeb przyjaciela. Czuł potrzebę, żeby coś zrobić. W roztargnieniu albo geście pociechy.

Jedna z kaczek podpłynęła do niego, może w nadziei na kawałek chleba. Nie dlatego, żeby w to wierzyła, ale przecież zawsze mogło się tak zdarzyć. Porównała wydatek energii z prawdopodobieństwem nagrody. Nadzieja. Czarny lód.

Harry gwałtownie się poderwał. Wyjął klucze z kieszeni marynarki. Właśnie sobie przypomniał, dlaczego kiedyś kupił kłódkę zamykaną na klucz. Przypomniał sobie, że ta kłódka nie była dla niego. Tylko dla panczenisty. Dla Olega.

Sierżant Truls Berntsen odbył krótką dyskusję z komisarzem dyżurnym na posterunku policji w Porcie Lotniczym Oslo. Berntsen powiedział, że owszem, wie, że lotnisko znajduje się na terenie Komendy Okręgowej Policji dla Romerike i że nie miał nic wspólnego z aresztowaniem, ale jako wywiadowca z Jednostki do Zadań Specjalnych od pewnego czasu miał oko na aresztowanego i informatorzy właśnie go powiadomili, że Torda Schultza zatrzymano z narkotykami. Wyciągnął identyfikator, z którego wynikało, że rzeczywiście jest starszym sierżantem w Jednostce do Zadań Specjalnych, Wydział Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej w Komendzie Okręgowej Policji w Oslo. Komisarz wzruszył ramionami i bez słowa zaprowadził go do jednej z trzech cel dla zatrzymanych.

Kiedy drzwi celi się zamknęły, Truls rozejrzał się, żeby się upewnić, czy korytarz i dwie pozostałe cele są puste. Potem przysiadł na klapie od sedesu i spojrzał na pryczę, na mężczyznę, który siedział na niej pochylony z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Tord Schultz?

Mężczyzna podniósł głowę. Zdjął kurtkę od munduru. Gdyby nie dystynkcje na koszuli, Berntsen nie rozpoznałby w nim kapitana. Kapitanowie nie powinni tak wyglądać. Nie powinni być śmiertelnie przerażeni, bladzi, ze źrenicami wielkimi i czarnymi od szoku. Z drugiej jednak strony większość ludzi złapana pierwszy raz tak właśnie wyglądała. Berntsenowi potrzeba było trochę czasu na zlokalizowanie Torda Schultza w Porcie Lotniczym Oslo. Dalej już poszło gładko. Według bazy danych STRASAK Tord Schultz nie miał kartoteki karnej, nigdy nie zadarł z policją, a zgodnie z nieoficjalnym rejestrem sporządzanym przez wywiadowców nie był osobą o znanych powiązaniach ze środowiskiem narkotyków.

– Kim jesteś?

– Jestem tutaj w imieniu ludzi, dla których pracujesz, Schultz. I nie mam na myśli linii lotniczych. Reszta niech cię nie obchodzi. W porządku?

Schultz wskazał na identyfikator, który Berntsen miał zawieszony na szyi.

– Jesteś policjantem. Próbujesz mnie oszukać.

– Gdyby tak było, mógłbyś to uznać za dobrą wiadomość, Schultz. Oznaczałoby błąd w procedurze i umożliwienie twojemu adwokatowi wyciągnięcia cię z tego i uniewinnienia.

Ale musimy sobie radzić bez adwokata. W porządku?

Kapitan wciąż patrzył przed siebie rozszerzonymi źrenicami, chłonącymi każdy najdrobniejszy przebłysk światła, najmniejszy promyk nadziei. Truls Berntsen westchnął. Musiał liczyć, że to, co powie, dotrze do tego człowieka.

– Wiesz, kto to jest palacz? – spytał Berntsen i ciągnął, nie czekając na odpowiedź: – To ktoś, kto psuje robotę policji. Pali dowody. To znaczy troszczy się o to, żeby się zniszczyły albo zniknęły, o błędy proceduralne, przez które sprawa nie może być wniesiona do sądu, albo o popełnienie innych zwykłych głupstw w śledztwie, dzięki którym aresztowani wychodzą na wolność. Rozumiesz?

Schultz mrugnął dwa razy. I powoli skinął głową.

– No to świetnie – powiedział Berntsen. – Sytuacja wygląda tak. Jest nas dwóch. Spadamy w dół, ale mamy tylko jeden spadochron na spólkę. Właśnie wyskoczyłem z samolotu, żeby cię ratować. Na razie możesz mi za to nie dziękować, bo musisz mi na sto procent ufać, żebyśmy obaj nie spadli na ziemię. *Capisce?*

Znów mruganie. Najwyraźniej nie rozumiał.

– Był sobie kiedyś pewien niemiecki policjant. Palacz. Pracował dla gangu Albańczyków z Kosowa, który importował heroinę szlakiem bałkańskim. Narkotyki przewozili ciężarówkami z pól opiumowych w Afganistanie do Turcji. Dalej przez dawne kraje Jugosławii do Amsterdamu, skąd Albańczycy transportowali je do Skandynawii. Mnóstwo granic do przekroczenia, mnóstwo ludzi do opłacenia. Między innymi ten palacz. Któregoś dnia policja złapała młodego Albańczyka z Kosowa z bakiem na benzynę wypełnionym surowym opium. Bloki nie były nawet opakowane, po prostu zanurzone w benzynie. Chłopak trafił do aresztu, a Albańczycy tego samego dnia skontaktowali się z niemieckim palaczem. Tamten poszedł do chłopaka, wyjaśnił mu swoją rolę i powiedział, żeby chłopak się nie martwił, bo jakoś sobie z tym poradzą. Miał wrócić następnego dnia i poinstruować go, jak ma się tłumaczyć przed policją. Na razie kazał mu tylko milczeć. Ale facet, którego złapali, był kompletnie świeży. Siedział w areszcie pierwszy raz. Pewnie nasłuchał się historii o schylaniu się po mydło pod prysznicem, w każdym razie podczas pierwszego przesłuchania pękł jak jajko w kuchence mikrofalowej. Doniósł o całej organizacji i o palaczu w nadziei, że sędzia go za to nagrodi. No tak. Żeby zdobyć dowody przeciwko policji, zamontowali w celi mikrofon, ale ten skorumpowany policjant nie przyszedł na umówione spotkanie. Znaleźli go dopiero pół roku później w postaci kawałków rozrzuconych na polu tulipanów. Ja jestem chłopak z miasta, ale słyszałem, że to podobno całkiem niezły nawóz.

Berntsen umilkł i patrząc na kapitana, czekał na zwykłe pytanie.

Schultz, który odzyskał nieco kolorów na twarzy, wyprostował się na pryczy i w końcu chrząknął.

– Ale dlaczego... hm... palacz? Przecież to nie on sypnął.

– Ponieważ nie ma sprawiedliwości, Schultz. Są jedynie konieczne rozwiązania problemów praktycznych. Palacz, który miał spalić dowody, sam stał się dowodem. Został odkryty. Gdyby wpadł w ręce policji, mógłby doprowadzić śledczych do Albańczyków z Kosowa, a ponieważ nie był bratem z Kosowa, a jedynie opłacanym sukinsynem, logika nakazywała go wyeliminować. Wiadomo też było, że akurat to zabójstwo policjanta nie będzie miało zbyt wysokiego priorytetu. No bo dlaczego? Palacz poniósł swoją karę, a policja nie wszczyna śledztwa, którego jedynym efektem byłoby poinformowanie opinii publicznej o jeszcze jednym sprzedajnym glinie w swoich szeregach. Zgodzisz się ze mną?

Schultz nie odpowiedział.

Berntsen się nachylił, zaczął mówić głośniej i dobitniej:

– Ja nie mam ochoty być znaleziony na polu tulipanów, Schultz. Jedyne sposoby, żebyśmy obaj wyszli z tego cało, to wzajemne zaufanie. Spadochron. Zrozumiano?

Kapitan chrząknął.

– A co z tym Albańczykiem z Kosowa? Złagodzili mu karę?

– Trudno powiedzieć. Przed procesem znaleziono go powieszzonego w celi. Ktoś mu nabił głowę na haczyk na ubranie.

Kapitan znów pobladł.

– Oddychaj, Schultz – powiedział Truls Berntsen. Właśnie to najbardziej lubił w tej pracy. Poczucie, że wyjątkowo to on miał kontrolę.

Schultz odchylił się na pryczy i oparł głowę o ścianę, zamykając oczy.

– A jeśli już teraz podziękuję za pomoc i uznam, że nigdy cię tu nie było?

– To w niczym nie pomoże. Nasz wspólny pracodawca nie chce cię widzieć za barierką dla świadków.

– Więc to, co mówisz, oznacza, że nie mam wyboru?

Berntsen się uśmiechnął i zakończył swoim ulubionym zdaniem:

– Wybór, Schultz, to luksus, którym mogłeś się cieszyć dawno temu.

Stadion Valle Hovin. Maleńka oaza betonu wśród pustyni zielonych trawników, brzoź, ogrodów i balkonów ze skrzynkami pełnymi kwiatów. Zimą boisko wykorzystywano jako

lodowisko, latem jako arenę koncertową, na ogół dla dinozaurów, takich jak Rolling Stones, Prince czy Bruce Springsteen. Rakel namówiła nawet Harry'ego, żeby poszli na U2, mimo że nigdy nie chodził po klubach i nienawidził koncertów na stadionach. Później drażniła się z nim, że tak naprawdę muzycznie jest ukrytym nudziarzem.

Jednak przez większość czasu Valle Hovin prezentował się tak jak teraz. Opustoszały, w rozpadzie, jak zamknięta fabryka, która produkowała coś, czego nikt już nie potrzebuje. Najlepsze wspomnienia Harry'ego stąd wiązały się z obserwowaniem, jak Oleg trenuje na łyżwach. Po prostu z siedzeniem i przyglądaniem się, jak chłopak próbuje, jak walczy, jak mu się nie udaje, jak znów mu się nie udaje. I jak w końcu się udaje. Małe zwycięstwa, kolejny najlepszy czas, drugie miejsce w mistrzostwach klubu w swojej grupie wiekowej. Ale wystarczająco duże, by głupie serce Harry'ego pęczniało do rozmiarów tak absurdalnych, że musiał przybierać obojętną minę, aby sytuacja nie stawała się zbyt krępująca dla nich obu. „Całkiem niezłe, Oleg”.

Rozejrzał się. Nie widać żywej duszy. Wsunął klucz Ving w zamek drzwi do szatni pod trybuną. W środku wszystko było takie jak dawniej, tylko trochę bardziej zniszczone. Poszedł do męskiej szatni. Na podłodze leżały śmieci, widać rzadko ktoś tu przychodził. Miejsce, gdzie można pobyć w samotności. Harry zaczął krążyć między szafkami. Większość była otwarta. Ale w końcu znalazł to, czego szukał. Kłódkę firmy Abus.

Wcisnął czubek klucza w ząbkowany otwór. Nie chciał wejść. Cholera!

Odwrócił się. Powiódł wzrokiem wzdłuż rzędu pociętych metalowych szafek. Zatrzymał spojrzenie i cofnął o jedną. Przy tej też wisiała kłódka firmy Abus. I kółko wydrapane w zielonej farbie. „O”.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po otwarciu szafki, były panczeny Olega. Ostrza długich smukłych łyżew pokrywała wysypka rdzy.

Na drzwiach szafki od wewnątrz między szparkami wentylacyjnymi przyklejono dwa zdjęcia. Dwie rodzinne fotografie. Na jednej było pięć twarzy. Dwojga dzieci i dwojga dorosłych, prawdopodobnie rodziców, nie znał. Rozpoznał natomiast trzecie dziecko, bo całkiem niedawno oglądał je na innych zdjęciach. Na tych z miejsca zdarzenia.

To był ten piękny chłopiec. Gusto Hanssen.

Nie wiedział, czy właśnie ta jego uroda wywołała natychmiast wrażenie, że Gusto Hanssen nie powinien się znaleźć na tym zdjęciu. A raczej że nie należał do tej rodziny.

Tego samego, o dziwo, nie dało się powiedzieć o wysokim jasnowłosym mężczyźnie, który siedział za ciemnowłosą kobietą i jej synem na drugim zdjęciu. Zostało zrobione w pewien jesienny dzień kilka lat temu. Poszli na spacer na Holmenkollen, brodzili w liściach o

barwie pomarańczy, a Rakel ustawiła swój kieszonkowy aparat na kamieniu i włączyła samowyzwalacz.

Czy to naprawdę on? Harry nie przypominał sobie, by kiedykolwiek miał takie łagodne rysy jak na tej fotografii.

Rakel błyszczały oczy. Wydało mu się, że słyszy jej śmiech. Ten śmiech, który tak kochał, którego nigdy nie miał dość i który zawsze usiłował przywołać. Śmiała się również z innymi, ale przy nim i przy Olegu w tym śmiechu brzmiał odrobinę inny ton. Ton zarezerwowany wyłącznie dla niego i dla Olega.

Harry dalej przeszukiwał szafkę.

Leżał tam biały sweter z jasnoniebieskimi ściągaczami. Nie należał do Olega, bo Oleg nosił krótkie kurtki i czarne T-shirty z nadrukiem Slayera i Slipknota. Harry powąchał sweter. Lekkie perfumy. Damskie. Na półce plastikowa torba. Otworzył ją i dech mu zaparło. Sprzęt narkomana. Dwie strzykawki, łyżeczka, gumowa opaska, zapalniczka i kłębek waty. Brakowało jedynie narkotyków. Już miał z powrotem odłożyć torbę, kiedy zauważył coś jeszcze. Wciśniętą w kąt szafki koszulkę. Czerwono-białą. Wyciągnął ją. Koszulka futbolowa z nakazem nadrukowanym na piersi: *Fly Emirates*. Arsenal.

Popatrzył na zdjęcie. Na Olega. Nawet on się uśmiechał. Uśmiechał się, jakby wierzył – w każdym razie tam i wtedy – że oto siedzą tu trzy osoby, które są zgodne co do tego, że jest dobrze. Wszystko dobrze się ułoży, chcemy, żeby tak było. Więc po co wjeżdżać do rowu? Dlaczego musi zjeżdżać do rowu on, ten, który siedzi za kierownicą?

„Tak jak kłamałeś, że zawsze będziesz przy nas”.

Harry zerwał oba zdjęcia z drzwiczek szafki i wsunął je do wewnętrznej kieszeni.

Kiedy wyszedł, słońce zachodziło już za wzgórzem Ullernåsen.

8

Widzisz, że krwawię, tato? Krwawię twoją złą krwią. I twoją krwią, Oleg. To tobie powinny bić kościelne dzwony. Przeklinam cię, przeklinam dzień, w którym cię spotkałem. Byłeś w Spektrum na koncercie Judas Priest. Czekałem na zewnątrz, wepchnąłem się do kolejki wychodzących.

– Fajna koszulka – powiedziałem. – Skąd ją masz?

Popatrzyłeś na mnie dziwnie.

– Z Amsterdamu.

– Byłeś w Amsterdamie na koncercie Judas Priest?

– A dlaczego nie?

Nie miałem pojęcia o Judas Priest, ale w każdym razie wcześniej sprawdziłem, że to taki zespół, a nie facet, a wokalista nazywa się Rob coś tam.

– Świetnie! Priest górą.

Na chwilą zesztyniałeś i tylko na mnie patrzyłeś, skupiony jak zwierzę, które coś zwietryło. Niebezpieczeństwo, zdobycz, sparingpartnera. Albo, jak w twoim wypadku, możliwą pokrewną duszą. Bo nosiłeś swoją samotność jak ciężki mokry płaszcz, Oleg, kiedy szedłeś zgarbiony, szurając nogami. Wybrałem cię właśnie z powodu twojej samotności. Powiedziałem, że stawiam colę, jeśli opowiesz mi o koncercie w Amsterdamie.

Mówiłeś więc o Judas Priest, o koncercie w Heineken Music Hall dwa lata temu. O tych dwóch gościach, osiemnasto- i dziewiętnastoletnim, którzy zastrzelili się z wiatrówki po wysłuchaniu płyty Priesta z ukrytym przesłaniem do it. Tylko że jeden z nich przeżył. Priest to był heavy metal, zahaczał też o speed metal. Przez dwadzieścia minut opowiedziałeś mi tyle o goth i death, że przyszła pora na wprowadzenie do rozmowy również meth. Metamfetaminy.

– Zróbmy sobie wycieczkę w przestworza, Oleg. Uczcijmy to spotkanie bratnich dusz. Co ty na to?

– O co ci chodzi?

– Znam imprezowiczów, którzy zamierzają trochę popalić w parku.

– Aha. – Wahanie.

– Nic twardego. Tylko trochę lodu.

– Sorry, ja się w to nie bawię.

– Cholera, ja też nie. Po prostu spróbujemy, jak smakuje fajka. We dwóch. Prawdziwy lód. Nie żadne gówno w proszku. Tak jak Rob.

Oleg znieruchomiał w trakcie przełykania coli.

– Rob?

– Tak.

– Rob Halford?

– Jasne. Jego roadie kupował od tego samego faceta, od którego ja teraz kupię. Masz kasę?

Rzuciłem to lekko, tak lekko i z taką oczywistością, że w jego poważnych oczach nie było nawet cienia podejrzliwości.

– Rob Halford pali lód?

Wyciągnął pięć stów, o które go prosiłem. Kazałem mu poczekać. Wstałem i odszedłem drogą w stronę mostu Vaterland. Kiedy zniknąłem mu z oczu, skręciłem w prawo, przeszedłem przez drogę i dalej trzysta metrów do Dworca Centralnego w Oslo. Myślałem, że ostatni raz widziałem pieprzonego Olega Fauke.

Dopiero gdy siedziałem w tunelu pod peronami z fajką w ustach, zrozumiałem, że jeszcze ze sobą nie skończyliśmy. Nawet nie zbliżyliśmy się do końca. Stał nade mną bez słowa. Oparł się plecami o ścianę i osunął po niej obok mnie. Wyciągnął rękę. Dałem mu fajkę. Zaciągnął się, rozkastał, a potem wyciągnął drugą rękę. – Reszta.

W tym momencie team Gusto-Oleg stał się faktem. Codziennie, kiedy kończył wakacyjną pracę w magazynie supermarketu budowlanego Clas Ohlson, szliśmy w stronę centrum handlowego Oslo City, do parków, kąpaliśmy się w brudnej wodzie sztucznego jeziora w parku Średniowiecznym i patrzyliśmy, jak budują nową dzielnicę wokół nowej Opery.

Opowiadaliśmy sobie, co będziemy robić i kim zostaniemy, o miejscach, do których pojedziemy, paliliśmy i wachaliśmy wszystko, co mogliśmy kupić za zarobione przez niego w wakacje pieniądze.

Opowiedziałem o swoim przybranym ojcu. O tym, że mnie wyrzucił, dlatego że przybrana matka się do mnie podjarala, a ty, Oleg, opowiadałeś o facecie, z którym była twoja matka. O gliniarzu, któremu na imię Harry i który był, jak twierdziłeś, ekstra. Człowiekiem, któremu mogłeś ufać. Ale coś zaczęło zgrzytać. Najpierw między nim a twoją matką. A potem zostaliście wciągnięci w jakieś zabójstwa, nad którymi on pracował. To właśnie wtedy twoja matka i ty przeprowadziliście się do Amsterdamu. Powiedziałem, że facet na pewno był ekstra, ale że to głupie wyrażenie, a ty na to, że fuckings jest jeszcze głupsze.

Czy ktoś mi powiedział, że poprawnie mówi się fucking, ale nawet to jest dziecinne. Spytałeś, dlaczego używam takiego przesadnego norweskiego „cockneya”, przecież nie byłem nawet ze wschodniej dzielnicy. Odpartem, że przesada jest moją zasadą. Że to podkreśla wszystko i fuckings jest takim błędem, że staje się aż prawidłowe. Oleg spojrział na mnie i powiedział, że to ja jestem takim prawidłowym błędem. Świeciło słońce, a ja pomyślałem, że to najpiękniejsze, co kiedykolwiek o mnie powiedziano.

Dla zabawy zebraliśmy na Karl Johan. Ukradłem deskorolkę na placu Ratuszowym i pół godziny później wymieniłem ją na speed na Jernbanetorget. Popłynęliśmy statkiem na wyspę Hovedøya. Kapaliśmy się i wyludzaliśmy piwo. Jakieś dziewczyny zapraszały mnie na żaglówkę swojego taty, ty skakałeś z masztu, a potem ledwie byłeś w stanie zejść z pokładu. Tramwajem pojechaliśmy na Ekeberg oglądać zachód słońca. Odbywał się akurat turniej Norway Cup. Smutny trener z Trøndelag popatrzył na mnie, więc zaproponowałem, że mogę mu zrobić laskę za tysiąc koron. Odliczył kasę, a ja czekałem, aż dobrze spuści spodnie do kostek, i uciekłem. Mówiłeś mi potem, że wyglądał na kompletnie zagubionego. Odwrócił się do ciebie, jakby chciał poprosić, żebyś ty przejął robotę. Ależ się śmialiśmy!

To lato nie miało końca. A jednak się skończyło. Twoją ostatnią pensję wydaliśmy na jointy z haszem, które paliliśmy, wydmuchując dym w blade i puste nocne niebo. Mówiłeś, że wracasz do szkoły. Będiesz miał świetne stopnie, a potem pójdiesz na prawo, tak jak matka. A później chciałeś iść do fuckings Wyższej Szkoły Policyjnej! Śmialiśmy się tak, że aż łzy ciekły nam z oczu.

Ale kiedy zaczęła się szkoła, widywałem cię mniej. Potem jeszcze rzadziej. Mieszkałeś wysoko, na wzgórzu Holmenkollen, razem z matką, podczas gdy ja koczowałem na materacu w lokalu, w którym próby miał taki jeden zespół. Zgodzili się, żebym tam spał, pod warunkiem że przypilnuję sprzętu i nie będzie mnie tam w czasie prób. Zrezygnowałem więc z ciebie, pomyślałem, że bezpiecznie wrócisz do swojego grzecznego życia. Mniej więcej wtedy zająłem się dilerką.

Właściwie stało się to przypadkiem. Zwinąłem pieniądze dziewczynie, u której nocowałem. Poszedłem na dworzec i spytałem, czy Tutu nie ma jeszcze trochę lodu. Tutu się jękał i był niewolnikiem Odina, szefa Los Lobos z Alnabru. Nadali mu taką ksywkę, kiedy Odin chciał wyprać walizkę kasy z narkotyków i dlatego posłał Tutu do oficjalnego biura bukmacherskiego we Włoszech, żeby postawił pieniądze na mecz, o którym wiedział, że jest ustawiony. Gospodarze mieli wygrać 2:0. Odin poinstruował Tutu, jak powiedzieć „two-nil”, ale Tutu był tak zdenerwowany i tak się jękał, kiedy stanął przy okienku, że bukmacher usłyszał tylko „tu-tu” i tak wpisał na kuponie. Dziesięć minut przed końcem gospodarze

oczywiście prowadzili 2:0 i wszyscy byli spokojni. Wszyscy oprócz Tutu, który właśnie odkrył na kopii kuponu, że postawił pieniądze na „tu-tu”, 2:2. Wiedział, że Odin strzeli mu w kolano. Akurat na tym Odin znał się świetnie. Ale wtedy nastąpił punkt zwrotny numer dwa. Na ławce gospodarzy siedział świeżo zakupiony polski napastnik, który mówił po włosku tak samo źle jak Tutu po angielsku i nie zrozumiał, że mecz jest ustawiony, więc kiedy trener postawił go na boisko, zrobił to, za co – jak sądził – mu płacili. Strzelił gola. Dwa razy. Tutu był ocalony. Ale kiedy tego samego dnia wieczorem wylądował w Oslo i pojechał prosto do Odina, żeby mu opowiedzieć o swoim cholernym szczęściu, wszystko się wyrównało. Zaczął od złych wiadomości o tym, jak się wygłupił i postawił pieniądze na niewłaściwy wynik. A był tak przejęty i tak strasznie się jękał, że Odin stracił cierpliwość, wyciągnął z szuflady rewolwer i – to już trzeci punkt zwrotny – strzelił Tutu w kolano na długo przed tym, jak Tutu dotarł do Polaka.

Tak czy owak, tego dnia na dworcu Tutu powiedział mi, że lód jest już nie do zdo-zdo-zdobycia i musi mi wystarczyć pro-pro-pro-szek. Jedno i drugie to metamfetamina, proszek jest tańszy, ale ja go nie znoszę. Lód to cudowne białe kryształki, które urywają ci głowę, natomiast to żółte cuchnące gówno w proszku, które jest do kupienia w Oslo, na ogół bywa wymieszane z proszkiem do pieczenia, cukrem pudrem, witaminą B12 i z prababką diabła. Albo, dla smakoszy, z posiekanymi tabletkami przeciwbólowymi, które mają smak speedu. Kupiłem jednak to, co miał, z małym rabatem za ilość. I ciągle jeszcze zostały mi pieniądze na trochę amfy. A ponieważ amfetamina w porównaniu z metamfetaminą jest jak produkt ze sklepu ze zdrową żywnością, tylko działa trochę wolniej, wciągnąłem speed, a metamfetaminę wymieszałem z kolejną porcją proszku do pieczenia i sprzedałem na Plata z niezłym zyskiem.

Następnego dnia wróciłem do Tutu i powtórzyłem całą akcję, tyle że kupiłem trochę więcej. Trochę sam wciągnąłem, resztę rozcieńczyłem i sprzedałem. Następnego dnia to samo. Powiedziałem, że mogę wziąć większą ilość, jeśli da mi na kredyt do następnego dnia, ale on tylko się śmiał. Kiedy wróciłem na czwarty dzień, Tutu powiedział, że zdaniem szefów powinniśmy to ustawić w bardziej zo-zo-zorganizowanej formie. Widzieli, jak sprzedaję, i spodobałem się. Gdybym sprzedał dwie partie w ciągu dnia, miałbym pięć tysięcy do własnej kieszeni. W taki sposób stałem się ulicznym dilerem Odina i Los Lobos. Dragi dostawałem od Tutu przed południem, a dzienny utarg i ewentualną niesprzedaną resztę miałem oddawać o piątej. Pracowałem na dzienną zmianę. Żadnej reszty nigdy nie było.

Wszystko dobrze się kręciło przez mniej więcej trzy tygodnie. Pewnej środy byłem na Vippetangen. Sprzedałem dwie partie, miałem kieszenie pełne kasy, a nos pełen speedu, kiedy nagle przestałem widzieć powód, dla którego miałbym się spotkać z Tutu na dworcu.

Wysłałem mu więc SMS-a, poinformowałem, że jadę na wakacje, i wskoczyłem na prom do Danii. Z takim rodzajem utraty koncentracji należy się liczyć, kiedy się bierze amfę trochę za długo i za często.

Po powrocie doszła mnie wieść, że Odin mnie szuka. Trochę to mną potrząsnęło, zwłaszcza że już wiedziałem, w jaki sposób Tutu zyskał przyzwisko. Trzymałem się więc z daleka, krążyłem po Grünerløkka. I czekałem na dzień sądu. Ale Odin miał inne kłopoty niż diler, który był mu winien kilka tysięcy koron. W mieście pojawiła się konkurencja. „Człowiek z Dubaju”. Nie na rynku amfy, tylko heroiny, która dla Los Lobos była ważniejsza od wszystkiego. Jedni twierdzili, że to Białorusini, inni, że Litwini, a jeszcze inni – że norwescy Pakistańczycy. Z całą pewnością wiadomo było jedynie, że działają profesjonalnie i niczego się nie boją, więc lepiej wiedzieć za mało niż za dużo.

To była zaszrańca jesień.

Już dawno wydałem pieniądze, nie miałem żadnej roboty i musiałem siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Umówiłem się z kupcem na sprzęt tego zespołu na Bispegata, był już go nawet oglądać, przekonany, że to wszystko moje, przecież tam mieszkalem! Pozostawało tylko ustalić termin odbioru. I wtedy niczym anioł stróż pojawiła się Irene. Piegowata dobra Irene. Było to pewnego przedpołudnia w październiku. Siedziałem trochę zajęty z kilkoma typami w parku Sofienberg, gdy nagle przede mną stanęła, uradowana i uśmiechnięta od ucha do ucha. Spytałem, czy ma jakieś pieniądze, pomachała mi przed nosem kartą Visa. Kartą należącą do jej ojca, Rolfa. Poszliśmy do najbliższego bankomatu i wyczyściliśmy konto. Irene początkowo nie chciała, ale kiedy jej wytłumaczyłem, że od tego zależy moje życie, zrozumiała, że musi to zrobić. Trzydzieści jeden tysięcy. Poszliśmy do Olympen, najedliśmy się i napiliśmy. Kupiliśmy kilka gramów speedu i pojechaliśmy do mnie na Bispegata. Powiedziała, że pokłóciła się z mamą. Przenocowała. Następnego dnia zabrałem ją na dworzec. Tutu siedział na motocyklu w skórzanej kurtce z pyskiem wilka na plecach. Miał obwisłe wąsy, piracką chustką na głowie i tatuaże wystające z wycięcia bluzy, a mimo to wyglądał jak fuckings pikolak. Chciał już zeskoczyć i pobiec za mną, kiedy zrozumiał, że idę właśnie do niego. Dałem mu dwadzieścia tysięcy, które byłem winien, plus pięć jako odsetki. Podziękowałem za pożyczkę na wakacje. Wyraziłem nadzieję, że możemy zacząć od początku, od niezapisanych kart. Tutu zadzwonił do Odina, nie odrywając oczu od Irene. Widziałem, czego chce. I też patrzyłem na Irene. Biedną, śliczną, bladą Irene.

– Odin mówi, że chce je-je-jeszcze pięć tysięcy – powiedział Tutu. – Jak nie dostanę, to ka-ka-ka – nabrał więcej powietrza.

– Kazał ci mnie sprać.

– Tu i teraz – dodał Tutu.

– W porządku, sprzedam dzisiaj dwie partie.

– Musisz za nie za-za-za-zapłacić.

– Daj spokój, przecież sprzedam je w ciągu dwóch godzin.

Tutu popatrzył na mnie. Ruchem głowy wskazał Irene, która stała przy schodach prowadzących na Jernbanetorget i czekała.

– A co-co-co z nią?

– Ona mi pomaga.

– Dziewczyny dobrze sprzedają. Bie-bie-bierze?

– Jeszcze nie – powiedziałem.

– Zło-złodziej. – Tutu uśmiechnął się bezzębny uśmiechem.

Odliczyłem pieniądze. Ostatnie. Zawsze ostatnie. Krew, która ze mnie wypływa.

Tydzień później przy Elm Street Rock Cafe przede mną i Irene zatrzymał się chłopak.

– Poznaj Olega – oznajmiłem, zeskakując z murku. – To moja siostra, Oleg.

Objąłem go. Wiedziałem, że nie opuścił głowy, że spogląda mi przez ramię. Patrzył na Irene. I nawet przez materiał dżinsowej kurtki wyczułem, że serce mu przyspieszyło.

Sierżant Berntsen siedział z nogami na biurku i słuchawką telefoniczną przyciśniętą do ucha. Zadzwonił na policję w Lillestrøm w okręgu policyjnym Romerike i przedstawił się jako Roy Lunder, laborant z KRIPOS. Funkcjonariusz, z którym rozmawiał, potwierdził, że właśnie dostali torebkę z – jak przypuszczali – heroiną zatrzymaną na Gardermoen. Zgodnie z procedurą wszelkie skonfiskowane narkotyki w całym kraju należało przekazywać do analizy w laboratorium KRIPOS na Bryn w Oslo. Raz w tygodniu samochód z KRIPOS objeżdżał komendy okręgowe w całym rejonie wschodnim i zbierał materiały do badania. Pozostałe komendy przesyłały narkotyki własnym kurierem.

– To dobrze – powiedział Berntsen, bawiąc się fałszywym identyfikatorem z własnym zdjęciem i nazwiskiem Roya Lundera z KRIPOS poniżej. – Akurat będę w Lillestrøm, więc zabiorę tę torebkę na Bryn. Taką dużą ilość chcemy sprawdzić od razu. Świetnie, wobec tego widzimy się jutro rano. – Odłożył słuchawkę i wyjrzał przez okno. Popatrzył na nową dzielnicę wokół Bjørvika, która powoli wznosiła się coraz wyżej do nieba. Myślał o wszystkich drobnych szczegółach. Wymiarach śrubek, skoku gwintu, jakości zaprawy murarskiej, elastyczności szyb. O wszystkim, co musi się zgadzać, żeby całość należycie funkcjonowała. I poczuł głębokie zadowolenie. Bo właśnie tak było. To miasto

funkcjonowało.

Długie smukłe kobiece łydki sosen znikwały w spódnicach zieleni, rzucających niewyraźne cienie na otwarty, wysypany żwirem placyk przed domem. Harry stanął na końcu podjazdu, otarł pot, który wystąpił mu na czoło po tym, jak pokonał strome zbocza od Holmendammen, i przyglądał się ciemnemu domowi. Bejcowane na czarno ciężkie bale symbolizowały solidność, bezpieczeństwo, szaniec obronny chroniący przed trollami i naturą. Nie sprawdziły się. W sąsiedztwie stały duże nieeleganckie wille poddawane stałym ulepszeniom i rozbudowie. Øystein, w kontaktach wpisany jako Ø, mówił, że ściany z bali to wyraz tęsknoty zamożnego mieszczaństwa za powrotem do tego, co naturalne, proste i zdrowe. Harry widział tu chorobę, perwersję, zniszczenie rodziny dokonane przez seryjnego zabójcę. A ona mimo wszystko postanowiła zatrzymać ten dom.

Podszedł do drzwi i wcisnął dzwonek.

Rozległy się ciężkie kroki, a Harry w tej samej chwili uświadomił sobie, że powinien był najpierw zatelefonować.

Drzwi się otworzyły.

Mężczyzna, który przed nim stanął, miał jasną grzywkę z rodzaju tych, które w młodości są gęste i bez wątpienia pomagają zdobyć punkty. Z tego powodu zabiera się je ze sobą w dorosłość z nadzieją, że bardziej przywiedła wersja wciąż będzie działać. Mężczyzna był ubrany w wyprasowaną jasnoniebieską koszulę. Harry przypuszczał, że identyczne nosił również w młodości.

– Słucham? – spytał mężczyzna. Otwarta, serdeczna twarz. Oczy, które chyba nigdy nie zetknęły się z niczym innym niż życzliwość. Przy koszulce na piersi naszywka z graczem w polo.

Harry poczuł, że zasycha mu w gardle. Na wszelki wypadek zerknął na wizytówkę pod dzwonkiem.

Rakel Fauke.

Mimo to ten mężczyzna o ładnej, chociaż słabej twarzy stał tam i trzymał drzwi tak, jakby należały do niego. Harry wiedział, że ma kilka możliwości odpowiedniej kwestii otwarcia, ale jednak wybrał tę:

– Kim jesteś?

Mężczyzna, który stał przed nim, zdołał przybrać taki wyraz twarzy, jakiego Harry'emu nigdy nie udało się zaprezentować. Zmarszczył czoło i jednocześnie się uśmiechnął. Wyrozumiałe rozbawienie tego, kto ma przewagę, bezczelnością tego, kto stoi niżej.

– Ponieważ ty stoisz na zewnątrz, a ja w środku, bardziej naturalne byłoby, gdybyś ty mi powiedział, kim jesteś. I czego chcesz.

– Jak sobie życzysz – odparł Harry i głośno ziewnął. Oczywiście mógł się wytłumaczyć *jet lagiem*. – Przyszedłem porozmawiać z tą, której nazwisko jest przy dzwonku.

– A przychodzisz z...

– Od świadków Jehowy. – Harry zerknął na zegarek. Tamten automatycznie oderwał spojrzenie od Harry'ego, szukając obowiązkowego towarzysza w wierze. – Na imię mam Harry i przyleciałem z Hongkongu. Gdzie ona jest?

Mężczyzna lekko uniósł brew.

– Ten Harry?

– Ponieważ w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat to imię było jednym z najmniej popularnych w Norwegii, możemy chyba założyć, że tak.

Mężczyzna, kiwając głową, zaczął mu się przyglądać z lekkim uśmiechem na ustach, jak gdyby mózg odtwarzał informacje otrzymane wcześniej na temat stojącego przed nim człowieka. Ale bez najmniejszego gestu wskazującego, że zamierza ruszyć się od drzwi albo odpowiedzieć na któreś z pytań Harry'ego.

– No i co? – Harry przestąpił z nogi na nogę.

– Przekażę, że byłeś.

Harry błyskawicznie wysunął stopę i automatycznie ją odwrócił, tak aby drzwi uderzyły w podeszwę. Takich sztuczek nauczyła go jego nowa profesja. Tamten spojrzał na jego stopę, a potem znów na niego. Wyrozumiałe rozbawienie zniknęło. Chciał coś powiedzieć, coś mądrego, co ustawiłoby wszystko na swoim miejscu, ale Harry wiedział, że facet zmieni zdanie, kiedy zobaczy w jego twarzy to, co zwykle kazało zmieniać zdanie.

– Nie możesz... – zaczął tamten i urwał. Mrugnął raz. Harry czekał. Na zdezorientowanie. Wahanie. Odwrot. Mrugnięcie numer dwa. Mężczyzna chrząknął.

– Wyszła.

Harry stał nieruchomo, pozwolił, by cisza zaczęła dzwonić w uszach. Dwie sekundy. Trzy.

– Ja... Hm... nie wiem, kiedy ona wróci.

W twarzy Harry'ego nie drgnął żaden mięsień. Natomiast na twarzy tamtego miny zmieniały się jak w kalejdoskopie. Jakby szukały takiej, za którą mogłyby się ukryć. I skończyły na tym, od czego zaczęły. Na życzliwości.

– Mam na imię Hans Christian. Ja... przepraszam, że musiałem być taki odpychający, ale w związku z tą sprawą zgłasza się tylu dziwnych ludzi, a dla Rakel akurat w tej chwili najważniejszy jest spokój. Jestem jej adwokatem.

– Jej?

– Ich. Jej i Olega. Wejdiesz?

Harry kiwnął głową.

Na stole w pokoju leżały pliki papierów. Harry podszedł do nich. Dokumenty sprawy. Raporty. Wysokość stosu świadczyła o tym, że szukali długo i od dawna.

– Mogę spytać, po co przyszedłeś? – zainteresował się Hans Christian.

Harry przerzucał kartki. Testy DNA, zeznania świadków.

– A ty?

– Słucham?

– Po co tu jesteś? Nie masz kancelarii, w której mógłbyś przygotowywać się do obrony?

– Rakel chce w tym uczestniczyć. Sama jest przecież prawniczką. Posłuchaj, Hole. Dobrze wiem, kim jesteś, i wiem też, że byłeś blisko z Rakel i Olegiem.

– A jak blisko ty jesteś?

– Ja?

– Tak. Mówisz tak, jakbyś podjął się opieki, i to pod różnymi względami.

Harry usłyszał dziwny ton swojego głosu i wiedział, że się odkrył. Wiedział, że tamten przygląda mu się ze zdumieniem. I wiedział, że stracił zdobytą przewagę.

– Rakel i ja jesteśmy dawnymi przyjaciółmi – powiedział Hans Christian. – Dorastałem w pobliżu. Razem studiowaliśmy prawo i... No tak. Kiedy się spędza razem najlepsze lata życia, zawiązują się więzi.

Harry kiwnął głową. Dobrze wiedział, że nie powinien się odzywać. Miał świadomość, że wszystko, co powie, tylko pogorszy sprawę.

– Mhm. Przy takich więziach dziwne, że nigdy cię nie widziałem ani o tobie nie słyszałem, kiedy byłem z Rakel.

Hans Christian nie zdążył odpowiedzieć. Drzwi się otworzyły. Stała w nich ona. Harry poczuł, że w serce wbija mu się żelazny szpon i powoli zaczyna się obracać.

Sylwetkę miała taką samą, szczupłą i prostą. Taka sama twarz w kształcie serca z

ciemnymi piwnymi oczami i nieco szerokimi ustami, które tak chętnie się śmiały. Włosy prawie takie same, długie, chociaż czerń chyba odrobinę zbladła. Zmieniło się tylko spojrzenie. To był wzrok ściganego zwierzęcia, podniecony i dziki. Ale kiedy padł na Harry'ego, coś jakby wróciło. Coś z tego, kim była dawniej. Kim oboje dawniej byli.

– Harry – powiedziała, a na dźwięk jej głosu wróciła cała reszta. Wszystko.

Dwa długie kroki i już ją obejmował. Zapach jej włosów, palce na kręgosłupie. Puściła go pierwsza. Cofnęła się o krok i zaczęła się jej przyglądać.

– Dobrze wyglądasz – stwierdziła.

– Nawzajem.

– Kłamca. – Uśmiechnęła się przelotnie. Oczy już miała pełne łez. Tak stali, Harry pozwolił się oglądać, pozwolił chłonać swoją o trzy lata starszą twarz z nową blizną.

– Harry – powtórzyła, przechylając głowę. Zaśmiała się. Pierwsza łza zadrgała na rzęsach i spadła. Spłynęła po miękkiej skórze policzka.

Gdzieś w pokoju chrząknął mężczyzna z graczem polo na koszuli i powiedział coś o jakimś spotkaniu, na które musi zdążyć.

Zostali sami.

Rakel gotowała kawę i wtedy jej spojrzenie zawadziło o metalowy palec, ale ani ona, ani on go nie skomentowali. Zawarli niepisaną umowę, żeby nigdy nie wspominać o Bałwanie, Harry siedział więc przy kuchennym stole i opowiadał o swoim nowym życiu w Hongkongu. Opowiadał to, co mógł. To, co chciał. Mówił, że praca doradcy Hermana Kluita do spraw długów oznacza spotkania z dłużnikami, którym termin spłaty już minął, i przypominanie im o tym w przyjacielski sposób. Doradztwo, krótko mówiąc, polegało na doradzaniu, by zapłacili jak najszybciej. Nie ukrywał, że jego głównymi i w zasadzie jedynymi kwalifikacjami zawodowymi były sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, szerokie bary, przekrwione oczy i niedawno zdobyta blizna.

– Życzliwie i profesjonalnie. Garnitur, krawat, międzynarodowe spółki w Hongkongu, na Tajwanie i w Szanghaju. Pokoje hotelowe z room service. Piękne biurowce. Cywilizacja. Prywatne banki *à la* Szwajcaria, tylko w lekko chińskim odcieniu, zachodnie uściski ręki, uprzejme frazesy. I azjatyckie uśmiechy. Płacą w zasadzie następnego dnia. Herman Kluit jest zadowolony. Rozumiemy się nawzajem.

Rakel naląła obojgu kawy, usiadła i wzięła głęboki oddech.

– A ja dostałam pracę w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości w Hadze, z

biurem w Amsterdamie. Myślałam, że kiedy opuścimy ten dom, to miasto, cały ten rozgłos i...

Mnie, pomyślał Harry.

– ...i wspomnienia, będzie lepiej. I przez jakiś czas rzeczywiście było. Ale potem się zaczęło. Najpierw bezsensowne ataki wściekłości. Przecież Oleg, kiedy był mały, nigdy nie podnosił głosu. Owszem, bywał oporny, ale nigdy... taki. Mówił, że zniszczyłam mu życie, zabierając go z Oslo. Powtarzał to, bo wiedział, że nie potrafię się przed tym bronić. A kiedy zaczynałam płakać, on też płakał. Pytał, dlaczego cię odrzuciłam. Przecież to ty nas uratowałaś przed... przed...

Szybko kiwnął głową, żeby nie musiała wymawiać tego imienia.

– Zaczął późno wracać do domu. Mówił, że spotyka się z przyjaciółmi, ale mi ich nie przedstawił. Któregoś dnia przyznał się, że był w coffee shopie na Leidseplein i palił haszysz.

– W Bulldogu, razem ze wszystkimi turystami?

– No właśnie. Myślałam, że to element *the Amsterdam experience*. Ale jednocześnie się bałam. Jego ojciec... No wiesz.

Harry pokiwał głową. Rosyjska rodzina ojca Olega, wyższe sfery, odurzenie, wściekłość i depresje. Kraj Dostojewskiego.

– Dużo czasu spędzał sam w swoim pokoju i słuchał muzyki. Ciężkich ponurych kawałków. No tak, ty znasz te zespoły...

Harry znów kiwnął głową.

– Ale twoich płyt też. Franka Zappy. Milesa Davisa. Supergrass. Neila Younga. Supersilent.

Te nazwy padły tak szybko i naturalnie, że Harry zaczął podejrzewać, iż ukradkiem podsłuchiwała pod drzwiami.

– W końcu któregoś dnia, kiedy odkurzałam u niego w pokoju, znalazłam dwie tabletki z bużkami.

– Ecstasy?

Potwierdziła.

– Dwa miesiące później złożyłam wniosek o pracę w kancelarii prawnej rządu i wróciłam tutaj.

– Do bezpiecznego niewinnego Oslo.

Wzruszyła ramionami.

– On potrzebował zmiany środowiska. Nowego początku. I zadziałało. Nie jest typem mającym wielu przyjaciół. Ale spotkał dwóch dawnych kolegów, w szkole też dobrze sobie radził, dopóki... – Głos nagle zatrzeszczał na złączach.

Harry czekał. Rakel wypić łyk kawy, pozbierała się.

– Potrafił zniknąć na kilka dni. Nie wiedziałam, co począć. Robił, co chciał. Dzwoniłam na policję, do psychologów, socjologów. Był niepełnoletni, a mimo to nic nie można było zrobić, dopóki brakowało dowodów, że bierze narkotyki albo popełnia przestępstwa. Czułam się taka bezradna. Ja! A przecież to ja zawsze uważałam, że to z rodzicami coś jest nie tak, i zawsze miałam gotowe rozwiązanie, kiedy słyszałam, że czyjeś dzieci zeszyły na złą drogę. Nie wolno być apatycznym. Nie wolno nic wypierać. Trzeba działać!

Harry spojrział na jej dłoń leżącą tuż przy jego ręce na stoliku, delikatne palce, cieniutkie żyłki na grzbiecie, zazwyczaj opalone w tak wczesną jesień. Ale nie posłuchał impulsu i nie nakrył jej ręki swoją. Coś mu przeszkadzało. Oleg.

Rakel westchnęła.

– Pojechałam więc do centrum go szukać. Jeździłam w kolejne wieczory. W końcu go znalazłam. Stał na rogu Tollbugata i ucieszył się, że mnie widzi. Powiedział, że jest szczęśliwy. Ma pracę i dzieli mieszkanie z kilkoma kolegami. Potrzebuje wolności, a mnie nie wolno za dużo pytać. Jest na „wyprawie”, to taka jego wersja wolnego roku na podróż dookoła świata. Taką, w jaką wybierają się inni młodzi ludzie z Holmenkollåsen. Rejs dookoła świata w centrum Oslo.

– W co był ubrany?

– O co ci chodzi?

– O nic. Mów dalej.

– Powiedział, że niedługo wróci do domu. I dokończy liceum. Umówiliśmy się, że przyjdzie w niedzielę i zje ze mną obiad.

– Przyszedł?

– Tak. A po jego wyjściu zorientowałam się, że wchodził do mojej sypialni i ukradł szkatułkę z biżuterią. – Westchnęła przeciągle, drżącym głosem. – W tej szkatułce leżała obrączka, którą mi kupiłeś na Vestkanttorget.

– Na Vestkanttorget?

– Nie pamiętasz?

Mózg Harry’ego błyskawicznie przewijał film do tyłu. Było kilka czarnych fragmentów nieprzytomności, kilka białych, które wyparł, i duże puste przestrzenie wyżarte przez alkohol. Ale były też fragmenty, które zachowały kolory i fakturę. Takie jak tamten dzień, gdy wybrali się na pchli targ na Vestkanttorget. Czy Oleg był wtedy z nimi? Tak, chyba tak. Oczywiście. Zdjęcie. Samowyzwalacz. Jesienne liście. A może to było kiedy

indziej? Chodzili od straganu do straganu. Stare zabawki, serwisy, zardzewiałe pudełka po cygarach, winylowe płyty w okładkach i bez, zapalniczki. I złota obrączka.

Wyglądała tak samotnie, kiedy tam leżała. Harry kupił ją więc i włożył na palec Rakel. Powiedział, że chciał dla niej znaleźć nowy dom, coś w tym stylu. Coś głupiego. Wiedział, że ona uzna to za zawstydzenie, za wyznanie miłości w przebraniu. I może tak właśnie było. W każdym razie oboje się śmiali: z tego, co zrobił, z obrączki, z tego, że jedno wiedziało, że drugie wie. I że to dobrze. Bo wszystko, czego chcieli i czego nie chcieli, kryło się w tej zniszczonej taniej obrączce. Obietnica, że będą się kochać, dopóki tylko będą mogli, i rozejdą się, kiedy miłości już nie będzie. Tymczasem ona odeszła z zupełnie innych powodów. Ważniejszych. Ale zatrzymała tombakową obrączkę, schowaną w szkatułce razem z biżuterią odziedziczoną po matce Austriaczce.

– Może pójdziemy się przejść, dopóki jest jeszcze trochę słońca? – zaproponowała Rakel.

– Tak. – Harry odpowiedział jej uśmiechem. – Chodźmy.

Szli pod górę drogą wijącą się na szczyt wzgórza. Drzewa na wschodzie były tak czerwone, jakby stały w ogniu. Światło odbijało się w fiordzie, który wyglądał jak płynny metal. Ale Harry'ego jak zwykle fascynowało w mieście rozciągającym się w dole to, co zostało zrobione rękami człowieka. Aspekt mrowiska. Domy, parki, drogi, dźwigi. Statki w porcie, światła, które powoli zaczynały się zapalać. Samochody i pociągi, które musiały gdzieś dojechać. Suma rzeczy, które robimy. I pytanie, na którego postawienie stać jedynie kogoś, kto ma dużo czasu, więc może się zatrzymać i przyjrzeć biegającym mrówkom: po co?

– Marzę o spokoju – powiedziała Rakel. – Wyłącznie o tym. A co z tobą? O czym ty śnisz?

Wzruszył ramionami.

– Że stoję w ciasnym korytarzu, nadciąga lawina i mnie przysypuje.

– Ojej.

– No wiesz, ja i ta moja klaustrofobia.

– Często śni nam się coś, czego się boimy i czego pragniemy jednocześnie. Że się znika, że się zostaje zakopanym. To w pewnym sensie bezpieczne, prawda?

Harry wsunął głębiej rękę do kieszeni.

– Trzy lata temu byłem pod lawiną. Powiedzmy, że to takie proste.

– Więc nie uciekłeś przed upiorami, mimo że wyjechałeś aż do Hongkongu?

– No... – zaczął Harry. – Ich szeregi trochę się przerzedziły.

– Tak?

– Tak. Naprawdę można różne rzeczy zostawić za sobą, Rakel. Sztuczka z upiorami polega na tym, by mieć odwagę długo i dobrze im się przyglądać, żeby zrozumieć, że są właśnie upiorami. Martwymi, bezsilnymi upiorami.

– Aha – odparła Rakel tonem świadczącym o tym, że nie podoba jej się ten temat. – Jakieś kobiety w twoim życiu? – zadała to pytanie lekko, tak lekko, że w tę lekkość nie uwierzył.

– No cóż.

– Opowiadaj!

Włożyła ciemne okulary. Trudno było ocenić, ile chce usłyszeć. Harry zdecydował, że może da się to wymienić na podobne informacje od niej. Jeśli będzie chciał je usłyszeć.

– Była Chinką.

– Była? Nie żyje? – Uśmiechnęła się. Wyglądało na to, że zniesie cios, a on wolałby, żeby bardziej ją zabolalo.

– Biznesmenka z Szanghaju. Pielęgnuje swoje *guanxi*, siatkę przydatnych kontaktów. I przebogatego prastarego chińskiego męża. A kiedy ma na to ochotę, również mnie.

– Innymi słowy, wykorzystujesz jej gen opiekuńczości?

– Chciałbym móc tak powiedzieć.

– O?

– Stawia bardzo konkretne wymagania co do tego, gdzie i kiedy. I jak. Lubi...

– Dość! – przerwała mu Rakel.

Harry uśmiechnął się krzywo.

– Jak wiesz, zawsze miałem słabość do kobiet, które wiedzą, czego chcą.

– Dość, powiedziałam.

– Zrozumiano.

Szli dalej w milczeniu. W końcu Harry wypowiedział słowa, które przez cały czas wisiały w powietrzu, wypisane wielkimi literami.

– A co z tym Hansem Christianem?

– Z Hansem Christianem Simonsenem? To adwokat Olega.

– Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby jakiś Hans Christian Simonsen zajmował się zabójstwami.

– Mieszka tu w okolicy. Na studiach byliśmy w tej samej grupie. Przyszedł, zaproponował mi pomoc.

– Aha, rozumiem.

Rakel się roześmiała.

– Przypomina mi się, że w czasie studiów raz czy dwa się z nim umówiłam. Chciał mnie zaciągnąć na kurs swingu.

– Wielki Boże!

Roześmiała się jeszcze głośniej.

Na miłość boską, jak on tęsknił za tym śmiechem.

Szturchnęła go w bok.

– Jak wiesz, zawsze miałam słabość do mężczyzn, którzy wiedzą, czego chcą.

– No tak. A co oni kiedykolwiek dla ciebie zrobili?

Nie odpowiedziała. Nie musiała. Zmarszczyła tylko czoło. Między szerokimi czarnymi brwiami pojawiła się bruzda, którą zwykle gładził palcem, gdy ją zauważył.

– Czasami lepiej mieć prawnika, który jest oddany, niż takiego, który zna wynik sprawy z góry.

– Mhm. Masz na myśli kogoś, kto wie, że sprawa jest przegrana.

– Uważasz, że powinnam wziąć któregoś ze starych zmęczonych wyjadaczy?

– Hm. Ci najlepsi zwykle są naprawdę bardzo oddani.

– To mało ważne zabójstwo narkotykowe, Harry. Najlepsi biorą sprawy prestiżowe.

– No dobrze. Co Oleg opowiedział temu swojemu oddanemu adwokatowi o tym, co się wydarzyło?

Rakel westchnęła.

– Że nic nie pamięta. Oprócz tego w ogóle nie chce mówić.

– I na tym chcecie oprzeć linię obrony?

– Posłuchaj! Hans Christian jest znakomitym adwokatem w swojej dziedzinie. Rozumie, o co chodzi. Radzi się najlepszych. Poza tym pracuje dzień i noc. Naprawdę.

– Innymi słowy, wykorzystujesz jego gen opiekuńczości?

Tym razem Rakel się nie roześmiała.

– Jestem matką. To proste. Jestem skłonna zrobić wszystko.

Zatrzymali się tam, gdzie zaczynał się las, i przysiedli na grubych pniach świerków. Słońce opadało na wierzchołki drzew na zachodzie jak jeden ze zmęczonych balonów, tak chętnie kupowanych 17 maja, w dniu święta narodowego.

– Rozumiem, dlaczego przyjechałeś – powiedziała Rakel. – Ale co ty sobie właściwie wyznaczyłeś?

– Sprawdzić, czy winę Olega da się podać w wątpliwość.

– Bo?

Harry wzruszył ramionami.

– Ponieważ jestem śledczym. Bo tak zorganizowaliśmy sobie to mrowisko, że nikogo nie można skazać, dopóki nie mamy pewności.

– A ty jej nie masz?

– Nie mam.

– Jesteś tu tylko dlatego?

Nadciągnęły na nich cienie świerków. Harry zadrżał w swoim lnianym garniturze. Jego termostat najwyraźniej jeszcze się nie przestawił na 59,9 stopnia szerokości geograficznej północnej.

– To dziwne – powiedział. – Ale mam problemy z przypomnieniem sobie czegoś oprócz oderwanych chwil z całego tego czasu, kiedy byliśmy razem. Trochę tak, jakbym patrzył na zdjęcia, właśnie tak to pamiętam. Tak jak wyglądamy na tym zdjęciu. Chociaż wiem, że to nie jest prawda. – Spojrzał na nią. Siedziała z brodą opartą na ręce, słońce odbijało się w jej zmrużonych oczach. – Ale może właśnie po to robimy zdjęcia – ciągnął Harry. – Żeby zdobyć fałszywe dowody i umocnić fałszywe twierdzenie, że byliśmy szczęśliwi. Bo myśl o tym, że w przeszłości ani razu nie byliśmy szczęśliwi, jest nieznośna. Dorośli każą dzieciom uśmiechać się na zdjęciach. Włączają je w to kłamstwo, więc się uśmiechamy, postulujemy szczęście. Ale Oleg nigdy nie potrafił się uśmiechać na zawołanie. Nie umiał kłamać. Nie miał tego daru. – Harry znów odwrócił się do słońca i zdążył jeszcze zobaczyć ostatnie promienie przeświecające jak żółte palce znad wierzchołków świerków na szczycie wzgórza. – Znalazłem zdjęcie nas trojga na drzwiczkach jego szafki w szatni na Valle Hovin. I wiesz, Rakel? Na tym zdjęciu on się uśmiecha.

Zapatrzył się na czubki drzew. Cały kolor został jakby w jednej chwili z nich wyspany. Przypominały teraz ustawionych w szeregu spowitych w czerń gwardzistów. Nagle poczuł, że ona się przybliżyła, poczuł jej dłoń wciskającą się pod jego pachę, głowę na ramieniu. Zapach włosów i ciepło policzka przenikające przez len.

– Ja nie potrzebuję żadnego zdjęcia, żeby pamiętać, jacy byliśmy szczęśliwi, Harry.

– Mhm.

– Może nauczył się kłamać. Tak się dzieje z nami wszystkimi.

Harry pokiwał głową. Powiew wiatru sprawił, że przeniknął go dreszcz. Kiedy on sam nauczył się kłamać? Wtedy gdy Sio spytała, czy mama widzi ich z nieba? Czy nauczył się tego tak wcześnie? Czy dlatego z taką łatwością przychodziło mu kłamstwo, kiedy udawał, że nie wiedział, czym zajmował się Oleg? Utrata niewinności Olega nie polegała na tym, że

nauczył się kłamać, nie na tym, że nauczył się wstrzykiwać heroinę czy kraść biżuterię matki. On się nauczył, w jaki sposób bez ryzyka i skutecznie sprzedawać substancję, która zżera duszę, rujnuje ciało i zsyła kupującego w zimne wstrętne piekło uzależnienia. Nawet gdyby okazało się, że Oleg nie jest winny zabójstwa Gusta, to i tak będzie winny. Wsadzał ich do samolotu. Do Dubaju. *Fly Emirates*.

Dubaj to jeden ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Nie było Arabów sprzedających violinę, byli jedynie dilerzy w koszulkach Arsenalu. W strojach, które przydzielono im wraz z instrukcjami o tym, jak należy sprzedawać dragi: jeden trzyma pieniądze, drugi narkotyki. Rzucający się w oczy, a mimo wszystko zwykły strój, który informuje, co sprzedają, do jakiej organizacji należą. Nie żaden ze zwykłych, krótko cieszących się życiem gangów, które powala własna chciwość, głupota, lenistwo i ryzykanctwo, tylko organizacja, która nie podejmuje niepotrzebnego ryzyka, nie ujawnia, kto za tym wszystkim stoi, a mimo to zdaje się mieć monopol na nowy ulubiony narkotyk ćpunów. A Oleg był jednym z nich. Harry niespecjalnie dużo wiedział o futbolu, ale był właściwie pewny, że van Persie i Fàbregas to zawodnicy Arsenalu. I z całą pewnością żadnemu kibicowi Tottenhamu nie przyszłoby do głowy posiadanie koszulki Arsenalu, gdyby nie miał ku temu szczególnego powodu. Tyle Oleg zdołał go nauczyć.

Istniał dobry powód, dla którego Oleg nie chciał rozmawiać ani z nim, ani z policją. Pracował dla kogoś albo dla czegoś, o czym nikt nie wiedział. Dla kogoś albo dla czegoś, co kazało wszystkim trzymać język za zębami. Od tego Harry musiał zacząć.

Rakel się rozplakała i ukryła twarz na jego szyi. Łzy ogrzewały mu skórę, spływając za koszulę, po piersi i po sercu.

Szybko robiło się ciemno.

Siergiej leżał na łóżku i gapił się w sufit.

Sekundy mijały. Jedna po drugiej.

To najwolniejszy czas. Czas oczekiwania. Nie miał nawet pewności, czy to się stanie. Czy będzie konieczne. Źle spał. Miał złe sny. Musiał wiedzieć. Zadzwoił więc do Andrieja, poprosił o rozmowę z wujem. Ale Andriej powiedział mu, że ataman nie jest dostępny. Nic więcej.

Z wujem zawsze tak było. To znaczy przez większą część swego życia Siergiej nie wiedział nawet o jego istnieniu. Dopiero kiedy się pojawił – a raczej jego ormiański wysłannik – i zrobił porządek, Siergiej zaczął się rozpytywać. Aż dziwne, jak mało pozostali

członkowie rodziny wiedzieli o swoim szwagrze. Siergiejowi udało się wyjaśnić, że wuj w latach pięćdziesiątych przybył z zachodu i wzenił się w rodzinę. Jedni mówili, że pochodził z Litwy, z rodziny kułaków, których Stalin zesłał na Sybir. Inni twierdzili, że był członkiem niedużej grupy świadków Jehowy wywiezionych na Syberię z Mołdawii w 1951 roku. Stara ciotka opowiadała, że chociaż wuj był czytany, znającym języki światowcem, bez najmniejszego problemu dostosował się do ich prostego stylu życia i przejął jako własne stare syberyjskie tradycje urków. Być może właśnie jego zdolności przystosowawcze w powiązaniu z bezdyskusyjnym talentem do interesów kazały innym urkom w krótkim czasie zaakceptować go jako wodza. Wkrótce kierował jedną z najbardziej opłacalnych działalności przemysłowych w całej południowej Syberii. W latach osiemdziesiątych jego interesy były tak rozległe, że nie dało się już dłużej przekupywać władz, by odwracały głowę. Sowiecka milicja uderzyła, kiedy Związek rozpadał się w gruzy, a nalot, jaki urządziła, był tak gwałtowny i krwawy, że według sąsiada, który zapamiętał wuja, przypominało to raczej *blitzkrieg* niż działanie w imieniu prawa. Początkowo twierdzono, że wuj został zabity. Podobno dostał kulę w plecy i milicja w obawie przed gwałtownymi reakcjami potajemnie wrzuciła jego zwłoki do rzeki Leny. Jeden z milicjantów skradł jego nóż sprężynowy i nie umiał się powstrzymać od przechwałek. Jednak rok później wuj dał znak życia. Znajdował się wtedy we Francji. Mówił, że musi się ukrywać, a chciał jedynie wiedzieć, czy jego żona jest w ciąży, czy nie. Nie była. Przez lata nie mieli więc o wuju żadnych wiadomości. Dopiero gdy żona umarła, przyjechał na jej pogrzeb. Zapłacił za wszystko, a prawosławny pochówek nie jest tani. Dał też pieniądze tym jej krewnym, którzy potrzebowali wsparcia. Ojciec Siergieja do nich nie należał, ale właśnie z nim wuj rozmawiał, kiedy chciał się dowiedzieć czegoś bliższego o rodzinie żony w Tagile. I wtedy zwrócił uwagę na siostrzeńca, małego Siergieja. Dzień później wuj znów zniknął w równie tajemniczy i niewytłumaczalny sposób, jak się pojawił. Lata płynęły, Siergiej stał się młodzieńcem, potem dorosłym mężczyzną, a większość rodziny uważała, że wuj, którego zapamiętali jako starca już wtedy, gdy zjawił się na Syberii, dawno umarł i spoczął w grobie. Nagle jednak, gdy Siergieja przyłapano na przemyśle haszyszu, pojawił się pewien człowiek, Ormianin, przedstawiając się jako wysłannik wuja. Załatwił sprawę Siergieja i przekazał mu zaproszenie do Norwegii.

Siergiej spojrział na zegarek. I stwierdził, że minęło dokładnie dwanaście minut, odkąd ostatnio sprawdzał, która godzina. Przymknął oczy i próbował go sobie wyobrazić. Policjanta.

Było zresztą coś jeszcze w tej historii o rozgłoszonej śmierci wuja. Milicjanta, który ukradł jego nóż, niedługo potem znaleziono w tajdze – a raczej to, co z niego zostało, bo resztę pożarł niedźwiedź.

Na dworze i w pokoju było już całkiem ciemno, kiedy zadzwonił telefon.
Telefonował Andriej.

Tord Schultz otworzył drzwi do swojego domu, zapatrzył się w ciemność i przez chwilę wsłuchiwał się w zgęstniałą ciszę. Usiadł na kanapie, nie zapalając światła, i czekał na uspokajający ryk następnego samolotu.

Wypuścili go. Mężczyzna w stopniu komisarza przyszedł do celi, kucnął przed nim i spytał, dlaczego, u diabła, schował w walizce mąkę ziemniaczaną.

– Mąkę ziemniaczaną?

– Tak twierdzą w laboratorium kryminalistycznym KRIPOS.

Tord Schultz powtarzał cały czas to samo, co mówił, gdy został aresztowany. To, co było procedurą awaryjną. Nie wie, w jaki sposób torebka tam trafiła ani co w niej było.

– Kłamiesz – powiedział tamten komisarz. – Będziemy mieli na ciebie oko.

Potem otworzył drzwi do celi i kiwnięciem głowy zasignalizował, że więzień może wyjść.

Tord drgnął, gdy przenikliwy dźwięk nagle wypełnił pusty, pogrążony w ciemności pokój. Wstał i po omacku przeszedł do telefonu, który stał na drewnianym krześle obok ławki treningowej.

Dzwonił szef lotów. Powiedział, że Tord na razie zostaje zdjęty z lotów międzynarodowych i przeniesiony na *domestic*.

Tord spytał o powody. Szef odparł, że w związku z zaistniałą sytuacją odbyło się zebranie dyrekcji.

– Chyba rozumiesz, że nie możemy cię dać na trasy zagraniczne z takim podejrzeniem, jakie nad tobą wisi.

– To dlaczego nie zostawicie mnie na ziemi?

– No tak.

– No tak?

– Gdybyśmy cię zawiesili, a informacja o aresztowaniu przedostałaby się do prasy, prędko wyciągnięto by wniosek, że naszym zdaniem masz coś na sumieniu.

– A tak nie uważacie?

Odpowiedź padła dopiero po chwili milczenia.

– Firmie zaszkodziłoby, gdybyśmy przyznali, że podejrzewamy jednego z naszych

pilotów o przemyt narkotyków, nie uważasz?

Dalsze słowa szefa lotów utonęły w odgłosach TU-154.

Tord odłożył słuchawkę.

Po omacku wrócił na kanapę i usiadł. Dotknął palcami szklanego blatu stolika. Wyczuł plamy zaschniętego śluzu, śliny i resztki kokainy. Co teraz? Drink czy kreska? A może i drink, i kreska?

Wstał. Tupolew leciał nisko. Jego światła wypełniły cały pokój i Tord przez moment wpatrywał się we własne odbicie w szybie.

Potem znów zrobiło się ciemno. Ale on już to dostrzegł. Zauważył we własnych oczach to, co – jak wiedział – ujrzy w oczach kolegów. Pogardę, potępienie i najgorsze ze wszystkiego: litość.

Domestic. Będziemy mieć na ciebie oko. *I see you.*

Jeśli przestanie latać za granicę, nie będzie przedstawiał dla nich żadnej wartości. Stanie się wyłącznie zdesperowanym, zadłużonym, uzależnionym od kokainy zagrożeniem. Człowiekiem, na którego skierowały się reflektory policji. Człowiekiem pod presją. Wiedział niewiele, ale więcej niż dość, by móc zniszczyć zbudowaną przez nich infrastrukturę. Zrobią więc to, co muszą. Tord Schultz założył ręce za głowę i cicho jęknął. Nie urodził się po to, by zostać pilotem myśliwców. Wszystko mu się rozpadło. Myśliwiec wpadł w korkociąg, a on nie miał w sobie tego czegoś, co pozwoliłoby mu odzyskać kontrolę. Tylko siedział i patrzył, jak wirująca ziemia jest coraz bliżej i bliżej. Wiedział, że jego jedyną szansą na przeżycie jest poświęcenie myśliwca. Musi się katapultować, wystrzelić w powietrze. Teraz.

Musi iść do kogoś wysoko postawionego w policji, kto z całą pewnością jest ponad skorumpowanymi pieniędzmi narkotykowego gangu. Musi dotrzeć na sam szczyt.

Tak, pomyślał Tord Schultz. Wypuścił powietrze z płuc i poczuł, jak rozluźniają się mięśnie, których napięcia wcale nie czuł. Pójdzie do samej góry.

Ale najpierw drink.

I kreska.

Harry dostał klucz od tego samego chłopaka w recepcji. Podziękował i długimi krokami pokonał schody. Po drodze ze stacji kolejki na Egertorget do Leona nie zauważył ani jednej koszulki Arsenalu.

Zbliżając się do pokoju 301, zwolnił. Dwie żarówki na korytarzu się przepaliły, dzięki czemu było na tyle ciemno, aby mógł wyraźnie dostrzec światło sączące się spod drzwi jego

pokoju. Ceny prądu w Hongkongu kazały mu porzucić zły norweski zwyczaj niegaszenia światła przy wyjściu z domu, ale przecież nie mógł być pewien, czy światła nie zapaliła pokojówka. W takim razie zapomniała też zamknąć drzwi.

Stał z kluczem w prawej ręce, kiedy nagle drzwi same się otworzyły. W świetle pojedynczej lampy dostrzegł postać. Zwrócona do niego plecami nachylała się nad jego otwartą walizką położoną na łóżku. Drzwi lekko uderzyły o ścianę, postać spokojnie się odwróciła i na Harry'ego spojrzał mężczyzna o wydłużonej pomarszczonej twarzy i łagodnych oczach bernardyna. Był wysoki, chociaż przygarbiony, ubrany w płaszcz i wełniany sweter, na szyi miał brudną koloratkę. Długie zaniedbane włosy po obu stronach głowy rozdzielały największe uszy, jakie Harry kiedykolwiek w życiu widział. Mężczyzna musiał mieć co najmniej siedemdziesiąt lat. Nie mogli bardziej różnić się od siebie, a mimo to Harry'emu w pierwszej chwili wydało się, że patrzy na własne odbicie.

– Co ty, u diabła, tu robisz? – spytał Harry, zostając na korytarzu. Rutyna.

– A na co to wygląda? – Głos był młodszy niż twarz, spiżowy, a słowa po szwedzku wypowiedane z akcentem ulubionym, nie wiedzieć czemu, przez szwedzkie grupy grające do tańca i wędrownych kaznodziejów. – Oczywiście włamałem się, żeby sprawdzić, czy masz coś wartościowego. – Podniósł do góry obie ręce. W prawej trzymał uniwersalną wtyczkę, w drugiej *Amerykańską sielankę* Philipa Rotha w miękkiej oprawie. – Ale ty nic takiego nie masz. – Rzucił obie rzeczy na łóżko. Zajrzał jeszcze raz do płóciennej walizeczki i pytająco popatrzył na Harry'ego. – Nawet maszynki do golenia?

– Co, u diabła... – Harry olał rutynę, jednym krokiem wszedł do pokoju i zamknął wieko walizki.

– Spokojnie, mój synu. – Mężczyzna uniósł obie dłonie. – Nie bierz tego do siebie. Jesteś nowy w tym przybytku. Pozostaje pytaniem, kto pierwszy cię obrabował.

– Tutaj? Czy to znaczy...

Staruszek wyciągnął rękę.

– Witaj. Jestem Cato. Mieszkam w trzysta dziesięć.

Harry spojrzał na brudną, wielką jak patelnia łapę.

– No dalej – powiedział Cato. – Ręce to jedyna częśćka mnie, której można dotknąć.

Harry się przedstawił i ujął jego dłoń. Okazała się zaskakująco miękka.

– Ręce pastora – wyjaśnił mężczyzna, jakby odpowiadając na jego myśli. – Masz coś do picia, Harry?

Harry ruchem głowy wskazał walizkę i otwarte drzwi szafki.

– Już się przekonałeś.

– Że nic nie masz. No tak. Mam na myśli przy sobie. W kieszeni marynarki na przykład.

Harry wyciągnął gameboya i rzucił go na łóżko między inne rzeczy, które już tam leżały.

Cato przechylił głowę i spojrzał na Harry'ego. Ucho zagięło mu się o ramię.

– Patrząc na twój garnitur, przypuszczałbym, że jesteś jednym z klientów na godziny, a nie na stałe. Co ty tu właściwie robisz?

– Wciąż mi się wydaje, że to ja powinienem o to spytać.

Cato położył mu rękę na ramieniu i zajrzał głęboko w oczy.

– Synu – odezwał się spiżowym głosem i dwoma palcami pogładził lniane płótno. – Bardzo piękny garnitur. Ile za niego dałeś?

Harry chciał coś powiedzieć. Jakiś uprzejmy frazes połączony z odrzuceniem i groźbą. Zrozumiał jednak, że to na nic, więc się uśmiechnął.

Cato odpowiedział mu uśmiechem.

Jak lustrzane odbicie.

– Nie będę dłużej marudził. Poza tym muszę iść do pracy.

– Czyli...

– No proszę. Ciebie też interesują twoi bliźni. Głoszę Słowo Boże nieszczęśliwym.

– O tej porze?

– Moje powołanie nie zna wyznaczonych pór. Do widzenia.

Ukłoniwszy się elegancko, staruszek odwrócił się i wyszedł. Kiedy mijał próg, Harry dostrzegł, że z kieszeni płaszcza wystaje mu jedna z jego nieotwartych paczek cameli.

Zamknął drzwi. W pokoju został zapach starego człowieka i popiołu. Otworzył okno. Do środka natychmiast wlały się dźwięki miasta. Równy szum ruchu ulicznego, jazz płynący z otwartego okna, dalekie wznoszące się i opadające wycie syreny policyjnej, krzyk bólu nieszczęśliwego człowieka między fasadami domów, po którym rozległ się brzęk tłuczonego szkła, wiatr szeleszczący w liściach, stukot damskich obcasów. Odgłosy Oslo.

Jakiś drobny ruch kazał mu spojrzeć w dół. Światło pojedynczej lampy na podwórzu padało na kontener ze śmieciami. Mignął brązowy ogon. Na brzegu kontenera siedział szczur i węszył w powietrzu, unosząc łeb. Harry przypomniał sobie coś, co mówił jego opanowany pracodawca, Herman Kluit, pijąc albo i nie do własnej działalności: „Szczur nie jest ani zły, ani dobry. Po prostu robi to, co musi robić szczur”.

To był najgorszy okres zimy w Oslo. Jeszcze zanim mróz skuje fiord, a lodowaty słony wiatr gna ulicami centrum. Stałem jak zwykle na Dronningens gate i sprzedawałem speed, stesolid i rohypnol. Tupiałem jedną nogą, bo straciłem czucie w palcach, i zastanawiałem się, czy nie poświęcić dziennego zarobku na piekielnie drogie zimowe buty Freelance, które widziałem na wystawie Steen & Strøm. Albo na lód, bo słyszałem, że pojawił się w okolicach Plata. Ewentualnie mógłbym zwinąć trochę speedu – Tutu by nie zauważył – i kupić te buty. Ale po zastanowieniu stwierdziłem, że bezpieczniej jest ukraść buty, a raczej dopilnować, żeby Odin dostał to, co mu się należy. I tak miałem się lepiej niż Oleg, który musiał zaczynać od samego dna, sprzedając hasz w zimnym piekle nad rzeką. Tutu wyznaczył mu miejsce pod mostem Nybrua, gdzie miał konkurencję ludzi z pieprzonych miejsc na całym świecie i najprawdopodobniej na całej trasie od Ankerbrua po basen portowy był jedyną osobą płynnie mówiącą po norwesku.

Kawałek dalej na ulicy, w miejscu, gdzie zwykle stał Kundel, pryszczaty chłopak z południa Norwegii, w obroży na szyi, zobaczyłem chłopaka w koszulce Arsenalu. Nowy człowiek, ale procedura ta sama. Zbierał ekipę. Na razie miał trzech klientów, którzy stali przed nim i czekali. Bóg wie, czego tak się bali. Gliny już dawno porzuciły tę dzielnicę. Nawet jeśli zgarniały dilerów z tej ulicy, to tylko na pokaz, kiedy jakiś polityk przeszedł się po mieście i podniósł krzyk.

Ekipę minął facet ubrany tak, jakby się wybierał na confirmację. Zobaczyłem, że wymienia z tym z Arsenalu ledwie zauważalne skinienia głową. Facet zatrzymał się przede mną. Prochowiec od Fernera Jacobsena, garnitur Ermenegilda Zegny i przedziątek z chłopięcego chóru Sølvguttene. Wielki.

– Somebody wants to meet you – mówił po angielsku z powarkującym rosyjskim akcentem.

Sądziłem, że chodzi o to, co zwykle. Zauważył moją twarz, uznał, że jestem na sprzedaż, i miał ochotę na laskę albo mój nastoletni tyłek. A muszę przyznać, że w takie dni jak ten zastanawiałem się nad zmianą branży. Nad podgrzewanymi siedzeniami i cztery razy wyższą stawką godzinową.

– No, thanks – odpowiedziałem.

– Right answer is „yes, thanks”. – Facet złapał mnie za ramię i bardziej zaniósł, niż zaciągnął do czarnej limuzyny, która w tej samej chwili bezszelestnie podjechała pod krawężnik. Otworzyły się tylne drzwiczki, a ponieważ opór na nic by się nie zdał, zacząłem raczej myśleć o odpowiedniej cenie. Płatny gwałt jest mimo wszystko lepszy niż bezpłatny.

Wepchnął mnie na tylne siedzenie, drzwiczki zatrzasnęły się z miękkim, piekielnie

drogim kliknięciem. Przez szyby, które z zewnątrz wydawały się czarne i nieprzeniknione, zobaczyłem, że kierujemy się na zachód. Za kierownicą siedział nieduży gość z głową zdecydowanie za małą na te rzeczy, które miały się w niej zmieścić: wielki nochal, pozbawiona warg paszcza rekina i wytrzeszczone oczy pod brwiami, które wyglądały na przyklepione kiepskim klejem. Również on był w drogim pogrzebowym garniturze i miał przedziałek jak chórzysta. Spojrzał na mnie w lusterku.

– Sales good, eh?

– What sales, fuckhead?

Mały uśmiechnął się życzliwie i kiwnął głową. W duchu postanowiłem już, że nie dam im rabatu od ilości, jeśli o to poproszą, ale po jego spojrzeniu poznałem, że on wcale nie ma na mnie ochoty, że chodzi o coś innego, ale na razie jeszcze nie mogłem się zorientować o co. Mignął mi ratusz i zniknął. Ambasada amerykańska. Park Zamkowy. Dalej na zachód. Kirkeveien. Telewizja NRK. A później wille, adresy bogaczy.

Zatrzymaliśmy się przed dużą drewnianą willą na wzgórzu i agenci pogrzebowi przeprowadzili mnie przez furtkę. Kiedy szliśmy po żwirze w stronę dębowych drzwi, rozejrzałem się. Posiadłość była ogromna jak boisko piłkarskie, rosły tu jabłonie i grusze. Stała też przypominająca bunkier cementowa budowla, podobna do zbiorników na wodę w pustynnych krajach. Podwójny garaż z metalową bramą wyglądającą tak, jakby skrywały się za nią wielkie wozy bojowe. Wysokie na dwa-trzy metry ogrodzenie z siatki broniło dostępu do tych cudowności i już się trochę domyślałem, dokąd idziemy. Limuzyna, warkotliwy angielski, „sales good”, twierdza w willi.

W przedpokoju ten większy z agentów mnie przeszukał, a potem razem z małym przeszli w kąt, gdzie stał nieduży stolik nakryty czerwonym filcem. Na ścianie nad nim wisiły stare ikony i krucyfiksy. Obaj wyciągnęli z kabur pod pachą sploty, położyli je na czerwonym filcu i na każdej umieścili krzyż. Mały otworzył drzwi do innego pokoju.

– Ataman – powiedział, wskazując mi drogę do środka.

Starzec, którego tam zobaczyłem, musiał mieć tyle samo lat co fotel, na którym siedział. Zrobiłem wielkie oczy. Sękaty stare palce trzymały czarnego papierosa.

W ogromnym kominku wesoło trząsał ogień. Stanąłem na tyle blisko, żeby czuć jego ciepło na plecach. Blask płomieni migotał na białej jedwabnej koszuli i na twarzy starca. Odłożył papierosa i uniośł dłoń grzbietem do góry, jakby sądził, że pocałuję duży niebieski kamień w sygnecie na serdecznym palcu.

– Szafir birmański – wyjaśnił. – Sześć i sześć dziesiątych karata. Cztery i pół tysiąca dolarów za karat.

Mówił z akcentem, trudno go było uchwycić, ale go miał. Polska? Rosja? W każdym razie gdzieś na Wschodzie.

– Ile? – Oparł brodę na sygnecie.

Minęło parę sekund, zanim zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Trochę poniżej trzydziestu tysięcy – powiedziałem.

– Ile poniżej?

Zastanowiłem się.

– Dwadzieścia dziewięć tysięcy siedemset, to już blisko.

– Kurs dolara to pięć osiemdziesiąt trzy.

– Około stu siedemdziesięciu tysięcy.

Starzec kiwnął głową.

– Mówią, że jesteś dobry. – Jego starcze oczy błyszczały bardziej niebiesko niż ten fuckings birmański szafir.

– No to mają rację.

– Obserwowałem cię w akcji. Musisz jeszcze dużo się nauczyć, ale widzę, że jesteś bystrzejszy niż ci inni imbecyle. Potrafisz wypatrzeć klienta i ocenić, ile jest skłonny zapłacić.

Wzruszyłem ramionami. Ciekaw byłem, ile on jest skłonny zapłacić.

– Ale mówią też, że kradniesz.

– Tylko wtedy, kiedy się oplota.

Starzec się roześmiał. Ponieważ jednak spotkałem go po raz pierwszy, sądziłem, że to taki niezbyt gwałtowny atak kaszlu osoby chorej na raka płuc. Brzmiało to jak bulgotanie głęboko w gardle, przypominające sympatyczne perkotanie starych kutrów, jakie pływały kiedyś na południu kraju. Wbił we mnie zimne niebieskie żydowskie oczy i takim tonem, jakby informował mnie o drugim prawie Newtona, powiedział:

– Wobec tego powinieneś poradzić sobie i z następnym rachunkiem. Jeśli mnie okradniesz, ja zabiję ciebie.

Po plecach spłynął mi pot. Zmusiłem się, żeby wytrzymać jego spojrzenie. Czuję się tak, jakbym patrzył na jakąś pieprzoną Antarktydę. Nie było w nim nic. Cholerne zimne pustkowie. Ale dostrzegłem przynajmniej dwie rzeczy, na których mu zależało.

Numer jeden: pieniądze.

– Motocykliści pozwalają ci brać do własnej kieszeni pieniądze ze sprzedaży dziesięciu gramów za każde pięćdziesiąt, które sprzedasz dla nich. Siedemnaście procent. U mnie będziesz sprzedawał wyłącznie mój towar. I rozliczał się w gotówce. Piętnaście procent. Dostaniesz własny róg ulicy. Działacie w trzy osoby. Jeden ma pieniądze, drugi narkotyki,

trzeci to zwiadowca. Siedem procent dla tego z narkotykami, trzy dla zwiadowcy. Co wieczór około północy będziesz rozliczał się z Andriejem. – Kiwnął głową w stronę mniejszego chórzysty.

Róg ulicy. Zwiadowca. Pieprzone Prawo ulicy.

– Umowa stoi – powiedziałem. – Dawaj strój.

Starzec uśmiechnął się gadzim uśmiechem, wyraźnie mówiącym, które miejsce w hierarchii zajmujesz.

– Andriej to załatwi.

Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Wypytywał mnie o rodziców i przyjaciół, o to, czy mam gdzie mieszkać. Powiedziałem, że mieszkam z przybraną siostrą. Nie kłamałem bardziej, niż trzeba, bo miałem uczucie, że on już i tak zna odpowiedzi. Tylko w jednym momencie trochę odjechałem, kiedy spytał, dlaczego mówię takim archaicznym dialektem ze wschodnich dzielnic, skoro dorastałem w inteligentnej rodzinie na północy miasta. Odparłem, że mój ojciec, ten prawdziwy, pochodził ze wschodniej dzielnicy. Gównem o tym wiem, ale zawsze tak to sobie wyobrażałem, tato. Że włączysz się po wschodnich dzielnicach bez grosza przy duszy, bezrobotny, masz małe zimne mieszkanie, niedobre miejsce na wychowanie dziecka. A naprawdę zacząłem tak mówić tylko po to, żeby zirytować Rolfa i wszystkie te słodkopierdzące dzieciaki z sąsiedztwa. Zorientowałem się, że daje mi to pewną przewagę, mniej więcej taką jak tatuaż na rękach. Ludzie trochę się bali, odsuwali się lekko, robili więcej miejsca. Kiedy tak gadałem o swoim życiu, stary cały czas przyglądał się mojej gębie, postukując szafirem o podłokietnik, równo i nieprzerwanie, jakby coś odliczał. Kiedy nastąpiła pauza w tym wypytывaniu i słyszeć było jedynie stukanie, miałem wrażenie, że zaraz wylecimy w powietrze, jeśli nie przerwę tej ciszy.

– Fajna willa – stwierdziłem.

Zabrzmiało to tak głupio, że zacząłem się czerwienić.

– Mieszkał tu Hellmuth Reinhard, szef Gestapo w Norwegii. Od czterdziestego drugiego do czterdziestego piątego.

– Sąsiedzi pewnie nie przeszkadzają.

– Sąsiedni dom też należy do mnie. Tam mieszkał adiutant Reinharda. Albo odwrotnie.

– Odwrotnie?

– Nie wszystko tutaj tak łatwo zrozumieć. – Stary uśmiechnął się jaszczurczym uśmiechem. Waran z Komodo.

Wiedziałem, że muszę być ostrożny, ale nie mogłem się powstrzymać:

– W każdym razie jednej rzeczy nie rozumiem. Odin płaci mi siedemnaście procent. U

innych to też jest standard. A pan chce trzyosobowy zespół, który kosztuje łącznie dwadzieścia pięć procent. Dlaczego?

Starzec wbił oczy w jedną stronę mojej twarzy.

– Ponieważ trzech to bezpieczniejsze niż jeden, Gusto. Ryzyko, jakie ponoszą moi sprzedawcy, to moje ryzyko. Jeśli stracisz wszystkie pionki, mat jest tylko kwestią czasu, Gusto. – Powtórzył moje imię, jakby tylko po to, by słuchać jego dźwięku.

– Ale zysk...

– Oto niech cię głowa nie boli – odparł ostro. Potem się uśmiechnął i głos znów mu złagodniał. – Nasz towar płynie wprost ze źródła, Gusto. Jest sześć razy czystszy niż ta tak zwana heroina, która jest rozcieńczana najpierw w Stambule, potem w Belgradzie, a jeszcze później w Amsterdamie. Mimo to płacimy mniej za gram. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową.

– Możecie rozcieńczać towar siedem-osiem razy bardziej niż inni.

– Rozcieńczamy, ale mniej niż tamci. Sprzedajemy coś, co naprawdę można nazwać heroiną. Ty to już wiesz. Dlatego tak szybko się zgodziłeś na niższą prowizję. – Blask ognia odbił się w jego białych zębach. – Ponieważ wiesz, że będziesz sprzedawał najlepszy towar w mieście. I pójdzie ci go trzy-cztery razy więcej niż tej mąki Odina. Wiesz o tym, ponieważ widzisz to codziennie. Kupujący mijają cały rząd dilerów heroiny i podchodzą do tego, który ma na sobie...

– ...koszulkę Arsenalu.

– Klienci od pierwszego dnia będą wiedzieć, że to ty masz dobry towar, Gusto.

Potem mnie wyprowadził.

Ponieważ siedząc, nogi miał nakryte kocem, sądziłem, że jest kaleką, ale poruszał się zaskakująco lekko. W drzwiach się zatrzymał. Najwyraźniej nie chciał się pokazywać na zewnątrz. Położył mi rękę na ramieniu tuż nad łokciem, lekko uściśnił triceps.

– Niedługo się zobaczymy, Gusto.

Kiwnąłem głową. Tak jak mówiłem, wiedziałem, czym jest ta druga rzecz, na której mu zależy. „Obserwowałem cię w akcji”.

Przyglądał mi się zza przyciemnianych szyb limuzyny, jakbym był jakimś fuckings Rembrandtem. Dlatego wiedziałem, że będzie tak, jak zechcę.

– Zwiadowcą będzie moja przybrana siostra. A narkotyki będzie trzymał chłopak, który ma na imię Oleg.

– Całkiem nieźle. Coś jeszcze?

– Chcę koszulkę z numerem dwadzieścia trzy.

– *Arszawin – mruknął z zadowoleniem większy z chórzystów. – Russian.*

Prawdopodobnie nigdy nie słyszał o Michaelu Jordanie.

– *Zobaczmy – zaśmiał się starzec i spojrzał w niebo. – A teraz Andriej coś ci pokaże, żebyś mógł zacząć. – Jego ręka cały czas gładziła mnie po ramieniu, a cholerny uśmiech nie schodził mu z twarzy. Bałem się. I byłem podniecony. Wystraszony i podniecony jak myśliwy polujący na warany z Komodo.*

Chórzyci zawieźli mnie do bezludnego portu dla małych łodzi przy Frognerkilen. Mieli klucze do bramy. Wjechaliśmy między łodzie w zimowych strojach. Na końcu jednego z pomostów zatrzymaliśmy się i wysiedliśmy. Stałem zapatrzony w czarną nieruchomą wodę, a Andriej otworzył bagażnik.

– *Come here, Arszawin.*

Podszedłem i zajrzałem do środka.

Wciąż miał na sobie obrozę i koszulkę Arsenalu. Kundel zawsze wyglądał paskudnie, ale teraz widok jego gęby przypawił mnie o mdłości. Na pryszczatej twarzy widać było duże czarne dziury z zakrzepłą krwią, jedno ucho było rozdarte na pół, a zamiast jednego oka oczodół wypełniało coś, co wyglądało jak ryż z sokiem malinowym. Kiedy udało mi się oderwać wzrok od tego ryżu, dostrzegłem też dziurkę w koszulce nad „m” w słowie „Emirates”. Jakby od kuli.

– *What happened? – wydusiłem z siebie.*

– *He talked to the cop in sixpence.*

Wiedziałem, o kim mówi. O policyjnym wywiadowcy, który kręcił się po Kvadraturen. Wszyscy znali wywiadowców z Patrołu Zamętu, ale on był niby undercover. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Andriej czekał, aż się napatrzę, w końcu spytał:

– *Got the message?*

Kiwnąłem głową. Nie mogłem się powstrzymać od gapienia w zniszczone oko. Co oni, u diabła, z nim zrobili?

– *Piotr – powiedział Andriej. Razem wyjęli trupa z bagażnika, ściągnęli z niego koszulkę Arsenalu i zrzucili go z pomostu. Czarna woda go przyjęła, potknęła bezgłośnie i zamknęła paszczę. Zniknął. Andriej rzucił mi koszulkę.*

– *This is yours now.*

Wetknąłem palec w dziurę od kuli. Odwróciłem koszulkę, żeby zobaczyć plecy.

Pięćdziesiąt dwa. Bendtner.

Była godzina 6.30, kwadrans przed wschodem słońca według informacji przy prognozie pogody na ostatniej stronie porannego wydania „Aftenposten”. Tord Schultz odłożył gazetę na sąsiednie krzesło. Spojrzał przez pusty hol w stronę wejściowych drzwi.

– On zwykle wcześniej przychodzi do pracy – powiedział strażnik z Securitas, siedzący za kontuarem recepcji.

Tord Schultz przyjechał do Oslo bardzo wczesnym pociągiem i kiedy szedł z Dworca Centralnego na wschód przez Grønlandsleiret, patrzył, jak miasto się budzi. Mijał śmieciarkę. Śmieciarze obchodzili się z kontenerami z bezwzględnością, która Tordowi skojarzyła się bardziej z nonszalancją niż ze skutecznością. Piloci F16. Pakistański właściciel zieleniaka wyniósł już towary w skrzynkach przed sklep, zatrzymał się, wytarł ręce w fartuch i uśmiechnął się do niego porannym uśmiechem na dzień dobry. Pilot herculesa. Za kościołem Grønland Tord skręcił w lewo. Wznosiła się nad nim ogromna przeszklona fasada zaprojektowana i wybudowana w latach siedemdziesiątych. Budynek Policji.

O godzinie 6.37 otworzyły się drzwi. Strażnik w recepcji chrząknął. Tord podniósł wzrok. Otrzymał potwierdzenie w postaci skinienia głowy i wstał. Mężczyzna, który zmierzał w jego stronę, był od niego niższy.

Szedł szybkim sprężystym krokiem i miał włosy dłuższe, niż Tord spodziewałby się u szefa największego wydziału narkotykowego w kraju. Gdy się zbliżył, Tord zauważył białoróżowe plamki na niemal dziewczęco ładnej opalanej twarzy. Przypomniawszy sobie stewardesę, która miała skazę pigmentową, biały pas ciągnął się wzdłuż spalonej w solarium skóry od szyi, między piersiami, aż do wygolonego wzgórka. Wyglądała przez to, jakby nosiła obcisły nylonowy kombinezon.

– Mikael Bellman?

– Owszem, czym mogę służyć? – odparł mężczyzna z uśmiechem, ale nie zwalniając.

– Chciałbym porozmawiać w cztery oczy.

– Obawiam się, że muszę się przygotować do porannej odprawy, ale jeśli pan zadzwoni...

– Muszę porozmawiać z panem teraz – powiedział Tord, zaskoczony naciskiem, który usłyszał w swoim głosie.

– Ach tak? – Szef Wydziału Zwalczania Przemocności Zorganizowanej już wsunął identyfikator do czytnika przy wejściu dla personelu, ale zatrzymał się i przyjrzał mu się uważnie.

Tord Schultz podszedł bliżej. Zniżył głos, mimo że strażnik Securitas wciąż był jedyną oprócz nich osobą obecną w holu.

– Nazywam się Tord Schultz. Jestem kapitanem największych w Skandynawii linii lotniczych. Posiadam informacje dotyczące przemytu narkotyków do Norwegii przez Port Lotniczy w Oslo.

– Rozumiem. O jakiej ilości mówimy?

– Osiem kilogramów tygodniowo.

Tord dosłownie czuł spojrzenie Bellmana omiatające go od stóp do głów. Wiedział, że akurat w tej chwili mózg policjanta gromadzi i przetwarza wszelkie dostępne informacje. Mowa ciała, ubranie, postawa, wyraz twarzy, obrączka, którą z jakiegoś powodu wciąż miał na palcu, brak kolczyka w uchu, wyczyszczone buty, zasób słów, moc spojrzenia.

– Może więc jednak pana wpiszemy. – Bellman dał znak recepcjoniście.

Tord Schultz ostrożnie pokręcił głową.

– Wolałbym, aby to spotkanie odbyło się z zachowaniem pełnej dyskrecji.

– Regulamin nakazuje, by wszystkich rejestrować, ale zapewniam pana, że te informacje nie wyjdą poza Budynek Policji. – Bellman jeszcze raz dał znak strażnikowi.

W windzie jadącej na górę Schultz przez cały czas gładził palcem swoje nazwisko na nalepce, którą strażnik wydrukował i kazał przyczepić do klapy marynarki.

– Coś nie tak? – spytał Bellman.

– Nie, nie – zapewnił go Tord, ale dalej gładził nalepkę, jakby z nadzieją, że zetrze swoje nazwisko.

Gabinet Bellmana okazał się zaskakująco mały.

– Nie wielkość się liczy – powiedział Bellman tonem świadczącym o przyzwyczajeniu do takiej reakcji. – Dokonywano tu wielkich rzeczy. – Wskazał zdjęcie na ścianie. – Lars Axelsen, szef dawnego Wydziału Napadów, w latach dziewięćdziesiątych brał udział w rozbiciu gangu z Tveita.

Dał znak Tordowi, żeby usiadł, wyjął notatnik, dostrzegł spojrzenie gościa i odłożył notes.

– A więc słucham.

Tord nabrał powietrza. I zaczął opowiadać. Od rozwodu. Musiał. Czuł potrzebę wytłumaczenia dlaczego. Potem przeszedł do tego kiedy i gdzie, następnie do kto i jak, a na

koniec opowiedział o palaczu.

Przez całą jego opowieść Bellman siedział pochylony do przodu i słuchał z uwagą. Dopiero gdy Tord mówił o palaczu, jego twarz straciła skoncentrowany, profesjonalny wyraz. Po pierwszym zdumieniu przez białe, pozbawione pigmentu plamy zaczął przebijać czerwony kolor. Wyglądało to przedziwnie, jakby ktoś w środku pod skórą rozpałił ogień. Tord na chwilę stracił z nim kontakt wzrokowy, bo Bellman z rozgoryczeniem zaczął wpatrywać się w ścianę za jego plecami. Być może w zdjęcie Larsa Axelsena.

Kiedy Tord skończył opowiadać, Bellman westchnął i spuścił głowę.

Gdy na powrót ją podniósł, Tord dostrzegł zmianę, jaka zaszła w jego oczach. Pojawiło się w nich coś nowego, jakby twardość i gniew.

– Przepraszam – powiedział naczelnik wydziału. – W imieniu własnym, mojej profesji i całej instytucji. Wyrażam ubolewanie, że nie pozbyliśmy się tej pluskwy.

Tord pomyślał, że Bellman mówi to bardziej do siebie niż do niego, pilota, który przemycił osiem kilogramów heroiny tygodniowo.

– Rozumiem, że pan się boi – ciągnął Bellman. – Chciałbym móc powiedzieć, że nie ma pan się czego obawiać, ale moje drogo okupione doświadczenie mówi mi, że gdy tego rodzaju korupcja zostanie już odkryta, okazuje się, że nie dotyczy tylko jednego indywidualum.

– Rozumiem.

– Mówił pan o tym komuś jeszcze?

– Nie.

– A czy ktoś wie, że pan tu jest i rozmawia ze mną?

– Nie, nikt.

– Naprawdę nikt?

Tord spojrzał na niego, nie mówiąc na głos tego, co myślał: a kto by to miał być?

– Okej – powiedział Bellman. – Jak pan z pewnością rozumie, sprawa, z którą pan przyszedł, jest niezwykle poważna i bardzo delikatna. Powinienem postępować z niesłychaną ostrożnością, aby nie ostrzec tych, których nie należy ostrzegać. To oznacza, że muszę z tym iść jeszcze wyżej. W zasadzie powinienem pana aresztować po tym, co mi pan opowiedział, ale aresztowanie ujawniłoby i pana, i nas. Dopóki więc sytuacja się nie wyjaśni, niech pan jedzie do domu i tam zostanie. Zrozumiał pan? Proszę nikomu nie mówić o tym spotkaniu, nie wychodzić na zewnątrz, nie otwierać nieznajomym. I nie odbierać telefonów z nieznanymi numerów.

Tord powoli skinął głową.

– Jak długo to potrwa?

– Maksymalnie trzy dni.

– W porządku.

Bellman wyglądał tak, jakby chciał coś dodać, ale się zawahał. W końcu jednak się zdecydował:

– Nigdy nie zdołałem zaakceptować, że jacyś ludzie są skłonni niszczyć życie innym jedynie dla zarobku. Chcę przez to powiedzieć, że mam pewne zrozumienie dla ubogiego afgańskiego wieśniaka, ale mężczyzna w Norwegii z pensją kapitana lotnictwa...

Tord Schultz wytrzymał jego spojrzenie. Przygotowywał się na takie słowa i kiedy wreszcie padły, poczuł wręcz ulgę.

– Mimo to bardzo szanuję, że przyszedł pan tu dobrowolnie i wyłożył wszystkie karty na stół. Wiem, że zdaje pan sobie sprawę z ryzyka. W najbliższym czasie nie będzie panu łatwo, Schultz.

Policjant wstał i podał mu rękę, a Tord jeszcze raz pomyślał o tym, co przyszło mu do głowy, kiedy zobaczył go w recepcji: Mikael Bellman wzrostem idealnie nadawałby się na pilota myśliwca.

W chwili gdy Tord Schultz wychodził z Budynku Policji, Harry Hole dzwonił do drzwi Rakeł. Otworzyła mu w szlafroku z oczami jak szparki. Ziewała.

– Później w ciągu dnia wyglądam trochę lepiej – oświadczyła.

– Dobrze, że przynajmniej z jednym z nas dwojga tak jest – odparł Harry, wchodząc do środka.

– No to powodzenia – powiedziała, kiedy stanęli w salonie przed stołem zarzuconym stosami papierów. – Jest tu wszystko. Raporty ze śledztwa. Zdjęcia. Wycinki z gazet. Zeznania świadków. On jest bardzo staranny. Ja muszę iść do pracy.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Harry przygotował sobie pierwszą filiżankę kawy i wziął się do roboty.

Po trzech godzinach czytania musiał zrobić przerwę, by zwalczyć nadciągające zniechęcenie. Z filiżanką w ręku stanął przy oknie w kuchni. Tłumaczył sobie, że jest tutaj, by znaleźć wątpliwości co do winy, a nie zyskać przekonanie o niewinności. Wątpliwości wystarczą. A jednak. Materiały były jednoznaczne. Wszystkie jego lata doświadczeń w pracy śledczego zajmującego się zabójstwami działały przeciwko niemu. Rzeczy zaskakująco często okazywały się takie, na jakie wyglądały.

Po kolejnych trzech godzinach nasuwał się taki sam wniosek. W tych materiałach nie

było nic, co otwierałoby możliwość innego wyjaśnienia. To nie oznaczało, że go nie ma, ale nie znajdowało się w tych materiałach. Tak sobie wmawiał.

Wyszedł, zanim Rakel wróciła do domu, tłumacząc samemu sobie, że to *jet lag* i musi się przespać. Dobrze jednak wiedział, o co tak naprawdę chodzi. Nie miał siły powiedzieć jej, że to, co przeczytał, jeszcze bardziej utrudniło mu podtrzymywanie tej wątpliwości, która była drogą, życiem i jedyną możliwością zbawienia.

Ubrał się więc i wyszedł. Piechotą przebył całą drogę od Holmenkollen przez Ris, Sogn, Ullevål, Bolteløkka do restauracji U Schrødera. Zastanawiał się, czy nie wejść, ale zrezygnował. Poszedł dalej na wschód przez rzekę, na Tøyen.

Kiedy pchnął drzwi do Latarni Morskiej, światło dnia już zaczynało znikać. Wszystko było tu takie, jak zapamiętał. Jasne ściany, jasne wnętrza kawiarni, duże okna wpuszczające jak najwięcej światła. Wśród tego światła siedziała przy stolikach nad kawą i kanapkami popołudniowa klientela. Niektórzy ze zwieszonymi głowami, jakby właśnie dotarli do mety po biegu na pięćdziesiąt kilometrów. Inni prowadzili rozmowy w rytmie staccato w niepojętym języku ćpunów, podczas gdy jeszcze inni nikogo by nie zdziwili, gdyby pili swoje espresso w otoczeniu dziecięcych buź w którejś z mieszczańskich United Bakeries.

Niektórym wydano świeże używane ubrania; albo jeszcze je mieli w torbach plastikowych, albo już się w nie przebrali. Inni wyglądali jak agenci ubezpieczeniowi albo nauczycielki z małego miasteczka.

Harry utorował sobie drogę do kontuaru, gdzie pulchna uśmiechnięta dziewczyna w bluzie z logo Armii Zbawienia zaproponowała mu bezpłatną kawę z ekspresu i kanapki z pełnoziarnistego chleba z brązowym kozim serem.

– Nie dzisiaj, dziękuję. Czy Martine jest w pracy?

– Dziś pracuje w ambulatorium. – Dziewczyna wskazała palcem na sufit, nad którym mieściło się prowadzone przez Armię Zbawienia pogotowie dla narkomanów. – Ale kończy o...

– Harry!

Martine Eckhoff była tak samo małeńka jak dawniej. Miała uśmiechniętą kocią twarzyczkę z tymi samymi nieproporcjonalnie szerokimi ustami, nosem będącym zaledwie wypukłością na drobnej buzi i źrenicami wyglądającymi, jakby rozpułyły się w piwnych tęczęwkach. Miały kształt dziurek od klucza. Wyjaśniła mu kiedyś, że to wrodzona wada o nazwie *iris coloboma*.

Drobna dziewczyna stanęła na palcach i długo go ścisnęła. Gdy wreszcie uwolniła go z objęć, wciąż nie chciała puścić, trzymała go za obie ręce, uważnie mu się przyglądając.

Dostrzegł cień przemykający po jej twarzy na widok blizny.

– Jesteś... taki chudy.

Harry się roześmiał.

– Dziękuję. Ale to nie ja schudłem, tylko ty...

– Wiem! – zawołała Martine. – To ja utyłam. Ale wszyscy utyli. Wszyscy z wyjątkiem ciebie. Poza tym ja mam wytłumaczenie dla swojej tuszy... – Poklepała się po brzuchu, opiętym swetrem z czarnej jagnięcej wełny.

– Mhm. To dzieło Rikarda?

Roześmiała się głośno i pokiwała głową. Twarz miała czerwoną, ciepło biło od niej jak z ekranu plazmowego.

Przeszli do jedyne go wolnego stolika. Harry usiadł i przyglądał się czarnej półkuli, którą Martine próbowała wcisnąć między krzesło a krawędź stolika. Wyglądała absurdalnie na tym tle rozbitków i apatycznej beznadziei.

– Gusto – zaczął. – Znasz tę sprawę?

Martine ciężko westchnęła.

– Oczywiście. Wszyscy ją znają. Był z tego środowiska. Rzadko tu przychodził, ale od czasu do czasu go widywaliśmy. Kochały się w nim wszystkie dziewczyny, które tu pracują, bez wyjątku. Był taki piękny.

– A Oleg? Ten, który – jak twierdzą – go zabił?

– On też czasami tu przesiadywał. Przychodził z dziewczyną. – Nagle zmarszczyła czoło. – Twierdzą? Są co do tego jakieś wątpliwości?

– Próbuję się dowiedzieć. Z dziewczyną, mówisz?

– Z pełną wdzięku, ale bladą, drobną. Ingunn? Iriam? – Odwróciła się do kontuaru i zawołała: – Hej, jak ma na imię przybrana siostra Gusta? – I sama zawołała, zanim ktoś zdążył odpowiedzieć: – Irene!

– Rude włosy, piegowata? – spytał Harry.

– Taka blada, że gdyby nie te włosy, byłaby niewidzialna. Naprawdę. Pod koniec słońce dosłownie przez nią przeświecało.

– Pod koniec?

– Tak, właśnie rozmawialiśmy o tym, że dawno jej tu nie było. Pytałam kilku osób, które do nas zagląдают, czy może się wyprowadziła z miasta albo co, ale nikt nie wie, gdzie się podziała.

– Pamiętasz coś, co wydarzyło się mniej więcej wtedy, gdy doszło do tego zabójstwa?

– Nic szczególnego z wyjątkiem właśnie tego wieczoru. Usłyszałam syreny policyjne i

zrozumiałam, że chodzi o któregoś z naszych podopiecznych, kiedy jeden z twoich kolegów odebrał telefon i zaraz potem stąd wybiegł.

– Sądziłem, że według niepisanych reguł wywiadowcy nie pracują tu, w lokalu.

– Nie wydaje mi się, żeby on pracował, Harry. Siedział sam przy tamtym stoliku i udawał, że czyta „Klassekampen”. Może to zabrzmiało idiotycznie, ale wydaje mi się, że gapił się na *moi*. – Kokieteryjnie dotknęła piersi ręką.

– Najwyraźniej przyciągasz samotnych policjantów.

Roześmiała się.

– To ja cię podrywałam, nie pamiętasz?

– Taka religijna dziewczyna?

– Prawdę mówiąc, czułam się trochę nieswojo z tym jego gapieniem, ale przestał przychodzić, kiedy ciąża stała się widoczna. Wszystko jedno. Tamtego wieczoru trzasnął drzwiami, widziałam, jak biegnie w stronę Hausmanns gate. Przecież to się stało zaledwie kilkaset metrów stąd! Niedługo później pojawiły się plotki, że Gusto został zastrzelony i że aresztowali Olega.

– A co ty wiesz o tym chłopaku oprócz tego, że podobał się kobietom i że wychowywał się w rodzinie zastępczej?

– Nazywali go Złodziej. Sprzedawał violinę.

– Dla kogo?

– Razem z Olegiem pracowali kiedyś dla gangu motocyklowego z Alnabru. Dla Los Lobos. Ale potem chyba przeszli do Dubaja. Wszyscy, którym to zaproponowano, tak robili. Sprzedawali najczystsza heroinę, a kiedy pojawiła się violina, mieli ją tylko ci od Dubaja. I chyba ciągle tak jest.

– Co wiesz o Dubaju? Co to za jeden?

Martine pokręciła głową.

– Nie wiem nawet, czy to ktoś, czy coś.

– Tacy widoczni na ulicy, a mimo to organizatorzy niewidzialni. Naprawdę nikt nic nie wie?

– Ktoś na pewno wie, ale ci, co wiedzą, milczą jak zakłęci.

Z zaplecza zawołano Martine.

– Siedź – powiedziała i zaczęła dźwigać się z krzesła. – Zaraz wracam.

– Nie przejmuj się, muszę już iść – powiedział Harry.

– Dokąd?

Zapadła sekunda ciszy, kiedy obydwójce sobie uświadomili, że na to pytanie nie ma

żadnej rozsądnej odpowiedzi.

Tord Schultz siedział przy kuchennym stole pod oknem. Słońce świeciło nisko i wciąż było dostatecznie jasno, by mógł widzieć wszystkich poruszających się drogą między domami. Ale on nie patrzył na drogę. Ugryzł kawałek kanapki z serwołatką.

Samoloty przelatywały nad dachem w jedną i w drugą stronę. Lądowały i startowały. Lądowały i startowały.

Tord Schultz wsłuchiwał się w różnice w odgłosach silników. Były niczym linia czasu. Stare silniki brzmiały prawidłowo, miały właśnie ten burczący, ciepły żar, który przywoływał dobre wspomnienia. Nadawał sens, był soundtrackiem czasów, kiedy różne rzeczy miały znaczenie: praca, punktualność, rodzina, miłość kobiety, uznanie kolegi. Nowa generacja silników wypychała więcej powietrza, ale robiła to bardziej gorączkowo. Te maszyny miały latać szybciej na mniejszej ilości paliwa, efektywniej, tracić mniej czasu na to, co nieistotne. Również to, co istotnie nieistotne. Popatrzył na wielki zegar, który znów stał na lodówce. Tykał szybko i nerwowo, jak małe wystraszone serce. Siódma. Jeszcze dwanaście godzin czekania. Niedługo zrobi się ciemno. Usłyszał boeinga 747. Typ classic. Najlepszy. Dźwięk się wzmagął, w końcu przeszedł w ryk, od którego zadrżały szyby, a szklanka po drinku zadzwoniła o opróżnioną do połowy butelkę na stole. Tord Schultz zamknął oczy. To był odgłos optymizmu na przyszłość, brutalnej władzy, uzasadnionej arogancji. Dźwięk poczucia niezwyciężoności u mężczyzny w najlepszych latach.

Kiedy umilkł i w domu nagle zrobiło się cicho, zorientował się, że cisza się zmieniła. Jakby powietrze miało inną gęstość.

Jakby się zaludniło.

Odwrócił się w stronę pokoju. Przez drzwi widział ławkę treningową i najdalszy kawałek stolika przy kanapie. Spojrzał na parkiet, na cienie padające z tej części pokoju, której nie mógł zobaczyć. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Nic. Tylko tykanie zegara na lodówce. Ugryzł jeszcze kawałek kanapki, wypił łyk ze szklanki i usiadł swobodniej. Nadlatywał jakiś duży samolot. Słyszał go zza pleców. W jego warkocie utonął odgłos upływającego czasu. Pomyślał, że samolot musiał przelecieć między domem a słońcem, skoro na niego i na stół padł cień.

Harry szedł Urtegata i dalej Platous gate do Grønlandsleiret. Jakby prowadzony przez autopilota kierował się w stronę Budynku Policji. Zatrzymał się w parku otaczającym Botsen, popatrzył na więzienie, na solidne mury z szarego kamienia.

„Dokąd?”, spytała.

Czy on naprawdę miał wątpliwości co do tego, kto zabił Gusta Hanssena?

Z Oslo do Bangkoku codziennie przed północą odlatywał samolot SAS-u. Stamtąd do Hongkongu było pięć lotów dziennie. Mógł teraz iść do Leona, spakowanie walizki i wymeldowanie się zajęłoby mu dokładnie pięć minut. Pociąg na lotnisko Gardermoen. Kupno biletów w okienku SAS-u. Obiad i gazety w swobodnej bezosobowej atmosferze tranzytu na lotnisku.

Odwrócił się. Zauważył, że zniknął zapowiadający koncert czerwony plakat, który widział poprzedniego dnia.

Poszedł dalej Oslo gate i mijał Minneparken tuż przy Cmentarzu Staromiejskim, gdy nagle z cienia przy płocie doszedł głos mówiący po szwedzku:

– Masz dwie stowy na zbyciu?

Harry przystanął, żebrak wyszedł z cienia. Miał długi wystrzępiony płaszcz, a światło reflektora sprawiło, że wielkie uszy rzucały cień na jego twarz.

– Zakładam, że prosisz o pożyczkę – odparł Harry, sięgając po portfel.

– Zbiórka na tacę. – Cato wyciągnął rękę. – Nigdy nie dostaniesz ich z powrotem. Portfel zostawiłem u Leona. – W oddechu starego nie dawało się wyczuć zapachu alkoholu ani piwa, a jedynie tytoniu, co Harry’emu przypomniało, jak w dzieciństwie bawili się w chowanego u dziadka. Chował się wtedy w szafie ubraniowej w sypialni, wciągając słodki zapach zbutwiałych ubrań, które wisiały tam latami. Musiały mieć tyle lat co sam dom.

Znalazł jedynie banknot pięćsetkoronowy i wręczył go Catonowi.

– Proszę.

Cato patrzył na banknot. Pogładził go ręką.

– Słyszałem różne rzeczy – powiedział. – Mówią, że jesteś policjantem.

– Tak?

– I że pijesz. Jak się nazywa twoja trucizna?

– Jim Beam.

– Ach, Jim. Znajomy mojego Johnny’ego. Podobno znasz też tego chłopca. Olega.

– A ty go znasz?

– Więzienie jest gorsze od śmierci, Harry. Śmierć jest prosta. Uwalnia duszę. Natomiast więzienie duszę zżera, aż w końcu nic nie pozostaje w tobie z człowieka.

Zmieniasz się w upiora.

– Kto ci powiedział o Olegu?

– Mam wielu wiernych, to duża parafia, Harry. Po prostu słucham. Mówią, że ścigasz tego człowieka. Dubaja.

Harry spojrział na zegarek. Zwykle o tej porze roku nie było problemów z dostaniem miejsca w samolocie. Z Bangkoku mógł też polecieć do Szanghaju. Zhan Yin przysłała SMS-a z informacją, że w tym tygodniu będzie sama. Mogliby pojechać na wieś.

– Mam nadzieję, że go nie znajdziesz, Harry.

– Nie powiedziałem, że...

– Ci, którzy go znajdują, giną.

– Cato, dziś wieczorem lecę...

– Słyszałeś o żuku?

– Nie, ale...

– Sześć nóg owada przebija ci twarz.

– Muszę już iść, Cato.

– Widziałem to na własne oczy. – Cato opuścił brodę na koloratkę. – Pod mostem Älvsborgbron koło portu w Göteborgu. Policjant, który śledził gang heroinowy. Spuścili mu na twarz cegłę z gwoździami.

Harry dopiero teraz uświadomił sobie, o czym Cato mówi. O żuku.

Metoda była pierwotnie rosyjska i stosowana wobec donosicieli. Najpierw przybijano zdrajcy jedno ucho do podłogi bezpośrednio pod belką na suficie. Potem w zwykłą cegłę wbijano do połowy sześć dużych gwoździ. Cegłę mocowano do sznura, który przerzucano przez belkę. Koniec sznura kazano donosicielowi chwycić w zęby. Cały wic i symbolika polegały na tym, że dopóki donosiciel trzymał gębę zamkniętą, dopóty żył. Harry widział rezultat zastosowania żuka przez Triadę Taipei na pewnym nieszczęśniku, którego znaleziono w ciemnym zaułku w Tan-shui. Użyli gwoździ z szerokimi łebkami, które nie zrobiły wielkich dziur, wchodząc w ciało. Kiedy zjawiła się karetka i ratownicy wyciągnęli cegłę ze zmarłego, zdjęli mu przy tym całą twarz.

Cato schował pięćset koron do kieszeni. Drugą rękę położył na ramieniu Harry'ego.

– Rozumiem, że pragniesz chronić swego syna. Ale pomyśl, jeśli to naprawdę on zabił tego drugiego chłopaka, tamten też miał ojca, Harry. Mówią, że to ofiarność, kiedy rodzice walczą o dziecko, ale oni chcą chronić swojego klona. To nie wymaga żadnej moralnej odwagi, to po prostu egoizm genów. Kiedy byłem dzieckiem i ojciec czytał nam Biblię, wydawało mi się, że Abraham był tchórzem, skoro usłuchał Boga, kiedy ten kazał mu złożyć

w ofierze rodzzonego syna. Gdy dorosłem, zrozumiałem, że ojciec, który naprawdę nie jest egoistą, będzie gotów złożyć w ofierze własne dziecko, jeśli to służy większej sprawie. A takie rzeczy naprawdę istnieją.

Harry rzucił niedopałek na chodnik.

– Mylisz się. Oleg nie jest moim synem.

– Nie? To dlaczego tu jesteś?

– Jestem policjantem.

– Szóste przykazanie, Harry – zaśmiał się Cato. – Nie kłam.

– A nie ósme? – Harry zdeptał dymiący niedopałek. – Poza tym, jeśli dobrze pamiętam, zabrania fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu, co oznacza, że o sobie trochę można kłamać. Ale ty może nie zdążyłeś skończyć całych studiów teologicznych?

Cato wzruszył ramionami.

– Ani ja, ani Jezus nie mamy żadnych formalnych kwalifikacji. Obaj jesteśmy ludźmi słowa. Ale tak jak wszyscy szamani, wróże i szarlatani potrafimy czasami dawać fałszywą nadzieję i prawdziwą pociechę.

– Ty nawet nie jesteś wierzący?

– Pozwól, że powiem tak: z wiary nigdy nie przyszło mi nic dobrego, jedynie wątplenie. I właśnie ono stało się moim testamentem.

– Wątplenie.

– Otóż to. – Zęby Catona błysnęły w ciemności. – Pytam: jesteś pewien, że Bóg nie istnieje i nie ma jakiegoś celu?

Harry zaśmiał się cicho.

– Wcale tak bardzo się od siebie nie różnimy, Harry. Ja noszę fałszywą koloratkę, a ty fałszywą gwiazdę szeryfa. Jak trwała jest właściwie twoja ewangelia? Zapewnić moźnym ochronę i pilnować, by ci, którzy zblądźlili, zostali ukarani za popełnione grzechy? Czy ty również nie wątpisz?

Harry wystukał kolejnego papierosa z paczki.

– Niestety, w tej sprawie wątpliwości już nie mam. Jadę do domu.

– Skoro tak, to szczęśliwej podróży. A ja muszę bieć na moje nabożeństwo.

Zatrąbił samochód, Harry odruchowo się odwrócił. Przednie reflektory oślepiły go na chwilę, potem omiotły zakręt. Światła hamowania wyglądały jak punkciki żaru, gdy samochód zwolnił, kierując się ku policyjnym garażom. Kiedy Harry odwrócił się do Catona, okazało się, że stary pastor już zniknął, jakby wtopił się w ciemność. Harry słyszał już tylko kroki zmierzające w stronę cmentarza.

Rzeczywiście, spakowanie się i wymeldowanie z Leona zajęło mu dokładnie pięć minut.

– Gościom, którzy płacą gotówką, dajemy mały rabat – powiedział chłopak za kontuarem. Nie wszystko było nowe.

Harry zaczął grzebać w portfelu. Dolary hongkońskie, juany, dolary amerykańskie, euro. Zadzwoniła komórka. Harry przyłożył ją do ucha, układając banknoty w wachlarz i podsuwając chłopakowi.

– *Speak.*

– To ja. Co robisz?

Cholera, planował zadzwonić do niej już z lotniska, załatwić to najprościej i najbrutalniej jak można. Zerwać jednym szarpnięciem.

– Właśnie się wymeldowuję. Mogę do ciebie oddzwonić za dwie?

– Chcę ci tylko powiedzieć, że Oleg kontaktował się ze swoim adwokatem. Hm... To znaczy z Hansem Christianem.

– Korony norweskie – powiedział chłopak.

– Oleg mówi, że chce się widzieć z tobą, Harry.

– Cholera!

– Słucham? Harry, jesteś tam?

– Może być Visa?

– Taniej wyjdzie wziąć gotówkę z bankomatu.

– Zobaczyć się ze mną?

– Tak mówi. Najszybciej, jak to możliwe.

– To nie jest możliwe, Rakel.

– Dlaczego?

– Ponieważ...

– Sto metrów dalej na Tollbugata jest bankomat.

– Ponieważ?

– Po prostu weź kartę, dobrze?

– Harry?

– Po pierwsze, to nie jest możliwe, Rakel. On ma zakaz widzeń, a drugi raz nie uda mi się go obejść.

– A po drugie?

– Po drugie, nie widzę sensu, Rakel. Przeczytałem te dokumenty. Ja...

– Co ty?

- Wydaje mi się, że on zastrzelił Gusto Hanssena.
- Visy nie przyjmujemy. Nie ma pan nic innego? MasterCard? American Express?
- Nie! Rakel?
- Wobec tego niech będą dolary i euro. Kurs nie jest zbyt korzystny, ale to i tak lepsze niż karta.
- Rakel? Rakel? Niech to szlag!
- Coś nie tak, Hole?
- Rozłączyła się. Wystarczy?

Stałem na Skippergata i patrzyłem, jak leje deszcz. Zima jakby dobrze się nie zahaczyła, przez to było więcej deszczu. To wcale nie zmniejszyło popytu. Oleg, Irene i ja sprzedawaliśmy więcej w ciągu jednego dnia niż przez cały tydzień dla Odina i Tutu. Lekko licząc, zarabiałem sześć tysięcy dziennie. Policzyłem pozostałe koszulki Arsenalu w mieście. Starzec musiał mieć ponad dwa miliony obrotu tygodniowo, i to bardzo ostrożnie szacując.

Co wieczór przed spotkaniem z Andriejem Oleg i ja szczególnie dokładnie sprawdzaliśmy kasę i stan magazynu. Nigdy nie brakowało ani korony. Nie oplotałoby się.

Olegowi mogłem ufać w stu procentach. Wydaje mi się, że brakowało mu wyobraźni, by kradzież przyszła mu do głowy, albo w ogóle nie rozumiał takiej koncepcji. A może po prostu i serce, i rozum zajmowała mu Irene. Był wręcz komiczny, kiedy dosłownie merdał ogonem na jej widok. Jego uwielbienie było kompletnie ślepe. Bo Irene miała oczy tylko dla jednego.

Dla mnie.

Ani mnie to ziębiło, ani grzało. Po prostu tak było, i to od zawsze.

Tak dobrze ją znałem, wiedziałem dokładnie, w jaki sposób pobudzić to jej czyste, jak wyprane w proszku OMO serduszko do szybszego bicia, śliczne usta do śmiechu, niebieskie oczy, jeśli tylko tego chciałem, do wielkich łez. Mogłem pozwolić jej odejść, otworzyć drzwi i powiedzieć „proszę”. Ale ja jestem złodziejem, a złodzieje nie oddają niczego, co ich zdaniem któregoś dnia można będzie sprzedać. Irene była moja, a dwa miliony tygodniowo należały do starca.

Dziwne, jak sześć tysięcy dziennie dostaje nóg, kiedy się lubi kryształki mety podobne do kostek lodu w drinku i ciuchy kupione nie w Cubusie. Dlatego wciąż mieszkalem w lokalu, gdzie odbywały się próby, razem z Irene, która spała na materacu za perkusją. Ale ona się trzymała, nie tykała nawet skręta. Jadła tylko jakieś wegetariańskie gówno i nawet otworzyła fuckings konto w banku. Oleg mieszkał u matki, więc pewnie spał na pieniądzach. W dodatku trochę się wyprostował, uczył się i nawet zaczął trenować na Valle Hovin.

Kiedy tak stałem na Skippergata, rozmyślając i licząc, nagle zobaczyłem jakąś postać w deszczu. Okulary miał zamglone, cienkie włosy lepiły się do czaszki, a ubrany był w całoroczną kurtkę, którą pewnie jego brzydka gruba dziewczyna kupiła mu na Gwiazdkę,

identyczną jak dla siebie. To znaczy: albo dziewczyna tego faceta była brzydka, albo w ogóle jej nie miał. Mogłem to poznać po jego krokach. Kulał. Z całą pewnością wynaleziono słowo, które nieco bardziej kamufluje taką deformację, ale ja to nazywam końskim kulasem. No ale używam też określeń: psychoza maniakalno-depresyjna i Murzyn.

Zatrzymał się przede mną.

Przestałem się już dziwić tym, że tak różni ludzie kupują heroinę, ale ten facet zdecydowanie nie należał do zwykłej kategorii ćpunów. – Ile...

– Trzysta pięćdziesiąt za ćwiartkę.

– ...płacicie za gram heroiny?

– Ile płacimy? My sprzedajemy, głupku!

– Wiem. Ale ja prowadzę badania.

Popatrzyłem na niego. Dziennikarz? Pracownik socjalny? A może polityk? Kiedy sprzedawałem dla Odina i Tutu, podszedł raz podobny typ i powiedział, że pracuje dla Rady Miasta i jakiejś komisji, która nazywa się RUNO. Spytał mnie bardzo grzecznie, czy mógłbym z nim iść na zebranie komisji pod hasłem „Narkotyki i młodzież”. Chcieli usłyszeć „głosy z ulicy”. Stawiłem się tam dla jaj. Słuchałem, jak gadają o ECAD i jakimś wielkim międzynarodowym planie Europy wolnej od narkotyków. Dostałem oranżadę i drożdżówki. Uśmiełem się do łez. Ale spotkanie prowadziła kobieta, klasyczna wulgarna blondynka o męskich rysach, z wielkimi cycami i głosem sierżanta. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zoperowała sobie czegoś więcej niż cycki. Po zebraniu podeszła do mnie, powiedziała, że jest asystentką radnej do spraw socjalnych i opieki nad narkomanami i chętnie porozmawiałaby więcej o tych sprawach, więc moglibyśmy spotkać się u niej któregoś dnia, gdybym miał „możliwość”. Okazało się, że jest MILF bez „M”. Mieszkała sama na farmie. Otworzyła mi w obcisłych bryczesach i zażądała, żeby to się stało w stajni. Nie dręczyło mnie pytanie, czy naprawdę ucięła sobie fiuta. Nawet jeśli tak, to specjaliści elegancko po sobie posprząkali i wstawili maszynę do mleka, która działała jak burza. Jednak trochę dziwnie było rznąć kobietę, wyjącą jak model samolotu, w odległości dwóch metrów od wielkich, wolno przeżuujących koni, które przyglądały się temu z umiarkowanym zainteresowaniem. Później musiałem wyciągać siano spomiędzy pośladków. Spytałem, czy nie mogłaby mi pożyczyć tauzenu. Spotykałem się z nią, dopóki nie zacząłem zarabiać sześciu tysięcy dziennie. A między jednym i drugim bzykaniem zdążyła mi opowiedzieć, że asystentka radnej wcale niekoniecznie siedzi i pisze to, co jej radna dyktuje, tylko uprawia politykę praktyczną, i chociaż akurat w tej chwili jest niewolnicą, to i tak właśnie ona decyduje o tym, co się dzieje. A kiedy właściwi ludzie w końcu to rozumieją, sama zostanie radną. Słuchając jej opowieści

z ratusza, nauczyłem się, że wszystkim politykom, i małym, i dużym, chodzi o te same dwie rzeczy: o władzę i o seks. W tej kolejności. Szeptanie jej do ucha „minister” przy jednoczesnym włożeniu do cipki dwóch palców potrafiło sprawić, że odrzucało ją aż do boksu dla świń. Nie żartuję. A w twarzy faceta, który stał przede mną, widziałem cząstką tej samej intensywnej chorej żądz.

– Spieprzaj!

– Kto jest twoim szefem? Chcę z nim pogadać.

Take me to your leader? Facet był albo szalony, albo głupi.

– Spadaj!

Nie ruszył się. Stał tylko z dziwnie wygiętym biodrem i w końcu wyciągnął coś z kieszeni swojej brzydkiej kurtki. Plastikową torebką z białym proszkiem w ilości mniej więcej pół grama.

– To próbka towaru. Zanieś ją swojemu szefowi. Osiem stów za gram. Tylko uwaga przy dawkowaniu. To trzeba podzielić na dziesięć. Wróć tu pojutrze o tej samej godzinie. – Podał mi torebkę, zawrócił i pokuśtykał ulicą.

Normalnie wyrzuciłbym tą torebką do najbliższego kosza na śmieci. Nie mogłem nawet sprzedać tego gówna na własny rachunek, bo musiałem dbać o swoją reputację. Ale temu szaleńcowi oczy błyszczwały tak, jakby coś wiedział. Więc kiedy dzień pracy dobiegł końca i rozliczyliśmy się już z Andriejem, zabrałem Olega i Irene do parku heroinistów. Tam spytaliśmy, czy ktoś ma ochotę być pilotem doświadczalnym. Sam kiedyś testowałem dla Tutu. Kiedy w mieście pojawiał się nowy towar, należało iść tam, gdzie się kręcą najbardziej zdesperowane ćpuny. Te, które są skłonne przetestować wszystko, byle nic nie kosztowało, i olewają, czy ich to zabije, czy nie, bo wiedzą, że śmierć i tak jest tuż za rogiem.

Zgłosiły się cztery osoby, ale powiedziały, że chcą dodatkowo zero dziesięć normalnej hery. Odparłem, że to nie wchodzi w grę, wtedy zostały trzy. Przygotowałem działki.

– Za mało! – krzyknął jeden z dykcją jak u pacjenta po udarze. Kazałem mu się zamknąć, jeśli chce coś na deser.

We troje z Irene i Olegiem siedzieliśmy i patrzyliśmy, jak szukali żył wśród strupów i jak robili sobie zastrzyki wyjątkowo sprawnymi palcami.

– O, do diabła! – jęknął jeden.

– Huu! – zawył drugi.

Zapadła cisza. Zupełna. Jakby ktoś wystrzelił rakietą w kosmos i stracił z nią wszelki kontakt. Ale ja już to wiedziałem. Poznałem po ekstazie w oczach, zanim odpłynęli: Houston, we have no problem. Kiedy wylądowali z powrotem na Ziemi, zrobiło się już ciemno. Lot

trwał ponad pięć godzin. Dwa razy dłużej niż oszołomienie zwykłą heroiną. Wynik panelu testowego był jednogłośny: nigdy nie mieli do czynienia z czymś, co daje takiego kopa. Chcieli więcej, resztę tej torebki. Teraz, już, natychmiast. Szli na nas jak trupy w Thrillerze, ale my się tylko głośno śmialiśmy i uciekliśmy.

Kiedy usiedliśmy na moim materacu w sali prób półgodziny później, miałem myślówkę. Klasyczny ćpun zwykle zużywa ćwierć grama ulicznej heroiny na strzał. A tymczasem tutaj najbardziej zaprawieni w bojach mieli odłot jak fuckings dziewice przy jednej czwartej tego. Kuternoga dał mi czysty towar. Co to mogło być? Miało wygląd, zapach i konsystencję heroiny. Ale pięciogodzinny odłot przy takiej dawce? Tak czy owak, zrozumiałem, że siedzę na kopalni złota. Osiemset koron za gram, który można rozcieńczyć i sprzedać za tysiąc czterysta. Pięćdziesiąt gramów dziennie. Trzydzieści tysięcy prosto do kieszeni. Mojej. I Olega, i Irene.

Przedstawiłem im propozycję interesu. Objaśniłem liczby.

Popatrzyli po sobie. Nie wyglądali wcale na tak zachwyconych, jak się spodziewałem.

– Ale Dubaj... – zaczął Oleg.

Sktamałem, mówiąc, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, dopóki nie będziemy oszukiwać starego. Najpierw pójdziemy do niego, powiemy, że kończymy, że poznaliśmy Jezusa albo coś takiego. Potem trochę odczekamy i zaczniemy działać na własną rękę. Początkowo na niedużą skalę.

Znów spojrzeli na siebie. I nagle zrozumiałem, że jest tu coś, czego chyba do tej pory nie zauważyłem.

– Chodzi tylko o to, że... – powiedział Oleg, usiłując wbić wzrok w ścianę. – Irene i ja, my...

– Co wy?

Zaczął się więc jak przebita dżdżownica, w końcu spojrzął na Irene, wzrokiem prosząc ją o pomoc.

– Oleg i ja chcemy razem zamieszkać – oświadczyła. – Zbieramy na mieszkanie spółdzielcze na Bøler. Myśleliśmy o tym, żeby pracować do lata, a potem...

– Co potem?

– Potem skończyć liceum – powiedział Oleg. – I może zacząć studia.

– Prawo – dodała Irene. – Oleg ma przecież takie dobre stopnie. – Zaśmiała się jak zwykle, kiedy wydawało jej się, że powiedziała coś głupiego, ale zazwyczaj tak blade policzki zaczerwieniły jej się z radości.

Zaszli mnie od tyłu i zostali fuckings parą za moimi plecami. Jak mogłem tego nie

zauważyć?

– Prawo – powtórzyłem, otwierając torebkę, w której wciąż został ponad gram. – Czy to nie zabawa dla takich, co chcą być szefami w policji?

Żadne nie odpowiedziało.

Wyjąłem łyżkę, którą zwykle jadłem płatki zbożowe, i wytarłem ją o spodnie.

– Co robisz? – spytał Oleg.

– To trzeba uczcić – oświadczyłem i wysypałem proszek na łyżkę. – Poza tym musimy sami przetestować ten produkt, zanim zaproponujemy go staremu.

– Więc wszystko w porządku? Działamy tak jak do tej pory? – zawołała Irene z ulgą w głosie.

– Oczywiście, że tak, kochana. – Podsunąłem zapalniczkę pod łyżkę. – To dla ciebie, Irene.

– Dla mnie? Ale ja chyba nie...

– Za moje zdrowie, siostrzo! – Popatrzyłem na nią i uśmiechnąłem się. Uśmiechnąłem tym uśmiechem, na który – jak wiedziałem – Irene nie miała żadnego antidotum. – Samemu na hajcu jest nudno. Człowiek czuje się samotny.

Stopiony proszek zabulgotał na łyżce. Nie miałem waty, więc się zastanawiałem, czy nie użyć odłamanego filtra od papierosa, żeby w ten sposób oczyścić towar. Ale wyglądał na czysty, biały, o regularnej konsystencji. Poczekąłem więc tylko, aż trochę się schłodzi, i wciągnąłem go do strzykawki.

– Gusto... – zaczął Oleg.

– Będziemy ostrożni, żeby nie przedawkować, bo tego tutaj starczy dla trojga. Zapraszam i ciebie, przyjacielu. Ale może masz ochotę tylko popatrzeć?

Nie musiałem podnosić głowy, dobrze go znałem. Czyste serce, oślepiiony miłością, uzbrojony w odwagę, która kazała mu skakać z piętnastometrowych masztów na fiordzie.

– W porządku – powiedział i zaczął podwijać rękaw. – Biorę z wami.

Ta sama zbroja miała go ściągnąć na dno i utopić jak szczura.

Obudziło mnie walenie do drzwi. Miałem wrażenie, jakbym miał w głowie kopalnię, w której pracują młoty pneumatyczne, i bałem się otworzyć nawet jedno oko. Ale w końcu to zrobiłem. Poranne światło sączyło się przez szparę między drewnianymi płytami, którymi zabite było okno. Irene leżała na swoim materacu, widziałem też stopę Olega w białym bucie

Puma Speed Cat, wystającą między dwoma wzmacniaczami do gitary. Po odgłosie dobiegającym od drzwi poznałem, że ten, kto pukał, zaczął używać nóg.

Wstałem i zataczając się, poszedłem otworzyć, próbując sobie przypomnieć ewentualne informacje o próbach zespołu czy sprzęcie, po który ktoś miał przyjść. Uchyliłem drzwi, z przyzwyczajenia blokując je stopą. Nie pomogło. Gwałtowne pchnięcie rzuciło mnie do tyłu, poleciałem na perkusję. Rozległ się cholerny huk. Kiedy udało mi się odepchnąć statywy talerzy i werbel, popatrzyłem prosto w gębę mojego kochanego przybranego brata Steina.

Skreślić kochanego.

Zmężniał, ale krótkie włosy spadochroniarza i czarne, pełne nienawiści spojrzenie pozostały takie same. Zobaczyłem, że otwiera usta i coś mówi, ale uszy wciąż miałem zatkane jękiem talerzy. Kiedy do mnie podszedł, odruchowo zasłoniłem twarz rękami. Ale on mnie wyminął. Zrobił krok ponad perkusją i podszedł do Irene na materacu. Obudziła się z krzykiem, kiedy szarpnął ją za ramię i postawił na nogi.

Przytrzymał ją, a drugą ręką upychał jakieś rzeczy do jej plecaka. Przestała się opierać, kiedy poprowadził ją do drzwi.

– Stein! – spróbowałem.

Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na mnie pytająco, ale nie miałem nic do dodania.

– Już w dostatecznym stopniu zniszczyłeś tę rodzinę – oświadczył.

Wyglądał jak fuckings Bruce Lee, kiedy podnosił nogą i kopniakiem zamykał za sobą metalowe drzwi. Powietrze drżało. Oleg wystawił głowę znad wzmacniacza i coś powiedział, ale ja znów ogłuchłem.

Stałem obrócony plecami do kominka i czułem na skórze mrowiące ciepło. Ogień i jakaś cholerna antyczna lampa stanowiły jedyne źródło światła w pokoju. Starzec siedział w skórzanym fotelu i patrzył na mężczyznę, którego przywieźliśmy limuzyną ze Skippergata. Wciąż był w tej samej kurtce. Andriej stanął za nim i zdjął mu opaskę z oczu.

– No tak – zaczął starzec. – A więc jest pan dostawcą tego produktu, o którym tyle słyszałem.

– Owszem – odparł tamten, włożył okulary i mrużąc oczy, rozejrzał się po pokoju.

– Skąd to się bierze?

– Jestem tu po to, żeby sprzedawać, a nie o tym informować.

Starzec dwoma palcami pogładził się po brodzie.

– W takim razie nie jestem zainteresowany. Przejmowanie cudzego trefnego łupu w tej branży zawsze kojarzy się z trupami. A trupy to kłopoty, które nie sprzyjają interesom.

– To nie jest kradziony towar.

– Śmiem twierdzić, że mam dobrą orientację co do kanałów przerzutu, a to jest produkt, którego do tej pory nikt nie widział. Powtórzę więc: nic nie kupię, dopóki nie będę miał pewności, że to się na nas nie odbije.

– Pozwoliłem się tu przywieźć z zawiązanymi oczami, ponieważ rozumiem potrzebę dyskrecji. Mam nadzieję, że odplacicie mi się tym samym.

W cieple jego okulary zaparowały, ale ich nie zdejmował. Andriej i Piotr przeszukali go w samochodzie. Natomiast ja przeszukiwałem jego spojrzenie, mowę ciała, głos i dłonie. Znalazłem jedynie samotność. Nie było żadnej brzydkiej i grubej kochanki, był tylko ten facet i jego fantastyczne dragi.

– Z tego, co wiem, może się okazać, że jest pan policjantem.

– Z tym? – Mężczyzna wskazał na swoją stopę.

– Jeśli zajmuje się pan wwozem, to dlaczego o panu nie słyszałem?

– Ponieważ jestem nowy. Nie mam kartoteki. Nikt mnie nie zna. Ani policja, ani nikt z branży. Mam tak zwane szanowane zajęcie i do tej pory żyłem całkiem normalnie. – Skrzywił się ostrożnie, zrozumiałem, że miał to być uśmiech. – Nienormalnie normalnie. Niektórzy na pewno by tak twierdzili.

– Hm. – Starzec głaskał się i głaskał po brodzie, potem złapał mnie za rękę, przyciągnął do swojego fotela, żebym stanął obok niego i przyjrzał się temu człowiekowi. – Wiesz, co myślę, Gusto? Przypuszczam, że on sam to wytwarza. A ty jak sądzisz?

Zastanowiłem się.

– Być może – odparłem.

– Ty wiesz, Gusto, że w chemii nie trzeba być Einsteinem. W Internecie można znaleźć szczegółowe opisy przerabiania opium na morfinę, a potem heroinę. Powiedzmy, że masz dziesięć kilogramów surowego opium. Potrzebujesz trochę sprzętu kuchennego, lodówki, nieco metanolu, wentylatora i pstryk, masz osiem i pół kilograma kryształków heroiny. A po rozcieńczeniu jeden przecinek dwa kilograma heroiny ulicznej.

Mężczyzna w kurtce chrząknął.

– Potrzeba czegoś więcej niż tylko to.

– Pytanie – powiedział starzec – skąd bierze pan opium.

Tamten pokręcił głową.

– Aha. – Starzec pogładził mnie po wewnętrznej stronie ramienia. – To nie opiat, tylko

opiod.

Mężczyzna milczał.

– Słyszałeś, co on powiedział, Gusto? – Starzec wskazał palcem kuternogę. – Wytwarza w pełni syntetyczny narkotyk. Niepotrzebna mu przyroda i Afganistan. Wykorzystuje prostą chemię i wszystko produkuje na stole w kuchni. Pełna kontrola. Żadnego ryzykownego przemytu. A towar równie mocny jak heroina. Jest wśród nas prawdziwy bystrzak, Gusto. Taka przedsiębiorczość wymaga szacunku.

– Szacunku – mruknąłem.

– Ile daje pan radę wyprodukować?

– Pewnie ze dwa kilogramy tygodniowo. Trochę zależy od różnych rzeczy.

– Biorę wszystko – oznajmił starzec.

– Wszystko? – spytał mężczyzna obojętnym głosem, właściwie bez zdziwienia.

– Owszem, wszystko, co pan robi. Czy mogę przedłożyć propozycję biznesową, panie...

– Ibsen.

– Ibsen?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Ależ skąd! Przecież on również był wielkim artystą. Proponuję zatem, abyśmy stworzyli spółkę, panie Ibsen. Integrację pionową. My obstawiamy rynek i możemy ustalać ceny. Lepszą marzę dla nas obu. Co pan na to?

Ibsen pokręcił głową.

Starzec przekrzywił głowę z uśmiechem na pozbawionych warg ustach.

– Dlaczego nie, panie Ibsen?

Zobaczyłem, jak ten niewysoki mężczyzna się prostuje, jakby nagle urósł w tej swojej trochę za dużej, nieciekawej, a w dodatku całorocznej kurtce.

– Jeśli dam panu monopol, panie...

Starzec złączył czubki palców obu dłoni.

– Może mnie pan nazywać, jak pan sobie życzy, panie Ibsen.

– Nie chciałbym się uzależniać od jednego nabywcy, panie Dubaj. To zbyt ryzykowne. Oznacza też, że może pan na siłę obniżać cenę. Z drugiej jednak strony nie chcę, żeby kupujących było zbyt wielu, bo wtedy ryzyko, że policja mnie wytropi, będzie większe. Przyszedłem do pana, bo słynie pan z niewidzialności. Ale chcę mieć jeszcze jednego kupca. Już nawiązałem kontakt z Los Lobos. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

Starzec zaśmiał się tym swoim śmiechem starego kutra z południa.

– *Śłuchaj i ucz się, Gusto. Ten pan zna się nie tylko na farmacji, to również biznesmen. Dobrze, panie Ibsen, wobec tego tak się umawiamy.*

– *Cena...*

– *Zapłacę tyle, ile pan chciał. Przekona się pan, że w tej branży nie traci się czasu na targowanie. Życie jest za krótkie, a śmierć zbyt bliska. Umawiamy się na pierwszą dostawę we wtorek w przyszłym tygodniu?*

Po drodze do wyjścia starzec udat, że musi się o mnie oprzeć. Paznokciami zadrapał mi skórę na ramieniu.

– *Zastanawiał się pan nad eksportem, Ibsen? Kontrola wywozu narkotyków z Norwegii praktycznie nie istnieje, wie pan?*

Ibsen nie odpowiedział, ale ja to teraz zobaczyłem. Wiedziałem już, o co mu chodzi. Zauważyłem to, kiedy tak stał na swoim końskim kulusie z wypiętym biodrem. Dostrzegłem to w błysku na gładkim spoconym czole pod rzadkimi włosami. Para z okularów zeszła. I miał w oczach ten sam błysk, który widziałem na Skippergata. Rekompensata, tato. On się domagał wyrównania. Rekompensaty za wszystko, czego nie dostał. Za brak szacunku, miłości, podziwu, akceptacji, wszystkich tych rzeczy, których podobno nie można kupić. Ale oczywiście można. Tylko za pieniądze, a nie za fuckings współczucie, nie mam racji, tato? Życie jest ci winne pewne rzeczy i jeśli nie dostaniesz ich do ręki, musisz się ich domagać. Musisz się stać swoim własnym cholernym windykatorem. A jeśli będziemy się za to smażyć w piekle, to niebo będzie raczej słabo zaludnione. Prawda, tato?

Harry siedział w poczekalni odlotowej i wyglądał przez okno. Patrzył na samoloty wjeżdżające na pas i z niego zjeżdżające.

Za osiemnaście godzin będzie w Szanghaju.

Lubił Szanghaj. Lubił jedzenie, lubił spacerować po The Bund wzdłuż rzeki Huangpu do hotelu Peace, lubił zaglądać do Old Jazz Bar i słuchać, jak prastarzy jazzmani, skrzypiąc kośćmi, przedzierają się przez swoje standardy. Lubił myśleć o tym, że siedzą dokładnie w tym miejscu i grają bez słyszalnej przerwy od czasów rewolucji w czterdziestym dziewiątym. Lubił tę kobietę. Lubił to, co ich łączyło i co ich nie łączyło, ale co zostawili w spokoju.

Umiejętność zostawiania w spokoju. To fantastyczna cecha, którą nie został pobłogosławiony z natury, ale trenował ją przez ostatnie trzy lata. Nie walić głową w mur, kiedy się nie musi.

Jak trwała jest właściwie twoja ewangelia? Czy ty również nie wątpisz?

Za osiemnaście godzin będzie w Szanghaju.

Za osiemnaście godzin może być w Szanghaju.

Niech to szlag!

Odebrała po drugim dzwonku.

– Czego chcesz?

– Nie odkładaj, dobrze?

– Słucham.

– To słuchaj. Jaką władzę masz nad tym Nilsem Christianem?

– Hansem Christianem.

– Czy jest w tobie dostatecznie zakochany, żebyś zdołała go namówić na dość wątpliwy kaskaderski wyczyn?

Padło przez całą noc. Kiedy Harry stanął przed Więzieniem Oslo, zobaczył nową warstwę liści pokrywających cały park jak żółty mokry brezent. Mało spał, odkąd z lotniska pojechał prosto do Rakel. Hans Christian się stawił. Nie bardzo protestował i wkrótce wrócił do siebie. Rakel i Harry pili później herbatę i rozmawiali o Olegu. O tym, jak było dawniej. O tym, jak było. Ale nie o tym, jak mogło być. Przed świtem Rakel powiedziała, że Harry może się przespać w pokoju Olega. Zanim się położył, skorzystał jeszcze z komputera Olega i odszukał stare artykuły o policjancie, którego znaleziono zabitego pod mostem Älvsborgsbron w Göteborgu. Potwierdzały słowa Catona, ale Harry dodatkowo przeczytał jeszcze materiał z zawsze tak samo żadnej sensacji „Göteborgstidningen”, przekazującej pogłoski, że ofiara była tak zwanym palaczem. Wyjaśniono, że to osoba, którą przestępcy wykorzystują do niszczenia zebranych przeciwko nim dowodów. Minęły zaledwie dwie godziny, odkąd Rakel obudziła go parującą filiżanką kawy, szepcząc do niego. Zawsze zaczynała dzień od szeptu. Szeptła i do niego, i do Olega, jakby chciała im zapewnić łagodne przejście od snów do rzeczywistości.

Harry spojrział w kamerę wideo, usłyszał cichy brzęczyk i pchnął drzwi. Szybko wszedł do środka. Neserer starał się trzymać widoczny przed sobą i kładąc identyfikator na kontuarze przed strażnikiem więziennym, obrócił się do niego zdrowym policzkiem.

– Hans Christian Simonsen – mruknął tamten, nie podnosząc oczu, tylko wodząc wzrokiem po liście, którą miał przed sobą. – Jest. Do Olega Fauke.

– Zgadza się – potwierdził Harry.

Inny strażnik poprowadził go przez korytarze i przez atrium. Rozwodził się nad jesienią, która zapowiadała się ciepła, i podzwaniał wielkim pękiem kluczy za każdym razem, gdy otwierał kolejne drzwi. Przeszli przez świetlicę. Harry zobaczył tu stół do ping-ponga z dwiema raketkami, otwartą książkę na stole i małą kuchenkę, w której na wierzchu leżał ser, chleb i nóż do chleba. Ale żadnego więźnia nie było.

Zatrzymali się przed białymi drzwiami, strażnik je otworzył.

– Myślałem, że drzwi do cel są otwarte o tej porze dnia – zdziwił się Harry.

– Inne owszem, ale ten więzień siedzi z paragrafu sto siedemdziesiąt jeden – odparł strażnik. – Tylko godzina spaceru dziennie.

– A gdzie są wszyscy inni?

– Bóg raczy wiedzieć. Może znów złapali Hustler Channel w sali telewizyjnej.

Kiedy strażnik go wpuścił, Harry stał przy drzwiach, dopóki nie usłyszał oddalających się kroków. Cella była z tych zwyczajnych, dziesięć metrów kwadratowych. Łóżko, szafka, biurko z krzesłem, półki na książki i telewizor. Oleg siedział przy biurku i patrzył na niego zdumiony.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć – zaczął Harry.

– Myślałem, że mam zakaz widzeń – powiedział Oleg.

– To nie jest widzenie, tylko konsultacja z obrońcą.

– Z obrońcą?

Harry kiwnął głową i zorientował się, że Oleg już zrozumiał. Bystry chłopak.

– Jak...

– Ten rodzaj zabójstwa, o jaki jesteś podejrzany, nie wymaga zamknięcia w więzieniu o specjalnym rygorze, więc to nie było takie trudne. – Harry otworzył neseser, wyjął białego gameboya i podał go Olegowi. – Proszę, to dla ciebie.

Oleg przesunął palcami po wyświetlaczu.

– Skąd go wzięłeś?

Harry’emu wydało się, że w poważnej twarzy chłopca widzi coś na kształt uśmiechu.

– Model vintage na baterie. Znalazłem w Hongkongu. Planowałem, że kiedy następnym razem się spotkamy, pokonam cię w Tetris.

– Nigdy w życiu! – zaśmiał się Oleg. – Ani w tym, ani w pływaniu pod wodą!

– Tak jak wtedy na kąpielisku w parku Frogner? Mhm. Ja i tak uważam, że przepłynąłem metr więcej niż ty.

– Metr za mną! Mama była świadkiem!

Harry siedział nieruchomo, żeby niczego nie popsuć. Chłonał własną radość płynącą z radości na twarzy chłopca.

– O czym chciałeś ze mną rozmawiać, Oleg?

Na twarz chłopaka znów nasunęły się chmury. Obracał w palcach gameboya, jakby szukał przycisku, którym mógłby go włączyć.

– Nie musisz się spieszyć, Oleg. Ale często najłatwiej zacząć od samego początku.

Chłopak podniósł głowę i spojrzał na Harry’ego.

– Mogę ci zaufać? Bez względu na wszystko?

Harry chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Tylko kiwnął głową.

– Musisz mi coś skombinować...

Harry poczuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż prosto w serce. Już wiedział, co zaraz

usłyszy.

– Tutaj jest tylko boy i speed, a ja potrzebuję violiny.

– To dlatego chciałeś, żebym przyszedł?

– Tylko tobie udało się obejść zakaz widzeń. – Oleg patrzył na niego ciemnym, poważnym wzrokiem. Jedynie lekkie drganie skóry pod okiem świadczyło o desperacji.

– Dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić, Oleg.

– Jasne, że możesz. – Głos zabrzmiał między ścianami celi twardo i metalicznie.

– A co z tymi, dla których sprzedawałeś? Oni nie mogą cię wspomóc?

– Co sprzedawałem?

– Cholera, nie okłamuj mnie! – Harry uderzył dłonią w pokrywę neseseru. – Znalazłem koszulkę Arsenalu w twojej szafce na Valle Hovin.

– Włamałeś się...

– To też znalazłem.

Harry rzucił na łóżko fotografię pięcioosobowej rodziny.

– Wiesz, gdzie jest ta dziewczyna ze zdjęcia?

– Kto...

– Irene Hanssen. Byliście parą.

– Skąd...

– Widywano was razem w Latarni Morskiej. W szafce leży sweter pachnący jak ukwiecona łąka i sprzęt dla dwóch osób. Dzielenie skrytki to rzecz bardziej intymna niż dzielenie łóża małżeńskiego, prawda? Poza tym twoja matka mówiła mi, że kiedy cię odnalazła w mieście, wyglądałeś jak szczęśliwy idiota. Moja diagnoza: zakochany.

Jabłko Adama na szyi Olega przesunęło się w górę i w dół.

– No i co? – spytał Harry.

– Nie wiem, gdzie ona jest, okej? Po prostu zniknęła. Może starszy brat się pojawił i ją zabrał. Może siedzi gdzieś zamknięta na odwyku. A może wsiadła do samolotu i uciekła od całego tego gówna.

– A może nie skończyło się tak dobrze – powiedział Harry. – Kiedy ostatnio ją widziałeś?

– Nie pamiętam.

– Pamiętasz co do minuty.

Oleg zamknął oczy.

– Sto dwadzieścia dwa dni temu. Na długo przedtem, zanim stało się to z Gustem. Więc jaki jest związek ze sprawą?

– To się ze sobą wiąże, Oleg. Zabójstwo jest jak biały wieloryb. Osoba, która znika, jest jak biały wieloryb. Jeśli dwa razy widziałeś białego wieloryba, to musi być ten sam osobnik. Co możesz mi powiedzieć o Dubaju?

– To duże miasto. Ale nie jest stolicą Zjednoczonych Emiratów Arabskich...

– Dlaczego ty ich chronisz, Oleg? Dlaczego nie możesz powiedzieć?

Oleg znalazł włącznik gameboya i przesuwał nim w przód i w tył. Potem otworzył pokrywkę pojemnika na baterie z tyłu, podniósł wieko kosza na śmieci stojącego przy biurku, wrzucił do niego baterie i oddał zabawkę Harry'emu.

– Padł.

Harry popatrzył na gameboya i w końcu schował go do kieszeni.

– Jeśli nie załatwisz mi violiny, wstrzyknę sobie to gówno, które jest do dostania tutaj. Słyszałeś o fentanylu i heroinie?

– Fentanyl to przepis na przedawkowanie, Oleg.

– No właśnie. Będziesz mógł potem powiedzieć mamie, że to przez ciebie.

Harry nie odpowiedział. Żałosna manipulacja Olega nawet go nie wkurzyła. Miał ochotę tylko objąć chłopca i mocno go przytulić. Nie musiał nawet widzieć łez w jego oczach, żeby wiedzieć, jaka walka toczy się w jego ciele i głowie. Czuł ssanie chłopaka wręcz fizycznie, wiedział, że w takiej chwili nie istnieje nic innego. Nie liczy się moralność, miłość, żadne względy. Zostaje tylko myśl o odurzeniu, zaćpaniu się, o spokoju. Harry raz w życiu był na krawędzi i już miał przyjąć dawkę heroiny, ale przypadkowy przeblask przytomności sprawił, że odmówił. A może sprawiła to pewność, że heroinie uda się zrobić w końcu to, czego nie zdołał zrobić alkohol: odebrać mu życie. Może dziewczyna, która mu opowiadała, jak się uzależniła po pierwszym zastrzyku, bo nic, co przeżyła czy co usiłowała sobie wyobrazić, nie dawało się porównać z tą ekstazą. Może kumpel z Oppsa, który poszedł na odwyk tylko po to, by wyzerować tolerancję, bo miał nadzieję, że kiedy później zrobi sobie pierwszy zastrzyk, zbliży się do tego, co czuł, gdy po raz pierwszy w życiu dawał sobie w żyłę. I który opowiadał, że kiedy patrzył na ślad po ukłuciu na nóżce jego trzymiesięcznego synka po pierwszej szczepionce, zaczął płakać, bo wywołało to w nim tak wielki głód narkotykowy, że był gotów rzucić wszystko i prosto z przychodni iść na Plata.

– Wobec tego zawrzyjmy umowę – powiedział Harry, słysząc, jak bardzo niewyraźny ma głos. – Ja ci załatwię to, o co prosisz, a ty mi powiesz wszystko, co wiesz.

– Super.

Harry zobaczył, że źrenice mu się powiększają. Czytał gdzieś, że u ciężko uzależnionych heroinistów fragmenty mózgu aktywują się jeszcze przed zastrzykiem, więc

ćpuny fizycznie zaczynają być na haju, już kiedy topią proszek i uciskają żyłę. Harry wiedział, że to również te części mózgu Olega się teraz odzywają, że w tej chwili nie ma żadnej innej odpowiedzi niż „super”. Wszystko jedno, czy to prawda, czy nie.

– Ale niczego nie zamierzam kupować na ulicy – oświadczył Harry. – Masz violinę w swojej skrytce?

Oleg wyglądał tak, jakby przez chwilę się wahał.

– Przecież zaglądałeś do mojej skrytki.

Harry znów sobie przypomniał, że nie jest prawdą, iż dla heroinisty nie ma nic świętego. Skrytka jest święta.

– Daj spokój, Oleg. Nie przechowujesz dragów w miejscu, do którego ma dostęp inny narkoman. Gdzie twoja druga skrytka? Rezerwowa?

– Mam tylko tę jedną.

– Nic ci nie ukradnę.

– Nie mam żadnej innej skrytki, przecież ci mówię.

Harry słyszał, że Oleg kłamie, ale to nie było aż takie ważne. Prawdopodobnie oznaczało jedynie, że nie miał tam violiny.

– Wrócę jutro. – Harry wstał, zapukał do drzwi i czekał. Ale nikt nie przychodził. W końcu chwycił za klamkę. Drzwi się otworzyły. Zdecydowanie nie było to więzienie o zastrzonym rygorze.

Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Na korytarzu było pusto, podobnie w świetlicy, gdzie Harry automatycznie zarejestrował, że ser i chleb wciąż leżą na wierzchu, ale nóż zabrano. Ruszył dalej w kierunku drzwi prowadzących do wyjścia z oddziału do atrium i ku swemu zdumieniu zobaczył, że również one są otwarte.

Zamknięte drzwi zastał dopiero przy recepcji. Wspomniał o tym strażniczce za szklaną szybą. Uniosła brew i spojrzała na monitory nad sobą.

– I tak nikt nie dojdzie dalej niż tutaj.

– Oprócz mnie, mam nadzieję.

– Hę?

– Nic, nic.

Przeszedł prawie sto metrów przez park w stronę Grønlandsleiret, gdy nagle wszystko ułożyło mu się w głowie. Puste pokoje, otwarte drzwi, nóż do chleba. Znieruchomiał. Serce przyspieszyło tak, że dostał mdłości. Słyszał świergot ptaka, czuł zapach trawy. W końcu odwrócił się i biegiem ruszył w stronę więzienia. W ustach miał suchość wywołaną lękiem i adrenaliną, którą serce pompowało do krwi.

Volina uderzyła w Oslo jak fuckings asteroida. Oleg wytłumaczył mi różnicę między meteorytami a meteoroidami i wszelkim innym diabelstwem, które w każdej chwili może nam spaść na łeb. A to była asteroida, taki wielki potwór, który może zrównać Ziemią z... Cholera, rozumiesz, o co mi chodzi, tato! Nie śmiej się. Staliśmy i sprzedawaliśmy zero dziesiątki, ćwiartki, gramy i pięć gramów. Od rana do wieczora. Centrum stanęło na głowie. A potem podnieśliśmy cenę. I kolejki jeszcze się wydłużyły. I znów podnieśliśmy cenę. Kolejki były tak samo długie. I znów podwyżka. Wtedy rozpętało się piekło.

Gang Albańczyków z Kosowa obrobił członków naszej drużyny za budynkiem Giełdy – dwóch braci z Estonii działających bez zwiadowcy. Kosowscy Albańczycy użyli kijów bejsbolowych i kastetów. Zabrali i pieniądze, i dragi. Połamali im kości biodrowe. Dwa wieczory później wietnamski gang zaatakował na Prinsens gate dziesięć minut przed pojawieniem się Andrieja i Piotra po odbiór dziennego utargu. Tego z dragami dopadli na tylnym podwórzu, a kasiarz i zwiadowca nic nie zauważyli. Po cichu zaczęliśmy sobie zadawać pytanie: co dalej?

Odpowiedź pojawiła się dwa dni później.

Mieszkańcy Oslo, którzy wcześniej szli do pracy, zdążyli zobaczyć, jeszcze zanim pojawiły się gliny, żółtka zwisającego głową w dół z mostu Sannerbrua. Był przebrany za wariata. Miał na sobie kaftan bezpieczeństwa i knebel w gębie. Lina, którą miał obwiązane nogi w kostkach, była dokładnie tej długości, żeby nie był w stanie utrzymać głowy nad powierzchnią wody. Przynajmniej przez dłuższy czas, kiedy mięśnie brzucha przestały już dawać radę.

Tego samego wieczoru Oleg i ja dostaliśmy od Andrieja spluwę. Rosyjską. Andriej wierzył tylko w rosyjskie rzeczy. Palił czarne rosyjskie papierosy, dzwonił z rosyjskiej komórki. (Wcale nie żartuję, tato. Miał Gresso, drogi luksusowy gadżet z drewna African Blackwood, ale podobno wodoszczelny, a poza tym, kiedy nie był włączony, nie wysyłał sygnałów, więc gliny nie mogły go wytropić). I ufał też wyłącznie rosyjskim pistoletom. Wyjaśnił mi, że marka tej spluwy to Odessa. Tania wersja stieczkina, tak jakby któryś z nas w ogóle wiedział, o co chodzi. Wszystko jedno, w odessie wyjątkowe było to, że można z niej strzelać fuckings seriami. W magazynku mieściło się dwadzieścia naboje kalibru 9x18 mm

Małakowa, takich samych, jakich Andriej, Piotr i niektórzy inni dilerzy używali w swoich pistoletach. Dostaliśmy pudełko naboju na spółkę. Pokazał nam, jak ładować, zabezpieczać i strzelać z tego dziwnego niezgrabnego pistoletu. Mówił, że mamy mocno trzymać i celować trochę niżej niż w miejsce, w które zamierzamy trafić. I żeby nie celować w łeb, tylko gdziekolwiek w tors. Po przesunięciu umieszczonego z boku małego przelotnika na C pistolet strzelał seriami. Wystarczyło musnąć spust, a leciały trzy albo cztery kule. Zapewnił nas jednak, że w dziewięciu na dziesięć przypadków wystarczy pokazać pistolet. Po jego odejściu Oleg powiedział, że spluwa przypomina mu tę z okładki płyty Foo Fighters i że on, do cholery, nie ma zamiaru do nikogo strzelać, więc powinniśmy wyrzucić tę broń do kontenera. Odparłem, że ja ją wezmę.

Gazety wpadły w amok. Krzyczały o wojnie, blood in the streets, pieprzone LA. Politycy z partii niemającej przedstawicieli w Radzie Miasta wrzeszczeli o złej polityce antykryminalnej, o złej polityce antynarkotykowej, złym przewodniczącym rady, złej radzie. To złe miasto, stwierdził jakiś szaleniec z Partii Centrum i oświadczył, że Oslo należy zetrzeć z mapy, bo przynosi wstyd ojczyźnie. Najbardziej oberwało się komendantowi okręgowemu policji, ale gównu, jak wiadomo, splywa w dół, więc kiedy jakiś Somalijczyk zastrzelił dwóch współplemieńców point-blank przy Plata w środku dnia i nikogo nie złapano, do dymisji podał się szef Wydziału Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej. Szefowa komisji do spraw społecznych w Radzie Miasta, szefująca również komisji do spraw policji, powiedziała, że za przestępczość, narkotyki i policję odpowiada przede wszystkim państwo, lecz ona za swoje zadanie uważa zapewnienie mieszkańcom Oslo bezpiecznego poruszania się po ulicach. W gazecie było jej zdjęcie. Za nią stała asystentka. Moja stara znajoma. MILF bez „M”. Wyglądała bardzo poważnie i profesjonalnie, ale ja widziałem tylko napaloną babę w bryczesach zsuniętych do kolan.

Któregoś wieczoru Andriej przyszedł wcześniej. Ogłosił fajrant i powiedział, że mam z nim jechać na Blindern.

Kiedy minął działkę starego, zrobiło mi się cholernie nieprzyjemnie. Na szczęście Andriej skręcił na sąsiednią posesję, do tego drugiego domu, który – jak mówił starzec – również należał do niego. Andriej wszedł za mną do środka. Dom nie był tak pusty, jak wyglądało to z zewnątrz. Za murami, z których tuszyczyła się farba, i popękany szybami pokoje były umeblowane i nagrzane. Starzec siedział w pokoju, w którym regały z książkami ciągnęły się od podłogi do sufitu, a z wielkich stojących na podłodze głośników płynęła muzyka w stylu mniej więcej klasycznym. Usiadłem na jedynym krześle, Andriej wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Chciałem cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobił, Gusto – zaczął starzec, kładąc mi rękę na kolanie.

Zerknąłem na zamknięte drzwi.

– Jesteśmy w stanie wojny – powiedział, wstając. Podszedł do półek i wyciągnął grubą książkę z brązową poplamioną okładką. – Ten tekst został napisany sześćset lat przed narodzeniem Chrystusa. Nie znam chińskiego, więc mam tylko to dwustuletnie francuskie tłumaczenie, dokonane przez jezuitę, który nazywał się Jean Joseph Marie Amiot. Kupiłem je na aukcji za sto dziewięćdziesiąt tysięcy koron. Mówi o tym, jak oszukiwać wroga na wojnie, i jest najczęściej cytowanym dziełem na ten temat. I Stalin, i Hitler, i Bruce Lee uważali je za swoją Biblię. Ale wiesz co? – Odłożył tomiszczę z powrotem na półkę i wyjął jakąś inną pozycję. – Wolę tę. – Rzucił mi książkę.

Był to cienki tomik ze lśniąca niebieską okładką, całkiem nowy. Przeczytałem tytuł. Szachy dla początkujących.

– Sześćdziesiąt koron na wyprzedazy – powiedział starzec. – Zrobimy roszadę.

– Roszadę?

– Ruch, dzięki któremu król zyskuje ochronę stojącej obok siebie wieży. Zawrzemy sojusz.

– Z wieżą?

– Z wieżą ratuszową.

Myślałem.

– Rada Miasta – wyjaśnił starzec. – Przewodnicząca komisji do spraw społecznych ma asystentkę, która nazywa się Isabelle Skøyen. W praktyce to ona steruje prowadzoną przez miasto polityką antynarkotykową. Sprawdzałem u pewnego źródła. Nadaje się idealnie. Jest inteligentna, skuteczna i ekstremalnie ambitna. Powodem, dla którego nie dotarła wyżej, jest według tego źródła fakt, że wiezie życie, które tylko czeka na głośne tytuły informujące o skandalu. Bawi się. Mówi dokładnie to, co chce, i ma kochanków od wschodu po zachód.

– To brzmi jakoś strasznie – wtrąciłem.

Starzec popatrzył na mnie ostrzegawczo, zanim podjął:

– Jej ojciec był burmistrzem z ramienia Partii Centrum, ale przepadł, kiedy chciał wejść do polityki krajowej. Moje źródła mówią, że córka przejęła marzenia po ojcu. A ponieważ największe szanse ma Partia Pracy, to Isabelle wypisała się z ojcowskiego związku wieśniaków. Krótko mówiąc, wszystko w Isabelle Skøyen jest elastyczne i da się dostosować do jej ambicji. Poza tym została sama z niemałym długiem, którym obciążone jest rodzinne gospodarstwo.

– No to co robimy? – spytałem, jakbym sam siedział w rządzie, w którym premierem jest violina.

Starzec uśmiechnął się, jakby uznał to za czarujące.

– Groźbami zmusimy ją do negocjacji. I zwabimy do sojuszu. Tymi groźbami zajmiesz się ty, Gusto. Właśnie dlatego jesteś tu teraz.

– Ja? Ja mam grozić jakiejś babce z polityki?

– Owszem. Babce z polityki, z którą kopulowałeś, Gusto. Pracownicy Rady Miasta, która użyła swojej pozycji i stanowiska w celu seksualnego wykorzystania nastolatka z poważnymi problemami.

W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Tak było, dopóki nie wyciągnął z kieszeni fotografii i nie położył jej przede mną na stole. Wyglądała na pstrykniętą przez przydymione okna samochodu. Zrobiono ją na Tollbugata, a pokazywała młodego chłopaka, który wsiada do land rovera. Tablice rejestracyjne były dobrze widoczne. Chłopakiem byłem ja. Samochód należał do Isabelle Skøyen.

Ciarki przeszły mi po plecach.

– Skąd wiecie...

– Mój kochany Gusto. Przecież ci mówiłem, że mieliśmy cię na oku. Chcę, żebyś zadzwonił do Isabelle Skøyen pod prywatny numer, który z pewnością masz, i przekazał jej krótką wersję tej historii przygotowanej przez nas dla prasy. Potem poprosisz o prywatne spotkanie, na którym będziemy tylko we troje. – Podeszedł do okna i popatrzył na ponurą pogodę. – Przekonasz się, że znajdzie dla nas czas w kalendarzu.

Przez trzy ostatnie lata w Hongkongu Harry trenował biegi intensywniej niż w całym swoim poprzednim życiu. Mimo to w ciągu tych trzynastu sekund, które zajęło mu pokonanie stu metrów do wejścia do więzienia, mózg odtworzył rozmaite scenariusze, które miały jedną wspólną cechę: dobiegnie za późno.

Zadzwoił, opierając się pokusie szarpnięcia drzwiami, czekając na odgłos domofonu automatycznie otwierającego drzwi. Wreszcie rozległ się brzęczyk. Wbiegł na górę po schodach do recepcji.

– O czymś pan zapomniał? – spytała strażniczka.

– Tak. – Harry zaczekał, aż wpuści go za zamknięte drzwi, i dopiero wtedy krzyknął: – Alarm! – Rzucił neseser i pobiegł dalej. – Cela Olega Fauke!

Jego kroki niosły się echem po pustym atrium, pustych korytarzach i zdecydowanie zbyt pustej świetlicy. Nie czuł się zdyszany, a mimo to oddech rozbrzmiewał mu w głowie jak ryk.

Krzyk Olega dotarł do niego, kiedy dobiegł do ostatniego korytarza.

Drzwi celi były uchylone, a zanim do nich dopadł, przez sekundy czuł się tak, jakby znalazł się w koszmarze, w lawinie. Stopy nie chciały przemieszczać się dostatecznie szybko.

Wreszcie był w środku i mógł ocenić sytuację.

Biurko przewrócone, papiery i książki rozsypane na podłodze. W głębi pomieszczenia Oleg wciśnięty plecami w szafę z ubraniami. Czarny T-shirt ze Slayerem przesiąknięty krwią. Przed sobą chłopiec trzymał metalową pokrywę kosza na śmieci. Usta miał otwarte, wydobywał się z nich przeciągły krzyk. Przed nim Harry dostrzegł plecy w podkoszulku Gymtec bez rękawów, szeroki byczy kark, a jeszcze wyżej łysą głowę, nad którą unosiła się ręka trzymająca nóż do chleba. Zadzwoił metal, kiedy ostrze uderzyło w metalowe wieko. Mężczyzna musiał jednak wyczuć zmianę dźwięku w pomieszczeniu, bo w następnej chwili się odwrócił. Opuścił głowę i trzymając nóż nisko przed sobą, wycelował nim w Harry'ego.

– Wynoś się! – syknął.

Harry nie dał się zwieść i nie wlepił oczu w nóż, tylko skoncentrował wzrok na stopach. Zauważył, że za mężczyzną Oleg osunął się na podłogę. W porównaniu z kimś, kto trenował sporty walki, Harry dysponował żałośnie małym repertuarem technik ataku. Znał

tylko dwie. Znał też tylko dwie zasady. Po pierwsze, żadnych zasad nie ma. Po drugie, atakuj pierwszy. I kiedy działał, robił to zautomatyzowanymi ruchami osoby, która uczyła się, trenowała i powtarzała jedynie dwa sposoby ataku. Ruszył wprost na nóż, tak aby mężczyzna musiał go cofnąć, by włożyć w uderzenie odpowiednią siłę, a gdy tamten rozpoczął ruch, Harry uniósł prawą nogę i zakręcił biodrem. Już w chwili gdy nóż znów wysuwał się do przodu, stopa Harry'ego opadła i uderzyła mężczyznę tuż ponad kolanem. Ponieważ anatomia człowieka nie przewidywała szczególnej ochrony przed atakiem akurat pod tym kątem, mięsień czworogłowy uda natychmiast się zerwał, a w jego ślady poszły więzadła stawu kolanowego oraz – w momencie gdy rzepka przesunęła się w stronę piszczeli – również więzadło rzepki.

Nóż zabrzęczał na podłodze, a mężczyzna upadł z krzykiem. Jego oczy rozszerzyły się, kiedy sięgnął rękami do kolana, bo znalazł je na zupełnie nowym miejscu.

Harry kopniakiem odsunął nóż i uniósł nogę, żeby dokończyć atak, tak jak się tego uczył: zmiażdżyć mięśnie uda i wywołać tak gwałtowny wewnętrzny krwotok, żeby tamten nie zdołał się podnieść. Zorientował się jednak, że to już zbędne, więc normalnie postawił nogę.

W korytarzu słychać było pospieszne kroki i dzwonienie kluczy.

– Tutaj! – zawołał Harry, przechodząc ponad krzyczącym mężczyzną i zbliżając się do Olega.

Od drzwi dobiegło sapanie.

– Zabierzcie go stąd i sprowadźcie lekarza! – Harry musiał wołać, żeby przekrzyczeć niekończący się wrzask tamtego.

– O cholera, co tu się...

– Wszystko jedno. Po prostu sprowadź lekarza! – Harry rozerwał T-shirt ze Slayerem i zanurzył palce w krew, aż znalazł ranę. – Lekarz ma przyjść najpierw tutaj! Tamten ma tylko zwichrowane kolano.

Ujął twarz Olega w zakrwawione dłonie, słuchając, jak wyciągają krzyczącego napastnika na zewnątrz.

– Oleg, jesteś tu? Oleg!

Chłopak otworzył oczy, a słowo, które wymknęło się z jego ust, było tak ciche, że mało brakowało, a Harry by go nie usłyszał. Serce ścisnęło mu się w piersi.

– Oleg, wszystko będzie dobrze. Nie przedziurawił nic, co ci jest potrzebne.

– Harry...

– A niedługo będzie wielkie święto. Dadzą ci morfinę.

– Zamknij się, Harry!

Harry się zamknął.

Oleg otworzył oczy. Błyszczały gorączkowo, desperacko. Głos miał ochrypły, ale teraz już brzmiał całkiem wyraźnie.

– Powinieneś być mu pozwolić, żeby to dokończył, Harry.

– Co ty wygadujesz?

– Musisz mi pozwolić, żebym to zrobił.

– Co zrobił?

Bez odpowiedzi.

– Co chcesz zrobić? Oleg?

Oleg wsunął rękę za głowę Harry'ego, przyciągnął go do siebie i szepnął:

– Ty tego nie powstrzymasz, Harry. To się już stało i musi iść swoim torem. Jeśli staniesz na drodze, więcej osób zginie.

– Kto zginie?

– To jest za duże, Harry. To cię pochłonie. Pochłonie nas wszystkich.

– Kto zginie? Kogo ty chronisz, Oleg? Irene?

Oleg zamknął oczy, jego wargi ledwie się poruszyły. Potem znieruchomiały. Harry pomyślał, że Oleg wygląda teraz, jakby miał jedenaście lat i właśnie zasnął po długim męczącym dniu. W końcu jednak się odezwał:

– Ciebie, Harry. Oni zabiją ciebie.

Kiedy Harry wyszedł z więzienia, karetki już przyjechały. Myślał o rzeczach takich, jakie były kiedyś. O tym mieście takim, jakie było kiedyś. O życiu, jakie było kiedyś. Poprzedniego dnia wieczorem, gdy włączył komputer Olega, szukał również Sardines i Russian Amcar Club. Nie znalazł jednak nic, co mogłoby wskazywać na to, by mogły zmartwychwstać. Zmartwychwstanie to w ogóle raczej coś, na co nie należy mieć zbyt dużej nadziei. Życie uczy niewiele rzeczy oprócz tej jednej. Nie ma drogi powrotu.

Zapalił papierosa i zanim pierwszy raz wciągnął dym, przez tę sekundę, kiedy mózg już się cieszy z nikotyny, która przedostanie się do krwi, w głowie odtworzył mu się dźwięk – wiedział, że będzie go słyszał przez całą resztę wieczoru i nocy. To ledwie słyszalne słowo, które jako pierwsze przeszło przez usta Olega.

„Tato”.

CZĘŚĆ II

Szczurza matka polizała metal. Miał smak soli. Drgnęła przestraszona, kiedy lodówka obudziła się do czynu i zaczęła warczeć. Kościelny dzwon nie przestawał bić. Do gniazda pozostawała jedna droga, której nie wypróbowała. Nie miała odwagi tego zrobić, ponieważ człowiek, który blokował wejście, jeszcze nie umarł. Ale przenikliwe piski dzieci wprawiły ją w desperację. Zrobiła więc to. Wsunęła się do rękawa człowieka. Pachniał lekko dymem. Nie papierosowym ani z ogniska, jakimś innym. Czymś w formie gazu, co wniknęło w materiał, ale później zostało wypłukane, zostały jedynie nieliczne cząsteczki zapachu wśród najgłębszych nitek. Dotarła do łokcia, ale dalej było za ciasno. Zatrzymała się i nasłuchiwała. Z oddali dochodziły policyjne syreny.

Wszystkie te ulotne chwile i wybory, tato. Te, które uważałeś za nieważne, here today, gone tomorrow. Ale one się łączą i zanim się zorientujesz, zmieniają się w rzekę, która cię wciąga, prowadzi tam, gdzie masz dotrzeć. A ja miałem dotrzeć właśnie tutaj. W fuckings lipcu. Nie, wcale nie tutaj. Wybierałem się zupełnie gdzie indziej, tato. Kiedy skradliśmy na podwórze pod domem, Isabelle Skøyen w obcisłych bryczesach już tam stała na szeroko rozstawionych nogach.

– Andriej, ty tu zaczekasz – nakazał starzec. – Piotr, ty sprawdzisz okolicę.

Wysiedliśmy z limuzyny i otoczył nas zapach obory, bzyczenie much i dalekie pobrękiwanie krowich dzwonków. Isabelle Skøyen sztywno przywitała się uściskiem ręki ze starcem, na mnie w ogóle nie patrząc, i zaprosiła nas, a w zasadzie jego, na kawę.

W przedpokoju wisały zdjęcia koni najczystszej krwi, które zdobyły najwięcej pucharów i cholera wie czego jeszcze. Stary szedł wzdłuż tych fotografii, pytając, czy to konie pełnej krwi angielskiej. Wychwalał smukłe nogi i mocne piersi, aż w końcu zacząłem się zastanawiać, czy mówi o koniach, czy o niej. Tak czy owak, podziałało, Isabelle trochę się rozchmurzyła i zaczęła odpowiadać dłuższymi zdaniami.

– Usiądźmy w pokoju i porozmawiajmy – zaproponował stary.

– Myślę, że raczej załatwimy to w kuchni – odpowiedziała znów z tym samym lodem w głosie.

Usiedliśmy, postawiła dzbanek na środku stołu.

– *Nalej nam, Gusto – poprosił starzec, wyglądając przez okno. – Wspaniałe gospodarstwo, pani Skøyen.*

– *Tu nie ma żadnej pani.*

– *Tam, gdzie dorastałem, wszystkie kobiety, które potrafiły poprowadzić gospodarstwo, nazywaliśmy paniami. Nieważne, czy były wdowami, rozwódkami, czy pannami. To był zaszczytny tytuł.*

Odwrócił się do niej i uśmiechnął szeroko. Wytrzymała jego spojrzenie. Zapadła taka cisza, że słyhać było jedynie upośledzoną muchę, która tłukła się o szybę, chcąc wydostać się na wolność.

– *Dziękuję – powiedziała Isabelle.*

– *A więc dobrze. Na razie zapomnijmy o tych zdjęciach, pani Skøyen.*

Zesztywniała na krześle. W rozmowie telefonicznej ze mną najpierw próbowała obrócić wszystko w żart, gdy wyjaśniłem, że mamy zdjęcia, na których jest ze mną, i możemy je wysłać do prasy. Powiedziała, że jest singielką, ale seksualnie aktywną, która zabawiła się z nieco młodszym od niej partnerem. I co z tego? Przecież jest zaledwie asystentką radnej, a poza tym żyjemy w Norwegii. Podwójna moralność to coś, o czym się słyszy w związku z wyborami w Stanach Zjednoczonych. Musiałem więc krótko i dobitnie namalować obraz w sygnałowych barwach. Że przecież mi płaciła i mogę to udowodnić. Że najzwyczajniej w świecie korzystała z usług męskiej prostytutki, a prostytutka i narkotyki to akurat te dwie sprawy, w związku z którymi występowała w mediach w imieniu przewodniczącej komisji do spraw społecznych, prawda?

Dwie minuty później ustaliliśmy czas i miejsce tego spotkania.

– *Prasa już i tak wystarczająco dużo pisze o prywatnym życiu polityków – zauważył starzec. – Pomówmy więc raczej o propozycji interesu, pani Skøyen. Interes w przeciwieństwie do szantażu przynosi korzyści obu stronom. Zgodzi się pani ze mną?*

Zmarszczyła czoło. Starzec uśmiechnął się szeroko.

– *Mówiąc o propozycji interesu, nie mam, rzecz jasna, na myśli angażowania jakichkolwiek pieniędzy. Chociaż to gospodarstwo z całą pewnością nie utrzymuje się samo, to by już była korupcja, a ja proponuję czysto polityczny handel. Wprawdzie w ukryciu, ale w ratuszu takie rzeczy są na porządku dziennym. W dodatku wszystko robi się dla dobra mieszkańców stolicy, nie mam racji?*

Isabelle Skøyen znów kiwnęła głową, wciąż czujna.

– *Ten interes musi pozostać między nami a panią, pani Skøyen. Tak jak powiedziałem, w pierwszej kolejności będzie z pożytkiem dla miasta, a jedyna ewentualna korzyść, jaką*

widzę dla pani, łączyłaby się z pani ambicjami politycznymi. Zakładając, że takowe pani posiada, skróciłoby to oczywiście drogę do fotela burmistrza. Nie mówiąc już o polityce ogólnokrajowej.

Filizanka z kawą zatrzymała się w połowie drogi do ust Isabelle.

– Nie proszę nawet, żeby postąpiła pani nieetycznie, pani Skøyen. Chciałem tylko nakreślić sytuację i wskazać, gdzie mamy wspólne interesy. A pani pozostawić wykonanie tego, co uważam za słuszne.

– Mam wykonać to, co pan uważa za słuszne?

– Rada Miasta jest w trudnej sytuacji. W ostatnich miesiącach sprawy rozwinęły się w niepożądanym kierunku, a przecież już wcześniej celem rady było usunięcie Oslo z listy tych miast w Europie, w których heroina stanowi największe zagrożenie. Zamierzaliście ukrócić obrót narkotykami, rekrutację wśród młodych, a przede wszystkim liczbę zgonów z przedawkowania. Akurat w tej chwili nic nie wydaje się równie dalekie, prawda, pani Skøyen?

Nie odpowiedziała.

– W takim wypadku potrzeba bohatera albo bohaterki, osoby, która zaprowadziłaby porządek od samego dna.

Wolno skinęła głową.

– Ta osoba powinna zacząć od porządków wśród gangów i band.

Isabelle prychnęła.

– Bardzo dziękuję, ale tego próbowano już we wszystkich dużych miastach Europy. Kolejne gangi wyrastają jak chwasty. Tam, gdzie jest popyt, zawsze będzie pojawiał się ktoś, kto zapewni podaż.

– No właśnie – odparł. – Tak jak chwasty. Widzę, że ma pani pole truskawek, pani Skøyen. Stosuje pani poplon?

– Owszem, koniczynę perską.

– Mogę zaproponować pani taki poplon – powiedział starzec. – Koniczynę perską w strojach Arsenalu.

Popatrzyła na niego. Widziałem, że jej chciwy mózg pracuje na wysokich obrotach. Starzec miał zadowoloną minę.

– Poplon, mój drogi Gusto – zwrócił się do mnie i wypił łyk kawy z filizanki – to chwast, który się sieje i pozwala mu rosnać, aby nie pieniały się bujnie inne chwasty. Po prostu dlatego, że koniczyna perska to mniejsze zło. Rozumiesz?

– Chyba tak – potwierdziłem. – Tam, gdzie chwasty i tak będą rosły, lepiej pomóc

takiemu gatunkowi, który nie zabije truskawek.

– Otóż to. A w tej małej analogii przedstawiona przez radną wizja czystszej Oslo to truskawki, natomiast wszystkie gangi sprzedające śmiertelnie niebezpieczną heroinę i wprowadzające anarchię na ulicach to chwasty. Natomiast my i violina to poplon.

– Więc? – spytała Isabelle.

– Więc najpierw trzeba wyrwać wszystkie chwasty niebędące koniczyną, a ją zostawić w spokoju.

– A w czym właściwie koniczyna jest lepsza? – spytała.

– Do nikogo nie strzelamy, działamy dyskretnie, sprzedajemy substancję, która w zasadzie nie grozi przedawkowaniem. Mając monopol na polu truskawek, możemy tak podkręcić ceny, żeby było mniej użytkowników i mniej młodzieży, która się w to wciąga. Oczywiście nasz łączny zysk nie może spaść, to trzeba przyznać. Niewielka liczba użytkowników, niewielka liczba sprzedawców, épuny przestaną zapełniać parki i ulice w centrum. Krótko mówiąc, Oslo stanie się radością dla oczu, turystów, polityków i wyborców.

– Nie jestem przewodniczącą komisji do spraw społecznych.

– Na razie, łaskawa pani. Ale też i pielienie nie jest zadaniem dla radnych. Do tego mają asystentów. Do podejmowania wszystkich drobnych codziennych decyzji, które łącznie składają się na konkretne działania. Będzie pani kontynuowała linię przyjętą przez przewodniczącą, ale to przecież pani na co dzień ma kontakt z policją i omawia jej działania, na przykład na terenie Kvadraturen. Oczywiście będzie pani musiała odrobinę wzmocnić swoją rolę, ale do tego, zdaje się, ma pani pewien talent. Jakiś drobny wywiad o opiece nad narkomanami tu, wypowiedź o liczbie zgonów z przedawkowania tam. Tak aby w chwili, gdy sukces stanie się faktem, zarówno prasa, jak i koledzy partyjni wiedzieli, kto jest mózgiem, który stał za tym wszystkim, i ręką... – uśmiechnął się swoim jaszczurczym uśmiechem warana z Komodo. – I kto jest dumnym zwycięzcą organizowanego na jarmarku konkursu na największą truskawkę.

Wszyscy milczeli. Mucha po odkryciu cukiernicy zrezygnowała z prób ucieczki.

– Ta rozmowa oczywiście nigdy nie miała miejsca – odezwała się Isabelle.

– Oczywiście.

– Nawet się nie spotkaliśmy.

– Bardzo tego żałuję, pani Skøyen.

– Jak pan zamierza... Jak ma się odbyć to pielienie?

– Oczywiście trochę pomożemy. W tej branży donosicielstwo w celu pozbycia się konkurencji ma długą tradycję. Dostarczymy więc pani pewnych niezbędnych informacji.

Pani, rzecz jasna, przedstawi przewodniczącej komisji do spraw społecznych propozycję działań, ale będzie pani również potrzebny ktoś zaufany w samej policji. Może ktoś, komu także przyda się udział w takim sukcesie. Ktoś... Jak to nazwać?

– Osoba ambitna, która potrafi być pragmatyczna, gdy chodzi o dobro miasta? – Isabelle Skøyen uniosła filiżankę, jakby wznosiła malutki toast. – Przejdziemy do salonu?

Siergiej leżał na ławce na plecach, podczas gdy tatuażysta w milczeniu przyglądał się rysunkom. Kiedy przyszedł o umówionym czasie do niewielkiego zakładu, tatuażysta zajmował się wykonywaniem smoka na plecach chłopca, który leżał, zaciskając zęby, a jakaś kobieta, najwyraźniej matka, pocieszała go i raz po raz pytała, czy ten tatuaż musi być aż tak duży. Po skończonej robocie zapłaciła, a wychodząc, spytała syna, czy się nie cieszy, że teraz ma fajniejszy tatuaż niż Preben i Kristoffer.

– Ten pasowałby bardziej na plecach – stwierdził tatuażysta, wskazując na jeden z rysunków.

– *Tupoj* – odparł Siergiej cicho. Tępak.

– Co?

– Ma być tak, jak na rysunek. Muszę to powtarzać?

– Dobrze, dobrze. Ale wszystkiego dzisiaj nie zdążę.

– Nie, ty zrobić wszystko. Zapłacić dwa razy.

– A więc się spieszy?

Siergiej krótko kiwnął głową. Andriej dzwonił do niego codziennie. Przekazywał mu aktualne uspokajające informacje, więc kiedy zadzwonił dzisiaj, Siergiej był nieprzygotowany. Zupełnie nieprzygotowany na to, co Andriej powiedział.

Że to, co konieczne, stało się koniecznością.

Po rozłączeniu się Siergiej od razu pomyślał, że teraz nie ma już drogi odwrotu.

Ale natychmiast przywołał się do porządku. Nie ma drogi odwrotu? A kto by chciał odwrotu?

Może pomyślał tak, ponieważ Andriej go ostrzegł. Powiedział mu, że policjant zdołał rozbroić osadzonego, któremu zapłacili za zabicie Olega Fauke. Tamten więzień był co prawda tylko Norwegiem i nigdy wcześniej nie zadźgał nikogo nożem, ale to i tak nie oznaczało, że sprawa będzie równie łatwa jak poprzednio, nie tak jak zastrzelenie tamtego chłopaka, dilerka. Przecież to była czysta egzekucja. Do policjanta trzeba się podkraść, zaczekać, aż znajdzie się w dogodnym miejscu, i dopaść go w chwili, gdy będzie się tego

najmniej spodziewał.

– Nie zamierzam się przechwalać, ale te tatuaże, które już masz, to nie jest rzemiosło wysokiej jakości. Linie nie są wyraźne, słaby atrament. Nie powinniśmy ich odświeżyć?

Siergiej nie odpowiedział. Co ten facet wie o jakości? Linie były niewyraźne, bo tatuażysta w więzieniu jako igły używał zaostromej struny gitarowej przymocowanej do maszynki do golenia, a tusz został zrobiony ze stopionej podeszwy buta wymieszanej z uryną.

– Rysunek – pokazał Siergiej. – Już.

– Jesteś pewien, że chcesz pistolet? Ty decydujesz, ale doświadczenie mi mówi, że ludzi odrzucają symbole przemocy. Tak tylko chciałem cię ostrzec, na wszelki wypadek.

Facet najwyraźniej nie znał się na tatuazach rosyjskich przestępców. Nie wiedział, że kot oznacza wyrok za kradzież, cerkiew z dwiema kopułami to dwa wyroki. Nie miał pojęcia, że ślad po oparzeniu na piersi to pamiątka po tatuażu, który Siergiej sam sobie wypalił, posypując skórę proszkiem magnezowym i osłaniając bandażem. Tatuaż ukazywał kobiece narządy płciowe, a zrobili mu go podczas odsiadki drugiego wyroku członkowie gruzińskiej bandy Czarne Ziarno, którzy uważali, że jest im winien pieniądze przegrane w karty.

Tatuażysta nie miał też pojęcia, że pistolet, którego rysunek dostał, Makarow, służbowa broń rosyjskiej milicji, to symbol, że on, Siergiej Iwanow, zabił policjanta.

Facet nic nie wiedział. I dobrze. Lepiej dla wszystkich, żeby dalej rysował motylki, chińskie litery i kolorowe smoki na norweskiej, dobrze odżywionej młodzieży, której się wydawało, że tuzinkowe tatuaże cokolwiek oznajmniają.

– Zaczynamy? – spytał tatuażysta.

Siergiej przez chwilę się zawahał. Tatuażysta miał rację, trzeba się spieszyć. Siergiej sam zadał sobie pytanie, dlaczego nie mógł poczekać do śmierci policjanta. I sam sobie dał odpowiedź taką, jaką chciał usłyszeć: pragnął go mieć na wypadek, gdyby złapano go tuż po zabójstwie i wsadzono do norweskiego więzienia, w którym wśród osadzonych nie byłoby tatuażystów jak w Rosji.

Ale Siergiej wiedział, że na to pytanie istnieje także inna odpowiedź.

Czyżby tatuował się przed zabójstwem, ponieważ w głębi ducha się bał? Bał się tak, że nie był pewien, czy zdoła to zrobić? Czy właśnie dlatego musiał załatwić ten tatuaż przed tym wszystkim, żeby spalić za sobą wszystkie mosty, odciąć wszelkie możliwości odwrotu, tak aby dokonanie tego zabójstwa stało się koniecznością? Żaden syberyjski urka nie potrafi żyć z kłamstwem wrytym na skórze. To oczywiste. A on się przecież cieszył. Czuł tę radość. Skąd więc nagle brały się te myśli?

Wiedział skąd.

Sprzedawca narkotyków. Chłopak w koszulce Arsenalu.

To on zaczął się pojawiać w jego snach.

– Zaczynaj – powiedział.

– Lekarz uważa, że Oleg za kilka dni stanie na nogi. – Rakel z filiżanką herbaty w ręku opierała się o lodówkę.

– Trzeba go będzie wtedy przenieść gdzieś, gdzie absolutnie nikt nie będzie miał do niego dostępu – oświadczył Harry. Stał przy kuchennym oknie w jej domu i patrzył w dół na miasto. Samochody w popołudniowych godzinach szczytu wiły się jak świetlne węże na głównych ulicach.

– Policja chyba ma takie miejsca do ochrony świadków – zauważyła Rakel.

Nie wpadła w histerię. Wiadomość o ataku na Olega przyjęła z opanowaniem i rezygnacją, jakby czegoś takiego się spodziewała. Jednocześnie Harry widział gorycz na jej twarzy. Twarzy po walce.

– Musi zostać w areszcie, ale porozmawiam z prokuratorem okręgowym o przeniesieniu – odezwał się Hans Christian Simonsen. Zjawił się zaraz po telefonie Rakel i siedział teraz przy kuchennym stole, z plamami potu pod pachami.

– Sprawdź, czy nie da się obejść oficjalnych kanałów – powiedział Harry.

– O co ci chodzi? – zdziwił się adwokat.

– Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc co najmniej jeden strażnik więzienny musiał być w to wciągnięty. Dopóki nie mamy pojęcia, kto jest zamieszany w tę sprawę, musimy zakładać, że może to być każdy.

– Nie uważasz, że to trochę paranoja?

– Paranoja ratuje życie – odparł Harry. – Dasz radę to załatwić, Simonsen?

– Zobaczę, co się uda. A gdzie jest teraz?

– Leży normalnie w Szpitalu Ullevål. Zadbalem o to, żeby czuwało przy nim przez cały czas dwóch policjantów, do których mam zaufanie. I jeszcze jedno. Ten, który zaatakował Olega, też na razie jest w szpitalu, ale w więzieniu będzie miał specjalne obostrzenia.

– Zakaz korespondencji i widzeń? – spytał Simonsen.

– No właśnie. Możesz jakoś się dowiedzieć, co powie policji na przesłuchaniu albo swojemu adwokatowi?

– Z tym będzie gorzej. – Simonsen podrapał się w głowę.

– Prawdopodobnie i tak nic z niego nie wyciągną, ale przynajmniej spróbuj – powiedział Harry, zapinając marynarkę.

– A ty dokąd idziesz? – Rakel położyła mu rękę na ramieniu.

– Do źródła – odparł Harry.

Była już ósma wieczorem i ruch w stolicy kraju, w którym ludzie pracują najkrócej na świecie, dawno się zmniejszył. Chłopak stojący na schodach na samym rogu przy końcu Tollbugata nosił koszulkę z numerem 23. Arszawin. Kaptur bluzy naciągnął na głowę, na nogach miał olbrzymie adidasy Air Jordan. Dżinsy marki Girbaud były świeżo wyprasowane i tak usztywnione, że mogłyby wręcz same stać. Pełen zestaw gangsta. Wszystko aż do najdrobniejszego szczegółu skopiowane z ostatniego teledysku Ricka Rossa. Harry przypuszczał, że kiedy chłopakowi spodnie całkiem zsuną się z bioder, ujawnią właściwą markę bokserek i brak blizn po ukłuciu nożem czy strzale, ale co najmniej jeden promujący przemoc tatuaż.

Harry podszedł prosto do niego, nie rozglądając się ani w prawo, ani w lewo.

– Violina. Ćwiartka.

Chłopak przyjrzał mu się, nie wyjmując rąk z kieszeni bluzy, i kiwnął głową.

– No i co? – spytał Harry.

– Musisz poczekać, *boraz*. – Chłopak mówił z pakistańskim akcentem, który prawdopodobnie zniknął, kiedy jadł usmażone przez mamę kotlety mielone w tradycyjnym norweskim domu.

– Nie mam czasu czekać, aż zbierzesz ekipę.

– Spoko. To pójdzie szybko.

– Zapłacę stówę więcej.

Chłopak zmierzył go spojrzeniem. Harry wiedział, co mniej więcej sobie pomyślał: paskudny biznesmen w dziwacznym garniturze. Kontrolowane spożycie. Koledzy, rodzina, śmiertelny strach, że przypadkiem mogą tędy przechodzić. Facet aż się prosi, żeby go wycyckać.

– Sześć stów – podsumował diler.

Harry westchnął i kiwnął głową.

– *Idra* – powiedział chłopak i ruszył.

Harry doszedł do wniosku, że to słowo musi oznaczać, że ma iść za nim.

Okrążyli róg i przez otwartą bramę weszli na podwórze. Chłopak, który trzymał

narkotyki, był czarny, prawdopodobnie z Afryki Północnej. Stał oparty o wieżę ułożoną z drewnianych palet. Jego głowa poruszała się w górę i w dół w rytm muzyki z iPod'a. Jedna ze słuchawek była wyjęta z ucha i zwisała z boku.

– Ćwiartka – rzucił Rick Ross w koszulce Arsenalu. Ten od dragów wyjął coś z głębokiej kieszeni kurtki i podał Harry'emu dłonią odwróconą grzbietem do góry, tak że nic nie dało się zauważyć. Harry obejrzał torebkę. Proszek był biały, ale zawierał kilka ciemnych drobinek.

– Mam pytanie. – Harry schował torebkę do kieszeni.

Tamci zdętwieli. Harry zobaczył rękę tego od dragów wędrującą na plecy. Przypuszczał, że chłopak ma za paskiem pistolet niedużego kalibru.

– Czy któryś z was widział tę dziewczynę? – Pokazał zdjęcie rodziny Hanssenów.

Popatrzyli i pokręcili głowami.

– Dam pięć tysięcy koron temu, kto mi podrzuci jakiś trop. Plotkę, cokolwiek.

Tamci spojrzeli na siebie. Harry czekał. W końcu rozłożyli ręce. Może zgodzili się na wypytywanie, bo przeżyli takie rzeczy już wcześniej, zetknęli się z ojcem poszukującym córki w środowisku narkomanów w Oslo. Tak czy owak, brakowało im cynizmu albo fantazji, żeby wymyślić coś, za co mogliby zainkasować nagrodę.

– Nie to nie – westchnął Harry. – Ale chciałbym, żebyście przekazali pozdrowienia Dubajowi. I powiedzieli mu, że mam informacje, które powinny go zainteresować. Chodzi o Olega. Niech zajrzy do Leona i spyta o Harry'ego.

Moment później już go zobaczył. Miał rację. To wyglądało na berettę z serii Cheetah. Dziewięć milimetrów. Krótki pysk, paskudna sprawa.

– A więc jesteś *baosz*?

Kebabowy norweski. Policjant.

– Nie – odparł Harry, próbując przełknąć mdłości, które napływały zawsze, gdy patrzył w lufę pistoletu.

– Łżesz. Nie bierzesz violiny. Ty nas śledzisz.

– Nie kłamię.

Ten od dragów skinął na Ricka Rossa, który podszedł do Harry'ego i podciągnął mu rękaw marynarki. Harry próbował oderwać wzrok od lufy. Rozległo się ciche gwizdnięcie.

– Jednak wygląda na ćpuna – stwierdził Rick Ross.

Harry użył zwykłej igły do szycia, którą opalił w płomieniu zapalniczki. Wbił ją głęboko i powiercił nią w czterech czy pięciu miejscach na przedramieniu, a potem natarł rany salmiakiem, żeby się zaogniły. Na koniec przebił na wylot żyłę łokciową, żeby krew

wyłąnęła pod skórę, tworząc efektowne siniaki.

– Wydaje mi się, że on mimo wszystko kłamie – stwierdził ten od dragów. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i chwycił pistolet w obie ręce.

– Dlaczego? Zobacz, ma też strzykawkę i metalową folię w kieszeni.

– Ale się nie boi.

– O co ci, do cholery, chodzi? Popatrz tylko na niego.

– Nie boi się tak, jak powinien. Hej, *baosz!* Przygotuj strzykawkę!

– Odbiło ci, Rage?

– Zamknij się!

– Spoko. Dlaczego tak się wkurzasz?

– Ragemu pewnie się nie spodobało, że zwróciłeś się do niego po imieniu – zauważył Harry.

– Ty też się zamknij! Szykuj się! Bierz towar z własnej torebki.

Harry nigdy dotąd nie topił narkotyków ani ich sobie nie wstrzykiwał, w każdym razie nie na przytomnie. Ale zażywał opium i wiedział, o co chodzi. Trzeba doprowadzić narkotyk do formy płynnej, którą się wciąga do strzykawki. Czy to może być bardzo trudne? Przykucnął, wysypał proszek na metalową folię, kilka ziarenek upadło na ziemię. Poślinił palec, zebrał je i wtarł sobie w dziąsła. Próbował okazywać zapał. Proszek był gorzki, jak ten, którego smak sprawdzał kiedyś jako policjant. Ale smakował też czymś innym, miał leciuteńki posmak amoniaku. Nie, to nie amoniak. Teraz to sobie uświadomił. Przypominał przejrzalą papaję. Zapalił zapalniczkę, wierząc, że dilerzy przypiszą niezgrabne ruchy okolicznościom: wciąż miał lufę pistoletu wymierzoną w czoło.

Dwie minuty później trzymał już naładowaną strzykawkę.

Rick Ross odzyskał swój chłód gangsta. Podciągnął rękawy aż do łokci, stanął na szeroko rozstawionych nogach z rękami skrzyżowanymi na piersi, lekko odchyloną głową.

– No strzelaj! – rozkazał. Poderwał się i wyciągnął rękę w powstrzymującym geście. – Nie ty, Rage!

Harry spojrzał na nich. Rick Ross nie miał żadnych śladów na gołych przedramionach, a Rage wyglądał na trochę zbyt wystylizowanego. Harry, zaciskając pięść, kilkakrotnie zgiął lewą rękę w łokciu. Pstryknął w przedramię, po czym wprowadził igłę pod kątem przepisowych trzydziestu stopni. Miał nadzieję, że to wygląda profesjonalnie, przynajmniej w oczach kogoś, kto sam nie robił sobie zastrzyków.

– Aaa! – jęknął.

Dostatecznie profesjonalnie, żeby się nie zastanawiali, czy czubek igły wbił się w żyłę,

czy tylko w ciało.

Przewrócił oczami, ugiął nogi w kolanach.

Dostatecznie profesjonalnie, żeby nabrali się na udawany orgazm.

– Nie zapomnijcie przekazać wiadomości Dubajowi – szepnął jeszcze.

Na chwiejnych nogach wyszedł na ulicę i zataczając się, ruszył w stronę zamku.

Wyprostował się dopiero na Dronningens gate.

Na Prinsens gate dopadło go spóźnione działanie. To te cząsteczki narkotyku, które jednak przedostały się do krwi, dotarły do mózgu okrężną drogą przez naczynia włosowate. Przypominały dalekie echo odurzenia po zastrzyku zrobionym prosto w żyłę. Mimo to Harry poczuł łzy napływające do oczu. To było jak połączenie z kochanką, której miało się już nigdy nie zobaczyć. Uszy wypełniły się nie tyle niebiańską muzyką, co niebiańskim światłem. W tej chwili zrozumiał, dlaczego nazywają to violina.

Dochodziła już dziesiąta wieczorem, w pokojach Wydziału Zwalczania Przeszłości Zorganizowanej światła były pogaszone, na korytarzach pusto. Ale w pokoju Trulsa Berntsena ekran komputera rzucał niebieski blask na policjanta siedzącego z nogami na stole. Postawił tysiąc pięćset koron na Manchester City i właśnie je przegrywał. Ale teraz mieli rzut wolny. Osiemnaście metrów, Tévez przy piłce.

Usłyszał, że drzwi się otwierają, więc przesunął prawy palec wskazujący w stronę klawisza Escape, ale było już za późno.

– Mam nadzieję, że streaming nie jest opłacany z mojego budżetu.

Mikael Bellman zajął jedyne wolne krzesło. Truls zwrócił uwagę, że w miarę jak Bellman awansował, coraz rzadziej mówił dialektem, w którym wyrosł na Manglerud. Tylko podczas rozmów z Trulsem czasami przypominał sobie o swojej dawnej dzielnicy.

– Czytałeś gazetę?

Truls kiwnął głową. Ponieważ nie miał nic innego do roboty, po uporaniu się ze stronami kryminalnymi i sportowymi, czytał dalej. Dość długo oglądał też zdjęcia asystentki radnej, Isabelle Skøyen. Zaczęła się pojawiać w fotoreportażach z premier i innych wydarzeń towarzyskich, odkąd „VG” latem przeprowadziła z nią wywiad zatytułowany *Zamiataczka ulic*, w którym między innymi uznano ją za główną projektodawczynię oczyszczenia ulic Oslo z gangów narkotykowych i heroinistów. Lansowano ją tam również jako przyszłą parlamentarzystkę. W każdym razie dzięki niej notowania Rady Miasta rosły. Truls miał wrażenie, że w miarę jak rośnie jej poparcie w opozycji, dekolty opadają jej coraz niżej, a

uśmiech na zdjęciach był już tak szeroki, że wkrótce mógł zacząć przypominać wsteczne lusterko.

– Odbyłem wielce nieoficjalną rozmowę z komendant główną policji – powiedział Bellman. – Zamierza przedstawić ministrowi sprawiedliwości moją kandydaturę na komendanta okręgowego.

– Jasny gwint! – krzyknął Truls. Tévez strzelił w samo okienko!

Bellman wstał.

– Pomyślałem tylko, że może chciałbyś to wiedzieć. Ulla i ja mamy zresztą zamiar zaprosić kilka osób do domu w przyszłą sobotę.

Truls poczuł znajome ukłucie, które pojawiało się zawsze na dźwięk imienia Ulli.

– Nowy dom, nowa praca, no wiesz. A ty przecież pomagałeś w wylewaniu tarasu.

Pomagałem? – pomyślał Truls. Całe to gówno zrobiłem sam.

– Więc jeśli nie będziesz zbyt zajęty... – Bellman skinieniem głowy wskazał na komputer. – To zapraszam.

Truls podziękował. Tak jak dziękował, kiedy spotykali się jako chłopcy. Dziękował za to, że mógł być piątym kołem u wozu, widzem podziwiającym oczywiste szczęście Mikaela Bellmana i Ulli. Podziękował za kolejny wieczór, podczas którego miał ukrywać, kim jest i co czuje.

– Aha, jeszcze jedno – rzucił Bellman. – Pamiętasz tamtego faceta, którego miałeś skreślić w rejestrze gości w recepcji?

Truls z kamienną twarzą skinął głową. Bellman zatelefonował do niego i wyjaśnił, że właśnie wyszedł od niego niejaki Tord Schultz, który podał mu informacje o przemyśle narkotyków i o palaczu w ich własnych szeregach. Bellman martwił się o jego bezpieczeństwo, dlatego uznał, że jego nazwisko należy usunąć z rejestru, na wypadek gdyby ów palacz pracował u nich w komendzie i miał dostęp do księgi gości.

– Próbowałem do niego dzwonić kilka razy, ale nie odbiera. Trochę się tym niepokoję. Jesteś pewien, że Securitas usunął jego nazwisko i nikt więcej się o nim nie dowiedział?

– Absolutnie pewien, panie komendancie – odparł Truls. Manchester przeszedł do obrony i daleko wybił piłkę. – A przy okazji, miałeś jeszcze jakieś wiadomości od tego marudnego komisarza z lotniska?

– Nie. Chyba w końcu przyjął do wiadomości, że to była po prostu mąka ziemniaczana. A co?

– Tak się tylko zastanawiałem, panie komendancie. Wracaj do domu i pozdrów Smoka.

– Wolałbym, żebyś używał innego określenia.

Truls wzruszył ramionami.

– Przecież sam ją tak nazywasz.

– Mam na myśli „komendanta”. Ta informacja stanie się oficjalna dopiero za dwa tygodnie.

Szef lotów westchnął. Dyżurny ruchu właśnie zadzwonił do niego z informacją, że samolot do Bergen się opóźnił, ponieważ kapitan się nie stawił, w ogóle o tym nie uprzedzając, musieli więc wyczarować znikąd nowego pilota.

– Schultz przechodzi akurat dość ciężki okres – powiedział szef lotów.

– Telefonu też nie odbiera.

– Tego się obawiałem. Zdarza się, że w czasie wolnym odlatuje solo.

– Ja też o tym słyszałem. Ale to nie było w czasie wolnym. Mało brakowało, a musielibyśmy odwołać lot.

– No cóż, ma teraz trochę wybojów na drodze. Pogadam z nim.

– Każdy ma wyboistą drogę. Muszę złożyć pełny raport, rozumiesz?

Szef lotów się zawahał, ale w końcu się poddał.

– Jasne.

Kiedy się rozłączyli, w pamięci szefa lotów pojawił się pewien obraz. Popołudnie, grill, lato. Campari. Budweiser i gigantyczne befsztyki prosto z Teksasu przywiezione przez młodego, szkolącego się pilota. On i Else w sypialni, do której przekradli się niezauważeni przez nikogo. Ona jęczała cicho, cichutko, tak by zagłuszały ją okrzyki bawiących się dzieci, nadlatujące samoloty i beztroski śmiech tuż za otwartym oknem. Samoloty stale nadlatywały. Dudniący śmiech Torda po kolejnym klasycznym lotniczym żarcie. I ciche postękiwanie Else, jego żony.

– Kupiłeś violinę? – Beate Lønn z niedowierzaniem patrzyła na Harry’ego, który siedział w kącie jej pokoju. Przesunął krzesło z ostrego porannego słońca w cień i objął mocno dłońmi kubek z kawą, który mu podała. Pot oblepiał mu twarz jak plastikowa folia. Marynarkę przewiesił przez oparcie krzesła.

– Chyba nie...?

– Oszalałaś? – Harry siorbnął łyk niemal wrzącej kawy. – Alkoholikom nie wolno robić takich rzeczy.

– To dobrze, bo inaczej pomyślałabym, że to klasyczny ślad po źle zrobionym zastrzyku – powiedziała.

Harry spojrzał na swoje przedramię. Oprócz garnituru z ubrania miał jedynie trzy pary slipów, jedną parę skarpet na zmianę i dwie koszule z krótkimi rękawami. Zamierzał w Oslo kupić to, co będzie potrzebne, ale na razie brakowało mu na to czasu. A dziś rano obudził się z czymś, co do tego stopnia przypominało kaca, że niemal starym zwyczajem zwymiotował do sedesu. Rezultatem zastrzyku, który zrobił w miesiąc, był siniak kształtem i kolorem przypominający Stany Zjednoczone, kiedy Reagana wybrano na powtórnią kadencję.

– Chcę, żebyś mi to przeanalizowała – oświadczył Harry.

– Po co?

– Z powodu zdjęć z miejsca zdarzenia, na których była torebka znaleziona przy Olegu.

– Tak?

– Macie cholernie dobre aparaty. Widać było, że proszek jest całkiem biały. A ten tutaj ma brązowe drobinki, zobacz. Chcę wiedzieć, co to jest.

Beate wyjęła z szuflady szkło powiększające i nachyliła się nad proszkiem, który Harry rozsypał na okładce „Forensic Magazine”.

– Masz rację – stwierdziła. – Próbkę, które tu mieliśmy, były białe. Ale w ostatnich miesiącach w zasadzie nie zatrzymaliśmy żadnych narkotyków, więc to bardzo interesujące. Zwłaszcza że niedawno dzwonił komisarz z posterunku na lotnisku i mówił o tym samym.

– To znaczy o czym?

– Znaleźli torbę z proszkiem w bagażu podręcznym jakiegoś lotnika. Komisarz spytał, jakim sposobem doszliśmy do tego, że to czysta mąka ziemniaczana, skoro na własne oczy

widział w proszku brązowe drobinki.

– Uważał, że ten lotnik przemycił violine?

– Prawdę mówiąc, do tej pory na granicy ani razu nie zatrzymano violiny, więc na pewno nigdy jej nie widział. Biała heroina to też rzadkość, większość jest przewożona w postaci brązowego proszku, więc początkowo komisarz uznał, że to dwie wymieszane partie. No i poza tym tamten pilot nie przyleciał, tylko wylatywał.

– Wylatywał?

– Tak.

– Dokąd?

– Do Bangkoku.

– I wiózł do Bangkoku mąkę ziemniaczaną?

– Pewnie dla jakichś Norwegów, którzy chcieli zrobić biały sos do swoich klopsików rybnych – uśmiechnęła się, czerwieniąc się przy tym, zawstydzona własną próbą bycia dowcipną.

– Mhm. Mam jeszcze inną sprawę. Właśnie czytałem o wywiadowcy, którego znaleziono zamordowanego w porcie w Göteborgu. Chodziły plotki, że to palacz. Czy o tym zabitym wywiadowcy w Oslo też coś takiego mówiono?

Beate zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie, wprost przeciwnie. Był raczej znany ze zbyt dużego zapału w przyskrzynianiu bandytów. Tuż przed zabójstwem chwalił się, że złapał na haczyk grubą rybę, ale chce ją zwinąć zupełnie solo.

– Aha, solo.

– Nic więcej nie chciał powiedzieć. Powtarzał, że nie ufa nikomu innemu oprócz siebie. Chyba jakiś twój kuzyn, Harry?

Uśmiechnął się, wstał i wsunął ręce w rękawy marynarki.

– Dokąd idziesz?

– Odwiedzić starego przyjaciela.

– Nie wiedziałam, że masz kogoś takiego.

– To tylko takie powiedzenie. Dzwoniłem do szefa KRIPOS.

– Do Heimena?

– Tak. Spytałem, czy mógłby mi dać listę osób, z którymi Gusto kontaktował się przez telefon tuż przed śmiercią. Powiedział mi, że po pierwsze, sprawa była tak oczywista, że nie zawracali sobie głowy taką listą. Po drugie, nawet gdyby ją zrobili, to nigdy w życiu nie daliby jej... Chwileczkę. – Harry zamknął oczy i zaczął liczyć na palcach. – Zwolnionemu z

roboty gliniarzowi, alkoholikowi i zdrajcy takiemu jak ja.

– Mówiłam, że nie masz starych przyjaciół.

– Dlatego muszę teraz popukać w inne miejsca.

– Okej. Jeszcze dzisiaj zlecę analizę tego proszku.

Harry zatrzymał się w drzwiach.

– Powiedziałaś mi poprzednim razem, że od niedawna violina jest dostępna w Göteborgu i Kopenhadze. To znaczy, że tam pojawiła się później niż w Oslo?

– Tak.

– A czy zwykle nie bywa odwrotnie? Nowe dragi najpierw znajdują się w Kopenhadze, a dopiero potem przenoszą się na północ.

– Może i masz rację. A co?

– Jeszcze nie bardzo wiem. Jak się nazywał tamten pilot? Jak mówiłaś?

– Nie powiedziałam. Schultz. Tord. Coś jeszcze?

– Tak. Zastanawiałaś się nad tym, że tamten wywiadowca mógł mieć rację?

– Rację?

– W tym, żeby milczeć i nikomu nie ufać. Może zrozumiał, że gdzieś tu działa palacz.

Harry rozejrzał się po wielkiej, przestrzennej jak katedra recepcji w głównej siedzibie spółki telekomunikacyjnej Telenor na Fornebu. Dziesięć metrów dalej dwie osoby czekały, aż zostaną obsłużone. Zobaczył, że otrzymały naklejki umożliwiające wstęp, a następnie przy wejściu dla personelu pojawili się ci, do których się udawały. Telenor najwyraźniej zaostrzył procedury, więc jego plan, by mniej lub bardziej niespodziewanie zaatakować pokój Klausa Torkildsen, nie wydawał się już taki świetny.

Próbował ocenić sytuację.

Torkildsenowi z całą pewnością nie spodoba się ta wizyta. Z tego prostego powodu, że miał na sumieniu stary wyrok za obnażanie się w miejscu publicznym, który zdołał ukryć przed pracodawcą, a którego Harry od lat używał do nacisków, chcąc uzyskać od Torkildsen dostęp do informacji, czasami znacznie wykraczających poza to, na co zezwalało prawo. Wszystko jedno, bez pełnomocnictw towarzyszących identyfikatorowi policyjnemu Torkildsen prawdopodobnie nawet go nie przyjmie.

Na prawo od czterech śluz dla personelu prowadzących do wind otwarto większą bramkę, przez którą wpuszczano akurat dużą grupę gości. Harry podjął błyskawiczną decyzję. Szybkim krokiem dołączył do grupy i wbił się w jej środek. Grupa wolno przesuwała się w

stronę pracownika Telenoru przytrzymującego bramkę. Harry zwrócił się do swojego sąsiada, niewysokiego człowieka o chińskich rysach.

– *Nin hao.*

– *Excuse me?*

Harry przeczytał nazwisko na naklejce. Yuki Nakazawa.

– *Oh, Japanese* – roześmiał się i kilka razy klepnął mężczyznę po ramieniu, jakby był jego starym przyjacielem. Yuki Nakazawa w odpowiedzi uśmiechnął się niepewnie.

– *Nice day* – powiedział Harry, wciąż z ręką na ramieniu Japończyka.

– *Yes* – przyznał Yuki. – *Which company are you?*

– *TeliaSonera* – odparł Harry.

– *Very, very good.*

Minęli pracownika Telenoru. Harry kątem oka zobaczył, jak mężczyzna kieruje się w ich stronę, i już mniej więcej wiedział, co usłyszy. Rzeczywiście.

– *Sorry, sir. I can't let you in without a tag.*

Yuki Nakazawa patrzył na niego zdumiony.

Torkildsen miał nowy gabinet. Po pokonaniu ciągnącej się przez kilometr przestrzeni wspólnej Harry dostrzegł wreszcie znajomą postać w szklanej klatce.

Wszedł do środka bez pukania.

Mężczyzna siedział odwrócony tyłem, z telefonem przyciśniętym do ucha. Harry widział na tle szyby przyschnięte kropelki śliny towarzyszące słowom:

– *Musicie, do jasnej cholery, uruchomić ten serwer SW2!*

Harry chrząknął.

Krzesło się obróciło. Klaus Torkildsen jeszcze bardziej utył. Zaskakująco elegancki, szyty na miarę garnitur częściowo skrywał wałki tłuszczu, ale nic nie zdołało ukryć wyrazu czystego, niczym niezmaconego lęku, który pojawił się na niezwyklej twarzy mężczyzny. Niezwykłość polegała na tym, że przy tak dużym areale do dyspozycji oczy, nos i usta uznały za stosowne skupić się na niewielkiej wysepce pośrodku tego morza skóry. Spojrzenie Torkildsena ześlizgnęło się na klapę marynarki Harry'ego.

– *Yuki... Nakazawa?*

– *Klaus!* – Harry z szerokim uśmiechem wyciągnął ręce, jakby szykując się, by go objąć.

– *Co ty, u diabła, tutaj robisz?* – szepnął Klaus Torkildsen.

Harry opuścił ręce.

– Ja też się cieszę, że cię widzę.

Przysiadł na brzegu biurka. W tym samym miejscu, w którym zwykle siadał. Dokonać inwazji i zyskać przewagę. Być górą. Prosta i skuteczna technika władzy.

Torkildsen przełknął ślinę, a Harry zobaczył duże błyszczące krople potu występujące mu na czoło.

– Sieć komórkowa w Trondheim – warknął Torkildsen, głową wskazując telefon. – Serwer miał działać w zeszłym tygodniu. Ludziom, do cholery, nie można już ufać! Mam mało czasu. Czego chcesz?

– Potrzebna mi lista rozmów przychodzących i wychodzących z telefonu Gusta Hanssena od maja. – Harry sięgnął po długopis i zapisał nazwisko na żółtej samoprzylepnej karteczce.

– Jestem teraz kierownikiem operacyjnym. Nie pracuję już bezpośrednio w obsłudze.

– Ale te numery wciąż możesz mi załatwić.

– Masz autoryzację?

– Gdybym miał, poszedłbym do waszej komórki odpowiedzialnej za kontakty z policją, a nie do ciebie.

– To dlaczego twój prokurator nie chciał się na tym podpisać?

Dawny Torkildsen nie pozwoliłby sobie na takie pytanie. Zhardział. Miał więcej pewności siebie. Czy to za sprawą wyższego stanowiska? A może czegoś innego? Harry dostrzegł odwróconą tyłem ramkę na zdjęcie. Na takie osobiste zdjęcie, jakie się trzyma, żeby nie zapomnieć, że się kogoś ma. Więc jeśli to nie pies, to zapewne kobieta. Może nawet z dzieckiem. Kto by przypuszczał? Dawny ekshibicjonista znalazł kobietę?

– Ja już nie pracuję w policji – powiedział Harry.

Torkildsen się uśmiechnął.

– A mimo to chcesz informacji dotyczących połączeń?

– Nie potrzebuję dużo, tylko ten jeden numer.

– Dlaczego miałbym to zrobić? Gdyby ktoś odkrył, że przekazuję takie dane osobie prywatnej, od razu wylaliby mnie na pysk. A łatwo się zorientować, że w czymś grzebałem.

Harry nie odpowiedział.

Torkildsen zaśmiał się gorzko.

– Rozumiem. Ten sam co zawsze tchórzliwy środek nacisku. Jeśli nie dostarczę ci informacji poza regulaminem, zadbasz o to, żeby moi koledzy dowiedzieli się o tym wyroku.

– Nie. Nie zamierzam donosić. Po prostu proszę cię o przysługę, Klaus. To sprawa

osobista. Syn mojej byłej partnerki może zostać niesprawiedliwie skazany na dożywocie.

Harry zobaczył, że drugi podbródek Torkildsena drga, wywołując falę, która zaczęła przemieszczać się w dół szyi, aż w końcu pochłonęła ją masa wielkiego ciała. Nigdy wcześniej Harry nie zwracał się do Klause Torkildsena po imieniu. Torkildsen spojrział na niego. Mrugnął skoncentrowany. Krople potu na czole załśniły. Harry widział, jak kalkulator mózgu dodaje, odejmuje, a na koniec wyciąga wnioski. Torkildsen rozłożył ręce i odchylił się na krzesło, które aż jęknęło pod jego ciężarem.

– Bardzo mi przykro, Harry. Chętnie bym ci pomógł, ale akurat w tej chwili nie stać mnie na tego rodzaju współczucie. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Jasne. – Harry potarł brodę. – To w pełni zrozumiałe.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział Torkildsen z wyraźną ulgą i zaczął się dźwigać z krzesła, najwyraźniej po to, by wyrzucić Harry'ego ze szklanej klatki i ze swojego życia.

– Ale – podjął Harry – jeśli nie załatwisz mi tych numerów, to o tym obnażaniu się dowiedzą się nie tylko twoi koledzy, ale i żona. Dzieci też? Tak? Jedno? Dwoje?

Torkildsen osunął się z powrotem na krzesło. Patrzył z niedowierzaniem. Dawny roztrzęsiony Klaus Torkildsen.

– Przecież... przecież powiedziałaś, że nie...

Harry wzruszył ramionami.

– Bardzo mi przykro, ale akurat w tej chwili nie stać mnie na tego rodzaju współczucie.

Było dziesięć po dziewiątej wieczorem, a w restauracji U Schrødera siedziało sporo ludzi.

– Nie chciałam, żebyś przychodził do mnie do pracy – powiedziała Beate. – Heimen dzwonił i przekazał, że pytałeś o listę numerów telefonicznych, słyszał też, że byłeś u mnie. Przestrzegł mnie przed wplątywaniem się w tę sprawę Gusta.

– No cóż. Dobrze, że mogłaś przyjść tutaj. – Harry nawiązał kontakt wzrokowy z Niną, która roznosiła piwo na drugim końcu lokalu. Podniósł do góry dwa palce. Kelnerka kiwnęła głową. Nie był tu już od trzech lat, ale ona wciąż rozumiała migowy język swojego dawnego stałego gościa: piwo dla osoby towarzyszącej, kawa dla alkoholika.

– Czy ten twój znajomy pomógł ci z listą osób, z którymi Gusto kontaktował się telefonicznie?

– Bardzo.

– No i co odkryłeś?

– Że pod koniec Gusto musiał bardzo cienko prażyć. Abonament blokowano mu kilkakrotnie. Nie dzwonił dużo, ale odbył kilka krótkich rozmów z Olegiem. Trochę telefonów wykonał do swojej przybranej siostry Irene, ale te rozmowy nagle ustały na kilka tygodni przed jego śmiercią. Poza tym głównie PizzaXpressen. Idę później do Rakel i sprawdzę w Google pozostałe nazwiska. A co ty możesz mi powiedzieć o wynikach tej analizy?

– Kupiony przez ciebie narkotyk jest niemal identyczny z wcześniejszymi próbkami violiny, które analizowaliśmy. Ale jest drobna różnica w składzie chemicznym. No i jeszcze te brązowe drobinki.

– Tak?

– To nie jest żadna substancja czynna w sensie farmaceutycznym. To po prostu powłoka, którą się pokrywa tabletki. No wiesz, żeby łatwiej je było połknąć albo żeby lepiej smakowały.

– Możliwe jest dotarcie do producenta po rodzaju tej powłoczki?

– W teorii owszem, ale sprawdzałam i okazuje się, że w zasadzie każdy producent leków stosuje własną powłokę, a na świecie jest kilka tysięcy producentów.

– To znaczy, że tą drogą do niczego nie dojdziemy?

– Jeśli chodzi o samą powłokę, nie – odparła Beate. – Ale po wewnętrznej stronie kilku tych drobinek wciąż tkwiły resztki tabletki. To był metadon.

Nina przyniosła kawę i piwo. Harry podziękował, kelnerka odeszła.

– Sądziłem, że metadon ma postać płynną i jest w butelkach.

– Ten metadon, który jest wykorzystywany w tak zwanej wspomaganej farmakologicznie terapii narkomanów, rzeczywiście jest w butelkach. Zadzwoiłam więc do Szpitala Świętego Olafa, oni prowadzą badania nad opioidami i opiatami. Powiedzieli mi, że pigułki metadonowe stosuje się w leczeniu bólu.

– I w violinie.

– Owszem, nie wykluczają, że do produkcji mógł być użyty zmodyfikowany metadon.

– To tylko oznacza, że violina nie jest wytwarzana od podstaw. Ale jak nam to może pomóc?

– Może – stwierdziła Beate i objęła dłonią szklanekę. – Ponieważ bardzo niewielu producentów wytwarza pigułki metadonowe. Jedna z firm, które to robią, ma siedzibę tu, u nas, w Oslo.

– AB? Nycomed?

– Szpital Radiologiczny. Mają własny oddział badawczy, który opracował pigułkę metadonową na ekstremalne bóle.

– Na raka?

Beate skinęła głową. Jedną ręką podniosła do ust szklanekę z piwem, drugą wyjęła coś, co położyła na stoliku przed Harrym.

– Ze Szpitala Radiologicznego?

Beate znów pokiwała głową.

Harry wyjął tabletkę. Była nieduża, okrągła i miała malutkie „R” wybite na brązowej powłoce.

– Wiesz, co mi się wydaje, Beate?

– Nie.

– Myślę, że Norwegia ma nowy produkt eksportowy.

– Uważasz, że ktoś w Norwegii produkuje i eksportuje violinę? – spytała Rakel. Stała z rękami założonymi na piersi, oparta o framugę drzwi do pokoju Olega.

– W każdym razie kilka rzeczy może na to wskazywać. – Harry wstukał następne nazwisko z listy, którą dostał od Torkildsena. – Po pierwsze, kręgi rozchodzą się od Oslo. W Interpolu nikt nie słyszał o violinie, dopóki nie pojawiła się w Oslo. A dopiero teraz można ją znaleźć na ulicy w Szwecji i w Danii. Po drugie, substancja zawiera rozdrobnione pigułki z metadonem, które są wytwarzane w Norwegii, o to mogę się założyć. – Kliknął „Szukaj”. – Po trzecie, w Porcie Lotniczym Oslo niedawno zatrzymano pilota z czymś, co wyglądało na violinę, ale zostało podmienione.

– Podmienione?

– Gdzieś w systemie musi istnieć palacz. Rzecz w tym, że ten pilot miał wylecieć z kraju. Do Bangkoku.

Harry poczuł zapach jej perfum i wiedział, że przesunęła się od drzwi i nachyliła się nad jego ramieniem. W pogrążonym w mroku chłopięcym pokoju jedynym źródłem światła był monitor komputera.

– Seksowne zdjęcie. Kto to jest? – Jej głos zabrzmiał mu tuż nad uchem.

– Isabelle Skøyen. Asystentka pewnej radnej. A zarazem jedna z osób, do których dzwonił Gusto. A raczej to ona do niego dzwoniła.

– Ten T-shirt krwiodawcy jest chyba o numer za mały?

– Reklamowanie oddawania krwi to pewnie element pracy polityków.

– Można za polityka uważać kogoś, kto jest tylko asystentką radnej?
– Wszystko jedno, ta kobieta informuje, że ma AB Rh-, a w takim wypadku to jej obowiązek.

– No tak, to rzadka grupa krwi. Dlatego tak długo przyglądasz się temu zdjęciu?

Harry się uśmiechnął.

– Dużo trafień. Hodowca koni. Zamiataczka ulic?

– To jej przypisują zaszczyt zlikwidowania wszystkich gangów narkotykowych.

– Najwyraźniej nie wszystkich. Ciekawe, o czym mogła rozmawiać z Gustem.

– Hm. Kierowała pracą radnej związaną z przeciwdziałaniem narkomanii, więc może wykorzystywała go do uzyskania jakichś ogólnych informacji?

– O wpół do drugiej w nocy?

– Ho, ho!

– Chyba będę musiał ją zapytać.

– Nie wątpię, że masz na to ochotę.

Odwrócił do niej głowę. Twarz Rakel znalazła się tak blisko, że nie widział jej wyraźnie.

– Czy ja słyszę to, co mi się wydaje, że słyszę, moja droga?

Rakel roześmiała się cicho.

– Ależ skąd. Ona wygląda tandetnie.

Harry wziął głęboki oddech. Rakel się nie odsunęła.

– A dlaczego uważasz, że ja nie lubię tandety? – spytał.

– Dlaczego szepczesz? – Jej wargi poruszały się tak blisko jego ust, że czuł ruch powietrza wywoływany słowami.

Przez dwie długie sekundy słychać było jedynie wentylator komputera. W końcu Rakel gwałtownie się wyprostowała. Popatrzyła na Harry'ego nieobecny spojrzeniem i przyłożyła dłonie do policzków, żeby je schłodzić. Potem odwróciła się i wyszła.

Harry odchylił głowę, zamknął oczy i cicho zaklął. Usłyszał, jak Rakel krząta się po kuchni. Kilka razy głęboko odetchnął, w końcu zdecydował, że to, co stało się przed chwilą, w ogóle się nie zdarzyło. Próbował zebrać myśli. Wrócił do pracy.

Wyszukał pozostałe nazwiska. Przy niektórych wyskakiwały listy wyników biegów narciarskich sprzed dziesięciu lat albo sprawozdanie z rodzinnego zjazdu. Przy innych nie było nawet tego. To ludzie, którzy już nie istnieli. Wykluczeni poza snop reflektora oświetlającego nowoczesne społeczeństwo. Tacy, którym udało się znaleźć zacienione kąty, gdzie się schowali, czekając na następną działkę i nic poza tym.

Zagapił się na plakat z facetem w pióropuszu na głowie. Na dole był napis „Jónsi”. Harry miał niejasne wrażenie, że ma on coś wspólnego z islandzkim zespołem Sigur Rós. Eteryczne kołdry dźwięku i nieustający śpiew falsetem. Dość daleko od Megadeath i Slayera. Olegowi oczywiście mógł zmienić się gust. Albo uległ czyjemuś wpływowi. Harry założył ręce za głowę.

Irene Hanssen.

Uświadomił sobie, że coś go zdziwiło w tych bilingach. Gusto i Irene kontaktowali się przez telefon prawie codziennie aż do tej ostatniej rozmowy. Później Gusto nawet nie próbował do niej dzwonić. Jakby się pokłócili. Albo też wiedział, że Irene będzie już niedostępna przez telefon. Potem jednak, tego samego dnia, kiedy Gusto został zastrzelony, tylko wcześniej, chłopak zadzwonił na telefon stacjonarny pod jej adres domowy. I miał połączenie. Rozmowa trwała minutę i dwanaście sekund. Dlaczego go to dziwiło? Próbował wrócić do początków tej myśli. Musiał jednak się poddać. Wybrał numer telefonu stacjonarnego. Nikt nie odbierał. Spróbował na komórkę Irene. Jakiś głos powiedział, że abonent ma tymczasowo wyłączony telefon. Niezapłacone rachunki.

Pieniądze.

To się zaczynało od pieniędzy i na pieniądzech kończyło. Z narkotykami tak jest zawsze.

Harry się zastanowił. Próbował sobie przypomnieć nazwisko podane przez Beate. Tego pilota przyłapanego z proszkiem w bagażu podręcznym. Policyjna pamięć wciąż działała. Wpisał w wyszukiwarce informacji telefonicznej TORD SCHULTZ.

Pojawił się numer komórki.

Harry otworzył szufladę w biurku Olega, żeby znaleźć długopis. Podniósł „Masterful Magazine” i jego spojrzenie padło na wycinek z gazety w plastikowej koszulce. Natychmiast rozpoznał własną młodszą twarz. Wyjął koszulkę, przejrzał inne wycinki. Wszystkie dotyczyły spraw, przy których Harry pracował, był wymieniony albo pokazany na zdjęciu. Znalazł się też stary wywiad z pewnego psychologicznego czasopisma, podczas którego odpowiadał – jak sobie przypominał, nie bez pewnej irytacji – na pytania dotyczące seryjnych zabójstw. Zamknął szufladę, rozejrzał się. Miał ochotę coś rozbić. Wyłączył komputer, spakował walizeczkę, poszedł prosto do przedpokoju i włożył lnianą marynarkę. Przybiegła Rakel, strzepnęła mu niewidzialny pyłek z kłapy.

– To takie dziwne – powiedziała. – Nie widziałam cię od tak dawna, że już udawało mi się zacząć cię zapominać, a tymczasem znów się pojawiłeś.

– No tak. To dobrze?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Nie wiem. To i dobre, i złe. Rozumiesz?

Harry kiwnął głową i przyciągnął ją do siebie.

– Jesteś najgorszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła, a zarazem najlepszą – ciągnęła Rakel. – Nawet teraz potrafisz sprawić, że zapominam o wszystkim innym wyłącznie dlatego, że tu jesteś. Ale nie wiem, czy to dobrze.

– Wiem.

– Co to jest? – spytała, wskazując na walizeczkę.

– Przenoszę się znowu do Leona.

– Ale...

– Porozmawiamy jutro. Dobranoc, Rakel.

Pocałował ją w czoło, otworzył drzwi i wyszedł na ciepły jesienny wieczór.

Chłopak w recepcji Leona powiedział, że Harry nie musi wypełniać nowej karty meldunkowej, i zaproponował mu ten sam pokój co poprzednio. Trzysta jeden. Harry powiedział, że w porządku, jeżeli naprawią złamany karnisz.

– A co, znów się popsuł? – spytał chłopak. – To ten poprzedni lokator. Biedak, czasami miewał ataki wściekłości. – Podał Harry'emu klucz. – On też był policjantem.

– Lokator?

– Tak, to był jeden ze stałych gości. Wywiadowca. *Undercover*, jak mówicie.

– Mhm. To chyba raczej *overcover*, skoro wiedziałeś, że był wywiadowcą.

Chłopak się uśmiechnął.

– Zaraz zobaczę, czy nie mam karnisza na zapleczu – powiedział i wyszedł.

– Ten Sixpence był bardzo do ciebie podobny – przemówił nagle po szwedzku głęboki głos. Harry się obrócił.

Cato siedział w fotelu w miejscu, które przy odrobinie dobrej woli można było nazwać lobby. Wyglądał na bardzo zmęczonego i powoli kręcił głową.

– Bardzo podobny do ciebie, Harry. Bardzo zaangażowany. Bardzo cierpliwy. Bardzo uparty. Niestety. Nie tak wysoki jak ty, oczywiście, ale miał takie same szare oczy. Z tym samym policyjnym spojrzeniem. I tak samo samotny. I umarł w tym samym pokoju. Powinieneś był wyjechać, Harry. Powinieneś był wsiąść do tego samolotu. – Wykonał długimi palcami kilka niezrozumiałych gestów. Oczy miał tak smutne, że Harry przez moment zastanawiał się, czy staruszek się nie rozplacze. Zaczął się dźwigać na nogi, a wtedy

Harry odwrócił się do chłopaka z recepcji.

– Czy on mówi prawdę?

– Kto? – spytał chłopak.

– On. – Harry odwrócił się, żeby wskazać na Catona, ale ten już zniknął. Musiał szybko wejść w ciemność przy schodach. – Ten wywiadowca. On umarł w moim pokoju?

Chłopak długo mu się przyglądał, zanim odpowiedział:

– Nie. Po prostu zniknął. Wyrzuciło go na brzeg przy Operze. Nie znalazłem żadnego karnisza, ale może przyda się ta żyłka. Można na nią nawlec zasłony i przywiązać ją do mocowania karnisza.

Harry, zamyślony, kiwnął głową.

Minęła druga, a Harry wciąż nie spał i palił swojego ostatniego papierosa. Na podłodze leżały zasłony i cienka nylonowa żyłka. Widział kobietę po drugiej stronie podwórza. Tańczyła bezgłośniego walca bez partnera. Harry słuchał odgłosów miasta i patrzył na dym unoszący się pod sufit. Obserwował jego kręte drogi, pozornie przypadkowe kształty i próbował dopatrzeć się w nich jakiegoś wzoru.

Od spotkania starca z Isabelle do rozpoczęcia zamiatania minęły dwa miesiące.

Na początku rozprawiono się z Wietnamczykami. Gazeta podała, że gliny uderzyły w dziewięciu miejscach naraz, znalazły pięć magazynów z heroiną i aresztowały trzydziestu sześciu wietkongów. Tydzień później przyszła kolej na kosowskich Albańczyków. Gliny użyły oddziału Delta do szturmowania mieszkania na Helsefyr, chociaż cygański szef był przekonany, że nikt o nim nie wiedział. Potem padli ci z Afryki Północnej i Litwini. Facet, który przejął robotę jako szef Pezetu, piękny jak model, z długimi rzęsami, powiedział w gazecie, że dostali anonimowe informacje. W ciągu następnych kilku tygodni wyłapano ulicznych sprzedawców – od czarnych jak węgiel Somalijszczyków po białych jak serwatka Norwegów. Ale nie ruszono żadnego z nas w koszulkach Arsenalu. Już poczuliśmy, że mamy więcej miejsca, a kolejki się wydłużają. Starzec skaperował niektórych bezrobotnych dilerów, ale dotrzymał swojej części umowy. Handel heroiną stał się mniej widoczny w centrum Oslo. Ograniczyliśmy import heroiny, bo tyle zarabialiśmy na violinie. Violina była droga, więc niektórzy próbowali przechodzić na morfinę, ale po jakimś czasie wracali.

Sprzedawaliśmy szybciej, niż Ibsen był w stanie produkować.

W któryś wtorek nie mieliśmy czym handlować już o wpół do pierwszej, a ponieważ korzystanie z komórek było surowo wzbronione – starcowi wydawało się, że Oslo to fuckings Baltimore – poszedłem na Dworzec Centralny i zadzwoniłem na jeden z rosyjskich telefonów Gresso z automatu. Andriej powiedział, że jest zajęty, ale zobaczy, co mu się uda skotować. Oleg, Irene i ja usiedliśmy na schodach na Skippergata, machaniem ręki odpędzaliśmy klientów i odpoczywaliśmy. Godzinę później zobaczyłem, że jakiś kulas idzie w naszą stronę. To był sam Ibsen, wkurzony. Wrzeszczał i przeklinał. Zachowywał się tak, dopóki nie zobaczył Irene. Wtedy jego wściekłość zniknęła jak zdmuchnięta, a ton złagodniał. Poszedł z nami na podwórko i przekazał nam plastikową torbę z setką torebek.

– Dwadzieścia tysięcy – zażądał, wyciągając łapę – to gotówkowy interes.

Wziąłem go na bok i powiedziałem, że kiedy następnym razem towar nam się skończy, możemy sami przyjść do niego.

– Nie życzę sobie żadnych wizyt – oświadczył.

– Może zapłacę lepiej niż dwie stowy za torebkę – powiedziałem. Spojrzał na mnie

podejrzliwie.

– Masz zamiar uruchomić własny interes? A co na to powie twój szef?

– To zostanie między nami. Mówimy o drobiazgach. Dziesięć dwadzieścia torebek dla znajomych i przyjaciół.

Roześmiał się głośno.

– Wezmę ze sobą dziewczyną – dodałem. – Ma na imię Irene.

Przestał się śmiać. Spojrzał na mnie, potem znów spróbował się roześmiać, ale mu to nie wyszło, kulasowi. Teraz miał wszystko wyraźnie wypisane wielkimi literami w oczach. Samotność. Chciwość. Nienawiść. I pożądanie. Fuckings pożądanie.

– W piątek – powiedział. – O dwudziestej. Ona pije gin?

Kiwnąłem głową. Od tej pory piła.

Podał mi adres.

Dwa dni później starzec zaprosił mnie na obiad. Przez chwilę pomyślałem, że Ibsen doniósł, bo pamiętałem to jego spojrzenie. Obsługiwał nas Piotr. Siedzieliśmy przy długim stole w zimnej jadalni, a starzec opowiadał, że skończył z importem heroiny przez kilka granic i Amsterdam, teraz sprowadza towar tylko z Bangkoku za pośrednictwem dwóch pilotów. Tłumaczył mi liczby, sprawdzał, czy rozumiałem, i powtarzał swoje stałe pytanie: czy trzymam się z dala od violiny? Siedział w półmroku i bacznie mi się przyglądał, ale kiedy zrobiło się późno, zawołał Piotra i kazał mu odwieźć mnie do domu. W samochodzie miałem ochotę spytać, czy stary jest impotentem.

Ibsen mieszkał w typowym kawalerskim mieszkaniu w bloku na Ekeberg. Wielki plazmowy ekran, mała lodówka i gołe ściany. Poczęstował nas marnym ginem ze zwietrzałym tonikiem bez cytryny, za to z trzema kostkami lodu. Irene stosowała się do reżyserii. Uśmiechała się miło, a całe gadanie zostawiła mnie. Ibsen siedział z idiotycznym uśmiechem i gapił się na nią, ale na szczęście w porę zamykał gębę, żeby ślina mu nie wyciekła. Puszczal fuckings klasyczną muzykę. Dostałem swoje torebki i umówiliśmy się, że zajrzę znów za dwa tygodnie. Z Irene.

Potem pojawił się pierwszy raport o spadku liczby zgonów z przedawkowania. Nie napisali natomiast, że ci, którzy pierwszy raz zażyli violinę, już po kilku tygodniach stali w kolejce na głódzie z wyraźną trzęsawą i szeroko otwartymi oczami. Płakali, ściskając w rękę pogniecione stowy, kiedy się dowiadawali, że cena znów poszła w górę.

Po trzeciej wizycie Ibsen wziął mnie na bok i zażyczył sobie, by następnym razem Irene przyszła sama. Odpartem, że się zgadzam, ale chcę za to pięćdziesiąt torebek i po stowie za sztukę. Kiwnął głową.

Irene musiałem trochę namawiać. Wyjątkowo nie wystarczyły stare sztuczki, trzeba było ostro przemówić jej do rozumu. Wyjaśnić, że to moja szansa. Nasza szansa. Spytałem, czy chce, żebym do końca życia mieszkał w sali prób na materacu. Wreszcie z płaczem wymamrotała, że nie chce. Ale że nie chce też... Powiedziałem, że wcale nie musi. Ma być tylko trochę miła dla samotnego nieszczęśnika, który na pewno miał ciężkie życie z tym kulasem. Kiwnęła w końcu głową, ale poprosiła, żebym nic nie mówił Olegowi. Po jej wyjściu czułem się na tyle przygnębiony, że rozciączyłem torebkę z violina i nadwyżkę wypaliłem w papierosie. Ocknąłem się, kiedy ktoś mną szarpał. To ona stała nad moim materacem i płakała tak, że łzy kapały mi na twarz i spływały do oczu, aż piekło. Ibsen próbował, ale udało jej się uciec.

– Wzięłaś torebki? – spytałem.

To było najwyraźniej niewłaściwie pytanie, bo całkowicie się załamała. Powiedziałem więc, że mam coś, co jej pomoże. Przygotowałem strzykawkę, a ona patrzyła na mnie wielkimi mokrymi oczami. Znalazłem niebieską żyłę w jej białej delikatnej skórze i wbiłem igłę. Czułem, jak spazm przenosi się z jej ciała na moje, kiedy wciskałem tłoczek. Usta się otworzyły jak w bezgłośnym orgazmie. Potem odurzenie zaciągnęło na oczy przezroczystą zastonę.

Ibsen może i był starą obleśną świnią, ale na chemii się znał.

Wiedziałem jednak też, że straciłem Irene. Poznałem to po jej oczach, kiedy spytałem o torebki. Nie mogło już być tak samo. Tego wieczoru zobaczyłem, jak Irene odsuwa się w odurzenie razem z moimi szansami na zostanie milionerem.

Ale starzec dalej zarabiał miliony. Mimo to domagał się jeszcze więcej i szybciej. Jakby z czymś musiał zdążyć, jakby miał dług, którego termin zapłaty się zbliża. Nie widziałem przecież, żeby wydawał pieniądze. Dom miał ten sam, limuzynę pucował, ale jej nie zmieniał. A sztab wciąż składał się z dwóch osób, Andrieja i Piotra. Jedyнным naszym konkurentem byli Los Lobos, lecz również oni rozbudowali struktury sprzedaży na ulicy. Wynajęli tych Wietnamczyków i Marokańczyków, którzy jeszcze nie trafili za kratki. I sprzedawali violinę nie tylko w centrum Oslo, ale też w Kongsvinger, w Tromsø, w Trondheim i – tak przynajmniej głosiła plotka – w Helsinkach. Możliwe, że Odin i Los Lobos zarabiali więcej niż starzec, lecz w każdym razie podzielili się rynkiem, nie było żadnej walki o terytorium i obie strony nieźle się bogaciły. Prawdziwy biznesmen byłby zadowolony z fuckings status quo.

Na błękitnym niebie były tylko dwie chmurki.

Jedną był wywiadowca w tej idiotycznej czapce. Sixpence. Wiedzieliśmy, że policja

dostała informację, że Arsenalu przynajmniej na razie nie ma na liście priorytetów, ale facet w kaszkiecie i tak węszył wokół nas. Drugą było to, że Los Lobos zaczęli sprzedawać violinę blisko Oslo, w Lillestrøm i Drammen, taniej niż w stolicy, przez co niektórzy nasi klienci zaczęli tam jeździć po towar pociągiem.

Któregoś dnia starzec mnie wezwał i polecił przekazać wiadomość policjantowi, który nazywał się Truls Berntsen. Miało to nastąpić z zachowaniem pełnej dyskrecji. Spytałem, dlaczego Andriej albo Piotr nie mogą tego załatwić, ale starzec wyjaśnił mi, że taka jest zasada, zarówno ze strony naszej, jak i Berntsena. Absolutny brak kontaktu, który mógłby doprowadzić policję do starca. I chociaż miałem informacje, które mogłyby go ujawnić, to oprócz dwóch adiutantów byłem jego jedyną zaufaną osobą. A mnie ufał nawet bardziej niż im. Baron narkotykowy, który ufa złodziejowi, pomyślałem.

Miałem przekazać wiadomość, że stary zorganizował spotkanie z Odinem w celu omówienia sprzedaży w Drammen i Lillestrøm. Umówili się w McDonalddie przy Kirkeveien na Majorstua w czwartek o siódmej wieczorem. Zamówili całe piętro na przyjęcie urodzinowe dla dzieci. Impreza zamknięta dla wszystkich innych. Już sobie to wyobrażałem. Balony, serpentyny, papierowe korony i fuckings kłown, któremu szczeka opadnie, kiedy zobaczy urodzinowych gości: napakowanych motocyklistów z żądzą mordy w oczach i ćwiekami na kostkach, dwuipółmetrowego twardego jak beton kozaka i Odina ze starcem, którzy będą próbowali zabić się wzrokiem nad frytkami.

Truls Berntsen mieszkał sam w bloku na Manglerud. Kiedy zadzwoniłem do drzwi wcześniej rano w niedzielę, nikogo nie zastałem. Sąsiad, który najwyraźniej usłyszał dzwonek do Berntsena, wychylił się z balkonu i zawołał, że Truls jest u Mikaela, buduje u niego taras. Jadąc pod adres, który mi podał, pomyślałem, że Manglerud to jakaś pieprzona wiocha. Najwyraźniej wszyscy się tu znają.

Byłem już kiedyś na Høyenhall. To manglerudzkie Beverly Hills. Wielkie jednorodzinne domy z widokiem na dolinę Kvaerner, centrum i Holmenkollen. Zatrzymałem się na drodze i patrzyłem na częściowo ukończony szkielet domu. Przed nim stała grupa facetów z gołymi torsami i z puszkami piwa w rękach. Dyskutowali, śmiejąc się i pokazując na szalowanie tego, co w przyszłości najwyraźniej miało stać się tarasem. Jednego poznałem natychmiast. Faceta o urodzie modela z długimi rzęsami. Nowy szef Wydziału Zwalczenia Przestępczości Zorganizowanej. Na mój widok mężczyźni gwałtownie umilkli. Zrozumiałem dlaczego. Wszyscy byli policjantami. Jak jeden mąż. Policjantami, którzy zwąchali bandytę. Sytuacja mocno niezręczna. Nie spytałem starego, ale sam zdążyłem się domyślić, że to Truls Berntsen był tym sojusznikiem w policji, którego zdobycie stary doradzał Isabelle Skøyen.

– Słucham? – odezwał się facet z rzęsami. Był też cholernie dobrze wytrenowany. Mięśnie brzucha przypominały cegły. Wciąż miałem możliwość wycofać się i przyjść do Berntsena później. Właściwie nie wiem, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem.

– Mam wiadomość dla Trulsa Berntsena – powiedziałem głośno i wyraźnie.

Wszyscy pozostali odwrócili się do mężczyzny, który odstawił puszkę z piwem i ruszył w moją stronę, kotłując się na krzywych nogach. Zatrzymał się dopiero, kiedy znalazł się tak blisko mnie, że tamci nie mogli nas usłyszeć. Miał jasne włosy i wystającą dolną szczękę przypominającą wysuniętą szufladę. W małych świńskich oczkach płonęła nienawiść i podejrzliwość. Gdyby był zwierzęciem domowym, zostałby uśpiony z przyczyn estetycznych.

– Nie wiem, kim jesteś – szepnął – ale mogę się domyślać. I nie Życzę sobie, żeby ktokolwiek zgłaszał się do mnie w taki sposób. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Dalej, gadaj!

Przekazałem informację o miejscu i czasie spotkania. I dodałem, że Odin zamierza się stawić z całą swoją bandą.

– Pewnie się boi zrobić inaczej – powiedział Berntsen i zachrumkał jak świnia.

– Mamy informacje, że właśnie dostali dużą partię konia – dodałem. Mężczyźni przy tarasie wrócili do picia piwa, ale szef Pezetu zerkał na nas. Mówiłem cicho, koncentrując się, żeby o niczym nie zapomnieć. – Jest w stajni w klubie na Alnabru, ale wyjdzie dopiero za jakieś dwa dni.

– To mi wygląda na kilka aresztowań i jakiś skromny nalocik. – Berntsen znów chrumknął, a ja dopiero teraz się zorientowałem, że to miał być śmiech.

– To już wszystko. – Odwróciłem się, żeby odejść.

Oddaliłem się zaledwie kilka metrów od drogi, kiedy usłyszałem wołanie. Nie musiałem się oglądać, żeby wiedzieć, kto mnie woła. Poznałem to po jego oczach od razu. To mimo wszystko moja specjalność. Kiedy się ze mną zrównał, zatrzymałem się.

– Kim jesteś? – spytał.

– Gusto. – Odgarnąłem włosy z oczu, żeby mógł mnie lepiej zobaczyć. – A ty?

Przez sekundę patrzył na mnie zaskoczony, jakby to było dziwne pytanie. W końcu odpowiedział z uśmiechem:

– Mikael.

– Cześć, Mikael. Gdzie trenujesz?

Chrząknął.

– Co tu robisz?

– To, co powiedziałem. Miałem wiadomość dla Trulsa. Dasz mi tyk piwa?

Dziwne białe plamy na jego twarzy nagle jakby zaczęły jaśnieć. Kiedy się odezwał, głos miał zduszony od gniewu.

– Jeśli załatwiłeś to, co miałeś do załatwienia, proponuję, żebyś spadał.

Popatrzyłem mu w oczy, we wściekłe zielone oczy. Mikael Bellman był tak piękny, że miałem ochotę dotknąć jego piersi. Poczuć pod palcami rozgrzaną od słońca, spoconą skórę, mięśnie, które odruchowo się napinają, wstrząśnięte tym, na co sobie, do cholery, pozwalam. Brodawka sutka zaczyna się naprężać, gdy ściskam ją w palcach. Cudowny ból, gdy uderzy, żeby ratować swoje dobre imię i sławę. Mikael Bellman. Poczutem pożądanie. Moje własne fuckings pożądanie.

– Do zobaczenia – powiedziałem.

Tego samego wieczoru uświadomiłem sobie, jak mam zrobić to, co tobie – jak przypuszczam – nigdy się nie udało. Bo gdyby ci się udało, tobyś mnie nie porzucił, prawda? Jak mam się stać cały. Jak mam się stać człowiekiem. Jak mam się stać milionerem.

Słońce odbijało się w fiordzie tak intensywnie, że Harry musiał mrużyć oczy osłonięte damskimi okularami przeciwsłonecznymi.

Oslo przechodziło nie tylko lifting twarzy w Bjørvika, ale zrobiło sobie też silikonowy cycek w postaci nowej dzielnicy wchodzącej w fiord tam, gdzie przedtem było zupełnie płaskie i nudne. Silikonowy cud nazywał się Tjuvholmen i wyglądał na drogi. Drogie mieszkania z drogim widokiem na fiord, drogie przystanie dla łodzi, małe drogie sklepy z modną odzieżą, w których znajdowało się po jednej sztuce każdego modelu. Galerie z parkietem z dżungli, o której nikt nigdy nie słyszał, bardziej rzucającym się w oczy niż sztuka na ścianach. Sutek nad samym fiordem nosił nazwę Magazyn Morski, ale nie mieściła się tu redakcja czasopisma dla miłośników łodzi, tylko restauracja z gatunku ekskluzywnych z cenami kalibru, który sprawił, że w rankingu najdroższych miast na świecie Oslo prześcignęło już Tokio.

Harry wszedł do środka. Uprzejmy kierownik sali przywitał go skinieniem głowy.

– Szukam Isabelle Skøyen. – Harry spojrzał w głąb lokalu. Wyglądało na to, że jest pełno.

– Wie pan, na jakie nazwisko zarezerwowano stolik? – spytał kierownik sali z leciutkim uśmiechem, który powiedział Harry’emu, że wszystkie stoliki są zarezerwowane z góry.

Kobieta, która odebrała, kiedy Harry zadzwonił do biura komisji do spraw społecznych w ratuszu, początkowo była skłonna przekazać mu tylko, że Isabelle Skøyen wyszła na lunch. Ale kiedy powiedział, że właśnie dlatego dzwoni, ponieważ siedzi w Continentalu i na nią czeka, sekretarka lekko przerażona zawołała, że przecież lunch miał być w Magazynie Morskim!

– Nie wiem – odparł Harry. – Mogę wejść poszukać?

Kierownik sali się zawahał. Przyglądał się garniturowi.

– W porządku – powiedział Harry. – Już ją widzę.

Wyminął kierownika sali, nim zapadł ostateczny wyrok.

Rozpoznał twarz i sylwetkę ze zdjęć w Internecie. Stała oparta o bar, z łokciami na kontuarze, twarzą zwrócona do sali. Prawdopodobnie tylko czekała na osobę, z którą umówiła

się na lunch, ale wyglądała bardziej tak, jakby występowała na scenie. A kiedy Harry przyjrzał się mężczyznom przy stolikach, zrozumiał, że prawdopodobnie obie wersje są prawdziwe. Twarz o grubych, niemal męskich rysach przedzielał na pół nos przypominający ostrze siekiery, a mimo to Isabelle Skøyen miała coś w rodzaju konwencjonalnej urody; inne kobiety chętnie określiłyby ją mianem „przystojna”. Makijaż wokół oczu, czarny wieniec gwiazd otaczający zimne niebieskie tęczęwki, przydawał jej spojrzenia polującego wilka. Dlatego włosy stanowiły niemal komiczny kontrast. Lalczyzna czupryna w kolorze jasnoblond ułożona w słodkie loki po obu stronach męskiej twarzy. Ale do Isabelle Skøyen spojrzenia przykuwało ciało.

Była bardzo wysoka, wręcz atletycznie zbudowana, szeroka w ramionach i biodrach. Obcisłe czarne spodnie podkreślały duże umięśnione uda. Harry stwierdził, że podtrzymywane przez wyjątkowo cienki biustonosz piersi były albo kupione, albo po prostu imponujące. Wyszukiwarka Google powiedziała mu, że Isabelle Skøyen zajmuje się hodowlą koni w gospodarstwie położonym w Rygge. Dwukrotnie się rozwiodła, jej drugim mężem był finansista, który wzbogacił się cztery razy, a zbankrutował trzy, uczestniczyła w otwartych Mistrzostwach Norwegii w strzelaniu, jest honorowym krwiodawcą, ma kłopoty – wyrzuciła z pracy politycznego współpracownika, ponieważ był „taki nieśmiały” – i bardziej niż chętnie pozuje fotografom na premierach filmowych i teatralnych. Krótko mówiąc, niezła sztuka.

Wszedł w jej pole widzenia, a ona przez pół drogi przez sale nie odrywała od niego oczu. Jak ktoś, kto uważa przyglądanie się drugiej osobie za swoje naturalne prawo. Harry podszedł do niej w pełni świadom, że w plecy wwierca mu się co najmniej tuzin spojrzeń.

– Ty jesteś Isabelle Skøyen – stwierdził.

Wyglądała tak, jakby chciała mu coś krótko odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie. Przechyliła głowę.

– Tak to już jest z tymi przereklamowanymi restauracjami w Oslo, prawda? Każdy jest kimś, więc... – Przeciągnęła głoskę, otwarcie mierząc go wzrokiem. – Kim ty jesteś?

– Harry Hole.

– Masz w sobie coś znajomego. Byłeś w telewizji?

– Wiele lat temu. Przed tym. – Wskazał na bliźnię.

– Aha, jesteś tym policjantem, który złapał seryjnego mordercę. Mam rację?

Harry miał dwa wyjścia. Wybrał prawdę.

– Byłem.

– A co teraz robisz? – spytała bez zainteresowania, patrząc ponad jego ramieniem na drzwi wejściowe. Zaciśnęła umalowane na czerwono wargi i parę razy szerzej otworzyła

oczy. Rozgrzewka. Widać to jakiś ważny lunch.

– Konfekcja i obuwie – powiedział Harry.

– Widzę. Fajny garnitur.

– Fajne buty. Rick Owen?

Spojrzała na niego trochę tak, jakby powtórnie go odkryła. Chciała coś odpowiedzieć, ale wzrokiem wychwyciła jakiś ruch za plecami Harry'ego.

– Osoba, z którą jestem umówiona, już przyszła. Może jeszcze kiedyś się zobaczymy, Harry.

– Mhm. Miałem nadzieję, że porozmawiamy chwilę teraz.

Roześmiała się i nachyliła.

– Lubię zdecydowane działanie, Harry. Ale jest dwunasta w południe, jestem najzupełniej trzeźwa i już się umówiłam na lunch z kimś innym. Życzę ci miłego dnia.

Zostawiła go, stukając obcasami kowbojek.

– Czy Gusto Hanssen był twoim kochankiem?

Harry zadał to pytanie cicho, a Isabelle Skøyen była już trzy metry od niego. Mimo to zeszywniała, jakby trafił w częstotliwość przenikającą przez hałas obcasów, głosów i nucenie Diany Krall w tle, bo słowa dotarły wprost do jej bębenków.

Odwróciła się.

– Dzwoniłaś do niego cztery razy w ten sam wieczór. Ostatni raz cztery minuty po wpół do drugiej. – Harry przysiadł na jednym ze stołków barowych. Isabelle Skøyen cofnęła się o te trzy metry. Górowała nad nim. Harry pomyślał o Czerwonym Kapturku i o wilku. To nie ona była Kapturkiem.

– Czego ty chcesz, mój kochany Harry?

– Wiedzieć wszystko, co masz do powiedzenia o Hanssenie.

Nozdrza siekiery poruszyły się, a majestatyczne piersi uniosły. Harry zobaczył, że jej skóra ma duże czarne pory jak piksele w komiksie.

– Ponieważ jestem jedną z niewielu osób w tym mieście, które interesuje utrzymanie narkomanów przy życiu, jestem również jedną z niewielu, które pamiętają Gusta Hanssena. Straciliśmy go. To bardzo smutne. A te telefony wzięły się stąd, że miałam jego numer wpisany w komórkę, ponieważ wzywaliśmy go na spotkanie w komisji RUNO. Miał nazwisko podobne do jednego z moich dobrych przyjaciół. Czasami zdarza mi się nie trafić w klawisze. Takie rzeczy się przytrafiają.

– Kiedy ostatnio się z nim widziałas?

– Posłuchaj, Harry Hole – syknęła cicho z akcentem na Hole i jeszcze pochyliła do

niego twarz: – Jeśli dobrze zrozumiałam, nie jesteś policjantem, tylko facetem, który robi w konfekcji i obuwiu. Nie widzę powodu, dla którego miałabym z tobą rozmawiać.

– Chodzi tylko o to – Harry oparł się o kontuar – że ja mam taką wielką ochotę z kimś pogadać, więc jeśli nie z tobą, to z jakimś dziennikarzem. A oni z wielką radością rozmawiają o skandalach związanych ze znanymi osobami.

– Ze znanymi osobami? – powtórzyła, jednocześnie włączając olśniewający uśmiech nieprzeznaczony dla Harry'ego, tylko dla mężczyzny w garniturze, który stał przy kierowniku sali i w odpowiedzi pomachał jej ręką. – Ja jestem tylko asystentką radnej, Harry. Jedno czy dwa zdjęcia w gazetach nie robią z nikogo sławy. Zobacz, jak szybko zapomniano o tobie.

– Wydaje mi się, że w tobie gazety widzą wschodzącą gwiazdę.

– Tak myślisz? Być może. Ale nawet najgorsze tabloidy muszą mieć coś konkretnego. A ty nie masz nic. Pomyłki telefoniczne...

– ...to coś, co się przytrafia. Natomiast czymś, co się nie przytrafia... – Harry nabrał powietrza. Ta kobieta miała rację, nie miał na nią nic. Dlatego musiał zejść z wąskiej ścieżki prawdy. – ...jest to, żeby krew grupy AB Rh- pojawiała się dwa razy w tym samym miejscu przypadkowo. Tę grupę krwi ma jedna na dwieście osób, więc kiedy wynik badania z Instytutu Medycyny Sądowej wykazuje, że krew pod paznokciem Gusta należy właśnie do tej grupy, a w gazecie było napisane, że tę grupę masz ty, stary śledczy nie potrafi się powstrzymać, żeby nie dodać dwa do dwóch. Jedyne, co muszę zrobić, to poprosić o analizę DNA, i będziemy mieli stuprocentową pewność, w kogo Gusto wbił szpony tuż przed tym, jak został zabity. Czy to brzmi jako niezbyt ciekawy tytuł w tabloidzie?

Asystentka radnej mrugała i mrugała, jakby powieki miały uruchomić język.

– Powiedz mi, czy to przypadkiem nie jest następca tronu z Partii Pracy? – spytał Harry, mrużąc oczy. – Przypomnij mi, jak on się nazywa.

– Możemy porozmawiać – powiedziała Isabelle Skøyen. – Później. Ale obiecaj, że nie puścisz pary z ust.

– Kiedy i gdzie?

– Daj mi swój numer. Zadzwoń do ciebie po pracy.

Na zewnątrz fiord lśnił równie histerycznie. Harry włożył ciemne okulary i zapalił papierosa, żeby uczcić udany bluff. Przysiadł na krawędzi nabrzeża, rozkoszując się każdym zaciąganiem. Nie chciał czuć ssania, które i tak w nim było, więc skupił się na bezsensownych kosztownych zabawkach najbogatszej na świecie klasy robotniczej, które tu cumowały. W końcu zgasił papierosa, splunął do fiordu i poczuł, że jest gotowy do odwiedzenia następnej osoby z listy.

Harry potwierdził u recepcjonistki w Szpitalu Radiologicznym, że jest umówiony. Podsunęła mu formularz. Wpisał nazwisko i numer telefonu, ale rubrykę „Firma” zostawił niewypełnioną.

– Wizyta prywatna?

Pokręcił głową. Wiedział, że to zawodowy zwyczaj dobrych recepcjonistek: zdobywać wiedzę, zbierać informacje i o tych, którzy tu przychodzili, i o tych, którzy tu pracowali. Gdy jako śledczy szukał informacji w jakimś miejscu pracy, recepcjonistki zwykle były pierwszymi osobami, z którymi rozmawiał.

Kazała mu przejść do pokoju w głębi wskazanego korytarza. Po drodze Harry miał zamknięte drzwi i przeszklone ściany wielkich pomieszczeń, w których ludzie w białych fartuchach pracowali przy stołach ze szklanymi kolbami i statywami na probówki. Zauważył też zamknięte na wielkie kłódki szafki, które – jak przypuszczał – okazałyby się prawdziwym eldorado dla każdego narkomana.

Na samym końcu korytarza zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami i na wszelki wypadek, zanim zapukał, przeczytał nazwisko na tabliczce: Stig Nybakk. Zdażył zastukać jedynie raz i ze środka dobiegł mocny głos:

– Proszę!

Nybakk stał za biurkiem ze słuchawką telefonu przy uchu, ale gestem zaprosił Harry’ego i wskazał mu krzesło. Po trzech „tak”, dwóch „nie”, jednym „o cholera” i wybuchu serdecznego śmiechu odłożył słuchawkę i wbił bystre oczy w Harry’ego, który starym zwyczajem rozwalął się na krześle, wyciągając nogi przed sobą.

– Harry Hole! Ty mnie na pewno nie pamiętasz, ale ja pamiętam ciebie.

– Sporo osób aresztowałem – rzucił Harry.

I znów serdeczny wybuch śmiechu.

– Chodziliśmy razem do szkoły na Oppsal. Byłem o dwie klasy niżej.

– Młodszy pamiętają starszych.

– Chyba rzeczywiście tak jest. Ale szczerze mówiąc, nie ze szkoły cię pamiętam. Byłeś w telewizji i ktoś mi powiedział, że chodziłeś do tej szkoły na Oppsal i kumpłowałeś się z Drewniakiem.

– Mhm. – Harry spojrzał na czubki swoich butów, chcąc zasignalizować, że nie interesuje go wkraczanie w sferę prywatną.

– Zostałeś specjalistą od zabójstw? Jakie zabójstwo teraz badacie?

– Ja... – zaczął Harry, by trzymać się możliwie blisko prawdy – badam zabójstwo w środowisku narkomanów. Przyjrzelście się tej substancji, którą przesłałem?

– Tak. – Nybakk znów podniósł słuchawkę, wstukał jakiś numer, gorączkowo podrapał się z tyłu po głowie, czekając na połączenie. – Martin, możesz tu przyjść? Tak, tak, chodzi o tę próbkę.

Nybakk odłożył słuchawkę i na trzy sekundy zapadła cisza. Uśmiechał się, a Harry wiedział, że jego mózg pracuje na wysokich obrotach w poszukiwaniu tematu, który wypełniłby pauzę. Harry się nie odzywał. W końcu Nybakk chrząknął.

– Mieszkałeś w tym żółtym domu przy boisku. Ja w tym czerwonym na szczycie wzgórza. Rodzina Nybakków, przypominasz sobie?

– Jasne – skłamał Harry i znów uświadomił sobie, jak mało pamięta z dzieciństwa.

– Wciąż macie ten dom?

Harry przełożył nogi. Wiedział, że nie będzie mógł odgwizdać końca meczu, dopóki nie zjawi się ten Martin.

– Mój ojciec zmarł trzy lata temu. Trochę zwlekałem ze sprzedażą, ale...

– Duchy.

– Słucham?

– Chodzi o to, żeby duchy pograsowały sobie w spokoju, zanim się sprzeda dom, prawda? Moja matka zmarła w zeszłym roku, a ja wciąż trzymam ten pusty dom. Masz żonę, dzieci?

Harry pokręcił głową. I przerzucił piłkę na drugą połowę boiska.

– Ale ty, jak widzę, jesteś żonaty?

– Tak?

– Obrączka. – Harry skinieniem głowy wskazał na jego rękę. – Miałem identyczną.

Nybakk z uśmiechem podniósł rękę z obrączką.

– Miałeś? Rozwiodłeś się?

Harry zaklął w duchu. Dlaczego ludzie za wszelką cenę muszą ze sobą rozmawiać? Czy się rozwiodł? Pewnie, że się rozwiodł. Rozstał się z tą, którą kochał. Z tymi, których kochał. Chrząknął.

– No, jesteś – powiedział Nybakk.

Harry się odwrócił. W drzwiach stała zgięta w pół postać ubrana w niebieski fartuch laboranta i patrzyła na niego spode łba. Długa czarna grzywka opadała na blade, prawie białe wysokie czoło. Oczy tkwiły głęboko w czaszce. Harry nawet nie usłyszał, jak tamten wszedł.

– To Martin Pran. Jeden z naszych najlepszych badaczy – przedstawił go Nybakk.

O nie, pomyślał Harry. To jest Dzwonnik z Notre Dame.

– No i co, Martin? – spytał Nybakk.

– To, co nazywasz violiną, to nie jest heroina, tylko substancja przypominająca levorphanol.

Harry zapisał sobie tę nazwę.

– A to znaczy?

– Bomba atomowa wśród opioidów – wtrącił Nybakk. – Ekstremalnie uśmierzająca ból. Sześć do ośmiu razy silniejsza niż morfina. Trzy razy silniejsza niż heroina.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził Nybakk. – I działa dwa razy dłużej niż morfina. Od ośmiu do czternastu godzin. Wystarczy połknąć trzy miligramy levorphanolu, a już mówimy o pełnej narkozie. Dożylnie wystarczy połowa.

– Mhm. Brzmi niebezpiecznie.

– Nie tak niebezpiecznie, jak można by przypuszczać. Odpowiednie dawki czystych opioidów, takich jak heroina, nie niszczą organizmu bezpośrednio. To przede wszystkim uzależnienie obniża standard życia.

– Tak? Przecież heroiniści w tym mieście padają jak muchy.

– Owszem, ale głównie z dwóch przyczyn. Po pierwsze, heroina jest mieszana z innymi substancjami, które zmieniają ją w czystą truciznę. Kiedy na przykład zmiesza się heroinę z kokainą...

– Speedball – wtrącił Harry. – John Belushi.

– Niech spoczywa w pokoju. Drugą powszechną przyczyną śmierci jest paraliż oddechowy wywołany przez heroinę. Przy zbyt dużej dawce po prostu przestaje się oddychać. W miarę jak rośnie poziom tolerancji, zażywa się coraz większe dawki. Ale w levorphanolu interesujące jest to, że on nie działa aż tak paraliżująco na oddech. Mam rację, Martin?

Dzwonnik kiwnął głową, nie podnosząc oczu.

– Mhm – mruknął Harry, patrząc na Prana. – Silniejszy od heroiny, dłuższy okres działania, a na dodatek szanse na przedawkowanie mniejsze. To brzmi jak marzenie ćpuna.

– Uzależnienie – mruknął Dzwonnik. – I cena.

– Słucham?

– Obserwujemy to u pacjentów – westchnął Nybakk. – Uzależniają się o tak. – Pstryknął palcami. – Ale w przypadku pacjentów chorych na raka temat uzależnienia w ogóle nie istnieje. Planowo zwiększamy odpowiednie środki przeciwbólowe i ich dawkowanie. Naszym celem jest zapobieganie bólowi, a nie deptanie mu po piętach. Ale levorphanol jest drogi w produkcji i drogi w imporcie. To może być przyczyna, dla której nie widać go na

ulicach.

– To nie jest levorphanol.

Harry i Nybakk odwrócili się do Martina Prana.

– Substancja została zmodyfikowana. – Pran uniósł głowę, a Harry pomyślał, że oczy mu świecą, jakby ktoś zapalił w nim w środku światło.

– W jaki sposób? – spytał Nybakk.

– Stwierdzenie tego trochę potrwa, ale w każdym razie wygląda na to, że cząsteczki chloru zamieniono na cząsteczki fluoru. A to może być tańsze.

– O rany! – zawołał Nybakk z niedowierzaniem w głosie. – Mówimy o nowym Dreserze?

– Możliwe – odparł Pran z ledwie widocznym uśmiechem.

– Wielkie nieba! – Nybakk pełen zachwytu podrapał się po głowie z tyłu obydwoma rękami. – Wobec tego mówimy o dziele geniusza. Albo o kimś, kto miał mnóstwo szczęścia.

– Obawiam się, że nie bardzo rozumiem, o co chodzi – wtrącił Harry.

– O przepraszam – powiedział Nybakk. – Heinrich Dreser. To jego podwładny w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym zsyntetyzował aspirynę. Później pracował nad jej modyfikacją. Niewiele trzeba, jedna cząsteczka tu, druga tam – i pstryk, substancja łączy się z innymi receptorami w ludzkim ciele. Jedenaście dni później w laboratorium Dresera zsyntetyzowano nową substancję. Aż do dziewięćset trzynastego sprzedawano ją jako lekarstwo na kaszel.

– A tą substancją była...

– Nazwa miała określać ją jako bohaterską.

– Heroina – stwierdził Harry.

– Owszem.

– A co z glazurowaniem? – zwrócił się Harry do Prana.

– To się nazywa drażowanie – oświadczył Dzwonnik z kwaśną miną. – A co? – Twarz miał skierowaną w stronę Harry'ego, ale spojrzenie zwrócone na ścianę. Jak zwierzę, które szuka wyjścia, pomyślał Harry. Albo jak zwierzę stadne, które nie chce zobaczyć wyzwania u wyższego rangą zwierzęcia, patrzącego mu w oczy. A może po prostu człowiek, który ma trochę wyższe ponad przeciętną zahamowania społeczne. Ale uwagę Harry'ego przykuło coś jeszcze. Coś w całej jego postawie. Jakby cały był krzywy.

– No cóż. W Wydziale Techniki Kryminalistycznej stwierdzono, że te brązowe ziarenka w violinie to pokruszone powleczenie pigułek. I że jest to to samo... hm... drażowanie, które stosujecie przy wytwarzaniu tabletek metadonowych tu, w Szpitalu

Radiologicznym – wyjaśnił Harry.

– I? – spytał Pran szybko.

– Czy to możliwe, żeby violinę wytwarzano tu, w Norwegii? I że robi to ktoś, kto ma dostęp do waszych tabletek z metadonem?

Stig Nybakk i Martin Pran popatrzyli na siebie.

– Metadon w tabletkach dostarczamy też do innych szpitali, więc ma do nich dostęp całkiem sporo osób. Ale violina to wyższa chemia. – Nybakk głośno wydmuchał powietrze, aż zadrgały mu wargi. – Co ty na to, Martin? Mamy takie umysły w środowisku norweskich naukowców, które potrafiłyby stworzyć taką substancję?

Pran pokręcił głową.

– A co z odrobiną szczęścia? – spytał Harry.

Pran wzruszył ramionami.

– Oczywiście, możliwe, że Brahms miał szczęście, kiedy komponował *Niemieckie requiem*.

W pokoju zapadła cisza. Nawet Nybakk nie miał chyba nic do dodania.

– Mhm – mruknął Harry, wstając.

– Mam nadzieję, że w czymś pomogliśmy. – Nybakk ponad biurkiem wyciągnął do niego rękę. – I pozdrów Drewniaka. Pewnie wciąż jest nocnym stróżem w Hafslund Energi i pilnuje przełącznika światła w mieście.

– Coś w tym rodzaju.

– Nie lubi dziennego światła?

– Nie lubi marudzenia.

Nybakk uśmiechnął się niepewnie.

Po drodze do wyjścia Harry zatrzymał się dwa razy. Raz, żeby zajrzeć do pustego laboratorium, gdzie już zakończono pracę i wygaszono światła. Za drugim razem pod drzwiami z tabliczką z nazwiskiem Martina Prana. Spod drzwi przebijało światło. Harry delikatnie nacisnął klamkę. Zamknięte na klucz.

Kiedy wsiadł do wynajętego samochodu, od razu sprawdził komórkę. Zobaczył nieodebrane połączenie od Beate, ale żadnego SMS-a od Isabelle Skøyen na razie nie było. Już przy stadionie Ullevål zrozumiał, jak źle zaplanował wyjazd z miasta. Najkrócej pracujący naród na świecie wracał do domu. Dostanie się na Karihaugen zajęło mu pięćdziesiąt minut.

Siergiej siedział w samochodzie i bębnił w kierownicę. W teorii jego miejsce pracy było po właściwej stronie ulicznych korków, ale kiedy miał wieczorną zmianę, i tak trafił w sam środek zatoru tworzącego się przy wyjeździe z miasta. Samochody sunęły w stronę Karihaugen jak stygnąca lawa.

Znalazł w Google tego policjanta. Trafił na stare wiadomości. Sprawy zabójstw. Policjant złapał seryjnego mordercę w Australii. Siergiejowi utkwiło to w głowie, bo tego samego dnia przed południem oglądał program o Australii na Animal Planet. Film opowiadał o inteligencji krokodyli żyjących na Terytorium Północnym, o tym, jak się uczą zwyczajów swoich ofiar. Kiedy ktoś wybiera się do buszu pod namiot, często zdarza się, że rano po przebudzeniu chodzi ścieżką wzdłuż jeziora po wodę. Na ścieżce nie musi obawiać się krokodyla, który leży w wodzie i go obserwuje. Jeśli ktoś nocuje w tym samym miejscu, powtórzy się to następnego dnia rano. Ale gdy po trzecim noclegu będzie szedł rano ścieżką, tym razem nie zobaczy żadnego krokodyla, dopóki busz nie zacznie szeleścić po drugiej stronie ścieżki i krokodyl nie zepchnie go do wody.

Policjant w Internecie wyglądał na skrupowanego. Jakby nie lubił, żeby go fotografowano. Albo na niego patrzono.

Zadzwoił telefon. To był Andriej. Od razu powiedział wprost:

– On mieszka w hotelu Leon.

Południowosyberyjski dialekt był właściwie ostry i rwany, ale w ustach Andrieja brzmiał miękko i płynnie. Andriej dwa razy wolno i wyraźnie powtórzył adres, a Siergiej zapisał go w pamięci.

– Świetnie – odparł, starając się, żeby w jego głosie brzmiał zapal. – Spytałem, w którym pokoju on mieszka. Jeśli nie na końcu korytarza, to tam się zaczaję, w głębi, żeby wychodząc z pokoju i idąc w stronę schodów czy windy, szedł plecami do mnie.

– Nie, Siergiej.

– Nie?

– Nie w hotelu. Będzie przygotowany, że przyjdziemy do Leona.

Siergiej aż drgnął.

– Przygotowany?

Zmienił pas i schował się za jakimś wynajętym samochodem, a Andriej w tym czasie tłumaczył mu, że policjant nawiązał kontakt z dwoma ich dilerami i zaprosił atamana do Leona. A to już z daleka cuchnęło pułapką. Ataman wydał jasne polecenie: Siergiej musi wykonać robotę gdzie indziej.

– Gdzie? – spytał Siergiej.

– Czekaj na niego na ulicy pod hotelem.

– A gdzie mam to zrobić?

– Sam zdecydujesz – odparł Andriej. – Ale moim zdaniem powinieneś wymyślić zasadzkę.

– Zasadzkę?

– Zasadzka zawsze jest najlepsza, Siergiej. I jeszcze jedno...

– Tak?

– On się zaczyna zbliżać do sedna. Do tego, do czego nie chcemy, żeby się zbliżał. A to znaczy, że trzeba się spieszyć.

– Czyli... czyli?

– Ataman mówi, że masz poświęcić tyle czasu, ile potrzebujesz, ale nie więcej. Jedna doba jest lepsza niż dwie doby. A dwie to z kolei lepiej niż trzy. Jasne?

– Jasne – odparł Siergiej z nadzieją, że Andriej nie usłyszał, jak głośno przełknął ślinę.

Kiedy się rozłączyli, Siergiej dalej stał w korku. Nigdy w całym swoim życiu nie czuł się równie samotny.

Popołudniowy ruch osiągnął szczyt i korek zniknął dopiero koło Berger, tuż przed skrzyżowaniem na Skedsmo. Harry siedział w samochodzie już od godziny i zdążył przeskoczyć przez wszystkie kanały w radiu, aż w końcu w czystym proteście zatrzymał się na NRK Zawsze Klasyka. Dwadzieścia minut później zobaczył tablicę oznaczającą zjazd na Port Lotniczy Oslo. Dzwonił pod numer Torda Schultza z piętnaście razy w ciągu ostatniej doby, ale bez rezultatu. Kolega Schultza z linii lotniczych, z którym w końcu udało mu się porozmawiać, powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie może być Tord, ale zwykle kiedy nie lata, trzyma się w pobliżu. Potwierdził też prywatny adres, który Harry znalazł w Internecie.

Zaczęło się już ściemniać, kiedy Harry na drogowskazie przeczytał, że dobrze trafił. Wolno jechał między identycznymi, przypominającymi pudełka do butów domkami stojącymi po obu stronach świeżo wyasfaltowanej drogi. Domyślił się, który mógł należeć do Schultza, patrząc na sąsiednie domy oświetlone na tyle, by dało się przeczytać numer na murze. Dom Torda Schultza był pogrążony w totalnym mroku.

Harry zatrzymał samochód. Spojrzał w górę. Z ciemności wynurzało się srebro. Samolot. Bezszelestnie jak drapieźny ptak. Światła omiotły dachy domów, samolot zniknął, ciągnąc za sobą dźwięk niczym welon panny młodej.

Harry podszedł do drzwi, przyłożył twarz do szybki i zadzwonił. Czekał. Zadzwonił

jeszcze raz. Odczekał minutę. W końcu wybił szybę.

Wsunął rękę do środka, przekręcił zamek w klamce i otworzył.

Przeszedł ponad odłamkami szkła i ruszył dalej do salonu.

Przede wszystkim uderzyła go ciemność. Tu było ciemniej, niż powinno być w pokoju, mimo niezapalonego światła. Uświadomił sobie, że zasłony są zaciągnięte. Grube rolety z rodzaju tych, jakich używali w bazie wojskowej na północy w Finnmark, żeby odgradzić się od słońca świecącego o północy.

Drugą rzeczą, jaka go uderzyła, było uczucie, że nie jest sam. A ponieważ doświadczenie mówiło mu, że takie odczucia niemal zawsze są wynikiem całkiem konkretnych wrażeń zmysłowych, skupił się na rozpoznaniu tych wrażeń, starając się zapomnieć o własnej, zupełnie naturalnej reakcji, podwyższonym pulsie i chęci wycofania się tą samą drogą, którą przyszedł. Nasłuchiwał, ale słyszał jedynie cykający gdzieś zegar. Prawdopodobnie w przyległym pokoju. Wciągnął powietrze przez nos. Pachniało nieprzyjemną duchotą, ale był w tym jeszcze jakiś inny element. Słabo wyczuwalny, ale znajomy. Zamknął oczy. Z reguły potrafił wyczuć je, zanim przyszły. Przez lata nauczył się strategii myślenia, która potrafiła je odpędzić. Ale teraz rzuciły się na niego, zanim zdążył zaryglować drzwi. Upiory. To był zapach miejsca zbrodni.

Otworzył oczy i oślepiło go światło. Wpadło przez okna dachowe nad antresolą. Omiotło podłogę, potem rozległ się dźwięk samolotu, a sekundę później salon znów pograżył się w ciemności. Ale on już to zobaczył. Nie dało się już dłużej wypierać przyspieszonego pulsu i chęci ucieczki.

Żuk. Unosił się w powietrzu tuż przed jego twarzą.

Twarz była zmasakrowana.

Harry zapalił światło w salonie i patrzył na martwego mężczyznę. Prawe ucho miał przybite gwoździem do parkietu, a w twarzy widać było sześć czarnych krwawych kraterów. Nie musiał szukać narzędzia zbrodni. Wisiało na wysokości głowy tuż przed nim. Na końcu sznura przewieszzonego przez belkę w suficie umocowana była cegła. Z cegły sterczało sześć zakrwawionych gwoździ.

Harry przykucnął i uniósł rękę trupa. Mężczyzna był zimny. *Rigor mortis* zdecydowanie wystąpiło, pomimo ciepła w pokoju. Podobnie *livor mortis*: kombinacja siły ciężenia i braku ciśnienia krwi sprawiła, że krew zebrała się w najniższych punktach ciała, barwiąc spodnią stronę ręki mężczyzny na czerwono. Prawdopodobnie nie żył co najmniej od dwunastu godzin. Biała, świeżo wyprasowana koszula była podciągnięta i odsłaniała kawałek skóry brzucha, która nie przybrała jeszcze zielonkawego zabarwienia od bakterii nadjadających trupa. Uczta z reguły zaczynała się dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach i rozprzestrzeniała od brzucha w różne strony.

Oprócz koszuli mężczyzna miał na sobie poluzowany krawat, czarne garniturowe spodnie i świeżo wyczyszczone buty. Jakby przyszedł wprost z pogrzebu albo z pracy, w której obowiązuje *dress code*, pomyślał Harry.

Podniósł telefon, zastanawiając się, czy ma dzwonić do Centrali Operacyjnej, czy bezpośrednio do Wydziału Zabójstw. Wybrał numer centrali, rozglądając się dokoła. Nie zauważył żadnych oznak włamania, w pokoju nie było też śladów walki. Oprócz cegły i trupa nie było w ogóle żadnych śladów. Harry wiedział, że kiedy zjawią się technicy, nie znajdą nic. Żadnych odcisków palców, śladów butów, żadnego materiału DNA. Śledczy utkną w miejscu. Nikt z sąsiadów nic nie widział, żadna kamera na stacji benzynowej w pobliżu nie zarejestrowała obcych twarzy, żadnych podejrzanych rozmów telefonicznych z telefonu albo na telefon Schultza. Nic. Czekając, aż na drugim końcu ktoś odbierze, Harry wyszedł do kuchni. Starym zwyczajem stapał ostrożnie i starał się niczego nie dotykać. Jego spojrzenie padło na kuchenny stół i talerzyk z nadgryzioną kanapką z serwołatką. Na oparciu krzesła wisiała marynarka, pasująca do spodni, w które był ubrany denat. Harry sprawdził kieszenie, znalazł czterysta koron, nalepkę, bilet na pociąg i identyfikator linii lotniczych. Tord Schultz.

Profesjonalnie uśmiechnięta twarz na zdjęciu przypominała resztki twarzy, które widział w salonie.

– Centrala Operacyjna, słucham.

– Mam tu zwłoki. Adres to...

I w tym momencie jego spojrzenia padło na nalepkę.

– Tak?

Było w niej coś znajomego.

– Halo?

Harry sięgnął po nalepkę. Na samej górze widział nadruk OKRĘG POLICYJNY OSŁO. Niżej TORD SCHULTZ i data. Denat trzy dni temu odwiedził posterunek policji albo komendę. A teraz nie żył.

– Halo?

Harry odłożył słuchawkę.

Usiadł.

Zaczął myśleć.

Przeszukanie domu zajęło mu półtorej godziny. Później wytarł wszystkie miejsca, w których mógł zostawić odciski palców, i zdjął z głowy plastikową torbę umocowaną za pomocą gumki do weków, żeby nie zgubić żadnego włoska. Od dawna obowiązywała zasada, że wszyscy śledczy zajmujący się zabójstwami i inni policjanci mogący pojawić się w miejscu zdarzenia musieli zarejestrować swoje odciski palców i DNA. Gdyby coś takiego tu zostawił, policja potrzebowałaby pięciu minut na stwierdzenie jego tożsamości. Wynikiem przeszukania były trzy torebeczki z kokainą, cztery butelki prawdopodobnie przemyconej wódki. Poza tym było dokładnie tak, jak się spodziewał: kompletnie nic.

Wyszedł, wsiadł do samochodu i odjechał.

Okręg Policyjny Oslo.

Niech to szlag!

Harry dojechał do centrum, zaparkował samochód i dalej w nim siedział, gapiąc się przez przednią szybę. W końcu zadzwonił do Beate.

– Dwie rzeczy. Chcę cię prosić o przysługę. I anonimowo przekazać informację o jeszcze jednym trupie w tej sprawie.

– Właśnie się o tym dowiedziałam.

– Więc już wiecie? – zdziwił się Harry. – Ta metoda nazywa się żuk. Rosyjska.

– O czym ty mówisz?

– O cegle.

– O jakiej cegle?

Harry nabrał powietrza.

– A o czym ty mówisz?

– O Gojku Tošiciu.

– Kto to jest?

– Facet, który zaatakował Olega.

– I?

– Znaleziono go martwego w celi.

Harry patrzył wprost w dwa reflektory zbliżające się z naprzeciwka.

– Jak...

– Właśnie to badają. Wygląda na to, że się powiesił.

– To możesz od razu skreślić. Pilota też zabili.

– Co?

– Tord Schultz leży w salonie u siebie w domu na Gardermoen.

Minęły dwie sekundy, zanim Beate odpowiedziała:

– Zaraz przekażę informację Centrali Operacyjnej.

– Okej.

– A co z tym drugim?

– Z czym?

– Powiedziałeś, że chcesz mnie prosić o przysługę.

– A tak, rzeczywiście. – Harry wyciągnął z kieszeni naklejkę. – Mogłabyś sprawdzić rejestr odwiedzin w recepcji w komendzie? Zobacz, kogo Tord Schultz odwiedzał trzy dni temu.

Znów zapadła cisza.

– Beate?

– Tak. Jesteś pewien, że chcę być w to zamieszana, Harry?

– Jestem pewien, że nie chcesz.

– Niech cię cholera!

Harry się rozłączył.

Zostawił wynajęty samochód na parkingu na samym dole Kvadraturen i piechotą poszedł do Leona. Mijał jakiś bar. Płynąca ze środka muzyka przypominała mu tamten wieczór, kiedy przyjechał. Zapraszające *Come as You Are* Nirvany. Nie zdawał sobie sprawy, że wszedł przez otwarte drzwi, dopóki nie stanął przy barze w długim jak jelito lokalu.

Na stołkach barowych siedziało trzech zapadniętych w siebie gości. Wyglądało to na ciągnącą się od miesiąca stypę, której nikt nie przerwał. Cuchnęło trupem, skrzypiały kości. Barman popatrzył na Harry'ego spojrzeniem, które mówiło: „Zamawiaj albo idź do diabła”, powoli wykręcając korek z otwieracza do wina. W poprzek szerokiej szyi miał wytatuowane trzy duże gotyckie litery. EAT.

– Co ma być? – zawołał, ledwie będąc w stanie przekrzyczeć Kurta Cobaina, który prosił, by Harry przyszedł jako przyjaciel. Jako przyjaciel. Jako stary wróg.

Harry zwilżył wargi, które nagle mu spierzchły. Patrzył na obracające się dłonie barmana. To był otwieracz najprostszego rodzaju z krótkim gwintem, taki, który wymaga pewnej wyćwiczonej ręki, ale w zamian za to potrzebuje zaledwie paru obrotów, żeby przeniknąć głęboko w korek, więc sprawę załatwia się szybko. Ten korek był przebity na wylot. A więc to nie winiarnia. Co innego tu serwują? Spojrzał na swoje zniekształcone odbicie w lustrze za barmanem, na pokiereszowaną twarz. Ale to nie była tylko jego twarz. To była twarz ich wszystkich, wszystkich upiórów. Tord Schultz właśnie do nich dołączył. Spojrzenie długo poszukiwało wśród butelek na półce z lustrem i niczym rakietą naprowadzana na ciepło znalazło cel. Starego wroga. Jima Beama.

Kurt Cobain wołał, że nie ma pistoletu.

Harry chrząknął. Tylko jeden.

Przyjdź tak, jak jesteś. Nie, nie mam pistoletu.

Wypowiedział zamówienie na głos.

– Co? – zawołał barman, nachylając się do niego.

– Jim Beam.

Nie mam pistoletu.

– Gin co?

Harry przełknął ślinę. Cobain powtórzył słowo *memoria*. Harry słyszał tę piosenkę sto razy wcześniej, ale zawsze mu się wydawało, że Cobain śpiewa *The more* coś tam.

Memoria. In memoriam. Gdzie on to widział? Na jakimś nagrobku?

Dostrzegł ruch w lustrze. W tej samej chwili komórka w kieszeni zaczęła wibrować.

– Gin i co? – krzyknął barman, odkładając otwieracz na kontuar. Harry wyjął telefon. Spojrzał na wyświetlacz. R. Odebrał.

– Cześć, Rakel.

– Harry?

Znów jakiś ruch za jego plecami.

– Słyszę wyłącznie hałas, Harry. Gdzie ty jesteś?

Wstał i szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Wciągnął w płuca zatrute spalinami, a mimo to świeższe powietrze.

– Co robisz? – spytała Rakel.

– Stoję i zastanawiam się, czy mam iść w prawo, czy w lewo – odparł Harry. – A ty?

– Już się kładę. Jesteś trzeźwy?

– Co?

– Słyszałeś, a ja słyszę ciebie. Wyczuwam, kiedy jesteś zestresowany. A to brzmiało tak, jakbyś był w barze.

Harry wyjął paczkę cameli. Wyciągnął papierosa. Zobaczył, że palce mu drżą.

– Dobrze, że zadzwoniłaś, Rakel.

– Harry?

Przypalił papierosa.

– Tak?

– Hans Christian załatwił sprawę, Oleg siedzi w areszcie w jakimś tajnym miejscu. Gdzieś w południowej Norwegii, ale nikt nie wie gdzie.

– No to nieźle się spisał.

– To dobry człowiek, Harry.

– Nie wątpię.

– Harry?

– Jestem.

– A gdybyśmy tak podrzucili jakieś dowody? Gdybym na przykład ja wzięła na siebie to zabójstwo? Pomógłbyś mi?

Harry się zaciągnął.

– Nie.

– Dlaczego?

Za Harrym otworzyły się drzwi, ale nie usłyszał kroków, które by się oddalały.

– Zadzwonię do ciebie z hotelu, dobrze?

– Dobrze.

Rozłączył się i wyszedł na ulicę, nie oglądając się za siebie.

Siergiej patrzył na mężczyznę biegnącego przez ulicę.

Zobaczył, jak wchodzi do Leona.

Był już tak blisko. Tak bardzo blisko. Najpierw w tym barze, a później tutaj, na ulicy. Siergiej wciąż trzymał rękę w kieszeni kurtki. Zaciśniętą na rogu jelenia szlachetnego w rękojeści noża. Ostrze się wysunęło i przecięło podszewkę. Już dwa razy miał zrobić ten krok do przodu, złapać go lewą ręką za włosy, wbić nóż i narysować półksiężyc. Policjant był wprawdzie wyższy, niż to sobie wyobrażał, ale to nie będzie stanowić żadnego problemu.

Nic nie będzie stanowić problemu. Bo w miarę jak puls mu zwalniał, powracał spokój. Ten spokój, który utracił, bo wyparł go strach. A teraz znów czuł, że się cieszy, nie może doczekać się spełnienia, stopienia się w jedno z historią, która nie została opowiedziana.

Bo to było to miejsce. Zasadzka, o której mówił Andriej. Siergiej zauważył bowiem spojrzenie policjanta, kiedy ten przyglądał się butelkom. To było takie samo spojrzenie, jakie miał jego ojciec, kiedy wrócił do domu z więzienia. Siergiej był krokodylem w australijskim jeziorze. Krokodylem, który wiedział, że ten człowiek znów pójdzie tą samą ścieżką, żeby zdobyć coś do picia. I wiedział, że po prostu musi czekać.

Harry położył się na łóżku w pokoju trzysta jeden, wydmuchał dym pod sufit i dalej słuchał jej głosu w telefonie.

– Wiem, że robiłeś gorsze rzeczy niż podrzucanie dowodów – mówiła Rakel. – Więc dlaczego nie? Dlaczego nie zrobiłbyś tego dla osoby, którą kochasz?

– Pijesz białe wino – stwierdził.

– Skąd wiesz, że nie czerwone?

– Bo słyszę.

– No dobrze, wyjaśnij mi, dlaczego byś mi nie pomógł.

– A muszę?

– Tak, Harry.

Zgasił papierosa w pustej filiżance po kawie stojącej na nocnym stoliku.

– Ja... łamiący prawo, zwolniony z pracy policjant uważam, że prawo coś znaczy. To brzmi głupio?

– Mów dalej.

– Prawo to płot, który ustawiliśmy na krawędzi przepaści. Za każdym razem, gdy ktoś je łamie, płot trochę się psuje. Musimy go naprawiać. Winny musi ponieść karę.

– Nie. Ktoś musi ponieść karę. Kogoś należy ukarać, by pokazać społeczeństwu, że zabójstwa się nie akceptuje. Ten płot może naprawić każdy kozioł ofiarny.

– Naginasz prawo tak, jak ci pasuje. Jesteś prawniczką, więc wiesz lepiej.

– Jestem matką, a jako prawniczka pracuję. A co z tobą, Harry? Jesteś policjantem? Tym się stałeś? Robotem, niewolnikiem mrowiska i myśli wysnutych przez innych? Jesteś tam?

– Mhm.

– Masz dla mnie jakąś odpowiedź?

– No cóż. Jak ci się wydaje, dlaczego przyjechałem do Oslo?

Milczenie.

– Harry?

– Tak.

– Przepraszam.

– Nie płacz.

– Wiem. Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

– Dobranoc, Harry. Ja...

– Dobranoc.

Harry się obudził. Coś usłyszał. Coś, co zagłuszyło odgłos jego własnych biegnących kroków i huk lawiny. Spojrzał na zegarek. 1.34. Złamany karnisz stał oparty o parapet. Końcówka przypominała tulipan. Harry wstał, podszedł do okna i wyjrzał na podwórze. Pojemnik na śmieci leżał przewrócony na asfalcie i ciągle brzęczał. Harry dotknął czołem zimnej szyby.

Było wcześniej. Poranny szczyt skradał się szeptem w stronę Grønlandsleiret, kiedy Truls szedł w stronę wejścia do Budynku Policji. Czerwony plakat na lipie zauważył tuż przed dotarciem do drzwi z dziwacznymi bulajami. Zawrócił więc spokojnie i mijając wolno posuwające się korki na ulicach Oslo, ruszył w stronę cmentarza.

O tej porze było tu pusto jak zwykle, przynajmniej jeśli chodziło o żywych. Zatrzymał się przy nagrobku A.C. Ruda. Nie było na nim żadnej wiadomości, a więc musiał to być dzień wypłaty.

Przykucnął i zaczął grzebać w ziemi tuż przy nagrobku. Wyczuł palcami brązową kopertę. Wyciągnął ją, ale oparł się pokusie jej otwarcia i natychmiastowego przeliczenia zawartości, po prostu schował do kieszeni. Już miał się podnieść, gdy nagle wrażenie, że jest obserwowany, kazało mu pozostać w przykucnięciu jeszcze przez kilka sekund, jakby kontemplował A.C. Ruda, przemijalność życia i inne bzdury.

– Nie ruszaj się z miejsca, Berntsen.

Padł na niego cień, a wraz z nim chłód, taki jaki nadchodzi, kiedy słońce schowa się za chmurą. Truls Berntsen miał wrażenie, że spada. Że żołądek unosi mu się do gardła. A więc ujawnienie nastąpi w taki sposób.

– Tym razem mamy dla ciebie inną robotę.

Truls znów poczuł pod stopami stały grunt. Głos. Ślad akcentu. To był on. Truls zerknął w bok. Zobaczył postać stojącą z pochyłoną głową dwa groby dalej, niby pograżoną w modlitwie.

– Musisz się dowiedzieć, gdzie ukryli Olega Fauke. Patrz przed siebie.

Truls wbił oczy w nagrobek.

– Już próbowałem – powiedział. – Ale tych przenosin nigdzie nie zarejestrowano. A przynajmniej w żadnym miejscu, do którego mam dostęp. Ci, z którymi rozmawiałem, w życiu o nim nie słyszeli, więc przypuszczam, że dali mu zupełnie nowe nazwisko.

– Musisz porozmawiać z kimś, kto wie. Na przykład z obrońcą, Simonsenem.

– Dlaczego nie z matką? Przecież ona musi...

– Żadnych kobiet. – Słowa padły szybko jak pocisk. Jeśli ktoś jeszcze był na cmentarzu, z pewnością je usłyszał. A potem już spokojniej: – Spróbuj z obrońcą, a jeśli to się

nie uda...

W ciszy, która zapadła, Berntsen usłyszał szum drzew na cmentarzu. To chyba wiatr. To przez wiatr nagle zrobiło się o wiele chłodniej.

– ...to jest jeszcze facet, który nazywa się Chris Reddy – ciągnął głos. – Na ulicy nazywają go Szuwaks. Handluje...

– Speedem. Szuwaks to amfet...

– Zamknij się, Berntsen, i słuchaj.

Truls się zamknął. I słuchał. Tak jak zamykał się za każdym razem, gdy ktoś dysponujący takim głosem mu to kazał. Słuchał, kiedy kazali mu przerzucać gówno, kiedy kazali...

Głos podał adres.

– Słyszałeś plotkę, jak to Szuwaks się przechwalał, że to on zastrzelił Gusto Hanssena. Wezwiesz go na przesłuchanie. A on szczerze przyzna się do winy. Ustalenie szczegółów pozostawiam wam, tak żeby to było w stu procentach wiarygodne. Ale najpierw spróbujesz nakłonić do mówienia Simonsena. Jasne?

– Tak. Ale dlaczego Szuwaks ma się...

– Nie twoja sprawa, Berntsen. Twoje kolejne pytanie powinno brzmieć: Ile?

Truls Berntsen przełknął ślinę. Potem drugi raz i trzeci. Przerzucanie gówna. Przełknął gówno.

– Ile?

– O właśnie. Sześćdziesiąt tysięcy.

– Sto.

Bez odpowiedzi.

– Halo?

Ale słyhać było jedynie szept ulicznego ruchu.

Berntsen tkwił nieruchomo. Zerknął w bok. Nikogo tam nie było. Słońce znów zaczęło grzać. A sześćdziesiąt tysięcy to wcale nieźle.

Nad ziemią wciąż unosiła się mgła, kiedy Harry o dziesiątej rano podjechał pod główny budynek gospodarstwa Skøyen. Isabelle Skøyen stała uśmiechnięta na schodach, uderzając niedużą szpicrutą o udo w czarnych bryczesach. Harry, wysiadając z wynajętego samochodu, słyszał, jak żwir chrzęści pod obcasami jej długich butów.

– Dzień dobry, Harry. Co wiesz o koniach?

Harry trzasnął drzwiczkami samochodu.

– Straciłem na nich sporo pieniędzy. Coś ci to mówi?

– Więc jesteś również hazardzistą?

– Również?

– Ja też się trochę rozpatrzyłam. Twoje bohaterskie czyny równoważą się z twoimi wpadkami. Tak w każdym razie uważają twoi koledzy. To w Hongkongu przegrałeś?

– Na torze Happy Valley. Jednorazowe przedsięwzięcie.

Ruszyła w stronę niskiego, pomalowanego na czerwono budynku z drewna, Harry musiał wydłużyć krok, żeby za nią nadążyć.

– Jeździłeś kiedyś konno, Harry?

– Dziadek w Åndalsnes miał roboczą szkapę rasy døle.

– Czyli jesteś doświadczonego jeźdźcem.

– To również było jednorazowe przedsięwzięcie. Dziadek mówił, że konie to nie zabawki, a jazda dla przyjemności to brak szacunku dla ciężko pracującego zwierzęcia.

Zatrzymała się przed drewnianym statywem z dwoma wąskimi skórzanymi siodłami.

– Żaden z moich koni nie widział i nie zobaczy wozu czy pług. Osiodłam konie. Proponuję, żebyś w tym czasie zajrzał tam, do korytarza. – Wskazała na dom. – W szafie znajdziesz odpowiedni strój po moim byłym mężu. Musimy oszczędzać ten twój elegancki garnitur, prawda?

W szafie w korytarzu Harry rzeczywiście znalazł sweter i dzinsy odpowiedniej długości. Były mąż musiał mieć jednak wyjątkowo małe stopy, bo nie mógł wcisnąć żadnych butów, dopóki głęboko w szafie nie wygrzebał mocno zużytych niebieskich adidasów pochodzących z magazynów wojska.

Kiedy znów wyszedł na podwórze, Isabelle już czekała z dwoma osiodłanymi końmi. Harry otworzył drzwiczki samochodu od strony pasażera, usiadł z nogami na zewnątrz, włożył buty, uprzednio wyjmując z nich wkładki, które rzucił na podłogę, i ze schowka wyjął ciemne okulary.

– Gotowy.

– To jest Meduza. – Isabelle pogłaskała po pysku dużą gniadą klacz. – To oldenburger z Danii. Idealna rasa do skoków przez przeszkody. Ma dziesięć lat i szefuje stadu. A to Balder. Ma pięć lat. Wałach, więc pójdzie za Meduzą.

Podążyła mu cugle mniejszego konia, a sama dosiadła Meduzy.

Harry kopiował jej ruchy. Włożył lewą nogę w lewe strzemie i podciągnął się na siodło. Koń, nie czekając na komendę, ruszył za Meduzą.

Harry przesadził, mówiąc, że jeździł konno tylko raz, ale to było coś zupełnie innego niż spokojny lotniskowiec dziadka. Tu musiał balansować w siodle, a kiedy ścisnął kolanami boki konia, czuł poruszające się mięśnie i zebra pięknego wierzchowca. Meduza lekko przyspieszyła na ścieżce przez pole, Balder się do niej dostosował. Już nawet ta leciutka zmiana tempa powiedziała Harry'emu, że ma między nogami zwierzę Formuły 1. Na końcu pola zjechali na ścieżkę, która znikwała w lesie ciągnącym się na zboczu. W pewnym momencie ścieżka się rozwidła, bo na jej środku rosnęło drzewo, i Harry próbował skierować Baldra na lewo, ale koń całkowicie go zignorował. Poszedł śladem Meduzy, okrążając drzewo od prawej strony.

– Myślałem, że to ogiery przewodzą stada – zawołał Harry.

– Z reguły tak jest – rzuciła Isabelle przez ramię. – Ale naprawdę chodzi o charakter. Silna, ambitna i mądra klacz może wygrać konkurencję, jeśli tylko chce.

– A ty chcesz?

Isabelle Skøyen się roześmiała.

– Oczywiście! Jeżeli pragnie się coś osiągnąć, trzeba tego naprawdę chcieć. W polityce chodzi o zdobywanie władzy. No i trzeba, rzecz jasna, lubić rywalizację.

– A ty ją lubisz?

Zobaczył, że wzruszyła ramionami.

– Rywalizacja jest zdrowa. Oznacza, że decydować może najsilniejszy i najlepszy, a to jest dobre dla całego stada.

– Może się też parzyć, z kim chce.

Nie odpowiedziała. Harry ją obserwował. Plecy miała proste, a naprężone pośladki wyglądały tak, jakby masowały konia. Miękkimi ruchami bioder przesuwaly go z boku na bok. Wyjechali na otwartą polanę. Słońce świeciło, w dole unosiły się pojedyncze kłęбки mgły.

– Niech odpoczną. – Isabelle Skøyen zsiadła z konia.

Przywiązali wierzchowce do drzewa i Isabelle ułożyła się na trawie. Przywołała Harry'ego. Usiadł przy niej i włożył okulary.

– Powiedz mi, to męskie okulary? – spytała drwiąco.

– Chronią przed słońcem. – Harry sięgnął po papierosa.

– Podoba mi się to.

– Co?

– Lubię, kiedy mężczyźni są pewni swojej męskości.

Popatrzył na nią. Leżała oparta na łokciach, rozpięta jeden guzik bluzki. Miał nadzieję,

że okulary przeciwsłoneczne są dostatecznie ciemne. Uśmiechnęła się.

– No i co możesz mi opowiedzieć o Hanssenie? – spytał Harry.

– Lubię, kiedy mężczyźni są prawdziwi – uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Obok przeleciała brązowa ważka. Pewnie to jej ostatni lot tej jesieni. Harry’emu nie podobało się to, co widział w oczach tej kobiety. To, co w nich zauważył, odkąd tu przyjechał. Pełną wyczekiwania radość. Wcale nie niespokojne napięcie, jakie powinno dręczyć kogoś, kto mógł się spodziewać grożącego karierze skandalu.

– Nie lubię sztuczności – ciągnęła. – Na przykład blefowania.

Z otoczonych maskarą niebieskich oczu bił triumf.

– Widzisz, zadzwoniłam do mojego kontaktu w policji i oprócz tego, że trochę mi opowiedział o legendarnym śledczym Harrym Hole, to powiedział mi też, że w sprawie Gusta Hanssena nikt nie analizował żadnej krwi. Podobno próbka się zniszczyła. Nie ma żadnego paznokcia, pod którym zakrzepłaby krew mojej grupy. Blefowałeś, Harry!

Harry zapalił papierosa. Krew nie popłynęła do policzków i uszu. Może był już za stary na rumieńce.

– Mhm. Jeżeli cały kontakt, jaki miałaś z Gustem, ograniczał się do kilku niewinnych rozmów, to dlaczego tak się przestraszyłaś, że prześlę krew do analizy DNA?

– Kto powiedział, że się przestraszyłam? Może po prostu chciałam, żebyś tu przyjechał. Poznał tutejszą przyrodę.

Harry stwierdził, że jednak nie jest za stary, żeby się rumienić, więc się położył i wydmuchnął dym pod śmiesznie błękitne niebo. Z zamkniętymi oczami usiłował wyliczać powody, dla których miałyby się nie przespać z Isabelle Skøyen. Było ich kilka.

– To źle? – spytała. – Mówię tylko, że jestem dorosłą, niezwiązaną z nikim kobietą, która ma naturalne potrzeby. To nie oznacza, że jestem niepoważna. Nigdy nie pozwoliłabym sobie na nic z osobą, której nie uważam za równą sobie. Na przykład z Gustem. – Harry słyszał jej głos już coraz bliżej. – Natomiast z dorosłym mężczyzną... – Gorącą dłonią dotknęła jego brzucha.

– Czy Gusto leżał w tym miejscu, w którym teraz leżymy? – spytał Harry cicho.

– Co?

Uniósł się na łokciach i spojrzał na niebieskie adidas.

– Twoja szafa była pełna ekskluzywnych męskich butów w rozmiarze czterdzieści dwa. Te kajaki były jedyne w rozmiarze czterdzieści pięć.

– I co z tego? Nie przeczę, że mogli mnie odwiedzać panowie, którzy noszą buty w tym rozmiarze.

Jej dłoń nie przestawała się poruszać.

– Z takich adidasów niedawno zrezygnowała armia. A kiedy zmienili rodzaj obuwia, stare zapasy przekazano organizacjom charytatywnym, które rozdzielały je wśród potrzebujących. W policji nazywamy je ćpuńskimi adidasami, bo rozdawała je Armia Zbawienia w Latarni Morskiej. Można oczywiście zadać sobie pytanie, dlaczego przypadkowy gość noszący rozmiar czterdzieści pięć zostawia tu buty. Naturalnym wytłumaczeniem jest to, że dostał w prezencie nowe.

Ręka Isabelle Skøyen przestała się poruszać, Harry więc mówił dalej:

– Ktoś z kolegów pokazał mi zdjęcia z miejsca zdarzenia. Gusto w chwili śmierci miał na sobie tanie spodnie, za to parę bardzo drogich butów. Alberto Fasciani, jeśli się nie mylę. Fajny gest. Ile za nie zapłaciłaś? Pięć tysięcy?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Zabrała rękę. Harry z niechęcią obserwował własną erekcję, która już zaczęła być widoczna w pożyczonych spodniach. Poruszył stopami.

– Zostawiłem wkładki w samochodzie. Wiesz, że pot to znakomity materiał DNA? Na pewno znajdziemy też mikroskopijne fragmenty naskórka. A chyba niewiele sklepów w Oslo sprzedaje buty Alberto Fasciani? Jeden, dwa? Zresztą i tak nietrudno będzie sprawdzić twoją kartę kredytową.

Isabelle Skøyen usiadła. Patrzyła gdzieś daleko.

– Widziałeś gospodarstwo? – spytała. – Prawda, że piękne? Uwielbiam pejzaż ukształtowany ręką człowieka. Za to nienawidzę lasu. Oprócz nasadzonego. Nie cierpię chaosu.

Harry obserwował jej profil. Siekierzasty nos wyglądał wręcz groźnie.

– Opowiedz mi o tym chłopaku.

Wzruszyła ramionami.

– Po co? Najwyraźniej już i tak większość zrozumiałeś.

– Możesz wybierać, kto ma ci zadawać pytania: ja czy „VG”.

Roześmiała się.

– Gusto był młody i piękny. Taki ogier, na którego wspaniale się patrzy, ale ma wątpliwej jakości geny. Biologiczny ojciec to kryminalista, a matka narkomanka. Tak twierdził przybrany ojciec. Nie jest to koń, którego wykorzystasz do hodowli. Ale przyjemnie się na nim jeździ, jeżeli... – Wzięła głębszy oddech. – Przyjeżdżał tutaj, uprawialiśmy seks. Czasami dostawał pieniądze. Spotykał się też z innymi, więc to nie było nic wyjątkowego.

– Byłaś o niego zazdrosna?

– Zazdrosna? – Isabelle pokręciła głową. – Seks nigdy nie wzbudzał we mnie

zazdrości. Ja też spotykałam się z innymi. A z czasem z jednym wyjątkowym. Więc zerwałam z Gustem. A może to on zerwał ze mną. Wyglądało na to, że nie potrzebował już kieszonkowego, które ode mnie dostawał. Ale pod koniec znów się ze mną skontaktował. Zaczął być natrętny. Chyba miał kłopoty finansowe. No i problem z narkotykami.

– Jaki on był?

– Co przez to rozumiesz? Jaki? Egoistyczny, niegodny zaufania, czarujący. Pewny siebie drań.

– A czego chciał?

– Czy ja wyglądam na psychologa, Harry?

– Nie.

– No nie. Bo ludzie średnio mnie interesują.

– Naprawdę?

Isabelle Skøyen kiwnęła głową. Wciąż patrzyła w dal. Wilgotne oczy błyszczały.

– Gusto był samotny – powiedziała.

– Skąd wiesz?

– Wiem, czym jest samotność, okej? Był też pełen pogardy dla siebie.

– Był pewny siebie, a jednocześnie sobą gardził?

– To nie jest wcale sprzeczność. Człowiek wie, że potrafi i da radę, ale to jeszcze nie znaczy, że uważa siebie za kogoś, kto zasługuje na miłość innych.

– I czym to może być spowodowane?

– Posłuchaj, mówiłam, że nie jestem psychologiem.

– No tak.

Harry czekał.

– Jego rodzice go oddali. Jak myślisz, co to może zrobić z chłopcem? Za wszystkimi tymi gestami i gębą twardziela krył się chłopak, który uważał, że nie jest wiele wart. Tyle samo co ci, którzy go oddali. Czy to nie jest prosta logika, panie prawie policjancie?

Harry popatrzył na nią, kiwnął głową. Zauważył, że poczuła się nieswojo pod jego spojrzeniem. Ale nie zadał pytania, które miał na końcu języka. Jaka jest jej historia? Jak bardzo samotna była za tą fasadą? Czy w gruncie rzeczy sobą gardziła?

– A co z Olegiem? Znałaś go?

– Tego, którego aresztowali za to zabójstwo? Nie, nigdy go nie poznałam. Ale Gusto wspominał kilka razy o jakimś Olegu. Mówił, że to jego najlepszy przyjaciel. Wydaje mi się, że jedyny.

– A co z Irene?

- O niej też wspominał. Była dla niego jak siostra.
- Była jego siostrą.
- Ale nie jednej krwi, Harry. To nigdy nie będzie to samo.
- Tak?

– Ludzie są naiwni. Wydaje im się, że stać ich na nieegoistyczną miłość. Ale we wszystkim chodzi o przekazywanie genów, możliwie takich samych jak twoje własne. Obserwuję to codziennie w hodowli. A ludzie są jak konie. Jesteśmy zwierzętami stadnymi, Harry. Ojciec będzie chronił biologicznego syna, brat biologiczną siostrę. W konfliktach instynktownie trzymamy stronę tych, którzy najbardziej przypominają nas samych. Załóżmy, że jesteś w dżungli, wychodzisz zza zakrętu i widzisz, że biały człowiek, ubrany tak jak ty, walczy z półnagim czarnym pomalowanym w barwy wojenne. Obaj mają noże, walczą na śmierć i życie. Ty masz pistolet. Jaka będzie twoja pierwsza reakcja, instynktowna? Będziesz chciał zastrzelić białego, żeby uratować czarnego? O nie!

– Mhm. A czego to dowodzi?

– Tego, że nasza lojalność jest uwarunkowana biologicznie. Że rozchodzi się jak kręgi, których centrum stanowimy my sami i nasze geny.

– Więc ty zastrzełabyś jednego z tych dwóch, żeby chronić swoje geny?

– Bez wahania.

– A co z zabiciem obydwu? Na wszelki wypadek, dla bezpieczeństwa.

Popatrzyła na niego.

– O co ci chodzi?

– Co robiłaś tego wieczoru, kiedy zginął Gusto?

– Co? – Zmrużyła jedno oko do słońca i uśmiechnęła się szeroko. – Podejrzewasz, że mogłam zabić Gusto, Harry? I uganiać się za tym... Olegiem?

– Po prostu mi odpowiedz.

– Pamiętam, gdzie byłam, bo zastanawiałam się nad tym, kiedy przeczytałam o zabójstwie w gazecie. Siedziałam na zebraniu z przedstawicielami policji wydziału narkotykowego. Powinni być godnymi zaufania świadkami. Chcesz nazwiska?

Harry pokręcił głową.

– Coś jeszcze?

– No cóż. Ten Dubaj. Co o nim wiesz?

– Dubaj, no tak. Równie niewiele jak wszyscy inni. Mówi się o nim, ale policja niczego nie znajduje. To typowe. Profesjonalistom zawsze wszystko uchodzi na sucho.

Harry szukał u niej zmian wielkości źrenicy, koloru policzków. Jeśli Isabelle Skøyen

kłamała, robiła to naprawdę dobrze.

– Pytam, ponieważ posprzątałaś ulice ze wszystkich handlarzy narkotyków z wyjątkiem Dubaja i kilku drobnych band.

– Nie ja, Harry. Ja jestem tylko asystentką radnej do spraw społecznych i stosuję się do jej nakazów dotyczących polityki Rady Miasta. A tym, co nazywasz sprzątnięciem ulic, zajęła się policja.

– Mhm. Norwegia to mała baśniowa kraina. Ale ja ostatnie lata spędziłem w prawdziwym świecie, Skøyen. A prawdziwym światem kręcą dwa rodzaje ludzi. Ci, którzy chcą władzy, i ci, którzy chcą pieniędzy. Ten pierwszy rodzaj pragnie pomnika, drugi – przyjemności. A waluta, której używają, handlując ze sobą, aby zdobyć to, na czym im zależy, nazywa się korupcja.

– Mam dzisiaj sporo zajęć, Hole. Do czego zmierzasz?

– Tam, gdzie innym najwyraźniej zabrakło odwagi albo fantazji. Jeśli się długo mieszka w mieście, często postrzega się sytuację jako mozaikę szczegółów, które się dobrze zna. Ale ktoś, kto wrócił do miasta i nie zna tych szczegółów, widzi tylko obraz. A obraz sytuacji w Oslo jest korzystny dla dwóch stron. Dla dilerów, którzy mają rynek tylko dla siebie, i dla polityków, którzy przeżywają chwałę, bo udało im się posprzątać.

– Twierdzisz, że jestem skorumpowana?

– A jesteś?

Zobaczył wściekłość nadpełzającą do jej oczu. Bez wątpienia szczerą. Zastanawiał się tylko, czy to gniew sprawiedliwego, czy dotkniętego w czuły punkt. Nagle zaczęła się śmiać. Głośnym, perlistym, zaskakująco dziewczęcym śmiechem.

– Lubię cię, Harry. – Wstała. – Znam mężczyzn, a oni, kiedy przychodzi co do czego, zwykle okazują się tchórzami. Ale wydaje mi się, że ty możesz się okazać wyjątkiem.

– No cóż, w takim razie wiesz przynajmniej, co o mnie myśleć.

– Rzeczywistość wzywa, mój drogi.

Harry odwrócił głowę i zobaczył szeroki tyłek Isabelle Skøyen oddalający się w stronę koni. Poszedł za nią. Dosiadł Baldra. Wsunął stopy w strzemiona. Podniósł głowę i napotkał spojrzenie Isabelle. Na twardej, mocno rzeźbionej twarzy miała lekko wyzywający uśmiezek. Ściągnęła wargi jak do pocałunku. Cmoknęła nieprzyzwoicie i wbiła pięty w bok Meduzy. Zakołysała się miękko, gdy wielkie zwierzę skoczyło do przodu.

Balder zareagował bez ostrzeżenia. Harry ledwie zdołał utrzymać się w siodle.

Dogonili Meduzę. Spod kopyt klaczy leciały grudy mokrej ziemi. Dorosły koń jeszcze przyspieszył. Harry widział, jak wyprostowany ogon znika za zakrętem. Uchwycił cugle

głębiej, tak jak uczył go dziadek, ale ich nie napinał. Ścieżka była tak wąska, że gałęzie smagały go po twarzy, zgarbił się więc w siodle i mocno przycisnął kolana do boków konia. Wiedział, że nie zdoła zmusić go do zwolnienia, koncentrował się na tym, by trzymać nogi w strzemionach, a głowę nisko opuszczoną. Na skraju pola widzenia drzewa przesuwały się żółtoczerwoną smugą. Odruchowo unióś się lekko w siodle, przerzucając ciężar na kolana i strzemiona. Pod nim pracowały mięśnie. Miał wrażenie, że siedzi na boa dusicielu. W końcu znaleźli jakiś wspólny rytm, któremu akompaniował dudniący tętent kopyt o ziemię. Lęk konkurował z poczuciem opętania. Ścieżka się wyprostowała, Harry pięćdziesiąt metrów przed sobą zobaczył Meduzę i Isabelle. Obraz na chwilę jakby się zatrzymał, jakby przestały pędzić, jakby kareta nagle uniosła się nad ziemię. Za moment Meduza podjęła galop. Minęła jeszcze sekunda, zanim Harry zorientował się, co to znaczy.

Ta sekunda drogo go kosztowała.

W Wyższej Szkole Policyjnej czytał raporty naukowe, z których wynikało, że ludzki mózg w sytuacji katastrofy usiłuje przetworzyć w krótkim czasie ogromne ilości danych. U niektórych policjantów może to prowadzić do paraliżu działania, innym wydaje się, że czas zwalnia, że całe życie przesuwa się przed oczami. Są w stanie dokonać zaskakująco wielu obserwacji i przeanalizować sytuację, wyciągając wnioski. Na przykład taki, że przy prędkości bliskiej siedemdziesięciu kilometrów na godzinę pokonali już dwadzieścia metrów i zostało ich już tylko trzydzieści – półtorej sekundy do rozpadliny, przez którą właśnie przeskoczyła Meduza.

Że nie wiadomo, jaka jest szerokość tej rozpadliny.

Że Meduza jest dorosłym koniem wytrenowanym do skoków i dosiada jej doświadczona dżokejka. Natomiast Balder jest młodszy, mniejszy i dźwiga nowicjusza ważącego blisko dziewięćdziesiąt kilo.

Że Balder jest zwierzęciem stadnym, o czym Isabelle Skøyen, rzecz jasna, wiedziała.

Że i tak jest już za późno na to, żeby się zatrzymać.

Harry przesunął dłonie na cuglach wyżej i uderzył piętami w boki Baldra. Poczłł ostatnie przyspieszenie. Nagle zapadła cisza. Dudnienie ustało. Płynęli w powietrzu. Daleko w dole dostrzegł czubek korony drzewa i strumień. Rzuciło nim do przodu, głową uderzył o szyję konia. Spadali.

Ty też byłeś złodziejem, tato? Bo ja przecież przez cały czas wiedziałem, w jaki sposób zostaną milionerem. Moje credo brzmiało: kraść tylko wtedy, kiedy się opłaca. Byłem więc cierpliwy i czekałem. I czekałem. Czekałem tak długo, że kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, uznałem, cholera, że na to zasłużyłem.

Plan był równie genialny, co prosty. W czasie gdy gang motocyklistów Odina będzie siedział na spotkaniu ze starcem w McDonalddie, Oleg i ja okradniemy skład heroiny na Alnabru. Po pierwsze, w lokalach klubowych nikogo miało nie być, skoro Odin zamierzał zabrać wszystkich swoich mięśniaków. Po drugie, Odin nigdy by się nie dowiedział, że został okradziony, skoro miał zostać przyskrzyniony w McDonalddie. Siedząc na ławie oskarżonych, powinien dziękować mnie i Olegowi za zredukowanie liczby kilogramów znalezionych przez policję w czasie nalotu. Jedynym problemem były gliny i starzec. Gdyby gliny zrozumiały, że ktoś ich uprzedził i poczęstował się zapasami, a doszłoby to do uszu starego, mogło być z nami marnie. Problem rozwiązałem w sposób, którego nauczył mnie stary: wykorzystałem rozszadę, strategiczny sojusz. Po prostu podjechałem pod blok na Manglerud i tym razem zastałem Trulsa Berntsena w domu.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem, gdy mu tłumaczyłem, ale ja się niczym nie przejmowałem, bo w jego oczach już to zobaczyłem. Chciwość. Jeszcze jeden z tych ludzi, którzy zawsze domagają się rekompensaty, którym się wydaje, że za pieniądze kupią lek na desperację, samotność i rozgoryczenie. Że sprawiedliwość to towar, który można ot tak kupić w sklepie. Wyjaśniłem, że potrzebna nam jego pomoc jako eksperta w ukryciu śladów, jakich policja będzie szukać, i do spalenia tych, które ewentualnie znajdzie. Może nawet do skierowania podejrzeń na kogoś innego, gdyby okazało się to konieczne. Zobaczyłem błysk w jego oczach, kiedy powiedziałem, że zabierzemy pięć z dwudziestu kilogramów, z których składała się ta partia. Po dwa dla mnie i dla niego, kilogram dla Olega. Stwierdziłem, że sam poradził sobie z rachunkami. Milion dwieście razy dwa, czyli dwa czterysta dla niego.

- Ten Oleg to jedyna osoba, z którą o tym rozmawiałeś? – spytał.*
- Słowo honoru.*
- Macie broń?*
- Jedną odessą na spótką.*

– Co?

– Wersją stieczkina à la H & M.

– Okej. Nie jest pewne, czy śledczy w ogóle będą się zastanawiać nad liczbą kilogramów, jeśli nie odkryją śladów włamania. Ale ty się boisz, że Odin będzie wiedział, ile powinno być, i ci tego nie daruje?

– Nie – powiedziałem. – Pieprzę Odina. Boję się mojego szefa. Nie wiem skąd, ale po prostu jestem pewien, że on wie co do grama, ile heroiny jest w tej partii.

– Oddasz mi połowę. A ty i ten Borys możecie podzielić się resztą.

– Oleg.

– Powinieneś się cieszyć, że mam taką słabą pamięć. I w drugą stronę to też działa. Wystarczy mi pół dnia, żeby was znaleźć, i pięć øre, żeby was zabić.

To Oleg wymyślił, jak trzeba zakamuflować to włamanie. Było to tak banalne i oczywiste, że nie pojmuję, dlaczego sam na to nie wpadłem.

– Po prostu zastąpimy to, co weźmiemy, mąką ziemniaczaną. Policja zapisze tylko, ile kilogramów zatrzymała. Nie będzie sprawdzać stopnia czystości całej partii, prawda?

Plan był, jak już mówiłem, równie genialny, co prosty.

Tego samego wieczoru, kiedy Odin ze starcem urządzili sobie przyjęcie urodzinowe w McDonalddie, podczas którego mieli omawiać cenę violiny w Drammen i Lillestrøm, Berntsen, Oleg i ja staliśmy w ciemności za płotem przy klubie motocyklowym na Alnabru. Berntsen przejął reżyserię. Włożyliśmy nylonowe pończochy na głowy, czarne kurtki i rękawiczki. W plecakach mieliśmy spluwy, wiertarkę, śrubokręt, łom i sześć kilogramów starannie opakowanej w plastikowe torebki mąki ziemniaczanej. Oleg i ja wiedzieliśmy, gdzie Los Lobos zamontowali kamery, więc wspinając się przez płot i biegnąc pod lewą, dłuższą ścianą, przez cały czas trzymaliśmy się w martwym polu. Mogliśmy hałasować, ile wlezie, bo ciężki ruch kołowy na drodze E6 w dole i tak zagłuszyłby wszystko, więc Berntsen wbił wiertło w drewnianą ścianę i zaczął warczeć bez opamiętania. Oleg stał na czatach, a ja zacząłem nucić Been Caught Stealing, która była na ścieżce dźwiękowej gry GTA mojego przybranego brata Steina. Mówił mi, że zespół nazywa się Jane's Addiction. Zapamiętałem to, bo nazwa mi się spodobała. Uznałem, że tak naprawdę jest fajniejsza niż piosenka. Oleg i ja byliśmy na starych śmieciach i wiedzieliśmy, że łatwo zobaczyć, co się dzieje w klubie, bo składał się z jednego dużego pomieszczenia. Ale ponieważ wszystkie okna dość mądrze zabito drewnianymi okiennicami, zaplanowaliśmy wyborowanie dziurki, przez którą moglibyśmy zajrzeć i sprawdzić, czy w środku naprawdę jest pusto. Berntsen na to nalegał. Nie chciał wierzyć, że Odin może zostawić bez żadnej straży dwadzieścia kilo heroiny wartej na ulicy dwadzieścia

pięć milionów. My znaleźliśmy Odina lepiej, ale ustąpiliśmy. Safety first.

– Już! – oznajmił Berntsen i przyciągnął wiertarkę do siebie. Zdechła, powarkując.

Przyłożyłem oko do dziurki. Nie widziałem kompletnie nic. Albo pogasili wszystkie światła, albo nie przebiliśmy się przez ścianę. Odwróciłem się do Berntsena, który wycierał już wiertło.

– Cholera jasna, co to za izolacja? – spytał, podnosząc do góry palec. Wyglądało to jak żółtko jajka i jakieś fuckings włosy.

Przesunęliśmy się mniej więcej o dwa metry i wyborowaliśmy kolejną dziurę. Zajrzałem w tę i zobaczyłem stary dobry klub motocyklowy, te same stare skórzane meble, ten sam bar ze zdjęciem Karen McDougal, Playmate of the Year rozłożonej na jakimś customowym motocyklu. Nigdy się nie dowiedziałem, co ich bardziej jara, dziewczyna czy motor.

– Droga wolna – oznajmiłem.

Tylne drzwi były ozdobione kłódkami i zamkami.

– Wydawało mi się, że mówiłeś tylko o jednym zamku – warknął Berntsen.

– Kiedyś tak było. Odin najwyraźniej wyhodował sobie niezłą paranoję.

Nasz plan zakładał, że zdejmujemy ten zamek i przykręcimy go z powrotem, wychodząc, żeby nie było żadnych śladów włamania. To wciąż mogło się udać, ale nie w czasie, jaki na to przeznaczaliśmy. Szybko wzięliśmy się do roboty.

Po dwudziestu minutach Oleg spojrzął na zegarek i stwierdził, że musimy się pospieszyć. Nie wiedzieliśmy, o której dokładnie zjawi się policja, jedynie, że to nastąpi po aresztowaniach. A do tych musiało dojść tuż po siódmej, bo przecież Odin nie będzie tkwił w McDonalddie, kiedy zrozumie, że starzec nie ma zamiaru się pojawić.

Poświęciliśmy pół godziny na usunięcie tego gówna. Trzy razy więcej czasu, niż zaplanowaliśmy. Wyjaliśmy spluwy, naciągnęliśmy nylonowe pończochy na twarze i weszliśmy do środka. Berntsen pierwszy. Ledwie znaleźliśmy się za drzwiami, a on już przykleknął na kolano z bronią wyciągniętą przed siebie w obu rakach, jak jakiś fuckings glina z jednostki specjalnej SWAT.

Na krześle przy zachodniej ścianie siedział facet z obrzynem na kolanach. Odin zostawił Tutu w roli psa stróżującego. Ale pies stróżujący siedział z zamkniętymi oczami, rozdziawioną gębą i głową opartą o ścianę. Chodziły plotki, że Tutu jąka się, nawet kiedy chrapie, ale teraz spał cicho jak dziecko.

Berntsen znów się podniósł i na palcach podszedł do Tutu, wciąż trzymając broń przed sobą. Oleg i ja ostrożnie ruszyliśmy za nim.

– Tylko jedna dziura – szepnął do mnie Oleg.

– Co? – odszepnąłem.

I nagle zrozumiałem.

Widziałem tą drugą dziurę, którą wyborowaliśmy. I wyliczyłem, gdzie mniej więcej musiała być pierwsza.

– Jasny piorun! – wyszeptałem, chociaż wiedziałem, że nie ma już powodu, żeby szeptać.

Berntsen podszedł do Tutu. Szturchnął go. Tutu przechylił się na bok i spadł z krzesła. Leżał głową na betonie, a my mogliśmy oglądać równiutką okrągłą dziurę, którą miał z tyłu głowy.

– No to jest prześwidrowany – orzekł Berntsen i wetknął palec w dziurę w ścianie.

– Jasna cholera – szepnąłem do Olega. – Jakie jest prawdopodobieństwo, żeby coś takiego się stało?

Ale on mi nie odpowiedział. Patrzył na trupa z taką miną, jakby nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy zrzygać.

– Gusto – wymamrotał. – Co myśmy zrobili?

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale zacząłem się śmiać. Po prostu nie mogłem się powstrzymać. Ten niby-fajny chwyt gliny ze szczęką jak kopara, rozpacz Olega, jego spłaszczona głowa pod pończochą i otwarte usta Tutu, który – jak się okazało – miał jednak mózg. Aż kwiczałem ze śmiechu. Nagle coś huknęło i przed oczami pokazały mi się gwiazdy.

– Opanuj się, bo jak nie, to dostaniesz jeszcze raz! – warknął Berntsen, rozcierając rękę.

– Dziękuję – powiedziałem całkiem szczerze. – Poszukajmy dragów.

– Najpierw musimy wymyślić, co zrobimy z tym prześwidrowanym trupem – zdecydował Berntsen.

– I tak za późno – stwierdziłem. – Teraz już będą wiedzieć, że ktoś się tu włamał.

– Nie dowiedzą się, jeśli zaniemiemy Tutu do samochodu i przykręcimy zamki – odezwał się Oleg głosem zduszonym od płaczu. – Jeśli się zorientują, że część narkotyków zniknęła, pomyślą, że to on je zabrał.

Berntsen spojrzał na Olega i pokiwał głową.

– Masz bystrego partnera, nie ma tak pusto we łbie, jak ty, Pusto. Bierzmy się do roboty.

– Najpierw dragi – oświadczyłem.

– Najpierw Świder – zaprotestował Berntsen.

– *Dragi – powtórzyłem.*

– *Świder.*

– *Mam zamiar dziś wieczorem zostać milionerem, pieprzony pelikanie!*

Berntsen uniósł rękę.

– *Świder!*

– *Zamknijcie się! – wtrącił się Oleg.*

Obaj spojrzeliśmy na niego.

– *Logika jest prosta. Jeżeli Tutu nie znajdzie się w bagażniku przed przybyciem policji, przypadną nam i narkotyki, i wolność. Jeśli w bagażniku znajdzie się tylko Tutu bez narkotyków, stracimy jedynie kasę.*

Berntsen odwrócił się do mnie.

– *Wygląda na to, że Borys zgadza się ze mną, Pusto. Dwa do jednego.*

– *Okej – powiedziałem. – Wy wyniesiecie zwłoki, a ja będę szukał dragów.*

– *Pomyłka. My wyniesiemy zwłoki, a ty po nas posprzątasz ten bajzel. – Wskazał na zlew przy barze.*

Nalatem do wiadra wody, a Oleg i Berntsen w tym czasie złapali Tutu za nogi i zaczęli ciągnąć do drzwi. Zostawiali na podłodze cienką krwawą linię. Pod dodającym otuchy spojrzeniem Karen McDougal zmyłem ze ściany, a potem z podłogi mózg i krew. Akurat skończyłem i chciałem się wziąć do szukania dragów, gdy nagle usłyszałem jakiś odgłos z wciąż otwartych drzwi wychodzących na E6. Usiłowałem się przekonywać, że ten dźwięk dobiega skądinąd i tylko sobie wmawiam, że staje się coraz głośniejszy. Syreny policyjne.

Sprawdziłem szafkę w barze, biuro i kibel. To był nieskomplikowany lokal. Bez strychu, bez piwnicy, nie bardzo było gdzie schować dwadzieścia kilo. Nagle mój wzrok padł na skrzynię z narzędziami. Na kłódkę, której wcześniej tam nie widziałem.

Oleg krzyknął coś od drzwi.

– *Daj mi łom! – odkrzyknąłem.*

– *Musimy spadać, są już na ulicy!*

– *Łom!*

– *Chodź, Gusto!*

Wiedziałem, że dragi są w środku. Dwadzieścia pięć milionów koron tuż przed moim nosem. W pieprzonej drewnianej skrzyni. Zacząłem kopać w kłódkę.

– *Będę strzelał, Gusto!*

Odwróciłem się do Olega. Celował do mnie tym cholernym ruskim pistoletem. Nie przypuszczałem, że mógłby trafić z tej odległości, z ponad dziesięciu metrów, ale wystarczyło

mi już samo to, że skierował broń we mnie.

– Jak złapią ciebie, złapią i nas! – krzyknął zdławionym od płaczu głosem. – Chodź!

Jeszcze raz rzuciłem się na kłódkę. Syreny wyły coraz głośniej. Ale z syrenami zawsze tak jest, że wydają się bliżej, niż są w rzeczywistości.

Rozległo się coś jakby uderzenie bata o ścianę nade mną. To był Berntsen. Stał z dymiącym policyjnym pistoletem w ręce.

– Następnym razem już nie spudłuję – powiedział spokojnie.

Kopnąłem w skrzynię ostatni raz.

Akurat zdążyliśmy przeleźć przez płot, wyjść na drogę i ściągnąć pończochy z głów, kiedy zobaczyliśmy przednie reflektory radiowozów. Spokojnie szliśmy naprzeciw nich.

Wyminęły nas i podjechały pod klub.

Szliśmy dalej pod górę na szczyt wzgórza, gdzie Berntsen zaparkował swój samochód. Wsiadliśmy i ruszyliśmy bez pośpiechu. Kiedy mijaliśmy klub, odwróciłem się i popatrzyłem na Olega siedzącego z tyłu. Niebieskie światło omiotło mu twarz, zaczerwienioną od łez i obcistej pończochy. Wyglądał na kompletnie odjechanego. Gapił się w ciemność, jakby szykował się na śmierć.

Żaden z nas się nie odezwał, dopóki Berntsen nie zjechał na przystanek autobusowy na Sinsen.

– Wygłupiłeś się, Pusto – stwierdził.

– Skąd mogłem wiedzieć o tych zamkach?

– To się nazywa przygotowanie – oświadczył. – Rozpoznanie i tak dalej. Brzmi znajomo? Wpadniemy wprost na otwarte drzwi z odkręconymi zamkami.

Zrozumiałem, że mówiąc „my”, miał na myśli gliny. Dziwny facet.

– Zabrałem zamki i okucia – zaszlochtał Oleg. – Będzie wyglądało tak, jakby Tutu prysnął, słysząc syreny. A te ślady po śrubach mogły zostać po jakimś innym włamaniu w ciągu ostatniego roku, prawda?

Berntsen spojrział na Olega w lusterku.

– Słuchaj i ucz się od swojego kumpla, Pusto. A zresztą nie, bo w Oslo nie potrzeba więcej bystrych złodziei.

– Aha – powiedziałem. – Ale chyba niezbyt mądrze, że stoimy na środku przystanku autobusowego z trupem w bagażniku.

– Zgadzam się – mruknął Berntsen. – Wysiadka.

– A ten trup...

– Świdrem ja się zajmą.

– *Gdzie...*

– *Niech was to nie obchodzi. Wysiadać!*

Wysiedliśmy i patrzyliśmy, jak saab Berntsena rusza z piskiem opon.

– *Od tej pory trzeba się trzymać z daleka od tego faceta – powiedziałem.*

– *Dlaczego?*

– *On zabił człowieka, Oleg. Musi usunąć wszelkie dowody. Teraz, znajdzie miejsce, w którym ukryje zwłoki, a później...*

– *...później musi usunąć świadków.*

Kiwnąłem głową. Czuję się paskudnie jak cholera. Próbowałem myśleć optymistycznie.

– *Wyglądało na to, że zna jakąś niezłą kryjówkę dla Tutu, prawda?*

– *Za te pieniądze miałem się przenieść do Bergen razem z Irene – wyznał Oleg.*

Popatrzyłem na niego.

– *Dostałem się na prawo, na uniwersytet. Irene jest w Trondheim razem ze Steinem.*

Myślałem, że uda mi się ją namówić.

Pojechaliśmy autobusem do miasta. Nie mogłem dłużej wytrzymać pustego spojrzenia Olega, trzeba było je czymś wypełnić.

– *Chodź – powiedziałem.*

Kiedy szykowałem dla niego strzykawkę w naszej sali prób, patrzył na mnie zniecierpliwiony, jakby miał ochotę się włączyć. Jakby uważał, że mi opornie idzie. Kiedy podciągnął rękaw, zrozumiałem dlaczego. Całe przedramię miał pokłute.

– *Tylko dopóki Irene nie przyjedzie – wytłumaczył.*

– *Masz własny sprzęt?*

Pokręcił głową.

– *Ktoś mi ukradł.*

Tego wieczoru nauczyłem go, jak się robi porządną skrytkę.

Truls Berntsen przez ponad godzinę czekał na piętrowym parkingu, gdy wreszcie jakiś samochód wjechał w ostatnią wolną lukę na obszarze zarezerwowanym dla kancelarii adwokackiej Bach & Simonsen. Uznał, że dobrze wybrał miejsce, bo w ciągu tej godziny zaledwie dwa auta przyjechały do tej części parkingu. Nie było tu też żadnych kamer. Truls sprawdził, czy numery rejestracyjne samochodu zgadzają się z tymi, które znalazł w systemie rejestracji pojazdów AUTOSYS. Hans Christian Simonsen lubił rano długo pospać. A może

wcale nie spał, tylko zabawiał się z jakąś kobietą? Mężczyzna, który wysiadł z samochodu, miał jasną chłopięcą grzywkę, jaką w czasach młodości Trulsa zwykle mieli ci z zachodnich dzielnic.

Truls Berntsen włożył ciemne okulary. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza i zacisnął ją na rękojeści pistoletu, steyra, austriackiego, samopowtarzalnego. Ze służbowej broni zrezygnował, żeby adwokat nie miał niepotrzebnych skojarzeń. Ruszył szybkim krokiem, żeby odciąć Simonsenowi drogę w czasie, gdy ten był jeszcze między samochodami. Groźba ma najlepszy efekt, kiedy jest szybka i agresywna, a ofiara nie ma czasu na zmobilizowanie innych myśli niż lęk o własne życie. Jest gotowa oddać wszystko, i to natychmiast.

Czuł się tak, jakby miał we krwi oranżadę w proszku. Szumiało i pulsowało mu w uszach, w podbrzuszu, w szyi. Wyobraził sobie to, co miało nastąpić. Broń przysunięta do twarzy Simonsena, tak blisko, że pistolet będzie jedyną rzeczą, jaką adwokat zapamięta. „Gdzie jest Oleg Fauke? Odpowiadaj szybko i precyzyjnie, bo inaczej cię zabiję!” Potem odpowiedź. A następnie: „Jeśli ostrzeżesz kogoś albo w ogóle komuś piśniesz choćby słówko, to wrócimy i cię zabijemy. Jasne?”. „Tak”. Albo po prostu przerażone kiwanie głową. Może mimowolnie się zśuka. Truls uśmiechnął się na tę myśl. Przyspieszył. Pulsowanie przeniosło się aż na brzuch.

– Simonsen!

Adwokat podniósł głowę i nagle twarz mu się rozjaśniła.

– Witam! Berntsen! Truls Berntsen, prawda?

Prawa ręka Trulsa zdrętwiała w kieszeni płaszcza. Musiał mieć też niezłe zdumioną minę, bo Simonsen serdecznie się roześmiał.

– Mam wyjątkowo dobrą pamięć do twarzy, Berntsen. Razem z twoim szefem Mikaelem Bellmanem prowadziliście śledztwo w sprawie malwersacji w muzeum w Heider. Ja wtedy broniłem. No i niestety, wygraliście tę sprawę.

Znów się roześmiał. Jowialnym, dobrodusznym śmiechem z zachodnich dzielnic. Śmiechem ludzi, którzy dorastali w przekonaniu, że każdy chce dobrze dla każdego, w miejscu, gdzie zbywa na wszystkim i można niczego nikomu nie zazdrościć. Truls nienawidził wszystkich Simonsenów tego świata.

– Mogę w czymś pomóc, Berntsen?

– Ja... – Berntsen gorączkowo szukał pomysłu. Ale to nie było jego mocną stroną. Nie umiał wymyślić, co robi, gdy stanie twarzą w twarz z... Z czym? Z ludźmi, którzy myślą szybciej niż on? Wtedy na Alnabru jakoś sobie poradził. To byli tylko dwaj młodzi chłopcy, nad którymi łatwo przejął komendę. Ale Simonsen miał garnitur, wykształcenie, mówił

inaczej, z wyższością. On...

– Tak tylko chciałem się przywitać.

– Przywitać? – powtórzył Simonsen ze znakiem zapytania i w głosie, i na twarzy.

– Tak. – Berntsen zmusił się do uśmiechu. – Przykra historia z tą sprawą. Następnym razem pewnie się odegrasz.

Szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia. Czuł spojrzenie Simonsena na plecach. Przerzucać gówno, zjadać gówno, niech ich wszystkich piekło pochłonie!

Spróbuj z obrońcą, a jeśli to się nie uda, to jest jeszcze taki facet, który nazywa się Chris Reddy. Na ulicy nazywają go Szuwaks.

Handlarz amfetaminą. Truls miał nadzieję, że podczas aresztowania znajdzie wymówkę, żeby go uderzyć.

Harry płynął ku światłu, ku powierzchni. Blask stawał się coraz silniejszy. Przedarł się przez tafłę, otworzył oczy i spojrzał prosto w niebo. Leżał na plecach. Coś pojawiło się w polu widzenia. Koński łeb. I jeszcze jeden.

Przysłonił oczy. Na tym drugim koniu ktoś siedział, ale nie widział kto, bo światło go oślepiało.

Głos dotarł z bardzo daleka:

– Mówiłeś, zdaje się, że już jeździłeś konno, Harry?

Jęknął i podniósł się na nogi, przypominając sobie, co się przed chwilą stało. Balder pozeglował nad rozpadliną i po jej drugiej stronie dotknął przednimi nogami ziemi. Harry'ego rzuciło w przód na szyję konia, nogi wysunęły się ze strzemion i ześlizgnął się z jednej strony, kurczowo trzymając cugle w rękach. Słabo sobie przypominał, że pociągnął Baldra za sobą, ale robił, co mógł, żeby półtonowy koń nie zwałił się na niego.

Miał wrażenie, że nie ma pleców, ale poza tym czuł się w miarę cały.

– Szkapa dziadka nie skakała przez przepaść – powiedział.

– Przepaść? – roześmiała się Isabelle Skøyen, podając mu wodze Baldra. – To nieduża pięciometrowa szczelina. Potrafię skoczyć dalej bez konia. Nie wiedziałam, że jesteś taki strachliwy, Harry! Ścigamy się, kto pierwszy do domu?

– Balder? – Harry pogłaskał konia po pysku, patrząc, jak Isabelle Skøyen na Meduzie znika, kierując się w dół ku otwartemu polu. – Znasz taki chód o nazwie spokojny spacerek?

Harry zatrzymał się przy stacji benzynowej na E6 i kupił sobie kawę. Wsiadł do samochodu i spojrzął w lusterko. Isabelle obdarowała go plastrem na otarcie na czole, zaproszeniem na premierę *Don Giovanniego* w Operze („...kiedy włożę wysokie obcasy, nie daje się znaleźć partnera, który sięgałby mi dalej niż pod brodę, a to fatalnie wygląda w gazecie...”) i mocnym uściskiem na pożegnanie. Wyjął telefon i oddzwonił na nieodebrane połączenie.

– Gdzie byłeś? – spytała Beate.

– Na świeżym powietrzu – odparł Harry.

– Na Gardermoen nie mieliśmy czego szukać. Moi ludzie przeczesałi wszystko dokładnie. Nic. Stwierdziliśmy jedynie, że to zwyczajne stalowe gwoździe, tylko z wyjątkowo dużą szesnastomilimetrową aluminiową główką. A cegła najprawdopodobniej pochodzi z którejś z kamienic w Oslo wybudowanej pod koniec dziewiętnastego wieku.

– Tak?

– Znaleźliśmy w zaprawie świńską krew i końskie włosie. Pewien znany murarz z Oslo dodawał tego do zaprawy. Mnóstwo jest takich kamienic w centrum. Cegła może pochodzić skądkolwiek.

– Mhm.

– Krótko mówiąc, to też nie jest żaden ślad.

– Też?

– No tak. Ta wizyta, o której mówiłeś. To musiało być gdzie indziej niż w Budynku Policji, bo nie zarejestrowano żadnego Torda Schultza. Na tej nalepce jest tylko nadruk „Okręg Policyjny Oslo”, a podobnego systemu naklejek używa się też na podległych posterunkach.

– Okej, dziękuję.

Harry zaczął grzebać po kieszeniach, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Naklejkę Torda Schultza. I swoją własną. Tę, którą dostał, kiedy odwiedził Hagen w Wydziale Zabójstw pierwszego dnia w Oslo. Ułożył je obok siebie na desce rozdzielczej. Przyjrzał się im uważniej, wyciągnął wniosek i z powrotem schował naklejki do kieszeni. Przekręcił kluczyk w stacyjce, wciągnął powietrze przez nos, stwierdził, że wciąż cuchnie koniem, i postanowił odwiedzić starego rywala na Høyenhall.

Deszcz zaczął padać około piątej, a kiedy Harry o szóstej zadzwonił do drzwi dużej willi na Høyenhall, było już ciemno jak w Wigilię. Dom nosił wszelkie oznaki nowości. Przy garażu wciąż leżały w stosach resztki materiałów budowlanych, a pod schodami zauważył wiadra z farbą i opakowania izolacji.

Dostrzegł jakąś postać poruszającą się za mleczną szybą i poczuł, że włosy na karku mu się podnoszą.

Drzwi się otworzyły, szybko, gwałtownie, jakby ten człowiek nie musiał się niczego bać z żadnej strony. Mimo to na widok Harry'ego zeszywniał.

– Dobry wieczór, Bellman.

– Harry Hole. To ci dopiero!

– Dopiero co?

Bellman zaśmiał się krótko.

– Powiedzmy, że zaskoczył mnie twój widok pod moimi drzwiami. Jak się dowiedziałeś, gdzie mieszkam?

– Wszyscy znają gwiazdę. W większości krajów szefowi Wydziału Zwalczenia Przestępczości Zorganizowanej przydzielono by ochronę czuwającą przy bramie. Wiesz o tym? Przeszkadzam?

– Ależ skąd. – Bellman podrapał się w brodę. – Zastanawiam się tylko, czy mam cię zaprosić do środka, czy raczej nie.

– No cóż. Mokro tak stać. A ja przybywam w pokojowych zamiarach.

– Ty nie masz pojęcia, co to wyrażenie znaczy – stwierdził Bellman i otworzył szerzej drzwi. – Tylko dobrze wytrzyj nogi.

Poprowadził Harry'ego korytarzem obok wieży z kartonów i przez kuchnię, w której nie było jeszcze białego montażu, do salonu. Harry stwierdził, że to dom wysokiej jakości. Nie luksusowy, jak niektóre wille w zachodnich dzielnicach, ale solidny. Dużo miejsca dla rodziny. Widok na Kværnerdumpa, Dworzec Centralny i centrum był fantastyczny. Harry to nawet skomentował.

– Działka kosztowała więcej niż sam dom – odparł Bellman. – Przepraszam za ten bałagan, ale właśnie się sprowadziliśmy. W przyszłym tygodniu urządzamy parapetówkę.

– I zapomniałeś mnie zaprosić? – Harry zdjął przemoczoną marynarkę.

Bellman się uśmiechnął.

– Mogę ci teraz zaproponować drinka. Co...

– Ja nie piję – odparł Harry z uśmiechem.

– O rany! Człowiek szybko zapomina – powiedział Bellman bez wyraźnych oznak złości. – Poszukaj tu gdzieś krzesła, a ja się rozejrzę za dzbankiem do kawy i filiżankami.

Dziesięć minut później siedzieli przy oknie, patrząc na taras i roztaczający się dalej widok. Harry od razu przystąpił do rzeczy. Mikael Bellman słuchał go, nie przerywając, nawet wtedy, gdy Harry widział niedowierzanie w jego spojrzeniu. Kiedy skończył mówić, Bellman podsumował:

– Uważasz więc, że ten pilot Tord Schultz próbował przeszmugłować violinę z Norwegii. Został na tym przyłapany, ale zwolniono go z aresztu, ponieważ palacz z legitymacją policyjną zamienił violinę na mąkę kartoflaną, a po zwolnieniu Schultza dokonano na nim egzekucji w jego własnym domu, prawdopodobnie dlatego, iż zleceniodawca odkrył, że pilot zgłosił się na policję, i bał się, że wyjawি wszystko, co wie.

– Mhm.

– A przekonanie, że był w komendzie, opierasz na tym, że miał naklejkę z napisem „Okręg Policyjny Oslo”.

– Porównywałem ją z moją własną naklejką, którą dostałem, kiedy odwiedziłem Hagenę. Na obydwu jest słabo odbity brzuszek w „P”. Z całą pewnością ta sama drukarka.

– Nie będę cię pytał, jak zdobyłeś naklejkę Schultza, ale skąd możesz mieć pewność, że to nie była zwykła wizyta? Może chciał się wytłumaczyć z tej mąki kartoflanej, tak żebyśmy mu uwierzyli?

– Ponieważ jego nazwisko zostało wykreślone z rejestru gości. A to znaczy, że tę wizytę należało zachować w tajemnicy.

Mikael Bellman ciężko westchnął.

– Zawsze tak myślałem, Harry. Powinniśmy pracować razem, a nie przeciwko sobie. Podobałoby ci się w KRIPOS.

– O czym ty mówisz?

– Zanim ci to wytłumaczę, muszę cię prosić o pewną przysługę. Chcę, żebyś zachował to, co ci dzisiaj powiem, dla siebie.

– Okej.

– Ta sprawa już mnie postawiła w trudnej sytuacji. Schultz odwiedził mnie. Rzeczywiście chciał podzielić się tym, co wiedział. Powiedział mi między innymi to, co już

od dawna podejrzewam. Że jest wśród nas palacz. Ktoś, kto pracuje w Budynku Policji. Blisko tych spraw, którymi zajmuje się Pezet. Kazałem Schultzowi czekać w domu, dopóki nie porozmawiam z szefostwem. Musiałem działać ostrożnie, żeby nie zaalarmować palacza. Niestety, ostrożność często oznacza, że rzeczy dzieją się pomału. Rozmawiałem z ustępującym komendantem okręgowym, ale pozostawił mi wymyślenie sposobu podejścia do tej sprawy.

– Dlaczego?

– Jak już powiedziałem, on ustępuje. Niepotrzebny mu jakiś dupek, skorumpowany policjant, w ramach prezentu pożegnalnego.

– Więc chciał to wyciszyć, dopóki nie odejdzie?

Bellman zaglądał w filiżankę.

– Bardzo możliwe, że następnym komendantem okręgowym będę ja, Harry.

– Ty?

– Pewnie uważał, że równie dobrze mogę zająć się swoim pierwszym wozem z gnojem od razu na początek. Problem w tym, że za wolno działałem. Za długo się namyślałem. Schultz mógł natychmiast ujawnić nam tego palacza, ale wtedy wszyscy inni by się pochowali. Pomyślałem, że mógłbym dać Schultzowi ukryty mikrofon, żeby doprowadził nas do całej reszty. Kto wie, może nawet do największego spośród tych, którzy działają teraz w Oslo.

– Do Dubaja.

Bellman kiwnął głową.

– Problem polegał na tym, że musiałem rozstrzygnąć, komu w komendzie mogę zaufać, a komu nie. Skończyłem już wybierać niedużą grupkę, sprawdzałem te osoby na wszystkie strony, kiedy nagle pojawiło się anonimowe zgłoszenie...

– ...że Tord Schultz został zamordowany – dokończył Harry.

Bellman spojrzał na niego ostro.

– A teraz twój problem polega na tym, czy wyda się, że tak się ślimaczyłeś, i czy to może wepchnąć kij między szprychy twojemu mianowaniu na komendanta.

– Tak też może się stać, ale wcale nie to martwi mnie najbardziej. Problem w tym, że nic z tego, co Schultz zdażył mi opowiedzieć, nie da się do niczego wykorzystać. Zostaliśmy z tak samo pustymi rękami. Ten niby-policjant, który odwiedził Schultza w celi i który mógł zamienić narkotyki...

– Aha?

– Wylegitymował się jako policjant. Komisarz z posterunku na lotnisku przypomina

sobie, że miał na imię Thomas. W komendzie pracuje pięciu Thomasów. Żaden w Pezecie. Przesłałem mu zdjęcia naszych Thomasów, ale nikogo nie rozpoznał. Nie wiemy więc nawet, czy ten palacz w ogóle pracuje w policji.

– Mhm. To mogła być po prostu osoba z fałszywym policyjnym identyfikatorem albo – co bardziej prawdopodobne – ktoś taki jak ja. Były policjant.

– Dlaczego?

Harry wzruszył ramionami.

– Do oszukania policjanta potrzeba policjanta.

Trzasnęły drzwi wejściowe.

– Kochanie! – zawołał Bellman. – Siedzimy tutaj!

Otworzyły się drzwi do salonu i pojawiła się w nich trzydziestokilkuletnia kobieta o ślicznej opalanej twarzy. Jasne włosy miała związane w koński ogon. Harry'emu przypominała była żonę Tigera Woodsa.

– Zostawiłam dzieciaki u mamy. Przyjdiesz, misiaczku?

Bellman chrząknął.

– Mamy gościa.

Kobieta przekrzywiła głowę.

– Widzę, misiaczku.

Bellman spojrzał na Harry'ego z pełną rezygnacji miną, jakby mówił: „No i co z tym zrobisz?”.

– Witam – powiedziała kobieta, z uśmiechem spoglądając na Harry'ego. – Tatuś i ja przywieźliśmy właśnie kolejną porcję gratów na przyczepce. Ma pan ochotę...

– Kłopoty z kręgosłupem i nagła tęsknota za domem – mruknął Harry. Opróżnił filiżankę i wstał.

– I jeszcze jedno – powiedział, kiedy już stali z Bellmanem w wiatrołapie. – Ta wizyta, o której mówiłem, ta w Szpitalu Radiologicznym...

– A co?

– Był tam pewien naukowiec, garbaty dziwak. Martin Pran. To tylko intuicja, ale może mógłbyś go dla mnie sprawdzić.

– Dla ciebie?

– *Sorry*, dawne przyzwyczajenie. Dla policji. Dla kraju. Dla ludzkości.

– Aha, intuicja?

– W tej sprawie mam w zasadzie tylko ją do dyspozycji. Gdybyś mógł mi szepnąć, co stwierdzicie...

– Zastanowię się.

– Dzięki, Mikael. – Harry poczuł, jak dziwnie mu się wymawia imię tego człowieka. Nie wiedział, czy kiedykolwiek wcześniej tak się do niego zwracał.

Bellman otworzył drzwi na deszcz. Wionęło chłodem.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało chłopaka – powiedział Bellman.

– Którego? – spytał Harry.

– Obydwu.

– Mhm.

– Wiesz co? Spotkałem raz Gusta Hanssena. Przyszedł tutaj.

– Tu? Do ciebie?

– Tak. Uderzająco piękny chłopak. Taki... – Bellman szukał słów, w końcu się poddał.

– Ty też jako chłopak trochę się podkochiwałeś w Elvisie? *Man crush*, jak mówią po amerykańsku.

– No cóż. – Harry wyjął papierosy. – Nie.

Gotów był się założyć, że w białych plamach na twarzy Mikaela Bellmana dostrzegł błysk czerwonego płomienia.

– Chłopak miał tego rodzaju urodę. I blask.

– Czego tu szukał?

– Chciał rozmawiać z jednym z policjantów. Była u mnie akurat grupka kolegów na pracach społecznych. Z pensją policjanta mnóstwo rzeczy trzeba robić samemu.

– I z kim rozmawiał?

– Z kim? – Bellman spojrzał na Harry’ego. To znaczy oczy miał skierowane na Harry’ego, ale wpatrywał się w dal, jakby w coś, co nagle zauważył. – Nie pamiętam. Te zaćpane łby zawsze są gotowe o czymś donieść, byle tylko wyłudzić kasę na działkę. Dobranoc, Harry.

Zapadła już ciemność, kiedy Harry szedł przez Kvadraturen. Kawalek dalej na ulicy zatrzymał się przy czarnych dziwkach camper. Z otwartych drzwi wyskoczyło trzech chłopaków. Nie mogli mieć więcej niż dwadzieścia lat. Jeden filmował, drugi zaczął kobietę. Pokręciła głową. Pewnie nie chciała brać udziału w amatorskim filmie, który trafi na YouPorn. Przecież tam, skąd pochodziła, też był Internet. Rodzina, krewni. Może w kraju sądzili, że pieniądze, które przesyła do domu, zarabia jako kelnerka. Albo może wcale tak nie

uważali, ale na wszelki wypadek nie pytali. Kiedy Harry się zbliżył, jeden z chłopaków splunął przed kobietą na asfalt i cienkim przepitym głosem krzyknął:

– *Cheap nigger ass!*

Harry napotkał zmęczone spojrzenie czarnoskórej prostytutki. Skinęli sobie głowami, jakby oboje dostrzegli u siebie nawzajem coś znajomego. Dwaj pozostali chłopcy zwrócili uwagę na Harry'ego i wyprostowali się. Wielkie, dobrze odżywione chłopaki. Rumiane policzki, bicepsy z siłowni, może rok kick boxingu albo karate.

– Dobry wieczór, dobrzy ludzie – uśmiechnął się Harry, nie zwalniając.

Minął ich, usłyszał trzaśnięcie drzwiczek campera i odgłos zapuszczanego silnika.

Z drzwi jak zawsze grzmiała ta sama melodia. *Come as You Are*. Zaproszenie. Harry zwolnił. Na moment.

Zaraz jednak znów przyspieszył i poszedł dalej, nie oglądając się.

Następnego dnia rano obudziła go komórka. Usiadł na łóżku. Zmrużył oczy przed światłem wpadającym przez okno bez zasłon, sięgnął ręką do marynarki wiszącej na krześle i zaczął przeszukiwać kieszenie, aż w końcu znalazł telefon.

– Proszę mówić.

– Tu Rakel. – Była zdyszana z podniecenia. – Wypuścili Olega. Słyszysz, Harry? Jest wolny!

Harry stał w porannym świetle w hotelowym pokoju bez zasłon. Z wyjątkiem telefonu, który zakrywał mu prawe ucho, był całkiem nagi. Po drugiej stronie podwórza obserwowała go sennym wzrokiem, przechyliwszy głowę, kobieta. Powoli żuła kanapkę.

– Hans Christian dowiedział się o tym dopiero, kiedy przyszedł do pracy kwadrans temu – mówiła Rakel. – Zwolnili Olega wczoraj późnym popołudniem. Ktoś się przyznał do zabójstwa Gusta. Fantastycznie, prawda, Harry?

Owszem, pomyślał Harry. Fantastycznie. Równa się „niewiarygodnie”.

– A kto się przyznał?

– Jakiś Chris Reddy. Ksywka „Szuwaks”. Narkoman. Zastrzelił Gusta, bo tamten był mu winien pieniądze za amfetaminę.

– Gdzie jest teraz Oleg?

– Nie wiemy. Przed chwilą się o wszystkim dowiedzieliśmy.

– No to myśl, Rakel. Gdzie on może być? – Głos Harry’ego zabrzmiał ostrzej, niż zamierzał.

– A o co... o co ci chodzi?

– O to przyznanie się do winy! O nie mi chodzi, Rakel!

– I co?

– Nie rozumiesz? Ono zostało sfabrykowane.

– Nie, nie. Hans Christian mówi, że jest bardzo szczegółowe i w pełni wiarygodne. Przecież właśnie na jego podstawie wypuścili Olega.

– Ten Szuwaks twierdzi, że zastrzelił Gusta za dług, czyli że jest zimnym cynicznym mordercą. Nagle sumienie zaczyna go gryźć i każe mu się przyznać?

– Zobaczył, że mogą skazać niewinną osobę...

– Daj spokój! Zdesperowany narkoman ma w głowie tylko jedno: dać sobie w żyłę. W jego zakutym łbie nie ma miejsca na wyrzuty sumienia. Ten Szuwaks to ćpun bez grosza przy duszy, który za odpowiednie wynagrodzenie był skłonny przyznać się do zabójstwa, a później się z tego wycofać. Kiedy już główny sprawca zostanie wypuszczony. Nie rozumiesz tego planu? Kiedy kot zrozumiał, że nie dostanie się do ptaszka w klatce...

– Przestań! – krzyknęła Rakel głosem nagle zduszonym od płaczu. Ale Harry

dokończył:

– ...trzeba wyciągnąć ptaszka z klatki.

Słuchał, jak Rakel płacze. Wiedział, że prawdopodobnie powiedział głośno to, o czym sama już myślała, ale nie miała odwagi dopuścić do swojej świadomości.

– Nie możesz mnie uspokoić, Harry?

Nie odpowiedział.

– Nie chcę się już bać – szepnęła.

Wziął głęboki oddech.

– Udawało nam się już wcześniej, więc uda się i tym razem, Rakel.

Rozłączył się. I z całą mocą znów stwierdził, że stał się wspaniałym kłamcą.

Kobieta w oknie po drugiej stronie leniwie pomachała mu trzema palcami. Harry potarł rękami twarz.

Pytaniem pozostawało, kto znajdzie Olega pierwszy. On czy oni. Myśleć.

Zwolniono go wczoraj po południu gdzieś w regionie Østlandet. Narkomana, który marzy o violinie. Natychmiast wrócił do Oslo na Plata, chyba że miał jakiś zapas w swojej skrytce. Nie mógł się dostać na Hausmanns gate. Miejsce zdarzenia wciąż było zapieczętowane. Gdzie więc mógł spać, bez pieniędzy, bez przyjaciół? Na Urtegata w Armii Zbawienia? Nie. Wiedział, że tam go zauważą, a plotki się rozniosą.

Było tylko jedno miejsce, do którego mógł pójść.

Harry spojrział na zegarek. Musi tam dotrzeć, zanim ptaszek wyfrunie z klatki.

Na stadionie Valle Hovin było równie pusto jak ostatnio. Kiedy Harry podjechał pod szatnię, od razu zauważył zbitą szybę na poziomie ziemi. Zajrzał do środka. Odłamki szkła leżały w środku. Szybko podszedł do drzwi i otworzył je kluczem, który wciąż miał przy sobie.

Nagle poczuł się tak, jakby uderzył w niego pociąg towarowy.

Z trudem chwycił powietrze, leżąc na podłodze i próbując się wyrwać czemuś, co na nim leżało. Czemuś cuchnącemu, mokremu i zrozpaczonemu. Harry wił się, próbował się uwolnić, jednocześnie wstrzymując odruch bicia. W końcu złapał za ramię, za dłoń i wygiął ją do przedramienia. Jednocześnie udało mu się podnieść na kolana i przycisnąć twarz tamtego do ziemi.

– Au! Puść mnie! Puszczaj!

– To ja! Oleg, to ja, Harry!

Puścił go i pomógł mu wstać. Podprowadził do ławki.

Chłopak wyglądał strasznie. Błady, chudy, oczy zdawały się wychodzić mu z głowy. Cuchnął nieokreśloną mieszanką zapachu dentysty i ekskrementów, ale nie był odurzony.

– Myślałem... – zaczął Oleg.

– Myślałeś, że to oni.

Oleg zakrył twarz dłońmi.

– Chodź – powiedział Harry. – Idziemy.

Usiedli na trybunie. Blade przedpołudniowe słońce świeciło na popękane betonowe boisko. Harry przypominał sobie wszystkie te chwile, kiedy tu siedział i obserwował, jak Oleg trenuje. Słuchał śpiewu łyżew, zanim znów wbiły się w lód, patrzył na odbicia reflektorów w morskozielonej, a później białej jak mleko powierzchni.

Siedzieli tuż obok siebie, jakby na trybunie było ciasno.

Harry przez chwilę wsłuchiwał się w oddech Olega, nim zaczął:

– Kim oni są, Oleg? Musisz mi zaufać. Jeśli ja cię mogłem znaleźć, znajdą cię i oni.

– A jak ty mnie znalazłeś?

– To się nazywa dedukcja.

– Wiem, co to jest. Wykluczenie tego, co niemożliwe, i stwierdzenie, co ci zostaje.

– Kiedy tu przyszedłeś?

Wzruszył ramionami.

– Wczoraj wieczorem. Mniej więcej o dziewiątej.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do matki, kiedy cię wypuścili? Przecież wiesz, w jakim niebezpieczeństwie jesteś.

– Ona by mnie tylko gdzieś zabrała i ukryła. Ona albo ten Nils Christian.

– Hans Christian. Oni cię znajdą, przecież wiesz.

Oleg popatrzył na swoje ręce.

– Myślałem, że przyjechałeś do Oslo, żeby się zaćpać. A ty jesteś czysty.

– Już od ponad tygodnia.

– Dlaczego?

Oleg nie odpowiedział.

– Chodzi ci o nią? O Irene?

Oleg spojrział na beton, jakby on też potrafił dostrzec siebie tam, w dole. Jakby usłyszał wysoki dźwięk towarzyszący odbiciu od lodu.

Powoli skinął głową.

– Ja jedyny próbuję ją odnaleźć. Ona ma tylko mnie.

Harry milczał.

– Ta szkatułka, którą ukradłem mamie...

– Tak?

– Wszystko przehandlowałem za narkotyki. Oprócz tej obrączki, którą jej kupiłeś.

– Dlaczego nie sprzedałeś obrączki?

Oleg się uśmiechnął.

– Po pierwsze, nie jest zbyt dużo warta.

– Co? – Harry zrobił przerażoną minę. – Oszukali mnie?

Oleg się roześmiał.

– Złota obrączka z czarną rysą? To się nazywa tombak. Z dodatkiem ołowiu dla ciężaru.

– To dlaczego nie zostawiłeś tej tandety w domu?

– Mama już jej nie nosiła. Chciałem ją dać Irene.

– Miedź, ołów i złotą farbkę?

Oleg wzruszył ramionami.

– Czułem, że tak będzie dobrze. Pamiętałem, jak mama się ucieszyła, kiedy włożyłeś jej tę obrączkę na palec.

– Co jeszcze pamiętasz, Oleg?

– Niedzielę. Vestkanttorget. Słońce świeciło ukośnie, chodziliśmy po szeleszczących liściach. Mama i ty śmialiście się z czegoś. Miałem ochotę wziąć cię za rękę, ale przestałem już być mały. Kupiłeś jej tę obrączkę w jakimś kramie, gdzie sprzedawali rzeczy po kimś, kto umarł.

– I ty to wszystko pamiętasz?

– Tak. I pomyślałem, że jeśli Irene ucieszy się chociaż w połowie tak jak mama...

– Ucieszyła się?

Oleg spojrzał na Harry'ego. Zamrugał.

– Nie pamiętam. Chyba byliśmy na haju, kiedy ją dostała.

Harry przełknął ślinę.

– On ją ma – powiedział Oleg.

– Kto?

– Dubaj. On ma Irene. Przetrzykuje ją jako zakładniczkę, żeby nie wygadał.

Harry zobaczył, że chłopiec spuścił głowę.

– Dlatego nic nie mówiłem.

– Ty o tym wiesz? Grozili ci, że coś się stanie Irene, jeżeli zaczniesz mówić?

– Nie musieli. Wiedzą, że nie jestem głupi. Poza tym jej też muszą zatkać usta. Oni ją mają, Harry.

Harry przeniósł się na murek. Uświadomił sobie, że właśnie tutaj siadywali przed ważnymi zawodami. Z pochylonymi głowami, w milczeniu, jakby pogrążeni we wspólnej koncentracji. Oleg nie chciał żadnych rad. Harry zresztą ich nie miał. Ale Oleg lubił tak posiedzieć.

Harry chrząknął. To nie były zawody Olega.

– Jeśli mamy mieć szanse na uratowanie Irene, to musisz mi pomóc znaleźć Dubaja – powiedział.

Oleg spojrzał na niego, wsunął dłonie pod uda i zaczął lekko poruszać stopami, tak jak dawniej. W końcu kiwnął głową.

– Zaczynaj od zabójstwa – poprosił Harry. – I nie spiesz się.

Oleg na kilka sekund zamknął oczy, w końcu je otworzył.

– Byłem na haju. Właśnie wziąłem violinę nad rzeką, zaraz za naszym mieszkaniem przy Hausmanns gate. Tak było bezpieczniej, bo zdarzało się, że kiedy robiłem sobie zastrzyk w mieszkaniu, ktoś inny zdesperowany przyskakiwał do mnie, żeby mi ukraść strzykawkę, rozumiesz?

Harry kiwnął głową.

– Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, kiedy wszedłem po schodach, były wyłamane drzwi do biura naprzeciwko. Znów. Ale więcej się nad tym nie zastanawiałem. Wszedłem do naszego mieszkania i zobaczyłem Gusto. Stał przed nim facet w kominiarce, celował do Gusto z pistoletu. Nie wiem, czy to dragi, czy coś do mnie przemówiło, ale wiedziałem, że to nie napad. Że Gusto ma umrzeć. Zareagowałem instynktownie. Rzuciłem się na tę jego rękę z pistoletem, ale się spóźniłem. On już zdążył strzelić. Upadłem na podłogę, a kiedy się ocknąłem, leżałem koło Gusto z lufą pistoletu przy czole. Facet nie odezwał się ani słowem, byłem pewien, że mnie też zastrzeli. – Oleg urwał, głęboko odetchnął. – Ale on jakby nie potrafił podjąć decyzji. Ułożył dziobek z palców, poruszał nimi, a potem przeciągnął ręką po szyi.

Harry kiwnął głową. Milcz albo zginiesz.

– Powtórzył ten gest, a ja potwierdziłem, że zrozumiałem. Wyszedł. Gusto krwawił jak zarzynana świnia, wiedziałem, że muszę natychmiast wezwać pomoc. Ale bałem się wyjść. Byłem pewien, że ten facet stoi pod drzwiami, bo nie słyszałem jego kroków na schodach. Myślałem, że kiedy mnie zobaczy, mimo wszystko zmieni zdanie i mnie zastrzeli.

Stopy Olega poruszały się w górę i w dół.

– Próbowałem sprawdzić Gustowi puls, mówić do niego. Powtarzałem, że sprowadzę pomoc, ale on nie odpowiadał. I nagle tego pulsu już nie było. Nie mogłem tam dłużej zostać. Wyszedłem. – Wyprostował się, jakby rozbolał go krzyż. Złączył dłonie i położył je na głowie. Podjął niewyraźnym głosem: – Byłem na haju, nie myślałem przytomnie. Zszedłem nad rzekę, chciałem popłynąć. Może miałbym szczęście i utonął, ale usłyszałem syreny. No i pojawili się... A ja myślałem tylko o tym kłapiącym dziobie i palcu przejeżdżającym po gardle. Wiedziałem, że muszę milczeć. Bo ja wiem, jacy są ci ludzie. Słyszałem ich rozmowy o tym, jak to robią.

– Jak?

– Atakują tam, gdzie najbardziej boli. Najpierw bałem się o mamę.

– Ale z Irene było prościej – stwierdził Harry. – Nikt nie zareaguje, nawet jeśli dziewczyna z ulicy zniknie na jakiś czas.

Oleg spojrzał na niego, przełknął ślinę.

– Więc ty mi wierzysz?

Harry wzruszył ramionami.

– Jeśli chodzi o ciebie, to łatwo mnie oszukać, Oleg. Zdaje się, że tak już jest, kiedy się... kiedy się... no wiesz.

W oczach Olega zakręciły się łzy.

– Ale... to przecież nieprawdopodobne. Wszystkie dowody...

– Wszystko powoli zaczyna się układać – stwierdził Harry. – Ślady prochu na twojej ręce wzięły się stąd, że rzuciłeś się na pistolet. Krwią Gusta pobrudziłeś się, kiedy mierzyłeś mu puls. I sam zostawiłeś na nim swoje odciski. Nikt nie widział nikogo innego oprócz ciebie po strzale, dlatego że zabójca uciekł do tego biura. Wyszedł przez okno i zszedł po schodkach przeciwpożarowych, które prowadzą nad rzekę. Dlatego nie słyszałeś żadnych kroków na schodach.

Oleg w zamyśleniu popatrzył gdzieś na pierś Harry'ego.

– Ale dlaczego Gusto zginął? I kto go zabił?

– Tego nie wiem. Ale wydaje mi się, że został zabity przez kogoś, kogo znasz.

– Ja?

– Tak. Dlatego ten człowiek używał gestów zamiast słów. Nie chciał, żebyś rozpoznał jego głos. A kominiarka wskazuje, że bał się, że mogą go rozpoznać jakieś inne osoby ze środowiska. Mógł być kimś, kogo większość z was, mieszkańców tej nory, już wcześniej widywała.

– Ale dlaczego oszczędził mnie?

– Tego też nie wiem.

– Nie rozumiem. Przecież próbowali mnie zabić później, już w więzieniu. Chociaż nie puściłem pary z ust.

– Może zabójca nie dostał szczegółowych instrukcji o tym, co ma zrobić z ewentualnymi świadkami. Zawahał się. A z drugiej strony mogłeś go poznać po sylwetce, mowie ciała, chodzie, jeśli widziałeś go już wcześniej kilka razy. Ale skoro byłeś na hajku, mogłeś wielu rzeczy nie zauważyć.

– Narkotyki ratują życie – ostrożnie uśmiechnął się Oleg.

– Tak. Jednak jego szef najwidoczniej nie zgodził się z taką oceną, kiedy usłyszał późniejszy raport. Było już jednak za późno. Na wszelki wypadek, żebyś milczał, porwał Irene.

– Wiedzieli, że nie puszcę pary z ust, dopóki mają Irene, więc dlaczego próbowali mnie zabić?

– Bo ja się pojawiłem – stwierdził Harry.

– Ty?

– Tak. Wiedzieli, że jestem w Oslo, odkąd wylądowałem. Mieli świadomość, że jestem tą osobą, która może nakłonić cię do mówienia, więc Irene już nie wystarczy. Dubaj kazał zmusić cię do milczenia na wieki w więzieniu.

Oleg z namysłem pokiwał głową.

– Opowiedz mi o Dubaju – powiedział Harry.

– Nigdy go nie spotkałem. Ale wydaje mi się, że raz byłem tam, gdzie on mieszka.

– Gdzie to jest?

– Nie wiem. Gusta i mnie zabrali jego adiutanci. Zawieźli nas do jakiegoś domu, ale mieliśmy zasłonięte oczy.

– Wiesz, że to był dom Dubaja?

– Zorientowałem się po reakcji Gusta. No i pachniało tak, jakby ktoś tam mieszkał. I dźwięk, jakby dom był umeblowany. Z dywanami i zasłonami...

– Rozumiem. Mów dalej.

– Zaprowadzili nas do piwnicy i dopiero wtedy zdjęli mi opaskę z oczu. Na podłodze leżał trup. Powiedzieli, że tak załatwiają sprawę z tymi, którzy próbują ich oszukać. Kazali nam uważnie mu się przyjrzeć. I opowiedzieli, co się stało na Alnabru, dlaczego drzwi nie były zamknięte, kiedy przyszła policja. I dlaczego Tutu zniknął.

– Na Alnabru?

– Jeszcze do tego dojdę.

– Okej. W jaki sposób ten człowiek został zabity?

– O co ci chodzi?

– Miał klute rany na twarzy? Czy został zastrzelony?

– A co, nie powiedziałem? Nie zrozumiałem, na co umarł, dopóki Piotr nie nadepnął mu na brzuch. Wtedy z kącików ust wypłynęła mu woda.

Harry zwilżył wargi.

– Wiesz, kto to był?

– Tak. Wywiadowca, który się koło nas kręcił. Mówiliśmy na niego Sixpence. Z powodu czapki, którą nosił.

– Mhm.

– Harry?

– Tak?

Stopy Olega jak szalone stukały o beton.

– Mało wiem o Dubaju. Nawet Gusto nie chciał o nim mówić. Ale wiem, że jeśli będziesz próbował go złapać, to zginiesz.

CZĘŚĆ III

Szczurzyca niecierpliwie dreptała po podłodze. Serce człowieka biło, chociaż coraz słabiej. Znów zatrzymała się przy bucie. Wbiła zęby w skórę. Miękką, ale grubą, solidną skórę. Jeszcze raz przebiegła po ciele człowieka. Ubranie pachniało silniej niż buty. Potem, jedzeniem i krwią. On – po zapachu wyczuwała, że to samiec – wciąż leżał w tej samej pozycji, nie poruszył się i dalej zasłaniał wejście. Zacisnęła zęby na skórze brzucha. Wiedziała, że to najkrótsza droga. Słabnące uderzenia serca. Już niedługo będzie mogła zacząć.

Nie chodzi o to, że trzeba przestać żyć, tato. Tylko że trzeba umrzeć, żeby skończyć z tym gównem. Powinien istnieć jakiś lepszy sposób, zgodzisz się ze mną? Bezbolesny exodus, światło zamiast tej pieprzonej zimnej ciemności, która stale napływa coraz większymi falami. Ktoś w każdym razie powinien dołożyć odrobinę opiatów do tych nabojów Małakowa, zrobić to, co zrobiłem dla Rufusa, tego zapchlonego kundla, zapewnić mi lot do Euforii bez biletu powrotnego. Przyjemnej podróży, do diabła! Ale na tym zasranym świecie wszystko, co dobre, jest albo na receptę, albo wyprzedane, albo osiąga taką cenę, że trzeba zapłacić duszą, żeby poczuć smak. Życie to restauracja, na którą cię nie stać. Śmierć to rachunek za jedzenie, którego nie zdążyłeś nawet skosztować. Zamawiasz więc najdroższą rzecz w karcie, bo przecież i tak odchodzisz, prawda? Może zdązysz złapać chociaż kęs.

Okej, przestanę marudzić, tato, więc nie odchodź. Nie słyszałeś reszty. A reszta jest niezła. Na czym stanęło? No tak. Minęło zaledwie kilka dni od włamu na Alnabru, kiedy zjawili się Piotr z Andriejem i zabrali mnie i Olega. Olegowi zawiązali oczy chustką, zawieźli nas do domu starca i zeszliśmy do piwnicy. Nigdy wcześniej tam nie byłem. Poprowadzili nas długim, wąskim, niskim korytarzem. Musieliśmy schylać głowy, a ramionami szorowaliśmy po ścianach. Po pewnym czasie zorientowałem się, że to nie piwnica, tylko raczej podziemny tunel, może wyjście awaryjne. Ale Sixpence'owi nie pomogło. Wyglądał jak utopiony szczur. No cóż, przecież nim był.

Potem znów zawiązali Olegowi oczy i odprowadzili go do samochodu. A ja zostałem wezwany do starca. Siedział na fotelu naprzeciwko mnie. Nie przedzielał nas stół.

– Byliście tam? – spytał.

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Jeśli chodzi o to, czy byliśmy na Alnabru, odpowiedź brzmi „nie”.

Przyglądał mi się w milczeniu.

– Jesteś taki jak ja – powiedział w końcu. – Nie wiadomo, kiedy kłamiesz.

Nie założę się o to, ale wydało mi się, że dostrzegam uśmiech.

– I jak, Gusto, zrozumiałeś, co widziałeś na dole?

– To był ten wywiadowca, Sixpence.

– Owszem. A dlaczego?

– Nie wiem.

– Spróbuj zgadnąć.

Facet w poprzednim życiu musiał być chyba nudnym nauczycielem, ale trudno, odpowiedziałem:

– Ukradł coś.

Starzec pokręcił głową.

– Odkrył, że tu mieszkam. Wiedział, że nie ma żadnych szans na nakaz przeszukania.

Po aresztowaniu Los Lobos i zatrzymaniu tych narkotyków na Alnabru zrozumiał schemat. Pojął, że nigdy nie dostanie nakazu przeszukania. Bez względu na to, jakie zdobędzie dowody... – Starzec wyszczerzył zęby. – Wystaliśmy mu ostrzeżenie, sądząc, że to go powstrzyma.

– No i?

– Wywiadowcy tacy jak on wierzą w fałszywą tożsamość. Wydaje im się, że nie można się dowiedzieć, kim są. Jaką mają rodzinę. Ale przecież wszystko jest w policyjnych archiwach komputerowych. Trzeba tylko znać odpowiednie hasło dostępu, które się dostaje, jeżeli ktoś jest na przykład zaufanym pracownikiem Wydziału Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej. A jak go ostrzeżliśmy?

Odpowiedziałem bez namysłu:

– Załatwiliście jego dzieciaki?

Twarz starca pociemniała.

– Nie jesteśmy potworami, Gusto.

– Sorry.

– Poza tym on nie miał dzieci. – Śmiech jak warkot starego kutra. – Ale miał siostrę.

Może tylko przybraną.

Kiwnąłem głową. Nie umiałem stwierdzić, czy kłamię.

– Powiedzieliśmy, że zostanie zgwałcona, a potem uśmiercona. Ale źle go oceniłem.

Zamiast zastanowić się nad tym, że ma też innych krewnych, o których los powinien się troszczyć, ruszył do ataku. Bardzo samotnego, ale desperackiego ataku. Zdołał się tu przedostać nocą. Nie byliśmy na to przygotowani. Prawdopodobnie bardzo kochał tę siostrę. Był uzbrojony. Zszedłem do piwnicy, a on w ślad za mną. I umarł. – Starzec przekrzywił głowę. – Od czego, jak myślisz?

– Z ust wypływała mu woda. Utonął?

– Prawidłowa odpowiedź. Gdzie utonął?

– Został przeniesiony z jakiegoś jeziora czy czegoś takiego?

– Nie. Przedostał się tutaj i utonął. Więc?

– No to nie wiem.

– Zastanów się. – Słowa były jak smagnięcie batem. – Jeśli chcesz przeżyć, musisz myśleć, wyciągać wnioski z własnych obserwacji. Na tym polega prawdziwe życie.

– Dobrze, dobrze. – Próbowałem się skupić. – Ta piwnica to wcale nie piwnica, tylko tunel.

Starzec skrzyżował ręce na piersi.

– I?

– Tunel jest dłuższy niż działka. Oczywiście może wychodzić gdzieś na powietrze.

– Ale?

– Ale mówiłeś, że jesteś właścicielem sąsiedniego domu, więc pewnie prowadzi tam.

Starzec uśmiechnął się zadowolony.

– Zgadnij, ile lat może mieć ten tunel?

– Jest bardzo stary. Ściany porasta mech.

– Algi. Po czterech nieudanych zamachach ruchu oporu na ten dom szef Gestapo kazał wybudować tunel. Udało się to utrzymać w tajemnicy. Kiedy Reinhard wracał do domu po południu, wchodził głównym wejściem do tego domu, tak aby wszyscy to widzieli. Zapalał światło, a potem przechodził tunelem do swojego prawdziwego domu, czyli tego sąsiedniego, a jego adiutant, o którym wszyscy sądzili, że mieszka tam, przechodził tutaj. Kręcił się po pokojach, często stawał przy oknie w takim samym mundurze, jaki nosił szef Gestapo.

– Był sitting duck.

– Owszem.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Ponieważ chcą, abys wiedział, na czym polega prawdziwe życie, Gusto. Większość ludzi w tym kraju nic o tym nie wie. Nie mają pojęcia, ile kosztuje przetrwanie w prawdziwym życiu. Ale mówią ci to wszystko również dlatego, że chcą, abys pamiętał, że ci zaufałem.

Popatrzył na mnie tak, jakby jego słowa były bardzo ważne. Udałem, że zrozumiałem. Chciałem już wracać do domu. Może to zauważył.

– Dziękuję ci za dzisiejsze spotkanie, Gusto. Andriej cię odwiezie.

Kiedy samochód mijał uniwersytet, w kampusie odbywała się jakaś impreza. Słyszeliśmy gitary grające na scenie ustawionej pod gołym niebem. Młodzi ludzie szli w naszą stronę przez Blindernveien. Wesole, tryskające nadzieją twarze, jakby coś im obiecano, jakąś przyszłość, czort wie co.

– Co to jest? – spytał Oleg, który wciąż miał zawiązane oczy.

– To – odpowiedziałem – jest nieprawdziwe życie.

– Nie masz pojęcia, jak on utonął? – spytał Harry.

– Nie – odparł Oleg. Drzenie stóp jeszcze się wzmogło. Całe jego ciało wibrowało.

– Okej, miałeś zawiązane oczy, ale opowiedz mi, co zapamiętałeś z jazdy i z samego tego miejsca. Wszystkie dźwięki. Na przykład czy kiedy wysiedliście z samochodu, słyszałeś pociąg albo tramwaj?

– Nie. Ale wtedy padał deszcz, więc głównie to słyszałem.

– Ciężki deszcz czy lekki?

– Lekki. Prawie go nie czułem, kiedy wysiedliśmy z samochodu. Ale usłyszałem.

– Okej. Kiedy lekki deszcz tak hałasuje, to może oznaczać, że pada na drzewa liściaste.

– Może.

– A co czułeś pod stopami, kiedy szedłeś do drzwi? Asphalt? Płyty z kamienia? Trawę?

– Chyba żwir. Tak mi się wydaje. Tak, chrzęściło. Dzięki temu wiedziałem, gdzie jest Piotr. On jest potężniejszy, więc chrzęścił głośniej.

– To już coś. Jakieś schody przy drzwiach?

– Tak.

– Ile stopni?

Oleg jęknął.

– Dobrze, dobrze – uspokoił go Harry. – Czy deszcz ciągle padał, kiedy stałeś przy drzwiach?

– Oczywiście.

– Ale czy wciąż padał ci na głowę?

– Tak.

– Czyli nie było żadnego zadaszania nad wejściem?
– Masz zamiar przeszukać wszystkie domy w Oslo bez ganków?
– No cóż. Różne części Oslo budowano w różnych okresach, a te okresy mają sporo wspólnych cech.

– A w jakim okresie zbudowano drewnianą willę z ogrodem, z wysypaną żwirem alejką i schodami prowadzącymi do drzwi, nad którymi nie ma daszku, położoną z dala od szyn tramwajowych?

– Mówisz jak szef wydziału kryminalnego. – Harry’emu nie udało się ani uśmiechnąć, ani roześmiać. – A kiedy stamtąd odjeżdżaliście, wychwyciłeś jakieś inne odgłosy w pobliżu?

– Na przykład jakie?

– Na przykład popiskiwanie świateł na przejściu dla pieszych, przy którym się zatrzymaliście.

– Nie. Nic takiego nie pamiętam. Ale słyszałem muzykę.

– Z płyty czy na żywo?

– Chyba na żywo. Wyraźnie słyszałem talerze perkusyjne. A gitary jakby grały raz głośniej, raz ciszej w zależności od wiatru.

– No to rzeczywiście na żywo. Nieźle zapamiętałeś.

– Zapamiętałem tylko dlatego, że grali jedną z twoich piosenek.

– Z moich piosenek?

– Z którejś z twoich płyt. Pamiętam, bo Gusto powiedział, że to jest nieprawdziwe życie, a ja pomyślałem, że to podświadome skojarzenie, bo przed chwilą usłyszał ten fragment tekstu, który zaśpiewali.

– Co to za fragment?

– Coś ze snem. Nie pamiętam. Ale ty cały czas puszczałeś płytę z tą piosenką.

– Dalej, Oleg, przypomnij sobie, to ważne!

Oleg popatrzył na Harry’ego. Jego stopy znieruchomiały. Przymknął oczy i ostrożnie zanucił.

– *It's just a dreamy Gonzales...* – Otworzył oczy, czerwony na twarzy. – Coś w tym rodzaju.

Harry spróbował to powtórzyć i pokręcił głową.

– Przykro mi – powiedział Oleg. – Nie jestem pewien. To trwało tylko kilka sekund.

– W porządku. – Harry położył rękę na ramieniu chłopaka. – Opowiedz mi raczej, co się wydarzyło na Alnabru.

Stopy Olega znów zaczęły drżeć. Dwa razy głęboko odetchnął, zaciągając się

powietrzem aż do brzucha, tak jak się nauczył robić na starcie, zanim zgiął się wpół w pozycji startowej, i zaczął opowiadać.

Później Harry długo milczał, pocierając brodę.

– A więc załatwiliście człowieka wiertarką?

– Nie my. Ten policjant.

– I nie wiesz, jak on się nazywa ani gdzie pracuje?

– Nie. I Gusto, i on bardzo pilnowali, żebym się nie dowiedział. Gusto mówił, że tak będzie lepiej dla mnie.

– I nie macie pojęcia, gdzie się podziały zwłoki?

– Nie. Doniesiesz na mnie?

– Nie. – Harry sięgnął po papierosy i wyjął jednego.

– Poczęstujesz mnie? – spytał Oleg.

– *Sorry*, chłopcze. To groźne dla zdrowia.

– Ale...

– Pod jednym warunkiem. Pozwolisz Hansowi Christianowi, żeby cię ukrył, a odnalezienie Irene pozostawisz mnie.

Oleg zapatrzył się na bloki na wzgórzu za stadionem. Na balkonach wciąż wisiły skrzynki z kwiatami. Harry obserwował profil chłopca. Grdykę poruszającą się w górę i w dół na cienkiej szyi.

– W porządku – powiedział Oleg.

– To dobrze. – Harry podał mu papierosa i przypalił obydwu.

– Teraz zrozumiałem sens tego metalowego palca – oświadczył Oleg. – Służy ci do palenia.

– No właśnie. – Harry, trzymając papierosa między tytanową protezą a palcem wskazującym, wstukiwał numer Rakel. Nie musiał prosić o numer Hansa Christiana, bo adwokat był u niej. Obiecał, że zaraz przyjedzie.

Oleg skulił się, jakby nagle zrobiło się zimniej.

– Gdzie on mnie ukryje?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo mam wrażliwe jądra. Zaczynam gadać jak katarynka, gdy tylko ktoś wspomni o akumulatorze samochodowym.

Oleg się roześmiał. Krótko, ale to był prawdziwy śmiech.

– Nie wierzę. Pozwoliłbyś się zabić, a nie pisnąłbyś ani słowa.

Harry spojrzął na chłopca. Był gotów do wieczora wymyślać kiepskie dowcipy, byle tylko pojawiły się te krótkie przebłyski śmiechu.

– Zawsze miałeś o mnie dobre zdanie, Oleg. Za dobre. A ja zawsze chciałem, żebyś widział we mnie kogoś lepszego, niż jestem naprawdę.

Oleg popatrzył na swoje dłonie.

– Czy ojciec nie jest bohaterem dla wszystkich chłopaków?

– Być może. A ja nie chciałem, żebyś odkrył we mnie zdrajcę, takiego, który ucieka. Ale jednak stało się to, co się stało. Chciałem tylko powiedzieć, że chociaż nie zdołałem być przy tobie, to wcale nie znaczy, że to nie było dla mnie ważne. Nie potrafimy żyć tak, jak byśmy najbardziej chcieli. Jesteśmy więźniami... rzeczy, które się na nas składają.

Oleg zadarł podbródek.

– Dragów i gówna.

– Również tego.

Zaciągnęli się synchronicznie. Patrzyli na dym podrywany niezdecydowanymi podmuchami ku otwartemu błękitnemu niebu. Harry wiedział, że nikotyna nie uśmierzy ssania, które odczuwał Oleg, ale przynajmniej pozwoli mu się od niego oderwać na kilka minut. Właśnie o to chodziło. O kolejne minuty.

– Posłuchaj, Harry.

– Tak?

– Dlaczego nie wróciłeś?

Harry zaciągnął się jeszcze raz, zanim odpowiedział:

– Ponieważ twoja matka uważała, że to nie byłoby dla was dobre. I miała rację.

Harry dalej palił, gapiąc się przed siebie. Wiedział, że Oleg nie chce, by teraz na niego patrzył. Osiemnastoletni chłopcy nie lubią, kiedy ktoś im się przygląda, gdy płaczą. Nie zamierzał go też obejmować ani nic mówić. Po prostu przy nim był. Nie odchodził. Tylko myślał o czekającym ich wspólnym wyścigu.

Kiedy usłyszeli nadjeżdżający samochód, zeszli z trybuny na parking. Harry zobaczył, że Hans Christian kładzie delikatnie rękę na ramieniu Rakel, kiedy chciała wybiec z samochodu.

Oleg odwrócił się do Harry'ego. Nadał się. Ręce odsunął od boków, zaczepił kciukiem o jego kciuk i barkiem szturchnął go w bark. Ale Harry nie pozwolił mu tak łatwo się z tego wywinąć i przyciągnął go do siebie. Szepnął mu do ucha:

– Musisz wygrać.

Adres Irene Hanssen był taki sam jak jej rodziców. Dom znajdował się na Grefsen. Bliźniak. Nieduży zarośnięty ogród z jabłonią bez jabłek, za to z huśtawką.

Otworzył młody chłopak, którego wiek Harry ocenił na dwadzieścia parę lat. Twarz była znajoma. Policyjny mózg potrzebował kilku dziesiątych części sekundy, żeby w bazie danych uzyskać dwa trafienia.

– Nazywam się Harry Hole. A ty pewnie jesteś Stein Hanssen?

– Tak?

Na jego twarzy widać było mieszkankę niewinności i czujności, jaką spotyka się u młodych mężczyzn, którzy zdążyli przeżyć i dobre, i złe rzeczy, ale na razie w zetknięciu ze światem jeszcze się miotają między zbyt otwartą szczerością a zbyt hamującą ostrożnością.

– Poznają cię ze zdjęcia. Jestem przyjacielem Olega Fauke.

Harry szukał reakcji w szarych oczach Steina Hanssena, ale bez powodzenia.

– Może słyszałeś już, że został zwolniony z aresztu, bo ktoś inny przyznał się do zabójstwa twojego przybranego brata.

Stein Hanssen pokręcił głową. Wciąż z minimalną mimiką.

– Jestem byłym policjantem. Próbuje odnaleźć twoją siostrę, Irene.

– Dlaczego?

– Żeby mieć pewność, że wszystko z nią w porządku. Obiecałem Olegowi, że to zrobię.

– Super. Żeby dalej mógł ją karmić narkotykami?

Harry przestąpił z nogi na nogę.

– Oleg teraz nie bierze. To sporo kosztuje, jak być może wiesz. Tak postanowił, bo chciał szukać jej na własną rękę. On ją kocha, Stein. Ale ja będę próbował odnaleźć ją dla nas wszystkich, nie tylko dla niego. A jestem uważany za niezłego specjalistę od odnajdywania ludzi.

Stein Hanssen popatrzył na Harry'ego. Chwilę się wahał. W końcu otworzył drzwi.

Harry wszedł za nim do salonu, ładnie umeblowanego, porządnego i sprawiającego wrażenie całkowicie niezamieszkanego.

– Twoi rodzice...

– Nie mieszkają tu teraz. A ja tu bywam tylko wtedy, kiedy nie jestem w Trondheim.

Wymawiał „r” w sposób, jaki kiedyś uważano za symbol statusu u rodzin, które stać było na opiekunki do dzieci pochodzące z południa Norwegii, z regionu Sørlandet. Takie „r”, które sprawia, że łatwo się zapamiętuje głos, pomyślał Harry, właściwie nie wiedząc, dlaczego przyszło mu to do głowy. Na pianinie, które wyglądało na nigdy nieużywane, stało

zdjęcie zrobione jakieś sześć-siedem lat temu. Irene i Gusto byli młodszymi i mniejszymi wersjami samych siebie. W strojach i z fryzurami, na które teraz z pewnością wstydziłoby się patrzeć. Stein stał z tyłu z poważną miną, matka z rękami założonymi na piersi i wyniosłym, wręcz drwiącym uśmiechem. Ojciec się uśmiechał. Harry pomyślał, że to pewnie on zaproponował zrobienie tego rodzinnego zdjęcia, w każdym razie jako jedyny wykazywał entuzjazm.

– A więc to jest rodzina.

– Była. Rodzice się rozwiedli. Ojciec przeprowadził się do Danii, a raczej trzeba by powiedzieć, że uciekł. Matka jest w szpitalu. Resztę... resztę najwyraźniej znasz.

Harry pokiwał głową. Jedna osoba zabita. Jedna zaginiona. Spore straty w ludziach jak na jedną rodzinę.

Bez zaproszenia usiadł w głębokim fotelu.

– Co możesz powiedzieć, żeby mi ułatwić poszukiwanie Irene?

– Nie mam pojęcia.

Harry się uśmiechnął.

– Spróbuj.

– Irene przeniosła się do mnie do Trondheim, ponieważ uczestniczyła w czymś, o czym nie chciała mi opowiadać. Jestem pewien, że to Gusto ją do tego zmusił. Ona go ubóstwiała. Była gotowa zrobić dla niego wszystko. Wmawiała sobie, że on o niej myśli, tylko dlatego, że od czasu do czasu pogłaskał ją po policzku. Ale po kilku miesiącach był jakiś telefon. Oświadczyła, że musi wracać do Oslo, nie chciała wyjaśnić dlaczego. Od tamtej pory minęły już ponad cztery miesiące. A ja jej nie widziałem i nie miałem od niej żadnych wiadomości. Szukałem jej przez dwa tygodnie, w końcu poszedłem na policję i zgłosiłem zaginięcie. Zarejestrowali, trochę posprawdzali i nic więcej się nie działo. Nikogo nie obchodzi ćpunka bez stałego miejsca zamieszkania.

– Masz jakąś teorię? – spytał Harry.

– Nie. Ale Irene nie zniknęła dobrowolnie. Ona nie należy do tych, które po prostu uciekają. Tak jak... jak niektórzy inni.

Harry wiedział, o kogo mu chodzi, a mimo to poczuł muśnięcie zbłąkanej kuli.

Stein Hanssen podrapał się w strup na przedramieniu.

– Co wy w niej widzicie? Własną córkę? Wydaje wam się, że w ten sposób dostajecie własne córki?

– Wy? – zdziwił się Harry. – O kim ty mówisz?

– O was, o staruchach, którzy na jej widok ślinią się tylko dlatego, że wygląda jak

czternastoletnia lolita.

Harry przypomniał sobie zdjęcie na drzwiach szafki w szatni. Stein Hanssen miał rację. Przyszło mu do głowy, że mógł się pomylić. Być może zniknięcie Irene nie miało wcale związku z tą sprawą.

– Studiujesz w Trondheim. Na politechnice?

– Tak.

– Na jakim kierunku?

– Techniki komputerowe.

– Mhm. Oleg też chciał studiować. Znasz go?

Stein pokręcił głową.

– Nigdy z nim nie rozmawiałeś?

– Spotkaliśmy się ze dwa razy. To były bardzo krótkie spotkania, można tak powiedzieć.

Harry spojrzał na przedramię Steina. Takie zboczenie zawodowe. Ale oprócz jednego strupa nie było na nim żadnych śladów. Oczywiście, że nie. Stein Hanssen należał do tych, którzy przeżywają. Do tych, którzy dają sobie radę. Harry wstał.

– Tak czy owak, przykro mi z powodu tego, co spotkało twojego brata.

– Przybranego brata.

– Mhm. Dasz mi swój numer telefonu? Na wypadek gdyby coś się pojawiło.

– Na przykład co?

Popatrzyli na siebie. Odpowiedź zawisła między nimi. Nie trzeba jej było rozwijać ani w ogóle wypowiadać. Strupek w końcu puścił i cieniutka smużka krwi popłynęła w stronę dłoni.

– Jedno ci mogę powiedzieć – oświadczył Stein Hanssen, kiedy wyszli na schody. – Te miejsca, w których zamierzasz jej szukać. Urtegata. Prowadzona przez Kościół kawiarnia dla narkomanów. Parki. Schroniska. Pokoje do zastrzyków. Pigalaki. O tym wszystkim możesz zapomnieć, wszędzie byłem.

Harry pokiwał głową i włożył swoje damskie okulary.

– Miej telefon włączony, dobrze?

Harry chciał zjeść lunch w Lorry, ale już na schodach poczuł ochotę na piwo, więc zawrócił w drzwiach. Zamiast tego wybrał nową knajpę naprzeciwko Domu Literatury. Obrzuciwszy wzrokiem klientelę, wyszedł również stamtąd. I skończył w Pla, gdzie zamówił

tajski wariant tapas.

– Pić? *Singha*?

– Nie.

– Tiger?

– Macie wyłącznie piwo?

Kelner w końcu zrozumiał i przyniósł wodę.

Harry jadł krewetki królewskie i kurczaka, ale za kielbasę na sposób tajski podziękował. Potem zadzwonił do Rakel i kazał jej przejrzeć wszystkie swoje CD, które przez lata zwiózł na Holmenkollen i które już tam zostały. Część z nich miał tylko dla siebie, innymi chciał zbawiać ich. Elvis Costello, Miles Davis, Led Zeppelin, Count Basie, Jayhawks, Muddy Waters. Nikogo nimi nie uratował.

Rakel przechowywała płyty nazywane bez wyraźnej ironii muzyką Harry'ego w oddzielnej części półki z płytami.

– Przeczytaj mi tytuły wszystkich utworów.

– Żartujesz?

– Później ci wyjaśnię dlaczego.

– Okej. Pierwsza jest Aztec Camera.

– Czy ty...

– Tak, ułożyłam je alfabetycznie – odpowiedziała chyba trochę zawstydzona.

– Tak robią chłopcy.

– Twoja muzyka, twoje płyty. Mogę już zacząć czytać?

Po dwudziestu minutach dotarli do W i Wilco, a Harry wciąż nie miał żadnych skojarzeń. Rakel westchnęła ciężko, ale dalej czytała.

– *When You Wake Up Feeling Old.*

– Mm. Nie.

– *Summerteeth.*

– Mm. Następna.

– *In a Future Age.*

– Zaczekaj!

Rakel czekała.

A Harry zaczął się śmiać.

– To takie śmieszne? – zdziwiła się Rakel.

– Refren *Summerteeth* idzie tak. – Harry zaczął śpiewać: – *It's just a dream he keeps having.*

– To niezbyt ładne, Harry.

– Właśnie, że tak. To znaczy oryginał. Na tyle ładne, że mnóstwo razy puszczałem to Olegowi. Ale on zrozumiał ten tekst jako *It's just a dreamy Gonzales*. – Harry znów się roześmiał i zaczął śpiewać. – *It's just a dreamy Gon...*

– Proszę cię, Harry.

– Już dobrze, dobrze. Ale mogłabyś iść do komputera Olega i poszukać mi czegoś w Internecie?

– Czego?

– Znajdź stronę Wilco. I zobacz, czy mieli w tym roku koncert w Oslo, a jeśli tak, to gdzie dokładnie.

Rakel oddzwoniła po sześciu minutach.

– Tylko jeden – wyjaśniła gdzie.

– Dziękuję – powiedział Harry.

– Znów masz ten głos.

– Jaki głos?

– Pełen zapału. Jak chłopiec.

O czwartej nad Oslofjorden nadciągnęły niczym wroga armada groźne stalowoszare chmury. Harry zjechał ze Skøyen w stronę parku Frogner i zaparkował na Thorvald Erichsens vei. Po trzech bezskutecznych próbach dodzwonienia się do Bellmana na komórkę zatelefonował w końcu na komendę i dowiedział się, że naczelnik wyszedł wcześniej z pracy, żeby zawieźć synka na trening w Klubie Tenisowym Oslo.

Harry spojrzął na chmury. Potem wszedł do środka i zaczął podziwiać klub.

Wspaniały budynek, korty ceglane, twarde, a jeden nawet z trybunami. A jednak tylko z dwóch spośród dwunastu ktoś korzystał. W Norwegii gra się w piłkę i jeździ na nartach. Prezentowaniu się w roli tenisisty towarzyszą podejrzliwe spojrzenia i kąśliwe poszeptywania.

Znalazł Bellmana na jednym z kortów ceglanych. Wyjmował piłki z metalowego kosza na statywie i rzucał je ostrożnie chłopczykowi, który być może ćwiczył backhand cross, trudno to było stwierdzić, bo piłki latały na wszystkie strony.

Harry wszedł przez furtkę w ogrodzeniu i stanął obok Bellmana na korcie.

– Wygląda tak, jakby się nieźle męczył – powiedział, wyjmując papierosy.

– Harry. – Mikael Bellman nie przerwał rzutów ani nie oderwał oczu od chłopca. –

Coraz lepiej mu idzie.

- Dostrzegam pewne podobieństwo. Czy to...
- Mój syn. Filip. Ma dziesięć lat.
- Ależ ten czas płynie! Ma talent?
- Trochę mu brakuje do ojca, ale nie tracę wiary. Trzeba go tylko lekko popchnąć.
- Myślałem, że to już zabronione.
- Wyświadczamy naszym dzieciom niedźwiedzią przysługę, Harry. Szerzej nogi,

Filip!

- Dowiedziałeś się czegoś o Martinie Pranie?
- O Pranie?
- O garbatym dziwaku ze Szpitala Radiologicznego.
- Aha, tego od intuicji. I tak, i nie. To znaczy tak, bo sprawdzałem, a nie, bo nic na niego nie mamy. Naprawdę nic.
- Mhm. Chciałem spytać o coś innego.
- Ugnij nogi w kolanach! O co?
- O zezwolenie sądu na ekshumację Gusta Hanssena i sprawdzenie, czy pod paznokciami nie zostało dość krwi do przeprowadzenia kolejnych badań.

Tym razem Bellman oderwał wzrok od syna. Najwyraźniej po to, żeby ocenić, czy Harry mówi poważnie.

- Mamy przyznanie się do winy, Harry. Bardzo wiarygodne. Od razu mogę powiedzieć, że dostaniemy odmowę.
- Gusto miał krew pod paznokciami. Próbkę przepadła, zanim przeprowadzono analizę.
- Takie rzeczy się zdarzają.
- Bardzo rzadko.
- I do kogo twoim zdaniem mogła należeć ta krew?
- Nie wiem.
- Nawet się nie domyślasz?
- Nie. Ale jeśli tę pierwszą próbkę usunięto, to znaczy, że musiała być dla kogoś ważna.
- Na przykład dla tego handlarza amfetaminą, który się przyznał. Dla Szuwaksa.
- Pełne brzmienie imienia i nazwiska: Chris Reddy.
- Wszystko jedno. Nie skończyłeś jeszcze z tą sprawą po zwolnieniu Olega Fauke?
- Wszystko jedno. Chłopiec nie powinien trzymać rakiety w obu rękach, kiedy uderza

od tyłu?

- Znasz się na tenisie?
- Sporo oglądałem w telewizji.
- Backhand jednoręczny rozwija charakter.
- Nie wiem, czy ta krew ma coś wspólnego z zabójstwem. Może po prostu ktoś się boi, żeby go nie powiązać z Gustem.

- Na przykład?
- Może Dubaj. Poza tym nie wierzę, że Szuwaks zabił Gustę.
- Dlaczego?
- Doświadczony diler, który przyznaje się ni stąd, ni zowąd?
- Rozumiem – powiedział Bellman. – Ale się przyznał. I to w wiarygodny sposób.
- A poza tym zginął tylko narkoman – ciągnął Harry, uchylając się od zbłąkanej piłki.
- No i macie dość innych spraw, które trzeba wyjaśnić.

Bellman westchnął.

- Jest tak samo jak zawsze, Harry. Mamy za mało sił i środków, żeby nadawać priorytet sprawom, które już mają jakieś wyjaśnienie.
- Jakieś wyjaśnienie? A co z wyjaśnieniem prawdziwym?
- Człowiek jako szef uczy się pokretnych sformułowań.
- Okej, wobec tego pozwól, że w zamian za pomoc w odszukaniu tylko jednego domu zaproponuję ci wyjaśnienia dwóch innych spraw.

Bellman przestał rzucać piłki.

- Jakich?
- Zabójstwa na Alnabru. Motocyklisty, na którego mówią Tutu. Informator powiedział mi, że przewiercono mu głowę wiertarką.
- I ten informator jest gotów zeznawać?
- Być może.
- A to drugie?
- Policyjny wywiadowca, którego morze wyrzuciło na brzeg przy Operze. Ten sam informator widział go martwego na podłodze w piwnicy w domu Dubaja.

Bellman zmrużył jedno oko. Pozbawione pigmentu plamy rozjarzyły się czerwienią, co przywiodło Harry'emu na myśl tygrysa.

- Tato!
- Idź do szatni, Filip. Napełnij butelkę wodą.
- Szatnia jest zamknięta, tato.

– A jaki jest kod?

– Rok urodzin króla, ale nie pamiętam...

– To sobie przypomnij i wtedy się napijesz, Filip.

Chłopczyk ruszył do furtki ze zwieszonymi rękami.

– Czego ty chcesz, Harry?

– Chcę, żeby patrol sprawdził okolice wokół Fredrikkeplassen na terenie uniwersytetu w promieniu kilometra. I chcę dostać listę willi pasujących do tego opisu.

– A co się wydarzyło na Fredrikkeplassen?

– Tam był tylko koncert.

Kiedy Bellman zrozumiał, że nie dowie się niczego więcej, spojrzął na kartkę i przeczytał głośno:

– Stara drewniana willa z długą, wysypaną żwirem alejką wśród drzew liściastych, z prowadzącymi do drzwi schodkami, nad którymi nie ma daszku? To pasuje do opisu połowy zabudowań na Blindern! Czego ty szukasz?

– Hm. – Harry zapalił papierosa. – Gniazda szcurów. Orlego gniazda.

– A jeśli je znajdziemy, to co?

– Ty i twoi ludzie potrzebujecie nakazu przeszukania, żeby cokolwiek przedsięwziąć, natomiast zwykły obywatel, na przykład ja, mógłby się tam zabłąkać w późny jesienny wieczór i szukać schronienia w najbliższej willi.

– No dobrze, zobaczę, co mi się uda zrobić. Ale najpierw mi wyjaśnij, dlaczego tak ci zależy na przyskrzynieniu tego Dubaja.

Harry wzruszył ramionami.

– Może to takie skrzywienie zawodowe. Zdobądź dla mnie tę listę i wyślij ją na adres mailowy, który masz zapisany na dole kartki. Zobaczymy, co będę mógł dla ciebie zdobyć.

Filip wrócił bez wody. Harry, już idąc w stronę samochodu, słyszał odgłos uderzenia furtki i ciche przekleństwo.

Wśród armady chmur rozległ się daleki wystrzał armatni. I nagle zapadł wieczorny mrok. Harry włączył silnik i zadzwonił do Hansa Christiana Simonsena.

– Mówi Harry. Jaka kara grozi teraz za zbezczeszczenie grobu?

– Hm. Przypuszczam, że od czterech do sześciu lat.

– Jesteś skłonny tyle zaryzykować?

Krótką pauza.

– Po co?

– Żeby złapać tego, który zabił Gusta. I być może tego, kto ściga Olega.

Długa pauza. A potem:

– Jeżeli jesteś pewien, co robisz, idę z tobą.

– A jeśli nie jestem?

Bardzo krótka pauza.

– Też idę.

– Okej. No to dowiedz się, gdzie jest pochowany Gusto, i załatw łopaty, latarkę kieszonkową, nożyczki do paznokci i dwa śrubokręty. Zrobimy to jutro w nocy.

Kiedy Harry przejeżdżał przez Solli plass, rozpadał się deszcz. Siekł dachy domów, ulice Kvadraturen i chłopaka stojącego *vis-à-vis* otwartych drzwi do baru, do którego każdy mógł wejść tak, jak stał.

Chłopak w recepcji spojrzał z troską na Harry'ego.

– Chce pan pożyczyć parasol?

– Nie. Chyba że ten hotel przecieka – odparł Harry i przeciągnął dłonią po szczotce na głowie, a w powietrze wzbił się delikatny pryszcik kropli. – Są dla mnie jakieś wiadomości?

Chłopak się roześmiał, jakby to był żart.

Idąc po schodach na trzecie piętro, Harry miał wrażenie, że słyszy kroki na dole. Przystanął. Nasłuchiwał. Cisza. Albo to było echo jego własnych kroków, albo tamten ktoś też się zatrzymał.

Wolno ruszył dalej. Na korytarzu przyspieszył, wsunął klucz do dziurki i otworzył. Spojrzał przez cały pogrążony w ciemności pokój, aż po oświetlone mieszkanie tamtej kobiety. Nikogo tam nie było. Nikogo tam, nikogo tutaj.

Przekreślił wyłącznik światła.

W chwili, kiedy się zapaliło, ujrzał swoje odbicie w szybie. Zobaczył też, że ktoś stoi za nim. W tym samym momencie poczuł ciężką dłoń zaciskającą się na ramieniu.

Tylko duch potrafi poruszać się tak szybko i bezszelestnie, pomyślał Harry, odwracając się, ale wiedział, że jest już za późno.

– Widziałem ich. Raz. Wyglądali jak kondukt pogrzebowy.

Duża brudna dłoń Catona wciąż spoczywała na ramieniu Harry'ego.

Słyszał własny zdyszany oddech, czuł nacisk płuc na żebra.

– Kto?

– Stałem i rozmawiałem z jednym z tych, którzy sprzedają to diabelstwo. Nazywa się Kundel i nosi skórzaną obrozę. Przyszedł do mnie, bo się bał. Policjant zatrzymał go z heroiną, sypaną temu wywiadowcy w czapce, gdzie mieszka Dubaj. Sixpence obiecał mu ochronę i amnestię, jeśli będzie świadczył w sądzie. Ale dzień później Sixpence wypłynął na łód przy Operze, a na policji nikt nie słyszał o żadnej umowie. Widziałem, jak podjechali czarnym samochodem. Czarne garnitury, czarne rękawiczki. On jest stary. Ma szeroką twarz. Wyglądał jak biały Aborygen.

– Kto?

– Był niewidzialny. Ja go widziałem, ale... Jego tam nie było. Jest jak duch. A kiedy Kundel go zobaczył, skamieniał. Nie próbował uciekać ani się opierać, gdy go zabierali. A później miałem wrażenie, jakby wszystko mi się przyśniło.

– Dlaczego wcześniej o tym nie powiedziałeś?

– Bo jestem tchórzem. Masz papierosa?

Harry podał mu paczkę. Cato ciężko usiadł na krześle.

– Ścigasz ducha. A ja nie chciałem być w to zamieszany.

– A teraz?

Cato wzruszył ramionami i wyciągnął rękę.

Harry wręczył mu zapalniczkę.

– Jestem starym, umierającym człowiekiem, nie mam nic do stracenia.

– Jesteś umierający?

Cato zapalił papierosa.

– No, nie tak od razu, ale wszyscy jesteśmy śmiertelnikami, Harry. Chcę ci tylko pomóc.

– W czym?

– Nie wiem. Jakie masz plany?

– Chcesz mi powiedzieć, że mogę ci ufać?

– O nie, do diabła, ufać mi nie możesz. Ale ja jestem szamanem. Ja też potrafię stać się niewidzialny. Mogę się pojawiać i znikać tak, że nikt tego nie zauważy.

Harry potarł brodę.

– Dlaczego?

– Już ci mówiłem.

– Słyszałem, ale pytam jeszcze raz.

Cato spojrzał na niego najpierw z wyrzutem, później, kiedy to nie pomogło, westchnął ciężko z irytacją:

– Może sam miałem kiedyś syna. Dla którego nie zrobiłem tego, co powinienem był zrobić. Może to nowa szansa. Czy ty nie wierzysz w nowe szanse, Harry?

Harry popatrzył na starego człowieka. Po ciemku bruzdy na jego twarzy wydawały się jeszcze głębsze. Przypominały rozpadliny, nacięcia zrobione nożem. Harry wyciągnął rękę, a Cato niechętnie wyjął z kieszeni papierosa, które mu oddał.

– Bardzo to sobie cenię, Cato. Dam ci znać, jeśli będę cię potrzebował. Ale teraz zamierzam powiązać Dubaja z zabójstwem Gusta. Dalej ślady wskażą na palacza w policji i na zabójstwo wywiadowcy, który utonął u Dubaja w domu.

Cato wolno pokręcił głową.

– Masz czyste, odważne serce, Harry. Może pójdziesz do nieba.

Harry wsunął papierosa do ust.

– No to będzie coś w rodzaju happy endu.

– Może trzeba to uczcić? Dasz się zaprosić na drinka, Harry Hole?

– A kto płaci?

– Ja, oczywiście. Pod warunkiem że ty wyłożysz. Przywitasz się ze swoim Jimem, a ja z moim Johnnym.

– Zgiń, przepadnij!

– Daj spokój. Jim w głębi duszy jest naprawdę dobry.

– Dobranoc, śpij dobrze.

– Dobranoc. I nie śpij za dobrze, na wypadek gdyby...

– Dobranoc.

To tkwiło w nim przez cały czas, ale Harry potrafił nad tym zapanować. Aż do tej chwili. Do zaproszenia Catona na drinka. Tyle wystarczyło. Nie dało się dłużej ignorować

ssania. Zaczęło się od tamtego strzału z violiny. Przez niego wszystko się rozpełtało. Znów wypuściło psy, które zaczęły warczeć i drapać, szczekać do ochrypnięcia i gryźć trzewia. Harry leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, słuchał deszczu i miał nadzieję, że przyjdzie sen i go stąd zabierze.

Nie przyszedł.

Miał w komórce jeden numer telefonu, któremu zafundował aż dwie litery. AA. Anonimowi Alkoholicy. Trygve. Członek i sponsor AA, z którego pomocy korzystał kilkakrotnie, kiedy nadchodził kryzys. Trzy lata. Dlaczego miałby zacząć znów teraz, kiedy każdy ruch był ryzykowny, a on bardziej niż kiedykolwiek powinien być trzeźwy? To szaleństwo. Z zewnątrz dobiegł krzyk. Po nim wybuch śmiechu.

Dziesięć po jedenastej wstał z łóżka i wyszedł. Ledwie zauważył deszcz dudniący mu o czaszkę, kiedy przechodził na drugą stronę ulicy, kierując się ku otwartym drzwiom. Tym razem nie słyszał za plecami żadnych kroków, bo przewody słuchowe wypełnił mu głos Kurta Cobaina. Ta muzyka była jak objęcia. Wszedł do środka, usiadł na stołku przy barze i pokazując palcem, zawołał do barmana:

– Whis-ky! Jim-Beam!

Barman przestał wycierać kontuar. Położył ścierkę przy otwieraczu do wina i zdjął butelkę z półki pod lustrem. Nalał. Postawił szklanekę na kontuarze. Harry ułożył przedramiona po obu stronach szklanki i zapatrzył się w złocistobrunatny płyn. Akurat w tej chwili nie istniało już nic więcej.

Nie było Nirvany, Olega, Rakel, Gusta ani Dubaja. Nie było twarzy Torda Schultza. Ani postaci, która wchodząc do środka, na moment przytłumiła odgłosy ulicy. Ani tego, że poruszała się za jego plecami. Ani śpiewnego tonu sprężyny, gdy wyskoczyło ostrze noża. Ani ciężkiego oddechu Siergieja Iwanowa, który stał za nim w odległości metra z nogami w rozkroku i opuszczonymi rękami.

Siergiej patrzył na plecy mężczyzny. Na obie ręce ułożone na kontuarze. Trudno o bardziej idealną sytuację. Ta chwila wreszcie nadeszła. Serce waliło. Dziko i mocno. Tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz wyjmował paczkę z heroiną z kokpitu. Wszelki lęk odpłynął. Bo teraz czuł, że żyje. Żył i miał zabić siedzącego przed nim mężczyznę. Odebrać mu życie. Sprawić, by stało się częścią jego życia. Już na samą tę myśl zaczął rosnać. Jakby już spożył serce wroga. Teraz. Ruchy. Siergiej wziął głęboki oddech, zrobił krok do przodu i

położył lewą rękę na głowie Harry'ego. Jak w geście błogosławieństwa. Jakby chciał go ochrzcić.

Siergiej Iwanow nie złapał. Po prostu nie złapał. Przeklęty deszcz zmoczył czaszkę i włosy mężczyzny, krótka szczecina zwyczajnie wyślizgnęła mu się z palców, więc nie zdołał odchylić jego głowy do tyłu. Lewa ręka Siergieja znów wyskoczyła w przód, objęła czoło mężczyzny i szarpnęła. Prawa sięgnęła do szyi. Mężczyzna zareagował całym ciałem. Siergiej pociągnął nóż w swoją stronę. Poczuł, że ostrze złapało kontakt, że prześlizgnęło się przez skórę. Jest! Ciepła krew na kciuku. Strumień nie tak mocny, jak się spodziewał, ale jeszcze trzy uderzenia serca i będzie po wszystkim. Podniósł wzrok na lustro, żeby zobaczyć tryskającą fontannę. Ujrzał odsłonięte zęby, a pod nimi ranę, z której krew spływała na koszulę. Zobaczył też spojrzenie mężczyzny. To spojrzenie – zimne, wściekłe, oczy drapieżnika – powiedziało mu, że robota jeszcze nie jest skończona.

Harry, czując dłoń na głowie, zrozumiał wszystko instynktownie. Wiedział, że to żaden pijany gość czy stary znajomy, tylko jeden z nich. Ręka ześlizgnęła się po włosach, co dało Harry'emu ułamek sekundy na spojrzenie w lustro i dostrzeżenie błysku stali. Wiedział, do czego to zmierza. Moment później ręka spoczywała już na jego czole, szarpiąc głowę do tyłu. Za późno było, by wsunąć dłoń między szyję a nóż. Harry zaparł się więc butami o drążek na dole przy kontuarze i szarpnął górną połową ciała, jednocześnie przyciskając brodę do szyi. Nie poczuł bólu, kiedy ostrze rozcięło skórę. Zabolalo go dopiero, gdy nóż dotarł do kości podbródka i naciął wrażliwą okostną.

Napotkał spojrzenie tamtego w lustrze. Napastnik przyciągnął jego głowę do własnej. Wyglądali jak dwaj przyjaciele pozujący do zdjęcia. Harry czuł, że ostrze noża wciska się między brodę a pierś, usiłując odnaleźć drogę do tętnicy szyjnej, i wiedział, że za kilka sekund to mu się uda.

Siergiej ramieniem objął czoło mężczyzny i z całej siły szarpnął. Głowa tamtego trochę się odchyliła. W lustrze widział, że ostrze wreszcie znalazło szczelinę między brodą a pierś. Stał przesunęła się po gardle i zmierzała dalej w prawo, w stronę tętnicy szyjnej. Już! Mężczyzna zdołał unieść prawą rękę i wsunąć palec między ostrze a tętnicę. Siergiej wiedział,

że wyjątkowej ostrości nóż przejdzie przez palec jak przez masło, trzeba tylko użyć większej siły. Nacisnął. Potem jeszcze mocniej.

Harry czuł nacisk ostrza, ale wiedział, że ono nie przejdzie. Miało do czynienia z najtwardszym pierwiastkiem w stosunku do ciężaru. Nic nie zdoła przeciąć tytanu, wszystko jedno *made in Hong Kong*, czy nie. Ale facet jest silny i w końcu zrozumie, że w ten sposób tego nie załatwi.

Harry wolną ręką na ślepo obmacywał kontuar. Przewrócił drinka, coś znalazł.

To był otwieracz do wina w kształcie litery T, z rodzaju tych najprostszych, z małą liczbą skrętów. Ujął trzonek w taki sposób, by czubek wystawał między palcem wskazującym a środkowym. Poczł panikę, kiedy usłyszał, że nóż ześlizguje się w górę po protezie. Przewrócił oczami, żeby móc spojrzeć w lustro, zobaczyć, gdzie ma celować. Uniósł rękę w bok i zadał cios do tyłu, poza własną głowę.

Poczł, że ciało tamtego sztywnieje, kiedy czubek korkociągu przebił skórę na szyi. Ale to była płytka niegroźna rana, która go nie powstrzymała. Zaczł cofać nóż w lewo. Harry się skupił. Ten korkociąg wymagał mocnej wyćwiczonej ręki, ale w zamian potrzebował jedynie paru obrotów, żeby wejść głęboko w korek. Harry obrócił go dwa razy. Czł, jak wchodzi w ciało. Jak się zagłębia. Jak napotyka opór. Przełtyk. Szarpnął.

Jakby wyciągnął korek z beczki pełnej czerwonego wina.

Siergiej Iwanow był w pełni przytomny i obserwował wszystko w lustrze. Kiedy pierwsze uderzenie serca kazało wytrysnąć strumieniowi krwi w prawo, jego mózg to zarejestrował, przeanalizował i wyciągnął wniosek: mężczyzna, któremu usiłował poderznąć gardło, nakłł jego tętnicę szyjną korkociągiem, wyciągnął mu ją z szyi i teraz wylewało się z niego życie. Siergiej zdążył jeszcze pomyśleć o trzech rzeczach, zanim serce uderzyło drugi raz i stracił przytomność.

Że zawiódł wuja.

Że już nigdy nie zobaczy ukochanej Syberii.

Że zostanie pochowany z kłamstwem wytatuowanym na skórze.

Po trzecim uderzeniu serca osunął się na ziemię. A kiedy Kurt Cobain krzycał *Memoria, memoria* i piosenka się kończyła, Siergiej Iwanow już nie żył.

Harry wstał ze stołka. W lustrze widział ranę biegnącą w poprzek brody. Ale to było niegroźne, gorzej z głębokimi zranieniami na szyi, z których sączyła się krew i już zabrudziła cały kołnierzyk.

Trzej pozostali goście zdążyli wcześniej uciec z lokalu. Harry spojrzał na mężczyznę leżącego na podłodze. Z dziury w szyi wciąż wypływała krew, ale już nie tryskała. To oznaczało, że serce przestało bić, więc nie musiał zawracać sobie głowy próbami przywrócenia go do życia. A nawet gdyby trochę życia w nim zostało, to i tak ten człowiek nigdy by nie zdradził, kto go przysłał. Zobaczył tatuaż wystający nad kołnierzykiem. Nie znał symboli, ale wiedział, że są rosyjskie. Może Czarne Ziarno? Zupełnie co innego niż typowo zachodni tatuaż-hasło barmana, który wciskał się w półkę z alkoholami. Oczy miał czarne od szoku, źrenice zdawały się przesłaniać całe białko. Nirvana wybrzmiała i zapadła cisza. Harry spojrzał na przewróconą szklanę z whisky.

– Przepraszam za ten bałagan – powiedział.

Sięgnął po ścierkę, wytarł kontuar w miejscu, gdzie trzymał dłonie, potem szklanę i jeszcze trzonek korkociągu. Sprawdził, czy jego krew nie skapnęła na bar albo na podłogę. Potem nachylił się nad trupem, wytarł jego zakrwawioną rękę, długą czarną jak heban rękojeść i cienkie ostrze. Broń – bo to była broń, nóż nie nadawał się do niczego innego – była cięższa niż jakikolwiek inny nóż, jaki trzymał w ręku. Ostry jak japoński nóż do sushi. Harry się zawahał. W końcu wsunął ostrze w rękojeść, usłyszał miękkie kliknięcie, kiedy się zamknęło, przesunął zabezpieczenie i wrzucił go do kieszeni marynarki.

– Mogą być dolary? – spytał i przez ścierkę wyciągnął z portfela dwudziestodolarowy banknot. – Podobno Stany Zjednoczone za nie gwarantują.

Barman wydał z siebie kilka piśnięć, jakby chciał coś powiedzieć, ale stracił umiejętność posługiwania się słowami.

Harry już miał wyjść, ale jeszcze się zatrzymał. Odwrócił się i spojrzał na butelkę na półce. Znów zwilżył wargi. Przez sekundę stał nieruchomo, w końcu przez jego ciało przebiegło drzenie. Wyszedł.

Przeszedł przez ulicę w ulewnym deszczu. Wiedzieli, gdzie mieszkał. Oczywiście mogli go śledzić, ale mógł to im też powiedzieć chłopak w recepcji. Albo palacz, który znalazł jego nazwisko przy rutynowej kontroli list gości hotelowych z zagranicy, które przesyłano do Interpolu. Postanowił przedostać się niezauważony do pokoju od tyłu, przez podwórze.

Brama okazała się zamknięta. Zaklął.

Na szczęście w recepcji było pusto.

Na schodach i na korytarzu zostawiał za sobą ślad jak wiadomość wypisaną alfabetem Morse'a, czerwonymi punkcikami na jasnoniebieskim linoleum.

W pokoju hotelowym wyjął z nocnej szafki zestaw do szycia i zabrał go do łazienki. Rozebrał się i nachylił nad umywalką, która zaraz zabarwiła się na czerwono od krwi. Zmoczył ręcznik, obmył szyję i brodę, ale rany na szyi zaraz wypełniły się świeżą krwią. W zimnym białym świetle zdołał nawlec igłę i zaczął ją wbijać w białe płyty skóry. Najpierw w dolną, później w górną krawędź rany. Szył na okrętkę, przerywał, żeby obetrzeć krew, i haftował dalej. Prawie już kończył, kiedy nitka pękła. Zaklął. Wyciągnął kawałeczki i zaczął od nowa, teraz podwójną nitką. Potem zszył ranę na brodzie. To okazało się łatwiejsze. Zmył krew z torsu i wyjął z walizki czystą koszulę. Usiadł na łóżku. Kręciło mu się w głowie. Ale musiał się spieszyć. Wiedział, że są niedaleko, więc musi działać, zanim się dowiedzą, że przeżył. Wybrał numer Simonsena i po czwartym dzwonku usłyszał wreszcie zaspane:

– Słucham, Hans Christian.

– Tu Harry. Wiesz, gdzie jest pochowany Gusto?

– Na Cmentarzu Zachodnim.

– Masz przygotowany sprzęt?

– Tak.

– Zrobimy to dziś w nocy. Czekać na mnie na ścieżce od wschodniej strony za godzinę.

– Teraz?

– Tak. I przynieś plaster.

– Plaster?

– Miałem do czynienia z niewprawnym golarzem. Równy za godzinę, okej?

Krótką pauza. Westchnienie. I wreszcie:

– Okej.

Zanim Harry się rozłączył, wydało mu się, że usłyszał w tle jeszcze czyjś inny zaspany głos. Ale kiedy już się ubrał, zdołał przekonać sam siebie, że się pomylił.

Harry stał pod samotną latarnią. Czekał już od dwudziestu minut, kiedy na ścieżce pojawił się wreszcie Hans Christian w czarnym dresie.

– Zaparkowałem na Monolittveien – oznajmił zdyszany. – Czy Iniany garnitur to normalny strój do bezczeszczenia grobów?

Harry podniósł głowę, a Hans Christian szeroko otworzył oczy.

– O rany, jak ty wyglądasz? Ten... golarz...

– Nie polecam – odparł Harry. – Wyjdźmy z tego światła.

Kiedy znaleźli się w ciemności, Harry się zatrzymał.

– Plaster?

– Proszę.

Hans Christian patrzył na pogrążone w ciemności wille na wzgórzu za nimi, a Harry ostrożnie zaklejał plastrem szycie na szyi i na brodzie.

– Spokojnie, nikt nas nie zobaczy – powiedział Harry, wziął jedną łopatę i ruszył przed siebie. Hans Christian pospieszył za nim, wyjął z kieszeni latarkę i zapalił.

– Teraz mogą nas zobaczyć – zauważył Harry.

Hans Christian zgasił latarkę.

Szli przez cmentarz wojenny, minęli groby brytyjskich marynarzy poległych na wojnie i dalej podążali w głąb alejkami. Harry doszedł do wniosku, że to nieprawda, iż śmierć wyrównuje wszelkie różnice. Na tym cmentarzu w pobliżu zachodnich dzielnic nagrobki były większe i bardziej okazałe niż na wschodzie. Żwir chrzęścił przy każdym kroku, a że szli coraz szybciej, w końcu brzmiało to jak jednostajny szum.

Zatrzymali się przy cygańskim grobie.

– Druga alejka na lewo – szepnął Hans Christian, próbując trzymać wydrukowaną w domu mapkę tak, by choć trochę padało na nią słabe światło księżyca. Harry zapatrzył się w ciemność w tym samym kierunku, z którego przyszli.

– Coś nie tak? – szepnął Hans Christian.

– Wydawało mi się, że słyszę kroki. Zatrzymały się, kiedy i my stanęliśmy. – Harry uniósł głowę, jakby węszył w powietrzu. – Echo – stwierdził w końcu. – Chodź!

Dwie minuty później stanęli przed skromnym czarnym kamieniem. Harry prawie

dotknął go latarką i dopiero wtedy ją zapalił. Wryte w kamieniu, pomalowane na złoto litery układały się w napis:

GUSTO HANSEN

14.03.1991 – 12.07.2011

Spoczywaj w pokoju

– Bingo – szepnął cierpko Harry.

– Jak to zro... – zaczął Hans Christian, ale przerwał mu przypominający westchnienie odgłos, gdy Harry wbił czubek szpadla w miękką ziemię. Adwokat złapał za swoją łopatę i wziął się do roboty.

Było wpół do czwartej. Księżyc skrył się za chmurami, kiedy szpadel Harry'ego trafił wreszcie na coś twardego.

Piętnaście minut później biała trumna była odsłonięta.

Obaj wzięli po śrubokręcie, ukłękli na trumnie i zaczęli odkręcać sześć śrub, którymi przymocowano pokrywę.

– Nie otworzymy wieka, jeśli obaj będziemy na nim siedzieć – stwierdził Harry. – Jeden z nas musi wyjść na górę, żeby ten drugi mógł działać. Są ochotnicy?

Hans Christian był już prawie na górze.

Harry wcisnął jedną nogę obok trumny, drugą zaparł się o ścianę dołu i wsunął palce pod wieko. Uniósł je i starym zwyczajem zaczął oddychać przez usta. Jeszcze zanim zajrzał do środka, poczuł ciepło buchające z trumny. Wiedział, że w procesach gnilnych wytwarza się energia cieplna, ale włosy na karku mu się podniosły, gdy usłyszał szmer larw pochłaniających ciało. Kolanem przysunął wieko do ściany dołu.

– Poświeć tutaj!

Wokół ust i nosa trupa aż się roiło. Oczu nie było, powieki się zapadły, bo gałki oczne jako pierwsze padały łupem robaków. Zapach zdawał się unosić nie w postaci gazu, miał raczej postać płynną albo wręcz stałą.

Harry odciął się od wszystkich dźwięków, nie zwracał uwagi na odgłosy wymiotującego Hansa Christiana i włączył aparat analizujący: barwa twarzy zniekształcona, ciemna, nie da się stwierdzić, czy to Gusto Hanssen, ale kolor włosów i kształt głowy za tym przemawiały.

Co innego jednak przykuło uwagę Harry'ego, a w końcu sprawiło, że dech zaparło mu

w piersi.

Gusto krwawił.

Na białej koszuli, w którą ubrany był trup, wyrastały czerwone róże. Róże świeżej krwi, które się powiększały.

Minęły dwie sekundy, zanim Harry zrozumiał, że to jego własna krew. Złapał się za szyję. Poczuł lepkość pod palcami. Nitka puściła.

– Dawaj T-shirt! – rzucił Harry.

– Słucham?

– Muszę założyć sobie opatrunek.

Usłyszał krótki śpiew zamka błyskawicznego i chwilę później w powietrzu pozeglowała koszulka. Złapał ją, zobaczył logo. Studencka pomoc prawna. Boże! Dupek idealista. Owinął sobie szyję koszulką, nie wiedząc, czy to ma w ogóle jakiś sens. Ale innego wyjścia nie widział. Nachylił się nad Gustem, obiema rękami chwycił koszulę i ją rozdarł. Ciało było ciemne, lekko napuchnięte, w otworach po kulach też widać było larwy.

Harry stwierdził, że umiejscowienie ran zgadza się z policyjnym raportem.

– Daj mi nożyczki!

– Nożyczki?

– Nożyczki do paznokci.

– O cholera! – jęknął Hans Christian. – Zapomniałem. Może mam coś w samochodzie.

Przynieść?

– Nie trzeba. – Harry wyjął z kieszeni marynarki nóż. Poluzował zabezpieczenie i uruchomił przycisk zwalniający ostrze. Wskoczyło z brutalną siłą, aż rękojeść zadrżała. Wyczuł idealną równowagę broni.

– Słyszę coś – odezwał się Hans Christian.

– To utwór Slipknota. *Pulse of the Maggots* – odparł Harry i zaczął cicho nucić.

– Nie, do diabła, ktoś idzie!

– Ustaw latarkę tak, żebym miał światło, i spadaj! – nakazał Harry i uniósł rękę Gusta, przyglądając się paznokciom lewej dłoni.

– A ty?

– Spadaj! Już!

Usłyszał oddalające się biegiem kroki Hansa Christiana. Paznokieć środkowego palca Gusta był nieco krótszy. Obejrzał palec wskazujący i serdeczny.

– Jestem z zakładu pogrzebowego. Były pewne niedoróbki – powiedział spokojnie. – Odwrócił się i ujrzał twarz młodziutkiego umundurowanego strażnika, który patrzył na niego

znad krawędzi grobu. – Rodzina nie była zadowolona z manikiuru.

– Wychodź! – polecił strażnik z lekkim drzeniem w głosie.

– Dlaczego?

Harry wyjął z kieszeni niedużą plastikową torebkę i podłożył ją pod palec serdeczny trupa, tnąc z uwagą. Ostrze przeszło przez paznokieć jak przez masło. Doprawdy niezwykle narzędzie.

– Niestety, regulamin dotyczący twojego stanowiska zabrania ci interwencji bezpośredniej. – Czubkiem noża zeszkobał suche resztki krwi z wewnętrznej strony odciętego paznokcia. – Jeśli mnie zaatakujesz, wyleją cię i nie dostaniesz się do szkoły policyjnej. Nie będziesz mógł nosić pistoletu ani do nikogo strzelać w samoobronie. – Teraz zajął się palcem wskazującym. – Rób więc to, co przewiduje instrukcja. Zadzwoń po kogoś dorosłego z policji. Jeśli będziesz miał szczęście, przyjadą za pół godziny. Ale realnie rzecz ujmując, pewnie będziemy musieli czekać aż do porannych godzin urzędowania. Już!

Harry zamknął torebki, schował je do kieszeni, przykrył trumnę wiekiem i wylał z grobu. Otrzeptał garnitur z ziemi i nachylił się po szpadel i latarkę.

Zobaczył reflektory samochodu skręcające pod kaplicę.

– Powiedzieli, że przyjadą od razu – odezwał się wreszcie młody strażnik, cofając się na bezpieczną odległość. – Wyjaśniłem im, że to grób tego zastrzelonego.

Harry zgasił latarkę i otoczyła ich kompletna ciemność.

– To mnie powinienes kibicować.

Rzucił się do ucieczki.

Biegł na wschód, oddalając się od kaplicy, w tę samą stronę, z której przyszli.

Kierował się ku jasnemu punktowi będącemu, jak przypuszczał, latarnią w parku Frogner. Jeśli tylko zdoła się przedostać do parku, to przy swojej obecnej formie ucieknie chyba wszystkim. Miał tylko nadzieję, że nie przywieźli psów. Nienawidził psów. Uznał, że lepiej trzymać się alejek, żeby się nie potknąć o nagrobki i o kwiaty. Ale chrzęst żwiru utrudniał zorientowanie się w ruchach prześladowców. Przy cmentarzu wojennym Harry skręcił na trawę. Nie słyszał nikogo za sobą. Zaraz jednak zauważył drgający snop światła świecący na korony drzew. Ktoś biegł za nim z latarką.

Harry przedostał się na ścieżkę i ruszył w stronę parku. Próbował odciąć się od bólu w szyi, biec w rozluźnieniu, skutecznie, koncentrując się na technice i oddychaniu. Mówił sobie, że się oddala. Pędził w stronę wielkiej rzeźby, Monolitu. Wiedział, że zobaczą go w świetle latarni na ścieżce prowadzącej na szczyt wzgórza i będą pewni, że ucieka ku głównej, wschodniej bramie parku.

Wreszcie znalazł się po drugiej stronie wzgórza poza zasięgiem wzroku tamtych i dopiero wtedy skręcił na południowy zachód w stronę Madserud allé. Do tej pory adrenalina nie dopuszczała do niego sygnałów zmęczenia, ale teraz zaczął odczuwać sztywność mięśni. Na sekundę zrobiło mu się ciemno przed oczami i wydało mu się, że traci przytomność. Odzyskał ją, ale z kolei zalała go fala mdłości, której towarzyszył gwałtowny zawrót głowy. Spojrzał w dół. Krew wolno wypływała z rękawa marynarki, ściekała między palcami jak świeży dżem truskawkowy z kanapki u dziadka. Wiedział, że nie pokona tego dystansu.

Odwrócił się. Zobaczył postać przebiegającą przez krąg światła latarni na szczycie wzgórza. Potężny mężczyzna. Ale poruszał się lekko. Był w obcisłym czarnym ubraniu, nie w mundurze. Czyżby ktoś z grupy Delta? W środku nocy? W tak krótkim czasie? Tylko dlatego, że ktoś kopie na cmentarzu?

Zrobił krok w bok, żeby nie upaść. W tym stanie nie miał szansy na ucieczkę. Musiał szukać kryjówki.

Wybrał jeden z domów na Madserud allé. Skręcił z alejki, zbiegł po porośniętym trawą zboczu. Musiał sadzić długie kroki, żeby się nie przewrócić. Dalej pędem pokonał wyasfaltowaną drogę, przeskoczył przez niski drewniany płot i między jabłoniemi dostał się na tyły domu. Tam rzucił się w mokrą trawę, ciężko dysząc. Czuł, jak żołądek się kurczy, jakby zbierając się do wymiotów. Skupił się na oddychaniu, nasłuchując.

Nic.

Ale pewnie zaraz się tu zjawia, to tylko kwestia czasu. Potrzebował też porządnego opatrunku na szyję. Podniósł się i wszedł na taras domu. Zajrzał do wewnątrz przez szybę w drzwiach. Za nimi był ciemny salon.

Kopniakiem zbił szkło i wsunął rękę do środka. Stara dobra naiwna Norwegia. Klucz tkwił w zamku. Harry wślizgnął się do środka.

Wstrzymał oddech. Sypialnie prawdopodobnie znajdowały się na piętrze.

Zapalił stojącą na stole lampę.

Pluszowe fotele. Stary skrzynkowy telewizor. Wydany przed laty leksykon. Stół zastawiony rodzinnymi zdjęciami. Robótka na drutach. Czyli starsi mieszkańcy. Starzy ludzie mają mocny sen. A może odwrotnie?

Znalazł kuchnię i zapalił światło. Przeszukał szuflady. Sztućce, obrusy. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie zwykle przechowywali takie rzeczy, kiedy był mały. Otworzył przedostatnią szufladę. I znalazł. Zwyczajna taśma klejąca, taśma do kartonów, wzmocniona taśma typu Gaffa. Zabrał tę ostatnią i po otwarciu dwojga drzwi znalazł łazienkę. Zdjął marynarkę i koszulę. Nachylił głowę nad wanną i prysznicem opłukał szyję. Patrzył na białą

emalię, która na moment pokryła się czerwonym filtrem. Wylał się T-shirtem i próbując ścisnąć brzegi rany, kilkakrotnie owinął szyję taśmą. Starał się nie robić tego za mocno, bo trochę krwi musiało przecież docierać do mózgu. Włożył koszulę. Kolejny zawrót głowy. Przysiadł na brzegu wanny.

Wyczuł jakiś ruch. Uniósł głowę.

W drzwiach ujrzał bladą twarz starszej kobiety z szeroko otwartymi wystraszonymi oczami. Na koszulę nocną narzuciła czerwony pikowany szlafrok. Dziwacznie połyskiwał i szeleścił elektrycznie, kiedy się poruszała. Prawdopodobnie uszyto go z tworzywa sztucznego, którego produkcji już dawno zakazano. Wywoływało raka, zrobione z azbestu albo czegoś podobnego.

– Jestem policjantem – powiedział Harry i chrząknął. – Byłem policjantem. Akurat teraz mam trochę kłopotów.

Kobieta się nie odezwała, stała tylko nieruchomo.

– Oczywiście zapłacę za tę zbitą szybę. – Podniósł marynarkę z podłogi i wyjął portfel. Położył kilka banknotów na umywalce. – Dolary hongkońskie. Są lepsze, niż może się wydawać. – Próbował się uśmiechnąć i wtedy zobaczył dwie łzy spływające po pomarszczonych policzkach.

– Ależ droga pani. – Harry poczuł, że ogarnia go panika, że się gubi, że traci kontrolę. – Proszę się nie bać. Naprawdę nie zrobię pani krzywdy. Już wychodzę, dobrze?

Wcisnął się w marynarkę i ruszył w stronę kobiety. Cofała się drobnymi szurającymi kroczkami, nie odrywając stóp od podłogi i nie spuszczać z niego oczu. Harry z rękami podniesionymi do góry szybko podszedł do drzwi na taras.

– Dziękuję – powiedział. – I przepraszam.

Pchnął drzwi i wyszedł na taras.

Siła tego, co uderzyło w ścianę, świadczyła o tym, że była to broń dużego kalibru. Dopiero potem rozległ się odgłos strzału, eksplozja prochu, która to potwierdziła. Harry padł na kolana, kiedy następny strzał roztrzaskał oparcie ogrodowego fotela, stojącego tuż obok.

Bardzo duży kaliber.

Na czworakach cofnął się do salonu.

– Padnij! – krzyknął, kiedy eksplodowało okno w salonie. Odłamki szkła zadzwoniły, uderzając o parkiet, telewizor i stół z rodzinnymi zdjęciami.

Zgięty w pół wybiegł z salonu przez korytarz do drzwi wychodzących na ulicę. Otworzył. Ujrzał płomień z lufy wydobywający się z uchylonych drzwi czarnej limuzyny, która stała pod latarnią. Poczuł na twarzy piekący ból, powietrze przeszył przenikliwy

metaliczny dźwięk. Harry odruchowo się odwrócił i zobaczył, że z domofonu zostały strzępy. Ze ściany sterczały duże białe drzazgi.

Znów się cofnął. Położył się na podłodze.

To kaliber większy niż ten, którego używa policja. Pomyślał o tamtej potężnej postaci biegnącej po wzgórzu. To też nie był policjant.

– Ma pan coś w policzku...

To odezwała się kobieta. Musiała przekrzywić uparte brzęczenie domofonu, który się zaciął. Stała za Harrym w głębi korytarza. Dotknął policzka palcami. Drzazga. Wyciągnął ją. Zdążył pomyśleć, że na szczęście wbiła się po tej samej stronie co blizna, więc nie obniży dramatycznie jego wartości rynkowej. Znów huknęło. Tym razem poszło okno w kuchni. Kończyły mu się już dolary z Hongkongu.

Poprzez uparte brzęczenie domofonu przedarli się z oddali syreny. Harry podniósł głowę. Przez korytarz i salon widział, że zapalają się światła w okolicznych domach. Ulica od frontu była oświetlona jak choinka. Będzie jak uciekający dzik w powodzi światła, bez względu na to, którą drogę wybierze. Inną opcją było dać się zastrzelić albo aresztować. A nawet to nie. Przecież ci od Dubaja też słyszeli syreny i wiedzieli, że czas im ucieka. A ponieważ nie odpowiedział na ogień, musieli dojść do wniosku, że nie jest uzbrojony. Pójdą za nim. Musi się stąd wydostać. Wyjął telefon. Cholera, dlaczego nie zapisał jego numeru pod D. Przecież na liście kontaktów było jeszcze dość miejsca.

– Jaki jest numer do informacji telefonicznej? – krzyknął ponad dźwiękiem domofonu.

– Numer do... informacji?

– Tak.

– Aha. – Staruszka wsunęła palec do ust, poprawiła czerwony azbestowy szlafrok i usiadła na drewnianym krzeselku. – Może być osiemnaście osiemdziesiąt. Ale uważam, że w osiemnaście osiemdziesiąt jeden pracują o wiele sympatyczniejsi ludzie. Nie spieszą się tak i nie są zestresowani. Chętnie chwilę pogawędzą, kiedy się ma...

– Informacja osiemnaście osiemdziesiąt – rozległ się nosowy głos w uchu Harry'ego.

– Asbjørn Treschow – powiedział Harry. – Przez „ch”.

– Mamy Asbjørna Bertholda Treschowa na Oppsal w Oslo i Asbjørn...

– To on. Może mnie pan przełączyć na komórkę?

Po trzech sekundach długich jak cała wieczność Harry usłyszał znajomy burkliwy głos:

– Niczego nie potrzebuję.

– Drewniak?

Długa pauza bez odpowiedzi. Harry wyobraził sobie zdumioną minę tłustego kolegi ze szkoły.

– Harry? *Long time.*

– Góra sześć albo siedem lat. Jesteś w pracy?

– Taaak. – Przeciągłe „a” wskazywało na podejrzliwość. Do Drewniaka nikt nie dzwoni bez powodu.

– Chcę prosić o szybką przysługę.

– Na pewno. A co z tą stową, którą pożyczyłeś? Mówiłeś...

– Chciałbym, żebyś odciął prąd w okolicy parku Frogner na Madserud allé.

– Co?

– Prowadzimy akcję policyjną. Mamy faceta, który kompletnie oszalał i strzela na oślep. Musimy mu odciąć wszelkie światło. Ciągłe siedzisz na stacji obsługi na Montebello?

I znów pauza.

– Owszem, ale czy ty ciągle jesteś gliniarzem?

– Jasne. Posłuchaj, trochę nam się spieszy.

– Gównu mnie to obchodzi. Nie mam uprawnień, żeby zrobić coś takiego. Musisz rozmawiać z Henmo, a on...

– On śpi, a my nie mamy czasu! – krzyknął Harry. W tej samej chwili kolejny strzał rozwalił kuchenną szafkę. Jęknął serwis, rozbijając się na podłodze.

– Co to, u czarta, było? – spytał Drewniak.

– A jak ci się wydaje? Masz wybór między odpowiedzialnością za czterdziestosekundową przerwę w dostawie prądu a stosem trupów.

Na drugim końcu na kilka sekund zapadła cisza. Wreszcie padły powolne słowa:

– Pomyśl tylko, Harry. Siedzę tutaj i decyduję. Nie wierzyłeś, że tak może być, prawda?

Harry zaczerpnął oddechu. Zobaczył jakiś cień przesuwany się po tarasie.

– To prawda, Drewniak. Nie wierzyłem. Mógłbyś...

– Ani ty, ani Øystein nie wierzyliście, że coś ze mnie będzie, no nie?

– Rzeczywiście, ale się pomyliliśmy.

– Jeżeli powiesz: bardzo cię pro...

– Wyłącz ten pierdolony prąd! – wrzasnął Harry i zobaczył, że połączenie się przerwało. Poderwał się na nogi, złapał staruszkę pod ramię i prawie zaciągnął ją do łazienki.

– Proszę tu zostać – szepnął, zatrzasnął drzwi i pobiegł do otwartych drzwi wejściowych. Biegł do światła, szykując się na grad kul.

I nagle zapadła ciemność.

Zrobiło się tak czarno, że kiedy Harry wylądował na kamiennej płycie przed progiem i przetoczył się do przodu, przeleciało mu przez głowę, że już nie żyje. Dopiero po chwili dotarło do niego, że Asbjørn Treschow zwany Drewniakiem wyłączył prąd, wcisnął jakiś klawisz, przesunął wajchę czy co tam robią w centrali elektrowni. I że ma czterdzieści sekund.

Na oślep ruszył biegiem przed siebie. Wpadł na płot, podniósł się, poczuł asfalt pod stopami i popędził dalej. Słyszał krzyki i zbliżające się syreny. Ale też warkot mocnego silnika, który ktoś właśnie włączył. Trzymał się prawej strony, widział na tyle, że rozpoznawał ulicę. Znajdował się po południowej stronie parku Frogner. Miał jeszcze pewne szanse. Mijał pogrążone w ciemności wille, kępy drzew. Okolicę wciąż spowijała ciemność. Samochód się zbliżał. Na parkingu Harry skręcił w lewo. Przewrócił się w jakiejś dziurze w ziemi czy kałuży, ale wstał i pobiegł dalej. Trochę światła w ciemności odbijały jedynie namalowane wapnem białe linie na kortach tenisowych za siatką. Dostrzegł zarys budynku Klubu Tenisowego Oslo. Przemknął pod mur w okolicy drzwi do szatni i przeskoczył go w chwili, gdy ścianę omiotły reflektory samochodu. Wylądował i przetoczył się po betonie. To było miękkie lądowanie, a mimo to zakręciło mu się w głowie.

Leżał cicho jak mysz i czekał.

Nic nie słyszał.

Wpatrywał się w ciemność.

I nagle, bez ostrzeżenia, oślepiło go światło.

Zewnętrzna lampa pod balkonem, tuż nad nim. Włączyli prąd.

Leżał przez dwie minuty i słuchał syren samochodów przejeżdżających w jedną i w drugą stronę za budynkiem klubowym. Ekipa poszukująca. Okolica z pewnością została otoczona. Niedługo pojawią się psy.

Ponieważ nie mógł stąd odejść, musiał wejść do środka.

Wstał, wyjrzał ponad krawędzią muru, a potem spojrzął na skrzynkę z czerwonym światełkiem i klawiszami przy drzwiach.

Rok urodzin króla.

Czort jeden wie!

Przypomniał sobie zdjęcie z plotkarskiego tygodnika i spróbował 1941. Rozległ się pisk, więc szarpnął za klamkę. Zamknięte. Chwileczkę, czy król nie był noworodkiem, kiedy rodzina wybrała się na wycieczkę do Londynu w roku 1940?

1939. Może jednak był trochę starszy? Harry miał pewne obawy, że system działa do

trzech prób i koniec. 1938. Szarpnął za klamkę. Cholera! 1937? Zielone światełko. Drzwi puściły.

Harry wsunął się do środka, poczuł, że drzwi się za nim zamykają. Dźwięki zniknęły. Już bezpiecznie.

Zapalił światło.

Szatnia. Wąskie drewniane ławki. Żelazne szafki. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest wykończony. Mógł tu zostać, dopóki nie zrobi się widno. Dopóki nie odgwizdzą końca polowania. Obejrzał szatnię. Na środku umywalka z lustrem. Cztery prysznice. Toaleta. Otworzył ciężkie drewniane drzwi na drugim końcu pomieszczenia.

Sauna. Wszedł i tam się zamknął. Pachniało drewnem. Położył się na szerokiej drewnianej ławie przy zimnym piecu. Przymknął oczy.

Było ich troje. Biegli przez korytarz, ściskając się za ręce, a Harry zawołał, że muszą się mocno trzymać, kiedy dosięgnie ich lawina, żeby się nie rozdzielili. Usłyszał zwały nadciągającego śniegu. Najpierw w postaci grzmotu, który przeszedł w ryk, potem pojawiła się biała ciemność. Czarny chaos. Zaciskał dłonie z całej mocy, a mimo to czuł, że ich ręce się wyslizgują.

Obudził się z gwałtownym drgnięciem. Popatrzył na zegarek i stwierdził, że spał trzy godziny. Wypuścił powietrze z przeciągłym świstem, jakby wcześniej wstrzymywał oddech. Ciało miał obolałe, kark palił jak diabli. Ból rozsadzał głowę. A poza tym się pocił. Do tego stopnia, że na marynarce pojawiły się ciemne plamy. Nie musiał się odwracać, żeby domyślić się przyczyny. Piec. Ktoś włączył piec w saunie.

Wstał i chwiejąc się na nogach, wyszedł do szatni. Na ławkach leżały ubrania, z zewnątrz dobiegały odgłosy piłki odbijanej rakieta. Przełącznik przy drzwiach do sauny był rzeczywiście przekreślony. Najwyraźniej chcieli iść do sauny po grze.

Podszedł do umywalki. Przejrzał się w lustrze. Czerwone oczy, czerwona opuchnięta twarz. Żałosna obroża ze srebrnej taśmy Gaffa, której brzeg wbijał się w miękką skórę na szyi. Spryskał twarz wodą i wyszedł na poranne słońce.

Trzej mężczyźni z emerycką opalenizną, na cienkich emeryckich nogach, przerwali grę i popatrzyli na niego. Jeden poprawił okulary.

– Brakuje nam czwartego do debła, młody człowieku. Miałby pan ochotę...

Harry, śmiało na nich patrząc, skoncentrował się na tym, żeby mówić spokojnie.

– Przykro mi, panowie. Łokieć tenisisty.

Czuł ich spojrzenia na plecach, kiedy odchodził w stronę Skøyen. Powinien tędy jeździć jakiś autobus.

Truls Berntsen zastukał do drzwi szefa wydziału.

– Proszę!

Bellman stał z telefonem przy uchu. Wyglądał na spokojnego, ale Truls za dobrze znał Mikaela. Ręka, która wciąż poprawiała zadbaną fryzurę, nieco przyspieszony sposób mówienia, zmarszczka skupienia na czole.

Bellman odłożył słuchawkę.

– Od rana nie dają żyć? – spytał Truls, podając Mikaelowi parującą kawę. Szef zdziwiony spojrział na filizankę, ale ją przyjął.

– Komendant okręgowy. – Bellman ruchem głowy wskazał telefon. – Gazety napadają na niego z powodu tej staruszki na Madserud allé. Dom prawie wysadzono w powietrze. A on chce wyjaśnienia, co się stało.

– I co mu powiedziałaś?

– Że Centrala Operacyjna wysłała radiowóz po tym, jak strażnik z Cmentarza Zachodniego zgłosił, że ktoś grzebie w grobie Gusta Hanssena. A ci, którzy bezcześcili grób, uciekli, kiedy radiowóz przyjechał, za to zaczęła się jatka na Madserud allé. Ktoś strzelał do kogoś, kto się wdarł do tego domu. Kobieta jest w szoku. Twierdzi, że przyszedł do niej uprzejmy młody człowiek, który miał dwa i pół metra wzrostu i szramę na twarzy.

– Uważasz, że ta strzelanina miała związek z bezczeszczeniem grobu?

Bellman kiwnął głową.

– Na podłodze w salonie znaleziono grudki gliny, które z całą pewnością pochodzą z grobu. Komendant chce wiedzieć, czy ta strzelanina ma związek z narkotykami. Zasugerował, że to kolejna wojna gangów, i spytał, czy mam nad tym kontrolę. – Bellman podszedł do okna, gładząc palcem wąski grzbiet nosa.

– To dlatego mnie wezwwałś? – Truls ostrożnie wypił łyk kawy.

– Nie – odparł Bellman, stojąc do niego tyłem. – Zastanawiam się nad tamtym wieczorem, kiedy dostaliśmy anonimowy cynk, że cały gang Los Lobos zbierze się w McDonalddie. Ty nie brałeś udziału w tych aresztowaniach, prawda?

– Nie – zakasłał Berntsen. – Nie mogłem się stawić. Byłem chory.

– Ta sama choroba co teraz? – spytał Bellman, nie odwracając się. – Co?

– Niektórzy policjanci dziwili się, że drzwi do tego klubu motocyklowego nie były zamknięte, kiedy się tam zjawiliśmy. Zastanawiali się, w jaki sposób ten Tutu, który według Odina miał pilnować interesu, zdołał się stamtąd wydostać. Przecież nikt nie wiedział, że planujemy szturm. A może jednak?

– Z tego, co wiem – powiedział Truls – tylko my tam byliśmy.

Bellman znów wyjrzał przez okno i zakołysał się na piętach. Ręce miał złożone na plecach. Dalej się kołysał. I dalej.

Truls wytarł górną wargę. Miał nadzieję, że nie widać, jak się spocił.

– Coś jeszcze?

Wciąż to kołysanie. W górę i w dół. Jak chłopiec, który próbuje zobaczyć coś ponad

krawędzią muru, ale jest za niski.

– To wszystko, Truls. I... dziękuję za kawę.

Kiedy Truls wrócił do swojego pokoju, też podszedł do okna. I zobaczył to, co Bellman musiał widzieć od siebie. Czerwony plakat, który pojawił się na drzewie.

Była dwunasta, a na chodniku pod restauracją U Schrødera jak zwykle przestępowało z nogi na nogę kilka spragnionych dusz oczekujących, aż Nina otworzy lokal.

– Ojej – powiedziała na widok Harry'ego.

– Spokojnie, nie chcę piwa, tylko śniadanie – odparł. – I chciałbym prosić o przysługę.

– Miałam na myśle szyję. – Nina przytrzymała mu drzwi. – Cała sina. A co to... jest?

– Taśma Gaffa – odparł Harry.

Nina kiwnęła głową i poszła zrealizować zamówienie. U Schrødera obowiązywała zasada niewtrącania się w sprawy klientów.

Harry usiadł przy swoim stałym stoliku w rogu przy oknie i zadzwonił do Beate.

Sekretarka. Zaczekał na sygnał.

– Mówi Harry. Niedawno spotkałem pewną starszą panią, na której, zdaje się, zrobiłem spore wrażenie, więc chyba przez jakiś czas powinienem omijać komendę i podobne instytucje. Zostawię więc dwie torebki z krwią U Schrødera. Przyjdź osobiście i spytaj o Ninę. Poproszę cię o coś jeszcze. Bellman miał rozpocząć zbierkę adresów na Blindern. Chciałbym, żebyś możliwie najdyskretniej skopiowała listy przygotowane przez poszczególne patrole, zanim zostaną przesłane do Pezetu.

Rozłączył się. Zadzwonił do Rakel. Tutaj też sekretarka.

– Cześć, tu Harry. Potrzebuję czystych ubrań, które by na mnie pasowały. A u ciebie zostało coś z... z tamtych czasów. Zdecydowałem się na pewien awans i przenoszę się do hotelu Plaza, więc gdybyś mogła mi coś tam podesłać taksówką po powrocie do domu, byłoby... – Zorientował się, że odruchowo szuka słowa, które przywołałoby na jej twarzy uśmiech. Takie jak „superturboświeć”. Nie udało mu się jednak i dokończył zwyczajnym: – ...dobrze.

Nina przyniosła mu kawę i jajka sadzone, a Harry zadzwonił jeszcze w tym czasie do Hansa Christiana. Kelnerka skarciła go spojrzeniem. U Schrødera obowiązywała również niepisana zasada niekorzystania z laptopów, konsoli do gier i komórek. W tym lokalu się piło, najchętniej piwo, jadło, rozmawiało albo milczało. Ewentualnie przeglądało gazetę. Czytanie książek zaliczało się już prawdopodobnie do szarej strefy.

Harry zasygnalizował, że to potrwa tylko kilka sekund, i Nina łaskawie kiwnęła głową. W głosie Hansa Christiana słychać było i ulgę, i przerażenie.

– Harry? O rany! Wszystko w porządku?

– Na skali od jednego do dziesięciu...

– Tak?

– Słyszałeś o strzelaninie na Madserud allé?

– O matko! To byłeś ty?

– Masz broń, Hans Christian?

Harry’emu wydawało się, że słyszy, jak grdyka tamtego pracuje.

– A potrzebuję?

– Nie ty. Ja.

– Harry?

– Tylko w samoobronie, na wszelki wypadek.

Pauza.

– Mam stary sztucer po ojcu. Do polowania na łosie.

– Świetnie. Możesz go w coś zawinąć i dowieźć do Schrødera w ciągu trzech kwadransów?

– Postaram się. A ty co robisz?

– Ja? – zaczął Harry, ale napotkał ostrzegawcze spojrzenie Niny przy barze. – Ja będę jadł śniadanie.

Idąc w stronę Cmentarza Staromiejskiego, Truls Berntsen zobaczył czarną limuzynę zaparkowaną przed bramą, którą zwykle wchodził. Kiedy się zbliżył, drzwi od strony pasażera się otworzyły i wysiadł mężczyzna ubrany w czarny garnitur. Musiał mieć ponad dwa metry wzrostu. Kwadratowa szczęka, przyлизane włosy i jakiś trudny do zdefiniowania azjatycki rys, który Trulsowi zawsze kojarzył się z Lapończykami, Finami i Rosjanami. Marynarka musiała być szyta na zamówienie, a mimo to w ramionach wydawała się trochę wąska.

Mężczyzna odsunął się na bok i ruchem ręki wskazał, że Truls ma zająć jego miejsce w samochodzie.

Truls zwolnił. Jeżeli to ludzie Dubaja, to nastąpiło nieoczekiwane złamanie zasady dotyczącej bezpośredniego kontaktu. Rozejrzał się. Nikogo innego nie było widać.

Trochę się zawahał.

Gdyby postanowili pozbyć się palacza, byłby to dobry sposób.

Spojrzał na potężnie zbudowanego mężczyznę. Z jego twarzy nic nie dało się wyczytać, a Truls nie potrafił nawet stwierdzić, czy to dobry, czy zły znak, że mężczyzna nie zawracał sobie głowy choćby włożeniem ciemnych okularów.

Oczywiście mógł się odwrócić i uciec. Ale co dalej?

– Audi Q5 – mruknął cicho do siebie i wszedł do samochodu.

Drzwi natychmiast się za nim zatrzasnęły. Wewnątrz było dziwnie ciemno. Najwyraźniej przydymione szyby, a klimatyzacja wyjątkowo skuteczna, bo miał takie odczucie, jakby panował tu mróz. Za kierownicą siedział facet o twarzy rosomaka, również w czarnym garniturze, z przylizanymi włosami. Na pewno Rosjanin.

– Dobrze, że mogłeś przyjść – rozległ się głos za plecami Trulsa. Nie musiał się odwracać. Akcent. To był on. Dubaj. Człowiek, o którym nikt nic nie wiedział. Nikt inny nic o nim nie wiedział. Ale w czym Trulsowi mogło pomóc to, że znał jego nazwisko i był w stanie rozpoznać twarz? No a poza tym nie kąsa się ręki, która cię karmi.

– Chcę, żebyś znalazł dla nas pewną osobę.

– Znalazł?

– Sprowadził. Oddał ją nam. O resztę nie musisz się martwić.

– Przecież mówiłem, że nie wiem, gdzie jest Oleg Fauke.

– Nie chodzi nam o Olega, Berntsen. Tylko o Harry'ego Hole.

Truls nie wierzył własnym uszom.

– O Harry'ego Hole?

– Nie wiesz, kto to jest?

– Jasne, cholera, że wiem. Kiedyś pracował w Wydziale Zabójstw. Niebezpieczny szaleniec. Pijak. Rozwiązał kilka spraw. Jest w mieście?

– Mieszka w Leonie. Pokój trzysta jeden. Przyprowadź go dokładnie o północy.

– A jak go mam „przyprowadzić”?

– Aresztuj, obezwładnij. Powiedz, że chcesz mu pokazać swoją łódkę. Rób, co chcesz. Tylko ściągnij go do mariny Kongen. Resztą my się zajmiemy. Pięćdziesiąt tysięcy.

Reszta. On mówił o zabiciu Holego. O zabójstwie. O zabójstwie policjanta. Truls już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale głos z tyłu go uprzedził:

– Euro.

Usta Trulsa Berntsena pozostały otwarte, a „nie” zatrzymało się gdzieś między mózgiem a strunami głosowymi. Zamiast tego powtórzył słowa, które wydawało mu się, że słyszał, ale nie mógł w nie uwierzyć.

– Pięćdziesiąt tysięcy euro?

– A co?

Truls spojrział na zegarek. Miał nieco ponad jedenaście godzin. Chrząknął.

– Skąd wiecie, że on będzie w swoim pokoju około północy?

– Bo wie, że przyjdziemy.

– Co? – zdumiał się Truls. – Chyba nie wie, że przyjdziemy?

Człowiek z tyłu się roześmiał. Śmiech zabrzmiał jak silnik starego drewnianego kutra.

Była czwarta, a Harry stał pod prysznicem na dziewiętnastym piętrze hotelu Radisson Plaza. Miał nadzieję, że taśma Gaffa wytrzyma gorącą wodę, która przynajmniej na chwilę zagłuszała ból. Dostał pokój numer 1937. Kiedy wręczano mu klucz, w głowie mu zawiroowało. Rok urodzenia króla, Koestler, synchroniczność i podobne historie. Harry w to nie wierzył. Wierzył natomiast w zdolność ludzkiego mózgu do odnajdywania wzorów. Również tam, gdzie żadnych prawdziwych wzorów nie ma. Dlatego jako śledczy zawsze wątpił. Wątpił i szukał. Szukał i wątpił. Widział wzory, ale wątpił w winę. Albo odwrotnie.

Dotarł do niego dzwonek telefonu. Dobrze słyszalny, ale dyskretny i przyjemny. Dźwięk drogiego hotelu. Zakręcił prysznic i podszedł do łóżka. Podniósł słuchawkę.

– Jest tu pewna pani – oznajmiła recepcjonistka. – Rakel Fauske. O, przepraszam, Fauke. Ma coś dla pana, chętnie wjechałaby z tym na górę.

– Wobec tego proszę dać jej klucz do windy i przysłać do pokoju – odparł Harry. Obejrzał wiszący w szafie garnitur, który niestety wyglądał, jakby przeżył dwie wojny światowe. Uchylił więc drzwi, a potem obwiązał się w pasie ciężkim ręcznikiem kąpielowym o powierzchni dwóch metrów kwadratowych. Usiadł na łóżku i słuchał. Usłyszał dzwonek windy, a potem jej kroki. Wciąż je rozpoznawał. Dosyć twarde, krótkie kroki, stawiane szybko, jakby zawsze chodziła w obcisłej spódnicy. Na moment przymknął oczy, a kiedy je otworzył, Rakel już stała przed nim.

– Cześć, nagusie – uśmiechnęła się, rzuciła torby na podłogę, a sama usiadła przy nim na łóżku. – Co to jest? – Dotknęła palcami taśmy Gaffa.

– Taki zaimprovizowany plaster – odparł. – Nie musiałaś sama przychodzić.

– Tyle zrozumiałam. Nie znalazłam żadnych twoich rzeczy. Zniknęły przy przeprowadzce do Amsterdamu.

Wyrzucone, pomyślał Harry. No i dobrze.

– Ale rozmawiałam z Hansem Christianem. On ma całą szafę ubrań, których nie носи. Nie do końca w twoim stylu, ale rozmiarami tak bardzo się nie różnicie.

Otworzyła torby, a Harry z przerażeniem patrzył, jak wyjmuje koszule Lacoste, cztery pary wyprasowanych slipów, dwie pary dżinsów w kant od Armaniego, pulower w serek, kurtkę Timberland, dwie koszule z graczami w polo, a nawet parę butów z miękkiej brązowej

skóry.

Zaczęła wszystko wieszac w szafie na ubrania, wstał więc i sam to zrobił. Obserwowała go z boku, uśmiechnęła się, zakładając kosmyk włosów za ucho.

– Ty nie kupiłbyś sobie nic nowego, dopóki ten garnitur dosłownie by z ciebie nie spadł, prawda?

– No cóż. – Harry przesunął wieszaki. Ubrania były obce, ale miały lekki znajomy zapach. – Muszę przyznać, że zastanawiałem się nad nową koszulą i może nad parą slipów.

– Nie masz czystych majtek?

Harry spojrział na nią.

– Zdefiniuj czyste.

– Harry! – Śmiejąc się, klepnęła go w ramię.

Uśmiechnął się. Jej ręka została na jego ramieniu.

– Jesteś gorący – stwierdziła. – Rozpalony od gorączki. Chyba w to, co masz pod tym swoim plastrem, nie wdała się infekcja?

Z uśmiechem pokręcił głową. Wiedział, że w ranę wdało się zapalenie. Poznawał to po tępych pulsującym bólu. Ale z wieloletniego doświadczenia w Wydziale Zabójstw wiedział też coś jeszcze: policja na pewno przesłuchała barmana i gości w tym barze, gdzie puszczają Nirvanę, i dowiedziała się, że ten, kto zabił nożownika, opuścił to miejsce z głębokimi ranami na szyi i karku. Wszystkie stacje pogotowia w mieście i szpitalne izby przyjęć zostały już dawno o tym powiadomione, a nie miał teraz czasu na areszt.

Rakel pogładziła go po ramieniu w stronę szyi i z powrotem. Przesunęła rękę na pierś. Pomyślał, że musiała wyczuć bicie jego serca. I że Rakel jest jak ten telewizor Pioneera, który przestali produkować, ponieważ okazał się za dobry. Czerń na obrazie była taka czarna.

Już wcześniej uchylił jedno z okien. Całkiem otworzyć się nie dało, bo w hotelu nie chcieli samobójców. Nawet do dziewiętnastego piętra docierał szum popołudniowego szczytu. Od czasu do czasu rozlegał się klakson, a skądś, może z innego pokoju, dochodziły dźwięki spóźnionej i zupełnie nie na miejscu letniej piosenki.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – spytał, nawet nie próbując chrząknięciem zlikwidować chropowatości głosu. Stali tak, ona z ręką na jego ramieniu, śledząc jego spojrzenie uważnie jak skupiony partner w tangu.

Skinęła głową.

Czerń tak kosmiczna i tak intensywna, że aż wciąga człowieka do środka.

Nawet nie poczuł, że uniosła stopę i dotknęła nią drzwi. Słyszał tylko, że się miękko zatrzasnęły z dźwiękiem drogiego hotelu, przypominającym pocałunek.

Kiedy się kochali, myślał tylko o tej czerni i o zapachu. O czerni jej włosów, brwi i oczu. I o aromacie perfum, o których nazwę nigdy nie spytał, ale kojarzyły mu się wyłącznie z nią, tkwiły w jej ubraniu, przenosiły się na jego rzeczy wtedy, gdy jego ubrania wisiły u niej w szafie. A teraz pachniały w szafie tu, w hotelu. Stamtąd je wzięła. Nie od niego z domu. Może to wcale nie był jego pomysł, może po prostu sama wyjęła je z szafy i przyniosła tutaj. Ale Harry nic nie mówił. Wiedział, że została mu tylko wypożyczona. Miał ją tylko w tej chwili i musiał się z tym pogodzić albo nie dostać nic, więc milczał. Kochał ją tak, jak zawsze. Namiętnie i powoli. Nie ulegał jej chciwości i niecierpliwości, ale robił to tak wolno i intensywnie, że na zmianę przeklinała go i jęczała. Nie dlatego, że ona tak chciała. Chciał tego on. Została mu tylko wypożyczona. Miał jedynie tych kilka godzin.

Kiedy doszła, zeszytniała i popatrzyła na niego z paradoksalnie obrażoną miną. Powróciły wszystkie tamte noce, a Harry miał ochotę się rozpłakać.

Potem wypalili na spótkę papierosa.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, że jesteście razem? – Harry zaciągnął się i podał jej papierosa.

– Bo nie jesteśmy. To tylko... tymczasowy port ratunkowy. – Pokręciła głową. – Nie wiem. Ja już nic nie wiem. Powinnam się trzymać z dala od wszystkiego i wszystkich.

– To dobry człowiek.

– No właśnie. A ja potrzebuję dobrego mężczyzny, więc dlaczego go nie chcę? Dlaczego jesteśmy tak cholernie irracjonalni nawet wtedy, kiedy wiemy, co dla nas najlepsze?

– Człowiek to perwersyjny i upośledzony gatunek – powiedział Harry. – Nie ma dla niego uzdrowienia. Najwyżej można uśmierzyć ból.

Rakel przytuliła się do niego.

– Właśnie to w tobie lubię. Ten niezłomny optymizm.

– Uważam roznoszenie słonecznego blasku za swoją misję, kochana.

– Harry?

– Mhm.

– Jest jakaś droga powrotu dla nas?

Harry zamknął oczy. Słuchał bicia serca. Własnego i jej.

– Drogi powrotu nie ma – odwrócił się do niej. – Ale jeśli uważasz, że wciąż masz przed sobą chociaż krótką przyszłość...

– Tak myślisz?

– To tylko takie łózkowe gadanie, prawda?

– Wariat! – Pocałowała go w policzek, oddała mu papierosa i wstała. Ubrała się. –

Możesz mieszkać u mnie – zaproponowała.

Pokręcił głową.

– Akurat teraz będzie lepiej tak, jak jest.

– Pamiętaj, że cię kocham – powiedziała. – I nigdy o tym nie zapomnij. Bez względu na wszystko. Obiecujesz?

Kiwnął głową i przymknął oczy. Drzwi za drugim razem zamknęły się równie miękko. Znów otworzył oczy. Spojrzał na zegarek.

Akurat teraz będzie lepiej tak, jak jest.

A jak inaczej mógł postąpić? Wrócić z nią na Holmenkollen, pozwolić, żeby Dubaj go tam wyszedł, i wciągnąć Rakel w tę rozgrywkę, tak jak się stało z Bałwanem? Teraz bowiem już rozumiał, że śledzili jego kroki od pierwszego dnia, że wysłanie zaproszenia do Dubaja przez dilerów było zbędne. Znajdą go, zanim on znajdzie ich. A potem znajdą Olega.

Jedyną przewagą, jaką miał nad nimi, była możliwość wyboru miejsca. Miejsca zdarzenia. Nie tu, w Plaza, tu przyszedł tylko po to, by mieć kilka godzin swobody, trochę snu dla odzyskania sił. Tym miejscem musiał być hotel Leon.

Rozwagał skontaktowanie się z Hagenem. Albo z Bellmanem. Wyjaśnienie im sytuacji. Ale nie mieliby innego wyboru, musieliby go aresztować. Zresztą i tak kwestią czasu było powiązanie ze sobą trzech rysopisów podanych przez barmana w Kvadraturen, strażnika z Cmentarza Zachodniego i starszą panią z Madserud allé. Mężczyzna o wzroście metr dziewięćdziesiąt trzy, w lnianym garniturze, ze szramą przez pół twarzy i oklejoną plastrem szyją i brodą. Wkrótce będą go poszukiwać, musiał więc się spieszyć.

Podniósł się z jękiem i otworzył szafę.

Włożył jedno z wyprasowanych slipów, koszulę z graczem w polo. Zastanawiał się nad spodniami od Armaniego. Cicho przeklinając, pokręcił głową i zamiast tego wcisnął się w swój lniany garnitur.

Potem wyciągnął torbę tenisową, która leżała na półce na kapelusze. Hans Christian wyjaśnił, że to jedyna rzecz, w jakiej mieścił się sztucer.

Zarzucił ją na ramię i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z miękkim cmoknięciem.

Nie wiem, czy da się powiedzieć, w którym konkretnie momencie nastąpiła zmiana na tronie. W którym momencie violina przejęła władzę i zaczęła decydować o nas, zamiast my o niej. Wszystko poszło w diabły. I ten dil, który próbowałem zrobić z Ibsenem, i skok na Alnabru. Oleg chodził z tą swoją ruską depresją na twarzy i powtarzał, że życie bez Irene nie ma sensu. Po trzech tygodniach braliśmy więcej, niż zarabialiśmy. Byliśmy na haju w robocie i wiedzieliśmy, że wszystko idzie do diabła. Już wtedy miało to mniejsze znaczenie niż następny zastrzyk. To brzmi jak jakaś fuckings klisza. To jest klisza. Właśnie tak. Cholernie proste i zupełnie niemożliwe. Chyba spokojnie mogę powiedzieć, że nigdy nikogo nie kochałem tak naprawdę. Ale na zabój zakochałem się w violinie. Bo Oleg używał violiny jako lekarstwa na serce, chciał, żeby stłumiła jego ból, ja natomiast używałem jej do tego, do czego należy jej używać. Żeby być szczęśliwym. Właśnie to chcę powiedzieć. Fuckings szczęśliwym. Violina była lepsza niż jedzenie, seks, sen, lepsza niż oddychanie. Dlatego nie było dla mnie żadnym szokiem, kiedy pewnego wieczoru Andriej po rozliczeniu wziął mnie na bok i powiedział, że starzec się martwi.

– It's OK – odpartem.

Wyjaśnił, że jeśli nie wezmę się w garść i nie będę się stawiał codziennie czysty do roboty, siłą wyśle mnie na odwyk.

Zacząłem się śmiać. Nie wiedziałem, że ta robota ma bonusy w postaci opieki zdrowotnej. Czy obaj z Olegiem możemy też liczyć na dentystą i emeryturą?

– Not Oleg.

Po jego oczach poznałem mniej więcej, co to znaczy.

Cholera, nie planowałem absty. Oleg zresztą też. Olaliśmy więc to ostrzeżenie i następnego wieczoru byliśmy na haju, wysoko jak Budynek Poczty. Sprzedaliśmy połowę zapasów, resztą zabraliśmy, wynajęliśmy samochód i pojechaliśmy do Kristiansand. Puszczaliśmy fuckings Sinatrę na cały regulator, I Got Plenty of Nothing, co było prawdą. Nie mieliśmy nawet prawa jazdy. W końcu Oleg też zaczął śpiewać, chociaż twierdził, że chce jedynie zagłuszyć Sinatrę i mnie. Śmialiśmy się, popijaliśmy letnie piwo, jak za dawnych dni. Zatrzymaliśmy się w hotelu Ernst, który wcale nie był tak dziwaczny, jak może wskazywać nazwa. Ale kiedy w recepcji spytaliśmy, gdzie tu w mieście kręcą się narkomani, w odpowiedzi

zobaczyliśmy tylko głupią miną. Oleg opowiadał mi o festiwalu, który kiedyś odbywał się w tym mieście, ale wszystko diabli wzięli przez jakiegoś idiotę, który chciał być guru i pozamawiał takie fajne zespoły, że nie było go na nie stać. W każdym razie religijni mieszkańcy miasta twierdzili, że połowa tutejszej młodzieży między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia stała się klientami dilerów właśnie z powodu tego festiwalu. Ale my nie znaleźliśmy żadnych klientów. Krążyliśmy tylko w ciemności po deptaku, na którym był jeden – jeden! – pijak i czternaście kościelnych chórów młodzieżowych Ten-Sing, pytających, czy chcemy spotkać Jezusa.

– Jeśli ma ochotę na violina, to owszem – odpowiadałem.

Ale Jezusowi najwyraźniej na tym nie zależało, więc wróciliśmy do hotelu i zrobiliśmy sobie po zastrzyku na dobranoc. Nie wiem dlaczego, ale zostaliśmy w tej dziurze. Nic nie robiliśmy. Stale byliśmy na haju, śpiewaliśmy Sinatrę. Którejś nocy obudziłem się, a Oleg stał nade mną. Trzymał na rękach jakiegoś fuckings kundla. Powiedział, że ze snu wyrwał go pisk hamulców za oknem. Wyjrzał i zobaczył psa leżącego na ulicy. Obejrzałem go. To nie wyglądało najlepiej. Obaj z Olegiem ustaliliśmy, że ma przetrącony kręgosłup. Był zresztą pokryty liszajami i miał mnóstwo starych ran. Biedak musiał niezłe oberwać, nie wiadomo, czy od właściciela, czy od innych psów. Ale był taki ładny. Miał spokojne brązowe oczy, które patrzyły na mnie z wiarą, że zdołam naprawić całe zło. Więc spróbowałem. Dałem mu jedzenie i wodę, pogłaskałem po łbie, mówiłem do niego. Oleg twierdził, że musimy go zabrać do weterynarza, ale ja wiedziałem, co robi lekarz, zatrzymaliśmy więc psa w hotelu. Na drzwiach wywiesiliśmy tabliczkę DON'T DISTURB i położyliśmy go w łóżku. Na zmianę przy nim czuwaliśmy i sprawdzaliśmy, czy oddycha. On tylko leżał. Był coraz bardziej rozpalony, a puls miał coraz słabszy. Trzeciego dnia nadałem mu imię. Rufus. Dlaczego nie? Dobrze mieć imię, nawet kiedy masz umrzeć.

– On cierpi – stwierdził Oleg. – Weterynarz go uśpi, da mu zastrzyk. To nic nie boli.

– Nikt nie będzie wstrzykiwał Rufusowi jakichś tanich zwierzęcych dragów – powiedziałem, pstrykając w strzykawkę.

– Oszalałeś? – jęknął Oleg. – To przecież violina za dwa tysiące!

Możliwe. Ale Rufus opuścił ten świat w fuckings business class.

Wydaje mi się, że w powrotnej drodze niebo się zachmurzyło. W każdym razie nie było Sinatry ani żadnych śpiewów.

W Oslo Oleg śmiertelnie się bał, co będzie. Ja, o dziwo, byłem zupełnie spokojny. Jakbym wiedział, że starzec nas nie tknie. Byliśmy parą niegroźnych junkies w drodze na dno. Bez pieniędzy, bezrobotni, a z czasem skończyła się też violina. Oleg dowiedział się skądś, że

wyrażenie junkie ma ponad sto lat i wywodzi się z czasów, kiedy pierwsi heroiniści kradli metalowe części wraków z portu w Filadelfii i sprzedawali, żeby zarobić na działkę. Właśnie to zaczęliśmy też robić. Zakradaliśmy się na place budowy koło portu w Bjørvika i zwiżaliśmy, co nam wpadło w ręce. Miedź i narzędzia miały wagę złota. Miedź sprzedawaliśmy złomiarzowi na Kalbakken, narzędzia robotnikom z Litwy.

Z czasem jednak, kiedy więcej osób to wymyśliło, zaczęto stawiać wyższe płoty, więcej było ochroniarzy w nocy, pojawiły się gliny, a kupujący zniknęli. Siedzieliśmy więc na głodzie, który przez całą dobę na okrągło siekł nas jak cierpiący na wściekliznę poganiacz niewolników. Wiedziałem, że muszę wpaść na jakiś wyjątkowo dobry pomysł. Endlösung. Ostateczne rozwiązanie. I wpadłem.

Oczywiście nie powiedziałem nic Olegowi.

Przez cały dzień szykowałem przemowę. W końcu do niej zadzwoniłem.

Irene akurat wróciła do domu z treningu. Chyba nawet się ucieszyła, słysząc mój głos. Mówiłem nieprzerwanie przez godzinę. Kiedy skończyłem, płakała.

Następnego dnia poszedłem na dworzec i czekałem na peronie, kiedy wjechał pociąg z Trondheim.

Łzy płynęły jej z oczu, gdy mnie obejmowała.

Taka młoda, taka troskliwa, taka drogocenna.

Jak już mówiłem, nigdy naprawdę nikogo nie kochałem. Wiem o tym. Ale musiałem być blisko. Bo sam prawie się rozplakałem.

Przez uchylone okno w pokoju trzysta jeden Harry usłyszał jedenaście uderzeń kościelnego dzwonu bijącego gdzieś wśród zmierzchu. Bolący kark i szyja miały tę zaletę, że nie pozwalały mu zasnąć. Wstał z łóżka i usiadł w fotelu. Podsunął go pod ścianę przy oknie, siedział zwrócony do drzwi ze sztucerem na kolanach.

Wracając do hotelu, zatrzymał się w recepcji i poprosił o silną żarówkę w zamian za tę, która się przepaliła w pokoju, i o młotek do wbicia paru gwoździ wystających z progu. Oświadczył, że sam się tym zajmie. Później wymienił słabą żarówkę w lampie na korytarzu tuż przed swoimi drzwiami, a młotka użył do poluzowania i usunięcia progu.

Z miejsca, w którym siedział, zobaczy cię w szparze pod drzwiami, kiedy przyjdą.

Zapalił kolejnego papierosa, sprawdził sztucer. Wypalił resztę papierosów z paczki. W ciemności dzwon kościelny wybił dwanaście uderzeń.

Zadzwoiła Beate. Powiedziała, że zdobyła kopie czterech z pięciu list sporządzonych przez patrolę przeczesujące rejon Blindern.

– Ostatni radiowóz już dostarczył swój spis do Pezetu – poinformowała.

– Dziękuję – odparł Harry. – Nina ze Schrødera przekazała ci torebki?

– Oczywiście. Powiedziałam w Instytucie Medycyny Sądowej, że mają priorytet.

Badają teraz tę krew.

Pauza.

– I? – spytał Harry.

– I co?

– Znam ten twój ton, Beate. Masz mi jeszcze coś do powiedzenia.

– Analizy DNA nie zrobi się w ciągu kilku godzin, Harry. Mogą...

– Mogą minąć dni, zanim będzie ostateczny wynik.

– No właśnie. Na razie jest niepełny.

– Do jakiego stopnia niepełny?

Harry usłyszał kroki w korytarzu.

– Hm. Co najmniej pięć procent szans, że się nie zgadza.

– Dostałaś wstępne wyniki badania DNA i znalazłaś coś w rejestrze, prawda?

– Niepełne wyniki wykorzystujemy tylko do stwierdzenia, kogo możemy

wyeliminować.

– I co znalazłaś?

– Nie chcę mówić nic więcej, dopóki...

– Mów!

– Nie. Ale mogę powiedzieć, że to nie jest własna krew Gusta.

– I?

– Ani Olega? W porządku?

– Bardzo w porządku. – Harry poczuł, że wstrzymywał oddech. – Ale...

Cień na podłodze pod drzwiami.

– Harry?

Rozłączył się. Wycelował sztucer w drzwi. Czekał. Trzy krótkie stuknięcia. Czekał. Nasłuchiwał. Cień się nie oddalał. Podkraślił się pod drzwi wzdłuż ściany poza ewentualną linią strzału. Przyłożył oko do wizjera na środku.

Zobaczył plecy mężczyzny.

Spod krótkiej kurtki wystawał pasek spodni. Z tylnej kieszeni sterczał kawałek czarnego materiału, może czapka. Ale mężczyzna nie miał paska, ręce trzymał blisko boków. Jeżeli nosił broń, to w obróconej na pierś kaburze pod pachę albo pod spodniami na łydce. Nie było to zbyt powszechne.

Mężczyzna odwrócił się do drzwi i zapukał dwa razy, mocniej niż poprzednio. Harry, wstrzymując oddech, obserwował zniekształcony obraz twarzy. Zniekształcony, a zarazem w pełni rozpoznawalny. Wyraźnie mocno wysunięta dolna szczęka. Facet drapał się pod brodą kartą, która zwisała mu ze smyczy na szyi. Takiej, na jakiej policjanci nosili swoje identyfikatory podczas aresztowania. Cholera! Policja okazała się szybsza niż Dubaj.

Harry się zawahał. Jeżeli facet dostał nakaz zatrzymania, to ma też niebieski świstek z nakazem przeszukania, który już pokazał w recepcji, gdzie wręczono mu klucz uniwersalny. Mózg kalkulował. W końcu Harry cofnął się na palcach, wcisnął sztucer za szafę, wrócił do drzwi i otworzył.

– Czego chcesz i kim jesteś? – spytał, sprawdzając jednocześnie korytarz po obu stronach.

Mężczyzna wbił w niego wzrok.

– Cholera, jak ty wyglądasz, Hole! Mogę wejść? – Podsunął mu identyfikator.

Harry przeczytał.

– Truls Berntsen. Pracowałeś dla Bellmana, prawda?

– Ciągle dla niego pracuję. Przesyła pozdrowienia.

Harry odsunął się na bok, przepuszczając Berntsena.

– Przytulnie tutaj – stwierdził tamten.

– Siadaj. – Harry wskazał mu łóżko, a sam zajął krzesło przy oknie.

– Guma do żucia? – Berntsen wyciągnął w jego kierunku paczkę.

– Dziury mi się robią w zębach. Czego chcesz?

– Ton masz jak zwykle przyjazny. – Berntsen zaśmiał się z tym swoim chrumkaniem, zwinął płatek gumy i wsunął go do swojej szuflady w gębie.

Mózg Harry'ego rejestrował tembr głosu, mowę ciała, ruchy gałek ocznych, zapach. Facet był rozluźniony, a zarazem groźny. Otwarte dłonie, żadnych gwałtownych ruchów, za to oczy zbierały dane, odczytywały sytuację, coś szykowały. Harry już żałował, że odstawił sztucer. Brak zezwolenia na broń nie będzie jego największym problemem.

– Chodzi o to, że w związku ze zbeczeszczeniem dziś w nocy grobu Gusta Hanssena na Cmentarzu Zachodnim znaleźliśmy na jego koszuli krew. Analiza DNA wykazała, że twoją.

Harry patrzył, jak Berntsen starannie składa sreberko, w które zawinięta była guma. Już go sobie lepiej przypominał. Nazywali go Beavis. Chłopak na posyłki Bellmana. Głupi i sprytny. Niebezpieczny. *Forrest Gump gone bad.*

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Harry.

– Hm. – Berntsen westchnął. – Może jakiś błąd w rejestrze. Wobec tego ubieraj się, zawiozę cię na komendę, pobierzemy krew jeszcze raz.

– Szukam dziewczyny – powiedział Harry. – Irene Hanssen.

– Pochowanej na Cmentarzu Zachodnim?

– W każdym razie zniknęła latem. Przybrana siostra Gusta Hanssena.

– To dla mnie nowość. Wszystko jedno, musisz ze mną pojechać...

– To ta dziewczynka na środku. – Harry wyjął z kieszeni zdjęcie rodziny Hanssenów i podał je Berntsenowi. – Potrzebuję trochę czasu. Niedużo. Później zrozumiecie, dlaczego musiałem tak zrobić. Obiecuję, że sam się zgłoszę za czterdzieści osiem godzin.

– *Czterdzieści osiem godzin.* – Berntsen uważnie przyglądał się fotografii. – Niezły film. Nolte i ten Murzyn. McMurphy.

– Murphy.

– No właśnie. Przestał być zabawny. Czy to nie dziwne? Miałeś coś i nagle pewnego dnia to tracisz. Jak myślisz, jakie to uczucie, Hole?

Harry patrzył na Trulsa Berntsena. Nie był już pewien tego z Forrestem Gumpem. Policjant podniósł zdjęcie pod światło, w skupieniu mrużąc oczy.

– Poznajesz ją?

– Nie. – Berntsen oddał mu zdjęcie, a jednocześnie zaczął się wiercić; najwyraźniej niewygodnie mu się siedziało na tym kawałku materiału, który miał w kieszeni z tyłu spodni, bo szybko przełożył go do kieszeni kurtki. – Pojedziemy do Budynku Policji i tam zastanowimy się nad twoimi czterdziestoma ośmioma godzinami.

Mówił swobodnym tonem. Zbyt swobodnym. A Harry już dokończył swoją myśl. Beate nadała priorytet analizie DNA w Instytucie Medycyny Sądowej, a jednak do tej pory nie miała pełnego rezultatu. Więc jak to możliwe, że Berntsen już dostał wyniki badania krwi z koszuli Gusta Hanssena? I jeszcze jedno: Berntsen nie przełożył tego kawałka materiału dostatecznie szybko. Harry widział, że to nie zwykła czapka, tylko kominiarka. Taka, jakiej użyto, kiedy wykonano wyrok na Guście.

Kolejna myśl już deptała tamtej po piętach. Palacz. Czyżby to jednak nie policja przysłała pierwsza, tylko lokaj Dubaja?

Pomyślał o sztucerze za szafą. Było już jednak za późno na to, żeby stąd wyjść. Na korytarzu słyszał kolejne kroki. Dwie osoby. Jedna z nich tak potężna, że deski zatrzeszczały. Kroki urwały się przed jego pokojem. W szparze pod drzwiami ukazały się cienie dwóch par szeroko rozstawionych łydek. Oczywiście mógł mieć nadzieję, że to koledzy Berntsena z policji i że to będzie naprawdę aresztowanie, ale przecież słyszał jęk podłogi. Wielki facet. Przypuszczał, że rozmiarami podobny do tamtego, który biegł za nim przez park Frogner.

– No chodź. – Berntsen stanął przed Harrym. Niby przypadkiem podrapał się po piersi pod połą kurtki. – Krótka przejażdżka, tylko we dwóch.

– Zdaje się, że jest nas więcej – stwierdził Harry. – Najwyraźniej masz wsparcie.

Skinieniem głowy wskazał cienie w szparze pod drzwiami. Do czterech łydek dołączył piąty cień. Podłużny i prosty. Truls powiódł wzrokiem za spojrzeniem Harry'ego. A wtedy Harry zobaczył szczere zdumienie na jego twarzy. Ten rodzaj zdumienia, jakiego typy w rodzaju Berntsena nie są w stanie zafalszować. To nie byli jego koledzy.

– Odsuń się od drzwi – szepnął Harry.

Truls przestał pracować nad gumą do żucia i popatrzył na niego.

Truls Berntsen lubił nosić swojego steyra w kaburze pod pachę obróconej tak, by pistolet leżał płasko na piersi. Dzięki temu trudniej go było dojrzeć, kiedy stało się z kimś twarzą w twarz. A ponieważ wiedział, że Harry Hole jest doświadczonym śledczym, po kursach FBI w Chicago i w ogóle, rozumiał, że Harry natychmiast zauważy wybrzuszenia

pod ubraniem w tradycyjnych miejscach. Truls nie sądził wprawdzie, by steyr mógł mu się do czegoś przydać, ale zastosował się do swoich zasad bezpieczeństwa. Gdyby Harry się opierał, wyprowadziłby go stąd z pistoletem dyskretnie przyciśniętym do pleców, w kominiarce, by ewentualni świadkowie nie mogli stwierdzić, kto towarzyszył Holem tuż przed jego zniknięciem z powierzchni ziemi. Saab parkował w tylnej uliczce. Berntsen stłukł nawet jedyną latarnię, żeby nikt nie mógł odczytać tablicy rejestracyjnej. Pięćdziesiąt tysięcy euro. Musi być cierpliwy. Budować kamień na kamieniu. Zbudować dom jeszcze kawałeczek wyżej na Høyenhall z widokiem na nich. Na nią.

Harry Hole okazał się mniejszy niż tamten gigant, którego zapamiętał. I brzydszy. Błady, szpetny, brudny i wycieńczony. Zrezygnowany, rozkojarzony. Robota okazała się prostsza, niż sobie wyobrażał. Więc kiedy Hole kazał mu się odsunąć od drzwi, pierwszą reakcją Trulsa Berntsen'a była irytacja. Facet znów zaczyna jakieś dziecinne sztuczki? Akurat w chwili, kiedy wszystko zapowiadało się jak najlepiej? Ale zareagował też na ton. Właśnie takiego tonu używali policjanci w sytuacjach krytycznych. Bez żadnego ubarwiania czy dramatyzowania. Neutralna, zimna, wyraźna wymowa, minimalizująca szansę na nieporozumienie. I maksymalizująca szansę na przeżycie.

Dlatego Truls Berntsen w zasadzie bez zastanowienia odsunął się nieco na bok.

W tej samej chwili górna część płyty drzwi wpadła do pokoju.

Truls, obracając się, jednocześnie odruchowo wyciągnął wniosek, że lufa strzelby musiała zostać odpiłowana, żeby ładunek śrutu uzyskał taki rozrzut z tak bliskiej odległości, z jakiej oddano strzał. Wsunął już rękę pod kurtkę. Gdyby nie nosił kurtki, z kabury pod pachę w zwykłym położeniu wyciągnąłby broń szybciej, bo rękojeść sterczałaby prosto. Ale w kurtce łatwiej chwycić pistolet ułożony płasko, blisko jej zapięcia.

Truls Berntsen upadł na plecy na łóżko, wyjmując pistolet, i już go trzymał w wyciągniętej ręce, gdy do środka z hukiem wpadła reszta drzwi. Usłyszał brzęk szyby za plecami, ale zaraz wszystko znów zagłuszył kolejny strzał.

Odgłos wypełnił mu uszy, a do pokoju wdarła się śnieżycą.

Wśród zamieci widać było w drzwiach postacie dwóch mężczyzn. Wyższy uniósł pistolet, głową sięgał prawie do framugi. Musiał mieć ponad dwa metry. Truls pociągnął za spust. I jeszcze raz. Poczł cudowny ból odrzutu i jeszcze cudowniejszą pewność, że tym razem to wszystko dzieje się naprawdę. Niech diabli wezmą to, co przyjdzie później!

Ten wielki drgnął i jakby odrzucił włosy do tyłu, zanim się cofnął i zniknął. Truls przesunął pistolet i spojrzenie. Ten drugi stał nieruchomo. Wokół nich ciągle padały płatki śniegu. Truls miał go na muszce, ale nie nacisnął spustu. Widział go teraz wyraźniej. Twarz

podobna do rosomaka. Taka, która Trulsowi zawsze kojarzyła się z Lapończykami, Finami i Rosjanami.

Teraz to tamten facet uniósł pistolet i trzymał go przed sobą. Palec zaciskał się na spuście.

– *Easy, Berntsen* – powiedział.

Truls Berntsen wydał z siebie przeciągły ryk.

Harry spadał.

Przygiął głowę do piersi, zgarbił się i zrobił krok do tyłu w chwili, gdy pierwszy ładunek śrutu poleciał nad jego głową. Cofał się tam, gdzie – jak wiedział – jest okno. Poczul, jak szyba się napręża, ale w końcu przypomniała sobie, że jest ze szkła, i ustąpiła.

Swobodnie unosił się w powietrzu.

Czas się zatrzymał, jakby opadał w wodzie. Ręce poruszały się jak powolne wiosła, odruchowo próbując zatrzymać obroty ciała, które zaczęło już wykonywać salto do tyłu. Niedokończone myśli przeskakiwały między synapsami mózgu. Że upadnie na głowę i kark.

Że na szczęście w oknie nie było zasłon.

Naga kobieta do góry nogami w oknie naprzeciwiwo.

Przyjęła go miękkość. Puste kartony, stare gazety, zużyte pieluchy, opakowania po mleku i czerstwy chleb z hotelowej kuchni. Filtry z mokrymi fusami od kawy.

Leżał na plecach w otwartym kontenerze na śmieci, a z góry leciał deszcz odłamków. Z okna wydobywały się błyski przypominające flesze. Płomienie z lufy. Ale było dziwnie cicho. Jakby strzały padały w telewizorze, w którym przyciszono dźwięk. Czuł, że taśma Gaffa na szyi pękła. Krew płynęła swobodnie. Przez moment szaleństwa pomyślał, żeby tak już zostać. Zamknąć oczy, zasnąć i odpłynąć. Miał wrażenie, że tylko obserwuje samego siebie, patrzy, jak wstaje, przeskakuje przez krawędź kontenera i biegnie w stronę bramy na końcu podwórza. Jak ją otwiera, słysząc przeciągły wściekły ryk z okna, jak wypada na ulicę, ślizga się na pokrywie studzienki, ale mimo wszystko utrzymuje się na nogach. Widzi, jak czarna, ciężko pracująca kobieta w obcisłych dzinsach uśmiecha się automatycznie i stula usta jak do pocałunku, ale błyskawicznie dokonuje oceny sytuacji i odwraca głowę w drugą stronę.

Harry zaczął biec.

Postanowił, że tym razem będzie po prostu biegł.

Dopóki nie będzie już mógł.

Do końca. Aż go złapią.

Miał nadzieję, że to już niedługo.

A w tym czasie zrobi to, do czego zaprogramowana jest ścigana zwierzyna: będzie uciekał, próbował wyrwać się ze szponów, przeżyć jeszcze kilka godzin, kilka minut, może jeszcze kilka sekund.

Serce zaczęło walić w proteście. A on wybuchnął śmiechem, przebiegając na drugą stronę ulicy tuż przed nosem nocnego autobusu i pędząc dalej w stronę dworca.

Harry był zamknięty. Właśnie się obudził i to stwierdził. Na ścianie nad nim wisiała plansza przedstawiająca człowieka obdartego ze skóry. Obok starannie wycięta w drewnie figurka ukrzyżowanego mężczyzny wykrwawiającego się na śmierć. A jeszcze dalej szafki lekarskie, jedna przy drugiej.

Obrócił się na kozetce. Próbował kontynuować tam, gdzie przerwał wczoraj. Stworzyć sobie obraz. Miał wiele punktów, ale wciąż jeszcze nie potrafił przeciągnąć między nimi linii. Zresztą nawet te punkty pozostawały na razie w sferze przypuszczeń.

Przypuszczenie numer jeden: Truls Berntsen to palacz. Jako funkcjonariusz Wydziału Zwalczenia Przeszłości Zorganizowanej zajmował prawdopodobnie idealną pozycję do obsługiwania Dubaja.

Przypuszczenie numer dwa: Beate znalazła w rejestrze DNA właśnie Berntsen. Dlatego nie chciała nic powiedzieć, dopóki nie miała stuprocentowej pewności, bo analiza krwi spod paznokci Gusta wskazywała na kogoś spośród ich szeregów. A jeśli to prawda, Gusto Hanssen podrapał Trulsa Berntsen tego samego dnia, kiedy został zabity.

Ale dalej nie było już tak prosto. Jeśli Berntsen faktycznie pracował dla Dubaja i zlecono mu załatwienie Harry'ego, to dlaczego pojawili się chłopcy z Blues Brothers i próbowali urwać łby im obydwu? Jeśli to rzeczywiście byli chłopcy Dubaja, jak to możliwe, że oni i palacz tak sobie deptali po piętach? Czyżby mimo wszystko nie grali w tej samej drużynie? Czy też była to po prostu źle skoordynowana akcja? A może w ogóle nikt jej nie koordynował, ponieważ Truls Berntsen działał na własną rękę, chcąc powstrzymać Harry'ego przed oddaniem do badania dowodów wyjętych z grobu Gusta, które by go ujawniły?

Zadzwończyły klucze i drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry – zaszczębiotała Martine. – Jak się czujesz?

– Lepiej – skłamał Harry, patrząc na zegarek. Szósta rano. Zrzucił wełniany koc i spuścił nogi na podłogę.

– Nasz gabinet nie jest przystosowany do noclegów – powiedziała Martine. – Leż, zmienię ci ten bandaż na szyi.

– Dziękuję, że mnie wczoraj przyjąłeś. Ale tak jak mówiłem, ukrywanie mnie nie jest w tej chwili bezpieczne, więc muszę już iść.

– Kładź się!

Harry popatrzył na nią i westchnął. Z zamkniętymi oczami słuchał, jak Martine wyciąga i zamyka szuflady, jak nożyczki brzęczą o szkło, a z mieszczącej się piętro niżej kawiarni Latarnia Morska dochodzą głosy gości, którzy przyszli na śniadanie.

Martine zdejmowała mu założony wczoraj bandaż, a Harry w tym czasie zadzwonił do Beate. Odezwała się sekretarka w bardzo krótkich słowach prosząca o zostawienie związanej wiadomości. Piśnięcie.

– Wiem, że to krew jednego z byłych funkcjonariuszy KRIPOS – powiedział Harry. – Nawet jeśli Instytut Medycyny Sądowej potwierdzi ci to dzisiaj w ciągu dnia, wstrzymaj się i nikomu o tym nie mów. To na razie i tak za mało na nakaz aresztowania. A jeśli mocniej potrząśniemy klatką, istnieje ryzyko, że on zniszczy resztę dowodów w tej sprawie i zniknie. Dlatego trzeba go zatrzymać za coś innego, co zapewni nam spokój do pracy. Włamanie i zabójstwo w klubie motocyklowym na Alnabru. Jeśli się nie mylę, to ta sama osoba, z którą Oleg usiłował zrobić skok na klub. Oleg będzie zeznawał. Dlatego chcę, żebyś przefaksowała zdjęcie Trulsa Berntsena, teraz śledczego z Pezetu, do kancelarii adwokata Hansa Christiana Simonsena i poprosiła go o pokazanie zdjęcia Olegowi, żeby go zidentyfikował.

Harry się rozłączył. Głęboko odetchnął i poczuł skurcz, tak gwałtowny i mocny, że aż jęknął. Odwrócił się. Czuł, że treść żołądka grozi podróżą do góry.

– Boli? – Martine przesuwiała umoczoną w spirytusie watkę po szyi i karku. Harry pokręcił głową, ale wskazał otwartą butelkę ze spirytusem.

– Aha. – Martine szybko ją zakręciła.

Harry uśmiechnął się idiotycznie, czując, jak pot występuje mu na czoło.

– Czy to się nigdy nie poprawia? – spytała Martine cicho.

– Co? – Harry wydał z siebie zachrypnięty głos.

Nie odpowiedziała.

Spojrzenie Harry'ego skakało po sprzętach, szukając czegoś, co go rozproszy, odwróci myśli. Wszystko jedno czego. Oczy znalazły złotą obrączkę, którą Martine zdjęła i położyła na stole, zanim zaczęła opatrywać mu rany. Byli z Rikardem małżeństwem już od kilku lat, obrączka miała rysy i zadrapania. Nie błyszczała nowością jak ta, którą nosił Torkildsen z Telenoru. Harry poczuł nagły chłód, zaswędziało go głowa. Oczywiście mogło to być i od potu.

– Prawdziwe złoto? – spytał.

Martine zaczęła owijać mu szyję świeżym bandażem.

– To ślubna obrączka, Harry.

– I co z tego?

– Oczywiście, że jest ze złota. Wszystko jedno, jak jesteś biedny czy chytry, na ślub nie kupuje się obrączki nie ze złota.

Harry pokiwał głową. Głowa go swędziała. Czuł, że włosy na karku zupełnie się zjeżyły.

– Ja tak zrobiłem – powiedział.

Roześmiała się.

– W takim razie jesteś jedyny na całym świecie, Harry.

Dalej wpatrywał się w obrączkę. Ona to właśnie powiedziała.

– Oczywiście, cholera, że jestem jedyny!

Włosy na karku nigdy się nie myliły.

– Chwileczkę, zaczekaj, jeszcze nie skończyłam!

– W porządku. – Harry już wstał.

– Powinieneś zmienić ubranie na czyste. Coś dla ciebie znajdziemy. Cuchniesz śmieciami, potem i krwią.

– Mongołowie przed ważnymi bitwami smarowali się zwierzęcymi odchodami – odpowiedział Harry, zapinając koszulę. – Jeśli naprawdę chcesz dać mi coś, czego potrzebuję, to filiżanka kawy byłaby...

Martine popatrzyła na niego z rezygnacją i kręcąc głową, wyszła.

Harry czym prędzej wyjął komórkę.

– Tak? – Klaus Torkildsen miał głos jak zombi. Płacz dziecka w tle wyjaśniał powody.

– Mówi Harry H. Jeśli to dla mnie zrobisz, już nigdy więcej nie będę cię dręczył, Torkildsen. Musisz mi sprawdzić kilka stacji bazowych. Chcę znać wszystkie miejsca, w których logowała się dwunastego lipca komórka Trulsa Berntsena, adres gdzieś na Manglerud.

– Nie jesteśmy w stanie określić co do metra kwadratowego ani spisać...

– ...czyichś ruchów minuta po minucie. Wszystko to wiem. Po prostu zrób to, jak możesz najlepiej.

Pauza.

– To już wszystko?

– Nie. Jeszcze jedno nazwisko. – Harry zamknął oczy i pogrzebał w pamięci. Zobaczył litery na tabliczce na drzwiach w Szpitalu Radiologicznym. Wymamrotał nazwisko pod

nosem, potem powtórzył je na głos do telefonu.

– Zanotowałem. A... „nigdy więcej” oznacza?

– Nigdy więcej.

– No dobrze – powiedział Torkildsen. – Ale jest jeszcze jedna sprawa.

– Jaka?

– Policja wczoraj pytała o twój numer. Nie masz zarejestrowanego telefonu.

– Mam niezarejestrowany numer chiński, a co?

– Wyglądało wręcz na to, jakby chcieli cię śledzić. O co tu chodzi?

– Pewien jesteś, że chcesz wiedzieć?

– Nie – odparł Torkildsen po chwili namysłu. – Zadzwoń do ciebie, jak coś znajdę.

Harry się rozłączył i rozejrzał. Był poszukiwany. Wprawdzie policja nie trafi na żaden numer zarejestrowany na jego nazwisko, ale jednak będą umieli dodać dwa do dwóch, jeśli sprawdzą rozmowy z Rakel i ujawni się chiński numer. Telefon jest jak nadajnik. Trzeba się go pozbyć.

Kiedy Martine przyszła z filiżanką parującej kawy, Harry pozwolił sobie na wypicie dwóch łyków, a potem spytał wprost, czy mogłaby na parę dni pożyczyć mu swój telefon.

Popatrzyła na niego szczerym, czystym spojrzeniem i odpowiedziała, że tak, jeżeli dobrze to przemyślał.

Harry kiwnął głową. Dostał czerwony telefonik, pocałował Martine w policzek i zabrał kawę na dół, do kawiarni. Pięć stolików było zajętych, a kolejne wrony już się zlatywały. Harry usiadł przy wolnym stoliku i przepisał najważniejsze numery ze swojej chińskiej podróbki iPhone'a do telefonu Martine. Potem wysłał krótkie SMS-y z informacją o nowym tymczasowym numerze.

Narkomani bywają równie niezgłębieni jak inni ludzie. Ale w pewnej dziedzinie są stosunkowo przewidywalni. Dlatego Harry, zostawiając swój chiński telefon na stoliku, wychodził do toalety z przekonaniem, że wie, jakie będą tego skutki. Gdy wrócił, okazało się, że telefon wyparował, wybrał się w podróż, którą policja będzie mogła śledzić za pośrednictwem stacji bazowych w mieście.

Harry natomiast ruszył w dół Tøyengata w stronę Grønland.

W jego stronę podjeżdżał pod górę policyjny radiowóz. Harry odruchowo spuścił głowę, wyjął czerwoną komórkę Martine i udał, że rozmawia, co tłumaczyło, że musiał osłonić twarz ręką.

Samochód przejechał. Harry miał świadomość, że w ciągu następnych godzin będzie musiał się ukrywać.

Ale najważniejsze, że coś wiedział. Wiedział, od czego zacząć.

Truls Berntsen leżał pod dwiema warstwami świerkowych gałęzi i marzył jak pies.

Przez całą noc puszczał w głowie ciągle od nowa ten sam film. Twarz rosomaka cofała się ostrożnie, powtarzając „*easy*”, niczym prośbę o zawieszenie broni, gdy jednocześnie celowali do siebie z pistoletów. Twarz rosomaka. Kierowca limuzyny stojącej przy Cmentarzu Staromiejskim. Człowiek Dubaja. Kiedy nachylił się, żeby pociągnąć ze sobą swojego olbrzymiego towarzysza, do którego strzelił Truls, musiał opuścić pistolet, a wtedy Truls zrozumiał, że facet jest gotów ryzykować życie, byle tylko zabrać stąd kumpla. Rosomak musiał być byłym żołnierzem, byłym policjantem czy też członkiem jakiejś innej grupy, w której obowiązują idiotyczne kwestie honoru. W tej samej chwili rozległ się jęk tego dużego. Żył. Truls poczuł jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Ale pozwolił, żeby Rosomak pomógł temu wielkiemu stanąć na nogi, słyszał chlupot krwi w bucie, kiedy sunęli korytarzem w stronę tylnych drzwi. Po ich wyjściu naciągnął kominiarkę i wybiegł, pędem minął recepcję, dotarł do saaba i przyjechał tutaj. Bał się wracać do domu. To było bezpieczne miejsce. Tajemne. Miejsce, w którym nikt nie mógł go zobaczyć, o którym wiedział tylko on i do którego przychodził, kiedy chciał popatrzeć na nią.

Miejsce znajdowało się na Manglerud, w popularnej okolicy wycieczkowej, ale ci, którzy tędy chodzili, trzymali się ścieżek, nigdy nie zapuszczali się na jego skałę, otoczoną w dodatku gęstymi zaroślami.

Dom Mikaela i Ulli Bellmanów stał na wzgórzu naprzeciwko. Berntsen miał więc idealny widok na okna salonu, w których obserwował ją przez tyle wieczorów. Po prostu siedziała na kanapie z tą swoją piękną twarzą, delikatną sylwetką, która przez lata prawie wcale się nie zmieniła, i wciąż była Ullą, najpiękniejszą dziewczyną na Manglerud. Niekiedy siadywał tam też Mikael. Truls widział, jak się całują i obejmują. Ale zawsze znikali w sypialni, zanim doszło do czegoś więcej. Nie wiedział, czy miałyby ochotę coś więcej zobaczyć. Najbardziej lubił patrzeć, jak siedzi sama z podwiniętymi nogami i książką na kanapie. Czasami patrzyła w okno, jakby czuła, że jest obserwowana, a jego ogarniało podniecenie na myśl, że ona być może wie. Że wyczuwa jego obecność.

Ale teraz w salonie było ciemno. Przeprowadzili się. Ona się przeprowadziła. A miejsca, skąd mógłby bezpiecznie obserwować nowy dom, nie było. Sprawdzał. Zresztą w sytuacji, jaka teraz zapanowała, nie wiadomo, czyby mu się to przydało. Czy cokolwiek mu się przyda. Był naznaczony.

Oszukali go. Kazali mu przyjść do Hølega w Leonie o północy i zaatakowali.

Próbowali się go pozbyć. Spalić palacza.

Ale dlaczego? Za dużo wiedział? Przecież był palaczem, a ci zawsze wiedzą za dużo. To tkwi w naturze rzeczy. Nie potrafił tego zrozumieć. Do diabła! Zresztą wszystko jedno. Musi walczyć o życie.

Z przemarznięcia i zmęczenia bolały go kości. Ale bał się wracać do domu, dopóki się nie rozwidni, bo dopiero wtedy będzie mógł sprawdzić, czy droga wolna. Jeśli tylko znajdzie się za drzwiami własnego mieszkania, będzie miał do dyspozycji całą artylerię i wytrzyma oblężenie. Oczywiście powinien był zastrzelić obydwu, gdy miał taką szansę. Ale jeśli spróbują jeszcze raz, przekonają się, że z Trulsem Berntsenem wcale nie pójdzie tak łatwo.

Wstał. Otrzeptał świerkowe igły z ubrania i trzęsąc się z zimna, usiłował zabijać ręce. Znów spojrzął na dom. Świtało. Pomyślał o innych Ullach. O tej małej ciemnej z Latarni Morskiej. Martine. Naprawdę wierzył, że uda mu się ją zdobyć. Pracowała wśród niebezpiecznych ludzi, a on mógł ją chronić. Ale nie zwracała na niego uwagi, a jemu jak zwykle zabrakło śmiałości, żeby do niej podejść i mieć odmowę już za sobą. Lepiej było czekać i mieć nadzieję. Przeciągać to, zadrećcać się, dostrzegać pociechę tam, gdzie mniej zdesperowani mężczyźni widzieli tylko życzliwość. Któregoś dnia podsłuchał, jak ktoś coś do niej mówi. I dotarło do niego, że Martine jest w ciąży. Przekłeta dziwka! Wszystkie to dziwki. Tak jak ta dziewczyna, którą Gusto wykorzystywał jako zwiadowcę. Dziwka. Nienawidził tych kobiet. I mężczyzn, którzy wiedzieli, jak je skłonić do kochania.

Podskakiwał, wymachując rękami, ale wiedział, że już nigdy nie poczuje ciepła.

Harry wrócił w okolice Kvadraturen. Usiadł w kawiarni Pocztovej. Otwierano ją najwcześniej, cztery godziny przed Schrøderem. Musiał się ustawić w kolejce spragnionych piwa klientów, żeby w końcu zamówić coś w rodzaju śniadania.

Przed wszystkim zadzwonił do Rakel. Poprosił, żeby sprawdziła skrzynkę poczty elektronicznej Olega.

– Tak. Jest coś dla ciebie od Bellmana. Wygląda na listę z adresami.

– Okej. Prześlij ją do Beate Lønn. – Podał adres.

Potem wysłał SMS-a do Beate, uprzedził, że listy są już wysłane, i spokojnie dokończył śniadanie. Później przeniósł się do Gościńca na Stortorvet, gdzie zdążył wypić filiżankę starannie zaparzonej kawy, zanim Beate oddzwoniła.

– Porównałam te listy, które skopiowałam bezpośrednio od patroli, z tą, którą mi

przesłałeś. Co to za lista?

– Ta, którą dostał Bellman i przesłał mnie. Chcę tylko sprawdzić, czy dostał pełny raport. Nikt w nim nie grzebał?

– Nie. Wszystkie adresy, które dostałam wcześniej, są na tej liście Bellmana.

– Mhm – mruknął Harry. – Ale do listy jednego patrolu nie dotarłaś?

– O co w tym wszystkim chodzi, Harry?

– Chodzi o to, że próbuję skłonić palacza, żeby nam pomógł.

– W czym?

– We wskazaniu domu, w którym mieszka Dubaj.

Pauza.

– Zobaczą, może uda mi się zdobyć tę ostatnią listę – powiedziała Beate.

– Dzięki. Zdzwoniemy się.

– Zaczekaj.

– Tak?

– Nie interesuje cię ten profil DNA uzyskany z krwi pod paznokciem Gusta?

Przyszło lato, a ja byłem królem Oslo. Dostałem za Irene pół kilograma violiny i połowę sprzedałem na ulicy. To miał być kapitał początkowy czegoś wielkiego, nowego gangu, który zmiecie z boiska starca. Ale najpierw należało uczcić start. Okruchy ze sprzedaży poświęciłem na kupno stroju pasującego do butów, które dostałem od Isabelle Skøyen. Wyglądałem jak milion dolarów i nawet nie unieśli brwi, kiedy wmaszerowałem do fuckings Grandu i poprosiłem o apartament. Zostaliśmy tam. Imprezowaliśmy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ludzie się zmieniali, ale było lato, Oslo, dziewczyny, chłopaki, jak za dawnych czasów, tylko trochę poważniejsze używki. Nawet Oleg się rozchmurzył i przez pewien czas był taki jak dawniej. Okazało się, że mam więcej przyjaciół, niż pamiętałem, a dragi schodziły szybciej, niż można by przypuszczać. Wywalili nas z Grandu, wtedy przenieśliśmy się do Christianii, stamtąd do Radissona przy Holbergs plass.

Oczywiście, że to nie mogło trwać wiecznie, ale co, do cholery, tyle trwa.

Raz czy dwa widziałem czarną limuzyną po drugiej stronie ulicy, kiedy wychodziłem z hotelu, ale przecież jest więcej takich samochodów. Zresztą i tak tylko tam stała.

Ale przyszedł ten nieunikniony dzień, kiedy pieniądze się skończyły i znów musiałem sprzedać dragi. Zrobiłem sobie skrytkę w schowku na szczytce piętro niżej za lekkimi płytami sufitowymi, za zwojem kabli. Albo jednak musiałem się wygadać, kiedy byłem półprzytomny, albo ktoś widział, jak tam idę, bo skrytkę opróżniono. A rezerwowej nie miałem.

Brakowało kasy. Nie było już żadnych dziewczyn i chłopaków. Przyszła pora, żeby się wymeldować z hotelu. I zrobić pierwszy zastrzyk z towaru zdobytego na ulicy. A kiedy miałem się rozliczyć za pokój, w którym mieszkaliśmy przez ponad dwa tygodnie, zabrakło mi piętnastu tysięcy.

Zrobiłem jedyną rozsądną rzecz.

Uciekłem.

Wybiegłem przez foyer na ulicą, przez park w stronę morza. Nikt mnie nie ścigał.

Potem śmignąłem na Kvadraturen, żeby coś kupić. Nigdzie nie widziałem żadnego zawodnika Arsenalu, byli tylko desperaci z zapadniętymi oczami krążący w poszukiwaniu dilera. Rozmawiałem z jednym, który chciał mi sprzedać metę. Powiedział, że violina już od kilku dni jest nieosiągalna. Po prostu nastąpiła przerwa w zaopatrzeniu. Rozeszły się jednak

plotki, że jakieś bystre ćpuny sprzedawały ostatnie ćwiartki po pięć tysięcy koron za działkę na Plata, bo za to mogły kupić tygodniową porcją hery.

Nie miałem, do jasnej cholery, pięciu tysięcy, więc zrozumiałem, że jestem w kłopotcie. Trzy możliwości. Handel, szantaż albo kradzież.

Najpierw handel. Ale co mi właściwie zostało, skoro sprzedałem nawet przyrodnią siostrę? I nagle sobie przypomniałem. Odessa. Leżała w sali prób. A pakistańce z Kvadraturen na pewno dadzą pięć tysięcy za spluwę, która strzela seriami. Pobiegnę na północ, minąłem Operę i dworzec. Ale do sali prób ktoś się musiał włamać, bo na drzwiach wisiała nowa kłódka. Wzmacniacze do gitar zniknęły, została tylko perkusja. Szukałem odessy, ale ją też zabrali. Cholerni złodzieje!

Dalej szantaż. Zatrzymałem taksówkę, kazałem jej jechać dalej na zachód na Blindern. Taksówkarz marudził o pieniądzach od chwili, kiedy wsiadłem, więc chyba się zorientował. Powiedziałem, żeby się zatrzymał tam, gdzie droga się kończy przy torach kolejowych. Wykiwałem kierowcę, wyskoczyłem i pogałem przez kładkę dla pieszych. Radziłem przez kompleks budynków należących do Parku Nauki, chociaż nikt mnie nie gonił. Biegłem, bo mi się spieszyło. Nie wiedziałem tylko do czego.

Otworzyłem furkę, alejką pobiegłem do garażu. Zajrzałem przez szczeliny z boku żelaznej bramy. Limuzyna stała w środku. Zapukałem do drzwi willi.

Otworzył mi Andriej. Powiedział, że starego nie ma w domu. Wskazałem na sąsiedni dom, ten za zbiornikiem na wodę. Stwierdziłem, że starzec musi być tam, skoro limuzyna stoi w garażu. Powtórzył, że atamana nie ma w domu. Wyjaśniłem, że potrzebują pieniędzy. Odparł, że nie może mi pomóc i żeby nigdy więcej tu nie przychodził. Mówiłem, że muszę dostać violinę, tylko tym razem. Odpowiedział, że violiny ostatnio nie ma, Ibsenowi brakuje jakiegoś składnika, muszą poczekać ze dwa tygodnie. Prychnąłem, że wcześniej umrę. Muszę mieć albo pieniądze, albo violinę.

Andriej chciał zamknąć drzwi, ale zdążyłem zablokować je nogą. Oświadczyłem, że jeśli mi nic nie da, to zdradzę, gdzie starzec mieszka.

Andriej patrzył na mnie zdziwiony.

– Are you trying to get yourself killed? – spytał z komicznym akcentem. – Remember Kundel?

Wyciągnąłem rękę. Powiedziałem, że gliny dobrze zapłacą za informacją, gdzie mieszka Dubaj ze swoimi szczurami. I jeszcze trochę dołożą za wiadomość o tym, co się stało z Kundlem. A najbardziej się ucieszą, jak im opowiem o tym martwym wywiadowcy w piwnicy.

Andriej wolno kręcił głową.

Powiedziałem kozakowi „paszoł w czorty”, co według mnie znaczy po rusku „idź do diabła”, i sam poszedłem.

Przez całą drogę do furki czułem jego spojrzenie na plecach.

Nie miałem pojęcia, dlaczego starzec pozwolił Olegowi i mnie na tę ucieczkę z dragami, ale wiedziałem, że dzisiejsza akcja już mi nie ujdzie płazem. Mimo wszystko olewałem to, byłem zdesperowany i słyszałem tylko jedno: krzyk głodnych żył. Poszedłem na ścieżkę za kościołem Vestre Aker, stanąłem tam i patrzyłem na stare kobiety. Na wdowy idące na groby – mężów i własne. Z torebkami wypchanymi pieniędzmi. Cholera, nie potrafiłem, nie miałem tego w sobie. Ja, złodziej, stałem nieruchomo i pocitem się jak świnia, bojąc się osiemdziesięcioletnich babć z osteoporozą. Rozpacz.

Była sobota. Wymieniłem w myślach przyjaciół, którzy mogliby pożyczyć mi kasę. Szybko mi poszło. Nikogo takiego nie miałem.

W końcu przypomniał mi się ktoś, kto powinien się zgodzić na pożyczkę. Jeśli w ogóle miał trochę instynktu samozachowawczego.

Pojechałem na gapę autobusem na wschód. Przedostałem się na właściwą stronę miasta i wysiadłem na Manglerud. Tym razem zastałem Trulsa Berntsena w domu.

Stał w drzwiach na szóstym piętrze swojego bloku i słuchał mojego ultimatum o mniej więcej takiej samej treści, jakie wygłosiłem na Blindernveien. Jeśli natychmiast nie wywali pięciu kafli, doniosę, że zabił Tutu, a później ukrył zwłoki.

Ale Berntsen wcale się nie przejął. Zaprosił mnie do mieszkania. Powiedział, że na pewno dojdziemy do porozumienia.

W oczach miał jednak coś innego. Powiedziałem więc, że nie ma o czym dyskutować. Albo płaci, albo doniosę policji za pieniądze. Odparł, że policja nie płaci za donosy. Ale u niego pięć tysięcy się znajdzie, przecież łączą nas wspólne przeżycia. Możemy wręcz uważać się za kumpli. Dodał tylko, że w domu nie ma tyle gotówki, musimy pojechać do bankomatu. Samochód stoi na dole, w garażu.

Rozwazałem to. Dzwonki alarmowe się rozdzwoniły. Ale głód nie dawał mi spokoju. Wyłączył wszelkie rozsądne myślenie. Więc chociaż wiedziałem, że źle robię, kiwnąłem głową.

– Masz już cały profil DNA? – spytał Harry, jednocześnie skanując wzrokiem gości w kawiarni Pocztowej. Nie było nikogo podejrzanego, a raczej całe mnóstwo podejrzanych osób, ale chyba żadnego policjanta.

– Tak – powiedziała Beate.

Harry mocniej ścisnął telefon w rękę.

– Ja już i tak chyba wiem, kogo podrapał Gusto.

– Naprawdę? – W głosie Beate zabrzmiało wyraźne zdziwienie.

– Owszem. Jeśli ktoś znajduje się w rejestrze DNA, to jest albo podejrzanym, albo skazanym, albo policjantem, który mógłby zanieczyścić miejsce zdarzenia. Tutaj mamy do czynienia z tym ostatnim przypadkiem. Facet nazywa się Truls Berntsen i jest funkcjonariuszem w Wydziale Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej.

– Skąd wiesz, że to on?

– No cóż, można powiedzieć, że to suma zdarzeń.

– Może i tak. Nie wątpię, że sporo główkowałeś.

– Dziękuję – rzucił Harry.

– A jednak się mylisz – stwierdziła Beate.

– Możesz powtórzyć?

– Krew pod paznokciami Gusto nie jest krwią żadnego Berntsena.

Ale kiedy tak stałem pod drzwiami Trulsa Berntsena, który poszedł po kluczyki do samochodu, opuściłem wzrok. Popatrzyłem na swoje buty. Cholernie fajne buty. Przypomniała mi się Isabelle Skøyen.

Ona nie była tak niebezpieczna jak Berntsen i szalata za mną. Tak przecież było, prawda?

Szalata i wariowała.

Zanim więc Berntsen wrócił, zacząłem zbiegać po siedem stopni naraz, na każdym piętrze wciskając guzik windy.

Wskoczyłem do kolejki, która zawiozła mnie na dworzec. Najpierw myślałem, żeby do niej zadzwonić, ale zmieniłem zdanie. Przez telefon mogła odmówić, patrząc mi w oczy – nigdy. Poza tym sobota oznaczała, że stajenny miał wolne, a to z kolei, że ona musi być w domu, ponieważ te jej szkapy i świnię nie biorą sobie same jedzenia z lodówki. Na dworcu wsiadłem do wagonu dla pasażerów z biletami miesięcznymi Kolei Regionu Østfold, ponieważ podróż do Rygge kosztowała sto czterdzieści cztery korony, których ciągle nie miałem. Ze stacji na farmę przeszedłem piechotą. Spory kawałek. Zwłaszcza kiedy zaczyna padać. A zaczęło.

Na podwórzu stał jej samochód. Taki z napędem na cztery koła, których ludzie używają

do przedzierania się przez dżungłę ulic w śródmieściu. Zapukałem do drzwi, ale nikt nie wyszedł. Zawołałem. Echo odbiło się od ścian zabudowań, odpowiedzi jednak nie było. Oczywiście mogła się wybrać na przejażdżkę. W porządku, wiedziałem przecież, gdzie zwykle trzyma gotówkę, a tu, na wsi, ludzie jeszcze nie zaczęli zamykać drzwi na klucz. Nacisnąłem więc klamkę i rzeczywiście drzwi były otwarte.

Szedłem już na górę do sypialni, kiedy nagle się pojawiła. Stała w rozkroku na szczycie schodów, ubrana w szlafrok.

– Co ty tu robisz, Gusto?

– Chciałem się z tobą zobaczyć – powiedziałem i włączyłem uśmiech. Podkręciłem go aż do oporu.

– Potrzebujesz dentysty – stwierdziła zimno.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Na zębach pojawiły mi się brązowe plamy. Wyglądały trochę tak, jakby zęby gnity, ale stalowa szczotka mogła sobie z tym bez trudu poradzić.

– Co ty tu robisz? – powtórzyła. – Pieniądze?

Właśnie tak było z Isabelle i ze mną. Byliśmy tacy sami, nie musieliśmy niczego udawać.

– Pięć kawałków.

– Nie ma mowy, Gusto. Już z tym skończyliśmy. Odwieźć cię na stację?

– Co? Daj spokój, Isabelle! Chcesz się pieprzyć?

– Cicho!

Zrozumienie sytuacji zajęło mi sekundę. Długo, ale powiedzmy, że to przez ten fuckings głód. Isabelle w środku dnia miała pełny makijaż, ale była w szlafroku.

– Czekasz na kogoś? – spytałem.

Nie odpowiedziała.

– Na nowego chłoptasia do zabawy?

– Tak to już bywa, kiedy ktoś znika, Gusto.

– Ja jestem dobry w come backach. – Błyskawicznie złapałem ją za nadgarstek i przyciągnąłem do siebie, aż straciła równowagę.

– Jesteś mokry – stwierdziła, opierając się, ale nie bardziej niż zwykle, kiedy chciała, żeby było ostro.

– Deszcz pada – odparłem i ugryzłem ją w ucho. – A jakie jest twoje wytłumaczenie? – Już wsunąłem jej rękę pod szlafrok.

– I śmierdzisz. Puść mnie!

Dotknąłem świeżo ogolonej cipki. Była mokra. Mokruseńka. Mogłem użyć dwóch

palców naraz. Za mokra. Wyczułem coś lepkiego. Przyciągnąłem rękę do siebie, podniosłem do góry. Palce miałem pokryte białym śluzem. Spojrzałem na nią zdumiony. I zobaczyłem jej triumfalny uśmiech, kiedy nachylała się nade mną, szepcząc:

– Tak jak mówiłam. Kiedy ktoś znika...

Przestałem nad sobą panować. Uniostem rękę, żeby ją uderzyć, ale złapała mnie i powstrzymała. Silna suka.

– Idź już sobie, Gusto.

Poczułem coś w oczach. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałbym, że to łzy.

– Pięć tysięcy – szepnąłem ze ściśniętym gardłem.

– Nie dam ci, bo wtedy wrócisz. A tego sobie nie życzę.

– Pieprzona pizda! – krzyknąłem. – Zapominasz o paru cholernie ważnych rzeczach! Dawaj kasę, bo jak nie, to pójdę ze wszystkim do gazet. Nie mam wcale na myśli naszego pieprzenia, tylko całą tą historię zamiatania ulic w Oslo. Całą tą robotą starca i twoją. Fuckings półsocjaliści! Pieniądze z dragów i polityka w jednym łóżku. Jak myślisz, ile „VG” mi zapłaci?

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi do sypialni.

– Na twoim miejscu zmyłabym się stąd – powiedziała Isabelle.

Zatrzeszczały deski w podłodze za jej plecami.

Chciałem uciec, naprawdę. A mimo to stałem.

Kroki się zbliżały.

Wydawało mi się, że plamy na jego twarzy świecą w ciemności. Nowy chłoptaş do pieprzenia. Tygrysek.

Chrząknął.

I wyszedł do światła.

Był taki piękny, że widziałem to nawet ja, chociaż na takim głodzie. Miałem ochotę dotknąć jego piersi. Poczuć pod palcami rozgrzaną od słońca, spoconą skórą, mięśnie, które odruchowo się napinają, wstrząśnięte tym, na co sobie pozwalam.

– Co powiedziałaś? – zdziwił się Harry.

Beate chrząknęła i powtórzyła.

– Mikael Bellman.

– Bellman?

– Tak.

– Gusto, umierając, miał pod paznokciami krew Mikaela Bellmana?

– Tak to wygląda.

Harry odchylił głowę. To wszystko zmieniało. Chociaż czy na pewno? Przecież nie musiało mieć nic wspólnego z zabójstwem. Ale z czymś miało. Z czymś, o czym Bellman nie chciał mówić głośno.

– Wynoś się! – powiedział Bellman tonem, który nie był podniesiony, bo wcale nie musiał być.

– A więc to wy – stwierdziłem, puszczając Isabelle. – A ja myślałem, że ona wynajęła Trulsa Berntsena. No ale sprytnie jest sięgać wyżej, Isabelle. Tak to się wszystko układa. Berntsen jest tylko twoim niewolnikiem, prawda, Mikael? – Bardziej pieściłem go tym imieniem, niż je wymawiałem. Przecież właśnie tak się sobie przedstawiliśmy tamtego dnia u niego. Gusto i Mikael. Jak dwaj chłopcy. Dwaj potencjalni towarzysze zabaw. Widziałem, jak coś się zapala w jego oczach. Bucha płomieniem. Bellman był kompletnie nagi, może dlatego uważałem, że nie zaatakuje. Okazał się dla mnie za szybki. Zanim całkiem puściłem Isabelle, rzucił się na mnie i złapał moją głowę jak w imadło.

– Puszczaj! – krzyknąłem.

Wciągnął mnie na samą górę. Nos miałem wciśnięty między jego pierś a pachę. Czuję zapach Isabelle. W głowie utkwiała mi tylko jedna myśl. Jeśli on chce mnie stąd wyrzucić, to po co wciąga mnie na górę? Nie byłem w stanie się wyrwać, więc wbitem paznokcie w jego pierś i przeciągnąłem przez nią ręką jak szponem. Czuję, że paznokciem zahaczyłem o brodawkę. Zaklął i poluzował uścisk. Wyślizgnąłem się wtedy i skoczyłem. Znalazłem się w połowie schodów, ale zdołałem się utrzymać na nogach. Pognałem w stronę korytarza, po drodze złapałem kluczyki do samochodu Isabelle i wybiegłem na podwórze. Auto oczywiście nie było zamknięte. Koła zabuksowały na żwirze, kiedy puściłem sprzęgło. W lusterku widziałem, jak Mikael Bellman wybiega z domu. Zauważyłem błysk czegoś, co trzymał w ręku. Koła wreszcie chwyciły nawierzchnię, wcisnęło mnie w siedzenie, samochód pomknął przez podwórze na drogę.

– To Bellman sprowadził Trulsa Berntsena do Pezetu – powiedział Harry. – Czy możliwe, że Berntsen wykonywał robotę palacza na zlecenie Bellmana?

– Masz pojęcie, na co się porywamy, Harry?

– Tak. I od tej pory nie będziesz miała z tym nic wspólnego, Beate.

– A właśnie, kurwa, że będę! – zatrzeszczało w słuchawce. Harry nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek słyszał przekleństwo z ust Beate Lønn. – To moja firma, Harry. Nie chcę, żeby tacy ludzie jak Berntsen wpychali ją w bagno.

– Okej. Ale nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. Mamy dowody jedynie na to, że Bellman spotkał się z Gustem. Nie mamy nawet nic konkretnego na Trulsa Berntsena.

– Więc co chcesz zrobić?

– Zacząć od drugiego końca. I jeśli jest tak, jak przypuszczam, to mamy do czynienia z dominem. Mój problem polega tylko na tym, że muszę pozostać na wolności na tyle długo, żebym mógł zwodować plan.

– Chcesz powiedzieć, że masz plan?

– Oczywiście, że mam.

– Dobry plan?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale plan masz?

– Jak najbardziej.

– Kłamiesz, prawda?

– Nie tylko.

Sunąłem szosą E18 w stronę Oslo, kiedy uświadomiłem sobie, w co się wplątałem.

Bellman próbował ciągnąć mnie na górę. Do sypialni. Tam gdzie miał ten pistolet, z którym później za mną wybiegł. Był gotów mnie zlikwidować, żeby mi zamknąć gębę. A to mogło oznaczać jedynie, że ugrzązł w gównie po kolana. Co robi teraz? Oczywiście mnie wsadzi. Za kradzież samochodu, handel narami, niezapłacony rachunek w hotelu. Ma w czym wybierać. Wsadzi mnie do pierdła, zanim zdążę z kimkolwiek porozmawiać. A jak już mnie zamknie i zaknebluje, nie ma wątpliwości, co się stanie dalej. Wszystko jedno, czy to będzie wyglądało na samobójstwo, czy na zemstę innych więźniów. Najgłupszą rzeczą, jaką mogłem zrobić, była jazda tym samochodem, którego najpewniej już szukali. Dodałem więc gazu. Miejsce, do którego zmierzałem, leżało po wschodniej stronie miasta, więc musiałem przejechać się przez centrum. Wjechałem na wzgórze w spokojną dzielnicę mieszkaniową, zaparkowałem w pewnej odległości od domu i stamtąd szedłem na piechotę.

Słońce znów świeciło na niebie. Ludzie wylegli na dwór z wózkami dziecięcymi, w siatkach mieli jednorazowe grille. Szczęrzyli się do słońca, jakby było kwintesencją szczęścia.

Wrzuciłem kluczyki od auta do jakiegoś ogrodu i poszedłem do bloku z tarasami.

Znalazłem nazwisko przy domofonie i zadzwoniłem.

– To ja – powiedziałem, kiedy wreszcie się odezwał.

– Jestem trochę zajęty – usłyszałem w głośniku.

– A ja jestem narkomanem. – To miał być żart, ale poczułem skutek tego słowa. Olega zawsze bawiło, kiedy czasami dla jaj pytałem klientów, czy może cierpią na narkomanię i mają ochotę na trochę violiny.

– Czego chcesz? – spytał głos.

– Violiny.

Replika klienta stała się moją.

Pauza.

– Nie mam. Nic mi nie zostało. Brakuje mi bazy, żeby przygotować więcej.

– Bazy?

– Levorphenolu. Chcesz poznać cały przepis?

Wiedziałem, że mówi prawdę, ale coś musiał mieć. Musiał. Myślałem. Nie mogłem wrócić do sali prób, bo tam na pewno na mnie czekali. Oleg. Stary dobry Oleg mnie wpuści.

– Masz dwie godziny, Ibsen. Jeśli do tej pory nie zjawisz się na Hausmanns gate z czterema ćwiartkami, pójdę prosto do glin i powiem wszystko. Nie mam już nic do stracenia. Rozumiesz? Hausmanns gate dziewięćdziesiąt dwa. Wchodzisz i idziesz prosto na trzecie piętro.

Próbowałem wyobrazić sobie jego gębę. Śmiertelnie przerażoną, spoconą. Nieszczęsny zbok.

– W porządku – powiedział.

No i tyle. Trzeba po prostu umieć doprowadzić do tego, żeby ktoś zrozumiał powagę sytuacji.

Harry przełknął resztę kawy i wyszedł na ulicę. Najwyższa pora zmienić miejsce pobytu.

Kiedy przechodził przez Youngstorget, kierując się w stronę budek z kebabem na Torggata, zadzwonił telefon. To był Klaus Torkildsen.

– Same dobre wiadomości – oświadczył.

– Tak?

– W interesującym cię czasie telefon Trulsa Berntsena zarejestrowały cztery stacje

bazowe w centrum Oslo, co lokalizuje jego aparat w tym samym rejonie, w którym mieści się Hausmanns gate dziewięćdziesiąt dwa.

– O jak dużym obszarze mówimy?

– Hm. To sześciokątny rejon o przekątnej około ośmiuset metrów.

– Okej. – Harry chłonał tę informację. – A co z tym drugim facetem?

– Nie znalazłem nic bezpośredniego na to nazwisko, ale on ma telefon zarejestrowany na Szpital Radiologiczny.

– I?

– Tak jak mówiłem – same dobre wiadomości. Również ten telefon znajdował się wtedy na tym samym obszarze.

– Mhm. – Harry wszedł w jakieś drzwi, minął trzy zajęte stoliki i zatrzymał się przed ladą, której front ukazywał kebaby w nienaturalnie jaskrawych kolorach. – Masz jego adres?

Klaus Torkildsen podał mu dane, a Harry zanotował je na serwetce.

– Jest jakiś inny numer zarejestrowany pod tym adresem?

– O co ci chodzi?

– Po prostu się zastanawiam, czy facet ma żonę albo dziewczynę.

Usłyszał, że Torkildsen stuka w klawiaturę.

– Nie – padła odpowiedź. – Nie ma nikogo innego pod tym adresem.

– Dziękuję.

– Umowa stoi? Nie będziemy rozmawiać już nigdy więcej?

– Jeszcze tylko jedno. Ostatnia rzecz. Chcę, żebyś sprawdził Mikaela Bellmana. Z kim rozmawiał w ciągu ostatnich miesięcy i gdzie przebywał w czasie, kiedy doszło do zabójstwa.

Głośny śmiech.

– Szefa Wydziału Zwalczania Przeszłości Zorganizowanej? Daj spokój! Ledwie mogę ukryć albo mętnie wytłumaczyć sprawdzanie jakiegoś nieszczęsnego funkcjonariusza. Za coś takiego wywaliliby mnie natychmiast. – Znow śmiech, jakby sam pomysł był komiczny. – Liczę, że dotrzymasz umowy, Hole.

Połączenie zostało przerwane.

Kiedy taksówka przyjechała pod adres zapisany na serwetce, mężczyzna już stał przed domem i czekał.

Harry wysiadł i podeszedł do niego.

– Dozorca Ola Kvernberg?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Komisarz Hole. To ja dzwoniłem. – Widział, że dozorca zerka na taksówkę, która nie ruszała z miejsca. – Korzystamy z taksówek, kiedy brakuje radiowozów.

Kvernberg popatrzył na identyfikator, który Harry mu pokazał.

– Nie zauważyłem żadnego włamania.

– Ale telefonowano w tej sprawie, więc sprawdźmy. Pan ma klucz uniwersalny, prawda?

Kvernberg wyjął pęk kluczy.

Kiedy otwierał główne drzwi, Harry przyglądał się domofonom.

– Świadek zgłaszał, że widział, jak ktoś wspina się po tarasach i włamuje na trzecim piętrze.

– Kto to mógł dzwonić? – dziwił się dozorca, już idąc na górę.

– Tego nie mogę powiedzieć, panie Kvernberg, obowiązuje mnie tajemnica.

– Ma pan coś na spodniach.

– Sos z kebabu. Chyba będę musiał oddać do pralni chemicznej. Może pan otworzyć te drzwi?

– Do farmaceuty?

– Lokator jest farmaceutą?

– Pracuje w Szpitalu Radiologicznym. Może powinniśmy do niego zadzwonić, zanim wejdziemy?

– Muszę sprawdzić, czy włamywacza nie ma w środku i czy da się go aresztować, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Dozorca wymamrotał jakieś przeprosiny i czym prędzej otworzył drzwi.

Harry wszedł do mieszkania.

Wyraźnie było widać, że to mieszkanie kawalera. Porządnego kawalera. Ułożone alfabetycznie CD z muzyką klasyczną na oddzielnej półce. Czasopisma fachowe z dziedziny chemii i farmacji w wysokich, ale równych stosach. Na półce oprawiona w ramki fotografia dwojga dorosłych i chłopca. Chłopca Harry rozpoznał. Stał lekko przechylony w bok z dość ponurą miną, nie mógł mieć więcej niż dwanaście-trzyście lat.

Dozorca w drzwiach bacznie obserwował poczynania Harry'ego, więc on dla pozorów sprawdził drzwi na taras, zanim zaczął chodzić spokojnie po pokoju. Otwierał szuflady i szafy, jednak nie znalazł nic kompromitującego.

Niektórzy koledzy powiedzieliby, że kompromitujących rzeczy jest tu zaskakująco mało.

Ale Harry zetknął się z takim zjawiskiem już wcześniej. Zdarzają się ludzie, którzy nie mają tajemnic – co prawda nieczęsto, ale się zdarzają. Słyszał, że dozorca w drzwiach sypialni przestępuje z nogi na nogę.

– Nie widać żadnych śladów włamania, nic też chyba nie zginęło. – Harry wyminął go, kierując się do wyjścia. – Czasami niestety mamy do czynienia z takimi fałszywymi alarmami.

– Rozumiem. – Dozorca już szedł do drzwi. – A co by pan zrobił, gdyby tu naprawdę był złodziej? Zabrałby go pan taksówką?

– Trzeba by było wezwać radiowóz – uśmiechnął się Harry. Zatrzymał się i spojrzął na buty stojące na półeczce przy drzwiach. – Czy te buty nie różnią się bardzo rozmiarem?

Kvernberg potarł brodę, patrząc na Harry'ego badawczym spojrzeniem.

– Może i tak. On jest kulawy. Mogę jeszcze raz obejrzeć ten identyfikator?

Harry mu go podał.

– Ta data ważności...

– Taksówka czeka. – Harry zabrał identyfikator i zaczął zbiegać ze schodów. – Dziękuję za pomoc, panie Kvernberg!

Dotarłem na Hausmanns gate. Oczywiście nikt nie naprawił zamków, więc wszedłem do mieszkania. Olega nie było. Nikogo innego też. Krążyli po mieście i główkowali, jak coś zdobyć. Pięcioro ćpunów mieszkało razem i tak też to miejsce wyglądało. Ale oczywiście niczego ciekawego nie było, same puste butelki, zużyte strzykawki, zakrwawiona wata i pudełka po papierosach. Fuckings spalona ziemia.

Właśnie kiedy, przeklinając, siedziałem tam na brudnym materacu, zobaczyłem szczura. Kiedy ludzie opisują szczury, zawsze mówią: „taki wielki!”. Ale szczury wcale nie są duże. Są całkiem małe. Tylko ogony potrafią mieć długie. No dobrze, jeśli czują się zagrożone i stają na dwóch łapach, mogą wyglądać na większe niż w rzeczywistości. Oprócz tego są dość żalonymi istotami, którym zależy na tym samym co nam: na zdobyciu czegoś.

Usłyszałem dzwon. I powiedziałem sobie, że Ibsen przyjdzie.

Musi przyjść. Cholera, ale źle się czułem! Przecież ich widziałem, jak stali i czekali, aż przyjdziemy do roboty. Tak się cieszyli na nasz widok, że było to aż wzruszające. Trzęśli się. Pieniądze mieli naszykowane. Byli zredukowani do zebrzących amatorów. A teraz sam się taki stałem. Byłem chory z tęsknoty za odgłosem kroków Ibsena na schodach, za widokiem jego idiotycznej twarzy.

Rozegrałem swoje karty jak kretyn. Marzyłem o tym, żeby dać sobie w żyłę, a udało mi się osiągnąć tylko to, że wszyscy mnie ścigali. Starzec i jego kozacy. Truls Berntsen z wiertarką i tymi swoimi oczami szaleńca. Królowa Izabela i szef wszystkich jej chłoptasiów.

Szczur sunął wzdłuż listwy przy podłodze. Z czystej desperacji zajrzałem pod koce i materace. Pod jednym znalazłem zdjęcie i kawałek metalowego drutu, wygiętego w dużą literę L, z Y na końcu. Na pogniecionym wyblakłym zdjęciu paszportowym była Irene, więc zrozumiałem, że to materac Olega, ale ten drut nic mi nie powiedział. W końcu jednak coś zaczęło do mnie docierać. Poczułem, że pocą mi się ręce, a serce zaczyna bić szybciej. Przecież to ja nauczyłem Olega robić skrytki.

Hans Christian Simonsen lawirował między turystami, wspinając się na ukośnie nachyloną płaszczyznę z białego włoskiego marmuru, która sprawiała, że budynek Opery wyglądał jak góra lodowa unosząca się na fiordzie. Kiedy dotarł na sam szczyt, rozejrzał się i dostrzegł Harry'ego Hole, który przysiadł na murku. Siedział w zasadzie sam, bo turyści przechadzali się z jednej strony na drugą, napawając się widokiem fiordu. Harry natomiast był odwrócony w stronę starych brzydkich dzielnic.

Hans Christian usiadł obok niego.

– H.C. – odezwał się Harry, nie podnosząc oczu znad broszury, którą czytał. – Wiesz, że ten marmur to biały marmur karraryjski, a Opera kosztowała każdego Norwega dwa tysiące koron?

– Tak.

– Słyszałeś o *Don Giovannim*?

– Mozart. Dwa akty. Młody arogancki uwodziciel, któremu wydaje się, że jest darem bożym i dla kobiet, i dla mężczyzn, zdradza wszystkich ludzi i budzi powszechną nienawiść. Wydaje mu się, że jest nieśmiertelny, lecz w końcu pojawia się jakiś tajemniczy posąg i razem z nim Don Giovanniego pochłania ziemia.

– Mhm. Za kilka dni premiera. Tu jest napisane, że chór na koniec śpiewa: *Tak ginie człowiek zła, śmierć grzesznika jest zawsze taka, jak jego życie*. Myślisz, że to prawda, H.C.?

– Ja wiem, że to nieprawda. Śmierć, niestety, nie jest bardziej sprawiedliwa niż życie.

– Mhm. Wiesz, że w tym miejscu morze wyrzuciło na brzeg policjanta?

– Tak.

– A jest coś, czego nie wiesz?

– Kto zastrzelił Gustę Hanssenę.

– Czyli że chcesz wiedzieć, kim jest ten tajemniczy posąg. – Harry odłożył broszurę.

– A ty nie chcesz?

– Niekoniecznie. Ważne tylko, żeby udowodnić, kto nim nie jest. Że to nie Oleg.

– Zgadza się. – Hans Christian uważnie przyjrzał się Harry'emu. – Ale kiedy słyszę, jak tak mówisz, nie bardzo mi to pasuje do tego, co słyszałem o drażącym uparciu Harrym Hole.

– Może jednak ludzie się zmieniają. – Harry się uśmiechnął. – Dowiadywałeś się u tego swojego kumpla prokuratora, jak wygląda mój status poszukiwanego?

– Na razie jeszcze nie podali twojego nazwiska mediom, ale przekazali je na wszystkie lotniska i przejścia graniczne. Innymi słowy, twój paszport nie jest zbyt wiele wart.

– No to nici z wyjazdu na Majorkę.

– Wiesz, że jesteś poszukiwany, a mimo to umawiasz się przy atrakcji turystycznej Oslo numer jeden?

– Starannie wypróbowana logika małej rybki, Hans Christian. Najbezpieczniej jest w ławicy.

– Sądziłem, że za bezpieczniejszą uważasz samotność.

Harry wyjął paczkę papierosów, potrząsnął nią i podsunął adwokatowi.

– Rakel ci o tym powiedziała?

Hans Christian kiwnął głową i wziął papierosa.

– Dużo czasu spędzacie razem? – spytał Harry, krzywiąc się.

– Sporo. Boli?

– Szyja. Chyba jakaś lekka infekcja. – Harry mu przypalił. – Kochasz ją, prawda?

Harry, widząc, w jaki sposób adwokat się zaciąga, nabrał przekonania, że facet nie miał papierosa w ustach od czasu imprez na studiach.

– Tak. Kocham.

Harry pokiwał głową.

– Ale ty zawsze byłeś. – Hans Christian znów się zaciągnął. – W cieniach, w szafie, pod łóżkiem.

– Jak jakiś potwór – powiedział Harry.

– Pewnie tak – przyznał Hans Christian. – Próbowałem cię odpędzić zaklęciami, ale nie wyszło.

– Nie musisz wypalać całego tego papierosa.

– Dziękuję. – Adwokat wyrzucił niedopałek. – Na co masz zamiar namówić mnie tym razem?

– Na włamanie.

Wyjechali tuż po zapadnięciu ciemności.

Hans Christian zabrał Harry'ego z baru Boca na Grünerløkka.

– Fajny samochód – powiedział Harry. – Rodzinny.

– Miałem psa na łośie – wyjaśnił Hans Christian. – Polowanie, domek w lesie, no wiesz.

Harry pokiwał głową. Dobre życie.

– Łoś go stratował. Pocieszałem się, że to dobra śmierć dla takiego psa. Trochę jak na służbie.

Harry znów kiwnął głową. Jechali w kierunku Ryen. Powoli wspinali się na zakrętach w stronę działek z najlepszym widokiem po wschodniej stronie miasta.

– To tu, na prawo. – Harry wskazał pograżoną w ciemności willę. – Zaparkuj trochę na ukos, tak żeby przednie światła padały na okna.

– Czy mam...

– Nie – powiedział Harry. – Zaczekaj tutaj. Miej włączony telefon i dzwoń, gdyby ktoś się pojawił.

Zabrał łom i poszedł alejką do drzwi. Jesień, ostre wieczorne powietrze, zapach jabłek. *Déjà vu* On i Øystein zakradający się do cudzego ogrodu, a Drewniak na czatach pod płotem. I nagle z ciemności wyłaniająca się postać w indiańskim pióropuszu, biegnąca ku nim i kwicząca jak świnia.

Zadzwoił do drzwi.

Czekał.

Nikt nie otwierał.

Mimo to Harry miał wrażenie, że ktoś jest w domu.

Włożył łom w szparę przy zamku i ostrożnie przycisnął. To były stare drzwi z miękkiego wilgotnego drewna ze staroświeckim zamkiem. Wygiąwszy je odpowiednio, drugą ręką wsunął swój identyfikator przy zewnętrznej stronie zatraskowego zamka. Nacisnął mocniej. Zamek puścił. Harry wemknął się do środka i zamknął drzwi za sobą. Stał w ciemności, wstrzymując oddech. Poczuł na dłoni cieniutką nitkę. Prawdopodobnie resztki pajęczyny. Pachniało wilgocią i opuszczeniem, ale i czymś jeszcze. Kręcący w nosie ostry zapach. Zapach choroby i szpitala. Pieluch i lekarstw.

Zapalił kieszonkową latarkę. Zobaczył pusty wieszak. Ruszył dalej.

Salon wyglądał jak przypudrowany. Jakby ze ścian i mebli wyssano kolory. Snop światła omiół pokój, serce Harry'ego zamarło, kiedy światło odbiło się w parze oczu. Ale zaraz biło dalej. Wypchana sowa. Tak samo szara jak wszystko inne tutaj.

Obszedł cały dom i później mógł jedynie stwierdzić, że jest tu tak, jak w tym mieszkaniu w bloku tarasowym. Nie ma nic niezwykłego.

To znaczy było tak aż do chwili, gdy dotarł do kuchni i na stole zobaczył dwa

paszporty i bilety lotnicze.

Chociaż zdjęcie w paszporcie musiało być zrobione co najmniej dziesięć lat wcześniej, Harry rozpoznał mężczyznę, którego widział w Szpitalu Radiologicznym. Jej paszport był natomiast nowusieńki. Na zdjęciu prawie nie dawało się jej poznać. Błada, włosy w strąkach. Bilety były do Bangkoku. Wylot za dziesięć dni.

Zszedł z powrotem na parter. Podeszedł do jedynych drzwi, za które nie zaglądał. W zamku tkwił klucz. Otworzył. Uderzył go ten sam zapach, który wyczuł, stojąc w korytarzu. Przekręcił wyłącznik za drzwiami i goła żarówka oświetliła schody prowadzące do piwnicy. Uczucie, że ktoś jest w domu. A raczej „Aha, intuicja”, jak ironicznie powiedział Bellman, gdy Harry pytał, czy sprawdzał kartotekę Martina Prana. Intuicja, która, jak Harry teraz wiedział, wprowadziła go w błąd.

Chciał zejść na dół, ale czuł, że coś go powstrzymuje. Piwnica. Taka, z jaką sam dorastał. Kiedy mama prosiła, żeby poszedł po ziemniaki, które przechowywali w ciemnym miejscu w dwóch dużych workach, Harry zbiegał pędem i starał się o niczym nie myśleć. Próbował sobie wmawiać, że biegnie, bo jest zimno, a poza tym musi się spieszyć, bo trzeba gotować obiad. No i po prostu lubi biegać. Że bieg nie ma nic wspólnego z żółtym człowieczkiem, który czeka gdzieś tam na dole, z nagim uśmiechniętym potworem, który stale wsuwał i wysuwał długi język z wyraźnie słyszalnym mlaskiem. Ale nie to go teraz powstrzymało. Coś innego. Sen. Śnieżna lawina sunąca korytarzem piwnicznym.

Odrzucił te myśli i postawił stopę na pierwszym stopniu. Zatrzeszczał ostrzegawczo. Zmusił się do tego, żeby iść powoli. Wciąż trzymał w ręku łom. Piwnica była podzielona na boksy. Żarówka na suficie dawała niewiele światła, pojawiały się nowe cienie. Harry zauważył, że wszystkie boksy są zamknięte na kłódki. Kto zamyka na kłódkę pomieszczenia we własnej piwnicy?

Wsunął zaostrzony koniec łomu pod zawias drzwi do jednego z boksów. Nabrał powietrza, szykując się na nieprzyjemny dźwięk. Szybko odchylił łom, rozległ się krótki trzask. Harry znów wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Ale dom też jakby wstrzymał oddech. Martwa cisza.

Ostrożnie otworzył drzwi. Zapach zaświdrował w nosie. Palce znalazły przełącznik na ścianie i moment później Harry pławił się w świetle. Jarzeniowym.

Boks okazał się o wiele większy, niż wydawało się z zewnątrz. Harry rozpoznał w nim kopię pomieszczenia, jakie już widział. Laboratorium w Szpitalu Radiologicznym. Stoły ze szklanymi kolbami i statywami na próbówki. Podeszedł bliżej. Uniósł pokrywkę z dużego plastikowego pojemnika. W białym proszku widać było brązowe drobinki. Poślinił palec,

zanurzył go w proszku i natarł nim dżiastło. Gorzki. Violina.

Drgnął. Jakiś dźwięk. Znów wstrzymał oddech. Dźwięk się powtórzył. Ktoś pociągał nosem.

Zgasił światło, skulił się w ciemności z łomem w pogotowiu. Kolejne pociągnięcie nosem.

Odczekał kilka sekund. Potem możliwie szybko i bezgłośnie wyszedł z boksu i skierował się w lewo, w stronę, z której dochodził odgłos. Ostatnie pomieszczenie. Przełożył łom do prawej ręki. Na palcach podszedł do drzwi, w których było nieduże okienko zasłonięte siatką. Dokładnie takie samo, jakie mieli w domu.

Z tą różnicą, że te drzwi były obite żelazem.

Harry przygotował latarkę, stanął pod ścianą przy drzwiach, policzył do trzech, zapalił latarkę i skierował światło w okienko.

Czekał.

Kiedy minęły trzy sekundy, a nikt ani nie strzelił, ani nie rzucił się do światła, przysunął głowę do siatki i zajrzał do środka. Promień latarki przesunął się po murze, odbił w łańcuchu, wydobył z mroku materac i w końcu to, czego naprawdę szukał. Twarz.

Oczy miała zamknięte. Siedziała nieruchomo, jakby była do tego przyzwyczajona. Jakby kontrolowano ją światłem.

– Irene? – spytał ostrożnie.

W tej samej chwili komórka w kieszeni zaczęła wibrować.

Popatrzyłem na zegarek. Obszukałem całe mieszkanie, a jeszcze nie znalazłem skrytki Olega. Ibsen miał tu być dwadzieścia minut temu. Niech spróbuje nie przyjść, ten zbok! Za pozbawienie wolności i gwałt dostanie dożywocie. Tamtego dnia, kiedy Irene przyjechała na dworzec, zabrałem ją do sali prób i powiedziałem, że Oleg tam na nią czeka. Tak oczywiście nie było. Czekał za to Ibsen. Trzymał ją, kiedy robiłem jej zastrzyk. Myślałem o Rufusie. Że tak najlepiej. Całkiem się uspokoiła i pozwoliła się zaciągnąć do jego samochodu. W bagażniku miał dla mnie pół kilograma. Czy żałowałem? Pewnie, żałowałem, że nie zażądałem kilograma! Nie, do cholery, pewnie, że trochę mi było głupio. Nie jestem tak kompletnie pozbawiony uczuć. Ale kiedy pojawiała się ta myśl: „cholera, nie powinienem był tego robić”, tłumaczyłem sobie, że Ibsen na pewno dobrze się nią zajmie. Musiał ją kochać na swój własny zboczony sposób. Ale i tak było już za późno. Teraz chodziło tylko o to, żeby wziąć lekarstwo, żeby wyzdrowieć.

To było dla mnie zupełnie nowe terytorium. Nie mieć tego, czego domagał się organizm. Przecież zawsze dostawałem to, czego chciałem. Teraz sobie to uświadomiłem. Jeśli od tej pory już tak miało być, to wołałem umrzeć na miejscu. Umrzeć młodo i pięknie, z jako tako zachowanymi zębami. Ibsen nie przyszedł. Wiedziałem, że już nie przyjdzie. Stałem przy oknie w kuchni i wyglądałem na ulicę, ale ten przeklęty kulas nie przychodził. Ani on, ani Oleg.

Wypróbowałem wszystko. Zostawało tylko jedno.

Jak najdłużej odrzucałem to wyjście. Bałem się. Naprawdę. Ale wiedziałem, że on jest w mieście. Że tkwi tu od dnia, kiedy zrozumiał, że Irene zniknęła. Stein. Mój przybrany brat.

Znów spojrzałem na ulicę.

Nie. Wolę umrzeć, niż do niego zadzwonić.

Mijały sekundy. Ibsen nie przychodził. Do diabła! Lepiej umrzeć, niż tak chorować. Zacisnąłem oczy, ale z oczodołów wypęzły mi owady, wciskały się pod powieki, rozpełzały po całej twarzy.

Śmierć przegrała z dzwonieniem i z chorobą.

Pozostał finał.

Zadzwonić do niego czy dalej się tak mordować?

Niech to szlag!

Harry zgasił latarkę, kiedy telefon zaczął dzwonić. Po numerze poznał, że to Hans Christian.

– Ktoś przyszedł – szepnął Harry’emu do ucha. Ze zdenerwowania aż zachrypl. – Zaparkował tuż przy bramie i teraz idzie do domu.

– Dzięki – powiedział Harry. – Spokojnie. Esemesuj, jak coś zobaczysz. I uciekaj, jeżeli...

– Uciekać? – Hans Christian był szczerze oburzony.

– Tylko jeśli zrozumiesz, że wszystko idzie w diabły, okej?

– Dlaczego mam...

Harry przerwał połączenie, znów zapalił latarkę i poświecił nią przez siatkę.

– Irene?

Dziewczyna mrugała zdumiona.

– Posłuchaj mnie. Mam na imię Harry i jestem policjantem. Przyszedłem po ciebie. Ale ktoś tu idzie, muszę sprawdzić kto. Jeśli zejdzie na dół, udawaj, że nic się nie stało, dobrze? Niedługo cię stąd wyciągnę, Irene. Obiecuję.

– Masz... – wymamrotała coś, ale Harry nie usłyszał dalszego ciągu.

– Co powiedziałaś?

– Masz violinę?

Harry mocniej zacisnął zęby.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – szepnął.

Wbiegł na górę po schodach i zgasił światło. Wyjrzał przez uchylone drzwi. Miał stąd widok na wejście. Usłyszał nierówne kroki w alejce. Odgłos ciągniętej nogi. Szpotawa stopa. Otworzyły się drzwi.

Zapaliło się światło.

Ukazał się w nim duży, puciołowaty i miły mężczyzna.

Stig Nybakk.

Szef oddziału w Szpitalu Radiologicznym. Ten, który pamiętał Harry’ego ze szkoły. Który znał Drewniaka. Który nosił obrączkę z czarną rysą. W jego kawalerskim mieszkaniu nie dało się znaleźć nic niezwykłego. Ale miał też dom po rodzicach, którego nie sprzedał.

Powiesił płaszcz na wieszaku i ruszył w stronę Harry’ego z wyciągniętą ręką. Nagle się zatrzymał. Pomachał ręką przed sobą. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

Stanął i nasłuchiwał. Harry nagle zrozumiał dlaczego. Ta nitka, którą poczuł na twarzy i wziął za pajęczynę, musiała być czymś innym. Niewidzialną nicią, którą Nybakk rozpiął w przedpokoju, żeby wiedzieć, czy nie miał nieproszonego gościa.

Zaskakująco szybko i zwinnie Nybakk zawrócił do szafy w przedpokoju. Wsunął do niej rękę, wyciągnął coś, lekko błysnął metal. Strzelba.

Jasny piorun! Harry nienawidził strzelb.

Nybakk wyjął pudełko z nabojami, które już było otwarte. Wyciągnął dwa duże czerwone naboje i chwycił je między palec środkowy a wskazujący, podtrzymując w odpowiedniej odległości kciukiem, aby załadować je jednym ruchem.

Harry'emu w mózgu wirowało, ale nie zrodził się z tego żaden dobry pomysł. Wybrał więc ten zły. Wyjął telefon i zaczął stukać w klawisze.

T-r-ą-b i c-z-e-l-b

Cholera, błąd!

Usłyszał metaliczne kliknięcie, kiedy Nybakk przełamywał strzelbę.

Usuń! Gdzie jest ten klawisz! Jest. Usunąć „lb”. Wpisać „k-a-j”.

Włożył naboje.

C-z-e-k-a-j a-ż o-n b-ę-d-z-i-e

Przekłete małe klawisze. Dalej!

Trzask zamykanej lufy.

...w o-k-i-e

Błąd. Już słyszał zbliżające się kroki Nybakka. Za mało czasu. Musi wierzyć, że Hans Christian ma wyobraźnię.

– ś-w-i-e-ć! – Nacisnął „Wyślij”.

Z ciemności Harry widział, że Nybakk przyłożył strzelbę do ramienia. I uświadomił sobie, że szef oddziału farmaceutycznego zauważył uchylone drzwi do piwnicy.

W tej samej chwili ryknął klakson. Ostro i nieustępliwie. Nybakk drgnął. Spojrzał na salon wychodzący na drogę, na której parkował Hans Christian. Zawahał się. W końcu się obrócił i wszedł do salonu.

Klakson rozległ się znów, tym razem bez przerwy.

Harry otworzył drzwi do piwnicy i poszedł za Nybakkiem. Nie musiał się skradać. Wiedział, że klakson zagłusza każdy dźwięk. Z drzwi do salonu widział plecy Stiga Nybakka rozsuwającego zasłony. Pokój zalało światło ksenonowych tysiączmetrowych reflektorów rodzinnego samochodu Hansa Christiana.

Harry potrzebował czterech długich kroków, a Stig Nybakk ani go nie zobaczył, ani

nie usłyszał. Zastaniał oczy przed blaskiem. Harry wysunął ręce po obu stronach jego głowy, złapał strzelbę, wyrwał ją Nybakkowi i przycisnął do jego mięsistej szyi, jednocześnie ciągnąc do siebie, tak aby Nybakk stracił równowagę. Kolana wbił od tyłu w zagłębienia jego kolan i obaj upadli. Nybakk rozpaczliwie walczył o oddech.

Hans Christian musiał zrozumieć, że klakson zrobił już to, co do niego należało, bo trąbienie ustało. Ale Harry dalej naciskał. W końcu ruchy Nybakka stały się wolniejsze, straciły siłę, jakby zaczął wędznąć.

Harry wiedział, że Nybakk traci przytomność, że jeszcze parę sekund bez tlenu i jego mózg dozna uszkodzeń, a kilka kolejnych doprowadzi do śmierci Stiga Nybakka, porywacza i mózgu, który wymyślił violinę.

Sprawdził, co czuje. Policzył do trzech i jedną ręką puścił strzelbę. Nybakk bezgłośnie osunął się na podłogę.

Harry usiadł na krześle i oddychał. W miarę jak opadał poziom adrenaliny we krwi, coraz mocniej odzywał się ból szyi i karku. Postanowił go zignorować i wysłał Hansowi Christianowi krótką wiadomość: *OK*.

Nybakk zaczął cicho pojękiwać i skulił się w pozycji płodu.

Harry go przeszukał. Wszystko, co znalazł w kieszeniach, wyłożył na stół w salonie. Portfel, komórkę i słoiczek z tabletkami, na których widniało nazwisko Nybakka i jego lekarza. Zestril. Harry pamiętał, że dziadek zażywał ten lek na serce. Schował pojemniczek do własnej kieszeni. Przyłożył Nybakkowi lufę strzelby do bladego czoła i kazał mu wstać.

Tamten spojrzał, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Podniósł się z wysiłkiem i stał, z trudem utrzymując równowagę.

– Dokąd idziemy? – spytał, kiedy Harry pchnął go przed sobą na korytarz.

– Do mieszkania na dole.

Stig Nybakk wciąż z trudem trzymał się na nogach, więc na schodach do piwnicy Harry podpierał go jedną ręką i strzelbą przyłożoną do pleców. Zatrzymali się przed drzwiami, za którymi znalazł Irene.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Obrączka – odparł Harry. – Otwórz.

Nybakk wyjął z kieszeni klucz i obrócił go w kłódce.

W środku zapalił światło.

Irene się podniosła. Stała w rogu najbardziej odległym od nich. Trzęsła się, a jedną rękę miała uniesioną, jakby się bała, że ktoś ją uderzy. Na nodze miała kajdany z łańcuchem, który sięgał do sufitu i tam był umocowany do belki.

Harry zauważył, że łańcuch jest dostatecznie długi, by umożliwić dziewczynie poruszanie się po pomieszczeniu. Pozwalał jej na zapalenie światła.

Wolała jednak siedzieć po ciemku.

– Uwolnij ją – nakazał Harry. – I sam się w to zakuć.

Nybakk kaszlnął, podniósł ręce do góry.

– Posłuchaj, Harry...

Harry uderzył. Stracił głowę i uderzył. Usłyszał martwe stuknięcie metalu o ludzkie ciało i ujrzał czerwoną pręgę, którą lufa strzelby pozostawiła na grzbiecie nosa Nybakka.

– Jeszcze raz zwrócisz się do mnie po imieniu – szepnął Harry i poczuł, że musi wyduszać z siebie słowa – a przybiję ci łeb do ściany grubszym końcem tej strzelby.

Nybakk drżącymi rękami otworzył kłódkę kajdan. Irene patrzyła apatycznie przed siebie, jakby w ogóle jej to nie dotyczyło.

– Irene – odezwał się Harry. – Irene!

Trochę się ocknęła i spojrzała na niego.

– Wyjdź stąd – powiedział Harry.

Zmrużyła oczy, jakby całą koncentrację musiała poświęcić na zrozumienie dźwięków, które z siebie wydawał, i na zamianę ich w słowa o jakimś znaczeniu. I w czyny. Wyminęła go i wyszła na korytarz piwniczny powolnym, sztywnym krokiem lunatyka.

Nybakk usiadł na materacu i podciągnął nogawkę spodni. Próbował zacisnąć wąską obręcz na białej tłustej łydce.

– Ja...

– Nadgarstek – nakazał Harry.

Nybakk usłuchał. Harry szarpnięciem sprawdził, czy łańcuch trzyma dostatecznie mocno.

– Zdejmij tę obrączkę i oddaj ją mnie.

– Dlaczego? To tylko tanie świecidełko.

– Ponieważ nie należy do ciebie.

Nybakk ściągnął obrączkę i podał ją Harry'emu.

– Ja nic nie wiem – powiedział.

– O czym?

– O tym, o co będziesz mnie wypytywał. O Dubaju. Spotkałem go dwa razy, ale za każdym razem miałem zawiązane oczy, więc nie wiem, gdzie byłem. Ci jego dwaj Rosjanie przyjeżdżali tutaj i dwa razy w tygodniu odbierali towar. Ale nigdy nie słyszałem żadnych nazwisk. Posłuchaj, jeśli chcesz pieniędzy, to mam...

– To po to?

– Co?

– Wszystko. Dla pieniędzy?

Nybakk parę razy mrugnął. Wzruszył ramionami. Harry czekał. W końcu po twarzy Nybakka przesunęło się coś w rodzaju zmęczonego uśmiechu.

– A jak ci się wydaje, Harry?

Ruchem głowy wskazał na stopę.

Harry nie odpowiedział. Nie musiał tego słuchać. Nie wiedział, czy chce. Bo jeszcze by zrozumiał. A nie chciał zrozumieć. Że jednemu z dwóch chłopaków dorastających na Oppsal mniej więcej w takich samych warunkach pozornie drobna wrodzona wada może w tak dramatyczny sposób odmienić życie. Kilka inaczej ułożonych kości powodujących, że stopa zawija się do środka i jest o kilka numerów mniejsza od drugiej. *Pes equinovarus*. Stopa końsko-szpotawa. Ułomność, która daje nieco gorszą pozycję startową i którą trzeba jakoś kompensować. Trzeba się bardziej starać, żeby być atrakcyjnym dla innych. Dla chłopca wybierającego drużynę klasową, tego najfajniejszego, który chce mieć samych fajnych kumpli, dla dziewczyny z rzędu pod oknem, która uśmiecha się tak, że serce wybucha w piersi, chociaż ten uśmiech jest przeznaczony dla kogoś innego. Stig Nybakk na swojej końskiej stopie przemknął przez życie niezauważony. Niezauważony do tego stopnia, że Harry go nie zapamiętał. I wszystko szło bardzo dobrze. Zdobył wykształcenie, ciężko pracował, osiągnął kierownicze stanowisko. Sam zaczął wybierać drużynę. Ale brakowało najważniejszej rzeczy. Dziewczyny z rzędu pod oknem. Ona wciąż uśmiechała się do innych. Bogaty. Musiał być bogaty.

Bo pieniądze są jak szminka, przykrywają wszystko. Wszystko można za nie zdobyć. Również takie rzeczy, które nie są na sprzedaż. Szacunek, podziw, uczucie. Wystarczyło się rozejrzeć. Ślicznotki za każdym razem żenią się z pieniędzmi. Teraz więc przysłała kolej na niego, Stiga Nybakka z końskim kulasem.

Wynalazł violinę i świat powinien leżeć u jego stóp. Dlaczego więc go nie chciała? Dlaczego się odsuwała ze źle skrywanym obrzydzeniem, chociaż wiedziała, wiedziała, że już jest bogaty, a z każdym tygodniem zarabia coraz więcej?

Czy dlatego, że myślała o kimś innym? O tym, który podarował jej tę idiotyczną błyskotkę, którą nosiła na palcu? To niesprawiedliwe. Przecież pracował tak ciężko i bez przerwy, żeby spełnić kryteria osoby, która może być kochana. Musiała to w końcu zrozumieć. Dlatego ją sobie wziął. Zabrał z rzędu pod oknem. Ukrył tutaj, żeby już mu nie zniknęła. A żeby dopełnić małżeństwa z przymusu, zabrał jej obrączkę i włożył na własny

palec.

Tanią obrączkę, którą Irene dostała od Olega, który swego czasu ukradł ją matce, która z kolei dostała ją od Harry'ego, który kupił ją od handlarza na straganie z używanymi rzeczami, który z kolei... Jak w wierszyku. Harry pogładził palcem czarną ryse na złoconej powierzchni obrączki. Widział, a mimo to był ślepy.

Widział, kiedy pierwszy raz spotkał Stiga Nybakka i powiedział: „Obrączka. Miałem identyczną”.

I był ślepy, bo nie zastanowił się, na czym polega podobieństwo.

Rysa odsłaniająca poczerniałą miedź.

Dopiero gdy później zobaczył ślubną obrączkę Martine i od niej usłyszał, że jest jedynym człowiekiem na świecie, który kupił ślubną obrączkę z tombaku, powiązał Olega z Nybakkiem.

Później już nie miał wątpliwości, chociaż w tarasowym mieszkaniu Stiga Nybakka nie znalazł nic podejrzanego. Przeciwnie, tamten lokal był do tego stopnia pozbawiony wszelkich kompromitujących rzeczy, że odruchowo przyszło mu na myśl, że Nybakk swoje wyrzuty sumienia musi przechowywać gdzie indziej. W domu rodziców, który stał pusty, niesprzedany. W czerwonym domu na wzgórzu, ponad domem państwa Hole.

– Zabiłeś Gustę? – spytał Harry.

Stig Nybakk pokręcił głową. Miał ciężkie powieki, wydawał się senny.

– Alibi? – spytał Harry.

– Nie, nie mam.

– Mów.

– Byłem tam.

– Gdzie?

– Na Hausmanns gate. Miałem do niego przyjść. Groził, że na mnie doniesie. Ale kiedy dotarłem na Hausmanns gate, była tam policja. Ktoś już zdążył zabić Gustę.

– Już? Planowałeś zrobić to samo?

– Nie to samo. Nie mam pistoletu.

– A co masz?

Nybakk wzruszył ramionami.

– Wykształcenie chemika. Gusto był na głodzie. Chciał, żebyś mu dostarczył violinę.

Harry popatrzył na zmęczony uśmiech Nybakka i kiwnął głową.

– Wiedziałeś, że wszystko jedno, jaki rodzaj białego proszku przyniesiesz, Gusto i tak wstrzyknie to sobie od razu.

Zadzwonił łańcuch, kiedy Nybakk uniósł rękę i wskazał na drzwi.

– Irene. Mogę jej powiedzieć kilka słów, zanim...

Harry popatrzył na niego. Zobaczył coś, co rozpoznał. Uszkodzonego człowieka. Skończonego. Kogoś, kto zbuntował się przeciwko kartom, jakie rozdał mu los. I przegrał.

– Spytam ją.

Wyszedł. Irene nie było.

Znalazł ją w salonie. Siedziała w fotelu z podwiniętymi nogami. Harry z szafy na korytarzu przyniósł płaszcz i narzucił jej na ramiona. Mówił do niej cicho, spokojnie. Odpowiadała cichutko, jakby bała się echa odbijającego się od zimnych ścian pokoju.

Powiedziała, że to Gusto i Nybakk, a raczej Ibsen, bo tak na niego mówili, razem ją uwięzili. Zapłatą za nią było pół kilograma heroiny. Że była zamknięta od czterech miesięcy.

Harry pozwolił jej mówić. Czekał, aż powie wszystko, i dopiero wtedy zadawał następne pytanie.

O zabójstwie Gusta nie wiedziała nic, poza tym, co powiedział jej Ibsen. Nie wiedziała też, kim jest Dubaj ani gdzie mieszka. Gusto nic nie mówił. A Irene nie chciała o niczym wiedzieć. O Dubaju słyszała jedynie plotki, te same co zawsze, że krąży po mieście jak duch, nikt nie wie, kim jest ani jak wygląda. Że jest jak wiatr, którego nie da się schwytać.

Harry kiwnął głową. Ostatnio za często słyszał takie opisy.

– H.C. zawiezie cię na policję. To adwokat. Pomoże ci złożyć zawiadomienie o tym, co cię spotkało. Później zabierze cię do matki Olega. Będziesz mogła tam na razie zamieszkać.

Irene pokręciła głową.

– Zadzwonię do Steina, do mojego brata. Mogę mieszkać u niego. I...

– Tak?

– Muszę to zgłaszać?

Harry popatrzył na nią. Była taka młoda. Taka drobna. Jak pisklę. Nie dało się powiedzieć, co w niej pękło.

– To może poczekać do jutra – stwierdził Harry.

Zobaczył łzy napływające jej do oczu. I natychmiast pomyślał: nareszcie. Chciał położyć jej rękę na ramieniu, ale zdążył się powstrzymać. Ręka dorosłego obcego mężczyzny nie była chyba tym, czego akurat potrzebowała. Ale w następnej chwili łzy przestały płynąć.

– Czy jest... czy jest jakaś inna możliwość? – spytała.

– Na przykład jaka?

– Taka, żebym nie musiała go już widzieć. – Przytrzymała go wzrokiem. – Już nigdy –

szepnęła cicho.

Poczuł jej dłoń na swojej.

– Bardzo proszę – dodała.

Harry pogłaskał rękę dziewczyny, przełożył na jej kolana i wstał.

– Chodź, wyprowadzę cię stąd.

Kiedy zobaczył odjeżdżający samochód, wrócił do domu i zszedł do piwnicy. Nie znalazł nigdzie żadnego sznura, ale pod schodami wisiał wąż ogrodowy. Przyniósł go Nybakkowi i rzucił przed nim. Spojrzał na belkę. Dostatecznie wysoko.

Wyjął z kieszeni pojemniczek z zestrilem znaleziony w kieszeni Nybakka, wysypał jego zawartość na rękę. Sześć tabletek.

– Chorujesz na serce?

Nybakk potwierdził.

– Ile tabletek na dobę potrzebujesz?

– Dwie.

Włożył mu tabletki do ręki, a puste opakowanie schował do kieszeni.

– Wrócę za dwa dni. Nie wiem, ile jest dla ciebie warta sława pośmiertna. Hańba byłaby na pewno większa, gdyby twoi rodzice żyli. Ale na pewno słyszałeś, jak współwięźniowie traktują gwałcicieli. Jeśli cię nie zastanę, kiedy wrócę, zapomnę o tobie. Nigdy o tobie nie wspomnę. Jeśli będziesz czekał, zabiorę cię na policję. Jasne?

Kiedy Harry odchodził od Stiga Nybakka, jego krzyk towarzyszył mu aż do drzwi. Krzyk człowieka, który został zupełnie, ale to zupełnie sam ze swoim poczuciem winy, z własnymi upiorami, ze swoją samotnością i decyzjami. Rzeczywiście było w nim coś znajomego. Harry mocno zatrzęsął drzwiami za sobą.

Na Vetlandsveien złapał taksówkę i poprosił, żeby go zawiozła na Urtegata. Rana na szyi pulsowała, jakby miała własne tętno, jakby stała się żywym uwięzionym zwierzęciem, stworzonym z bakterii, które chciały się wydostać. Spytał, czy kierowca nie ma przy sobie czegoś przeciwbólowego, ale taksówkarz pokręcił głową.

Kiedy skręcili w stronę Bjørvika, Harry ujrzał fajerwerki nad Operą. Jakieś święto. Przyszło mu do głowy, że sam powinien coś uczcić. Przecież się udało. Znalazł Irene, a Oleg był wolny. Zrobił to, po co przyjechał. Dlaczego nie miał nastroju do świętowania?

– Co to za okazja? – spytał.

– Premiera jakiejś opery – odparł taksówkarz. – Woziłem tam dzisiaj eleganckich państwa.

– *Don Giovanni* – mruknął Harry. – Miałem zaproszenie.

– To dlaczego pan nie poszedł? Podobno dobre.

– Bo tak mi się smutno robi od tragedii.

Zdziwiony szofer popatrzył na niego w lusterku. Roześmiał się i powtórzył:

– Tak mi się smutno robi od tragedii?

Zadzwoił telefon. Klaus Torkildsen.

– Myślałem, że już nigdy nie będziemy rozmawiać – powiedział Harry.

– Ja też. Ale... jednak to sprawdziłem.

– To już nieważne. Jeśli o mnie chodzi, ta sprawa jest zakończona.

– Może i tak. Ale może chcesz wiedzieć, że tuż przed i tuż po zabójstwie Bellman, a raczej jego komórka, był w regionie Østfold, więc nie mógł tak szybko obrócić.

– Okej, Klaus. Dzięki.

– Okej. Nigdy więcej?

– Nigdy więcej. Znikam.

Harry się rozłączył. Oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy. Teraz będzie się cieszył.

Pod powiekami wiedział błyski fajerwerków.

CZĘŚĆ IV

„Jadę z tobą”.

Wszystko się udało.

Ona znów należała do niego. Harry przesunął się do przodu w kolejce do odprawy w wielkiej hali odlotów w Porcie Lotniczym Oslo. Nagle miał plan. Plan na resztę życia. W każdym razie jakiś plan. I upojne uczucie, którego nie potrafił nazwać inaczej niż szczęście.

Na monitorze nad stanowiskiem odprawy wyświetlało się „Thai Air Business Class”.

Wszystko wydarzyło się tak szybko.

Z domu Nybakka poszedł prosto do Martine w Latarni Morskiej, żeby oddać jej telefon, ale tam dowiedział się, że może go zatrzymać, bo załatwiła sobie nowy. Dał się również namówić na przyjęcie prawie nieużywanego płaszcza, w którym wyglądał możliwie. Wziął też przeciwbólowo trzy paracetamole, ale nie pozwolił Martine obejrzeć rany. Koniecznie chciała mu ją opatrzeć, a na to nie było czasu. Zadzwoił do Thai Air i załatwił bilet.

A potem się to stało.

Zatelefonował do Rakel, powiedział jej, że Irene się odnalazła, a ponieważ Oleg został zwolniony z aresztu, jego zadanie dobiegło końca. Teraz musiał wydostać się z kraju, zanim sam zostanie aresztowany.

Właśnie wtedy to powiedziała.

Harry zamknął oczy i jeszcze raz odtworzył w głowie słowa Rakel. „Jadę z tobą, Harry. Jadę z tobą, jadę z tobą”.

I jeszcze: „Kiedy?”.

Kiedy?

Z całego serca chciał powiedzieć: „Już. Pakuj torbę i przyjeżdżaj!”.

Zdołał jednak myśleć w miarę racjonalnie.

– Posłuchaj, Rakel. Jestem poszukiwany. A policja najprawdopodobniej ma też oko na ciebie, bo liczy, że doprowadzisz ją do mnie, rozumiesz? Wyjadę sam dziś wieczorem. Ty polecisz za mną. Jutro wieczornym samolotem Thai Air. Zaczekam w Bangkoku. Stamtąd pojedziemy do Hongkongu.

– Hans Christian może cię bronić, jeżeli cię aresztują. To na pewno nie będzie...

– Nie boję się długiej kary więzienia – przerwał jej Harry. – Dopóki będę w Oslo, Dubaj dosięgnie mnie wszędzie. Jesteś pewna, że Oleg jest w bezpiecznym miejscu?

– Tak. Ale chciałabym, żeby poleciał razem z nami, Harry. Nie mogę wyjechać...

– Oczywiście, że pojedzie z nami.

– Naprawdę? – usłyszał ulgę w jej głosie.

– Będziemy razem, a w Hongkongu Dubaj nas nie dosięgnie. Z Olegiem zaczekamy kilka dni, poproszę ludzi Hermana Kluita, żeby przyjechali do Oslo i go eskortowali.

– Uprzedzę Hansa Christiana. I zaraz zamówię bilet na jutro, kochany.

– Czekam w Bangkoku.

Pauza.

– Ale ty przecież jesteś poszukiwany, Harry. Jak się dostaniesz do samolotu bez...

– Proszę. Następny, proszę.

Harry otworzył oczy i zobaczył uśmiech kobiety za kontuarem. Podszedł, podał jej bilet i paszport.

– Nie mogę pana znaleźć, panie Nybakk.

Harry uśmiechnął się spokojnie.

– Miałem zarezerwowany bilet do Bangkoku za dziesięć dni, ale półtorej godziny temu dzwoniłem i przebukowałem go na dzisiaj.

Kobieta stuknęła w klawiaturę. Harry liczył sekundy. Wdech, wydech. Wdech.

– Jest, rzeczywiście. Późne rezerwacje nie zawsze od razu docierają. Ale tutaj jest uwaga, że towarzyszy panu Irene Hanssen.

– Ona leci tak, jak zaplanowaliśmy.

– Bagaż do odprawy?

– Nie.

I znów stukanie w klawiaturę. Nagle zmarszczyła czoło. Znów otworzyła paszport. Harry się spał. Kobieta włożyła kartę pokładową do paszportu i oddała mu dokumenty.

– Proszę się pospieszyć, panie Nybakk. Widzę, że *boarding* już się rozpoczął. Miłej podróży!

– Dziękuję – powiedział z większym przejęciem, niż planował, i pognął do kontroli bezpieczeństwa.

Dopiero po drugiej stronie maszyny prześwietlającej, kiedy już zbierał z taśmy klucze i komórkę Martine, zobaczył, że dostał SMS-a. Już miał go przenieść do folderu innych wiadomości dla Martine, kiedy się zorientował, że nadawca ma krótkie imię. B. Beate.

Ruszył biegiem do wyjścia numer 54. *Bangkok, final call.*

Przeczytał.

ZDOBYŁAM OSTATNIĄ LISTĘ. JEST NA NIEJ JEDEN ADRES, KTÓREGO NIE BYŁO U BELLMANA. BLINDERNVEIEN 74.

Harry schował telefon do kieszeni. Do kontroli paszportowej nie było kolejki. Otworzył paszport, kontroler go sprawdził wraz z kartą pokładową. Spojrzał na Harry'ego.

– Blizna jest młodsza niż zdjęcie – wyjaśnił szybko Harry.

Kontroler długo mu się przyglądał.

– Powinien pan sobie zrobić nowe, panie Nybakk – powiedział, zwracając mu dokumenty. Skinął na następną osobę.

Harry był wolny. Wyzwolony. Czekąco go zupełnie nowe życie.

Przed kontuarem przy wejściu do rękawa wciąż stało pięciu spóźnialskich. Harry spojrzał na kartę pokładową. Business class. Nigdy nie podróżował inaczej niż klasą ekonomiczną, nawet kiedy załatwiał sprawy Hermana Kluita. Stigowi Nybakkowi dobrze się powodziło. Dubajowi też. Powodzi. Teraz, w tej chwili roztrzęsiona ekipa na głodzie stoi i czeka, aż chłopak w koszulce Arsenalu powie: „Chodźcie”.

Dwie osoby przed nim.

Blindernveien 74.

Jadę z tobą. Zamknął oczy, żeby znów usłyszeć głos Rakel. I usłyszał. Jesteś policjantem? Tym się stałeś? Robotem, niewolnikiem mrowiska i myśli wysnutych przez innych?

Czy tak było?

Jego kolej. Pracownica linii lotniczych ponagliła go wzrokiem.

Nie, nie był niewolnikiem.

Podał jej kartę pokładową.

Ruszył. Szedł rękawem do samolotu. Przez szybę widział światła lądującej maszyny. Przelatującej ponad domem Torda Schultza.

Blindernveien 74.

Krew Mikaela Bellmana pod paznokciem Gusta.

Niech to szlag!

Harry wszedł na pokład, znalazł swoje miejsce i zatonął w skórzanym fotelu. Ale miękko! Wcisnął guzik i oparcie zaczęło opadać. Opadało. Aż przyjęło pozycję horyzontalną. Znow zamknął oczy. Chciał spać. Zasnąć. I obudzić się jako ktoś inny, w zupełnie innym miejscu.

Szukał jej głosu. Ale odezwał się inny głos:

Ja noszę fałszywą koloratkę, a ty fałszywą gwiazdą szeryfa. Jak trwała jest właściwie twoja ewangelia?

Krew Bellmana...w *Østfold*, więc nie mógłby tak szybko obrócić... Wszystko się ze sobą wiąże.

Harry poczuł na ramieniu czyjąś rękę i otworzył oczy.

Tajska stewardesa z mocno zaznaczonymi kośćmi policzkowymi uśmiechnęła się do niego:

– I'm sorry, sir, but you must raise your seat to an upright position before take-off.

Upright position.

Harry głęboko odetchnął i spuścił nogi z fotela. Wyjął komórkę. Spojrzał na listę ostatnich połączeń.

– Sir, you have to turn off...

Harry uniósł rękę i wcisnął „Oddzwon”.

– Przecież mieliśmy już nigdy nie rozmawiać? – odezwał się Klaus Torkildsen.

– Gdzie dokładnie w Østfold?

– Słucham?

– Bellman. Gdzie w Østfold przebywał Bellman, kiedy zabito Gustę?

– W Rygge, koło Moss.

Harry schował telefon do kieszeni i wstał.

– Sir, the seat belt sign...

– Sorry – powiedział Harry. – This is not my flight.

– I'm sure it is, we have checked passenger numbers and...

Harry ruszył na tył samolotu. Za plecami słyszał dreptanie stewardesy.

– Sir, we have already shut...

– Then open it.

Włączyła się szefowa stewardes:

– Sir, I'm afraid the rules don't allow us to open...

– I'm out of pills. – Harry sięgnął do kieszeni. Znalazł pustą fiolkę z etykietką zestrilu i podsunął ją pod nos stewardesy. – I'm mister Nybakk, see? Do you want a heart attack on board when we are over... let's say Afghanistan?

Minęła już jedenasta i w pociągu jadącym z lotniska do Oslo było prawie pusto. Harry nieobecny wzrokiem patrzył na pasek z wiadomościami na ekranie wiszącym pod sufitem z

przodu wagonu. Miał plan. Plan nowego życia. Zostało mu dwadzieścia minut na przygotowanie nowego. To idiotyzm. Mógł teraz siedzieć w samolocie do Bangkoku. Ale chodziło właśnie o to, że nie mógł teraz siedzieć w samolocie do Bangkoku. Po prostu był to tego niezdolny. Miał taką wadę wrodzoną. Ułomność. Jego szpotawość polegała na tym, że nigdy nie potrafił odpuścić, zapomnieć, uciec. Mógł pić, ale w końcu trzeźwiał. Mógł wyjeżdżać do Hongkongu, ale wracał. Bez wątpienia był ciężko uszkodzonym człowiekiem. A poza tym pastylki, które dała mu Martine, przestawały działać. Musiał mieć ich więcej. Z bólu kręciło mu się w głowie.

Wzrok miał wbity w wyniki kwartalne gospodarki i rezultaty zmagają sportowych, kiedy nagle przyszło mu do głowy: a jeśli to właśnie robił teraz? Jeśli uciekał, stchórzył?

Nie, tym razem było inaczej. Przebukował bilet na jutro. Na ten sam lot co Rakel. Zarezerwował nawet miejsce dla niej obok siebie w business class i zrobił dopłatę do jej biletu. Zastanawiał się, czy nie powinien dać jej znać, co robi, ale wiedział, co ona sobie pomyśli. Że się nie zmienił. Że wciąż nakręca go to samo szaleństwo. Że nikt nigdy się nie zmieni. Ale kiedy będą siedzieć obok siebie i przyspieszenie wciśnie ich w fotele, a potem uniosą się w górę, poczują lekkość i pewność, Rakel zrozumie, że to, co było, zostawili już za sobą, w dole, a podróż się zaczęła.

Zamknął oczy i dwa razy wymruczał numer lotu.

Wysiadł z pociągu, przeszedł przez kładkę dla pieszych do Opery i wyciągając nogi na włoskim marmurze, maszerował do głównego wejścia. Przez szyby widział elegancko ubranych konwersujących ludzi, jedzących zakąski i popijających drinkami, odgrodzonych sznurami w wypasionym foyer. Przed wejściem stał mężczyzna w garniturze ze słuchawką w uchu i rękami złożonymi na kroczu, jakby ustawiał się do muru przed rzutem wolnym. Szeroki w barach, ale nie mięśniak. Wyćwiczony wzrok już dawno zauważył Harry'ego. A teraz mężczyzna obserwował przestrzeń wokół niego, szukając czegoś, co mogłoby mieć ewentualne znaczenie. Oznaczało to, że był policjantem ze służby bezpieczeństwa, zatem burmistrz albo ktoś z rządu musiał być w teatrze. Kiedy Harry się zbliżał, mężczyzna zrobił dwa kroki w jego stronę.

– Przykro mi, to zamknięta impreza. Premiera – zaczął, ale urwał na widok identyfikatora Harry'ego.

– Nie mam nic wspólnego z twoim burmistrzem, kolego – powiedział Harry. – Muszę tylko zamienić z kimś parę słów w pewnej urzędowej sprawie.

Mężczyzna kiwnął głową, powiedział coś do mikrofonu w klapie marynarki i przepuścił Harry'ego.

Foyer było olbrzymim igloo, zamieszkanym, jak Harry stwierdził, przez wiele twarzy, które rozpoznawał mimo długiego pobytu na wygnaniu. Byli tam pozerzy z drukowanych mediów, gadające głowy z ekranów telewizyjnych, rozrywkowi artyści z branży sportu oraz mniej lub bardziej szare eminencje polityki i kultury. Harry zrozumiał, co Isabelle Skøyen miała na myśli, mówiąc, że kiedy wkłada szpilki, trudno jej znaleźć dostatecznie wysokiego towarzysza. Łatwo ją było znaleźć, bo górowała nad zebranymi.

Harry zrobił krok ponad sznurem i zaczął torować sobie drogę, powtarzając „przepraszam” i słuchając, jak białe wino chlupie wokół niego w kieliszkach.

Isabelle rozmawiała z mężczyzną o pół głowy od niej niższym, ale zachwyt malujący się na jej twarzy kazał Harry'emu przypuszczać, że facet o kilka głów przewyższa ją władzą i pozycją. Harry znalazł się już w odległości trzech metrów od Isabelle, gdy nagle wyrósł przed nim mężczyzna.

– Jestem tym policjantem, który przed chwilą rozmawiał z twoim kolegą na zewnątrz – wyjaśnił Harry. – Muszę zamienić kilka słów z nią.

– Bardzo proszę – odparł ochroniarz, ale Harry'emu wydawało się, że słyszy w tym jakiś podtekst.

Harry podszedł bliżej.

– Cześć, Isabelle – powiedział i zobaczył zdumienie na jej twarzy. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam... w karierze?

– Komisarz Harry Hole – przedstawiła go przy wtórze głośnego śmiechu, jakby powiedział niezły, chociaż zrozumiały tylko dla nich dwojga dowcip.

Stojący obok niej mężczyzna szybko wyciągnął rękę i podał – zupełnie niepotrzebnie – swoje nazwisko. Długa wspinaczka na najwyższe piętro ratusza prawdopodobnie nauczyła go, że sympatia dla ludu nagradzana jest w dzień wyborów.

– Podobało się panu przedstawienie, komisarzu?

– I tak, i nie – odparł Harry. – Przede wszystkim ucieszyłem się, że się już skończyło, i jechałem do domu, kiedy zrozumiałem, że zostało jeszcze parę rzeczy, których nie uporządkowałem.

– Na przykład?

– No cóż. Ponieważ Don Giovanni to złodziej i uwodziciel, raczej jest słuszne, że w ostatnim akcie zostaje ukarany. Chyba zrozumiałem, kim jest ten posąg, który przybywa po Don Giovanniego i zabiera go do piekła. Zastanawia mnie natomiast, kto mu powiedział, że

zastanie Don Giovanniego akurat w tym miejscu i w tym czasie. Możesz mi na to odpowiedzieć... – Harry się obrócił – ...Isabelle?

Isabelle uśmiechnęła się sztywno.

– Jeśli masz jakąś konspiracyjną teorię, to z zainteresowaniem jej wysłucham. Ale może kiedy indziej, bo akurat teraz rozmawiam z...

– Bardzo chciałbym zamienić z nią kilka słów już teraz. – Harry zwrócił się do rozmówcy Isabelle. – Oczywiście, jeżeli pan pozwoli.

Zobaczył, że Isabelle zamierza protestować, ale mężczyzna ją uprzedził:

– Oczywiście. – Uśmiechnął się, kiwnął głową i odwrócił się do starszej pary, która ustawiła się w kolejce do audiencji.

Harry ujął Isabelle pod ramię i pociągnął ją w stronę toalet.

– Cuchnie! – syknęła, kiedy przycisnął ją za barki do ściany przy wejściu do męskiej toalety.

– Ten garnitur już parę razy był w śmieciach – powiedział Harry i zobaczył, że kilka osób im się przygląda. – Posłuchaj, możemy to załatwić w sposób cywilizowany albo brutalnie.

– Co? Idź do diabła, Hole!

Harry nogą otworzył drzwi do męskiej toalety i pociągnął ją za sobą.

Jakiś mężczyzna w smokingu przy umywalce zrobił wielkie oczy, kiedy Harry przyparł Isabelle Skøyen do drzwi jednej z kabin i przycisnął przedramię do jej szyi.

– Bellman był u ciebie, kiedy zginął Gusto – wysyczał Harry. – Gusto miał pod paznokciami jego krew. Palacz Dubaja jest najbliższym współpracownikiem Bellmana i zaufanym przyjacielem z dzieciństwa. Jeśli zaraz nie zaczniesz mówić, zadzwonię do mojego człowieka w „Aftenposten” i jutro wszystko będzie w druku. Trafi też na biurko prokuratora. Więc co?

– Przepraszam – odezwał się mężczyzna w smokingu. Podeszedł bliżej, ale zachował dyskretną odległość. – Czy potrzebna jest jakaś pomoc?

– Wynoś się pan stąd, do ciężkiej cholery!

Mężczyzna popatrzył przerażony, może nie tyle słowami, co faktem, że wypowiedziała je Isabelle Skøyen, i czym prędzej wyszedł.

– Pieprzyliśmy się – oświadczyła zduszonym głosem.

Harry ją puścił. Po jej oddechu poznawał, że piła szampana.

– Różnęłaś się z Bellmanem?

– Wiem, że jest żonaty, ale się pieprzyliśmy, to wszystko – powiedziała, pocierając

szyję. – Pojawił się Gusto i podrapał Bellmana, kiedy ten próbował go wyrzucić. Jeśli chcesz donieść prasie, to bardzo proszę. Zakładam, że nigdy nie spałeś z mężatką. I nie zastanawiałeś się, co tytuły w gazetach zrobią żonie i dzieciom Bellmana.

– Próbujesz mi wmówić, że ten trójkąt z Gustem to zupełny przypadek? Jak go poznałaś?

– A jak ci się wydaje, Harry? W jaki sposób poznają się ludzie, którzy w przyszłości będą mieć władzę? Rozejrzyj się tylko. Zobacz, kto jest na tej imprezie. Wszyscy wiedzą, że Bellman zostanie nowym komendantem policji w Oslo.

– A ty masz obiecany stołek w ratuszu?

– Poznaliśmy się na jakimś otwarciu, na premierze czy wernisażu, już nie pamiętam. Takie rzeczy się po prostu dzieją. Możesz zadzwonić do Mikaela i spytać, kiedy to było. Ale może nie rób tego dzisiaj. Zamierzał spędzić miły wieczór z rodziną. To tylko... tak po prostu jest.

Tak po prostu jest. Harry się w nią wpatrywał.

– A co z Trulsem Berntsenem?

– Z kim?

– Z tym waszym małym palaczem. Kto go wysłał do Leona, żeby się mną zajął? Ty?

Czy Dubaj?

– O czym ty, na miłość boską, mówisz?

Harry zobaczył, że ona chyba rzeczywiście nie wie, kim jest Truls Berntsen. Isabelle Skøyen zaczęła się śmiać.

– Nie miej takiej skwaszonej miny, Harry!

Mógł siedzieć w samolocie do Bangkoku. Do innego życia.

Już szedł do drzwi.

– Harry, zaczekaj!

Odwrócił się. Isabelle, opierając się o drzwi toalety, podciągnęła sukienkę. Tak wysoko, że widział podwiązki. Na czoło opadł jej jasny lok.

– Skoro już mamy toaletę tylko dla siebie...

Popatrzył jej w oczy, były zamglone. Ale nie od alkoholu ani nie z podniecenia. To było co innego. Płakała? Twarda, samotna, gardząca sobą Isabelle Skøyen. I co z tego? Była tylko kolejną rozgoryczoną osobą, gotową zrujnować życie innym, byle tylko dostać to, co jej się należało z racji urodzenia. Być kochaną.

Drzwi po wyjściu Harry'ego wahały się w obie strony. Uderzały o gumową listwę coraz szybciej i szybciej, niczym narastający ostatni aplauz.

Harry wrócił przez kładkę dla pieszych na dworzec, po schodach zszedł na Plata. Na drugim końcu znajdowała się całodobowa apteka, ale tam zawsze była długa kolejka. Wiedział zresztą, że tabletki sprzedawane bez recepty nie mają dostatecznej mocy, by uśmierzyć taki ból. Ruszył przez Park Heroinowy. Zaczęło padać. Światła latarni odbijały się miękko w mokrych szynach tramwajowych biegnących w górę Prinsens gate. Idąc, rozmyślał i oceniał. Strzelba Nybakka na Oppsal była najłatwiej dostępna. Poza tym miała większy rozrzut. Żeby dostać się do sztucera za szafą w pokoju 301, musiał wejść niezauważony przez nikogo do Leona, a nie miał nawet pewności, czy ktoś już go nie znalazł. Ale sztucer ma bardziej ostateczny skutek.

Zamek w bramie prowadzącej na podwórze do Leona był zniszczony. Niedawno wyłamany. Przypuszczał, że właśnie tą drogą tamci dwaj w garniturach dostali się do hotelu, kiedy przyszli do niego z wizytą.

I rzeczywiście, zamek w tylnych drzwiach też był okaleczony.

Wszedł na górę po wąskich schodach funkcjonujących jako wyjście awaryjne. W korytarzu na trzecim piętrze nie było nikogo widać. Zapukał do pokoju 310, spytał Catona, czy policja już tu była. Ewentualnie ktoś inny. Co robili. O co pytali. Co im powiedział. Ale nikt mu nie otworzył. Przyłożył ucho do drzwi. Cisza.

Drzwi do jego pokoju nawet nie próbowano reperować, więc klucz w zasadzie był zbędny. Zauważył krew, która wsiąkła w goły cement, widoczny w miejscu, z którego usunął próg.

Nie zrobiono też nic ze zbitym oknem.

Harry nie zapalał światła. Wsunął rękę za szafę i stwierdził, że nie znaleźli sztucera. Pudełko z nabojami też leżało obok Biblii w szufladzie nocnej szafki. Uświadomił sobie, że policji tu nie było. Hotel Leon, jego mieszkańcy i sąsiedzi nie widzieli powodu, by angażować stróżów prawa z powodu kilku marnych ładunków śrutu. W każdym razie dopóki nie było żadnego trupa. Otworzył szafę. Nawet jego ubrania i płócienna walizeczka pozostały na swoim miejscu. Jakby nic się nie zdarzyło.

Dostrzegł kobietę w pokoju naprzeciwko.

Siedziała na krześle przed lustrem z odsłoniętym karkiem, obrócona do niego tyłem. Chyba czesała włosy. Ubrana była w sukienkę, która wyglądała na dziwnie staroświecką, nie starą, po prostu staroświecką, jak niedawno uszyty kostium z innej epoki. Harry, nie bardzo wiedząc dlaczego, krzyknął przez wybite okno. Krótki, głośny wrzask. Kobieta nie zareagowała.

Na ulicy zrozumiał, że nie da rady. Szyja płonęła żywym ogniem. W tym gorącu pory

pompowały pot. Był przemoczony i już czuł pierwsze dreszcze.

W barze zmienili piosenkę. Z otwartych drzwi płynęło *And It Stoned Me* Van Morrisona.

Coś przeciwbólowego.

Zrobił krok na jezdnię. Usłyszał przenikliwie rozpaczliwe dzwonicie i moment później pole widzenia wypełniła mu niebieskobiała ściana. Przez cztery sekundy stał nieruchomo na środku ulicy, w końcu tramwaj przejechał, i znów pojawiły się otwarte drzwi do baru.

Barman drgnął, kiedy podniósł wzrok znad gazety i zobaczył Harry'ego.

– Jim Beam – powiedział Harry.

Chłopak mrugnął dwa razy, ale znieruchomiał. Gazeta spadła na podłogę.

Harry położył na kontuarze wyjęte z portfela banknoty euro.

– Daj mi całą butelkę.

Barman otworzył usta. Nad T wytatuowanym w EAT pojawił się wałek tłuszczu.

– Dawaj i znikam! – prawie krzyknął Harry.

Barman szybko spojrział na banknoty. Przeniósł wzrok na Harry'ego. Zdjął butelkę Jima Beama z półki, nie spuszczać z niego oczu. Harry westchnął, widząc, że w butelce jest mniej niż połowa. Wsunął ją do kieszeni płaszcza, rozejrzał się, próbował znaleźć jakieś godne zapamiętania słowa na pożegnanie, zrezygnował, krótko skinął głową i wyszedł.

Zatrzymał się na rogu Prinsens i Dronningens gate. Najpierw zadzwonił do informacji telefonicznej, potem otworzył butelkę. Od zapachu burbona żołądek aż się skręcił. Wiedział jednak, że nie zdoła zrealizować tego, co zamierzał, bez znieczulenia. Minęły już trzy lata. Może coś się poprawiło. Przyłożył szyjkę do ust. Odchylił głowę i uniósł butelkę. Trzy lata trzeźwości. Trucizna uderzyła w organizm jak bomba z napalmem. Nic się nie polepszyło. Było gorzej niż kiedykolwiek. Na szeroko rozstawionych nogach nachylił się do przodu, wyciągnął rękę i oparł o mur, żeby nie trafić w spodnie albo w buty.

Za plecami usłyszał stukot wysokich obcasów.

– *Hey, mister. Me beautiful?*

– *Sure* – zdążył odpowiedzieć, zanim gardło się wypełniło. Żółta struga uderzyła w chodnik z imponującą siłą i rozbryzgiem. Wysokie obcasy zaczęły się oddalać z prędkością godną kastanietów. Harry przeciągnął ręką przez usta i spróbował jeszcze raz. Głowa odchylona, whisky z żółcią spłynęła do żołądka. I znów wystrzeliła.

Trzeci łyk został. Na chwilę.

Czwarty trzymał się pewnie.

Piąty oznaczał niebo.

Harry zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres.

Truls Berntsen gnał przez ciemność. Przeszedł przez parking pod blokiem, gdzie świeciło się w oknach bezpiecznych dobrych domów, w których teraz wyciągano drobne przekąski i dzbanki z kawą, a może nawet jakieś piwo. I włączano telewizor, bo skończyły się już wiadomości i można było popatrzeć na coś przyjemniejszego. Truls zadzwonił na komendę i powiedział, że jest chory. Nikt nie spytał, co mu dolega. Spytano tylko, czy będzie chorował przez wszystkie trzy dni, na które przysługuje wolne na podstawie własnego zgłoszenia. Odparł, że skąd może, do cholery jasnej, wiedzieć, czy będzie chory akurat przez trzy dni. Przeklęty kraj wagarowiczów. Przekłęci hipokryci u władzy, twierdzący, że ludzie tak naprawdę chcą pracować, jeśli mogą. Norwegowie głosują na Partię Pracy, ponieważ to ta partia uczyniła z lenistwa jedno z praw człowieka. Kto, do diabła, nie będzie głosował na partię, która przez trzy dni pozwala nie przychodzić do pracy bez usprawiedliwienia? Daje *carte blanche* pozwalającą siedzieć w domu i walić konia, iść na narty albo wytrzeźwieć po pijaństwie. Partia Pracy oczywiście świetnie wiedziała, czym jest to dobro, a mimo to próbowała uchodzić za odpowiedzialną. Podkreślała „zaufanie” do większości obywateli i prawo do leserki nazywała reformą socjalną. Uczciwsza już jest Partia Postępu, która kupuje głosy za ulgi podatkowe i w zasadzie przestała to ukrywać.

Przez cały dzień zastanawiał się nad tym, przeglądając swoją broń. Ładował, sprawdzał, upewniał się, czy drzwi są zamknięte, kontrolował wszystkie samochody pojawiające się na parkingu przez celownik optyczny märklina, wielkiego snajperskiego karabinu, zatrzymanego w sprawie ponad dziesięć lat temu. Osoba odpowiedzialna za magazyn skonfiskowanej broni K1 w Budynku Policji sądziła, że wciąż tam leży.

Truls wiedział, że prędzej czy później będzie musiał wyjść po coś do jedzenia, ale czekał, aż zrobi się ciemno i na ulicy będzie mało ludzi. Dochodziła już prawie jedenasta, pora zamknięcia Rimi, kiedy zabrał swojego steyra, wymknął się z domu i pobiegł do spożywczego. Chodził wzdłuż półek z jednym okiem wbitym w towary, a drugim w klientów, którzy jeszcze tu się szwendali. Kupił tygodniowy zapas obiadów produkowanych przez firmę Fjordland. Nieduże przezroczyste torebki z obranymi ziemniakami, klopsikami, duszonym grochem i sosem. Wystarczy na kilka minut wrzucić do rondla z wrzącą wodą,

rozciąć torebki i wszystko spłynie na talerz z młasniciem. A jeśli się przy tym zamknie oczy, nawet przypomina prawdziwe jedzenie.

Truls Berntsen był już przy drzwiach wejściowych do bloku i włożył klucz w zamek, gdy w ciemności usłyszał nagle za sobą prędkie kroki. Rozpaczliwie się obrócił, z ręką na pistolecie pod kurtką, ale ujrzał tylko przerażoną twarz Vigdis A.

– Prze-przestraszyłam cię? – wyjąkała.

– Nie – odparł krótko Truls i wszedł, nie przytrzymując jej drzwi, ale słyszał, że i tak zdołała się precyzyjnie przycisnąć, zanim się zatrzasnęły.

Wcisnął guzik windy. Czy się przestraszył? Cholera, pewnie że tak. Na karku siedzieli mu syberyjscy kozacy. Czy dziwne, że się bał?

Vigdis A. dyszała za jego plecami. Roztyła się tak, jak większość z nich. Nie żeby jej odmówił, ale dlaczego nikt nie mówił wprost, że Norweżki zrobiły się takie grube, że nie dość, że będą umierać na jedną z mnóstwa tych strasznych chorób, to jeszcze wstrzymają reprodukcję rasy, wyludnią kraj. Bo w końcu żaden facet nie będzie chciał błędzić w takim tłuszczu, nie licząc oczywiście własnego.

Przyjechała winda. Wsiedli. Liny jęknęły z bólu.

Czytał, że waga mężczyzn również wzrosła, ale nie widać tego w taki sam sposób. Faceci mają mniejsze tyłki, po prostu wyglądają na potężniejszych i silniejszych. Tak jak i on. Cholera, wyglądał lepiej teraz niż dziesięć kilo temu. Ale u kobiet pojawiał się ten rozhuśtany tłuszcz, który wzbudzał w nim ochotę wymierzenia kopniaka tylko po to, żeby zobaczyć, jak stopa się zagłębia w tę miękkość. Wszyscy wiedzieli, że tłuszcz to nowy rak, a mimo to podnosił się krzyk przeciwko hysterii odchudzania i zaczynało czuć „prawdziwe” kobiece ciało. Jakby brak mięśni i przejadanie się było czymś w rodzaju odwrócenia ideału próżności. Bądźcie, do cholery, zadowoleni z takiego ciała, jakie macie. Niech raczej sto osób umrze na choroby serca i układu krwionośnego niż jedna na anoreksję. Teraz nawet Martine tak wyglądała. Owszem, wiedział, że jest w ciąży, ale nie mógł uwolnić się od myśli, że ona też stała się jedną z nich.

– Wyglądasz na zmarzniętego – zauważyła Vigdis A. z uśmiechem.

Truls nie wiedział, co oznacza to „A.”, ale tak było napisane przy jej dzwonku. Vigdis A. Miał ochotę uderzyć ją z całej siły prawym prostym. Nie musiałby się bać, że porani kostki o te cholerne pulchne policzki. Chętnie by ją też przeleciał. Albo i jedno, i drugie.

Wiedział, dlaczego jest taki wściekły. Wszystko przez tę przeklętą komórkę.

Kiedy wreszcie zmusili centralę operacyjną Telenoru do śledzenia komórki Hølega, stwierdzili, że znajduje się w centrum, a konkretnie w pobliżu dworca. Nie było chyba

drugiego takiego miejsca w mieście, gdzie przewalałoby się tyle ludzi na okrągło przez całą dobę. Tuzin policjantów przeczesał więc tłum w poszukiwaniu Holego. Ciągnęło się to godzinami. I nic. W końcu jakiś złotodziób podrzucił dość banalny pomysł, żeby zsynchronizować zegarki, rozejść się po terenie dworca i dzwonić pod numer Holego z dokładnością co do sekundy raz na kwadrans. Jeśli któryś usłyszy wtedy dzwoniący telefon albo zobaczy, że ktoś sięga po aparat, mogli uderzać. Przecież gdzieś tu musiał być. Jak powiedzieli, tak zrobili. I rzeczywiście telefon znaleźli. W kieszeni ćpuna drzemiącego na schodach przy Jernbanetorget. Twierdził, że „dostał” ten telefon od jakiegoś faceta w Latarni Morskiej.

Winda się zatrzymała.

– Dobranoc – mruknął Truls i wysiadł.

Usłyszał, że drzwi za nim się zamykają i winda znów rusza.

Teraz klopsiki i DVD. Najpierw może *Szybcy i wściekli*. Gówniany film, to jasne, ale miał niezłe pojedyncze sceny. Albo *Transformers*. Megan Fox i długie przyjemne trzepanie konia.

Usłyszał jej oddech. Wysiadła z windy razem z nim, głupia cipa. No to Truls Berntsen poużywa sobie dziś wieczorem. Z uśmiechem odwrócił głowę. Ale coś go zatrzymało. Coś twardego. I zimnego. Truls wykręcił gałki oczne, usiłując spojrzeć do tyłu. Lufa.

– Owszem, dziękuję – rozległ się znajomy głos. – Chętnie wejdę do środka.

Truls Berntsen siedział w fotelu i patrzył w lufę własnego pistoletu.

Znalazł go. I odwrotnie.

– Nie możemy dalej spotykać się w taki sposób – powiedział Harry Hole. Papierosa umieścił w samym kąciku ust, żeby dym nie wpadał mu do oczu.

Truls nie odpowiedział.

– Wiesz, dlaczego wolę użyć twojego pistoletu? – spytał Harry, poklepując sztucer, który położył sobie na kolanach.

Truls dalej milczał.

– Bo wolę, żeby kule, które w tobie znajdują, dało się powiązać z twoją bronią.

Truls wzruszył ramionami.

Harry Hole nachylił się do przodu, a Truls dopiero teraz wyczuł alkohol w jego oddechu. Do diabła, facet jest pijany! Słyszał historie o tym, do czego był zdolny na trzeźwo, a teraz jeszcze zapił!

– Jesteś palaczem, Berntsen, a tu jest dowód.

Wyjął z portfela identyfikator, który mu odebrał razem z pistoletem.

– Thomas Lunder? Nie tak się nazywał facet, który przyszedł do Schultza na Gardermoen?

– Czego ty chcesz? – Truls zamknął oczy i odchylił głowę. Klopsiki i DVD.

– Chcę wiedzieć, jakie jest powiązanie między tobą, Dubajem, Isabelle Skøyen i Mikaelem Bellmanem.

Truls drgnął. Mikael? Co, u diabła, ma z tym wspólnego Mikael? I Isabelle Skøyen? Czy to nie ta polityk?

– Nie mam pojęcia... – Zobaczył, że kurek pistoletu się unosi. – Ostrożnie, Hole. Cyngiel jest krótszy, niż ci się wydaje.

Kurek uniósł się jeszcze bardziej.

– Chwileczkę. Zaczekaj, do diabła! – Truls Berntsen powiódł językiem po wnętrzu ust, szukając nawilżającej śliny. – O Bellmanie i Skøyen nie mam pojęcia. Ale o Dubaju...

– Pospiesz się.

– O nim mogę ci opowiedzieć.

– Co?

Truls Berntsen nabrał powietrza w płuca, przytrzymał i wypuścił prawie z jękiem.

– Wszystko.

W Trulsa Berntsena wpatrywało się troje oczu. Dwoje z jasnoniebieskimi rozmytymi alkoholem tęczęwkami. I jedno czarne, okrągłe. Lufa jego własnego steyra. Mężczyzna, który trzymał pistolet, bardziej leżał niż siedział w fotelu. Długie nogi wyciągnął na dywanie. Powiedział chropowatym głosem:

– No to mów, Berntsen. Opowiedz mi o Dubaju.

Truls dwa razy chrząknął. Cholernie mu zaschło w gardle.

– Któregoś wieczoru ktoś zadzwonił do mnie domofonem i powiedział, że chce zamienić ze mną kilka słów. Początkowo nie chciałem go wpuścić, ale wymienił pewne nazwisko i... Hm...

Truls przeciągnął kciukiem i środkowym palcem wzdłuż szczęki.

Harry czekał.

– To był taki drobny wypadek. Sądziłem, że nikt o nim nie wie.

– Jaki?

– Chodziło o aresztowanego, którego trzeba było nauczyć przyzwoitości. Nie sądziłem, by ktokolwiek wiedział, że... to ja go uczyłem.

– Poważne obrażenia?

– Rodzice chcieli wnieść sprawę, ale chłopak nie potrafił mnie rozpoznać podczas okazania. Zdaje się, że uszkodziłem mu nerw wzrokowy. Szczęście w nieszczęściu, co nie? – Truls zachrumkał nerwowo, ale szybko zamknął paszczę. – No ale okazało się, że ten człowiek, który stał u mnie pod drzwiami, wiedział. Stwierdził, że mam pewien talent do poruszania się poza zasięgiem radaru i że jest skłonny sporo płacić komuś takiemu jak ja. Mówił po norwesku bardzo elegancko, ale z lekkim akcentem. Wpuściłem go.

– Poznałeś Dubaja?

– Spotkałem go tylko ten jeden raz. Później dwa razy gdzieś mi mignął z daleka. Przyszedł sam. Stary człowiek w eleganckim, ale staroświeckim garniturze. Kamizelka, kapelusz i rękawiczki. Wyjaśnił, czego po mnie oczekuje. I ile zapłaci. Ostrożny gość. Zapowiedział, że po tym spotkaniu nie będziemy już się kontaktować bezpośrednio. Żadnych telefonów, żadnych maili, nic, co dałoby się wytropić. Dla mnie, że tak powiem, to było w porządku.

- Jak wobec tego ustalaliście swoje zadania?
- Wypisywał je na nagrobku. Wyjaśnił mi, gdzie mam ich szukać.
- Gdzie?
- Na Cmentarzu Staromiejskim. Tam też dostawałem pieniądze.
- Opowiedz mi coś więcej o tym Dubaju. Kto to jest?

Truls Bernsten w milczeniu patrzył przed siebie. Starał się oszacować rachunki. Wyliczyć konsekwencje.

- Na co czekasz, Berntsen? Słyszałem, że możesz mi powiedzieć o Dubaju wszystko.
- Zdajesz sobie sprawę z tego, ile ryzykuję, jeśli...
- Kiedy cię ostatnio widziałem, dwóch ludzi Dubaja próbowało podziurawić cię kulami. Więc nawet bez tego pistoletu, którym w ciebie celuję, już i tak jesteś w dupie, Berntsen! Gadaj, kto to jest?

Harry Hole patrzył wprost na niego. Truls miał wrażenie, że ten człowiek umie przejrzeć go na wylot. A kurek pistoletu znów się poruszył, upraszczając rachunki.

– Dobrze, już dobrze. – Berntsen uniósł ręce do góry. – On wcale nie nazywa się Dubaj. Tak na niego mówią, bo jego sprzedawcy noszą koszulki piłkarskie z reklamą linii lotniczych latających do tamtych krajów. Do Arabii.

- Masz dziesięć sekund na powiedzenie mi czegoś, czego sam się nie domyśliłem.
- Zaraz, chwileczkę. On się nazywa Rudolf Asajew, to Rosjanin. Rodzice byli intelektualistami, dysydentami. Uchodźcami politycznymi. W każdym razie tak twierdził podczas procesu. Mieszkał w wielu krajach i zna, zdaje się, z siedem języków. W Norwegii zjawił się w latach siedemdziesiątych, był jednym z pionierów przemytu haszyszu. Działał dyskretnie, ale w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym wydał go jeden z jego ludzi. A wtedy za przemyt i sprzedaż haszyszu groziło prawie tyle samo, ile za zdradę stanu. Długo siedział. Po odsiadce przeniósł się do Szwecji i przestawił na heroinę.

- Kara mniej więcej taka sama, za to zarobek dużo lepszy.
- No jasne. Stworzył gang w Göteborgu, ale po zabiciu policjanta musiał zejść pod ziemię. Jakieś dwa lata temu wrócił do Oslo.

- I to wszystko ci powiedział?
- Nie, nie. Sam się dowiedziałem.
- Tak? A w jaki sposób? Myślałem, że on jest duchem, o którym nikt nic nie wie.

Truls Berntsen spojrział na swoje ręce. Potem podniósł wzrok i znów popatrzył na Harry'ego. Po prostu musiał się uśmiechnąć, bo tyle razy miał ochotę komuś o tym opowiedzieć. A nie miał komu. O tym, jak wykiwał samego Dubaja. Oblizwał wargi.

– Kiedy siedział w tym fotelu, w którym ty się teraz rozwaliłeś, trzymał ręce na podłokietnikach.

– I?

– Rękaw koszuli mu się podsunął. Zrobiła się przerwa między rękawiczkami a brzegiem rękawa marynarki. Miał jakieś białe blizny. Wiesz, takie, jakie zostają, kiedy się usunie tatuaż. I kiedy zobaczyłem te ślady na nadgarstku, pomyślałem...

– O więzieniu. Siedział w rękawiczkach, żeby nie zostawić odcisków palców, które mógłbyś potem sprawdzić w rejestrze karnym.

Truls pokiwał głową. Hole był rzeczywiście bystry, to należało mu przyznać.

– No właśnie. Ale kiedy przyjąłem jego warunki, trochę się rozluźnił. Podałem mu rękę na pożegnanie, a on wtedy ściągnął rękawiczkę. Udało mi się z własnej dłoni zdjąć dwa całkiem niezłe odciski. Komputer od razu trafił.

– Rudolf Asajew. Dubaj. Jak zdołał tak długo ukrywać tożsamość?

Truls Berntsen wzruszył ramionami.

– Obserwujemy to w Pezecie przez cały czas. Jest jedna rzecz różniąca tych, którzy nie zostali złapani, od tych, którzy zostali. Nieduża organizacja. Mało ogniw. Mało zaufanych osób. Królowie narkotyków, którym się wydaje, że najbezpieczniejsi będą w otoczeniu całej armii, zawsze wpadają. Bo zawsze się trafi jakiś niewierny sługa, ktoś chce przejąć biznes albo sypnie za złagodzenie kary.

– Mówiłeś, że widziałeś go jeszcze kiedyś.

Berntsen kiwnął głową.

– W Latarni Morskiej. Wydaje mi się, że to był on. Na mój widok zawrócił w drzwiach i wyszedł.

– Więc to prawda, że krąży po mieście jak duch?

– A kto to wie?

– A co ty robiłeś w Latarni Morskiej?

– Ja?

– Policjantom nie wolno tam pracować.

– Znam jedną dziewczynę stamtąd.

– Mhm. Martine?

– Znasz ją?

– Przesiadywałeś tam i się na nią gapiłeś?

Truls poczuł, że krew napływa mu do twarzy.

– Ja...

– Spokojnie, Berntsen. Właśnie sam się uniewinniłeś.

– Co?

– To ty jesteś tym stalkerem, którego Martine uważała za wywiadowcę. Siedziałeś w Latarni Morskiej, kiedy zastrzelono Gusta, prawda?

– Stalkerem?

– Zapomnij o tym, tylko odpowiadaj!

– Do diabła. Nie myślałeś chyba, że... ja... Dlaczego miałbym załatwić Gusta Hanssena?

– Mogłeś dostać takie zlecenie od Asajewa – stwierdził Hole. – Ale sam też miałeś dobry powód. Gusto widział, jak zabiłeś człowieka na Alnabru. Wiertarką.

Truls Berntsen oceniał to, co powiedział Hole. Oceniał to jak policjant, który codziennie ma do czynienia z kłamstwami, nieustannie stara się odróżnić bief od prawdy.

– To zabójstwo dało ci też motyw do zabicia Olega Fauke. Bo on również był tego świadkiem. Osadzony, który próbował zadźgać Olega nożem...

– Nie pracowałem dla mnie! Musisz mi uwierzyć, Hole. Nie miałem z tym nic wspólnego. Ja tylko paliłem dowody. Nikogo nie zabiłem. Na Alnabru to był wypadek.

Hole przechylił głowę.

– A do Leona nie przyszedłeś po to, żeby mnie załatwić?

Truls przełknął ślinę. Ten Hole mógł go zabić, po prostu. Posłać mu kulkę w skroń, wytrzeć odciski palców i włożyć pistolet do ręki. Żadnych oznak włamania. Vigdis A. zezna, że widziała, jak Truls sam wraca do domu. Wyglądał na zmarzniętego. Samotnego. W pracy zgłosił, że jest chory. Pewnie depresja.

– Kim byli ci dwaj, którzy pojawili się później? To ludzie Rudolfa?

Truls kiwnął głową.

– Uciekli, ale w jednego udało mi się wpakować kulę.

– Co się stało?

Truls wzruszył ramionami.

– Chyba za dużo wiem. – Próbował się roześmiać, ale zabrzmiało to jak suchy kaszel.

Obaj na chwilę umilkli.

– Co masz zamiar zrobić? – spytał Truls.

– Pojmać go – odparł Hole.

Pojmać? Truls dawno nie słyszał, żeby ktoś używał tego słowa.

– Uważasz, że on ma niewielu ludzi wokół siebie?

– Góra trzech albo czterech – odparł Truls. – A może tylko tych dwóch.

– Mhm. Jakie masz inne żelastwo?

– Żelastwo?

– Oprócz tego. – Hole skinął głową w kierunku stołu, na którym leżały dwa pistolety i maszynowy MP5. Naładowane i gotowe. – Skuję cię i przeszukam mieszkanie, więc równie dobrze możesz mi powiedzieć.

Truls Berntsen przez chwilę się zastanawiał. W końcu wskazał sypialnię.

Hole pokręcił głową, kiedy Truls otworzył drzwi szafy w sypialni i włączył świetlówkę, która rzuciła niebieskie światło i wydobyła z mroku zawartość: sześć pistoletów, dwa duże noże, wielką pałkę, kastet, maskę gazową i *riot gun*, granatnik – krótką niezgrabną broń z cylindrem pośrodku zawierającym duże naboje z gazem łzawiącym. Truls w większość z tych rzeczy zaopatrzył się w magazynie policyjnym, gdzie w zasadzie liczone się z tym, że to i owo zniknie.

– Zupełnie ci odbiło, Berntsen.

– Dlaczego?

Hole pokazał palcem. Truls powbijał w tylną ściankę szafy gwoździe do zawieszania na nich broni i flamastrem obrysował poszczególne egzemplarze. Wszystko miało swoje miejsce.

– Kamizelka kuloodporna na wieszaku? Boisz się, że ci się pogniecie?

Truls nie odpowiedział.

– No dobrze. – Harry sięgnął po kamizelkę. – Daj mi ten granatnik, maskę gazową, amunicję do MP5 w pokoju i plecak.

Obserwował, jak Truls go napełnia. Wrócili do salonu, gdzie Harry dołożył jeszcze MP5.

Potem stanęli w drzwiach.

– Wiem, o czym myślisz – powiedział Harry. – Ale zanim wykonasz te telefony albo będziesz próbował mnie w jakiś inny sposób zatrzymać, powinieneś wiedzieć, że wszystko to, co wiem o tobie i o tej sprawie, jest złożone u adwokata. Został poinstruowany, jak ma się zachować, gdyby coś mi się stało. Jasne?

Łże, pomyślał Truls i kiwnął głową.

Harry zaśmiał się krótko.

– Oczywiście, uważasz, że kłamię, ale pewności mieć nie możesz, prawda?

Truls poczuł, że go nienawidzi. Nienawidzi tego pogardliwego obojętnego uśmiechu.

– A co będzie, jeśli przeżyjesz, Hole?

– Wtedy twoje problemy się skończą. Zniknę. Przeniosę się na drugą stronę kuli ziemskiej i już nigdy nie wrócę. Ostatnia rzecz... – Zapiął długi płaszcz na kuloodpornej kamizelce. – To ty usunąłeś Blindernveien siedemdziesiąt cztery z listy, którą dostał Bellman i przekazał mnie, prawda?

Truls Berntsen już chciał zaprzeczyć, ale coś, nagły odruch i jakaś niedokończona myśl jednak go powstrzymała. Prawdą natomiast było, że nigdy się nie dowiedział, gdzie mieszka Rudolf Asajew.

– Tak – odparł. Mózg już usiłował przetrawić tę informację. Przeanalizować, co może z niej wynikać. „Lista, którą dostał Bellman i przekazał mnie”. Próbował wyciągać wnioski, ale nie myślał dostatecznie szybko. To nigdy nie było jego mocną stroną. Potrzebował więcej czasu.

– Tak – powtórzył z nadzieją, że nie widać po nim zdziwienia. – Oczywiście, to ja skreśliłem ten adres.

– Zostawiam tu ten sztucer. – Harry otworzył komorę i wyjął naboje. – Jeśli nie wrócę, możesz go oddać do kancelarii adwokackiej Bach & Simonsen.

Wyszedł i trzasnął drzwiami. Truls słyszał jego długie kroki na schodach. Odczekał, aż będzie miał pewność, że nie zawrócą, i dopiero wtedy zareagował.

Hole nie zauważył märklina stojącego przy ścianie za zasłoną obok drzwi balkonowych. Truls sięgnął po wielki ciężki karabin snajperski, otworzył drzwi na balkon. Oparł lufę o barierkę. Kropił lekki deszcz i było zimno, ale – co ważniejsze – prawie bezwietrznie.

Zobaczył, jak Hole wychodzi z bloku. Długi płaszcz plątał mu się między nogami, kiedy maszerował do czekającej na parkingu taksówki. Wypatrzył go dzięki wrażliwemu na światło celownikowi optycznemu. Niemiecka precyzja i sztuka rusznikarska. Obraz był ziarnisty, ale wystarczająco wyraźny. Mógł bez problemu dosięgnąć stąd Holego. Kula przestrelałaby go od czaszki po podeszwy stóp albo jeszcze lepiej – wyszła tam, gdzie ma swoje przybory do rozmnażania. Broń przecież skonstruowano pierwotnie do polowania na słonie. Ale jeśli zaczeka, aż Hole znajdzie się w świetle którejś z latarni na parkingu, strzał będzie jeszcze pewniejszy. A poza tym to cholernie praktyczne. Na parkingu jest mało ludzi o tak późnej porze i nie będzie musiał ciągnąć trupa daleko do samochodu.

Instrukcje przekazane adwokatowi? Ha, na pewno! Ale trzeba będzie rozważyć, czy i jego nie należałoby usunąć. Tak na wszelki wypadek. Hansa Christiana Simonsena.

Hole się zbliżał. Kark. Albo głowa. Kamizelka kuloodporna nie sięgała do samej góry.

Ciężka jak piekło. Lekko nacisnął spust. Cichutki, ledwie słyszalny głos mówił mu, że nie powinien tego robić. To zabójstwo. Truls Berntsen nigdy wcześniej nikogo wprost nie zabił. Torda Schultza nie załatwił on, tylko te przekłete psy Rudolfa Asajewa. A Gusto? Kto załatwił Gusto? W każdym razie nie on. Może Mikael Bellman? Albo Isabelle Skøyen.

Cichy głosik umilkł, a krzyżyk na celowniku jakby przylepił się do tyłu głowy Holego. Bum. Już wyobrażał sobie ten rozbryzg. Wcisnął spust trochę mocniej. Za dwie sekundy Hole znajdzie się w pełnym świetle. Szkoda, że nie można tego sfilmować. Wypalić na DVD. To byłoby lepsze niż Megan Fox, wszystko jedno z klopsikami Fjordland czy bez.

Truls Berntsen oddychał głęboko i powoli. Puls mu przyspieszył, ale pozostawał pod kontrolą.

Harry Hole znalazł się w świetle. Wypełnił celownik.

Naprawdę szkoda, że tego nie da się sfilm...

Truls Berntsen się zawahał.

Szybkie myślenie nigdy nie należało do jego mocnych stron.

Nie był głupi, po prostu czasami wolno myślał.

W okresie dorastania właśnie to zawsze odróżniało go od Mikaela. Mikael był tym, który myślał i mówił. Ale Truls w końcu też dochodził do tego samego, tak jak teraz. Jak ten brakujący adres na liście. Jak ten mały głosik, który szeptał mu, że nie powinien zabijać Harry'ego Hole. Przynajmniej nie teraz. Mikael powiedziałby, że to prosta matematyka. Hole ścigał Rudolfa Asajewa i Trulsa. Na szczęście w tej kolejności. Więc gdyby Hole załatwił Asajewa, wyeliminowałby przynajmniej jeden z problemów Trulsa. Tak samo byłoby, gdyby Asajew załatwił Holego. Ale z drugiej strony...

Harry Hole wciąż był w świetle.

Palec Trulsa zginał się jednostajnym ruchem. W KRIPOS miał drugie miejsce w strzelaniu z karabinu. Z pistoletu był najlepszy.

Wypuścił powietrze z płuc. Ciało miał rozluźnione. Wiedział, że nie musi się bać niekontrolowanego drżenia. Nabrał powietrza.

I opuścił karabin.

Przed Harrym ciągnęła się oświetlona Blindernveien. Wiła się niczym trasa kolejki górskiej przez pofałdowany krajobraz wśród starych willi, dużych ogrodów, budynków uniwersytetu i trawników.

Zaczekał, aż światła taksówki znikną, i dopiero wtedy ruszył.

Była za cztery pierwsza. Nigdzie żywego ducha. Taksówce kazał się zatrzymać przy numerze sześćdziesiąt osiem.

Dom pod adresem Blindernveien 74 stał za trzymetrowej wysokości ogrodzeniem w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów od drogi. Obok wznosił się cylindryczny w

kształcie murowany budynek wysokości i średnicy około czterech metrów. Jakby zbiornik na wodę. Harry nie widział wcześniej takich zbiorników w Norwegii, ale zauważył, że przy sąsiednim domu też jest coś podobnego. Do wielkiej drewnianej willi rzeczywiście prowadziła wysypana żwirem alejka. Główne wejście oświetlała nieduża pojedyncza lampka nad drzwiami z ciemnego i zapewne solidnego drewna.

Świeciło się w dwóch oknach na parterze i jednym na piętrze.

Harry stanął w cieniu pod dębem po przeciwnej stronie ulicy. Zdjął plecak. Przygotował granatnik, na głowę włożył maskę przeciwgazową w taki sposób, aby łatwo było zsunąć ją na twarz.

Deszcz prawdopodobnie pomoże mu podejść tak blisko, jak będzie musiał. Sprawdził, czy krótki pistolet maszynowy MP5 jest naładowany i odbezpieczony.

Przyszedł już czas.

Ale znieczulenie mijało.

Wyjął butelkę Jima Beama i odkręcił korek. Na dnie został ledwie widoczny łyk. Znów spojrzał na willę, potem na butelkę. Gdyby mu się udało, będzie potrzebował tego łyka na później. Zakręcił korek i schował butelkę do wewnętrznej kieszeni, razem z dodatkowym magazynkiem do MP5. Sprawdził, czy oddycha normalnie, czy mózg i mięśnie otrzymują dostateczną porcję tlenu. Spojrzał na zegarek. Minuta po pierwszej. Samolot odlatuje za dwadzieścia trzy godziny. Samolot jego i Rakel.

Odetchnął jeszcze dwa razy. Prawdopodobnie między furtką a domem działał jakiś alarm, ale Harry był zbyt ciężko obciążony, by szybko sforsować ogrodzenie. Nie miał też ochoty zawiesić się na płocie jak żywa tarcza, w której roli już wystąpił na Madserud allé.

Dwa i pół, pomyślał Harry. Trzy.

Ruszył do furtki, nacisnął klamkę i otworzył. Ujął w jedną rękę granatnik, w drugą MP5 i puścił się biegiem, ale nie alejką, tylko po trawniku. Kierował się do okna w salonie. Jako policjant uczestniczył w dostatecznie dużej liczbie szturmów połączonych z aresztowaniami, żeby wiedzieć, jak ogromne fory daje moment zaskoczenia. Nie chodzi tylko o to, kto strzeli pierwszy – nagłe efekty światła i dźwięku potrafią całkowicie sparaliżować przeciwnika. Ale wiedział też, ile taki moment zaskoczenia mniej więcej trwa. Dlatego liczył w duchu. Piętnaście sekund. Zakładał, że tyle ma czasu. Jeśli nie zdoła ich szybko obezwładnić, dojdą do siebie, przegrupują się i odpowiedzą atakiem. Znają dom. A on nie widział nawet szkicu.

Czternaście, trzynaście.

Od chwili gdy strzelił dwoma nabojami z gazem w okno, które wyleciało lawiną bieli,

czas jakby zwolnił, zmieniając się w zacinający się film, na którym Harry rejestrował, że się porusza, że ciało robi to, co powinno, ale mózg wychwytywał tylko urywki.

Dwanaście.

Zsunął maskę gazową na twarz, wrzucił granatnik do salonu, za pomocą MP5 zgarnął największe odłamki szkła, położył plecak na parapecie i podciągnął się na rękach. Udało mu się postawić na parapecie nogę i wskoczył do środka akurat w chwili, gdy biały dym zaczął sunąć w jego stronę. Ołowiana kamizelka utrudniała mu ruchy, ale kiedy znalazł się wewnątrz, miał wrażenie, że otacza go chmura. Ograniczone przez maskę przeciwgazową pole widzenia umacniało poczucie, że porusza się w filmie. Usłyszał strzał i padł na podłogę.

Osiem.

Kolejne strzały. Suchy odgłos rozrywanego parkietu. Oni nie byli sparaliżowani. Czekał. W końcu usłyszał. Kaszel.

Odruch, którego nie jest się w stanie powstrzymać, kiedy gaz łzawiący piecze w nos, śluzówki i płuca.

Pięć.

Harry obrócił MP5 i strzelił w siwą mgłę, z której dobiegał odgłos. Usłyszał krótkie nierówne kroki. Ktoś wbiegał po schodach.

Trzy.

Podniósł się i pobiegł za nim.

Dwa.

Na piętrze nie było dymu. Jeśli temu, który uciekał, się uda, szanse Harry'ego dramatycznie spadną.

Jeden. Zero.

Harry dostrzegł zarys schodów. Balustradę ze szczebelkami. Wsunął MP5 między nie, obrócił w bok i w górę. Wcisnął spust. Broń drżała mu w rękach, ale trzymał mocno. Opróżnił magazynek. Przyciągnął pistolet do siebie i jedną ręką wyjął stary magazynek, drugą szukając w kieszeni nowego. Znalazł tylko pustą butelkę. Stracił zapasowy magazynek, kiedy padł na podłogę! Pozostałe wciąż leżały w plecaku na parapecie.

Harry już wiedział, że nie żyje, kiedy usłyszał kroki na schodach. W dół. Zniżały się powoli, jakby z wahaniem, potem szybciej. I już pędziły. Harry zobaczył, jak z morza mgły wynurza się postać. Duch w białej koszuli i czarnym garniturze. Postać uderzyła o barierkę, złamała się w pół i bez życia zsunęła się do dolnego słupka. Harry zauważył na plecach marynarki wystrzępione dziury, którymi weszły kule. Podszedł do ciała, złapał za włosy i podniósł głowę. Zaczął się dusić i musiał mocno się powstrzymywać, żeby nie zdjąć maski.

Przelatująca kula w połowie urwała temu duchowi nos. A mimo to Harry go rozpoznał. To był ten mały, który stał w drzwiach w Leonie. Ten, który strzelał do niego z samochodu na Madsrud allé.

Harry nasłuchiwał. Nie wychwycił żadnego dźwięku oprócz syku naboju z gazem, z których wciąż wydobywał się biały dym. Cofnął się pod okno. Odnalazł plecak, zmienił magazynek, a jeszcze jeden włożył do kieszeni płaszcza. Dopiero teraz poczuł pot ciekący pod kamizelką.

A gdzie ten duży? Gdzie Dubaj? Znow nasłuchiwał. Syk gazu. Ale czy nie słyszał kroków nad głową?

Poprzez opary dostrzegł jeszcze jeden pokój i pchnął uchylone drzwi do kuchni. Tylko jedno zamknięte drzwi. Stanął przy nich, otworzył, wsunął granatnik do środka i wystrzelił dwa naboje. Zamknął drzwi i czekał. Policzył do dziesięciu. Otworzył i wszedł.

Pusto. Przez dym dostrzegł półki z książkami, fotel z czarnej skóry i duży kominek. Nad kominkiem wisiał obraz przedstawiający mężczyznę w czarnym mundurze Gestapo. Czyżby jakaś stara faszystowska willa? Harry wiedział, że norweski nazista, szef organizacji Hird, Karl Marthinsen mieszkał w zarekwirowanej willi na Blindernveien, kiedy dokończył swoich dni przeszyty kulami przed budynkiem Instytutu Nauk Przyrodniczych.

Zawrócił. Przeszedł przez kuchnię i przez typową dla tamtych czasów służbówkę za kuchnią, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Tylne schody.

Zwykle takie schody funkcjonowały również jako wyjście ewakuacyjne w razie pożaru. Ale te nie prowadziły do żadnego wyjścia, przeciwnie. Biegły dalej do piwnicy, a to, co kiedyś było kuchennym wejściem, zostało zamurowane.

Sprawdził, czy w bębenu jest jeszcze jeden nabój gazowy, i stąpając bezszelestnie, wszedł na górę. W korytarzu wystrzelił ostatni nabój, policzył do dziesięciu i ruszył dalej. Otwierał drzwi do kolejnych pomieszczeń, ból szyi atakował, ale wciąż udawało mu się skoncentrować. Oprócz pierwszych drzwi, które były zamknięte na klucz, wszystkie pozostałe pomieszczenia okazały się puste. Dwie sypialnie wyglądały na używane. Na jednym łóżku nie było wprawdzie prześcieradła, a materac pociemniał, jakby nasiąkł krwią. Na nocnej szafce w drugiej sypialni leżała duża gruba Biblia. Obejrzał ją. Cyrylica. Prawosławie. Obok leżał gotowy żuk. Czerwona cegła z sześcioma gwoździami. Dokładnie tej samej grubości co Biblia.

Wrócił do zamkniętych drzwi. Od potu na twarzy szkła okularów maski zaparowały. Zaparł się plecami o ścianę po drugiej stronie korytarza, uniósł nogę i kopnął w zamek. Puścił za czwartym razem. Harry przykucnął i posłał salwę w głąb pokoju. Usłyszał brzęk

tłuczonego szkła. Zaczekał, aż do pokoju wpadnie trochę gazu z korytarza, i dopiero wszedł. Zapalił światło.

Pokój był większy od pozostałych. Na łóżku z baldachimem pod ścianą leżała zmierzwiona pościel. Na nocnej szafce błysnął niebieski kamień w sygnecie.

Wsunął rękę pod kołdrę. Wciąż ciepła.

Rozejrzał się. Oczywiście człowiek, który niedawno tu leżał, mógł wyjść i zamknąć za sobą drzwi. Ale klucz wciąż tkwił w zamku od środka. Harry sprawdził okno. Starannie zamknięte. Spojrzał na masywną szafę ubraniową na krótszej ze ścian. Otworzył. Na pierwszy rzut oka wyglądała na zwykłą szafę, ale pchnął tylną ścianę. Uchyliła się.

Droga ucieczki. Niemiecka dokładność.

Harry rozsunął koszule i marynarki na boki i zajrzał za fałszywą ścianką. Wyczuł zimny powiew. Szyb. Pomacał ręką. W mur wbito żelazne stopnie. Wyglądało, że jest ich sporo, musiały prowadzić do piwnicy. Przez głowę przeleciał mu obraz. Oderwany fragment snu. Odsunął go od siebie, ściągnął maskę i wcisnął się za fałszywą ścianką. Stopy znalazły oparcie. A gdy ostrożnie spuszczał się na dół i twarz zatrzymała się na poziomie dna szafy, coś przykuło jego uwagę. Kawalek sztywnego nakrochmalonego płótna z białej bawełny w kształcie litery U. Sięgnął po to, schował do kieszeni płaszcza i dalej schodził w ciemność. Liczył stopnie. Po dwudziestu dwóch stopa dotknęła stałego podłoża. Ale kiedy miał dostawić drugą nogę, grunt nie wydawał się już taki stały, poruszył się lekko. Harry stracił równowagę, ale miał miękkie lądowanie.

Podejrzanie miękkie.

Leżał nieruchomo i nasłuchiwał. W końcu wyciągnął z kieszeni spodni zapalniczkę. Zapalił ją na dwie sekundy. Zgasił. Zobaczył już to, co chciał zobaczyć.

Wylądował na człowieku.

Na wyjątkowo dużym i wyjątkowo nagim człowieku. O skórze zimnej jak marmur i pokrytej typową sinością jednodniowego trupa.

Podniósł się i po cementowej podłodze podszedł do pancernych drzwi, które przed chwilą ujrzał w świetle płomienia. Obmacywał betonową ścianę, dopóki nie znalazł kontaktu. Przy zapalanej zapalniczce stanowił łatwy cel, natomiast kiedy światła było więcej, celem mogli być wszyscy. Trzymając MP5 w pogotowiu, przekreślił przełącznik.

Zapalił się rząd lamp, ciągnący się w głąb niskiego wąskiego korytarza.

Stwierdził, że jest sam. Spojrzał na trupa. Leżał na kocu, a brzuch miał obwiązany zakrwawionym bandażem. Z piersi patrzyła na Harry'ego Maryja Panna, symbolizująca, jak wiedział, że posiadacz tatuażu był kryminalistą od najmłodszych lat. Ponieważ zwłoki nie

miały innych obrażeń, Harry doszedł do wniosku, że uśmierciła go najpewniej rana ukryta pod bandażem, przypuszczalnie zadana przez kulę ze steyra Trulsa Berntsena.

Obmacał drzwi bunkra. Zamknięte. W ścianie, którą kończył się korytarz, tkwiła metalowa płyta wtopiona w mur. Innymi słowy, Rudolf Asajew miał stąd tylko jedno wyjście. Tunel. A Harry dobrze wiedział, dlaczego najpierw próbował wszystkich innych rozwiązań. Sen.

Zapatrzył się w głąb ciasnego korytarza.

Klaustrofobia to bezproduktywne fałszywe sygnały o niebezpieczeństwie, które należy zwalczać. Sprawdził, czy magazynek w MP5 się trzyma. Niech to szlag! Duchy istnieją tylko, jeśli pozwolisz im istnieć.

Ruszył.

Tunel okazał się jeszcze węższy, niż przypuszczał. Musiał kucać, a mimo to głową i ramionami zawadzał o porośnięte mchem sufit i ściany. Pomyślał, że to pewnie droga ewakuacyjna wykorzystywana przez Niemców. Może to by się nawet zgadzało z zamurowanymi tylnymi drzwiami. Z przyzwyczajenia starał się orientować, w jakim kierunku idzie, i jeśli się nie mylił, zmierzał w stronę sąsiedniego domu, tego z identycznym zbiornikiem na wodę. Korytarz zbudowano starannie. Zauważył nawet kilka odpływów, na wypadek gdyby przeciekał. Dziwne tylko, że budujący autostrady Niemcy zaplanowali tunel tak wąski. Kiedy pomyślał „wąski”, klaustrofobia zaczęła go dusić. Skupił się na liczeniu kroków. Próbował zwizualizować sobie, w jakim miejscu się znajduje, w stosunku do tego, co jest nad ziemią. Nad ziemią. Na zewnątrz. Na swobodzie. Oddychać. I liczyć. Liczyć, do diabła! Kiedy doszedł do stu dziesięciu, zobaczył białą kreskę na ziemi pod sobą. Widział, że światła na suficie ciągną się jeszcze kawałek, a kiedy się odwrócił, zrozumiał, że kreska musi oznaczać połowę korytarza. Po drobnych kroczkach, do jakich był tu zmuszony, ocenił przebytą odległość na jakieś sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów. Czyli niedługo dotrze do końca. Próbował przyspieszyć. Szurał nogami jak starzec. Nagle usłyszał jakieś kliknięcie i spojrzął w dół. Dźwięk doszedł z odpływu. Przegrodki obróciły się, ustawiły płasko i zaczęły na siebie nachodzić, mniej więcej tak jak wtedy, kiedy zamyka się nawiew w samochodzie. W tej samej chwili usłyszał inny dźwięk. Głęboki grzmot. Odwrócił się.

Dostrzegł błysk światła w metalu. To metalowa płyta na końcu korytarza poruszyła się i upadając, wydała ten dźwięk. Harry stanął, trzymając pistolet maszynowy w pogotowiu. Nie widział, co jest za tą płytą, było za ciemno. Nagle coś błysnęło, jak promień słońca odbity w fiordzie Oslo w piękne jesienne popołudnie. Na moment zapanowała idealna cisza. Harry'emu serce waliło jak szalone. Martwy wywiadowca, który leżał w środku tunelu i

utonął. Budowla przypominająca zbiornik na wodę. Dziwnie wąski korytarz. Mech na suficie niebędący wcale mchem, tylko algami. Nagle zobaczył, że ściana się zbliża. Zielonoczarna z białymi brzegami. Odwrócił się, żeby uciekać. I przekonał się, że z drugiego końca zbliża się taka sama ściana.

Czuł się tak, jakby stał między dwoma pociągami nadjeżdżającymi z przeciwka po tym samym torze. Ściana wody z przodu dotarła pierwsza. Rzuciła go do tyłu, uderzył czołem o podłogę, ale woda go uniosła i pchała dalej. Rozpaczliwie wymachiwał rękami. Palce i kolana szorowały o mur. Próbował się czegoś złapać, ale był bez szans wobec szalejących wokół niego sił. I nagle tak szybko, jak się zaczęło, wszystko się skończyło. Szarpnęło go od drugiej strony, kiedy płynące z dwóch różnych stron kaskady spotkały się i nawzajem zneutralizowały. A potem poczuł coś na plecach. Dwa białe, połyskujące zielonkawo ramiona objęły go od tyłu. Błede palce dotknęły twarzy. Harry odbił się od podłogi, obrócił i zobaczył, że trup z zabandażowanym brzuchem unosi się w ciemnej wodzie jak nieważki nagi astronauta. Otwarte usta, falujące w wodzie włosy i broda. Harry stanął. Woda sięgała już do sufitu. Przykucnął, dostrzegł MP5 i białą kreskę na podłodze pod sobą, gdy tylko zaczął płynąć. Stracił orientację, ale trup podpowiedział mu, w którą stronę powinien się kierować, żeby wrócić tam, skąd przyszedł. Płynął nieco bokiem w stosunku do ścian, by móc jak najmocniej poruszać rękami, nie pozwalając sobie na dokończenie tamtej myśli. Kuloodporna kamizelka za bardzo ściągała go w dół. Tamta myśl jednak przyszła. Nie wiedział, czy powinien tracić czas na zdjęcie płaszcza, unoszącego się w wodzie i zwiększającego opór. Próbował koncentrować się na tym, co powinien robić. Dopłynąć z powrotem do szybu. Nie liczyć sekund. Nie liczyć metrów. Ale już czuł ucisk w głowie, jakby zaraz miała eksplodować. I myśl mimo wszystko przyszła. Lato, pięćdziesięciometrowy odkryty basen. Wczesnie rano, prawie nie ma ludzi, słońce, Rakel w żółtym kostiumie bikini. Oleg i Harry ścigają się, kto dalej przeplynie pod wodą. Oleg w niezłej formie po sezonie łyżwiarskim, ale Harry ma lepszą technikę pływacką. Rakel kibicowała, śmiejąc się tym swoim cudownym śmiechem, kiedy się rozgrzewali. Obaj się przed nią popisywali. Była królową kąpieliska na Frogner, a Oleg i Harry poddanymi błagającymi o łaskawe spojrzenie. Zaczęli płynąć. I dopłynęli dokładnie do tego samego miejsca. Po czterdziestu metrach obaj wynurzyli się na powierzchnię, parszając, pewni zwycięstwa. Czterdzieści metrów. Dziesięć metrów do brzegu. Przy odbiciu od ściany basenu i swobodzie poruszania rękami. Trochę mniej niż połowa odległości do szybu. Nie miał szans. Umrze tutaj. Umrze już teraz, niedługo. Czuł, że oczy wysadza mu z głowy. Samolot odlatuje o północy. Żółte bikini. Dziesięć metrów do

brzegu. Mocniej poruszył rękami. Wiedział, że uda mu się to powtórzyć jeszcze raz. A potem umrze.

Było wpół do czwartej w nocy. Truls Berntsen jeździł po ulicach Oslo w lekkim deszczu, który szeptał coś cicho szybom. Jeździł tak już od dwóch godzin. Niczego nie szukał, po prostu jazda przynosiła mu spokój. Spokój potrzebny, żeby myśleć i żeby nie myśleć.

Ktoś usunął adres z listy, którą dostał Harry Hole. Nie zrobił tego on, Truls.

Może nie wszystko było tak oczywiste, jak mu się wydawało.

Jeszcze raz odtworzył w myślach wieczór, w który doszło do zabójstwa.

Gusto zadzwonił do jego drzwi na takim głoście, że cały się trząsł, i groził, że doniesie, jeżeli Truls nie da mu pieniędzy na violinę. Z jakiegoś powodu violina od kilku tygodni była nie do zdobycia, zapanowała *panic in needle park*. Trzy tysiące za ćwiartkę. Co najmniej. Truls obiecał, że podjadą do bankomatu, musi tylko wziąć kluczyki. Oczywiście zabrał steyra, nie było wątpliwości, co należy zrobić. Gusto mógł używać tej samej groźby raz po raz. Ćpuny są pod tym względem przewidywalne.

Ale kiedy wrócił do drzwi, chłopak zniknął. Pewnie wyczuł krew. Truls stwierdził, że może to i lepiej. Gusto nie doniesie, dopóki nie będzie mógł nic uzyskać w zamian. No i przecież sam brał udział w tym włamie. Była sobota. Truls miał tak zwaną służbę rezerwową, oznaczającą, że dyżurował pod telefonem. Wybrał się więc do Latarni Morskiej, trochę poczytał, popatrzył na Martine Eckhoff, wypił kawę. Nagle usłyszał syreny, a kilka sekund później zadzwonił telefon. Centrala Operacyjna. Dostali zgłoszenie o strzałach na Hausmanns gate 92, a nikogo z Wydziału Zabójstw nie było na dyżurze. Truls zaraz tam pobiegł. To zaledwie kilkaset metrów od Latarni Morskiej. Uruchomił wszystkie swoje policyjne instynkty, obserwował ludzi napotykanych po drodze, dobrze wiedząc, że to mogą być ważne obserwacje. Zwrócił uwagę na chłopaka w wełnianej czapce, który opierał się o mur w pobliżu tej kamienicy. Młody wpatrywał się w radiowóz zaparkowany przed bramą domu, w którym doszło do zabójstwa. Truls zwrócił uwagę na chłopaka, bo nie spodobało mu się, że tamten tak głęboko trzymał ręce w kieszeniach kurtki North Face. Za dużej i za grubej na tę porę roku, a kieszenie mogły skrywać wszystko.

Miał poważną minę, ale nie wyglądał na handlarza narkotykami. Kiedy policja przyprowadziła znad rzeki Olega Fauke i wsadziła go do radiowozu, chłopak gwałtownie się odwrócił i ruszył w dół Hausmanns gate. No cóż, Truls z całą pewnością mógłby wymienić

dziesięć innych osób, które zaobserwował przy miejscu zdarzenia, i ułożyć na ich temat podobne teorie spiskowe.

Tego chłopaka przypomniał sobie tylko dlatego, że zobaczył go później jeszcze raz. Na tym rodzinnym zdjęciu, które Harry Hole pokazał mu w Leonie.

Hole spytał, czy Truls rozpoznaje Irene Hanssen, więc zgodnie z prawdą odparł, że nie. Ale nie powiedział Holem, kogo rozpoznał na zdjęciu. Oczywiście Gusta, ale i tego drugiego chłopaka. Przybranego brata. Miał tę samą poważną minę. To jego widział w pobliżu miejsca, gdzie doszło do zabójstwa.

Truls zatrzymał się na Prinsens gate niedaleko Leona.

Miał włączone radio policyjne. I wreszcie usłyszał meldunek do centrali, na który czekał.

– Do Zero Jeden. Sprawdzaliśmy to zgłoszenie o awanturze domowej przy Blindernveien. Ale to wygląda tak, jakby się tu rozegrała bitwa. Gaz łzawiący i ślady jakiejś cholernej strzelaniny. Z całą pewnością z broni automatycznej. Jedna osoba zastrzelona. Próbowaliśmy zejść do piwnicy, ale jest pełna wody. Chyba powinniśmy prosić Deltę o sprawdzenie piętra.

– Ustalcie przynajmniej, czy jest tam ktoś jeszcze.

– Sam sobie przyjdź i ustalaj! Nie słyszałeś, co powiedziałem? Gaz i broń automatyczna!

– Dobrze, dobrze. Czego chcecie?

– Cztery radiowozy do zabezpieczenia okolicy. Delta. Technicy. I może... hydraulik.

Truls Berntsen przyciszył. Usłyszał pisk hamulców i zobaczył, jak tuż przed jakimś samochodem przebiega wysoka postać. Samochód zatrąbił z wściekłością, ale mężczyzna w ogóle na to nie zważał, tylko dalej maszerował w kierunku Leona.

Truls Berntsen zmrużył oczy.

Czy to naprawdę mógł być on? Harry Hole?

Mężczyzna miał głowę wciśniętą w ramiona zniszczonego płaszcza. Dopiero gdy się odwrócił i na twarz padło światło latarni, Truls zorientował się w pomyłce. W mężczyźnie było coś znajomego, ale to na pewno nie Hole.

Odchylił się na siedzeniu. Już wiedział. Wiedział, kto wygrał.

Patrzył na swoje miasto. Bo to miasto było teraz jego. Deszcz uderzający o dach samochodu mrucał cicho, że Harry Hole nie żyje. Łzy ściekały po przedniej szybie.

O drugiej w nocy, gdy większość ludzi zaspokoili już swoje potrzeby seksualne i poszła do domu, w hotelu Leon zrobiło się spokojniej. Chłopak w recepcji ledwie podniósł głowę, kiedy wszedł wysoki mężczyzna. Z włosów i płaszcza pastora ściekał deszcz. Dawniej, kiedy Cato wracał w środku nocy po kilku dniach nieobecności, recepcjonista pytał go, co robił, ale odpowiedzi zawsze były takie długie, wykańczające, absorbujące i pełne szczegółów nieszczęść obcych ludzi, że przestał się tym interesować. Jednak tej nocy Cato wyglądał na bardziej zmęczonego niż zazwyczaj.

– Ciężka noc? – spytał chłopak z nadzieją, że usłyszy tylko „tak” albo „nie”.

– Sam wiesz – odparł stary człowiek i uśmiechnął się blado. – Co za ludzie! Przed chwilą omal mnie nie zamordowano.

– Tak? – spytał recepcjonista i od razu tego pożałował. Na pewno rozpocznie się długa opowieść.

– Jakiś pirat drogowy o mało mnie nie przejechał – wyjaśnił Cato, kierując się już w stronę schodów.

Chłopak odetchnął z ulgą i znów skupił się na swoim komiksie o Fantomie.

Stary wysoki człowiek włożył klucz w zamek drzwi do swojego pokoju i obrócił, lecz ku swojemu zdumieniu zobaczył, że już są otwarte.

Wszedł. Przekręcił wyłącznik, ale światło na suficie się nie zapaliło. Podniósł głowę, paliła się lampka nad łóżkiem. Mężczyzna, który na nim siedział, był wysoki, zgarbiony i ubrany w długi płaszcz tak jak on. Z płaszcza kapłała na podłogę woda. Bardzo różnili się od siebie, a mimo to stary po raz pierwszy poczuł się tak, jakby patrzył na własne lustrzane odbicie.

– Co tu robisz? – spytał szeptem.

– Oczywiście się włamałem – odparł tamten. – Żeby sprawdzić, czy nie masz czegoś wartościowego.

– Znalazłeś coś?

– Wartościowego? Nie. Ale znalazłem to.

Stary złapał coś, co tamten mu rzucił. Ujął to w palce i wolno skinął głową. Kawalek sztywnego wykrochmalonego bawełnianego płótna w kształcie litery U. Nie tak białego, jak powinno być.

– Więc znalazłeś to u mnie? – spytał stary.

– Tak. W twojej sypialni. W szafie z ubraniami. Włóż to.

– Dlaczego?

– Bo... chcę wyznać grzechy. A ty bez tego wyglądasz jak nagi.

Cato przyglądał się mężczyźnie, który siedział zgarbiony na łóżku. Włosy też miał mokre. Krople ściekały mu po bliźnie ciągnącej się wzdłuż szczęki aż do brody. Dalej kapaly na podłogę. Jedyne w pokoju krzesło stało na środku. Konfesjonał. Na stole leżała otwarta paczka cameli, obok zapalniczka i mokry złamany papieros.

– Jak chcesz, Harry.

Stary rozpiął płaszcz i wsunął koloratkę w szlufki koszuli kapłańskiej. Harry drgnął, kiedy Cato włożył rękę do kieszeni.

– Papierosy – wyjaśnił stary. – Dla nas obu. Twoje wyglądają tak, jakby utonęły.

Harry kiwnął głową, a stary podsunął mu otwartą paczkę.

– Po norwesku też dobrze mówisz.

– Odrobinę lepiej niż po szwedzku. Ale ty jako Norweg nie słyszysz obcego akcentu, kiedy mówię po szwedzku.

Harry wyjął czarnego papierosa. Przyjrzał mu się.

– Rosyjskiego akcentu? To masz na myśli?

– Sobranie Black Russian – odparł stary. – Jedyne dobre papierosy możliwe do zdobycia w Rosji. Podobno teraz produkowane na Ukrainie. Podkradam je Andriejowi. *À propos* Andrieja, co z nim?

– Niedobrze – odparł Harry i pozwolił, żeby stary mu przypalił.

– Przykro mi to słyszeć. *À propos* niedobrze, powinieneś nie żyć, Harry. Wiem, że byłeś w tunelu, kiedy otworzyłem śluzy.

– Rzeczywiście.

– Śluzy otworzyły się jednocześnie, a zbiorniki z wodą były pełne. Powinno cię rzucić na środek.

– I rzuciło.

– No to nie rozumiem. Ludzie doznają szoku i toną na środku.

Harry wypuścił dym kącikiem ust.

– Tak jak ludzie z ruchu oporu, którzy przyszli po szefa Gestapo?

– Nie wiem, czy Niemcy mieli kiedykolwiek okazję przetestować tę pułapkę podczas prawdziwego odwrotu.

– Ale ty przetestowałeś. Na tym policjancie.

– On był dokładnie taki jak ty, Harry. Mężczyźni, którym wydaje się, że mają powołanie, są niebezpieczni. I dla siebie, i dla otoczenia. Powinieneś utonąć, Harry, tak jak on.

– Ale jak widzisz, ciągle tu jestem.

– Wciąż nie rozumiem, jak to możliwe. Twierdzisz, że zostałeś sponiewierany przez wodę i zostało ci jeszcze tyle powietrza w płucach, żeby przepłynąć osiemdziesiąt metrów w lodowatej wodzie przez ciasny tunel w pełnym ubraniu?

– Nie.

– Nie?

Stary uśmiechnął się, naprawdę szczerze zaintrygowany.

– Nie. Miałem za mało powietrza w płucach. Ale na czterdzieści metrów wystarczyło.

– I co potem?

– Potem zostałem ocalony.

– Ocalony? Przez kogo?

– Przez tego, kto, jak powiedziałeś, jest w głębi ducha dobry. – Harry podniósł do góry pustą butelkę po whisky. Jim Beam.

– Whisky cię ocaliła?

– Butelka po whisky.

– Pusta butelka po whisky?

– Przeciwnie, pełna. – Harry włożył papierosa do ust, odkręcił korek i odwrócił butelkę nad głowę. – Pełna powietrza.

Stary patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Ty...

– Największym problemem po zużyciu całego powietrza z płuc było przyłożenie ust do szyjki i obrócenie butelki w wodzie szyjką do góry, żeby powietrze się unosiło i dało się nim zaciągnąć. Tak jak przy pierwszym nurkowaniu, ciało protestuje. Ma ograniczone zrozumienie dla fizyki i wydaje mu się, że zassie wodę i utonie. Wiesz, że w płucach mieszczą się cztery litry powietrza? No cóż, butelka powietrza i trochę woli przeżycia wystarczyły, żeby przepłynąć jeszcze czterdzieści metrów. – Harry odstawił butelkę i spojrzał sceptycznie na wyjętego z ust papierosa. – Niemcy powinni byli zbudować dłuższy tunel.

Harry obserwował starego. Widział, jak jego pomarszczona twarz pęka. Usłyszał śmiech, który brzmiał jak silnik starego kutra.

– Wiedziałem, że ty jesteś inny, Harry. Powiedzieli mi, że wrócisz do Oslo, kiedy tylko się dowiesz o Olegu. Rozpytywałem o ciebie. I teraz rozumiem, że te plotki nie przesadzały.

– Mhm. – Harry obserwował złożone dłonie pastora. Sam siedział na brzeжку łóżka z

obiema nogami mocno wspartymi o podłogę, jakby gotów do skoku. Tak mocno opierał się na palcach, że czuł cienką nylonową żyłkę pod podeszwą jednego buta. – A jak jest z tobą, Rudolfie? Plotki o tobie przesadzają?

– Zależy które.

– Hm. Na przykład ta, że w Göteborgu kierowałeś gangiem handlującym heroiną i zabiłeś tam policjanta.

– Wygląda na to, że to ja mam się spowiadać, a nie ty.

– Pomyślałem, że może zechcesz się pozbyć brzemienia grzechów i przekazać je przed śmiercią Jezusowi.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Świetnie, Harry, świetnie. No tak, musieliśmy go wyeliminować. Był naszym palaczem, a ja odniosłem wrażenie, że nie można mu już ufać. Nie mogłem wrócić do więzienia. Cuchnąca duszna wilgoć zżera duszę. Tak jak grzyb zżera ścianę. Codziennie zjada kawałek ciebie. Człowiek, którego masz w sobie, ginie. Więzienia życzą tylko mojemu najgorszemu wrogowi. – Popatrzył na Harry'ego. – Wrogowi, którego nienawidzę ponad wszystko.

– Wiesz, dlaczego ja wróciłem do Oslo. A jaki ty miałeś powód? Sądziłbym, że Szwecja to taki sam dobry rynek jak Norwegia.

– Miałem taki sam powód jak ty, Harry.

– Taki sam?

Rudolf Asajew zaciągnął się czarnym papierosem.

– Nie mówmy o tym. Po zabójstwie policja deptała mi po piętach. A naprawdę zadziwiające, jak daleko od Szwecji człowiek się znajduje już po przyjeździe do Norwegii.

– Po powrocie zostałeś tajemniczym Dubajem. Człowiekiem, którego nikt nie widział. Ale który podobno krążył po mieście nocą. Duch Kwadraturen.

– Musiałem się ukrywać. Nie tylko z uwagi na interesy, ale też dlatego, że nazwisko Rudolfa Asajewa wzbudziłoby u policjantów złe wspomnienia.

– Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte – pokiwał głową Harry. – Heroiniści padali jak muchy. Ale pewnie pamiętałeś o nich w swoich modlitwach, pastorze?

Stary wzruszył ramionami.

– Nie osądza się producentów sportowych samochodów, spadochronów do base jumping, ręcznej broni czy innych rzeczy, które ludzie kupują dla zabawy, a które ich uśmiercają. Ja dostarczam to, co inni chcą mieć. W takiej jakości i za taką cenę, która sprawia, że jestem konkurencyjny. Co klienci zrobią z tym towarem, to już ich sprawa. Masz

świadomość, że są dobrze funkcjonujący obywatele, którzy zażywają opiaty?

– Owszem, sam byłem jednym z nich. Różnica między tobą a producentem samochodów sportowych polega na tym, że tego, co ty robisz, zabrania prawo.

– Trzeba być ostrożnym w mieszaniu prawa z moralnością, Harry.

– Więc liczysz, że twój Bóg cię uniewinni?

Stary podparł brodę ręką. Harry wyczuwał jego zmęczenie, ale miał świadomość, że może być udawane, dlatego bacznie obserwował jego ruchy.

– Wiedziałem, że jesteś przykładnym policjantem i moralistą, Harry. Oleg dużo o tobie opowiadał Gustowi, wiesz o tym? Oleg kochał cię tak, jak każdy ojciec pragnie, by kochał go syn. Surowi moralisci i spragnieni miłości ojcowie jak my potrafia mieć ogromny wpływ. Nasza słabość polega na tym, że jesteśmy przewidywalni. Twój przyjazd był jedynie kwestią czasu. Mamy kontakt w Porcie Lotniczym Oslo. Możemy sprawdzać listy pasażerów. Wiedzieliśmy, że lecisz, jeszcze zanim wsiadłeś do samolotu w Hongkongu.

– Mhm. Masz na myśli palacza, Trulsa Berntsena.

Stary tylko się uśmiechnął.

– A co z Isabelle Skøyen z Rady Miasta? Z nią też współpracowałeś?

– Wiesz, że odpowiedzi zabiorę ze sobą do grobu. – Westchnął ciężko. – Chętnie umrę jak pies, ale nie jako donosiciel.

– No cóż – powiedział Harry. – Co było dalej?

– Andriej towarzyszył ci z lotniska do Leona. Ja mieszkam w różnych podobnych hotelach, kiedy krążę jako Cato. W Leonie spędziłem dużo czasu. Zameldowałem się dzień później.

– Po co?

– Żeby obserwować, co robisz. Chciałem wiedzieć, czy się do nas zbliżasz.

– Tak jak wtedy, gdy Sixpence tu mieszkał?

Stary kiwnął głową.

– Zrozumiałem, że możesz być niebezpieczny, Harry, ale polubiłem cię. Dlatego próbowałem ci przekazać kilka życzliwych ostrzeżeń. – Znow westchnął. – Ale ty nie słuchałeś. Oczywiście, że nie słuchałeś. Ludzie tacy jak ty i ja nikogo nie słuchają, Harry. Dlatego nam się udaje. I dlatego na koniec zawsze upadamy.

– Mhm. Czego się bałeś z mojej strony? Że zmuszę Olega do mówienia?

– Tego również. Oleg nigdy mnie nie widział. Ale nie miałem pewności, czy Gusto o mnie nie mówił. Gustowi niestety nie można było ufać. Zwłaszcza kiedy sam zaczął brać violinę.

Wyraz oczu starego sprawił, że Harry nagle zrozumiał, że tym, co brał za zmęczenie, jest po prostu ból. Czysty dojmujący ból.

– Więc kiedy rozumiałeś, że Oleg będzie ze mną rozmawiał, próbowałeś go zabić. A ponieważ to się nie udało, zaofiarowałeś mi swoją pomoc, żebym zaprowadził cię do kryjówki Olega.

Stary wolno pokiwał głową.

– Tu nie chodzi o osobistą urazę, Harry. Po prostu takie są zasady w tej branży. Donosiciele trzeba eliminować. Ale ty o tym wiedziałeś, prawda?

– Owszem. Chociaż to wcale nie oznacza, że cię oszczędzę, ponieważ stosowałeś się do swoich reguł.

– Ciągłe mnie tym straszysz. Dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś? Nie masz odwagi? Boisz się, że będziesz się smażył w piekle, Harry?

Harry zgasił papierosa na stoliku.

– Najpierw chcę się dowiedzieć kilku rzeczy. Dlaczego zabiłeś Gusta? Bałeś się, że cię wyda?

Stary odgarnął siwe włosy do tyłu za wielkie uszy.

– W żyłach Gusta płynęła krew złych ludzi, tak jak we mnie. Z natury był zdrajcą. Wydałby mnie wcześniej, ale nie mógł nic na tym zyskać. W końcu wpadł w rozpacz. Był na głodzie. Potrzebował violiny. To czysta chemia. Ciało jest silniejsze niż duch. A kiedy czujemy głód, wszyscy stajemy się zdrajcami.

– Tak – przyznał Harry. – Wtedy wszyscy stajemy się zdrajcami.

– Ja... – Stary musiał odchrząknąć. – Musiałem z niego zrezygnować.

– Zrezygnować?

– Tak. Pozwolić mu odejść, zniknąć. Zrozumiałem, że nie mogę mu pozwolić na przejęcie interesu. Był bystry, odziedziczył to po ojcu. Brakowało mu kręgosłupa. To z kolei odziedziczył po matce. Próbowałem przekazać mu odpowiedzialność, ale nie zdał egzaminu.

– Stary odgarniał włosy do tyłu coraz mocniej i mocniej, jakby były pokryte czymś, czego próbował się pozbyć. – Nie zdał egzaminu. Zła krew. Postanowiłem więc, że to musi być ktoś inny. Najpierw myślałem o Andrieju i Piotrze. Poznałeś ich? Syberyjscy kozacy z Omska. Kozak oznacza wolnego człowieka, wiedziałeś o tym? Andriej i Piotr to był mój pułk, moja *stanica*. Lojalni wobec swego atamana, wierni aż do śmierci. Ale Andriej i Piotr nie byli biznesmenami. – Harry zauważył, że stary gestykułuje, jakby zatonał we własnych myślach. – Nie mogłem im przekazać interesu. Zdecydowałem, że to będzie Siergiej. Młody, miał przed sobą przyszłość, dałby się ukształtować.

– Powiedziałeś mi, że sam może miałeś kiedyś syna.

– Siergiej nie miał głowy Gusta do liczb. Ale był zdyscyplinowany. Ambitny. Gotowy zrobić to, co należy, żeby zostać atamanem. Dałem mu więc nóż. Pozostał jeszcze ostatni sprawdzian. W dawnych czasach, żeby kozak mógł zostać atamanem, musiał sam iść do tajgi i wrócić z żywym wilkiem, powalonym i spętanym. Siergiej chciał to zrobić. Ale musiałem sprawdzić, czy jest też w stanie zrobić *eto szto nužno*.

– Słucham?

– To, co konieczne.

– Tym synem był Gusto?

Stary tak mocno odgarniał włosy do tyłu, że oczy zwężyły mu się w dwie szparki.

– Gusto miał sześć miesięcy, kiedy mnie wsadzili. Jego matka szukała pociechy tam, gdzie można ją znaleźć. Przynajmniej na krótko. Nie była w stanie się nim zajmować.

– Heroina?

– Służba Ochrony Praw Dziecka odebrała jej Gusto i oddała do rodziny zastępczej. Ustalono, że ja, więzień, nie istnieję. Zimą w dziewięćdziesiątym pierwszym przedawkowała. Szkoda, że nie zrobiła tego wcześniej.

– Powiedziałeś, że wróciłeś do Oslo z tego samego powodu co ja. Chodziło o syna?

– Dowiedziałem się, że wyprowadził się od zastępczej rodziny. Zszedł na złą drogę. I tak zamierzałem opuścić Szwecję, a konkurencja w Oslo nie była zbyt ostra. Sprawdziłem, gdzie się obraca Gusto. Najpierw obserwowałem go z daleka. Był taki piękny. Cholernie piękny. Jak jego matka, oczywiście. Zdarzało mi się tylko siedzieć i na niego patrzeć. Patrzeć i myśleć, że to mój syn. Mój rodzony... – Głos uwiązł mu w gardle.

Harry spuścił wzrok. Zerknął na żyłkę, którą dostał zamiast nowego karnisza. Butem przycisnął ją do podłogi.

– A potem ściągnąłeś Gusto do swojego sklepu. Sprawdzałeś, czy może go przejąć.

Stary pokiwał głową.

– Ale nigdy mu nic nie powiedziałem – szepnął. – Umarł, nie wiedząc, że jestem jego ojcem.

– Dlaczego nagle zaczęto ci się tak spieszyć?

– Spieszyć?

– Dlaczego ktoś musiał tak prędko przejąć interes? Najpierw Gusto, potem Siergiej.

Stary uśmiechnął się lekko. Nachylił się, jego twarz znalazła się w kręgu światła lampki nad łóżkiem.

– Jestem chory.

– Mhm. Właśnie tak myślałem. Rak?

– Lekarze dali mi rok. To było sześć miesięcy temu. Święty nóż, którego użył Siergiej, leżał pod moim materacem. Czujesz ból w ranie, Harry? To moje cierpienie nóż przeniósł na ciebie.

Harry wolno pokiwał głową. To się zgadzało. A zarazem nie zgadzało.

– Jeśli zostało ci tylko pół roku życia, to dlaczego aż tak się bałeś ujawnienia, że chciałeś zabić swojego syna? Jego długie życie w zamian za twoje krótkie?

Stary lekko kaszlnął.

– Urkowie i kozacy to prości żołnierze, Harry. Mamy swój kodeks, na który przysięgamy, i stosujemy się do niego. Nie na ślepo, tylko z otwartymi oczami. Jesteśmy nauczeni kontroli nad naszymi uczuciami. To z nas czyni panów naszego życia. Abraham zgodził się przecież oddać syna w ofierze, ponieważ...

– ...ponieważ Bóg tak mu nakazał. Nie mam pojęcia, o jakim kodeksie mówisz. Ale czy według niego należy pozwolić, by osiemnastolatek taki jak Oleg odpokutował za twoje przestępstwa?

– Harry, Harry, czyś ty tego nie zrozumiał? Ja nie zabiłem Gusta!

– Przecież przed chwilą powiedziałeś, że twój kodeks nakazuje zabić syna, kiedy tak trzeba?

– Owszem, ale mnie też zrodzili źli ludzie. Kocham syna. Nigdy nie byłbym zdolny odebrać mu życia. Przeciwnie, mówię: niech diabli wezmą Abrahama i jego Boga!

Śmiech starego przeszedł w kaszel. Przyłożył dłonie do piersi, nachylił się i dalej kasłał. Harry zamrugął.

– Wobec tego, kto go zabił?

Stary znów się wyprostował. W prawej ręce trzymał rewolwer. Duży, brzydki i chyba jeszcze starszy niż właściciel.

– Kto jak kto, ale ty powinienesz wiedzieć, że do mnie nie należy przychodzić bez broni, Harry.

Nie odpowiedział. MP5 leżał na dnie zalanego wodą tunelu. Sztucer został u Trulsa Berntsena.

– Kto zabił Gusta? – powtórzył Harry.

– Mógł to zrobić każdy.

Harry'emu wydało się, że słyszy skrzypienie kości, gdy palec starego zaginał się na spuście.

– Bo zabić nie jest trudno, Harry. Zgodzisz się ze mną?

– Zgodzę – odparł Harry, unosząc stopę. Świsnęło w powietrzu, kiedy cienka nylonowa żyłka wystrzeliła spod buta ku mocowaniu karnisza. Dostrzegł w oczach starego znak zapytania i dosłownie widział, jak jego mózg błyskawicznie przetwarza nieopracowane jeszcze urywki informacji.

Niedziałająca lampa na suficie.

Krzesło ustawione dokładnie na środku pokoju.

Harry, którego nie zrewidował.

Który nawet na moment nie ruszył się ze swojego miejsca na łóżku.

A może w półmroku dostrzegł również żyłkę, która spod buta Harry'ego biegła przez mocowanie karnisza do miejsca bezpośrednio nad jego głową. Do haka lampy. Na którym nie było już lampy, tylko jedyna rzecz, jaką Harry zabrał ze sobą z Blindernveien oprócz koloratki. Jedyne, co miał w głowie, kiedy leżał w łóżku z baldachimem w sypialni Rudolfa Asajewa, ciężko łapiąc oddech, pewien, że zaraz straci przytomność, a czarne kropki przemieszczały się w polu widzenia. Ale się nie poddał, nie chciał zostać po tej stronie mroku. Potem wstał, wszedł do drugiej sypialni i zabrał żuka, który leżał koło Biblii.

Rudolf Asajew szarpnął się w lewo, akurat na tyle, by stalowe gwoździe tkwiące w cegle nie uderzyły go w głowę, tylko przebiły skórę między obojczykiem a mięśniem czworobocznym grzbietu, w okolicy nerwów krzyżujących się w splocie ramiennym. W wyniku tego, gdy dwie setne sekundy później nacisnął spust, mięsień ramienia był sparaliżowany i ręka trzymająca rewolwer opadła o siedem centymetrów. Proch syknął i spalił się w tysięcznej części sekundy, jakiej kula potrzebowała na opuszczenie lufy starego nagana. Trzy tysięczne sekundy później wbiła się w ramę łóżka między łydkami Harry'ego.

Harry wstał. Odsunął zabezpieczenie na bok i wcisnął przycisk zwalniający. Rękojeść noża lekko zadrżała, gdy ostrze wyskoczyło. Wziął lekki zamach wyprostowaną ręką zza biodra i długie cienkie ostrze weszło między poły płaszczka, przebijając koszulę kapłańską. Poczł elastyczny opór materiału i skóry, ale zaraz ostrze zagłębiło się aż po rękojeść. Harry wypuścił nóż z ręki, wiedząc, że Rudolf Asajew umiera. Krzesło przewróciło się do tyłu i Rosjanin z jękiem upadł na podłogę. Odsunął się od krzesła, ale nie wstawał z podłogi. Zgiął się tylko wpół jak ranna, lecz wciąż niebezpieczna osa. Harry stanął nad nim okrakiem. Nachylił się i wyciągnął nóż. Popatrzył na wyjątkowo ciemnoczerwony odcień krwi. Może z wątroby. Lewa ręka starego sunęła po podłodze przy sparaliżowanym prawym ramieniu, szukając rewolweru. W przypływie dzikości Harry pomyślał, że może by go znalazła. Dałaby mu wymówkę do...

Kopniakiem odsunął rewolwer pod samą ścianę.

– Żelazo – szepnął stary. – Pobłogosław mnie moim żelazem, synku. Tak mnie pali w środku. Dla dobra nas obydwu, zakończ to.

Harry na krótką chwilę zamknął oczy. Poczuł, że coś z niego uchodzi. Coś znika. Nienawiść. Cudowna biała nienawiść, napędzająca go jak benzyna. Nagle jej nie miał.

– Nie, dziękuję – powiedział, zrobił krok i odsunął się od starego. Zapiął mokry płaszcz. – Odchodzę, Asajew. Poproszę chłopaka w recepcji, żeby wezwał karetkę. A potem zadzwonię do mojego byłego szefa i powiem, gdzie cię znajdują.

Stary zaśmiał się cicho. W kąciu ust pojawiły się różowe bańki.

– Nóż, Harry. To nie jest morderstwo, ja już jestem martwy. Nie pójdziesz za to do piekła, obiecuję. Powiem tym, którzy stoją w drzwiach, żeby cię nie wpuścili.

– Ja się nie boję piekła. – Harry schował mokre camele do kieszeni. – Ale jestem policjantem. A nasza praca polega na doprowadzaniu domniemyanych przestępców przed sąd.

Bańki pękły, kiedy stary zaczął kaszleć.

– Daj spokój, Harry. Ta twoja gwiazda szeryfa jest plastikowa. Jestem chory. Sędzia skaże mnie tylko na opiekę, spokój i morfinę. A przecież zabiłem tylu ludzi. Konkurentów, których wieszałem na moście. Pracowników, takich jak ten pilot, którego zlikwidowaliśmy za pomocą cegły. Policjantów też. Sixpence'a. Wysłałem Andrieja i Piotra do twojego pokoju, żeby cię zastrzelili. Ciebie i Trulsa Berntsena. A wiesz dlaczego? Żeby wyglądało, że pozabijaliście się nawzajem. Mieli zostawić broń jako dowód. Więc daj spokój, Harry.

Harry wytarł nóż o prześcieradło na łóżku.

– Dlaczego chcieliście zabić Berntsena? Przecież on dla was pracował?

Asajew odwrócił się na bok i w tej pozycji jakby oddychało mu się łatwiej. Po chwili odpowiedział:

– Suma ryzyka, Harry. Berntsen zrobił skok na magazyn heroiny na Alnabru za moimi plecami. To nie była moja heroina, ale kiedy się okazuje, że twój palacz jest taki chciwy, że nie możesz mu ufać, a jednocześnie wie o tobie dość, by cię załatwić, to suma ryzyka staje się za duża. A przedsiębiorcy tacy jak ja eliminują ryzyko. Uznaliśmy, że to świetna okazja, by upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ciebie i Berntsena. – Zaśmiał się cicho. – Tak jak wtedy, kiedy próbowałem zabić twojego syna w więzieniu. Słyszałeś? Czujesz nienawiść, Harry? Powtórzę: chciałem zabić twojego syna.

Harry zatrzymał się przy drzwiach.

– Kto zabił Gustę?

– Ludzie żyją według ewangelii nienawiści. Idź tropem nienawiści, Harry.

– Z kim kontaktujesz się w policji i w Radzie Miasta?

– Jeśli ci to powiem, pomożesz mi skończyć?

Harry popatrzył na starego, krótko skinął głową. Miał nadzieję, że kłamstwa nie widać.

– Podejdź bliżej – szepnął.

Harry się nachylił. Dłoń starego jak zeszywniały szpon złapała za połę płaszcza i przyciągnęła go do siebie. Głos miał zachrypnięty jak szlifierka.

– Wiesz, że zapłaciłem pewnemu człowiekowi za przyznanie się do zabójstwa Gusta. Ale myślałeś, że nie mogę uśmiercić Olega, dopóki ukrywał się gdzieś w nieznanym miejscu. Mylisz się. Mój człowiek w policji ma dostęp do programu ochrony świadków. Mogłem bez najmniejszego kłopotu doprowadzić do zadźgania Olega tam, gdzie przebywał. Ale zmieniłem zdanie. Nie chciałem, żeby uszło mu tak łatwo.

Harry próbował się wyrwać, ale Asajew mocno go trzymał.

– Powiesiłbym go i włożył mu na głowę plastikową torbę – charczał. – Przezroczystą plastikową torbę. I polewałbym mu wodą stopy. Woda spływa po ciele i ścieka do torby. Filmowałbym to z dźwiękiem, żebyś mógł słyszeć krzyki. A później przysłałbym ten film tobie. Zresztą jeśli mnie puścisz, to wciąż mam taki plan. Zdziwisz się, jak łatwo mnie wypuszczą z braku dowodów, Harry. A ja go wtedy znajdę, przysięgam. Uważaj na swoją skrzynkę, prędzej czy później znajdziesz w niej to DVD.

Harry zadziałał odruchowo. Po prostu wykonał ruch ręką. Poczuł, jak ostrze się zagłębia. Obrócił je. Usłyszał jęk starego. Dalej obracał. Zamknął oczy i czuł, jak rozrywają się trzewia i organy. A kiedy wreszcie usłyszał krzyk, sam krzyczał.

Harry'ego obudziło słońce świecące na jedną stronę twarzy. A może raczej jakiś dźwięk. Ostrożnie uchylił oko. Zobaczył duże okno i błękitne niebo. Nic nie było słyhać, przynajmniej teraz.

Wciągnął zapach nikotyny tkwiący w obiciu kanapy i podniósł głowę. Przypomniat sobie, gdzie jest.

W nocy przeszedł z pokoju starego do własnego. Spokojnie spakował płócienną walizeczkę, opuścił hotel tylnym wyjściem i taksówką pojechał do jedyne miejsce, w którym – jak sądził – nikt go nie znajdzie. Do domu rodziców Nybakka na Oppsal. Raczej nikogo w tym czasie tu nie było. Zaczął od przeszukania szuflad w kuchni i w łazience, w końcu znalazł pudełko środków przeciwbólowych. Połknął cztery tabletki, splukał krew starego z rąk i zszedł na dół do piwnicy, sprawdzić, czy Stig Nybakk podjął decyzję.

Podjął.

Harry wrócił na górę, rozebrał się, rozwiesił ubranie do wysuszenia w łazience, znalazł wełniany koc i zasnął na kanapie, zanim zdołał o czymkolwiek pomyśleć.

Teraz wstał i wyszedł do kuchni. Łyknął dwie tabletki i popił je szklanką wody. Zajrzał do lodówki. Dużo luksusowego jedzenia. Nybakk najwyraźniej dobrze karmił Irene. Wróciły jednak wczorajsze mdłości i Harry zrozumiał, że nie będzie w stanie nic zjeść. Wrócił do salonu. Wczoraj też widział barek, obszedł go łukiem, zanim się położył. Ale teraz otworzył drzwiczki. Pusto. Odetchnął z ulgą. Włożył rękę do kieszeni. Fałszywa obrączka. I w tej samej chwili usłyszał dźwięk.

Chyba ten sam, który go obudził.

Dźwięk docierał jakby z piwnicy. Harry nasłuchiwał pod otwartymi drzwiami. Joe Zawinul? Zszedł po schodach i zajrzał przez okienko z siatką. Stig Nybakk obracał się powoli jak astronauta w stanie nieważkości. Może to komórka wibrująca w kieszeni spodni działała jak śruba łodzi. Dzwonek – cztery, a w zasadzie trzy akordy z *Palladium Weather Report* zabrzmiały jak sygnał przywoławczy z zaświatów. Właśnie tak Harry pomyślał, wyjmując telefon: że to Stig Nybakk dzwoni i chce z nim rozmawiać.

Sprawdził numer na wyświetlaczu. I wcisnął przycisk połączenia. Od razu rozpoznał głos recepcjonistki ze Szpitala Radiologicznego.

– Stig? Halo? Jesteś tam? Słyszysz mnie? Próbuje do ciebie dzwonić, Stig. Gdzie jesteś? Miałaś być na zebraniu, i to niejednym. Martin był u ciebie w domu, ale tam też cię nie ma. Stig?

Harry przerwał rozmowę i schował telefon do własnej kieszeni. Przyda mu się, bo aparat Martine zniszczył się w kąpieli.

Z kuchni wyniósł krzesło na werandę. Usiadł w przedpołudniowym słońcu świecącym prosto w twarz. Wsunął czarnego szpanerskiego papierosa do ust i zapalił. Musi mu wystarczyć. Wybrał numer, który dobrze znał.

– Słucham, Rakel Fauke.

– Cześć, to ja.

– Harry? Nie poznałam numeru.

– Mam nowy telefon.

– Tak się cieszę, że cię słyszę. Wszystko poszło dobrze?

– Tak. – Harry aż się uśmiechnął, słysząc radość w jej głosie. – Wszystko poszło dobrze.

– Gorąco?

– Bardzo. Słońce świeci i niedługo będę jadł śniadanie.

– Śniadanie? A u ciebie nie jest czwarta czy jakoś tak?

– *Jet lag* – powiedział Harry. – Nie spałem w samolocie. Załatwiłem nam ładny hotel.

W Sukhumvit.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że znów cię zobaczę, Harry.

– Ja...

– Nie, zaczekaj, Harry. Naprawdę. Przez całą noc nie spałam i o tym myślałam. Że słusznie robimy. To znaczy jakoś z tego wyjdziemy. Ale właśnie to jest słuszne, musimy z tego wyjść. Ach, pomyśl, gdybym się nie zdecydowała, Harry.

– Rakel...

– Kocham cię, Harry. Kocham, słyszysz? Słyszysz, jakie to proste, dziwne i cudowne słowo? Jak sygnałowo czerwona sukienka, którą naprawdę musisz chcieć włożyć. Kocham cię. Przesadzam?

Roześmiała się. Harry zamknął oczy i poczuł, jak najcudowniejsze słońce na świecie całuje skórę, a najcudowniejszy śmiech na świecie – błonę bębenkową.

– Harry? Jesteś tam?

– Jestem.

– To dziwne, bo wydajesz się tak blisko.

- Mhm. A niedługo będę bardzo blisko, kochanie.
- Powiedz to jeszcze raz.
- Co?
- Kochanie.
- Kochanie.
- Mmmm.

Harry poczuł, że siedzi na czymś twardym, czymś, co miał w kieszeni. Wyjął to. W słońcu wierzchnia warstwa obrączki zaświeciła jak złoto.

– Posłuchaj. – Harry wodził końcem palca wzdłuż czarnej rysy. – Nigdy nie byłeś mężatką, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Halo? – powiedział Harry.

– Halo.

– Jak myślisz, jak by to było?

– Harry, nie wygłupiaj się.

– Ja się nie wygłupiam. Wiem, że nigdy nie wysłabyś za windykatora długów z Hongkongu.

– Aha. A za kogo mogłabym wyjść?

– No nie wiem. Może za cywila, byłego policjanta, który wykłada w Wyższej Szkole Policyjnej na zajęciach ze śledztwa w sprawach zabójstw.

– Nikogo takiego nie znam.

– Może mogłabyś poznać. Kogoś, kto cię zaskoczy. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

– To ty zawsze powtarzałeś, że ludzie się nie zmieniają.

– Więc jeśli teraz stałem się osobą, która twierdzi, że ludzie mogą się zmienić, to chyba dowodzi, że tak jest?

– Spryciarz.

– Więc powiedzmy, że hipotetycznie mam rację. Ludzie mogą się zmienić. I da się różne rzeczy zostawić za sobą.

– Patrzeniem zniszczyć upiory?

– To co ty na to?

– Na co?

– Na moje hipotetyczne pytanie o ślub.

– To mają być oświadczyzny? Hipotetyczne? Przez telefon?

– Troszeczkę przesadziłaś. Po prostu siedzę w słońcu i gawędzę z miłą kobietą.

– Odkładam słuchawkę.

Rozłączyła się. Uśmiechnięty Harry usiadł wygodniej na krześle z zamkniętymi oczami. Rozgrzany słońcem nie czuł bólu. Za czternaście godzin ją spotka. Wyobraził sobie minę Rakel, kiedy wejdzie do poczekalni na Gardermoen i zobaczy, że on tam na nią czeka. Jej spojrzenie, kiedy Oslo zniknie w dole. Kiedy zaśnie z głową na jego ramieniu.

Siedział tak, dopóki temperatura gwałtownie nie spadła. Lekko uchylił jedno oko. Brzeg chmury nasunął się na słońce, ale nie wyglądało to groźnie.

Znów zamknął oko.

Idź tropem nienawiści.

Słyszac, jak stary to mówi, w pierwszej chwili pomyślał, że chodzi mu o to, by Harry posłuchał własnej nienawiści i odebrał mu życie. Ale jeśli chodziło mu o coś innego? Powiedział to zaraz po pytaniu o zabójcę Gusta. Czyżby to była odpowiedź? Uważał, że Harry powinien iść tropem nienawiści, ponieważ to go doprowadzi do zabójcy? W takim razie kandydatów było wielu. Ale kto miał największe powody do tego, by nienawidzić Gusta? Oprócz Irene oczywiście, ale ona tkwiła uwięziona, kiedy Gusto zginął.

Słońce znów się włączyło i Harry doszedł do wniosku, że doszukuje się nadzwyczajności. Przecież jego praca jest już skończona, powinien odpocząć, wkrótce będzie musiał wziąć kolejną tabletkę, a potem zadzwoni do Hansa Christiana i powie, że Olegowi nareszcie nic nie grozi.

Jedno tylko nie dawało mu spokoju: Truls Berntsen, zwykły funkcjonariusz z Wydziału Zwalczenia Przemocności Zorganizowanej, nie mógł mieć dostępu do danych programu ochrony świadków. To musiał być ktoś inny. Ktoś wyżej.

Przestań, pomyślał. Przestań, do jasnej cholery. Niech cię to nie obchodzi. Daj sobie spokój. Pomyśl o locie. *Nightflight*. Gwiazdy nad Rosją.

Zszedł jeszcze raz do piwnicy, zastanowił się, czy powinien odciąć Nybakka, zrezygnował, ale znalazł łom, którego szukał.

Brama na klatkę domu pod adresem Hausmanns gate 92 była otwarta, ale drzwi do mieszkania zamknięto i na nowo opieczętowano. Może z powodu tego chłopaka, który się przyznał do zabójstwa, pomyślał Harry, zanim wsunął łom między drzwi a futrynę.

Wewnątrz wszystko wydawało się nietknięte. Smugi popołudniowego słońca na podłodze w pokoju przypominały klawisze pianina.

Ustawił swoją płócienną walizczkę pod ścianą i usiadł na materacu. Jeszcze raz

sprawdził, czy ma w kieszeni bilet lotniczy. Popatrzył na zegarek. Trzynaście godzin do odlotu.

Rozejrzył się. Zamknął oczy. Próbował to sobie wyobrazić.

Człowiek w kominiarce.

Nie odezwał się ani słowem, ponieważ wiedział, że rozpoznają jego głos. Ktoś, kto odwiedzał tutaj Gusta. Kto nie chciał od niego niczego oprócz odebrania życia. Ktoś, kto nienawidził.

Nabój 9x18 mm Małakowa. Zabójca najprawdopodobniej więc strzelał z małakowa. Albo z forta 12. W ostateczności z odessy, jeśli taka broń zaczęła się pojawiać w Oslo. Stał tutaj. Strzelił. Wyszedł.

Harry nasłuchiwał. Miał nadzieję, że pokój do niego przemówi.

Mijały sekundy, zmieniały się w minuty.

Zaczął bić kościelny dzwon.

Tu już nic nie było.

Harry wstał i wyszedł.

Przy drzwiach między uderzeniami dzwonów usłyszał jakiś dźwięk. Zaczekał, aż przebrzmi kolejne uderzenie. Znow to samo. Ostrożne skrobanie. Na palcach zrobił dwa kroki i zajrzał do pokoju.

Szczur stał przy listwie, odwrócony do niego tyłem. Brązowy, z długim błyszczącym ogonem, różowymi wewnątrz uszami i kilkoma białymi cętkami na futrze u nasady ogona.

Harry nie bardzo wiedział, dlaczego stoi. Szczur. A czego innego należało się tutaj spodziewać?

To przez te białe plamki. Wyglądały trochę tak, jakby szczur tarzał się w proszku do prania. Albo...

Harry się rozejrzył. Duża popielniczka między materacami. Wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę. Zdjął więc buty, przy następnym uderzeniu dzwonu wsunął się do pokoju i sięgnął po popielniczkę. Znieruchomiał w odległości półtora metra od szczura, który jeszcze go nie zauważył. Wyliczał i namierzał się. Kiedy dzwon zadzwonił, rzucił się w przód z popielniczką przed sobą. Szczur nie zdążył zareagować i znalazł się w ceramicznej pułapce. Harry słyszał, jak syczy i fuka, drapie od środka. Przeciągnął popielniczkę po podłodze pod okno i przycisnął stosem czasopism. Potem zaczął szukać.

Przejrzył wszystkie szuflady i szafki w mieszkaniu, ale nigdzie nie znalazł ani sznurka, ani nici do szycia. Sięgnął po tradycyjny chodnik z gałganków i wyciągnął sznurek osnowy. Był dostatecznie długi, powinien wystarczyć. Na końcu zrobił pętelkę. Zrzucił czasopisma i

uniósł popielniczkę na tyle, by móc pod nią wsunąć rękę. Przygotował się na to, co nieuchronnie musiało nastąpić. Kiedy poczuł, jak ostre zęby zagłębiają się w miękkie ciało między kciukiem a palcem wskazującym, zrzucił popielniczkę i drugą ręką złapał zwierzę za grzbiet. Prychało ze złością, kiedy zdejmował jedno z białych ziarenek, które utkwiło między włoskami sierści. Położył je na języku. Gorzkie. Przejrzała papaja. Violina. Ktoś miał tu niedaleko skrytkę.

Harry nałożył szczurowi pętlę na ogon i mocno ją zaciągnął. Postawił szczura na podłodze i puścił. Zwierzę pomknęło przed siebie, a sznurek błyskawicznie przesunął się w palcach Harry'ego. Szczur biegł do domu.

Harry poszedł za nim do kuchni. Zwierzę wślizgnęło się za zatłuszczoną kuchenkę. Harry przechylił leciwego zawodnika wagi ciężkiej na tylne kółka i wysunął na środek. W ścianie była dziura wielkości pięści, sznurek w niej zniknął.

Sznurek przestał się poruszać.

Harry wsunął do dziury tę rękę, która już została pokąsana. Obmacał od środka. I z lewej, i z prawej strony izolacja. Sprawdził na górze. Nic. Podłożył koniec sznurka pod nogę kuchenki. W łazience zdjął poplamione śliną i śluzem lustro. Rozbił je o brzeg umywalki. Wybrał odpowiedni kawałek. Przeszedł do sypialni, wyrwał z kontaktu w ścianie lampkę nocną i wrócił do kuchni. Położył lusterko na podłodze, a jego koniec wsunął w dziurę. Potem wcisnął wtyczkę od lampki do gniazdka przy kuchence i skierował światło na lustro. Ustawił lampkę przy ścianie pod odpowiednim kątem i wreszcie to zobaczył.

Skrytka.

Płócienny worek zawieszony na haczyku wbitym w poziomą belkę pół metra nad podłogą.

Dziura była za ciasna, żeby w nią wsunąć rękę i jednocześnie tak ją wykręcić, by dosięgnąć worka. Harry próbował myśleć. Z jakiego narzędzia mógł korzystać właściciel, żeby dostać się do skrytki? Przecież zaglądał do wszystkich szuflad i szafek. Przewijał w pamięci film.

Stalowy drut.

Wszedł do pokoju. Drut leżał tam, gdzie widział go pierwszy raz, gdy byli tu razem z Beate. Wystawał spod materaca i był wygięty pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Chyba tylko właściciel drutu wiedział, do czego może służyć. Harry zabrał go do kuchni, wsunął do dziury i wykorzystał końcówkę w kształcie Y do zdjęcia worka z haczyka.

Okazał się ciężki. Tak ciężki, jak Harry liczył. Wyciągnął go z dziury.

Worek zawieszono tak wysoko, żeby szczury się do niego nie dobrały, ale i tak zdołały

przegryźć dno. Potrząsnął workiem, kilka ziarenek proszku wypadło. Stąd wzięły się narkotyki w futrze szczura. Zajrzał do środka i wyjął trzy torebeczki z violiną, pewnie ćwiartki. Nie było kompletnego sprzętu ćpuna, tylko łyżeczka z wygiętym trzonkiem i używana strzykawka.

Leżał na dnie torby.

Harry użył kuchennej ścierki, żeby go wyjąć; nie chciał zostawiać odcisków palców.

Był, jak to się mówi, niemożliwy do pomylenia z czymś innym. Niezgrabny, dziwaczny; wręcz komiczny. Foo Fighters. Odessa. Harry powąchał broń. Jeśli pistoletu się nie oczyści i nie naoliwi, zapach prochu potrafi utrzymywać się miesiącami po strzale. Z tego strzelano nie tak dawno. Sprawdził magazynek. Osiemnaście. Do kompletu brakowało dwóch. Harry już nie miał wątpliwości. To było narzędzie zbrodni.

Kiedy wchodził do sklepu z zabawkami na Storgata, do odlotu wciąż pozostawało dwanaście godzin.

Sklep oferował dwa różne zestawy sprzętu do badania odcisków palców. Harry wybrał ten droższy. Z latarką LED, miękkim pędzelkiem, proszkiem w trzech kolorach, taśmą do zdejmowania odcisków palców i klaserem do zbierania odcisków palców rodziny.

– Dla syna – wyjaśnił, płacąc.

Dziewczyna w kasie odpowiedziała wyćwiczonym uśmiechem.

Wrócił na Hausmanns gate i wziął się do roboty. Użył śmiesznie małej latareczki do wyszukiwania odcisków i posypał je proszkiem z miniaturowego pudełeczka. Nawet pędzelek był tak maleńki, że czuł się jak Guliwer w krainie Liliputów.

Na rękojeści pistoletu były odciski.

Znalazł się też jeden wyraźny, prawdopodobnie odcisk kciuka, na tłoczku strzykawki, na której widoczne były również czarne drobinki, mogące być czymkolwiek, ale Harry obstawiał, że to cząsteczki prochu.

Kiedy przeniósł już wszystkie odciski na plastikową folię, zaczął je porównywać. Ta sama osoba trzymała pistolet i strzykawkę. Sprawdził jeszcze ściany i podłogę przy materacu. Znalazł sporo odcisków, ale żaden nie pasował do tego na pistolecie.

Otworzył swoją walizeczkę, wyjął coś z bocznej kieszeni w środku i położył na kuchennym stole. Zapalił mikrolatarkę.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze jedenaście godzin. Morze czasu.

Była druga. Hans Christian Simonsen w restauracji U Schrødera wyglądał dziwnie nie na miejscu.

Harry siedział przy oknie, przy swoim dawnym ulubionym stoliku.

– Dobra? – spytał Hans Christian, wskazując na stojący przed Harrym dzbanek z kawą.

Harry pokręcił głową.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

– Nie ma za co, sobota to przecież dzień wolny. Nic do roboty. Co się dzieje?

– Oleg może wrócić do domu.

Adwokat się rozjaśnił.

– Czy to znaczy...

– Tych, którzy stanowili zagrożenie dla Olega, już nie ma.

– Nie ma?

– Tak. On jest daleko?

– Nie. Mniej więcej dwadzieścia minut jazdy od granic miasta. W Nittedal. Co masz na myśli, mówiąc, że ich nie ma?

Harry podniósł filiżankę do ust.

– Na pewno chcesz to wiedzieć, Hans Christian?

Adwokat spojrzał na niego uważnie.

– To znaczy, że rozwiązałeś tę sprawę?

Harry nie odpowiedział.

Hans Christian wychylił się nad stołem.

– Już wiesz, kto zabił Gustę, prawda?

– Mhm.

– Skąd...

– Znalazłem kilka odcisków palców, które pasują.

– Kto...

– To nieważne. Ale już wyjeżdżam, więc chciałbym się dzisiaj pożegnać z Olegiem.

– Chciałeś powiedzieć, ty i Rakel wyjeżdżacie. – Mimo wyraźnej udręki Hansa Christiana stać było na uśmiech.

Harry obracał filiżankę.

– Więc powiedziała ci o tym?

– Jedliśmy razem lunch. Zgodziłem się przypilnować Olega przez kilka dni. Dotarło do mnie, że ktoś ma przyjechać po niego z Hongkongu. Twoi ludzie. Ale i tak musiałem coś źle zrozumieć, bo wydawało mi się, że już jesteś w Bangkoku.

– Mam drobne opóźnienie. Chciałem cię o coś prosić.

– Powiedziała mi coś jeszcze. Że się jej oświadczyłeś.

– Tak?

– Tak. Oczywiście zrobiłeś to na swój sposób.

– No cóż...

– Powiedziała, że się nad tym zastanawiała.

Harry uniósł rękę, nie chciał słyszeć dalszego ciągu.

– I przestała.

Harry wypuścił powietrze.

– To dobrze.

– Powiedziała, że przestała się nad tym zastanawiać, i zaczęła sprawdzać, co czuje.

– Hans Christian...

– I odpowiedziała tak, Harry.

– Posłuchaj mnie, Hans Christian...

– Nie słyszałeś? Ona chce za ciebie wyjść. *Lucky bastard*. – Twarz Hansa Christiana Simonsena zdawała się promienieć szczęściem, ale Harry wiedział, że to błysk rozpacz. – Chce z tobą być aż do śmierci. – Grdyka przesuwiała mu się w górę i w dół. Głos zmieniał się od falsetu do chrypy. – Powiedziała, że będzie jej z tobą dobrze i świetnie, i tylko średnio. Będzie się w tym związku czuła źle, a wręcz katastrofalnie. I fantastycznie.

Harry wiedział, że Hans Christian cytuje Rakel dosłownie. Wiedział też, dlaczego tak jest: każde jej słowo wryło mu się w serce.

– Jak bardzo ją kochasz? – spytał Harry.

– Ja...

– Kochasz ją na tyle, żeby zajmować się nią i Olegiem do końca życia?

– Co...

– Odpowiedz!

– No tak, oczywiście, ale...

– Przysięgnij!

– Harry!

– Przysięgnij, mówię!

– Dobrze, przysięgam, ale to przecież niczego nie zmienia.

Harry uśmiechnął się krzywo.

– Masz rację. Nic się nie zmienia. Nic nie można zmienić. Nigdy nie było można.

Rzeka zawsze płynie w tym samym przeklętym łózysku.

– To przecież nie ma sensu, Harry. Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Ona też.

– Ale... przecież wy się kochacie. Powiedziała to wprost. Jesteś miłością jej życia.

– A ona moją. Zawsze nią była. I zawsze będzie.

Hans Christian patrzył na Harry'ego zdeorientowany, ale w oczach przebijało też jakby współczucie.

– A jednak jej nie chcesz?

– Niczego bardziej nie pragnę. Ale nie wiem, jak długo jeszcze będę. A jeśli mnie nie będzie, to pamiętaj, przysięgałeś.

Hans Christian lekko prychnął.

– Jesteś trochę zbyt melodramatyczny, Harry. Przecież ja nawet nie wiem, czy ona chciałyby ze mną być.

– No to ją przekonaj. – Ból szyi nagle jakby nie pozwalał mu oddychać. – Obiecujesz?

Hans Christian w milczeniu pokiwał głową.

– Spróbuję.

Harry zawahał się, w końcu wyciągnął rękę. Adwokat ją uściśnął.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Hans Christian. Wpisałem cię jako HC. – Uniósł komórkę. – Mimo że H było właściwie zajęte przez Halvorsena.

– Kogo?

– Dawnego kolegę, z którym mam nadzieję się zobaczyć. Muszę już iść.

– Dokąd?

– Na spotkanie z zabójcą Gusta.

Harry wstał, odwrócił się w stronę baru i zsalutował Ninie, która mu odmachwała.

Kiedy maszerował między samochodami na drugą stronę ulicy, przyszła reakcja. Oczy mu wysadzało i czuł, jakby szyja zaraz miała pęknąć. Na Dovregata odezwała się zółć. Stał zgięty wpół na cichej uliczce pod murem i zwracał usmażone przez Ninę jajka na bekonie i kawę. Wreszcie się wyprostował i ruszył dalej w stronę Hausmanns gate.

W końcu mimo wszystko decyzja okazała się prosta.

Siedziałem na jednym z brudnych materaców i czułem, jak moje przerażone serce wali, kiedy czekałem, aż odbierze. Miałem nadzieję, że odbierze i że nie odbierze.

Już miałem się rozłączyć, kiedy w końcu odebrał. Głos mojego przyrodniego brata zabrzmiał wyraźnie, ale martwo.

– *Słucham, Stein.*

Czasami myślałem o tym, jak bardzo pasuje do niego to imię. Stein. Kamień. Nieprzenikniona powierzchnia z kamiennie twardym wnętrzem. Nieulegająca wpływowi, ponura i ciężka. Ale również kamienie mają czułe punkty. Miejsce, w którym lekkie stuknięcie młotkiem sprawia, że pękają. W wypadku Steina to było proste.

Chrząknąłem.

– *Mówi Gusto. Wiem, gdzie jest Irene.*

Słyszałem jego lekki oddech. Stein zawsze lekko oddychał. Potrafił biegać godzinami, prawie nie potrzebował tlenu. Ani powodu do biegania.

– *Gdzie?*

– *Właśnie o to chodzi – odparłem. – Wiem, gdzie ona jest, ale dowiedzenie się tego kosztuje.*

– *Dlaczego?*

– *Ponieważ potrzebują pieniędzy.*

To było jak fala gorąca. A raczej zimna. Wyczułem jego nienawiść. Usłyszałem, jak przetyka ślinę.

– *Ile?*

– *Pięć tysięcy.*

– *W porządku.*

– *To znaczy dziesięć.*

– *Powiedziałeś pięć.*

– *Cholera. Ale musisz się pospieszyć – dodałem, chociaż i tak wiedziałem, że już zerwał się na równe nogi.*

– *Okej. Gdzie jesteś?*

– *Hausmanns gate dziewięćdziesiąt dwa. Domofon jest zepsuty. Trzecie piętro.*

– *Przyjdę. Nigdzie nie wychodź.*

Dokąd miałem iść?

Znalazłem zapalniczkę, wyjąłem z popielniczki kilka petów, wypaliłem je w kuchni, w ciszy popołudnia. Cholera, ale tu gorąco. Coś zaszeleściło. Odwróciłem głowę za tym dźwiękiem. To znów ten szczur. Przemykał się pod ścianą.

Wylaźł zza kuchenki. Pewnie miał tam niezłą kryjówkę.

Wypaliłem kolejnego peta.

Nagle wstałem.

Kuchenka była piekielnie ciężka, ale okazało się, że ma z tyłu dwa kółka.

Szczurza nora za nią była większa, niż powinna.

Oleg, przyjacielu. Jesteś bystry, ale akurat tego nauczyłeś się ode mnie.

Rzuciłem się na kolana. I już pracując stalowym drutem, byłem na haju. Palce mi drżały tak, że miałem ochotę je odgryźć. Poczulem, że łapię, ale wypuściłem. Tam musiała być violina. Musiała.

Wreszcie udało mi się zahaczyć. Pociągnąłem. Duży, ciężki płócienny worek. Otworzyłem. Musiała tam być.

Gumowa opaska, tyżka, strzykawka. I trzy małe przezroczyste torebeczki. Biały proszek z brązowymi drobkami. Serce mi śpiewało. Połączyłem się z jedynym przyjacielem i kochankiem, jakiemu zawsze mogłem ufać.

Dwie torebki włożyłem do kieszeni, trzecią otworzyłem. Miałem teraz zapas na tydzień, jeśli będę oszczędny. Chodziło tylko o to, żeby zrobić zastrzyk i wyjść, zanim zjawi się Stein albo ktoś inny. Nasypałem proszku na tyżkę, zapaliłem zapalniczką. Zwykle dodawałem kilka kropel soku z cytryny, takiego w butelce, jakiego ludzie używają do herbaty. Dzięki niemu nie robiły się grudki i całość dawało się wciągnąć do strzykawki. Ale nie miałem ani cytryny, ani cierpliwości. Teraz liczyło się tylko jedno. Wpuścić to wreszcie do krwiobiegu.

Założyłem gumową opaskę na ramię. Zawiązałem, jeden koniec złapałem w zęby i zacisnąłem. Na wierzch wyszła duża niebieska żyła. Ułożyłem strzykawkę pod odpowiednim kątem, żeby mieć dostęp do większej powierzchni i zmniejszyć drżenie, bo się trząsałem. Trząsałem się jak cholera.

Nie trafiłem.

Raz. Dwa razy. Odetchnąłem głębiej. Nie wolno teraz za dużo myśleć. Cieszyć się, nie panikować.

Igła tańczyła. Uderzyła w niebieskiego węża.

Znów nie trafiłem.

Walczyłem z rozpaczą. Pomyślałem, że mógłbym najpierw trochę wypalić, żeby się skupić, ale ja chciałem poczuć kopa, tego kopa, kiedy cała działka od razu trafia do krwi, prosto do mózgu. Orgazm. Swobodne opadanie.

To przez to gorąco i słońce świecące prosto w oczy. Przeszedłem do pokoju. Usiadłem w cieniu pod ścianą. Cholera, teraz nie widziałem żyły. Spokojnie. Czekałem, aż źrenice się rozszerzą. Na szczęście przedramiona miałem białe jak ekran w kinie. Żyła wyglądała jak rzeka na mapie Grenlandii. Już.

Nie trafiłem.

Nie miałem na to siły. Czulem wzbierający płacz. Zatrzeszczała podeszwa buta.

Byłem tak skupiony, że nie słyszałem, jak przyszedł. A kiedy uniosłem głowę, oczy miałem tak pełne łez, że kształty się deformowały. Jak w jakimś fuckings krzywym zwierciadle w wesołym miasteczku.

– Cześć, Złodzieju.

Dawno już nie słyszałem, żeby ktoś tak do mnie mówił.

Zamrugalem, żeby odpędzić łzy, i kształty stały się znajome. Tak, rozpoznałem wszystkie. Nawet pistolet. Wcale nie ukradli go przypadkowi złodzieje, którzy obrobili salę prób, jak sądziłem.

Dziwne było, że się nie bałem. Przeciwnie, nagle poczułem się zupełnie spokojny.

Znów spojrzałem na żyłę.

– Nie rób tego.

Popatrzyłem na dłoń, spokojną jak ręka kieszonkowca. To była moja szansa.

– Nie rób tego, bo cię zastrzele.

– Nie wierzę – powiedziałem. – Bo wtedy nigdy się nie dowiesz, gdzie jest Irene.

– Gusto!

– Ja po prostu robię to, co muszę – powiedziałem i wbiłem igłę. Trafiłem. Uniosłem kciuk, żeby wcisnąć tłoczek. – A ty możesz zrobić to, co musisz.

Kościelny dzwon znów zaczął bić.

Harry siedział w cieniu pod ścianą. Światło latarni padało na materace. Spojrzał na zegarek. Dziewiąta. Trzy godziny do odlotu do Bangkoku. Ból szyi nagle się wzmógł. Jak ciepło słońca tuż przed zniknięciem za chmurą. Ale niedługo słońce zajdzie, a on już nie będzie czuł bólu. Wiedział, jak to się musi zakończyć, to było nieuchronne jak jego powrót do Oslo. Tak jak wiedział, że to przez ludzką potrzebę porządku i kontekstu usiłuje sam siebie zmanipulować, by dostrzec w tym pewną logikę. Ponieważ myśl, że wszystko jest totalnym zimnym chaosem, pozbawionym jakiegokolwiek sensu, trudniej znieść niż najokrutniejszą, ale zrozumiałą tragedię.

Wsunął rękę do kieszeni, szukając papierosów. Dotknął palcami rękojeści noża. Miał uczucie, że powinien się go pozbyć, bo ciąży na nim przekleństwo. Tak jak i na nim. Ale w niczym by to nie pomogło. On był przeklęty na długo przed dotknięciem tego noża. A to przekleństwo było gorsze niż jakiegokolwiek ostrze, bo mówiło, że jego miłość jest jak dzuma, którą zaraża ludzi. Asajew powiedział, że nóż przenosi cierpienie i chorobę z właściciela na tego, w którym ciele się zagłębi, a wszyscy ludzie, którzy pozwolili się kochać Harry'emu,

musieli za to zapłacić. Iść na dno. Rozstać się z nim. Przeistoczyć się w upiory. Wszyscy bez wyjątku. Teraz również Rakeł i Oleg.

Otworzył pudełko z papierosami, zajrzał do środka.

Jak mógł sobie wmawiać, że nagle zdołałby się wyrwać przekleństwu, uciec na drugą stronę kuli ziemskiej razem z nimi, żyć długo i szczęśliwie? Pomyślał o tym, jednocześnie znów patrząc na zegarek i zastanawiając się, kiedy maksymalnie najpóźniej mógłby stąd wyruszyć i jednak zdążyć na samolot. Słuchał chciwego egoistycznego serca.

Wyjął pogniecione rodzinne zdjęcie i znów mu się przyjrzał. Patrzył na Irene. I na jej brata, Steina. Tego z szarymi oczami, które miały dwa trafienia w pamięci Harry'ego, kiedy się z nim spotkał. Jedno to zdjęcie. Drugie z tego wieczoru, kiedy przyjechał do Oslo. Był w Kvadraturen. Badawcze spojrzenie, które posłał Harry'emu, sprawiło, że Harry wziął go za policjanta. Ale to była pomyłka. Zupełna pomyłka.

Usłyszał kroki na schodach.

Dzwon zaczął bić. Brzmiał cicho i samotnie.

Truls Berntsen zatrzymał się na szczycie schodów i popatrzył na drzwi. Czuł, jak serce mu wali. Mieli znów się zobaczyć. Cieszył się i bał jednocześnie. Odetchnął głęboko. I zadzwonił.

Poprawił krawat. Źle się czuł w garniturze. Zrozumiał jednak, że nie ma wyjścia, kiedy Mikael mu powiedział, kto przyjdzie na parapetówkę. Wszyscy ze świecznika. Od ustępującego komendanta okręgowego policji przez naczelników wydziałów po ich dawnego konkurenta z Wydziału Zabójstw, Gunnara Hagena. Będą politycy. Ta seksowna babka z ratusza, w której zdjęcia się wgapiał. Isabelle Skøyen. I kilka gwiazd z telewizji. Jak, u diabła, Mikael w ogóle je poznał?

Drzwi się otworzyły.

Ulla.

– Świetnie wyglądasz, Truls – powiedziała. Uśmiech gospodyni. Błyszczące oczy. Ale natychmiast zrozumiał, że przyszedł za wcześnie.

Kiwnął tylko głową i nie zdołał odpowiedzieć tak, jak powinien. Że to ona ślicznie wygląda.

Uściskała go przelotnie, zaprosiła do środka i przeprosiła, że jeszcze nie nalali powitalnego szampana. Z uśmiechem wyłamywała palce, śląc paniczne spojrzenia ku

schodom prowadzącym na piętro. Na pewno chciała, żeby Mikael wreszcie zszedł i się nim zajął. Ale Mikael pewnie się przebierał. Sprawdzał w lustrze, jak wygląda. Czy włosy układają mu się tak, jak powinny.

Ulla mówiła trochę za szybko, zbyt gorączkowo. O znajomych z młodych lat na Manglerud. Pytała, czy Truls wie, co się z nimi dzieje.

Nie wiedział.

– Nie mam już z nimi kontaktu – powiedział, chociaż był przekonany, iż Ulla wie, że tego kontaktu nie miał nigdy. Z żadnym z nich. Z Goggenem, Jimmym, Andersem, Krøkkem. Truls miał tylko jednego przyjaciela. Mikaela. A i on również trzymał go na dystans wyciągniętej ręki. Z czasem coraz bardziej zaczął się od niego oddalać, i towarzysko, i zawodowo.

Nie mieli już o czym rozmawiać. To znaczy ona nie miała. Bo on nie miał od początku. W końcu spytała:

– Jakaś kobieta, Truls? Coś nowego na tym froncie?

– Skąd, nic nowego – starał się odpowiedzieć równie wesoło jak ona. Naprawdę napiłby się już tego powitalnego drinka.

– Nadal żadna nie jest w stanie podbić twojego serca?

Lekko przechyliła głowę i puściła do niego oko, ale widział, że już żałuje pytania. Może z powodu rumieńca na jego twarzy. A może dlatego, że chociaż nikt nigdy o niczym nie mówił, i tak znała odpowiedź: „Owszem, ty, Ullo, podbiłaś moje serce”. Chodził trzy kroki za superparą z Manglerud, Mikaelem i Ullą, zawsze gotowy do usług, ale zawsze z miną mówiącą: „Nudzę się i nie mam nic innego do roboty”. A serce płonęło tylko dla niej, oczy rejestrowały każdy jej najdrobniejszy ruch i zmianę wyrazu twarzy. Nie mógł jej dostać, wiedział, że to niemożliwe, a mimo to tęsknił i pragnął. Tak jak człowiek pragnie latać.

Na schodach wreszcie pojawił się Mikael. Obciągnął rękawy koszuli, żeby spinki wystawały spod smokingu.

– Truls! – Zabrzmiało to jak lekko przesadzona serdeczność, zwykle zarezerwowana dla ludzi, których właściwie się nie zna. – Dlaczego masz taką ponurą minę, stary przyjacielu? Musimy oblać pałac!

– Myślałem raczej, że stanowisko komendanta okręgowego policji. – Truls się rozejrzał. – Widziałem dzisiaj w wiadomościach.

– To przeciek. Jeszcze nic nie podano oficjalnie. Ale będziemy dzisiaj oblewać twój taras, Truls. Co tam z tym szampanem, kochana?

– Już nalewam. – Ulla strzepnęła niewidzialny pyłek z ramienia męża i wyszła.

– Znasz Isabelle Skøyen? – spytał Truls.

– Tak – odparł Mikael wciąż uśmiechnięty. – Będzie tu dzisiaj. A co?

– Nic. – Truls odetchnął głęboko. To się musiało stać albo teraz, albo nigdy. – Zastanawiałem się jeszcze nad jedną rzeczą.

– A nad jaką?

– Kilka dni temu polecono mi zatrzymać jednego faceta w Leonie, w tym hotelu, no wiesz.

– Chyba wiem, o którym mówisz.

– I w trakcie dokonywania zatrzymania pojawiło się dwóch innych policjantów, których nie znam. Chcieli aresztować nas obu.

– Podwójna rezerwacja? – zaśmiał się Mikael. – Pogadaj z Finnem. To on koordynuje te operacje.

Truls wolno pokręcił głową.

– Nie sędzę, żeby to była podwójna rezerwacja.

– Nie?

– Wydaje mi się, że ktoś mnie tam posłał celowo.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś z ciebie zakpił?

– Chyba właśnie tak. – Truls uważnie spojrzał Mikaelowi w oczy, ale nie znalazł żadnych oznak, które świadczyłyby o tym, że Mikael wie, o czym Truls tak naprawdę mówi. Czyżby jednak się pomylił? – Pomyślałem, że może masz coś z tym wspólnego. Może brałeś w tym udział?

– Ja? – Mikael odchylił głowę i zaśmiał się głośno. Truls zobaczył szeroko otwarte usta i przypomniał sobie, jak Mikael zawsze wracał od szkolnego dentysty z wynikiem „zero dziur”. – Chciałbym! – rechotał Mikael. – Opowiedz, powalili cię na podłogę i skuli?

Truls przyjrzał mu się uważnie. A więc jednak się pomylił. Dlatego przyłączył się do śmiechu. Śmiał się, ponieważ czuł ulgę, ale rozbawił go też obraz samego siebie, powalonego przez dwóch innych funkcjonariuszy. Poza tym Mikael miał zaraźliwy śmiech. Zawsze zapraszał do śmiechu. A raczej nakazywał. Ale śmiech Mikaela był też jak objęcia. Ogrzewał. Sprawiał, że Truls stawał się kimś. Członkiem czegoś. Duetu. On i Mikael Bellman. Przyjaciele. Słuchał własnego pochrumkiwania, a śmiech Mikaela powoli cichł. Pojawiło się zamyślenie.

– Naprawdę sądziłeś, że mogę w tym brać udział, Truls?

Berntsen popatrzył na niego z uśmiechem. Myślał o tym, w jaki sposób Dubaj dotarł właśnie do niego, myślał o chłopcu, którego pobił w areszcie, niszcząc mu wzrok. Kto mógł o

tym powiedzieć Dubajowi? Myślał o krwi, którą technicy znaleźli pod paznokciem Gusta Hanssena na Hausmanns gate, a którą Truls zniszczył, zanim przeprowadzono badania DNA. Ale przecież odrobinę jej sobie zachował. Takie dowody mogły okazać się cenne w długi deszczowy dzień. A ponieważ zdecydowanie zaczęło padać, dziś rano zawiózł próbkę do Instytutu Medycyny Sądowej. Odpowiedź dostał tuż przed przyjazdem tutaj. Wstępna analiza wykazała, że to ta sama krew i fragmenty tych samych paznokci, które kilka dni temu przekazała im Beate Lønn. Jeszcze mu się od nich dostało. Czy oni w ogóle nie umieją się porozumiewać w komendzie? Instytut Medycyny Sądowej ma i tak dużo roboty.

Truls grzecznie przeprosił i odłożywszy słuchawkę, zaczął zastanawiać się nad odpowiedzią, którą uzyskał. Bo okazało się, że krew pod paznokciami Gusta Hanssena była krwią Mikaela Bellmana.

Mikael i Gusto.

Mikael i Rudolf Asajew.

Palce Trulsa przesunęły się po węźle krawata. Ojciec go tego nie nauczył, nie potrafił nawet zawiązać swojego. Nauczył go Mikael, kiedy szli na imprezę na zakończenie szkoły. Pokazał mu wtedy prosty węzeł windsorski, a kiedy Truls spytał, dlaczego krawat Mikaela wygląda o wiele fajniej, dowiedział się, że to podwójny windsor, ale Trulsowi nie będzie pasował.

Czuł na sobie spojrzenie Mikaela, który wciąż czekał na odpowiedź. Dlaczego Trulsowi przyszło do głowy, że mógł brać udział w tym żarcie?

Że mógł uczestniczyć w podejmowaniu decyzji o zaszlachtowaniu go razem z Harrym Hole w Leonie?

Ktoś zadzwonił do drzwi, ale Mikael się nie ruszył.

Truls udał, że drapie się w czoło, a tak naprawdę zebrał na koniuszki palców pot.

– No właśnie, dlaczego? – usłyszał własne nerwowe chrumkanie. – W ogóle nie wiem, dlaczego mi to przyszło do głowy. Zapomnij o tym.

Schody pod nogami Steina Hanssena zaskrzypiały. Znał tu każdy stopień i potrafił przewidzieć każdy jęk drewna. Zatrzymał się na samej górze. Zapukał do drzwi.

– Proszę – rozległo się ze środka.

Stein wszedł. Przede wszystkim zobaczył walizkę.

– Spakowana?

Irene kiwnęła głową.

– Znalazłaś paszport?

– Tak.

– Zamówiłem taksówkę na lotnisko.

– Już idę.

– Okej.

Stein rozejrzał się, tak jak rozglądał się po innych pokojach. Żegnał się z nimi. Mówił, że już nie wróci. I słuchał echa dzieciństwa. Zachęcający głos ojca. Spokojny matki. Entuzjastyczny Gusta. Wesoły Irene. Nie słyszał tylko własnego głosu. On milczał.

– Stein? – Irene trzymała w ręku zdjęcie. Stein wiedział które, bo przypięła je pinezką nad łóżkiem tego samego wieczoru, kiedy przywiózł ją adwokat Simonsen. Na zdjęciu była razem z Gustem i Olegiem.

– Tak?

– Czy ty kiedykolwiek miałeś ochotę zabić Gustę?

Nie odpowiedział. Pomyślał tylko o tamtym wieczorze.

O telefonie od Gustę, który oświadczył, że wie, gdzie jest Irene. O tym, jak biegł na Hausmanns gate. A kiedy tam dotarł, zobaczył radiowozy. Ludzie wokół niego poszeptowali, że chłopak na górze nie żyje, zastrzelony. I uczucie podniecenia. Bliskie radości. A później szok. I żal. Tak, w pewnym sensie bolał nad śmiercią Gustę. A jednocześnie dało mu to nadzieję, że Irene wreszcie się odnajdzie. Ta nadzieja oczywiście blakła w miarę upływu dni, kiedy w końcu pojął, że śmierć Gustę – przeciwnie – znaczyła, iż utracił możliwość odnalezienia siostry.

Irene była blada. Syndrom odstawienia? Będzie ciężko. Ale uda im się. Razem sobie poradzą.

– Idziemy?

– Tak – powiedziała i otworzyła szufladę nocnej szafki. Popatrzyła na zdjęcie, szybko przycisnęła je do ust i odłożyła do szuflady spodem do góry.

Harry usłyszał, że drzwi się otwierają. Siedział po ciemku nieruchomo. Słuchał kroków. Widział ruchy przy materacu. Błysk stalowego drutu, w którym odbiło się światło latarni. Kroki skierowały się do kuchni, w której zapaliło się światło. Usłyszał przesuwanie kuchenki.

Wstał.

Stanął w drzwiach i patrzył na postać klęczącą przy szczurzej norze i trzęsącymi

rękami otwierającą worek. Układającą kolejne przedmioty obok siebie. Strzykawka, łyżka, zapalniczka, pistolet. Torebki z violina.

Próg zatrzeszczał, kiedy Harry przestąpił z nogi na nogę, ale tamten w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Kontynuował swoje gorączkowe działanie.

Harry wiedział, że to ćpun na głodzie. Że mózg koncentruje się tylko na jednym. Chrząknął.

Tamten zdrętwiał. Wtulił głowę w ramiona, ale się nie odwracał. Znieruchomiał, wpatrzony w swój sprzęt.

– Liczyłem, że najpierw przyjdiesz tutaj – powiedział Harry. – Uważałeś, że teraz jest już bezpiecznie.

Ani drgnął.

– Hans Christian przekazał ci, że ją znaleźliśmy, prawda? Ale ty i tak musiałeś najpierw przyjść tutaj.

Wreszcie wstał. Harry znów się zdumiał, jaki jest duży. Prawie dorosły mężczyzna.

– Czego ty chcesz, Harry?

– Przyszedłem cię aresztować, Oleg.

Chłopak zmarszczył czoło.

– Za dwie torebki violiny?

– Nie za dragi, Oleg. Za zabójstwo Gusta.

– *Nie!* – powtórzył.

Ale ja już miałem igłą wbitą głęboko w żyłą, która aż drżała, nie mogąc się doczekać.

– *Myślałem, że to Stein albo Ibsen – powiedziałem. – Nie ty.*

Nie zauważyłem tej jego fuckings stopy. Wystrzeliła i uderzyła w strzykawkę, która pofrunęła w powietrzu i upadła w głębi kuchni przy załadowanym brudnymi naczyniami zlewie.

– *Niech cię cholera, Oleg!* – krzyknąłem.

Oleg długo patrzył na Harry'ego.

To był poważny spokojny wzrok. Właściwie bez śladu zaskoczenia. Sprawiał raczej wrażenie, jakby sondował teren, próbował się zorientować. A kiedy Oleg wreszcie się odezwał, nad złością czy zagubieniem w głosie przeważała ciekawość.

– Ale ty mi uwierzyłeś, Harry. Kiedy ci powiedziałem, że to był ktoś w kominiarce, to

mi uwierzyłeś.

– Tak. Uwierzyłem. Dlatego że bardzo chciałem ci wierzyć.

– Ale Harry. – Oleg mówił cicho, patrząc na torebkę z proszkiem, którą otworzył. –
Jeśli nie możesz wierzyć najlepszemu przyjacielowi, to w co masz wierzyć?

– W dowody – odparł Harry i poczuł, że gardło mu się zaciska.

– W jakie dowody? Przecież znaleźliśmy wyjaśnienie dla tych dowodów, Harry.
Wspólnie je obaliliśmy.

– Mam nam myśli inne dowody. Nowe.

– Jakie nowe?

Wskazał na podłogę przed Olegiem.

– Ten pistolet to odessa. Używa się do niego takich samych naboju, jakimi
zastrzelono Gusta. Dziewięć na osiemnaście milimetrów Małakowa. Badania balistyczne na
sto procent potwierdzą, że właśnie ten pistolet jest narzędziem zbrodni. Są na nim twoje
odciski palców. Tylko twoje. Gdyby ktoś inny go używał i później wytarł, usunąłby i twoje
ślady.

Oleg dotknął palcem pistoletu, jakby po to, by potwierdzić, że o nim mówią.

– No i ta strzykawka – ciągnął Harry. – Na niej jest więcej odcisków. Być może dwóch
osób. Ale w każdym razie to ty kciukiem nacisnąłeś tłoczek. Tłoczek, który trzeba wcisnąć,
żeby zrobić zastrzyk. A w odcisku tego kciuka są cząsteczki prochu, Oleg.

Chłopiec dotknął palcem strzykawki.

– Dlaczego to nowe dowody przeciwko mnie?

– Ponieważ wyjaśniłeś, że byłeś na hajku, kiedy wszedłeś do tego pokoju. Ale te resztki
prochu dowodzą, że zrobiłeś zastrzyk już po tym, jak te cząsteczki osiadły ci na ręce. To
dowodzi, że najpierw zastrzeliłeś Gusta, a dopiero potem dałeś sobie w żyłę. W chwili
popelniania czynu byłeś przytomny, Oleg. To było umyślne zabójstwo.

Oleg powoli kiwnął głową.

– A ty zdjąłeś moje odciski palców z pistoletu i porównałeś je z policyjnym rejestrem.
Już wiedzą, że ja...

Harry pokręcił głową.

– Nie kontaktowałem się z policją. Tylko ja o tym wiem.

Oleg przełknął ślinę. Harry patrzył na lekkie ruchy jego dłoni.

– Skąd wiesz, że to moje odciski, jeżeli nie sprawdzałeś na policji?

– Miałem inne odciski do porównania.

Harry wyjął rękę z kieszeni płaszcza. Położył na stole białego gameboya.

Oleg wpatrywał się w zabawkę. Mrugał i mrugał, jakby coś mu wpadło do oka.

– Dlaczego zacząłeś mnie podejrzewać? – niemal szeptem.

– Nienawiść – odparł Harry. – Stary, Rudolf Asajew, powiedział, że mam iść tropem nienawiści.

– A kto to jest?

– Ten, którego nazywaliście Dubajem. Minęło trochę czasu, nim zrozumiałem, że miał na myśli własną nienawiść. Nienawiść do ciebie. Nienawiść za to, że zabiłeś jego syna.

– Syna?

Chłopak spojrział na Harry'ego skamieniały.

– Tak. Gusto był jego synem.

Oleg spuścił wzrok. Klęczał, wpatrzony w podłogę.

– Jeżeli... – Pokręcił głową i zaczął jeszcze raz. – Jeżeli to prawda, że Dubaj był ojcem Gusto i tak mnie nienawidził, to dlaczego nie kazał mnie od razu zabić w więzieniu?

– Bo chciał, żebyś tam siedział. Uważał, że więzienie jest gorsze niż śmierć. Więzienie zżera duszę, śmierć ją uwalnia. Rudolf Asajew życzył więzienia tylko temu, kogo nienawidził ponad wszystko. Tobie, Oleg. Oczywiście miał pełną kontrolę nad tym, co tam robisz.

– Ja tego nie czułem, ale byłem pewien, że tak jest.

– On wiedział, że ty wiesz, że jeśli zaczniesz sypać, to będziesz skończony. Dopiero kiedy zacząłeś rozmawiać ze mną, okazało się, że stanowisz zagrożenie, i musiał się zadowolić zabiciem ciebie. Ale to mu się nie udało.

Oleg zamknął oczy. Wciąż kucał. Jak gdyby czekał go trudny wyścig i mieli razem tylko pomilczeć, wspólnie się skupić.

Za oknem miasto grało swoją muzykę. Samochody, daleka syrena statku. Urwana nagle syrena policyjna. Odgłosy składające się na sumę ludzkiej działalności. Niczym nieustający chrzęst mrowiska, monotony, usypiający, bezpieczny jak ciepła kołdra.

Oleg nachylił się powoli, nie odrywając wzroku od Harry'ego.

Harry pokręcił głową.

Ale Oleg wziął pistolet do ręki, ostrożnie, jakby się bał, że wybuchnie mu w dłoni.

Truls uciekł w samotność na tarasie.

Stawał na obrzeżach kilku rozmów, popijał szampana, jadł z wykałaczek i próbował udawać, że należy do tego grona. Kilka z tych dobrze wychowanych osób usiłowało go włączyć do grupy. Przywitali się, spytali, kim jest i czym się zajmuje. Truls odpowiadał krótko, ale nie przyszło mu do głowy zadać takie same pytania. Jakby nie zajmował należnej ku temu pozycji. Albo bał się, że powinien wiedzieć, kim są te osoby i jakie, do cholery, ważne stanowiska zajmują.

Ulla była zajęta podawaniem, uśmiechaniem się i rozmawianiem z tymi ludźmi, jakby byli starymi znajomymi. Trulsowi jedynie ze dwa razy udało się nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Z uśmiechem dała mu wtedy znać, że chętnie by z nim porozmawiała, ale wzywają ją obowiązki gospodyni. Okazało się, że żaden z pozostałych chłopaków z grupy wykonującej prace społeczne przy budowie domu nie mógł przyjść, a ani szefowie wydziałów policji, ani komendant nie rozpoznali Trulsa. Miał wręcz ochotę publicznie się przyznać, że to właśnie on pobił tamtego chłopaka tak, że aż stracił wzrok.

Ale taras prezentował się ładnie. W dole Oslo lśniło jak klejnot.

Wraz z wysokim ciśnieniem nadciągnęły jesienne chłody. W nocy prognozowano temperatury bliskie zera, szczególnie w miejscach położonych wyżej. W oddali słychać było syreny. Karetka. I co najmniej jeden radiowóz. Jechały gdzieś z centrum. Truls miał ochotę wymknąć się stąd i włączyć policyjne radio, dowiedzieć się, co się dzieje. Poczuć puls swojego miasta. Poczuć, że jest jego częścią.

Otworzyły się drzwi na taras i Truls odruchowo cofnął się o dwa kroki w głęboki cień, żeby nie zostać wciągniętym w rozmowę, podczas której skurczy się jeszcze bardziej.

To był Mikael. I ta kobieta z ratusza, Isabelle Skøyen.

Najwyraźniej była na lekkim rauszu, w każdym razie Mikael ją podtrzymywał. Wielka baba, wyższa od niego. Stanęli przy balustradzie odwróceniem do Trulsa plecami, ukryci przed oczami innych gości w salonie za pozbawionym okien wykuszem.

Mikael stanął za nią, Truls spodziewał się, że zaraz zobaczy błysk zapalniczki przypalającej papierosa, ale wcale tak się nie stało. A kiedy usłyszał szelest materiału sukni i cichy protestujący śmiech Isabelle Skøyen, było już za późno, żeby zdradzić swoją obecność.

Kobiece uda błysnęły bielą, zanim brzeg sukienki został zdecydowanie obciągnięty. Odwróciła się do Mikaela i jej głowa zlała się w jedno z jego głową na tle świateł miasta w dole. Truls słyszał mokre odgłosy namiętnego pocałunku. Stanął tak, żeby widzieć salon. Ulla biegała między ludźmi z tacą, donosząc kolejne przekąski i drinki. Truls nie mógł tego pojąć. Po prostu nie mieściło mu się to w głowie. Nie był wstrząśnięty, bo nie pierwszy raz Mikael zadawał się z inną kobietą. Po prostu nie rozumiał, jak on może to robić. Jak może mieć do tego serce, kiedy ma taką kobietę jak Ulla, to przecież niesamowity fart, największa wygrana. Jak można chcieć ryzykować wszystko dla jednego skoku w bok? Czy to dlatego, że Bóg, czy kto tam to rozdziela, dał mu to, na czym zależy kobietom – prezencję, ambicję, gładki język, który zawsze wie, co powiedzieć – i on czuje się zobowiązany wykorzystać ten potencjał, tak jak dwudziestolatki uważają, że muszą grać w koszykówkę? Nie wiedział. Wiedział tylko, że Ulla zasługuje na coś lepszego. Na kogoś, kto by ją kochał. Kto by ją kochał tak, jak on ją kochał zawsze. I zawsze będzie kochał.

To z Martine było bezmyślną przygodą, niczym poważnym. Zresztą już się nie powtórzy. Czasami myślał, że powinien w jakiś sposób dać Ulli do zrozumienia, że gdyby kiedyś straciła Mikaela, to on, Truls, zawsze będzie przy niej. Nigdy jednak nie znalazł odpowiedniego sposobu.

Truls nadstawił uszu. Rozmawiali.

– Wiem tylko, że on zniknął – powiedział Mikael, a Truls po lekko niewyraźnych słowach poznawał, że przyjaciel nie jest do końca trzeźwy. – Ale znaleźli tych dwóch pozostałych.

– Jego kozaków?

– Wiem, że nazywał ich kozakami, ale uważam, że to przechwałki. Wszystko jedno. Gunnar Hagen z Wydziału Zabójstw skontaktował się ze mną i pytał, czy mógłbym pomóc. Użyto gazu łzawiącego i broni automatycznej, więc według nich to mogły być porachunki gangów. Pytali, czy Pezet nie ma jakichś kandydatów. Sami błądzą po omacku.

– A ty odpowiedziałeś?

– Zgodnie z prawdą, że nie mam pojęcia, kto to mógł być. Jeśli to rzeczywiście gang, działa poza naszym radarem.

– Myślisz, że stary mógł się wywinąć?

– Nie.

– Nie?

– Wydaje mi się, że jego trup gdzieś tam leży i gnije.

Truls ujrzał rękę wskazującą rozgwieżdżone niebo.

– Może dowiemy się tego już niedługo, a może już nigdy.

– Przecież trupy zawsze w końcu się pojawiają, prawda?

Nie, pomyślał Truls. Stał mocno na obydwu nogach. Czuł, jak naciskają cement tarasu, a cement naciska stopy. Nie zawsze.

– Tak czy owak, ktoś to zrobił, i jest to ktoś nowy. Wkrótce się okaże, kto zostanie nowym królem narkotyków w Oslo.

– Jak myślisz, co to będzie oznaczało dla nas?

– Nic, kochana.

Truls patrzył, jak Mikael Bellman kładzie rękę na karku Isabelle Skøyen. Widział tylko ich sylwetki i wyglądało to tak, jakby Mikael ją dusił.

– Dotarliśmy tu, gdzie jesteśmy, i wsiadamy. Prawdę mówiąc, to się nie mogło skończyć lepiej, niż się skończyło. Stary nie był nam już potrzebny. A kiedy się pomyśli, ile kwitów zgromadził na ciebie i na mnie w trakcie naszej współpracy, to...

– To?

– To...

– Zabierz tę rękę, Mikael.

Aksamitny alkoholowy śmiech.

– Gdyby ten nowy król nie zrobił tej roboty za nas, być może musiałbym zająć się tym sam.

– To znaczy kazałbyś Beavisowi się tym zająć, to masz na myśli?

Truls aż drgnął, słysząc znienawidzone przezwisko. To Mikael tak go nazwał, kiedy chodzili do liceum na Manglerud. Przewisko przyłgnęło, ludzie od razu skojarzyli go z wysuniętą szczęką i przypominającym chrupkanie śmiechem. Mikael raz w okresie matur pocieszał go, że miał raczej na myśli „anarchistyczne pojmowanie rzeczywistości” i „antykonformistyczną moralność” postaci z kreskówki na MTV. Zabrzmiało to wtedy tak, jakby nadał Trulsowi jakiś pieprzony zaszczytny tytuł.

– Skąd. Nigdy nie dopuściłbym do tego, żeby Truls dowiedział się o mojej roli.

– Wciąż mnie dziwi, że mu nie ufasz. Przecież jesteście przyjaciółmi z dzieciństwa. To chyba on wylewał ci ten taras?

– Owszem, w środku nocy i zupełnie sam, rozumiesz? Mówimy o człowieku, który nie jest w stu procentach obliczalny. Nie wiadomo, co mu strzeli do głowy.

– Ale podpowiedziałeś staremu, że ma zrekrutować Beavisa jako palacza.

– Tylko dlatego, że znam Trulsa od dzieciństwa i wiem, że jest na wskroś skorumpowany i na sprzedaż.

Isabelle Skøyen zaśmiała się głośno, aż Mikael ją uciszył.

Truls przestał oddychać. Gardło mu się zasznurowało i czuł się tak, jakby w brzuchu miał jakieś nieduże zwierzę, które kręciło się, szukając wyjścia. Łaskotało i drapało, próbowało się wydostać, wciskało się w pierś.

– Nigdy nie powiedziałaś mi właściwie, dlaczego wybrałaś mnie na partnera do współpracy.

– Oczywiście dlatego, że masz takiego wielkiego fiuta.

– Nie żartuj. Gdybym nie przyjął propozycji nawiązania współpracy z tobą i ze starym, musiałbym cię aresztować.

– Aresztować? – prychnęła. – Przecież ja robiłam wszystko dla dobra miasta! Legalizujemy marihuanę, rozdajemy metadon, finansujemy budowę sal, w których można sobie zrobić zastrzyk. Albo torujemy drogę środkowi, od którego nie ma aż tylu przedawkowań. Co za różnica? Polityka narkotykowa to pragmatyzm, Mikael.

– Jasne, oczywiście się z tym zgadzam. Dzięki nam Oslo stało się lepszym miastem. Wypijmy za to.

Isabelle zignorowała uniesiony kieliszek.

– I tak byś mnie nie aresztował, bo wtedy powiedziałabym każdemu, kto tylko chciałby mnie słuchać, że się z tobą pieprzyłam za plecami tej twojej małej ślicznej żonki – zachichotała. – I to dosłownie za plecami. Pamiętasz, jak się spotkaliśmy pierwszy raz na tamtej premierze, kiedy powiedziałam, że możesz mnie zerznąć? Twoja żona stała tuż za tobą, ledwie poza zasięgiem głosu. Ale nawet nie mrugnąłeś. Poprosiłeś tylko o kwadrans na odesłanie jej do domu.

– Cicho, jesteś pijana! – Mikael położył jej rękę na plecach.

– Właśnie wtedy zrozumiałam, że jesteś takim mężczyzną, jakiego pragnie moje serce. Więc kiedy stary powiedział, że powinnam szukać sojusznika o równie wielkich ambicjach jak moje, wiedziałam, do kogo mam się zwrócić. Zdrowie, Mikael!

– *À propos!* Nie mamy już nic w kieliszkach. Może powinniśmy wrócić i...

– Skreśl to, co powiedziałam o moim sercu. Nie ma mężczyzn, którzy pasują do mojego serca, tylko do mojej... – Głęboki głośny śmiech. Jej śmiech.

– Chodź, wejdziemy do środka!

– Harry Hole!

– Cicho!

– To był mężczyzna pasujący do mojego serca. Oczywiście trochę głupi, ale... jak myślisz, gdzie teraz jest?

– Szukamy go tak długo bez powodzenia, więc przypuszczam, że wydostał się z kraju.

Doprowadził do niewinnienia Olega, raczej już nie wróci.

Isabelle zachwiała się na nogach, ale Mikael ją podtrzymał.

– Jesteś prawdziwym łajdakiem, Mikaelu, a my, łajdacy, zasługujemy na siebie.

– Być może, ale powinniśmy już wracać. – Mikael spojrzał na zegarek.

– Nie stresuj się, przystojniaku, mam wprawę w piciu, rozumiesz?

– Rozumiem, ale wejdź pierwsza, to nie będzie wyglądać tak...

– Po świńsku?

– Mniej więcej.

Truls usłyszał jej ostry śmiech i jeszcze ostrzejsze szpilki uderzające o cement.

Wyszła. Mikael pozostał oparty o balustradę.

Truls odczekał kilka sekund. W końcu wyłonił się z cienia.

– Cześć, Mikael.

Przyjaciel z dzieciństwa odwrócił się spokojnie. A Truls zadał sobie pytanie, gdzie i kiedy się to stało, że zapomnieli, jak się ze sobą rozmawia. Gdzie się podziały beztrioskie gadki, wspólne sny na jawie, kiedy mogli wszystko mówić i poruszać każdy temat. Wtedy kiedy byli jak jedna osoba. Jak na początku kariery, kiedy sprali faceta, który próbował dobierać się do Ulli. Albo tego cholernego pedała z KRIPOS, który z kolei próbował dobierać się do Mikaela. Dopadli go w kotłowni na Bryn kilka dni później. Płakał i przeproszał, że źle zrozumiał Mikaela. Unikali gęby, żeby nie zostawiać widocznych śladów, ale ten cholerny płacz tak wkurzył Trulsa, że użył pałki znacznie mocniej, niż zamierzał, i Mikael powstrzymał go w ostatniej chwili. Nie należało to do wspomnień określanych jako miłe, ale było przeżyciem z rodzaju tych, które łączą ludzi.

– Stoję tu i podziwiam taras – odparł Mikael.

– Dziękuję.

– Coś mi się zresztą przypomniało. Tamtej nocy, kiedy robiłeś wylewkę...

– Tak?

– Mówiłeś, że po prostu byłeś niespokojny i nie mogłeś zasnąć. Ale mnie się przypomniało, że tej samej nocy aresztowaliśmy Odina, a później urządziliśmy szturm na Alnabru. I zniknął tamten facet, jak mu tam...

– Tutu.

– No właśnie, Tutu. Miałeś brać w tym udział, ale powiedziałeś mi, że nie możesz, bo jesteś chory. I w chorobie wylewałeś taras?

Truls uśmiechnął się lekko, popatrzył na Mikaela, wreszcie zdołał złapać jego

spojrzenie i je przytrzymać.

– Okej, Mikael. Chcesz usłyszeć prawdę?

Mikael wyglądał tak, jakby zawahał się z odpowiedzią.

– Owszem, chętnie.

– Wagarowałem.

Na parę sekund na tarasie zapadła cisza. Słysząc było jedynie dalekie odgłosy miasta.

– Wagarowałeś? – Mikael zaczął się śmiać, z niedowierzaniem, ale dobrodusznie.

Truls lubił ten śmiech. Wszystkim się podobał, i kobietom, i mężczyznom. To był śmiech, który mówił: jesteś taki zabawny i sympatyczny, na pewno mądry, warto dla ciebie się pośmiać.

– Zrobiłeś sobie wagary? Przecież ty nigdy nie wagarujesz, uwielbiasz zatrzymanie.

– Owszem – odparł Truls. – Po prostu nie mogłem. Umówiłem się na rżnięcie.

Znów zapadła cisza.

I znów rozległ się śmiech Mikaela. Odchylił głowę i aż się zakrztusił. Zero dziur. Potem poklepał Trulsa po plecach. Ten śmiech był tak radosny i swobodny, że po kilku sekundach Truls nie mógł się powstrzymać. Musiał się śmiać razem z nim.

– Rżnięcie i wylewka – czał Mikael Bellman. – Niezły z ciebie model, Truls. Naprawdę!

Truls poczuł, jak pochwała sprawia, że zaczyna powoli odzyskiwać normalne rozmiary. Przez krótką chwilę było prawie jak za dawnych czasów. A właściwie nie prawie: było jak za dawnych czasów.

– No wiesz – kwiczał Truls. – Czasami niektóre rzeczy trzeba robić na własną rękę, bo tylko wtedy będą porządnie zrobione.

– To prawda. – Mikael objął przyjaciela ramieniem i tupnął jedną i drugą nogą w posadzkę tarasu. – Ale tutaj, Truls, tu naprawdę było dużo cementu jak na jednego człowieka.

Rzeczywiście, pomyślał Truls, czując, jak śmiech cudownie wzbiera mu w piersi. Dużo cementu jak na jednego człowieka.

– Powinienem był zatrzymać tego gameboya, kiedy go przyniosłeś – powiedział Oleg.

– Powinieneś. – Harry oparł się o futrynę. – Poprawiłbyś technikę w Tetris.

– A ty powinieneś wyjąć magazynek z tego pistoletu, zanim go odłożyłeś na miejsce.

– Być może. – Harry starał się nie patrzeć na odessę celującą raz w podłogę, a raz w niego.

Oleg uśmiechnął się blado.

– Zdaje się, że obaj popełniliśmy trochę błędów, prawda?

Harry kiwnął głową.

Oleg się podniósł i stanął przy kuchence.

– Ale ja nie same błędy popełniłem, mam rację?

– Oczywiście. Wiele rzeczy zrobiłeś dobrze.

– Na przykład co?

Harry wzruszył ramionami.

– Dobrze wymyśliłeś na przykład to, że rzuciłeś się na pistolet tego zmyślnego zamachowca. Że nosił kominiarkę i nie odzywał się ani słowem, tylko posługiwał się gestami. Wyciągnięcie ewidentnych wniosków pozostawiłeś mnie. Uznałem, że to tłumaczy obecność cząsteczek prochu na twojej skórze, a zabójca nie mówił, bo się bał, że rozpoznasz go po głosie, musiał więc mieć związek z handlem narkotykami albo z policją. Przypuszczam, że na tę historię z kominiarką wpadłeś, ponieważ widziałeś, że policjant, który był z wami na Alnabru, coś takiego nosił. W swojej opowieści umieściłeś go w biurze po sąsiedzku, bo stało ogołoczone i otwarte. Każdy mógł tam wejść i uciec stamtąd nad rzekę. Podsuwałeś mi podpowiedzi, żebym mógł ułożyć sobie idealne wyjaśnienie tego, w jaki sposób nie zabiłeś Gusta. Wiedziałeś, że mój mózg takie wyjaśnienie znajdzie. Bo nasze mózgi zawsze są skłonne oddać podejmowanie decyzji uczuciom. Zawsze gotowe szukać pocieszających odpowiedzi, których potrzebują serca.

Oleg z namysłem skinął głową.

– Ale ty masz teraz wszystkie inne odpowiedzi. Prawdziwe.

– Oprócz tej jednej – powiedział Harry. – Dlaczego?

Oleg milczał. Harry podniósł prawą rękę, lewą natomiast powoli wsunął do kieszeni spodni, wyjmując pomiętą paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Dlaczego, Oleg?

– A jak myślisz?

– Przez jakiś czas wydawało mi się, że chodziło o Irene. Zazdrość. Albo że odkryłeś, że on ją komuś sprzedał. Ale przecież jeśli Gusto był jedyną osobą, która wiedziała, gdzie jest twoja dziewczyna, nie mogłeś go zabić, dopóki ci tego nie wyjawiał. Musiało ci chodzić o coś innego. O coś, co jest równie silne jak miłość do dziewczyny. Bo przecież w głębi ducha nie jesteś zabójcą, prawda?

– *You tell me.*

– Kierował tobą klasyczny motyw, który doprowadził niejednego dobrego człowieka

do popełnienia strasznych czynów, z niżej podpisanym włącznie. Śledztwo zatoczyło koło. Wróciłem do punktu, od którego zaczęliśmy. Do zakochania. Do najstraszniejszego zakochania.

– A co ty o tym wiesz?

– Bo jestem zakochany w tej samej dziewczynie. A raczej w jej siostrze. Wiezorami jest prześliczna, ale kiedy się budzisz z nią następnego dnia rano, wygląda wstrętnie. – Harry zapalił czarnego papierosa ze złotym filtrem i nadrukiem carskiego orła. – Przychodzi wieczór i znów zapominasz o jej brzydocie, jesteś tak samo zakochany. Z tym uczuciem nie może konkurować, nawet Irene. Mylę się?

Harry zaciągnął się dymem, patrząc na chłopaka.

– Do czego ci jestem potrzebny? – spytał Oleg. – Przecież wszystko wiesz.

– Ponieważ chcę usłyszeć, jak to mówisz.

– Po co?

– Żebyś sam to usłyszał. Żebyś mógł usłyszeć, jakie to głupie i bezsensowne.

– Co? Że to chore zastrzelić kogoś za to, że próbuje ukraść twoje dragi? Chociaż tak się namęczyłeś, żeby je zdobyć?

– Nie słyszysz, jakie to banalne i potwornie smutne?

– I ty to mówisz?

– Owszem, ja. Straciłem najcudowniejszą kobietę w życiu, dlatego że nie potrafiłem się oprzeć. A ty zabiłeś najlepszego przyjaciela, Oleg. Powiedz na głos jego imię.

– Po co?

– Powiedz jego imię!

– To ja mam pistolet.

– Wymów jego imię.

– Gusto – roześmiał się Oleg. – Po co...

– Jeszcze raz.

Oleg przechylił głowę i spojrzał na Harry'ego.

– Gusto.

– Jeszcze raz! – krzyknął Harry.

– Gusto! – wrzasnął Oleg.

– Jeszcze...

– Gusto! – Oleg nabrał powietrza. – Gusto! Gusto... – Głos mu zaczął drżeć. – Gusto. – Nie wytrzymał. – Gusto. Gus... – Tym razem przeszkodził szloch. – ...to. – Łzy popłynęły mu z oczu, kiedy zamknął powieki, szepcząc: – Gusto. Gusto Hanssen...

Harry zrobił krok do przodu, ale Oleg uniósł pistolet.

– Jesteś jeszcze młody, Oleg. Wciąż możesz się zmienić.

– A co z tobą, Harry? Ty nie możesz się zmienić?

– Chciałbym, Oleg. Chciałbym się zmienić, żeby móc lepiej się wami zaopiekować.

Ale dla mnie było już za późno. Zostałem tym, kim jestem.

– Czyli? Pijakiem? Zdrajcą?

– Policjantem.

– Tylko tyle? – roześmiał się Oleg. – Policjantem. Nie człowiekiem i tak dalej?

– Głównie policjantem.

– Głównie policjantem – powtórzył Oleg, pokiwał głową. – Czy to nie jest banalne i potwornie smutne?

– Banalne i potwornie smutne. – Harry popatrzył na wypalonego do połowy papierosa z niezadowoleniem, jakby nie zadziałał tak, jak powinien. – Bo to oznacza, że nie mam wyboru.

– Wyboru?

– Muszę dopilnować, żebyś poniósł karę.

– Ty już nie pracujesz w policji, Harry. Stoisz tu bez broni. W dodatku nikt inny nie wie tego, co wiesz, ani że jesteś tutaj. Pomyśl o mamie. O mnie. Chociaż raz pomyśl o nas. O nas trojgu. – Oleg miał łzy w oczach, a w jego głosie słychać było przenikliwy metaliczny ton desperacji. – Dlaczego nie możesz po prostu stąd wyjść? Żebyśmy mogli zapomnieć o wszystkim, powiedzieć, że to się nie zdarzyło.

– Chciałbym móc tak zrobić – odparł Harry. – Ale ty mnie pojmałeś. Wiem, co się stało, i muszę cię powstrzymać.

– To dlaczego pozwoliłeś mi wziąć ten pistolet?

Harry wzruszył ramionami.

– Nie mogę cię aresztować. Musisz sam się zgłosić. To twój wyścig.

– Mam się zgłosić sam? Dlaczego miałbym to robić? Przecież właśnie mnie zwolniono!

– Jeśli cię aresztuję, stracę i twoją matkę, i ciebie. A bez was jestem nikim. Nie mogę bez was żyć, rozumiesz, Oleg? Jestem jak szczur poza gniazdem, który ma tylko jedną drogę do środka. Przez ciebie.

– Więc mnie puść. Zapomnijmy o wszystkim i zacznijmy od nowa.

Harry pokręcił głową.

– To było umyślne zabójstwo. Nie mogę. Ty masz teraz klucz i pistolet. Ty musisz

myśleć o nas trojgu. Zwrócimy się do Hansa Christiana, on na pewno we wszystkim pomoże. Jak się zgłosisz sam, znacznie złagodzą ci wyrok.

– Ale i tak stracę Irene. Nikt nie będzie czekał tak długo.

– Może tak, może nie. Może już ją straciłeś.

– Kłamiesz. Ty zawsze kłamiesz. – Oleg mrugał, żeby pozbyć się łez z oczu. – A co zrobisz, jeśli nie zechcę się zgłosić?

– Będę cię musiał aresztować teraz.

Oleg jęknął. Wydał z siebie szloch, połączony z pełnym niedowierzania śmiechem.

– Jesteś szalony, Harry.

– Tak już jestem poskładany, Oleg. Robię to, co muszę. Tak samo jak ty musisz zrobić to, co musisz.

– Co muszę? Jakbyś mówił o jakimś przekleństwie!

– Być może.

– *Bullshit!*

– No to przerwij to przekleństwo, Oleg. Bo przecież tak naprawdę wcale nie chcesz znów zabić, prawda?

– Wyjdź! – krzyknął Oleg. Pistolet drżał mu w ręku. – Już nie jesteś w policji!

– Masz rację – powiedział Harry. – Ale, tak jak mówiłem, jestem... – Zaciśnął wargi na czarnym papierosie i głęboko się zaciągnął. Przez chwilę miał taką minę, jakby sprawiało mu to przyjemność. W końcu wypuścił dym i powietrze z płuc. – ...policjantem. – Rzucił papierosa na podłogę, przydeptał go, podchodząc do Olega. Podniósł głowę. Oleg był prawie tak wysoki jak on. Harry napotkał spojrzenie chłopca za muszką pistoletu. Zobaczył unoszący się kurek. Znał już wynik. Stał na drodze. Chłopak też nie miał żadnego wyboru. Byli dwiema niewiadomymi w równaniu bez rozwiązania. Dwoma ciałami niebieskimi na kursie nieuniknionej kolizji. Grą w Tetris, którą tylko jeden mógł wygrać. Tylko jeden wygra. Miał nadzieję, że Oleg będzie miał dość rozumu, żeby pozbyć się później pistoletu. Że polecą tym samolotem do Bangkoku i nigdy nic nie powie Rakel. Nie będzie się budził z krzykiem w środku nocy w pokoju pełnym upiórów i zdoła stworzyć sobie życie, które warto przeżyć. Bo jego takie nie było. Już nie. Spiał się i dalej szedł do przodu. Czuł ciężar własnego ciała. Czarne oko lufy pistoletu rosło. Jesienny dzień. Oleg. Dziesięć lat. Wiatr mierzwi włosy. Rakel i Harry. Pomarańczowe liście. A oni patrzą w obiektyw kieszonkowego aparatu i czekają na kliknięcie samowyzwalacza. Zdjęcie będące dowodem, że dotarli na samą górę. Że tam byli. Osiągnęli szczyt szczęścia. Palec wskazujący Olega bieleje przy ostatnim stawie, naciskając spust. Stamtąd, dokąd dotarli, nie było drogi powrotu. Nigdy nie było czasu, żeby

zdążyć na ten samolot. Nie było żadnego samolotu. Żadnego Hongkongu. Tylko idea życia, jakim żadne z nich nie potrafiło żyć. Harry nie czuł lęku. Tylko smutek. Krótka seria zabrzmiała jak jeden strzał. Szyby w oknach zadrżały. Poczł fizyczny ucisk kul, które trafiły go w środek piersi. Odrzut lekko uniósł lufę i trzecia kula uderzyła go w głowę. Upadł. Pod nim była ciemność. Zapadał się w nią. Pochłoneła go, otulając chłodzącą, pozbawioną bólu nicością. Nareszcie, pomyślał. I to była ostatnia myśl Harry'ego Hole. Nareszcie był wolny.

Szczurza matka nasłuchiwała. Krzyki dzieci docierały jeszcze wyraźniej, kiedy kościelny dzwon wybił swoje dziesięć uderzeń i ucichł, a syrena policyjna, która przez chwilę się zbliżała, znów się oddaliła. Zostały tylko słabe uderzenia serca. Gdzieś w szczurzej pamięci zapisało się wspomnienie zapachu prochu i innego, młodszego ludzkiego ciała, które leżało i krwawiło na tej samej podłodze. Ale to było latem, na długo przed urodzeniem dzieci. Poza tym tamto ciało nie zasłaniało dostępu do gniazda.

Zorientowała się, że brzuch mężczyzny będzie trudniejszy do pokonania, niż sądziła. Musiała więc szukać innej drogi. Wróciła tam, gdzie zaczęła.

Wbiła raz zęby w skórzany but. Polizała metal. Słony metal sterczący między dwoma palcami prawej dłoni.

Podreptała po marynarce, którą czuć było potem, krwią i jedzeniem, tyłoma różnymi rodzajami jedzenia, że len musiał leżeć w śmietniku.

I znów wyczuła kilka cząsteczek tego dziwnego mocnego zapachu dymu, który się nie sprzał. Ale nawet tych kilka cząsteczek zapiekło w oczy, wywołując wilgoć i utrudniając oddychanie.

Przebiegła wzdłuż ręki, na ramię, znalazła zakrwawiony bandaż na szyi, który na moment ją rozproszył. Znów jednak usłyszała piski dzieci i wbiegła na pierś. Z dwóch okrągłych otworów w materiale unosił się ostry zapach siarki i prochu. Jedna kula weszła tam, gdzie było serce. Szczurzyca w każdym razie wyczuwała ledwie dostrzegalne wibracje, kiedy biło ostatkiem sił. Pobiegła na czoło, polizała krew wypływającą pojedynczą cienką strużką z jasnej nasady włosów. Obwąchała bardziej mięsiste części, wargi, skrzydełka nosa, powieki. Policzek przecinała szrama. Szczurzy mózg pracował tak, jak pracują szczurze mózgi podczas eksperymentów w laboratorium. Zaskakująco racjonalnie i skutecznie. Policzek. Usta. Kark tuż pod tyłem głowy. Byłaby wtedy po drugiej stronie. Życie szczura jest twarde i proste. Trzeba robić to, co się musi.

CZĘŚĆ V

Księżyc nad rzeką Aker sprawiał, że ten mały brudny strumień zdawał się płynąć przez miasto niczym złoty łańcuch. Niewiele kobiet wybierało puste ścieżki nad wodą, ale Martine lubiła tędy chodzić. Miała za sobą długi dzień w Latarni Morskiej i czuła zmęczenie, ale przyjemne. To był długi dobry dzień.

Z cienia wyłonił się jakiś chłopak. Widząc jej twarz w świetle latarni, mruknął cicho „cześć” i się cofnął.

Rikard kilka razy pytał, czy teraz, zwłaszcza w ciąży, nie powinna wracać do domu inną drogą, a ona odpowiadała, że tędy na Grünerløkka jest najkrócej. A poza tym nie zgadzała się, żeby ktoś jej odbierał jej miasto. Zresztą znała tak wielu spośród tych, którzy przebywali pod mostami, że czuła się tu bezpieczniej niż w modnym barze w zachodniej dzielnicy. Minęła już stację pogotowia, Schous plass i zbliżała się do Blå, kiedy usłyszała stukanie na asfalcie. Krótkie mocne uderzenia podeszew. Z przeciwnej strony nadbiegał młody chłopak. Sunął przez ciemne i oświetlone fragmenty ścieżki. Przez moment, zanim ją minął, dostrzegła jego twarz. I usłyszała wciągnięty ze szlochom oddech, kiedy się oddalał. To była jedna ze znajomych twarzy, jedna z tych, które widywała w Latarni Morskiej, ale tych twarzy było już tak wiele. Czasami wydawało jej się, że kogoś widziała, a następnego dnia koledzy mówili jej, że ta osoba nie żyje od miesięcy, a nawet od lat. Ale ta twarz nie wiadomo dlaczego skojarzyła jej się z Harrym. Nigdy o nim nie rozmawiała, a już zwłaszcza z Rikardem. Harry zajął jednak na stałe w jej sercu maleńkie miejsce, w którym niekiedy go odwiedzała. Czy to mógł być Oleg? Czy dlatego pomyślała teraz o Harrym?

Odwróciła się. Zobaczyła plecy biegnącego chłopaka. Jakby sam diabeł go gonił, jakby próbował przed czymś uciec. Ale nie widziała, żeby ktoś go ścigał. Chłopak robił się coraz mniejszy, aż w końcu całkiem zniknął w ciemności.

Irene spojrzała na zegarek. Pięć po jedenastej. Odchyliła się na siedzeniu i popatrzyła na monitor. Za kilka minut zaczną wpuszczać ludzi do samolotu. Tata przysłał SMS-a z wiadomością, że będzie na nich czekał na lotnisku we Frankfurcie. Pociła się, całe ciało bolało. Nie będzie łatwo. Ale da radę.

Stein uściskał jej rękę.

– Jak tam, mała?

Irene uśmiechnęła się i odwzajemniła uścisk. Da radę.

– Czy my znamy tę kobietę, która tam siedzi? – szepnęła Irene.

– Którą?

– Tę ciemną. Tę, co siedzi sama.

Kobieta siedziała na krześle przy bramce naprzeciwko, już kiedy przyszedli. Czytała przewodnik Lonely Planet po Tajlandii. Była piękna. Taką urodą, która opiera się wiekowi. Biła z niej cicha radość, jakby w środku się śmiała, mimo że siedziała sama.

– Ja jej nie znam. A kto to jest?

– Nie wiem. Ale jest do kogoś podobna.

– Do kogo?

– Nie wiem.

Stein się roześmiał. Spokojnym bezpiecznym śmiechem starszego brata. Znow uścisnął rękę dziewczyny.

Rozległo się przeciągłe piknięcie i metaliczny głos obwieścił, że samolot do Frankfurtu jest gotowy na przyjęcie pasażerów. Ludzie zaczęli wstawać i tłoczyć się przy bramce. Stein też chciał się podnieść, ale Irene go zatrzymała.

– Co jest, mała?

– Zaczekajmy, aż ta kolejka się rozładuje.

– Ale...

– Nie mam siły stać w tłumie.

– Jasne. Niemądrze z mojej strony. Jak się czujesz?

– Ciągle dobrze.

– To świetnie.

– Ona wygląda na samotną.

– Na samotną? – Stein spojrział na kobietę. – Nie zgadzam się. Raczej na zadowoloną.

– To też, ale jest samotna.

– Zadowolona i samotna?

Irene się roześmiała.

– Chyba nie mam racji. Może myślę o tym, do kogo jest podobna.

– Irene?

– Tak?

– Pamiętaj, co ustaliliśmy? Same przyjemne myśli.

– Dobrze. My nie jesteśmy samotni.

– Nie, bo mamy siebie. I tak będzie zawsze, prawda?

– Zawsze.

Irene wsunęła rękę pod pachę brata i przytuliła głowę do jego ramienia. Pomyślała o policjancie, który ją znalazł. Powiedział, że ma na imię Harry. W pierwszej chwili pomyślała o tym Harrym, o którym opowiadał Oleg, on też był policjantem, ale zawsze wyobrażała go sobie jako wyższego, młodszego i przystojniejszego niż ten brzydal, który ją uwolnił. Jednak okazało się, że on już wcześniej przychodził do Steina, i teraz wiedziała, że to rzeczywiście on. Harry Hole. I miała pewność, że zapamięta go do końca życia. Zapamięta jego naznaczoną blizną twarz z raną w poprzek brody i wielkim bandażem na szyi. I ten głos. Oleg nie mówił, że Harry ma taki przyjemny głos. Nagle poczuła, że jest pewna. Nie wiedziała, skąd bierze się to przekonanie, ale po prostu była pewna.

Będzie dobrze.

Po wyjeździe z Oslo wszystko zostawi za sobą. Nie będzie mogła tknąć ani alkoholu, ani narkotyków, tłumaczył jej to i ojciec, i ten lekarz, z którym rozmawiała. Violina zostanie w niej na zawsze, ale ona będzie ją trzymać na dystans. Violina będzie ją nawiedzać tak jak upiór Gusta. Upiór Ibsena. I wszyscy ci nieszczęśnicy, którym sprzedawała śmierć w proszku. Niech przychodzą, kiedy chcą. Za kilka lat być może zblakną. Będzie mogła wrócić do Oslo. A może tu nie wróci. Ważne, że będzie dobrze. Że zdoła ułożyć sobie życie tak, żeby warto było żyć.

Spojrzała na czytającą kobietę. Tamta nagle podniosła wzrok, jak gdyby wyczuła jej spojrzenie. Posłała dziewczynie krótki, ale intensywny uśmiech i znów zatopiła się w przewodniku.

– No to idziemy – powiedział Stein.

– Idziemy – powtórzyła Irene.

Truls Berntsen jechał przez Kvadraturen. Sunął Tollbugata, w górę Prinsens gate, w dół Rådhusgata. Wczesnie wyszedł z przyjęcia, wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie bez planu. Było zimno, ale pogodnie. Dzielnica żyła. Dziwki wołały za nim, wietrząc testosteron. Dilerzy oferowali coraz lepsze ceny. Z zaparkowanej corvette waliły basy, umpa, umpa. Koło przystanku całowała się para. Jakiś człowiek, śmiejąc się serdecznie, biegł ulicą w rozpiętej marynarce, a za nim pędził inny mężczyzna w identycznym garniturze. Na rogu Dronningens gate pojedyncza koszulka Arsenalu. Truls wcześniej nie widział tego chłopaka, pewnie był nowy. Zatrzeszczało policyjne radio. Truls poczuł przyjemną błogość. Krew płynącą w

żyłach, basy, rytm we wszystkim, co go otaczało. Siedział tu i patrzył na maleńkie trybiki, które nie wiedziały o sobie nawzajem, a mimo to wprawiały w ruch inne. Tylko on widział całość. I właśnie tak powinno być. To było teraz jego miasto.

Proboszcz Kościoła Staromiejskiego wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Chwilę posłuchał szumu w koronach drzew na cmentarzu. Spojrzał na księżyc. Piękny wieczór. Koncert był udany, przyszło dużo ludzi. O wiele więcej niż na poranne nabożeństwo. Westchnął. Kazanie, które miał wygłosić do pustych ławek, dotyczyło odpuszczenia grzechów. Zszedł po schodach i ruszył przez cmentarz. Postanowił wykorzystać to samo kazanie, które wygłosił podczas pogrzebu w piątek. Zmarły według najbliższej osoby – rozwiedzionej żony – wpłatał się pod koniec życia w przestępczość, a wcześniej też żył tak grzesznie, że wszystkie jego kochanki nie pomieściłyby się w kościele. Nie musieli się martwić. Przyszła jedynie była żona z dziećmi i koleżanka, która głośno pociągała nosem. Była żona wyznała pastorowi, że ta koleżanka to prawdopodobnie jedyna stewardesa z linii lotniczych, z którą zmarły nie spał.

Pastor minął jeden z nagrobków. W świetle księżycy dostrzegł na nim ślady czegoś białego. Jakby ktoś napisał coś na nim kredą, a potem starł. To był nagrobek Askilda Catona Ruda. Tego, którego nazywano również Askild Dobrouchy. Od bardzo dawna obowiązywała zasada, że po upływie dwudziestu pięciu lat groby można wykorzystywać od nowa, chyba że ktoś opłacał miejsce, co było przywilejem zastrzeżonym dla bogatych. Jednak z niewiadomych powodów grób biednego jak mysz kościelna Askilda Catona Ruda się zachował. A teraz był naprawdę stary i został objęty ochroną. Liczono, może cokolwiek zbyt optymistycznie, że zaczną przyciągać zainteresowanych. Przecież to nagrobek mieszkańca najuboższych wschodnich dzielnic Oslo, którego rodzinę stać było jedynie na nieduży kamień, a ponieważ kamieniarz brał zapłatę za każdą literę, przed nazwiskiem wyryto jedynie inicjały. Nie było żadnego dodatkowego tekstu. Pewien historyk twierdził nawet, że prawdziwe nazwisko tego człowieka brzmiało Ruud, ale i na nim rodzinie udało się trochę zaoszczędzić. No i była też ta legenda o tym, że Askild Dobrouchy krąży po śmierci. Ale tego nikt nigdy nie potwierdził. Askild Dobrouchy odszedł w zapomnienie i mógł – dosłownie – spoczywać w pokoju.

Kiedy pastor zamykał za sobą furtkę cmentarza, z cieni pod murem wyłoniła się jakaś postać. Duchowny zdrętwiał.

– Okaż zmiłowanie – odezwał się chrapliwy głos. Wyciągnęła się duża otwarta dłoń.

Pastor zajrzał w twarz pod kapeluszem. To była stara twarz, pokryta siatką bruzd, z dużym nosem, wielkimi uszami i parą zaskakująco czystych, niebieskich, niewinnych oczu. Tak, właśnie niewinnych. Tak pomyślał pastor w drodze do domu, wręczywszy nieszczęśnikowi dwadzieścia koron. Niewinne błękitne oczy noworodka, który nie potrzebuje jeszcze odpuszczenia grzechów. Chyba wykorzysta to w jutrzejszym kazaniu.

Dotarłem już do końca, tato.

Siedzą tu, Oleg stoi nade mną. W obu rękach trzyma odessę. Trochę tak, jakby się jej przytrzymał, jakby była gałęzią zwieszającą się nad przepaścią. Trzyma ją i krzyczy. Kompletnie zwariował.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest Irene? Powiedz mi, bo inaczej... inaczej...

– Inaczej co, ćpunie? I tak nie jesteś w stanie użyć tego pistoletu. Nie masz tego w sobie, Oleg. Jesteś jednym z good guys. Uspokój się. Podzielimy się tym, co mamy, okej?

– Nie dostaniesz nic, dopóki nie powiesz, gdzie ona jest!

– Dasz mi wtedy działkę?

– Połowę. Więcej nie mam.

– Zgoda. Tylko najpierw odłóż pistolet.

Idiota usłuchał. Jakby się niczego nie nauczył. Równie łatwo go nabrać jak za pierwszym razem po wyjściu z koncertu Judasa. Nachylił się, położył ten dziwny pistolet na podłodze przed sobą. Widziałem, że przełącznik jest ustawiony na C, to znaczy, że ma strzelać seriami. Wystarczy lekko nacisnąć...

– No to gdzie ona jest? – spytał, wstając.

A ja, kiedy lufa już we mnie nie celowała, poczułem narastającą wściekłość. On mi groził. Tak jak mój przybrany ojciec. A jedyne, czego nie znoszę, to właśnie groźby. Więc zamiast zaprezentować mu łagodną wersję, że Irene jest na odwyku w sekretnym ośrodku w Danii, odizolowana, nie może mieć kontaktu z przyjaciółmi, którzy znów wciągną ją w nałóg, bla bla bla, poczułem, że muszę obrócić nóż w ranie. Po prostu musiałem to zrobić. W moich żyłach płynie zła krew, tato, więc się zamknij. Przynajmniej to, co mi z tej krwi zostało, bo reszta wyciekła już na podłogę w kuchni. Ale jestem takim idiotą, że obróciłem nóż w ranie.

– Sprzedałem ją – powiedziałem. – Za kilka gramów violiny.

– Co?

– Sprzedałem ją takiemu jednemu Niemcowi na dworcu. Nie wiem, jak się nazywa i gdzie mieszka. Może w Monachium. Może akurat teraz siedzi w swoim mieszkaniu w

Monachium razem ze swoim kumplem, a Irene robi im obu loda. Ale jest na takim hajcu, że nie wie, który fiut jest czyj, bo myśli tylko o tym, co kocha, a ona kocha...

Oleg stał z otwartymi ustami i mrugał. Wyglądał tak głupio jak wtedy, kiedy dał mi pięć stów w tym barku z kebabem. Machnąłem ręką, jakbym był jakimś fuckings czarodziejem.

– ...violinę!

Oleg ciągle mrugał. Był w takim szoku, że nie zareagował, kiedy rzuciłem się do pistoletu.

Tak mi się wydawało.

Bo o czymś zapomniałem.

Przecież poszedł za mną wtedy z tego baru z kebabem, zrozumiał, że nie dostanie żadnego lodu. Umiał pewne rzeczy, on też potrafił czytać z ludzkich twarzy. W każdym razie umiał rozpoznać złodzieja.

Powinienem był wiedzieć. Powinienem był zgodzić się na pół działki.

Dosięgnął pistoletu szybciej niż ja. Może przypadkiem trącił cyngiel ustawiony na C? Patrzyłem na jego zaszokowaną twarz, zanim osunąłem się na podłogę. Zapadła cisza. Usłyszałem, że się nade mną pochyla. Dotarł do mnie cichy, zduszony pisk, jakby na zwolnionych obrotach, jakby chciał płakać, ale nie mógł. Wolnym krokiem przeszedł na koniec kuchni. Prawdziwy narkoman robi wszystko w odpowiedniej kolejności. Kucając przy mnie, zrobił sobie zastrzyk. Spytał nawet, czy nie chcę, żeby się ze mną podzielił.

Pewnie, że chciałem, ale już nie mogłem mówić. Tylko słuchać. I słyszałem jego ciężkie powolne kroki na schodach, kiedy wychodził. Zostałem sam. Bardziej sam niż kiedykolwiek w życiu.

Kościelny dzwon przestał bić. Zdążyłem, zdaje się, opowiedzieć całą tą historią.

Nawet już tak nie boli.

Jesteś tam, tato?

Jesteś, Rufus? Czekateś na mnie?

Przypominam sobie zresztą, co powiedział stary. Że śmierć to uwolnienie dla duszy. Fuckings uwolnienie. Cholera, skąd mam wiedzieć? Zobaczymy.

ŹRÓDŁA I OSOBY, KTÓRYM DZIĘKUJĘ ZA POMOC

Audun Beckstrøm, Curt A. Lier – ogólnie o pracy policji, Torgeir Eira, EB Marine – nurkowanie, Are Myklebust i Wydział Zwalczenia Przeszeczności Zorganizowanej w Oslo – handel narkotykami, Pål Kolstø, *Russland*, Ole Thomas Bjerknes i Ann Kristin Hoff Johansen, *Etterforskningsmetoder*, Nicolai Lilin, *Sibirsk oppdragelse*, Berit Nøkleby, *Politigeneral og hirsjef*, Dag Fjeldstad – rosyjski, Eva Stenlund – szwedzki, Lars Petter Sveen – dialekt z Frøna, Kjell Erik Strømskag – farmacja, Tor Honningsvåg – ruch lotniczy, Jørgen Vik – cementarze, Morten Gåskjønli – anatomia, Øystein Eikeland i Thomas Helle-Valle – medycyna, Birgitta Blomen – psychologia, Odd Cato Kristiansen – nocne strony Oslo, Kristin Clemet – rada i zarząd miasta, Kristin Gjerde – konie, Julie Simonsen – pisanie. Dziękuję wszystkim w wydawnictwie Aschehoug i agencji Salomonsson.